



AMBER mini



Elizabeth Adler



**Kobiety
rządzą światem**

Elizabeth Adler

**Kobiety rządzą światem
(Fortune Is A Woman)**

Przełożyła Maria Plucińska-Woźniak

Dla mojej najdroższej Mamy, jedynej na świecie Anny Louisy

*„Szczęście ma imię kobiety;
jeśli chcesz je zdobyć, nie wahaj się użyć siły”*

Księżę, NICCOLÓ MACHIAVELLI

Prolog

1937

Mandaryn Lai Tsin poczuł, że jego dni dobiegają kresu. Zabrał Lysandrę w ostatnią podróż do Hongkongu.

Miał już ponad siedemdziesiąt lat, był drobny i niewysoki. Twarz o pergaminowej skórze, wystające kości policzkowe i lśniące czarne oczy w kształcie migdałów nadawały mu wyraz dostojeństwa. Lysandra zaś ukończyła dopiero siedem lat. Złote włosy opadały jej na ramiona kaskadą zadziornych loków. W delikatnej, jasnej buzi błyszczały okrągłe szafirowe oczy. Ale Lysandra nigdy nie dziwiła się, że tak bardzo różni się od dziadka. Zawsze byli parą najlepszych przyjaciół.

Podróż z San Francisco trwała sześć dni. Nocowali w hotelach w sześciu miastach.

Ten wspólnie spędzony czas mandaryn wypełnił opowieściami o Chinach i interesach, które tam prowadził. Lysandra słuchała wszystkiego z zainteresowaniem.

- Jestem już stary, Lysandro - powiedział, gdy samolot powoli wznosił się nad zatoką Manila. Ich podróż dobiegała już końca. - Nie będę miał zaszczytu towarzyszyć ci w drodze przez życie ani patrzeć, jak stajesz się dorosłą kobietą. Dam ci wszystko, czego można pragnąć na ziemi - bogactwo i władzę - w nadziei, że będziesz szczęśliwa.

Nie powiedziałem ci, Lysandro, tylko jednej rzeczy, ale opisałem M ją w liście do ciebie, który złożyłem w sejfie, w Hongkongu. Możesz go przeczytać tylko wtedy, gdy ogarnie cię rozpacz albo gdy nie będziesz wiedziała, co uczynić ze swoim życiem. Wówczas, mam nadzieję, wybaczysz mi, że ukryłem przed tobą moją tajemnicę, która pomoże ci odnaleźć drogę do szczęścia.

Lysandra w milczeniu skinęła głową. Czasami mandaryn zachowywał się zagadkowo, ale kochała go tak bardzo, że niezrozumiałe dla niej „tajemnice” nie były ani w połowie tak ważne jak wspólna podróż.

Z lotniska w Hongkongu od razu pojechali do luksusowej rezydencji nad zatoką Repulse. Po domu przemykali bezszelestnie chińscy służący. Zachwycali się jasnowłosą, błękitnooką dziewczynką i wzdychali nad kruchym, przezroczystym niemal staruszkim.

Po kąpeli i posiłku mandaryn wezwał eleganckiego rolls-roysa i pojechali do siedziby firmy Lai Tsin, mieszczącej się w wysokim, wspartym na kolumnach budynku, łączącym ulice Queens i Des Voeux.

Pokazał Lysandrze strzegące wejścia lwy z brązu, wspaniałe hol, wyłożony kolorowym marmurem, wysokie malachitowe kolumny, rzeźby i mozaiki. Wchodzili do każdego pomieszczenia i Lai Tsin przedstawiał wnuczkę całemu personelowi, poczynając od sprzątaczk, a kończąc na zarządzających jego potężnym imperium.

Lysandra grzecznie kłaniała się wszystkim, słuchała uważnie i nie odzywała się ani słowem.

Pod koniec dnia czuła się już zmęczona, ale jak się okazało, mandaryn zaplanował jeszcze jedną wizytę.

Wezwał riksę i przebijali się przez ruchliwe, zatłoczone ulice. Elegancki samochód sunął za nimi powoli. Rikszarz sprawnie torował sobie drogę przez labirynt wąskich alejek i wkrótce znaleźli się nad brzegiem morza, zostawiając rolls-rolls i kierowcę na plaży. Po długiej jeździe, która zmęczonej Lysandrze wydawała się wiecznością, zatrzymali się przed obskurnym drewnianym barakiem, pokrytym cynowym dachem. Dziewczynka spojrzała pytająco na dziadka.

- Chodź, Mała Wnuczko - powiedział spokojnie. - Właśnie to miejsce chciałem ci pokazać. Stąd wzięła początek fortuna Lai Tsin.

Trzymając się mocno za ręce podeszli do odrapanych drzwi. Choć wyglądały licho, miały jednak solidne metalowe zawiasy i mocne zamki. Z bliska widać było, że ktoś dba o budynek - w starych ścianach widniały wstawki z nowej cegły i drewna. Metalowe kraty chroniły wysoko osadzone, małe okna.

- Tylko ogień mógłby zniszczyć magazyny Lai Tsina - powiedział mandaryn miękko, spokojnym głosem. - Ale to już nigdy się nie zdarzy. - Staruszek wierzył, że magazyny nie spłoną, bo zapewniła go o tym wróżka, z którą rozmawiał co tydzień i ufał jej bez granic. Dawno temu zapewniła go, że ogień już nie zagrozi rodzinie Lai Tsin.

Mandaryn zapukał dwukrotnie. Po kilku sekundach ktoś otworzył ciężkie zasuwę i drewniane drzwi powoli uchylały się. Stał w nich uśmiechnięty czterdziestoletni Chińczyk. Ukłonił się głęboko zapraszając ich do środka.

- Czcigodny Ojczy, wejdz, proszę, z Małą Wnuczką - powiedział.

Mandaryn z radością objął młodszego mężczyznę. Potem odsunęli się i uważnie popatrzeli sobie w oczy.

- Cieszę się, że znów cię widzę - powiedział mandaryn ze smutkiem, jakby spotykali się po raz ostatni. - To mój syn, Filip Chen - zwrócił się do Lysandry. - Nazywam go synem, bo znalazł się w moim domu, gdy był jeszcze bardzo mały, młodszy niż ty teraz. Nie miał rodziców i zawsze traktowałem go jak własne dziecko. Teraz jest moim przedstawicielem w Hongkongu. Wierzę mu bez zastrzeżeń.

Lysandra z ogromnym zainteresowaniem wpatrywała się w nowego znajomego swymi wielkimi błękitnymi oczami. Dziadek ponownie wziął ją za rękę i poprowadził w głąb pomieszczenia. Magazyn był długi i wąski. Puste, zakurzone półki oświetlała zawieszona pod sufitem żarówka. Lysandra z lękiem patrzyła w ocienione kąty, odskoczyła gwałtownie, gdy spostrzegła parę innych oczu. Ale to nie był straszny smok, tylko mały chłopiec.

Filip Chen odezwał się z dumą.

- Ojczy, mam zaszczyt przedstawić mojego syna, Roberta. Malec ukłonił się nisko.

- Ostatni raz widziałem cię, gdy miałaś trzy lata - powiedział cicho mandaryn.

- Teraz skończyłaś dziesięć. Niedługo staniesz się mężczyzną. Podobasz mi się - nie lękasz się patrzeć prosto w oczy. Myślę, że w przyszłości będziemy mogli obdarzyć cię tak wielkim zaufaniem, jak twego ojca.

Lysandra z ciekawością patrzyła na małego Chińczyka. Był krępy, a z rękawów białej koszuli wylaniały się krótkie, muskularne ręce. Miał też na sobie kremowe szorty i szary blezer ze szkolną tarczą. Mandaryn odwrócił się, a chłopiec odwzajemnił ciekawe spojrzenie Lysandry, zerkając zza druczianych okrągłych okularów. Potem ukłonił się jeszcze raz, podszedł do ojca i wspólnie odprowadzili starca do drzwi.

- Miałem nadzieję, że ugoszczę was w domu - powiedział ze smutkiem Filip. - Ale widzę, że jesteś bardzo zmęczony, ojczy.

- Wystarczy, że widziałem cię przez parę chwil - odpowiedział Lai Tsin, gdy Filip położył głowę na jego ramieniu w geście pożegnania. - Mogę ci teraz podziękować, że zawsze byłeś tak dobrym synem. I proszę, abyś nadal strzegł fortuny Lai Tsin, nawet gdy mnie już nie będzie.

- Masz moje słowo, czcigodny ojczy - Filip cofnął się o krok. Walczył ze sobą, aby nie okazać wzruszenia.

- Więc mogę umrzeć spokojnie - odrzekł mandaryn. Wziął za rękę Lysandrę i poszli powoli w kierunku rikszy.

Kiedy odjeżdżali wąską uliczką, kazał jej odwrócić się i spojrzeć raz jeszcze na stary, drewniany magazyn.

- Nie wolno nam nigdy zapomnieć, jak skromne były nasze początki - powiedział miękko. - Zapominając o tym, moglibyśmy uznać, że jesteśmy najmądrzejsi, najbogatsi i najważniejsi na świecie. Niewykluczone, że wtedy szczęście opuściłoby naszą rodzinę.

Po powrocie do rezydencji nad zatoką Repulse na Lysandrę oczekiwał cały stos prezentów od współników mandaryna. Z okrzykami zachwytu dziewczynka otwierała kolejne paczuski: były w nich piękne perłowe naszyjniki, misternie wyrzeźbione figurynki, jedwabne sukienki i malowane wachlarze. Mandaryn, przyglądając się

uszcześliwionej wnuczce, powiedział tylko:

- Pamiętaj, że ci ludzie nie obdarowują cię z czystej przyjaźni. Dostałaś to wszystko, bo należysz do rodziny Lai Tsin.

Wiele lat później Lysandra przekonała się, jak prawdziwe były te słowa.

Mandaryn umierał w swoim domu w San Francisco w chłodny, październikowy dzień.

Tylko Francie, piękna biała kobieta, którą wszyscy uważali za jego konkubinę, siedziała przy łóżku. Ocierała jego gorące czoło chłodnymi kompresami, trzymała za rękę i szeptała słowa otuchy. Mandaryn otworzył oczy i popatrzył na nią z czułością.

- Czy wiesz, co masz robić? - wyszeptał. Skinęła głową.

- Tak.

Na twarzy starca odmalował się błogi spokój. Po chwili już nie żył.

Wbrew chińskim obyczajom prochów Lai Tsina nie odesłano do rodzinnych Chin, aby spoczęły obok przodków. Francie wynajęła wielki biały jacht, kazała go udekorować czerwonymi flagami i w pięknym białym stroju żałobnym wypłynęła z Lysandra na wody zatoki San Francisco. Tam rozsypała prochy mandaryna na cztery strony świata.

Takie było jego ostatnie życzenie.

Rozdział 1

Wtorek, 3 października 1937

Annie Aysgarth była małą, pulchną kobietką o pełnych wyrazu brązowych oczach i lśniących kasztanowych włosach, modnie ostrzyżonych na pazia. Brwi przecinała nigdy nie znikająca zmarszczka. „To przez te lata zmartwień”, powtarzała zawsze.

Skończyła 57 lat, a od prawie trzydziestu przyjaźniła się z Francescą Harrison.

Wiedziały o sobie wszystko.

Annie prowadziła luksusowy hotel na Union Square. Miała język ostry jak brzytwa, ośli upór i złote serce. Była właścicielką całej sieci hoteli Aysgarth sprzężonych z handlowym imperium Lai Tsina. Przebyła długą drogę z rodzinnego Yorkshire.

Szybkim krokiem przemierzała pokryte grubymi dywanami korytarze hotelu. Zajrzała do wyłożonego dębową boazerią holu, gdzie - niezależnie od pory roku - w ogromnym kamiennym, elżbietańskim kominku codziennie płonął ogień. Zerknęła na kelnerów w szkarłatnych kurtkach myśliwskich i bryczesach, gotowych na każde skinienie gości. Sprawdziła też bar w malachitowo - żółtych barwach i kiwnęła głową pięciu uwijającym się barmanom. Z zadowoleniem zauważyła, że jak zwykle, pełen był bogatych młodzieńców.

Potem zlustrowała bogato urządzonej jadalnię o lustrzanych ścianach. Co chwila zatrzymywała się, aby wymienić uprzejmości ze stałymi gośćmi. Z uśmiechem wychwytywała wymieniane szeptem uwagi, że to zapewne ta sławna Annie Aysgarth, wygląda wspaniale i bez wątpienia jest warta kilka milionów.

Po latach spędzonych w Aysgarth Arms natychmiast zauważyłaby dywanik przekreślony o kilka centymetrów, pełną popielniczkę lub gościa zbyt długo czekającego na kelnera. Kochała ten hotel, zbudowała go praktycznie własnymi rękoma. Znała tu każdy zakamarek, wiedziała, jak funkcjonuje wszystko, poczynając od kilometrów instalacji elektrycznej, a kończąc na skomplikowanym systemie centralnego ogrzewania. Dokładnie wymieniałaby, ile sztuk pościeli z irlandzkiego płótna znajduje się w tej chwili na każdym piętrze, ile funtów pierwszorzędnej chicagowskiej wołowiny zamówił w tym tygodniu szef kuchni, ilu kelnerów pracowało tego wieczoru i jacy goście wymeldują się lub też przyjadą następnego dnia.

Mówiła praczkom, ile krochmalu mają użyć do adamaszkowych obrusów, a pokojówkom pokazywała, jak porządnie wyczyścić wannę. Sama decydowała o kolorach ścian, materiałach i wykończeniu każdego z 20 apartamentów. Zawsze sprawdzała jadłospisy i zakup win, a znakomitą kawę przyrządzano według jej przepisu.

Niczego w hotelu Aysgarth Arms nie pozostawiano przypadkowi ani decyzji podwładnych. Annie fanatycznie dbała o czystość i porządek. Prowadziła hotel tak samo, jak dawniej w Yorkshire zajmowała się domem ojca.

Zadowolona, że wszystko jest jak należy, wróciła do marmurowego holu i małym złotym kluczykiem otworzyła drzwi prywatnej windy. Westchnęła z uśmiechem, gdy winda lekko sunęła w górę. Ciekawe, dlaczego tak wielu ludzi uważa, że luksus to grzech. Na najwyższym piętrze Annie wkroczyła do własnego królestwa. Rzuciwszy welwetowy płaszcz na krzesło jak zwykle podeszła prosto do okna.

Apartament był wysoki, okna sięgały 40 stóp. Ulice rozbrzmiewały gwarem, ale na górze panowała cisza. Przed Annie rozpościerała się magiczna panorama nocnego miasta, iskrząca się milionem świateł. Ten widok wciąż przyprawiał ją o dreszcz emocji. To cudownie mieć u stóp cały świat.

Annie chciała, żeby jej dom był zupełnie inny niż wszystko, co знаła dotychczas, toteż zatrudniła wziętą dekoratorkę wewnątrz, kobietę pewną siebie, bystrą, utalentowaną, ale chudą i brzydką. Annie także znała swoją wartość, miała talent, intuicję, ale była pulchna i ładniutka. Od razu przypadły sobie do gustu.

- Proszę na mnie spojrzeć - zażądała, przybierając dramatyczną pozę na środku wielkiego, pustego pokoju. - Widzi pani niewysoką, pulchną kobietę z angielskiej prowincji. Lecz tak naprawdę jestem wysoką blondynką z klasą, dziesięć lat młodszą. I dla takiej kobiety proszę zaprojektować to mieszkanie.

Dekoratorka z uśmiechem zapewniła, że doskonale wie, o co Annie chodzi, i stworzyła białosrebrny apartament z hollywoodzkich snów, pełen jedwabiu, satyny i kryształu. Podłogi z białego marmuru pokryto grubymi kremowymi dywanami. W oknach wisiały dziesiątki metrów marszczonej tafty. Filigranowe srebrne lichtarzyki odbijały się w kryształowych lustrach. Przepastne sofy pokryte białym brokatem stały obok małych, oszklonych stolików. Wielkie łóżce pod baldachimem z kremowej satyny wyglądało, co Annie lubiła powtarzać, jak przeniesione z buduaru kurtyzany.

Na lśniących białym lakierem komodach i kredensach zawsze stały wazony pełne róż o wysokich łodygach.

Ten apartament był dla Annie oazą luksusu, komfortu i świadectwem życiowego sukcesu. Dzieliły go setki mil od brązowych cerat i wypłowiałych tureckich chodników, które pamiętała z dzieciństwa. Jak mówili ludzie w Yorkshire, nikt nie przewidzi swego losu. Przypadek może wzniesć nas na szczyty powodzenia, a nazajutrz skazać na nędzną wegetację. Jednak w życiu Annie wszystko, co dobre, zaczęło się od Josha. Nigdy o tym nie zapomniała.

Ale dzisiaj nie myślała o przeszłości ani o rozświetlonej nocy za oknami pięknego apartamentu, lecz o Francie. Usiadła wygodnie na sofie z ostatnim numerem Kroniki San Francisco w ręku. Po raz siódmy tego dnia przeczytała notatkę w plotkarskiej kronice towarzyskiej. Tytuł brzmiał:

„ŚMIERĆ MANDARYNA LAI TSIN”

„...Mandaryn Lai Tsin, sławny i tajemniczy businessman, zmarł wczoraj w wieku około siedemdziesięciu lat. Mówiono, że urodził się w małej wiosce nad brzegiem rzeki Jangcy w Chinach. Nikt nie wie, jak dotarł do Stanów Zjednoczonych. Wiadomo tylko, że pojawił się w San Francisco pod koniec ubiegłego wieku i szybko zrobił majątek korzystając ze starego chińskiego systemu pożyczkowego - kredytów rotacyjnych.

Ale dopiero skandaliczny związek z Francescą Harrison, córką milionera z Nob Hill, Harmona Harrisona, założyciela jednego z naszych najpotężniejszych banków, umożliwił mu penetrację obszarów w tamtych czasach niedostępnych dla Chińczyków.

To właśnie Francescą Harrison reprezentowała interesy Lai Tsina zarówno w Stanach, jak i w Hongkongu, a wielu ludzi sądziło, że to ona inspirowała go w dorabianiu się fortuny.

Lai Tsin był hojny. Stworzył fundację finansującą szkoły dla chińskich dzieci, ufundował stypendia dla najlepszych college'ów i uniwersytetów w kraju, budował szpitale i sierocińce. Mówiono, że w ten sposób próbował zrekompensować sobie ubogie dzieciństwo i braki w wykształceniu. Jeżeli tak było, to nie osiągnął sukcesu, bo żaden z college'ów, które tak hojnie sponsorował, nie nadało mu honorowego tytułu i nigdy nie zasiadał w radzie nadzorczej żadnej ze swych szkół, sierocińców czy szpitali.

Mandaryn strzegł prywatności i o jego życiu - poza powszechnie znanym związkiem z konkubina - nic nie wiadomo. Ale teraz największą tajemnicą jest to, czy wiecznie młoda i wciąż piękna Francescą Harrison odziedziczy jego fortunę i ile ta fortuna jest warta.

„San Francisco czeka z zapartym tchem na ostatni epizod historii najbardziej znanego, tajemniczego i najbogatszego obywatela miasta”.

Annie zastanawiała się, czy Francie przeczytała już notatkę i czy plotki bardzo ją dotknęły. Nie uczestniczyła w pogrzebie mandaryna, chociaż znała go i kochała równie gorąco jak Francie. Wyczuła jednak, że Francie pragnie spełnić ostatnią wolę Lai Tsina w samotności. To było ich prywatne pożegnanie.

Zirytowana rzuciła Kronikę na podłogę, podniosła słuchawkę telefonu i poleciła szoferowi, aby mały, ciemnozielony packard czekał na nią przed wejściem do hotelu. Zarzuciła na ramiona welurowy płaszcz z futrzanym kołnierzem, wepchnęła gazetę do kieszeni i zjechała do holu. Na krótko zatrzymała się przy kierowniku zmiany.

- Czy państwo Wingate już wyjechali? - zapytała, naciągając rękawiczki.

- Tak, proszę pani. Około pół godziny temu.

Jednej rzeczy była pewna siadając za kierownicą: ani słowem nie wspomni Francie o tym, że Buck Wingate z żoną Marianną przyjechali do miasta i jedli obiad ze znienawidzonym przez Francie bratem - Harrym.

Ah Fong, chiński służący, który pracował u Francie ponad dwadzieścia lat, poinformował Annie, że pani usypia na górze Lysandrę.

- Powiedz, żeby nie spieszyła się. Poczekam. - Annie przeszła przez mały hol do saloniku. Nalała sobie duży kieliszek brandy, usiadła i rozejrzała się wokół z uznaniem. W domu były jeszcze trzy salony, biblioteka wypełniona ponad dwudziestoma tysiącami książek oraz gabinet mandaryna, skromny i surowy jak cela mnicha. Ale salonik Francie był kobiecy i przytulny. Na ścianach wisiały obrazy, zbierane przez nią na całym świecie, kolekcja cennej białej porcelany zapełniała serwantkę z drzewa tulipanowego, a niezliczone książki i pisma aż spadały z półek na krzesła i stoły. Sute, jedwabne zasłony barwy złota wisiały w oknach, chroniąc przed chłodną i mglistą nocą.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Francie.

- Lysandra nareszcie usnęła - powiedziała z westchnieniem. - Będzie za nim bardzo tęskniła.

- A my nie? - odparła ze smutkiem Annie. - Myślę, że setki ludzi myślą teraz o nim z żalem i wdzięcznością. Odszedł naprawdę wielki człowiek.

Rzuciła Francie Kronikę.

- Czytałaś? Sądzę, że to samo jest w całej prasie.

- Czytałam.

Annie z niepokojem popatrzyła na przyjaciółkę. Wyglądała na spokojną, ale jej piękna twarz była blada, a ręka drżała lekko, gdy starannie składała gazetę i kładła na stolik. Pomyślała, że Francie nadal wygląda tak pięknie jak podczas ich pierwszego spotkania.

Jej błękitne oczy pociemniały od smutku, ale zachowały intensywny szafirowy kolor niczym u młodej dziewczyny. Długie, jasne włosy, upięte po obu stronach kunsztownymi grzebykami, związała w kok. Biała wełniana sukienka podkreślała szczupłą, zgrabną figurę.

- Źle wyglądasz - Annie jak zwykle nie owijała niczego w bawełnę. - Powinnaś napić się brandy.

Francie wzruszyła tylko ramionami i opadła na miękkie poduszki sofy.

- Prosiłam go, żeby nie zostawiał mi pieniędzy - powiedziała. - Mam więcej, niż potrzeba, a poza tym jeszcze ten dom i ranczo. W testamencie były duże zapisy, rodzina Chen w Hongkongu otrzymała dziesięć milionów dolarów, ale większość przypadła Lysandrze. Osobisty majątek w wysokości trzystu milionów dolarów i udziały w spółkach warte co najmniej trzy razy tyle. - W zamyśleniu obracała w palcach ogromne perły naszyjnika. - Rezydencję nad zatoką Repulse wraz ze wszystkimi dziełami sztuki i bezcennymi antykami podarował miastu Hongkong jako muzeum sztuki, wyznaczając od razu dużą sumę na przyszłe zakupy. I, oczywiście, Fundacja Mandaryna uzyskała całkowitą samodzielność.

Annie patrzyła na nią w osłupieniu.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że miał taki majątek. To znaczy, wiedziałam, że jest bogaty, ale...

- Och, Annie - Francie zalała się łzami. - Najsmutniejsze jest to, że za te wszystkie pieniądze nie mógł kupić tego, czego naprawdę pragnął: wykształcenia i akceptacji. Nauki pobierał na ulicy, a dzięki wrodzonemu poczuciu piękna swobodnie poruszał się w świecie sztuki. Ale nie zdobył uznania. Siebie za to obwiniam. Gdyby nie ja, może chociaż Chińczycy zaaprobowałiby go.

- Niewykluczone, lecz w San Francisco nigdy nie uczyniono by tego. A o to mu chodziło. Właśnie ze względu na ciebie.

Francie wzięła z biurka rolkę pergaminu przewiązaną czerwoną taśmą. Annie robaczyła znak Lai Tsina - wielką złotą pieczęć.

- Sam napisał to po chińsku - powiedziała Francie. - Posłuchaj.

Mandaryn wykaligrafował każdą z liter tak, że przypominała miniaturowe dzieło sztuki.

„Zgodnie z moim życzeniem żaden z męskich potomków rodziny Lai Tsin nigdy nie stanie na czele firmy. W zamian otrzymają pieniądze, które umożliwią im samodzielny start i prowadzenie własnych interesów. Niech sami torują sobie drogę w życiu, jak przystało mężczyznom.

Życie przekonało mnie wiele razy, że kobiety są więcej warte od mężczyzn.

Dlatego postanowiłem, że kobiety pokierują losami rodziny Lai Tsin. Kobiety z naszej rodziny będą tak potężne jak chińskie cesarzowe, ale muszą być skromne i nie wolno im zhańbić nazwiska Lai Tsin. Gdyby tak się stało, zostaną wygnane bez prawa powrotu.

Postanawiam, że Lysandra Lai Tsin po ukończeniu 18 lat zostanie właścicielką i dyrektorem naczelnym korporacji Lai Tsin. Do tego czasu całkowitą kontrolę nad moimi firmami przekazuję Francesce Harrison”.

- To nie w porządku obarczać dziewczynkę tak wielką odpowiedzialnością! - żywo zareagowała Annie. - Lysandra jest jeszcze dzieckiem! Nie wiemy, czy wystarczy jej rozumu i siły, żeby kierować korporacją, nie mówiąc już o tym, czy będzie tego chciała. Wszystko znów będzie jak dawniej. Kobieta w świecie rządzonym przez mężczyzn. Ty chyba najlepiej wiesz, jak to ciężko.

Francie przymknęła oczy, odpędzając wspomnienia.

- Uwierz mi, Annie. Wcale nie pragnęłam, żeby Lysandra odziedziczyła majątek Lai Tsina. Zobaczysz, jak tylko dziennikarze dowiedzą się o testamencie, okrzykną ją najbogatszą dziewczynką na świecie. Zrobią z niej widowisko!

Chciałam, żeby miała normalne dzieciństwo, wyszła za męża, urodziła dzieci...

żeby była szczęśliwa... O tym przecież marzył mandaryn. Zaplanował całe życie Lysandry. Po ukończeniu szkoły pojedzie do Hongkongu. Zamieszka z rodziną tamtejszego dyrektora firmy i będzie uczyć się zarządzania interesami Lai Tsinów. Musi przygotować się do objęcia kierownictwa nad całością...

Usta Annie zacisnęły się w wąziutką linijkę.

- Nie pozwól jej na wyjazd do Hongkongu. A poza tym, kiedy powiesz jej prawdę?

Francie milczała. Podeszła do okna i rozsunęła jedwabne zasłony.

Ale nie dostrzegła migoczących w dole światel San Francisco. Przed oczyma przepłynęła twarz mandaryna, taka, jaką widziała w czasie ostatniej rozmowy.

Prosił, by jeszcze raz przyrzekła.

- Nawet ty nie znasz całej prawdy - powiedziała powoli. Annie wstała, wygładzając spódnice na okrągłych biodrach.

- Francie Harrison - odezwała się ze złością - przez te wszystkie lata byliśmy przyjaciółkami i nie mam przed tobą sekretów. A ty mi teraz mówisz, że cały czas coś ukrywałaś przede mną. A zresztą, nie zależy mi, chyba że to dotyczy Lysandry, mam chyba prawo...

Francie z trzaskiem rozwinęła cienki pergamin przed nosem przyjaciółki.

- Dowiedziałaś się wszystkiego o Lysandrze. Proszę, przeczytaj sama.

- Wiesz, że nie znam chińskiego... a poza tym, nie o to mi chodziło.

- W takim razie wszystko jasne. Mandaryn dobrze pokierował naszym życiem. Teraz zaplanował przyszłość Lysandry i moim obowiązkiem jest przypilnować, aby wypełniono jego wolę.

Annie założyła płaszcz i szczelnie owinęła szyję dużym, futrzanym kołnierzem.

- Nie chcę kłócić się z tobą, Francie Harrison, ale nie podobają mi się twoje zamiary. Lysandra zapewne będzie wiedziała, do kogo zwrócić się, gdy sprawy nie ułożą się pomyślnie. Ma jeszcze matkę chrzestną!

Podbiegła do drzwi i chwyciła za klamkę, lecz zatrzymała się nagle.

- Och, Francie - głos załamał się jej z żalu - przyszedłam tutaj, żeby cię pocieszyć, a robię wszystko, byś poczuła się jeszcze gorzej. Chyba już nigdy nie poskromię języka!

Francie uśmiechnęła się przez łzy i przytuliła się do przyjaciółki.

- Jesteś sobą, Annie. Nie zmieniaj się.

- Pamiętaj, że przeszłość już minęła, Francie. Liczy się przyszłość.

Francie potrząsnęła głową.

- Dla Chińczyków przeszłość jest ciągle częścią życia.

- Ale nie bardziej niż żal - szepnęła Annie, gdy szły do drzwi. Francie patrzyła, jak światła packarda znikają w mglistej nocy.

Dopiero dziewiąta, ale California Street już opustoszała. W górze ulicy latarnie oświetlały chodnik przed jej domem rodzinnym. Oczywiście, to nie był ten sam budynek, w którym wyrosła - tamten legł w gruzach w czasie wielkiego trzęsienia ziemi w 1906 roku - ale brat Francie, Harry Harrison, bardzo szybko odbudował rezydencję. „Żeby pokazać San Francisco i Ameryce, że nic, nawet wyrok boski nie zniszczy Harrisonów”. Tylko Francie jeden jedyny raz dokonała tego.

Ponownie spojrzała na zamglone światła miasta, myśląc o wszystkich szczęśliwych ludziach, którzy właśnie teraz wybierają się na obiad, dansing lub do teatru i samotność osaczyła ją niczym zimna, gęsta mgła. Szybko dorzuciła polano do ognia i skuliła się na sofie, owinięta miękkim kocem. Rozlegał się tylko trzask palących się drewek i tykanie zegara. Cały świat o niej zapomniał.

Tak właśnie czuła się jako dziecko, samotna w ogromnym pokoju w domu ojca na Nob Hill. Teraz również minuty ciągnęły się w nieskończoność.

Zerknęła na swój mały, złoty zegarek. Prezent sprzed laty od Bucka Wingate.

Jeszcze jeden człowiek, o którym nie powinna dzisiaj myśleć. Ale choć minęło już osiem lat od ich ostatniego spotkania, wspominała go prawie codziennie.

Na stoliku przy łóżku nadal stał portrecik dziecka, który Buck podarował jej kiedyś, przed świętami Bożego Narodzenia. Ciągle kochała Wingate'a i jednocześnie miała nadzieję, że już nigdy go nie zobaczy.

Czyż mandaryn nie przypomniał jej przed śmiercią, że zawsze powinna iść naprzód, bez oglądania się w przeszłość? Potrząsnęła głową - łatwo powiedzieć, lecz znacznie trudniej żyć według tej zasady.

Wstała i niespokojnym krokiem podeszła do okna.

W domu brata rozświetlone były wszystkie okna, a na ulicy stał sznur eleganckich samochodów. Harry wydawał kolejne ze swych sławnych przyjęć. Pomimo plotek krążących o jego kłopotach finansowych, nigdy nie oszczędzał, gdy w grę wchodziło pokazanie się światu. Jedzenie z pewnością przygotuje francuski kucharz, wina i szampany zostaną dostarczone z najlepszych piwnic, a bukiety z najdroższych szklarni ozdobią stoły. Kamerdyner Harry'ego, który służył kiedyś u angielskiego księcia i był chyba większym snobem niż jego pan, będzie anonsował nadjeżdżających gości.

Francie wiedziała, że wśród zaproszonych znajdą się znakomicie ubrane damy w koronkowych i satynowych sukniach od Main-bochera i klejnotach od Cartiera.

Mężczyźni w czarnych frakach zaprezentują się równie szykownie. A przy Harrym niewątpliwie pojawi się najnowsza obiecująca gwiazdka filmowa. Mimo dwóch rozwodów i fatalnej reputacji męskiego szowinisty ciągle starało się o jego względy wiele kobiet. Zawdzięczał to pozycji społecznej i milionom, o których nadal się mówiło.

Francie zasłoniła okna rozgoryczona. Znakomicie wybrał wieczór na przyjęcie.

Wyglądało na to, że zamierza w ten sposób uczcić śmierć Lai Tsina, który już nigdy nie przeszkodzi jego planom.

Rozdział 2

O pół do dwunastej Harry Harrison żegnał gości, stojąc na szczycie marmurowych schodów prowadzących do rezydencji. Jedyne Bucka z żoną Marianną odprowadził do samochodu. Wingate'owie byli starą rodziną kalifornijską, która od dziesiątków lat miała fortunę, pochodzącą z uprawy zboża, budowy linii kolejowych i banków.

Natomiast rodzina Marianny, Brattle'owie, należała do filadelfijskiej arystokracji. Pieniądze, dobre, stare pieniądze były tam już od tak dawna, że nikt nawet nie zastanawiał się, skąd pochodziły.

Ojcowie Bucka i Harry'ego studiowali razem w Princeton, a prawnicy z rodziny Wingate'ów od lat prowadzili wszelkie interesy Harrisonów. Chłopcy znali się od urodzenia, ale nigdy nie zaprzyjaźnili się.

Harry ucałował pachnący policzek Marianny, ona zaś odwzajemniła się leciutkim, chłodnym uśmiechem, który ani na chwilę nie rozjaśnił pięknych zielonych oczu.

Wyglądała tak, jakby dopiero rozpoczynała wieczór. Ani jeden niesforny włos nie wymykał się z nieskazitelnej fryzury, świeżo uszminekowane wargi lśniły intensywną czerwienią, a na jedwabnej granatowej sukni nie widniało najmniejsze zagniecenie.

Harry wiedział, że nie poślubiła Bucka dla jego męskiej urody i czaru. Wyszła za niego, ponieważ miał przed sobą perspektywę politycznej kariery; jej rodzina zawsze żyła polityką. Brattle'owie od pokoleń byli członkami Kongresu i piastowali wysokie stanowiska. Nikt jednak nie dotarł na szczyt, do Białego Domu. Toteż Marianna wiązała duże nadzieje z Buckiem. Przez ostatnie dwanaście lat był senatorem stanu Kalifornia i sprawował różne urzędowe funkcje pod rządami dwóch republikanów. Teraz mówiło się o nim jako o potencjalnym kandydacie na prezydenta. Wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Wykorzystała wszelkie wpływy rodzinne, rozsnuła pajęczą sieć sztuczek i forteli, aby tylko osiągnąć cel.

Wingate'owie mieli dwa domy: na K Street w Georgetown i na przedmieściach Sacramento, wielki apartament na Park Avenue w Nowym Jorku i imponującą posiadłość ziemską w rejonie łowieckim New Jersey, którą Marianna odziedziczyła po dziadku.

Marianna wychowywała dwoje udanych, ładnych dzieci, posiadała najlepsze stajnie w stanie Nowy Jork, garaże pełne drogich samochodów, całe akry ocienionej trawy, na której można urządzać podwieczorki i grać w golfa. Marianna Brattle-Wingate miała wszystko. Tylko jeden człowiek mógł przeszkodzić Buckowi w drodze do Białego Domu - Harry Harrison. Wiedziała o tym i serdecznie go nienawidziła.

Pożegnała się chłodno.

- Dobranoc, Harry. Nie mogę powiedzieć, że świetnie się bawiłam. Obawiam się, że filmowcy nie są zbyt interesujący w towarzystwie. - Spoglądając z ironią na platynową blondynkę, czekającą w holu, dodała kąśliwie: - Ale przypuszczam, że Gretchen ma inne zalety.

- Greta - poprawił ją, myśląc, że Marianna to wyjątkowa dziwka. Przyznał jednak, że jest sprytna. Z uporem pcha Bucka do przodu. W głębi - duszy żałował, że jemu nie trafiła się taka żona, tylko dwie nieudacznice, które w niczym mu nie pomogły.

- Dobranoc, Harry. - Buck z ulgą wsiadł do samochodu. Właściwie czemu, u diabła, spędzili tu dzisiejszy wieczór.

W natłoku codziennych zajęć nie był panem swego czasu. Życie towarzyskie organizowała Marianna, zawsze pod kątem jego kariery politycznej. W ich życiu istniała wyłącznie polityka. Zerknął na żonę, gdy zjeżdżali z krawężnika.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego przyjechaliśmy do Harry'ego? - zapytał ze złością. - Wiesz przecież, że nie znoszę go.

- Wyjaśniłam ci już wcześniej, kochanie, że on ciągle liczy się w San Francisco. Dzisiaj gościło tu kilku wpływowych ludzi z dużymi pieniędzmi.

- Nic mnie nie obchodzi Harry ani jego wpływowi znajomi - odparł chłodno. - Proszę cię, nie rób więcej takich rzeczy.

- Poza tym, skarbie, twoje biuro nadal zajmuje się jego interesami. Pomyślałam, że byłoby niezręcznie tak po prostu zignorować go - starała się załagodzić sprawę. - Ale jeśli aż tak nie znosisz Harry'ego, już nigdy nie skorzystamy z zaproszenia.

Kiedy mijali dom Franceski, Buck spojrzął w oświetlone okna. Marianna udała, że tego nie widzi.

Harry machał ręką na pożegnanie obserwując, jak ich samochód znika we mgle w pobliżu hotelu Aysgarth Arms. W dole tej ulicy jeszcze jaśniały światła w oknach dwóch klubów i w domu, należącym do jego siostry, Francie.

Przypomniał sobie pośmiertny artykuł o mandarynie Lai Tsin, zamieszczony w dzisiejszym numerze San Francisco i plotki o przypuszczalnej fortunie, odziedziczonej przez siostrę. Oczywiście, przy okazji dziennikarze wywlekli stary skandal dotyczący Francie i tego Chińczyka. Nazwisko Harrisonów znowu unurzano w błocie. Harry chętnie zamordowałby siostrę. Pomyślał z goryczą, że gdyby Lai Tsin pragnął go zniszczyć, wybrał najstosowniejszy moment. Wygrzebano dawne sensacje akurat w momencie, gdy pragnął zejść z oczu opinii publicznej, przynajmniej do czasu załatwienia interesów związanych z szybami naftowymi.

Wszedł powoli po schodach, zerkając przelotnie na Gretę, ładną młodą aktoreczkę wciąż czekającą w holu.

Uśmiechnęła się do niego, ale Harry nawet nie zatrzymał się.

- Poproś Huffkinsa, żeby wyprowadził samochód i zawiózł pannę Wolfe do hotelu - rzucił niedbale do lokaja. Greta popatrzyła na niego niezmiernie zdziwiona.

Spędzili razem namiętne trzy tygodnie i spodziewała się przynajmniej uprzejmego pożegnania. Ale Harry zamknął za sobą drzwi gabinetu i w tym momencie Greta Wolfe całkowicie i bezpowrotnie zniknęła z jego życia.

Opadł na skórzany fotel klubowy i oparł stopy o blat mahoniowego biurka.

Kipiał z gniewu na myśl o tej dziwce, Francie, która zszargała nazwisko Harrisonów, i o Mariannie, która była zimna i niedostępna, a dzisiaj dała mu do

zrozumienia, że nadal ma nad nim przewagę, pomimo lokajów w liberjach, wystawnego obiadu, drogich kwiatów i ich złożonych „stosunków”.

Harry był wysokim, przystojnym, barczystym mężczyzną. Nosił brodę, jak ojciec miał przenikliwe jasnoniebieskie oczy i nieco przerzedzoną ciemnoblonde czuprynę.

Miał też pewien wdzięk i na ogół kobiety rozpyływały się pod jego spojrzeniem.

Ale tego wieczoru Marianna skupiła na sobie uwagę zebranych, ignorując wspaniałe wina, nie tykając prawie przysmaków i słuchając z umiarkowanym zainteresowaniem opowieści Zeva Abramsa, najslynniejszego w Hollywood reżysera i właściciela wytwórni filmowej Magie Studios.

W pewnym momencie zwróciła na Harry'ego chłodne, zielone oczy i powiedziała:

- Postanowiliśmy z Buckiem ograniczyć życie towarzyskie. Wolimy skromne kolacje i kameralne przyjęcia. Wydaje mi się, że ludzie z naszą pozycją nie powinni afiszować się bogactwem, zwłaszcza że wszyscy pamiętają jeszcze straszny kryzys.

To świadczy o złym smaku. - I uśmiechnęła się, z tym pełnym wyższości grymasem.

Wiedziała, że wspaniała kolacja miała zrobić wrażenie zarówno na nich, jak i na gościach wpływowych w San Francisco, których Harry chciał zachęcić do zainwestowania w szyby naftowe. Dała mu do zrozumienia, że nie nabierze się.

Zdawała sobie sprawę, że Harry pragnie wykorzystać jej pozycję. Bez tego nie ma żadnej szansy na pozyskanie potencjalnych inwestorów. I, u licha, nie myliła się.

Nalał sobie brandy. Patrzył, jak bursztynowy płyn powoli napełnia bombiasty, kryształowy kieliszek.

Oparł głowę o chłodną skórę fotela. Wspomnił nagły krach giełdowy na początku wielkiego kryzysu, który z dnia na dzień pozbawił go połowy majątku, a pozostałą część pomniejszył jeszcze dziesięciokrotnie w kilka dni później. Potem kryzys pogłębił się i istnienie banku Harry'go cały czas wisiało na włosku. Och, nie był aż tak zrujnowany jak ci, którzy skakali z okien na Wall Street albo sprzedawali jabłka na chodniku, po dziesięć centów za funt, ale fortuna Harrisonów praktycznie zniknęła. Trochę pieniędzy jeszcze

napłynęło (parę lat temu szczęście uśmiechnęło się do niego na krótko), ale utopił je w różnych niefortunnych przedsięwzięciach. Tym razem postawił na szyby naftowe.

Ponad rok dzień i noc prowadził bezskutecznie wiercenia. Kończył się czas i pieniądze - potrzebował kredytów. Dlatego wydał to przyjęcie.

Wychylił kieliszek do dna. Przypomniał sobie historię dziadka, który cierpliwie gromadził sztabki złota w sejfie kalifornijskiego banku. Musiał przyznać, że stary handlarz miał rację. W niepewnych czasach złoto było jedyną bezpieczną inwestycją. Ale teraz potrzebował pieniędzy dla sfinansowania nowych wierceń na wybrzeżu Kalifornii. Obecność Bucka Wingate na kolacji miała uwiarygodnić jego pozycję i zachęcić obecnych businessmenów do inwestycji. Chciał im pokazać, że tak naprawdę nie potrzebuje tych pieniędzy, pragnie jedynie zaproponować starym przyjaciółom udział w stuprocentowo pewnym przedsięwzięciu. Ale Marianna nie odegrała odpowiednio swojej roli tego wieczora. Traktowała zebranych z wyniosłym lekceważeniem, dając do zrozumienia, że wraz z Buckiem znaleźli się w tym towarzystwie przez pomyłkę. To dziwka i Harry żałował tylko, że los poskąpił mu takiej żony.

Kolejny raz napełnił kieliszek. Potrzebował sojuszu, nie małżeństwa. Najwyższy czas, żeby znalazł ambitną, bogatą kobietę. Buck był najlepszym przykładem, co taka dama może uczynić dla kariery męża. Nic nie szkodzi, że jest zimna i nieprzystępna. Zawsze, jak Buck, zabawi się poza małżeńską sypialnią. Był pewien, że tego typu kobiety godzą się na taką sytuację i przyjmują ją z ulgą, jak zwolnienie z kłopotliwego obowiązku. Miały przecież tyle innych, ważnych zajęć - wychowywanie dzieci, kierowanie służbą, dobroczynne herbatki, wizyty u krawcowej, zebrania i obiady, na których zbierano fundusze na potrzeby partii politycznych. Kalendarz spotkań towarzyskich w Waszyngtonie był wypełniony po brzegi.

Ale ta dziwka sprawiła mu dzisiaj zimny prysznic, zamiast, jak miał prawo oczekiwać, patrzeć mu z wdzięcznością w oczy i namawiać wszystkich, aby zainwestowali w jego szyby naftowe.

Wysączył kieliszek do dna, myśląc o kobietach w swoim życiu. Korowodzie kochanek i znajomości na jedną noc, o dwóch nieudanych małżeństwach i o Francie. Boże, świetnie pamiętał ten dzień, w którym ojciec powiedział mu, że jego siostra jest szalona i nie zasługuje, by nosić nazwisko Harrisonów. W dniu pogrzebu matki po raz pierwszy uświadomił sobie, że dla ojca liczy się tylko on. Był synem i następcą, a Francie tylko nic nie znaczącą dziewczynką.

Rozdział 3

Francesca nie mogła zasnąć. Słyszała gwar przed domem Harry'ego, szum odjeżdżających samochodów i głosy gości. Później cisza zapanowała w całej okolicy. Wbrew woli myślami powędrowała w przeszłość.

Wspomniała dni po narodzinach Harry'ego. Był rok 1891. Miała trzy latka i w nocy obudził ją hałas. Wstała z łóżeczka w pokoju na trzecim piętrze i zeszła na paluszkach na dół, zatrzymując się na podeście schodów. Chciała zobaczyć, co niezwykłego się dzieje. Ogromny hol, wyłożony dębową boazerią, uwieńczony kopułą z witraży wspartą na marmurowych włoskich kolumnach był jasny jak za dnia.

Służący w liberiiach krążyli pospiesznie między kuchnią a jadalnią, przenosząc półmiski z kolejnymi daniami pod bacznym okiem kamerdynera Maitlanda.

Przyklejona do poręczy Francesca z zapartym tchem obserwowała ten nowy, nieznaną świat. Urywki rozmów i śmiech docierały do jej uszu. Usłyszała grzmiący głos ojca, który wydawał jakiś rozkaz Maitlandowi. Kamerdyner wyszedł do holu i przekazał polecenie jednemu ze służących. Ten wbiegł na schody mijając drżącą ze strachu, skuloną Francie.

Zbiegł kilka minut później z białym zawiniątkiem. Francesca wiedziała, że jest w nim jej mały braciszek, który spał zazwyczaj w kołysce przy łóżku matki. Widziała go tylko raz przez kilka minut, kiedy ojca nie było w domu. „To dlatego, że malutki bardzo boi się zarazków, kochanie” - wyjaśniła matka. Teraz służący niósł zawiniątko w kierunku kuchni i Francesca z przerażeniem zakryła dłonią usta. Czyżby zamierzali włożyć go do piecyka i ugotować na kolację?

Po chwili w holu pojawił się Maitland z ogromnym srebrnym półmiskiem, przykrytym kopulastą pokrywą.

Strach dodał skrzydeł dziewczynce. Zbiegła po pokrytych grubym dywanem schodach, potykając się o mosiężny pręt. Omal nie uderzyła noskiem o białą-czarną szachownicę marmurowej posadzki. Bosymi stopkami przemknęła przez zimną podłogę i stanęła w lekko uchylonych drzwiach jadalni.

Długi stół lśnił w blasku świec, srebra i kryształów. Światło załamywało się w rubinowej czerwieni wina w karafkach, a powietrze przecinały błękitne smugi wonnego dymu z cygar. Ojciec, Harmon Harrison, siedział w szczycie stołu. Był wysoki, brodaty i potężnie zbudowany. Z całej postaci biły siła i pewność siebie. Utkwił wzrok w Maitlandzie, niosącym srebrny półmisek. Zastukał w kieliszek i dwudziestu trzech zgromadzonych wokół stołu mężczyzn posłusznie umilkło.

- Panowie! - zagrzmiął. - Zaprosiłem was tu dzisiaj nie tylko po to, by cieszyć się towarzystwem i wspólnie obmyślić plan nadania naszemu miastu rangi, na jaką zasługuje. Nie, panowie! Podzieliłem się z wami wszystkim, co dom Harrisonów ma do zaoferowania, ale jeszcze chciałbym wam pokazać coś specjalnego. Coś zupełnie wyjątkowego. - Wstał i szerokim gestem zdjął srebrną przykrywą z półmiska.

- Panowie! - oznajmił dumnie. - Mam zaszczyt przedstawić wam mojego syna i dziedzica, Harmona Lloyd Harrisona, juniora.

Noworodek, okryty tylko bawełnianą pieluszką, spał słodko na posłaniu z soczystych zielonych paproci, nie słysząc śmiechu i głośnych powinszowań.

Chwytając mocniej półmisek, Harmon Harrison podniósł go do góry.

- Panowie, zdrowie mojego syna! - zawołał. Toast spełniono najlepszym porto w uroczystej ciszy.

Francie stała nie zauważona w drzwiach, a półmisek z dziedzicem fortuny Harrisonów krążył wokół stołu, przechodząc z rąk do rąk. Dziecko było spokojne i ciche jak jej lalka. Nagle dziewczynka z krzykiem podbiegła do ojca.

- Powstrzymaj ich, tato, proszę cię, powstrzymaj! - rozpacziała, obejmując go rączkami za nogi. - Nie pozwól im go zjeść!

- Francesca! - Słyszając gniewny głos ojca zamilkła. Harmon gestem wskazał służącemu, żeby zabrał dziewczynkę, i mężczyzna posłusznie oderwał kurczowo zaciśnięte rączki od szarych, nieskazitelnie wyprasowanych spodni ojca.

- Porozmawiam z tobą rano - powiedział spokojnie, lecz ton głosu przyprawił dziewczynkę o lodowaty dreszcz. Wtedy pierwszy raz zdała sobie sprawę, że ojciec jej nie kocha.

Nienawiść nie jest właściwym słowem na określenie uczuć Harmona Harrisona do córki. Dla niego Francesca po prostu nie istniała. Nad wszystko inne pragnął syna i całą energię, ambicję oraz siłę życiową skierował na jego wychowanie i przekazanie mu dwóch banków oraz wielu innych przedsięwzięć, które pozwalały na luksusowy tryb życia i ciągle pomnażanie fortuny.

Harmon lubił powtarzać, że jego ojciec wywodził się ze starej dobrej jankeskiej rodziny z Filadelfii, a przodkowie matki przybyli do Ameryki na pokładzie statku Mayflower.

Nic nie było odleglejsze od prawdy. Jego ojciec, Lloyd Harrison, był wprawdzie Jankesem, ale zajmował się handlem obwoźnym i całe życie szukał okazji do zarobienia, legalnie lub nie, łatwych pieniędzy, nie stroniąc przy tym nigdy od towarzystwa kobiet, które pociągała jego smagła, cygańska uroda i wdzięk zabijaki.

Lloyd przybył do San Francisco, miasta namiotów i szałasów, mając w kieszeni dwadzieścia tysięcy dolarów, które zarobił na sprzedaży broni i amunicji osadnikom na Środkowym Zachodzie. Szybko zademonstrował swoje talenty na złotonośnych terenach Kalifornii, gdzie handlował dosłownie wszystkim, poczynając od kilofów, łopat i płótna namiotowego, poprzez świece, herbatę, alkohol i Biblię, a kończąc na mosiężnych łóżkach dla miejscowych domów publicznych. Niekiedy płacono mu gotówką, a czasem po prostu złotem, które wówczas jeszcze nie miało wysokiej ceny. Ale to właśnie złoto uczyniło Lloyda bogatym człowiekiem. Nigdy nie był cierpliwym, oszczędnym ciułaczem. Kiedy złoto, którym mu zapłacono, osiągało nagle wartość, natychmiast sprzedawał swój udział. Kupował w San Francisco tanie, piaszczyste działki, które po roku warte były fortunę. Chociaż sam nigdy nie schylił karku nad kilofem w kopalni złota, wszystko, czego się tknął, w ciągu roku zamieniało się w osiemnastokaratowe sztabki czystego złota, starannie ulokowane w sejfie Banku Kalifornijskiego.

Po dwóch latach był milionerem, po pięciu multimilionerem, ale nadal czuł się lepiej w wielkich obozowiskach w pobliżu kopalni złota niż w miejskiej atmosferze gwałtownie rozwijającego się San Francisco.

Pewnego dnia wszedł w posiadanie ładunku strojnych sukien i kapeluszy z piórami, prosto z Paryża. W San Francisco brakowało kobiet, zabrał więc towar do jedynego miejsca, w którym mógł znaleźć klientki i pieniądze - do burdelu w Virginia City, miasteczka rozkwitającego błyskawicznie wokół kopalni srebra.

Sprzedził pół tuzina modnych sukienek i kilka sztuk delikatnej, jedwabnej bielizny Bessie Maloney, właścicielce domu o wdzięcznej nazwie Kotki Maloney.

Bessie była miłą, ciemnowłosą kobietą o wydatnych kształtach. Prowadziła porządny interes i pozwoliła Lloydowi dobrze zarobić na konfekcji. Oboje zadowolili transakcją, czemu dali wyraz tej samej nocy w zacisznej sypialni Bessy.

Nie miało to wtedy dla nich większego znaczenia. Tylko kilka miesięcy później, gdy Lloyd ponownie zawitał do Virginia City, Bessie powiedziała mu, że jest w ciąży.

Miała 34 lata, nigdy nie urodziła dziecka i pragnęła go właśnie teraz. Lloyd wzruszył ramionami, przesunął po kontuarze baru kilka tysięcy dolarów i zdawkowo obiecał, że będzie ją odwiedzał.

Potem zupełnie zapomniał o całej sprawie.

Kiedy powrócił do Virginia City po roku, powiedziano mu, że Bessie umarła w położu, a chłopcem opiekują się jej podopieczne. Popatrzył na niemowlę, śpiące w moźdżesowym koszyku na kontuarze mahoniowego baru, w obłokach błękitnego dymu z cygar i akompaniamencie kwiecistego języka klientów burdelu.

Z koszykiem w rękę podszedł do drzwi i powiedział pewnym głosem:

- To mój syn. Zabieram go do domu.

Ale najpierw musiał wybudować dom. Starannie wybrał jedną ze swych działek na szczycie wzgórza i postawił tam pierwszą ze wspaniałych rezydencji, z których w przyszłości zasłynęła okolica. Wzgórze nazwano później Nob, ponieważ mieszkańcy byli bogaci niczym wschodni nababowie i mieli największe wpływy w San Francisco.

Lloyd wydał ponad milion dolarów na zbudowanie tego pałacu dla syna. W tym czasie wynajął luksusowy apartament w hotelu Oriental, gdzie zostawił małego pod opieką trzech pielęgniarek, a sam powrócił do interesów w okolicach kopalni srebra.

Rezydencja zajęła całą ulicę. Było tam sześćdziesiąt pokoi, w tym salon z malowaną boazerią, sprowadzoną z francuskiego zamku, sala balowa z lustrami na wzór wersalskich, łazienki i korytarze wyłożone włoskim marmurem. Stajnie na tyłach domu wykończono równie luksusowo: przegrody wykonano z różanego drzewa i ozdobiono srebrem, położono mozaikowe podłogi, brukselskie chodniki i zawieszono eleganckie żyrandole. Całe San Francisco mówiło o rezydencji Lloyda Harrisona i o jego rozrzutnym trybie życia.

Harmon, syn Lloyda, wychowywany przez niańki i guwernantki, już w wieku siedmiu lat rządził domem jak tyran, a jego słowo było prawem. Ojciec chichotał z zadowolenia, patrząc, jak chłopiec wydaje rozkazy służącym.

- Bardzo dobrze, synku - mówił. - Pokaż im, kto jest tutaj panem.

Kiedy chłopiec ukończył 10 lat, wysłał go do dobrej szkoły z internatem, gdzie miał nauczyć się manier i reguł zachowania w męskim towarzystwie.

- Zbyt dużo czasu spędziłeś wśród sentymentalnych bab - oznajmił synowi. Harmon był przeciętnie inteligentny, wysoki, jasnowłosy, przystojny i sypał pieniędzmi.

Dzięki temu szybko zgromadził wokół siebie grupę pochlebców. Bardzo podobała mu się szkoła i nowe, męskie otoczenie. Jako osiemnastolatek rozpoczął studia w Princeton. Wrócił do domu po czterech latach z dyplomem i bardzo wysokim mniemaniem o sobie. Z dnia na dzień stał się członkiem kalifornijskiej arystokracji.

Tym większy przeżył szok w dniu, kiedy Lloyd, prawdopodobnie na dużym rauszu, powiedział mu prawdę o matce i jej domu w Virginia City. Harmon załamał się.

Historia Bessie na zawsze utkwiała mu w sercu, raniąc dumę jak bolesna zadra.

Nienawiść i pogardę dla matki przeniósł na wszystkie kobiety.

Jak na tak przystojnego młodego człowieka miał niewiele miłostek. Wolał sport i męskie towarzystwo, kobiety zaś traktował jak istoty poślednie, służące wyłącznie do zaspokojenia zachcianek i niewarte pieniędzy, które musiał na nie wydawać.

Lloyd zmarł, gdy Harmon miał dwadzieścia dwa lata, i zostawił mu majątek oceniany na ponad osiemdziesiąt pięć milionów dolarów. Syn pochował ojca z ogromną pompą i wyprawił stypę, na którą zaprosił wszystkich notabli z San Francisco. Większość z nich zrobiła pieniądze w taki sam sposób jak Lloyd. Po jego śmierci największą ambicją Harmona stało się, aby wszyscy zapomnieli o nie najlepszej reputacji ojca i niechlubnych okolicznościach jego własnych narodzin.

Udało mu się to znakomicie. Równie energicznie rzucił się w wir interesów i w ciągu dziesięciu lat potroił majątek. Stał się też jednym z towarzyskich filarów San Francisco. O jego życiu osobistym i upodobaniach seksualnych nikt nic nie wiedział. Harmon świecił przykładem jako wzór manier i nienagannego prowadzenia się.

W wieku 32 lat był nadal kawalerem, ale pragnął syna, któremu przekazałby majątek i pozycję społeczną, zaczął więc szukać odpowiedniej kandydatki na żonę.

W czasie przyjęcia w jednej z sąsiednich rezydencji na Nob Hill poznał Dolores de Soto. W tańcu mocno obejmował jej szczupłą talię, patrząc na piękne ciemne włosy i głębokie szafirowe oczy. Jednak jej uroda wywarła na nim znacznie mniejsze wrażenie niż pochodzenie. Rodzina de Soto wywodziła się z hiszpańskiej arystokracji i była też znana z tego, że rodziło się w niej wielu synów. A Harmon, potomek wędrownego handlarza i prostytutki, pragnął arystokratycznych koneksji i dziedzica fortuny. Wiedział, że de Sotowie byli kiedyś bogaci - posiadali tysiące akrów ziemi z nadań królewskich, ale przez całe pokolenia szczęście w interesach im nie sprzyjało i pozostało im tylko małe ranczo w dolinie Sonoma. Ale ich drzewo genealogiczne prowadziło do królowej hiszpańskiej, Izabeli.

Harmon poprosił o rozmowę ojca Dolores, porozumieli się i podpisali kontrakt małżeński. De Sotowie opuścili ranczo i planowali powrót do Meksyku. Już po paru tygodniach Dolores szła wzdłuż nawy katedry Marii Panny przed trzema setkami starannie dobranych gości jako świeżo poślubiona małżonka Harmona Harrisona. W tej chwili jej ojciec ponownie stał się bogatym człowiekiem, a Dolores została własnością męża. Miała rodzić synów i towarzyszyć w spotkaniach towarzyskich, które wymagały obecności żony.

Wiedziała, dlaczego Harmon ją poślubił, i odetchnęła z ulgą, gdy zorientowała się, że jest w ciąży. Harmon sprowadził najlepszego lekarza w San Francisco i krążył wokół młodej żony niczym jastrzęb pilnujący gniazda; lecz Dolores chudła i bladła, a jej czarne włosy straciły połysk. W drobnej twarzyczce lśniły ogromne błękitne lusterka oczu. Harmon uznał, że wzgórza i mgły San Francisco nie służą zdrowiu brzemiennej żony i wysłał ją na stare ranczo rodziny de Soto w dolinie Sonoma. Sprowadził nawet specjalną krowę, dającą pyszne mleko, i złożył zamówienie u najdroższego rzeźnika w San

Francisco. Ten codziennie przygotowywał porcje pierwszorzędnego mięsa, obłożone lodem, i wysyłał je na ranczo.

Te wszystkie zabiegi nie sprawiały Dolores przyjemności. Miała dopiero dziewiętnaście lat, a czuła się jak rasowa jałówka, tuczona przed odesłaniem do rzeźni. Była dobrze wychowaną, delikatną i nieśmiałą dziewczyną. Przerazały ją gniew i oziębłość męża. We wszystkim miała spełniać jego oczekiwania: gładkie czarne włosy spinała w elegancki koczek, nosiła skromne, ale drogie suknie, z łagodnym uśmiechem witała gości i stała u jego boku w czasie oficjalnych uroczystości. Ale na co dzień nie opuszczała swoich pokoi i starała się schodzić Harmonowi z drogi. Była pewna, że bardziej dba o psy, Wielkiego Dane'a, Kinga, bardziej, niż o nią.

Mąż sprowadził ją z powrotem do San Francisco, gdy była w siódmym miesiącu ciąży. Obawiał się, że dziecko może urodzić się wcześniej. Dolores, pulchna i wypoczęta, zamieszkała w apartamentach na parterze, aby nie trudzić się wchodzeniem po schodach. Do południa musiała leżeć w łóżku i codziennie o trzeciej zabierano ją na przejażdżkę powozem. Umierała z nudów i ze strachu, że nie urodzi syna.

Tęskniła za przyjaciółką, której zwierzyłaby się ze swoich trosk. Matka nie żyła, a siostr nigdy nie miała. Ojciec i bracia, po otrzymaniu od Harmona pieniędzy, kupili wielki majątek ziemski nad jeziorem Chapala w Jalisco w Meksyku. Wpadła w depresję, nie chciała dziecka. Wiedziała, że Harmon odbierze jej syna, a gdy urodzi dziewczynkę - znienawidzi ją.

Wreszcie pewnego parnego, wrześnieowego dnia rozpoczął się poród. Harmona wezwano z klubu, gdzie jadał obiady znacznie częściej niż w domu. Głosem drżącym z podniecenia obiecał Dolores, że wszystko będzie w porządku. Sprowadził trzech najlepszych lekarzy. Już po wszystkim kupi jej wspaniały jacht, a gdy poczuje się lepiej, dziecko zaś będzie można zostawić pod opieką nianie, pojedą do Europy. Obiecał jej suknie i futra od Wortha w Paryżu, diamentową tiarę od jubilerów królowej w Londynie, pałac w Wenecji, wszystko, co zechce. Ale jednocześnie patrzył na nią twardo i bezwzględnie. - Kiedy będę miał syna - dodał z uśmiechem. Potem pogłaskał dłoń żony i zostawił ją pod opieką doświadczonych lekarzy.

Poród trwał 36 nieskończenie długich godzin. Wreszcie dziecko urodziło się, a doktorzy popatrzyli na siebie i poważnie pokiwali głowami. Zdecydowano, że najstarszy z nich przekaże wiadomość mężowi.

- Obawiam się, że to dziewczynka, sir - powiedział siwowłosy doktor Benson, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w swojej karierze przeprosza za narodziny dziecka.

Harmon milczał. Podeszedł do okna i w ciszy przyglądał się rezydencji Marka Hopkinsa. Po chwili odezwał się:

- Kiedy...?

Przypominając sobie rozmowę o wycieczce do Europy, doktor odpowiedział:

- Kiedy będzie mogła podróżować? Cóż, poród był ciężki. Myślę, że nie prędzej niż za cztery, pięć miesięcy.

- Nie o to chodzi, głupcze - warknął Harmon, odwracając się od okna. Zbliżył się i pochylił potężną sylwetkę nad lekarzem niczym sęp nad zdobyczą. - Chcę wiedzieć, kiedy może urodzić następne dziecko.

Doktor Benson wytrzymał jego spojrzenie.

- Panie Harrison - powiedział lodowatym tonem. - Przed chwilą przyszła na świat pańska córka. Co prawda nie raczył pan spytać o żonę, która cierpi z wycieńczenia. Oboje jesteście młodzi i bez wątpienia doczekacie się syna. Na razie jednak nie zaszkodziłoby, gdyby zachował się pan stosownie do okoliczności.

Harmon wzruszył ramionami.

- Przepraszam, doktorze. Syn wiele dla mnie znaczy.

- Mam nadzieję - odparł doktor - że równie dużo znaczy dla pana córka.

Harmon nie przyszedł zobaczyć dziecka. Dolores chciała umrzeć. Straciła pokarm i musiano szybko sprowadzić mamkę. Ilekroć przynoszono jej dziecko, odwracała głowę do ściany: było dla niej żywym symbolem porażki.

Trzy dni później Harmon zastukał do sypialni żony. Nie przyniósł jej prezentu ani nawet kwiatów. Podeszedł do łóżka i popatrzył na nią chłodnym wzrokiem.

- Jesteś blada - zauważył. - Myślę, że kiedy wyzdrowiejesz, powinnaś wrócić na ranczo. Tam nabierzesz sił.

Dolores nerwowo skubała palcami brzeg prześcieradła. W milczeniu pokiwała głową.

- W naszych rodzinach - ciągnął Harmon - zawsze rodzili się synowie. - Następny będzie na pewno chłopiec.

- Czy chciałbyś ją zobaczyć? - zapytała nieśmiało. Harmon rzucił okiem na różowe zawiniątko, spoczywające w ramionach pielęgniarki.

- Pragnę ją nazwać Francesca - powiedziała Dolores. - Tak jak moja matka. Chyba że wolałbyś imię swojej matki - dodała pospiesznie.

- Francesca to odpowiednie imię - odparł, wracając do drzwi. - Ale chrzciny wyprawimy ciche.

Dolores skinęła głową. Wiedziała, że w związku z narodzinami córki nie będzie żadnych wielkich uroczystości. Jej przyszłość jako żony zależy wyłącznie od tego, czy urodzi mu wymarzonego syna. A Harmon nie lubił czekać.

Wysłał ją i córeczkę na ranczo, a sam zasięgnął porady kolejnego lekarza w sprawie wznowienia stosunków małżeńskich. Biorąc pod uwagę delikatne zdrowie Dolores i nieprzeparte pragnienie Harmona, aby mieć syna, doktor zalecił mu sześciomiesięczną wstrzemięźliwość. Ani razu nie odwiedził żony i córki, ale dokładnie w dniu, w którym minęło sześć miesięcy, posłał po nie powóz.

Dolores z żalem wyglądała z powozu. Prosty, drewniany dom, otoczony wzgórzami i porośnięte trawą podwórze w cieniu strzelistych topoli były dla niej prawdziwym schronieniem. Brakowało tu luksusów rezydencji na Nob Hill, ale był spokój.

Tutaj uwolniła się od nieustannego lęku przed mężem i cały czas poświęcała córeczce.

Mała Francesca wspaniale rozwijała się w wiejskim otoczeniu. Była już ośmiomiesięcznym, pulchnym bobasem - po ojcu odziedziczyła jasne włosy, a po matce szafirowe oczy, w których skrzyły się inteligenta i zadowolenie z życia.

Dolores lękała się powrotu do ogromnego domu. Poza tym doskonale wiedziała, dlaczego Harmon wzywa ją do San Francisco.

Gdy tylko przybyły na miejsce, małą ulokowano w dzieciennym pokoju na trzecim piętrze, z dala od sypialni rodziców. Dolores zajęła miejsce u boku męża, towarzysząc mu na przyjęciach - i w małżeńskiej sypialni.

Pokój dziecienny przygotowany dla chłopca, toteż wyglądał imponująco. Błękitny dywan na podłodze, wykrochmalone białe firanki, śliczna kołyska nadawały mu jasny, pogodny wygląd. Codziennie pielęgniarz spacerowała z Francie po okolicznych wzgórzach, wożąc małą w wózku sprowadzonym z Londynu.

Dolores wiedziała, że Harmon jej nie kocha. Traktował ją uprzejmie, choć z dystansem. Ale nie czuła się samotna, mając przy sobie córeczkę. Po sześciu miesiącach usilnych starań męża Dolores nie zaszła w ciążę. Czuła, że Harmon traci cierpliwość. Po roku zabrał ją do specjalisty w Nowym Jorku, który stwierdził ogólne wyczerpanie.

- Niech pan zapomni na jakiś czas o dzieciach - powiedział Harrisonowi. - Natura sama upomni się o swoje prawa. Trzeba okazać żonie więcej uczucia, zainteresowania, musi się odprężyć...

Przemyślał te słowa, zatelegrafował do swoich biur w San Francisco i oznajmił, że na jakiś czas wyjeżdża. Zamówił apartament dla nowożeńców na statku Ameryka i oświadczył Dolores, że wyjeżdżają do Europy.

Był pewien, że ta romantyczna podróż wywrze na nią zbawienny wpływ i wreszcie doczeka się upragnionego syna. Jednak po ośmiu miesiącach, gdy przepłynęli już Atlantycką Ocean, zwiedzili Paryż, Londyn, Rzym i Wenecję, przyznał się do porażki.

Dolores nadal nie była w ciąży, a interesy wzywały go do San Francisco.

W czasie podróży powrotnej do Nowego Jorku wydarzył się cud. Dolores wiedziała od razu, wyczuła z właściwą kobietom intuicją, ale Harmonowi powiedziała dopiero kilka tygodni później przy śniadaniu.

- Na pewno? - zapytał z niedowierzaniem. Twarz poróżowiała mu z podniecenia i radości.

- Na pewno - Dolores z poważną miną pokiwała głową. - Doktor Benson potwierdził moje przypuszczenia.

- Dobrze się czujesz?

Westchnęła, napotykać niespokojne spojrzenie bladoniebieskich oczu.

- Wszystko jest w porządku, Harmon. Modłę się tylko, aby tym razem urodził się twój wymarzony syn.

- Nie obawiaj się - odparł przekonany, że los nie ośmieli się drugi raz splatać mu figła.

Francie i Dolores pojechały na ranczo, gdzie spędziły kilka miesięcy w błogim spokoju i samotności. Ale czas upływał szybko. Dolores, okrągła jak pączek w maśle, wróciła do swoich apartamentów na parterze rezydencji, a córeczkę odesłano do dzieciennego pokoju na trzecim piętrze.

Trzyletnia, ładna jak laleczka Francie, była bardzo bystra. Na ranczo Dolores nauczyła ją alfabetu i dziewczynka czytała już pojedyncze słowa w książeczkach dla dzieci. Umiała też liczyć do dziesięciu i sznurować buciki, chociaż nie zawsze wkładała je na właściwe nóżki. Na małej buzi w kształcie serduszka lśniły szafirowe oczy. Opiekunka Klara codziennie rano kręciła jej jasnoblond włosy w loki, opadające na ramionka. Ale ojciec widywał córkę tylko o szóstej wieczorem, gdy dziewczynkę przyprawiano do salonu, aby powiedziała rodzicom dobranoc.

Była wtedy świeżo po kąpieli, jasne loki lśniły, a na wykroch-malanej bawełnianej sukieneczce jaśniał koronkowy kołnierzyk i mankieciki. Dolores przytulała córeczkę do siebie i całowała ją, a potem mała podchodziła do ojca siedzącego w fotelu.

- Dobranoc, papo - mówiła cienkim głosikiem, dygając nieporadnie.

- Dobranoc, Francesca - odpowiadał, rzucając krótkie spojrzenie znad wieczornego wydania San Francisco Chronicle. Potem niania brała dziewczynkę za rękę i wychodziła z ogromnego, bogato urządzonego salonu do zacisza dzieciennego pokoju.

Rozdział 4

Życie Francie zmieniło się zupełnie w dniu narodzin braciszka. Ojciec zarządził, żeby natychmiast przeniesiono ją do pokoiku na tyłach czwartego piętra, tuż obok schodów dla służby. W tym czasie pokój dziecienny odnowiono, zmieniono dywan i firanki, a pośrodku stanęła wspaniała nowa kołyska z czystego srebra.

Francie zobaczyła brata, gdy zniesiono go do salonu na chrzest. Okrągłymi ze zdziwienia oczami patrzyła na całe metry kremowej koronki, udrapowanej na poręczach kołyski i uwieńczonej błękitną wstążeczką, na małą różową twarzyczkę wykrzywioną płaczem, ledwie widoczną pośród tych wspaniałości.

Tak się złożyło, że Francie nigdy już nie wróciła do dzieciennego pokoju, w którym niepodzielnie panował Harmon Harrison junior. Ojciec nazwał go Harry.

Kilka nianiek i pielęgniarek czuwało nad każdym jego kichnięciem, Francie zaś prawie cały czas przebywała w małym, ciemnym pokoiku na czwartym piętrze.

Ale to jej nie przeszkadzało, bo z okien rozciągał się widok na stajnie, więc mogła patrzeć, jak czyści się konie i zaprzęga do powozów. Czasami udało jej się podsłuchać plotki służących, którzy rozwieszali bieliznę albo ukradkiem palili papierosy.

Z Pewnego dnia Klara, opiekunka Francie, zastała dziewczynkę do połowy wychyloną z okna. Zamarła z przerażenia, po czym szybko udała się z interwencją do pana domu.

- Muszę zaprotestować przeciwko trzymaniu Francie w tym małym pokoiku - powiedziała stanowczo, przezwyciężając lęk przed groźnym pracodawcą.

- A to dlaczego? - zapytał Harrison, rzucając obojętne spojrzenie zza biurka.

- Przede wszystkim jest zbyt ciasny, a dzisiaj pana córka omal nie wypadła przez okno. To pomieszczenie dla służby - zaakcentowała ostatnie słowo. W domu Harrisonów opiekunka do dzieci miała wyższy status niż służące, więc w głosie Klary wyczuwało się dezaprobatę.

- O tym ja zdecyduję - odparł lodowato. - Maitland wypłaci pani pensję do końca miesiąca. Jest pani zwolniona.

- Słucham? - patrzyła w osłupieniu. - Ale ja... nie mogę odejść. Kto zajmie się Francie?

- Pokojówki doskonale poradzą sobie z trzyletnim dzieckiem. Zauważyłem, że Francie pod pani opieką zrobiła się zbyt zuchwała. Proszę cicho zamknąć drzwi za sobą.

Z okna biblioteki Francie machała rączką na pożegnanie opiekunce. Klara schodziła ze wzgórza zalana łzami, ściskając w ręku wiklinową walizkę. A nazajutrz robotnik zainstalował w oknie żelazne kraty. - To dla bezpieczeństwa Franceski - stwierdził ojciec.

Dolores długo nie wracała do zdrowia po urodzeniu syna i przez rok właściwie nie opuszczała pokoju. Nie wiedziała, co dzieje się w domu. Podczas nieobecności ojca Francie kręciła się w pobliżu sypialni matki, obserwując krążących bez przerwy lekarzy i pielęgniarki. A kiedy matka była sama, wślizgiwała się do pokoju i biegła do łóżka. Zazwyczaj Dolores miała zamknięte oczy i leżała nieruchomo jak szmaciana lalka Francie. Czasami jednak unosiła głowę z haftowanych poduszek i uśmiechała się do córeczki.

- Jak się masz, kochanie? - pytała, burząc lekko jej jasne włosy. Teraz zupełnie proste, gdyż służące były zbyt zajęte, zresztą kręcenie loków na główce Francie nie należało do ich obowiązków.

W pokoju matki panował szczególny zapach kwiatów, czerwonego lekarstwa i ulubionych perfum o woni konwalii. Mała czuła się bezpiecznie, obejmując matkę otuloną kremowym jedwabnym szalem.

- Już lepiej ci, mamó? - pytała niespokojnie.

- Oczywiście, kochanie. Niedługo wstanę - odpowiadała Dolores z uśmiechem, choć oczy miała smutne.

- Mamusiu, co to jest gruźlica? - odezwała się nagle Francie.

- Gdzie słyszałaś to słowo? - głos Dolores stał się ostry i Francie skuliła się nerwowo.

- Doktorzy tak mówili. Czy to brzydki wyraz?

- Nie, to tylko nazwa choroby.

- Czy ty chorujesz na nią, mamó?

- Cóż... chyba tak, skarbie. - Dolores uśmiechnęła się znowu, żeby cała sprawa nie brzmiała zbyt poważnie. - Ale to nic strasznego, takie sobie ostre przeziębienie. Wiesz przecież, jak wtedy człowiek źle i słabo czuje się.

- Och, to dobrze - Francie odetchnęła z ulgą. - To znaczy, że wkrótce wyzdrowiejesz i pojedziemy na ranczo.

- Naturalnie, kotku.

- Kiedy? Powiedz, kiedy? - piszczała, podskakując na łóżku.

- No, któregoś dnia - odparła Dolores. Tak zawsze mówią dorośli do dzieci, gdy nie są pewni, czy kiedykolwiek dotrzymają obietnicy...

Minęły ponad dwa lata, nim Francie pojechała na ranczo. Matka była już umierająca.

Lekarze nigdy jej tego nie powiedzieli, ale Dolores odczytała prawdę z ich spojrzeń. Słabła z miesiąca na miesiąc. Prawie każdej nocy, gdy złana potem, walcząc z tłumiącym oddech ciężarem, wspominała miesiące spędzone na ranczo z malutką Francie. To był najszcześniejszy okres w jej życiu.

Pewnego popołudnia odwiedził ją Harmon. W ostatnich latach przytył i teraz jego wysoka postać, z potężnym torsem opiętym kamizelką w paski, z bokobrodami na twarzy i dwoma ogromnymi psami przy boku, wzbudzała w niej jeszcze większy lęk niż poprzednio. Zebrała więc całą odwagę, aby mu powiedzieć, że pragnie wrócić na ranczo.

Zgodził się od razu, co zaskoczyło ją niezmiernie. Natychmiast dodał jednak:

- Tak będzie lepiej dla chłopca. To bardzo niedobrze dla niego, że w domu przebywa chora kobieta.

- Przecież Harry ma dopiero trzy lata - słabo zaprotestowała dotknięta takim okrucieństwem. Czowała, jak łzy napływają jej do oczu. - Jest mały, więc chyba mu nie przeszkadza, że ciągle choruję...

- Bzdura, żaden mały chłopiec nie lubi towarzystwa chorych. Świeże powietrze na ranczo doskonale ci zrobi. Wyjedziesz z pielęgniarką, a ja raz w tygodniu przyślę doktora Bensona. Maitland przygotuje cię do podróży.

- Chciałabym też zabrać Harry'ego - nieśmiało poprosiła. - Tamtejszy klimat jemu również dobrze zrobi, a poza tym to już pewnie niedługo potrwa...

- Zabrać mojego chłopca? - zdziwił się niebywale, że Dolores w ogóle ośmieliła się o tym pomyśleć. - Wykluczone. Francie może pojechać z tobą. Harry zostanie w domu.

- Błagam cię - chwyciła go za rękę zimnymi dłońmi. - Pozwól mi choć krótko mieć przy sobie syna...

- Przywiozę go w odwiedzinie - obiecał pośpiesznie. - Niebawem, gdy już się urządzić. - Wyjął z kieszeni kamizelki ciężki, złoty zegarek i spojrzał na cyferblat. - Muszę już iść. Jestem umówiony na mieście. Nie czekaj na mnie, wrócę późno. Wydam dyspozycje Maitlandowi odnośnie wyjazdu.

Na ranczo matka i córka czuły się wspaniale. Dolores nabrała rumieńców, a szafirowe oczy blasku. Czarne włosy lśniły jak dawniej.

Francie postanowiła, że zaopiekuje się matką. Miała już 6 lat, była wysoka jak na swój wiek i o wiele za chuda, bo w domu nigdy nie karmiono jej należycie.

Kucharz Harrisona przyrządzał wspaniałe posiłki dla pana i jego przyjaciół oraz wyszukane dania dla Dolores, by skusić ją do jedzenia. Niania dbały o wyżywienie Harry'ego, a służba miała własnego kucharza. Francie jednak nie należała do żadnej z tych grup stołowników. W tym pełnym gwaru, świetnie zorganizowanym domu była dzieckiem niczym. Szef kuchni przeganiał ją, myśląc, że dziewczynka dostaje posiłki w

dziecinnym pokoju. Ale ojciec zdecydował, że ma jadać na dole. Często więc zdarzało się, że po mizernej kolacji złożonej z chleba i mleka zakradała się do kuchni i pospiesznie zjadała resztki z posiłku dorosłych.

Na ranczo było zupełnie inaczej. Tutaj kucharka dogadzała Francie, często przyrządzała jej ulubionego pieczonego kurczaka, a na deser lody. Niańka kąpała ją i myła włosy, które schły na słońcu i lśniły jak jasny jedwab. Pozwalano jej biegać bosą po trawie, mogła krzyczeć i śpiewać tak głośno, jak chciała. Nikt nie strofował jej, by zachowywała się cicho jak myszka...

Całymi dniami pchała matkę na ciężkim wózku po porośniętych trawą ścieżkach, paplając nieustannie o królikach śmigających pod nogami, stadach szpaków rajcujących w żywopłotach i wysokich topolach, szumiących na wietrze jak bystry górski strumień. Wiezorami, po kolacji, brała z toaletki ciężką srebrną szczotkę. Wyjmowała szpilki z długich czarnych włosów matki i rozczesywała je delikatnie, aż lśniły jak skrzydła kruka, a zmarszczka bólu między brwiami Dolores zniknęła.

Upalne dni upływały im beztrudnie. Pewnego ranka zjawił się doktor Benson ze sporym szczeniakiem.

- To po Księżciu - wyjaśnił. - W miocie było sześć małych, w tym tylko ta jedna suczka. Pan Harrison stwierdził, że ma krzywe ucho. Pomyślał, że pewnie ucieszy się pani z takiego towarzystwa na ranczo.

To było cudowne wydarzenie.

Położył pieska na drewnianej werandzie. Francie krzyknęła z zachwytem:

- Och, jaka piękna! - Potem cofnęła się onieśmielona.

- Nie weźmiesz jej na ręce? - zapytał doktor Benson zdziwionym głosem.

Francie patrzyła na podłogę, przesuując gołą stopkę wzdłuż klepek.

- Należy do mamusi - szepnęła. - Przecież tatuś tak powiedział.

- W takim razie ja ci ją daję - odparła szybko Dolores. - Teraz jest twoja.

- Naprawdę? Naprawdę, mamusiu?

Szczęście rozjaśniło małą twarzyczkę, a Dolores poczuła nagły smutek. Pomyślała, że biedna Francie nigdy nie miała nic własnego. Co stanie się z córeczką, gdy jej zabraknie?

- Naturalnie, kochanie. Ale trzeba ją nazwać. Jakie imię do niej pasuje?

- Księżniczka, oczywiście - dumnie odparła Francie. - To przecież córka księcia.

Księżniczka zajęła puste miejsce w serduszkach dziewczynki. Była dużym, trochę niezadarnym szczeniakiem o oryginalnej, piaskowej sierści, inteligentnych bursztynowych ślepkach i wielkim, mokrym językiem, którym każdego ranka lizła buzię Francie na dzień dobry. Spała z nią w łóżku, zostawiała kałuże na podłodze w pokoju, a czasami, gdy nikt

nie patrzył, jadła z tego samego talerza, co mała pani. Rozkwitła miłość doskonała. Francie uwielbiała Księżniczkę, a ta ubóstwiała dziewczynkę. Wkrótce stały się nierozłączne.

Nieduże, 40-akrowe ranczo rodziny de Soto nigdy nie przynosiło zysków. Hodowano jedynie kilka sztuk bydła i nieco drobiu. Każdego ranka Francie, z koszyczkiem w ręce, zbierała jajka. Znajdowała je w najróżniejszych miejscach: za beczką na deszczówkę albo w żywopłocie i dumnie odnosiła do kuchni. Nad stawem pasły się gęsi, które syczały i groźnie były skrzydłami o ziemię, gdy Francie i Księżniczka podchodziły bliżej. Po padoku biegało 6 koni. Dziewczynka podziwiała je wsparłszy bródkę o wysokie ogrodzenie. Patrzyła, jak meksykańscy parobcy, Zocco i Pepe, siodłają konie i galopują ku odległym wzgórzom, gdzie stawiali nowe ogrodzenia, karczowali zagajniki i chwyтали błąkające się bydło.

Pewnego dnia Zocco posadził ją na grzbiecie małej kasztanki, Blaize. Siedziała prosto, z wyciągniętymi nóżkami, a rączki przycisnęła do karku zwierzęcia. Czuła drżenie klaczy i gładką, jedwabistą skórę.

Zocco poprowadził konia kawałek.

- Nauczysz się jeździć bez siodła. Wtedy nigdy nie spadniesz - powiedział.

Piętnaście wspaniałych minut spacerowali wolno, a Księżniczka nie odstępowała ich ani na moment. Dla Francie była to najwspanialsza rzecz, jaka przytrafiła się jej kiedykolwiek, oprócz Księżniczki, oczywiście. Wymusiła na Zocco obietnicę, że codziennie będzie uczył ją konnej jazdy, a potem pobiegła na ranczo, żeby opowiedzieć wszystko matce i wziąć kostki cukru dla klaczy.

Po paru tygodniach już sama prowadziła Blaize. Luźno trzymała lejce, żeby nie zranic jej delikatnego pyska. Dumnie objeżdżała padok, zerkając, czy matka ją widzi.

- Wspaniale, kochanie! - wołała Dolores z fotela. - W ten sam sposób uczyłam się, kiedy byłam małą dziewczynką.

Francie zatrzymała konia.

- Mamo, kiedy byłaś mała? - spytała, zaskoczona, że coś takiego w ogóle miało miejsce. - To znaczy, że byłaś taka, jak ja?

Dolores potrząsnęła głową i roześmiała się.

- Nie. Mnie ubierano w tuzin halek, wykrochmalony fartuszek i wysokie buciki, a ty jesteś obdartym narwańcem, który ugania się na bosaka. I nie masz nawet guwernantki - westchnęła. - Muszę porozmawiać o tym z twoim ojcem.

- Och nie, mamo, proszę. - Francie ześlizgnęła się z konia, przeszła pod ogrodzeniem i objęła matkę ramionami. - Tak tu pięknie, kiedy jesteśmy same.

Błagam, mamusiu, nie pozwól, żeby jakaś głupia guwernantka to zepsuła.

Dolores w zamyśleniu pogładziła jasne włosy córeczki.

- Cóż, później będzie jeszcze dużo czasu na lekcje - powiedziała spokojnie. - Przyznam, że bardzo się cieszę, że mam cię tylko dla siebie.

Uśmiechnęły się, a Francie przeczółgała się pod ogrodzeniem i wdrapała na górę, żeby rozluźnić uzdę. Potem, ruchem podpatrzonym u Zocco, klepnęła Blaize w zad.

Klacz wierzgnęła i puściła się szaleńczym galopem do innych koni, skupionych w cieniu dębu.

Mijały miesiące i nic nie zapowiadało wizyty Harmona, który przecież obiecał, że przywiezie syna. Dolores coraz bardziej słabła. Nie mogła już jeździć na wózku, tylko leżała na trzcinowym szezlongu na werandzie, patrząc na Francie, która krążyła wokół padoku na grzbiecie Blaize.

Nadeszła jesień, dni stawały się mgliste i zimny wiatr przynosił pierwsze podmuchy zimy. Pielęgniarka owijała Dolores w ciepłe pledy i trzymała ją na werandzie z nadzieją, że rześkie powietrze pomoże chorej. A ona ciągle wypatrywała na piaszczystej drodze męża z małym synkiem.

Po ulewnych deszczach wypalone słońcem ściany domu stały się wilgotne i szare.

Bezlistne topole nie szumiały już w lodowatym wietrze. Dolores nie wstawała z łóżka. Doktor Benson nadal zjawiał się raz w tygodniu, przywożąc różne smakołyki i butelki porto. Harmon przekazywał wiadomości, że obowiązki nie pozwalają mu na odwiedziny, ale ma nadzieję, że smakują jej owoce z kalifornijskich szklarni, kurczaki i wino, które z pewnością ją wzmocni.

Doktor Benson wiedział jednak, że pacjentka umiera nie tylko na gruźlicę, ale również z tęsknoty.

- Widział pan Harry'ego, doktorze? - pytała zawsze z oczami błyszczącymi od gorączki i płonącymi policzkami. - Proszę mi powiedzieć, jak się czuje? Na pewno wyrósł. Ma już prawie cztery lata. Może Harmon znajdzie trochę czasu i przywiezie go w dniu urodzin...

Doktor Benson odpowiadał na wszystkie pytania, pomijając milczeniem tylko to ostatnie, najważniejsze dla Dolores. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia stwierdziła:

- Już niewiele czasu zostało, doktorze. Proszę przekazać mężowi, że błagam go, aby przyjechał z synkiem. Tylko raz. To moja jedyna prośba.

Składając stetoskop, doktor szybko zamknął czarną skórzaną torbę.

- Powiem mu, moje dziecko - obiecał, nie zdradzając pogardy, jaką żywił dla Harmona Harrisona. To potwór, pozwalający żonie umrzeć na tym pustkowiu, w domu, przypominającym szałas, podczas gdy sam mieszka w luksusowej rezydencji, wydaje obiady, chodzi do teatru i na przyjęcia, jakby nic się nie działo. Gdyby nie tajemnica

lekarska, w całym San Francisco już dawno wiadano by o wszystkim, a biedna Dolores zobaczyłaby ostatni raz synka.

Wściekły z powodu własnej bezradności pożegnał się i wychodząc omal nie wpadł na Francie i Księżniczkę, które czekały tuż za drzwiami.

- Czy mama lepiej się czuje? - zapytała dziewczynka kurczowo chwytając lekarza za rękę. - Wygląda teraz tak ładnie, oczy jej błyszczą, a policzki ma bardziej różowe niż ja. To znaczy, że miewa się lepiej, prawda?

Doktor Benson westchnął. Zamyślony popatrzył na małą. Już dziesięć miesięcy mieszkały na ranczo i Francie bardzo urosła. Jej batystowy fartuszek był czysty, ale już za mały. Mimo zimna na nóżkach nie miała pończoch, jedynie ciężkie trzewiki, w których więcej było gwoździ niż skóry. Ale rozkwitała tutaj, jej matka zaś gasła. Dziewczynka wprost tryskała zdrowiem i energią. Bardzo wyładniała z twarzyczką w kształcie serca okoloną jasnymi włosami. Z dziecinnej buzi patrzyły na doktora bystre, szafirowe oczy.

Gładząc ją po główce, powiedział łagodnie.

- Mamie nic nie grozi, malutka. Teraz spędzicie razem święta, a ja przyjadę w przyszłym tygodniu.

Nadal bacznie obserwowała twarz lekarza.

- Tatuś nigdy tu nie przyjedzie, prawda? Nigdy nie przywiezie Harry'ego.

Doktor Benson musiał po raz kolejny przyznać, że z ust dzieci zazwyczaj padają prawdziwe słowa.

- Pan Harrison jest bardzo zajęty - skłamał. - Poza tym, to zbyt długa podróż dla małego chłopca.

- Harry ma już prawie cztery lata. Ja byłam młodsza, gdy tu przyjechałam.

Nic nie odpowiedział.

- Wesółych Świąt, Francie - czuł się jak Scrooge z opowiadania Dickensa. - Na stole leży prezent dla ciebie. Mam nadzieję, że spodoba ci się. Znajdziesz też coś dla Księżniczki.

Francie długo patrzyła za odjeżdżającym powozem. Podskakujące na wybojach koła rozchlapwały głębokie kałuże.

W nocy zrobiło się lodowato zimno, ale pękaty żelazny piec, pełen szczap z drzewa jabłoni, nappełnił stary dom przytulnym ciepłem. W kominku u Dolores płonął jasny ogień. Francie leżała na dywaniku, podparta na łokciu, z bródką schowaną w dłoni. Wpatrywała się w skaczące płomienie. Dolores spała niespokojnie, co chwila budziły ją ataki kaszlu. Wtedy pielęgniarka odkładała robótkę na drutach i spieszenie podchodziła do łóżka. Delikatnie wycierała ciemnoczerwoną krew z kącików ust chorej.

Francie zapytała cicho:

- Mama gorzej się czuje, prawda? Coś tak strasznie stuka jej w piersiach, gdy oddycha.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedziała pielęgniarka, ale na jej twarzy pojawiły się niepokój i lęk. - Najlepiej idźcie już z Księżniczką spać.

Jutro są święta i spędzimy razem przyjemny dzień. Kucharka upiecze gęś i obejrzymy prezenty. Ale teraz do łóżka. Trzeba odpocząć.

Francie ucałowała matkę.

- Pomodłę się, żebyś wyzdrowiała - wyszeptła. Następnego ranka obudziła się wcześniej. W pokoju było lodowato zimno, mimo to odgarnęła kołdrę, zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Śnieg pokrył całą dolinę, a wierzchołki gór lśniły w słońcu. Gałęzie drzew uginały się pod śniegiem i wielkie sople zwisały z rynn.

- Och, Księżniczko, zobacz tylko! - krzyknęła, przytulając psa. ~- Jakie cudowne święta! - Narzuciła paltko na nocną koszulę; wsunęła buty na boscie nóżki i chwyciwszy koszyk na jajka Wybiegła na werandę. Słońce rozpuściło już śnieg tworząc na deskach małe kałuże. Francie tańczyła ze śmiechem, zostawiając wszędzie mokre ślady. Księżniczka, równie podekscytowana jak jej mała pani, skakała szczekając radośnie. Potem wpadły do kurnika, płosząc zmarznięte kury.

Francie zebrała jajka, które tym razem leżały w gniazdach. Następnie zbiegła nad zamrznięty staw, śmiejąc się z kaczek, niezdarnie stąpających po lodzie. Nie zapomniała też o Blaize. W świątecznym prezencie przyniosła jej trochę owsa.

Ostrożnie trzymając koszyk, wróciła do domu i na paluszkach weszła do pokoju matki. Zastony były jeszcze zaciągnięte, a choć „węgle tliły się jeszcze, w pokoju panował przenikliwy chłód. Pielęgniarka spała w fotelu, z głową opuszczoną na piersi. Francie podeszła do łóżka.

- Mamo - szepnęła - zobacz, jaki prezent świąteczny ci przynoszę. Piękne, brązowe jajko. - Ale Dolores milczała. Oczywiście - pomyślała Francie - mama nic nie widzi w tych ciemnościach. Podeszła szybko do okna i rozsunała zastony. - Mamo, spójrz, specjalnie dla ciebie!

Wtedy spostrzegła wielką plamę krwi na pościeli, na białej, koronkowej nocnej koszuli, na twarzy matki i jej pięknych czarnych włosach. I chociaż nigdy przedtem nie widziała śmierci, była pewna, że matka nie żyje.

- Mamo! - krzyknęła, chwytając jej lodowatą dłoń. Przycisnęła ją do twarzy, po której lży łały się strumieniem. - Och, mamusiu. Nie o to modliłam się na święta...

Rozdział 5

Dzień Bożego Narodzenia w 1895 roku był równie mroźny i śnieżny w San Francisco - jak i w odległym o 6 tysięcy mil Yorkshire w Anglii. Na tamtejszym cmentarzu 16-letnia Annie Aysgarth kładła wieniec ze złocistych chryzantem u stóp granitowego anioła na grobie matki. Obok stali trzej młodszy bracia, opatuleni w ciepłe palta i wełniane szaliki, z nosami czerwonymi od mrozu i oczami załzawionymi od przenikliwego wiatru.

Marta Aysgarth zmarła prawie 4 lata temu, ale Frank Aysgarth, niezależnie od pogody, nadal przyprawdzał dzieci na cmentarz w dzień Bożego Narodzenia, aby złożyły hołd pamięci matki. Drżąc z zimna Annie myślała, że ojciec mógłby przenieść tę coroczną pielgrzymkę na lato. Była pewna, że matka wcale nie chciałaby, aby wszyscy trzęśli się z zimna na mrozie i ryzykowali, że ktoś przeziębi się poważnie i umrze.

Chłopcy przestępowali z nogi na nogę, stukając ciężkimi butami o lód. Ojciec stał bez ruchu, z rękami zaciśniętymi wokół czarnego kapelusza. Annie niepokoiła się o geś, która dopiekała się w kuchennym piecu. To nie znaczy, że nie szanowała pamięci matki, przecież co tydzień porządkowała grób, ale jeśli spóźni

się z obiadem, ojciec będzie zły, a wówczas pryśnie cały urok świątecznego dnia.

Już wydawało się jej, że dłużej nie znieśnie zimna, gdy Frank cofnął się o krok, wcisnął kapelusz na głowę i powiedział:

- Pora do domu. Obiad jest o pierwszej. - Ruszył sprężystym krokiem w stronę bramy cmentarza, trzymając za rękę najmłodszego syna Josha. Annie dreptała za nim, a dwaj średni bracia, Bertie i Ted, zamykali pochód. Dziewczyna z pośpiechu omal nie przewróciła się, zahaczając stopą o grudkę lodu. Pragnęła znaleźć się już w domu, w jednym z identycznych budynków w centrum Leeds. Miała własny pokój na stryszku i chłodną piwnicę, gdzie w deszczowe dni suszyło się pranie wśród słoików z konfiturami, worków z mąką i kartoflami. Ale nie odważyła się biec, zanim nie doszli do rogu Montgomery Lane, gdzie mieścił się pub „Pod Jeźdźcem i Koniem”. Ojciec zatrzymał się przed wejściem: - Wróć za pięć pierwsza, Annie.

Skinęła głową, zastanawiając się po raz kolejny, co spodobało się matce w człowieku takim, jak Frank Aysgarth. Był tęgim, siwym mężczyzną o zimnym, surowym usposobieniu. Miał ogorzałą od wiatru twarz i nosił szczeciniaste wąsy.

Jak daleko sięgała pamięcią, ojciec zawsze o tej samej godzinie wstawał, jadał i chodził spać. Wymagał, aby w domu było czysto, dzieci musiały być grzeczne, a posiłki smaczne i podawane regularnie. Nie znosił sprzeciwu. Jego słowo było prawem.

W domu, na kominku stała oprawiona w mosiężną ramkę fotografia ślubna rodziców. Matka była śliczna i roześmiana, a Frank nawet w dniu ślubu wyglądał ponuro, jakby przytłaczało go brzemień przyszłych obowiązków.

Z opowiadań matki wiedziała, że ojciec od bardzo młodych lat zarabiał na siebie.

Rzucił szkołę w wieku 12 lat i pracował w fabryce lin w Burmantofts, potem w browarze w Wakefield i w drukarni w Eastgate, ale nigdzie nie zagrzał miejsca.

Pod maską cichego, spokojnego mruka kryła się dusza wynalazcy i innowatora.

Wszędzie, gdzie pracował, brakowało opakowań do wysyłki towarów. Postanowił więc uruchomić własną „fabrykę” pudeł. Za kilka funtów wynajął zimny pokój pod mostem kolejowym w Leeds. Zakupił sporo tektury i ruszył z produkcją pod szyldem „Wytwórnia opakowań tekturowych Franka Aysgartha”.

Kiedy poznał Martę, ledwie zarabiał na własne utrzymanie, ale uległ figlarnym, brązowym oczom i kilka razy w tygodniu pukał do jej domu.

Matka opowiadała, że Frank nigdy nie oświadczył się tak naprawdę, na ugiętym kolanie, prosząc ją o rękę. Ale pewnego wieczoru przyniósł w prezencie mahoniowy budzik, który bardzo spodobał się jej kiedyś na wystawie sklepu w Calls.

Kosztował 10 szylingów, więcej, niż Frank zarobił przez cały tydzień. Powiedział tylko:

- To dla ciebie. Odpowiedni na półkę nad kominkiem.

Marta uznała to za oświadczyzny i zaczęła robić przygotowania do ślubu, kompletując skromną wyprawę - bawełniane prześcieradła i ręczniki. Sama uszyła suknię ślubną z miękkiego białego woalu, ozdobioną satynowymi wstążkami i wydzierganą na szydełku koronką.

Wszyscy zachwycali się Martą. „Szczęściarz z tego Franka” - mówili. Spędzili dwudniowy „miesiąc” miodowy w obskurnym pensjonacie na południu Scarborough, na co Frank wydał ostatnie 15 szylingów. Wrócili przygaszeni, a następnego ranka Marta stanęła do pracy u boku męża.

Pracowali ciężko, tnąc i klejąc kartonowe pudła na zamówienia. Potem Frank pakował je na wózek dostawczy własnej produkcji - drewnianą klatkę na kołach - i pchał ten ciężki ładunek przez ulice Leeds do miejsca przeznaczenia, czasem całe mile.

Marta nawet w ciąży pracowała niemal do ostatnich dni, bo tak bardzo potrzebowali pieniędzy. Tydzień po urodzeniu Annie wróciła do warsztatu, a opatulone w kocyki niemowlę spało w jednym z kartonowych pudeł.

Interesy szły coraz gorzej, pieniędzy wciąż brakowało, a wynajęty zimny pokój wydawał się jeszcze mniejszy. Czasami w piątkowy wieczór nie nadchodziła żadna wpłata i na stole Aysgarthów był tylko chleb. Frank odzywał się coraz rzadziej, a dziecko coraz częściej płakało. Wreszcie Frank stwierdził, że tak nie może dłużej trwać. Musi coś wymyślić. Pożyczył kilka funtów, wysłał Martę z dzieckiem do rodziny, a sam wyruszył do Ameryki szukać szczęścia.

Miesiąc po wyjeździe męża Marta zorientowała się, że znowu jest w ciąży. I tym razem pracowała aż do rozwiązania, ale w chwili narodzin syna nie było przy niej Franka.

Pięć lat nie miała o nim żadnych wieści. Nie przysłał do domu ani grosza i ludzie podśmiewali się, że została sama niczym panna z dwojgiem dzieci. Znalazła pracę przy sprzątanii dużego domu w Lanswood i wiele razy chodziła tam piechotą, by kupić dzieciom buty i zimowe płaszcze, a pieniędzy na tramwaj już brakowało.

W rodzinnym domu nie było miejsca dla niej i malców, więc tłoczyli się w tanio wynajętym pokoiku przy obskurnej bocznej uliczce.

Pewnego wiosennego dnia łuskała na progu groch do miseczki, rozkoszując się świeżym powietrzem. Nagle zobaczyła mężczyznę zmierzającego do niej. Miał na sobie elegancki brązowy garnitur, wyglancowane brązowe buty i cylinder na posiwiącej głowie. Twarz okalały broda i wąsy. W pierwszej chwili nie poznała go. Potem wstała i już z bliska wpatrywała się w niego ogromnymi ze zdziwienia oczami.

- Frank, prawda?

- Tak, panienko, to ja. - Spoglądając na dzieci, uczezione fartucha dodał: - A to moje szkraby. - Marta opowiadała później córce, że wzięła Bertiego na ręce i chciała podać synka Frankowi, ale ten nawet go nie tknął. Z natury nie okazywał uczuć, ale widziała, że jest zadowolony.

Przy skromnej kolacji złożonej z chleba i sera Frank opowiadał o swych przeżyciach w Ameryce. Zaczynał w Nowym Jorku przy wznoszeniu stalowych dźwigarów do budowy drapaczy chmur. Praca była ciężka i niebezpieczna, ale zbyt dobrze płatna, żeby zrezygnować. Dopiero zapalenie płuc, którego nabawił się zimą na wysokich rusztowaniach, zmusiło go do zmiany roboty. Po chorobie ruszył z kilkoma dolarami w kieszeni na zachód „szukać szczęścia jak inni”. Powiedział to z rzadkim u niego uśmiechem na twarzy.

Annie zza krzesła matki wlepiła w ojca brązowe, okrągłe jak spodeczki oczy i skręcała w czerwonych, spierzchniętych rączkach brzegi czystego fartuszka.

Bertie oparł się o kolana ojca i z otwartą buzią słuchał opowieści o San Francisco. - Miasto leży wśród wzgórz, nad najpiękniejszą zatoką na świecie - mówił Frank. Opowiadał o przedziwnym tamtejszym klimacie, błękitnoszarym zimowym niebie i niespodziewanych mgłach, które w mgnieniu oka spowijały całe miasto.

Opowiadał też o miejscowych bogaczach, którzy dorobili się fortuny w kopalniach złota, a rodzina wzdychała tylko, myśląc z nabożnym zachwytem o stosach drogocennych monet, które posiadali majątni ludzie.

- Tam bardzo dużo się buduje - ciągnął. - Zaczynałem od pomocnika murarza, ale szybko piąłem się w górę. Nauczyłem się budować dla bogatych i robotników. Teraz wiem, czego chcą i jak im to wybudować za odpowiednie pieniądze.

Patrząc Marcie w oczy położył tuż przed nią na stole gruby plik banknotów.

- To wszystko, co zarobiłem przez ostatnie 5 lat - powiedział. - Wydawałem tylko na utrzymanie i bilet powrotny do domu. Starczy na ubranie dla dzieci i coś ładnego dla ciebie. Widzę, że zasłużyłaś sobie na to - dodał, obrzucając spojrzeniem znoszoną sukienkę.

Oczy Marty zapełniły się łzami, więc Annie, chcąc pocieszyć matkę, objęła ją ramionkami za szyję.

- To ze szczęścia - zachlipała Marta, wycierając łzy rogiem kwiciastego fartucha.

- Nie trzeba się tak przejmować - zamruczał Frank. Zawsze czuł się zakłopotany, gdy ktokolwiek dawał wyraz uczuciom. - Jutro wyprowadzimy się do lepszego mieszkania. Ale tylko na jakiś czas. Mam teraz pieniądze na budowę domów i obiecuję, że pierwszy będzie dla ciebie, Marto.

Dotrzymał słowa. Wynajęli robotniczy domek, a po roku urodził się Ted. Parę miesięcy później cała rodzina zamieszkała we własnym domu na Montgomery Street pod numerem 1. W następnych latach Frank wybudował wiele podobnych budynków.

Ludzie mówili, że Aysgarthowie są szczęśliwym małżeństwem, nie wtrącali się w życie innych i nie zadzierałi nosa, gdy lepiej powodziło się im. Oczywiście nieustannie dociekano, ile właściwie zarabia Frank. Na okolicznych wzgórzach jak grzyby po deszczu wyrastały budowane przez niego domki z czerwonej cegły, kryte łupkową dachówką. Miał rację, wiedział, czego ludzie oczekują, i potrafił im to sprzedać po odpowiedniej cenie. Stawał się bogatym człowiekiem.

Na świat przyszedł trzeci syn, Josh, ale tym razem Marta nie odzyskała zdrowia i sił. Wszyscy mówili, że to najpiękniejsze dziecko na świecie, a pulchna dwunastoletnia Annie przepadała wprost za nim. To ona karmiła go z butelki, zmieniała pieluski, prała i prasowała ubranka i czepeczki. To ona pchała ulicą wózek z małym Joshem, pozwalając ciekawym sąsiadkom zajrzeć do środka i zachwycać się pięknym, jasnowłosym,

szarookim malcem.

Annie często odwiedzała panią Morris, której synek był zaledwie kilka tygodni starszy od Josha. Sadzały chłopców przed kominkiem na czystym dywaniku, który Sally Morris uszyła z gałganków, i patrzyły, jak raczkują, wpadając na siebie co chwila.

- Spójrz na Sammy'ego - pani Morris wodziła dumnym wzrokiem za swoim krępym, ciemnowłosym synkiem. - On po prostu szaleje za Joshem.

Trzy miesiące później, po śmierci Marty, Annie stała się „matką” dla całej rodziny. Ojciec oświadczył jej, że odejdzie ze szkoły i zajmie miejsce zmarłej.

- Mama nauczyła cię wszystkiego, co potrzeba - oświadczył sucho. - Nie chcę, żeby po moim domu kręciła się jakaś obca kobieta i mówiła mi, co mam robić.

Sally Morris współczuła Annie, na którą nagle spadły tak poważne obowiązki.

Często pilnowała Josha, gdy dziewczyna borykała się z zakupami, praniem, gotowaniem, pieczeniem i sprzątaniem. - Frank oczekiwał, że wszystko będzie tak, jak przed śmiercią żony. Sam stał się jeszcze bardziej milczący, nigdy nie przytulił dzieci ani nie okazał im czułości. Ale nigdy też nie podniósł na nie ręki.

Lata mijały powoli, a Annie w ogóle nie miała czasu dla siebie. Josh i Sammy Morris ciągle trzymali się razem, jednego dnia rozpoczęli naukę w szkole miejskiej, wspólnie przechodzili z klasy do klasy. Również w psotach i figlach byli nierozłączni, ściągając przysmaki z kuchni Annie albo pani Morris. Zawsze przychodzili na pyszne, niedzielne obiady Annie, na które przygotowywała zazwyczaj pieczeń wieprzową z kartoflami, złotymi i chrupiącymi na wierzchu i miękkimi jak poduszeczki w środku, na deser zaś gorący pudding z melasy z puszystym kremem, który zmiękczał najtwardsze serca. Annie była bez wątpienia najlepszą kucharką na Montgomery Street, chociaż Frank Aysgarth ciągle gderał i narzekał.

- Traktuje ją jak niewolnicę - parskała gniewnie Sally Morris. Nie lubiła go, a on odwzajemniał to uczucie. Twierdziła, że Frank jest egoistycznym tyranem, a on uważał ją za leniwą plotkare, która nie dba o dom i zbyt wiele czasu spędza pod „Czerwonym Lwem”, pijąc porto i rujnując męża. Powinna siedzieć w domu z dziećmi.

- Frank Aysgarth to twardy chłop - twierdził jej mąż. - Nigdy nie przejmował się kobietami.

- Tak, nawet własna córka go nie obchodzi - odpowiadała Sally z goryczą. Często słyszała przez ścianę, jak Frank beszta biedaczkę, a Bóg świadkiem, że dziewczyna robi co w jej mocy. Pracowała bez przerwy. Wczesnym rankiem szorowała żółte kamienne schody przed domem i splukiwała je wiadrami wody. Kiedy Frank wychodził do pracy, dom lśnił na zewnątrz i w środku.

Chłopcy wpadali ze szkoły na przerwę obiadową. W piecyku zawsze znaleźli coś smacznego i biegli na popołudniowe lekcje z pełnymi brzuskami. Rozwieszona na sznurkach czysta bielizna trzepotała na wietrze dużo wcześniej, niż inne gospodynie zabrały się do prania. Codziennie o szóstej wieczorem, gdy Frank wracał do domu, Annie nakrywała stół czystym, wykrochmalonym białym obrusem, a gorący obiad dymił na półmiskach. Z pubu „Pod Czerwonym Lwem” przynosiła kufel najlepszego, pieniącego się piwa Yorkshire. Frank jadł w milczeniu, a ona siedziała cicho w kątku.

Potem zmywała, zwoływała chłopców do domu i wyprawiała ich do snu.

- Aysgarth zamęcza tę biedną dziewczynę - wzdychała Sally Morris w rozmowie z mężem. - Annie ma dopiero szesnaście lat, a jest lepszą matką dla rodzeństwa niż jakakolwiek kobieta na tej ulicy. Frank musiałby płacić dwóm służącym dziesięć funtów miesięcznie i na pewno nie pracowałyby tak dobrze jak córka!

Annie wiedziała, że ojciec jest surowy i wymagający, ale nie protestowała, bo nie znała innego życia. Poza tym kochała braci. Co prawda, Bert i Teddy coraz bardziej upodobniali się do ojca. Wracając do domu oczekiwali gorącego obiadu, a w piątkowy wieczór domagali się ciepłej wody do kąpieli w wielkiej balii. W niedzielę, przed pójściem do kościoła wkładali śnieżnobiałe, wykrochmalone i nieskazitelnie uprasowane koszule. Ale Josh był inny. Annie kochała go jak syna.

Rozdział 6

Na pogrzeb matki Francie ubrano w drogą sukienkę z czarnego jedwabiu, kupioną w eleganckim francuskim sklepie na Market Street, nowe buciki z dobrej skóry, aksamitną pelerynkę i czarny jedwabny czepek. Wraz z ojcem i małym Harrym jechali obitym czarną satyną powozem zaprzężonym w szóstkę koni.

Otwierali procesję sześćdziesięciu powozów, którymi podążała cała śmietanka towarzyska San Francisco. Potem błada i drżąca Francie stała przy otwartym grobie, do którego spuszczano trumnę z ciałem Dolores.

Mały Harry, w czarnych welwetowych spodenkach i marynarce płakał głośno. Harmon Harrison, ubrany równie elegancko i stosownie do okoliczności, trzymał przy oczach śnieżnobiałą chusteczkę. Francie nie uroniła ani jednej łzy. Patrzyła prosto przed siebie, zaciskając zęby i siłą powstrzymując się od krzyku. Chciała wykrzyknąć cały żal i rozgoryczenie na niesprawiedliwy los, który zabrał jej taką młodą, piękną, słodką i dobrą matkę. Chciała wykrzyknąć tłumnie zgromadzonym żałobnikom, którzy przed laty przybyli również na ślub Dolores i Harmona, że bardzo kochała matkę, że tęskni za nią strasznie i że sama pragnie teraz umrzeć. Ale wiedziała, że nikt tego nie zrozumie, więc ukrywała rozpacz głęboko w sercu; ani jedna łza nie spadła na nową, czarną sukienkę.

Był mokry styczniowy dzień i obłoki zimnej mgły zbierały się wokół grobów.

Wspaniałe wieńce przewiązane czerwonymi wstęgami, mieniły się jaskrawymi barwami na tle szarego dnia. Niestety, ze względu na odległość rodzina Dolores nie przyjechała na pogrzeb, ale przysłali Harmonowi kondolencje, a zmarłej największy, wspaniały wieniec ze szkarłatnych róż.

Kiedy przebrzmiały słowa ostatniej modlitwy, wszyscy czym prędzej rozeszli się do ciepłych powozów. Dwaj grabarze, wsparci na łopatach, przypominali szare duchy zatopione we mgle. Oni również przestępowali z nogi na nogę dla rozgrzewki i pokastywali głucho. Zanim pierwsza gruda ziemi upadła na trumnę, Francie odwróciła głowę. Nie mogła już znieść tego widoku.

Po powrocie do domu siedziała samotnie na pozłacanym stołeczku w lustrzanej sali balowej i obserwowała, jak goście łakomie pochłaniają zakąski z obficie zastawionego stołu. Kobiety uśmiechały się i plotkowały o balu, który miał odbyć się w przyszłym tygodniu, o tym, kogo zaproszono i jakie założą kreacje.

Mężczyźni, ze szklaneczkami w rękach, dyskutowali o interesach. A mały Harry stał obok ojca i razem z nim odbierał wyrazy współczucia od kolejnych uczestników stypy.

- Jaka to dziwna dziewczynka - słyszała szepty kobiet. - Przecież powinna stać przy ojcu, z bratem. Popatrzcie na tego małego, ma dopiero cztery latka, a już zachowuje się jak prawdziwy mężczyzna... a ona nawet nie zapłakała nad grobem, widziałyście? Żeby dziecko nie okazało żadnego żalu po śmierci matki? To chyba nie jest normalne... Harmon powinien się nią zająć... Przewiduję, że przysporzy mu kłopotów.

Policzki Francie płonęły. Wpatrywała się intensywnie w błękitny wzór na dywanie, pokrywającym wypastowany parkiet. Modliła się, by nie wybuchnąć płaczem. Cóż one wiedziały o jej matce? Och, prawdopodobnie uśmiechały się i gawędziły przyjaźnie na przyjęciach, zapewne też przysyłały kwiaty i owoce, gdy rozeszła się wieść o chorobie Dolores, lecz żadna nigdy nie odwiedziła matki, i Francie gotowa by przysiąc, że nawet nie wiedziały, iż ostatni rok życia spędziła na ranczo. Nagły smutek zdławił jej serce. Pragnęła zawołać, że tych kobiet nie obchodziła jej matka, że zapomną o niej szybko, że nikt nie kochał Dolores tak jak ona...

Uchwyciła gniewne spojrzenie ojca. Gestem ręki przywołał ją do siebie. Niechętnie zsunęła się ze stołeczka i przecisnęła przez tłum gości.

- Gdzie ty się podziewasz? - zapytał cichym, ale przepelnionym złością głosem.

Francie instynktownie odsunęła się. - Stań obok brata i zachowuj się jak dobrze wychowana panienka.

Francie myślała, że ten dzień nigdy się nie skończy. Goście przesuwali się przed nią, musiała ukłonić się każdemu i odpowiadać na zdawkowe pytania. Dostrzegała, że kobiety z zainteresowaniem obserwowały ojca. „Bardzo przystojny mężczyzna” - szeptały, myśląc o niezamężnych córkach i o milionach Harrisona. W końcu niania zabrała Harry’ego na podwieczorek i Francie również pozwolono odejść.

Wróciła do swojego pokoiku, który wydał się jej jeszcze bardziej nieprzytulny i brzydszy niż dawniej. Biała farba odpryskiwała z poręczy żelaznego łóżka, a wąski, wypchany słomą materac zapadał się w kilku miejscach.

Nędzne zasłony nie chroniły przed chłodem, który wdzierał się przez oblodzone okiennice. Chociaż dom Harrisona wyposażono w najlepszy na owe czasy system ogrzewania, na piętra zamieszkałe przez służbę docierał już tylko wąty strumyczek ciepła. Francie skuliła się na wąskim łóżku, trzęsąc się z zimna.

Dopiero teraz łzy popłynęły po drobnej buzi. Płakała z żalu za matką, za Księżniczką, którą wyrzucano na noc do stajni, i nad własną samotnością.

Wreszcie zmęczona usnęła w ubraniu.

W dzień po pogrzebie Harmon zakończył negocjacje w sprawie zakupu jachtu w londyńskim porcie. Tydzień później wraz z Harrym udał się do Nowego Jorku prywatnym wagonem, ponieważ między innymi sprawował funkcję dyrektora Południowej Linii Kolejowej. Stamtąd popłynęli francuskim parowcem do Cherbourg, a następnie pociągiem do Deauville, gdzie mieli odebrać jacht.

Harmon planował kilkunastomiesięczną podróż, więc wszystkie meble w rezydencji zakryto pokrowcami, jakby nikt z rodziny nie został w domu. Dziewczynce towarzyszyła jedynie niemiecka guwernantka, która miała ją nauczyć dobrych manier i podstaw teoretycznej wiedzy.

Francie straciła wszelkie złudzenia, zobaczywszy nauczycielkę.

Fraulein Hassler była starą panną o srogim wyrazie twarzy, miała sztywne siwe włosy zaplecione w cienkie warkoczyki zawinięte wokół uszu jak ślimaki. Ta wysoka, bezkształtna kobieta z surową miną i oczami ukrytymi za małymi okularami w stalowych ramkach przerażała Francie.

Fraulein pracowała już w wielu domach i z miejsca zorientowała się, że Harmon to bogacz. Natychmiast wykorzystała tę sytuację.

- Nie jestem służącą, Herr Harrison - stwierdziła stanowczo przy pierwszym spotkaniu. - Natürlich, nie oczekuję, że zamieszkać z pańską rodziną, ale proszę o pokój na trzecim piętrze i od frontu.

- Natürlich - odrzekł zadowolony, że tak szybko uporał się z kłopotliwym problemem, jaki stanowiła dla niego Francie. Tak więc Fraulein zamieszkała w apartamencie złożonym z sypialni i sporego saloniku, a Francie została w zimnej służbówce. Jadała w kuchni przy sosnowym stole, natomiast Fraulein Hassler trzy razy dziennie przynoszono posiłki do pokoju.

Fraulein Hassler poleciła pokojówce, by przyprowadziła Francie punktualnie o ósmej rano.

- Codziennie będziesz meldowała się o tej godzinie - oznajmiła dziewczynce, mierząc ją krytycznym spojrzeniem.

Francie nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Sekundy wlokły się w nieskończoność.

- Jesteś nieporządna - odezwała się wreszcie guwernantka. - Masz brudne buty, plamę na fartuszkach i rozczochrane włosy. Teraz doprowadzisz się do porządku. Nie toleruję niechlujstwa.

Przerażona Francie pobiegła do pokoju, wykonała polecenia i znów stanęła przed groźnym obliczem Fraulein.

- Codziennie o ósmej oczekuję cię na lekcjach. Masz być czysta i uczesana.

Zapukasz do drzwi i poczekasz, aż poproszę cię do środka. Wtedy powiesz „Dzień dobry, panno Hassler”, z wyjątkiem środy, kiedy będziemy rozmawiały wyłącznie po niemiecku i wówczas przywitasz się Guten Morgen, Fraulein Hassler, w soboty zaś, w dniu nauki francuskiego, odpowiesz: Bonjour, Mademoiselle Hassler.

Od ósmej do dziewiątej będzie lekcja matematyki, od dziewiątej do dziesiątej angielskiego. Potem muszę odpocząć pół godziny, a ty w tym czasie nauczysz się wiersza. Od jedenastej do dwunastej będą zajęcia z historii i geografii.

W południe mam przerwę na lunch. O drugiej pójdziemy na godzinny spacer, po południu zaś będziesz uczyła się szycia. A o czwartej, podczas mojego podwieczorku, zabierzesz się do odrabiania zadań. Potem możesz iść do kuchni na kolację i spać. Zrozumiałaś, Francesco?

Skinęła głową, ale myślami była przy Księżniczce, czekającej na nią w stajni.

Nie spodobała się jej panna Hassler ani taki plan dnia.

- A w niedzielę? - zapytała nagle.

- Zapewne chciałaś powiedzieć: „Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, co będę robić w niedzielę, panno Hassler?” - poprawiła ją ostro guwernantka. - Ale odpowiem ci, skoro pytasz. Ja mam dzień wolny. Bez wątpienia służba zajmie się tobą. Sądzę, że rano i wieczorem pójdiesz do kościoła. Twój ojciec nie zostawił żadnych poleceń w tym względzie.

- Dziękuję, panno Hassler - odparła Francie, oczyma wyobraźni widząc przed sobą ponurą przyszłość. Ale nawet taka nauczycielka była lepsza niż ojciec, więc pomyślała, że wykorzysta ten czas jak najprzyjemniej. A potem, przy odrobinie szczęścia, może znowu wyjedzie na ranczo.

Z nieobecnością ojca wiązała się jedna miła odmiana w jej życiu. Guwernantka nigdy nie wychodziła ze swego apartamentu po kolacji... więc dziewczynka przemyciła Księżniczkę do siebie na górę, dzieliła się z nią kolacją, a po siódmej, gdy służba też już poszła do swoich pokoi, spacerowały po wzgórzu.

Zimowe wieczory były mroźne, ale Francie otulona w podbity gronostajami płaszczyk nie czuła chłodu, wielki zaś pies u boku dawał poczucie bezpieczeństwa. Początkowo wychodziły na króciutko, lecz w miarę jak zajęcia z Fraulein Hassler były coraz dłuższe i bardziej nużące, wędrowała dalej i wracała do domu późno.

Spacerowała z Księżniczką po ulicach, zaglądając ciekawie w oświetlone okna domów, wdychając zapach piwa z barów i patrząc na szczęśliwych, roześmianych ludzi. Samotna duszyczka Francie łaknęła ciepła i uczucia, którymi nikt nie chciał jej obdarzyć.

Po powrocie wślizgiwały się bocznymi drzwiami, które dziewczynka zostawiała uchylone. Wiedziała, że nikomu ze służby nie przyjdzie do głowy sprawdzać zamków - przecież nie podejrzewali, że wychodzi sama z domu! Biegły szybko na górę, a Księżniczka tak ostrożnie stawiała łapy, że wspinała się po drewnianych stopniach bezszelestnie. Francie zamykała starannie drzwi na klucz, nalewała szklankę mleka do miseczki i patrzyła, jak pies smakowicie chłepce.

Potem wsuwała się pod lodowatą pościel, a Księżniczka zwijała się w kłębek w nogach. Po chwili Francie już śniła o swobodnym życiu na ranczo, małej kasztance Blaize, smażonych kurczętach, płonących na kominku polanach i o matce, siedzącej spokojnie w blasku ognia z uśmiechniętą zaróżowioną twarzą.

Z czasem dziewczynka zapuszczała się aż w okolice baru u wylotu James Street.

Niechętnie wracała z tego rozświetlonego, pełnego gwaru, miłego miejsca do zimnego pokoju. Wychodzący goście początkowo uśmiechali się do małej panienci w aksamitnej pelerynce z ogromnym psem u boku. Ale widując ją tam codziennie, spoglądali coraz bardziej przenikliwie.

- Co się stało, dziecinko?! - zawołał rudowłosy mężczyzna. - Staruszek znowu zakropił, co?

Francie zaczerwieniła się i zaprzeczyła. Chwyliła mocniej smycz i pospiesznie odeszła.

- Niech pan coś zrobi z tą małą - rudzielec zwrócił się do właściciela baru. - To zła reklama dla lokalu, gdy dzieci wyczekują na ulicy na pijanych ojców.

Wyrzuć pan łobuza i powiedz mu, żeby zabrał córkę do domu.

- To nie jest dziecko żadnego z moich klientów - odparł barman obrażonym głosem. - Następnym razem wezwiemy policję.

Ale Francie wystraszyła się i unikała okolic baru, wędrując po odległych ciemnych ulicach. Wymyślała przeróżne sceny z życia rodzin, które widziała za oświetlonymi oknami domów i kawiarni.

Dopiero po kilku tygodniach znalazła się ponownie w pobliżu baru. Była zimna noc i Francie czuła przejmujący chłód. Z lokalu dochodził rozkoszny zapach gotowanej szynki i siekanej wołowiny, zmieszany z mocnym aromatem piwa i whisky.

Rudzielec spostrzegł ją od razu.

- Niech pan lepiej pośle kogoś po policję - zwrócił się do barmana. - Ta dziewczynka znowu tu stoi. To nie jest miejsce dla dziecka. Może uciekła z domu.

- Tym razem już nie czmychnie! - zawołał jednego z młodszych kelnerów.

Francie zaciekawiona patrzyła na policjanta w mundurze. Sądziła, że w ciemnościach jest niewidoczna, toteż serce skoczyło jej do gardła, gdy zawołał:

- Hej, dziewczynko! Zgubiłaś się?

- Nie! Nic się nie stało - pociągnęła gwałtownie smycz, ale pies zaparł się z najeżoną sierścią i obnażonymi zębami, warcząc cicho. Policjant cofnął się o krok.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać, panienko. Wygląda na to, że potrzebujecie pomocy.

Księżniczka warknęła groźniej, więc Francie jeszcze mocniej chwyciła za smycz.

- Och, nie, bardzo dziękuję. Po prostu wracamy do domu. - Odwróciła się szybko i ciągnąc Księżniczkę, pobiegła w stronę domu.

Policjant szedł za nią. Z trudem łąpał oddech, gdy znaleźli się na szczycie Jones Street, i ze zdumieniem spostrzegł, że dziewczynka wchodzi kuchennymi drzwiami do jednej z największych rezydencji na Nob Hill. Przez moment sądził, że to dziecko jakiejś służącej, ale potem przypomniał sobie aksamitną pelerynkę z drogim gronostajowym kołnierzem. Oczywiście, powinien od razu się domyślić: to córka Harmona Harrisona. Zadumany wracał do miasta - ta sprawa należała do jego zwierzchników.

O ósmej rano do rezydencji zapukał kapitan O'Connor. Maitland wyjaśnił, że pan Harmon Harrison podróżuje po Europie.

- W takim razie proszę pana o chwilę rozmowy w cztery oczy. Pół godziny później, pokrzepiony szklaneczką najlepszej whisky, kapitan już wychodził. Był słoneczny, mroźny dzień.

- Przekazuję sprawę w pańskie ręce - powiedział z uśmiechem. Maitland przygotował tekst depeszy do chlebodawcy, po czym osobiście udał się na pocztę, by ją nadać.

Odpowiedź nadeszła nazajutrz i w ciągu paru godzin Fraulein Hassler została odprawiona, Księżniczka odesłana do stajni, a Francie zamknięta na klucz w pokoju.

Ponad trzy tygodnie oczekiwała na powrót ojca. Słyszała smutne, pełne tęsknoty szczekanie Księżniczki i przyciskała nosek do szyby w nadziei, że zobaczy ukochaną towarzyszkę. Posiłki przynosiła jej meksykańska pokojówka, która nie знаła ani słowa po angielsku. Francie nie miała książek, papieru, ołówka ani nawet znieawidzonych robótek ręcznych. Czas dłużył się nieznośnie i najczarniejsze myśli przychodziły jej do głowy. Początkowo czuła się jak zwierzę uwięzione w klatce, szlochała z rozpacz i tupiała ze złości, ale po kilku dniach popadła w apatię, leżała skulona na łóżku, drżąc z zimna i strachu na myśl o powrocie ojca.

Jedzenie odnoszono do kuchni nietknięte i wreszcie Maitland odwiedził małą więźniarkę. Popatrzył na nią z żalem - miała przecież dopiero osiem lat. Taka była szczuplutka, jasne, potargane włosy opadały jej na ramionka, a błękitne, wielkie oczy poszarzały z lęku. Maitland był lojalnym pracownikiem, ale doskonale wiedział, co czeka małą po powrocie Harrisona.

Służba nie mogła odwiedzać Francie, ale wszyscy, choć przejęci lękiem przed groźnym chlebodawcą, szeptali gniewnie przy kolacji:

- To barbarzyństwo tak zamykać małe dziecko. Pan Harrison nie ma serca.

Pewnego poranka Maitland zapukał do drzwi, a dziewczynka spojrzała na niego wystraszona. Wiedziała, po co przyszedł.

- Tatuś wrócił - powiedziała tylko. Skinął głową.

- Natychmiast chce widzieć panienkę. Proszę się umyć, uczesać i szybko zaprowadzę panienkę na dół.

Zeszli po cichu schodami dla służby. Przed gabinetem Harrisona popatrzyli na siebie.

- Odwagi - szepnął Maitland, pukając do drzwi.

- Wejść!

Na dźwięk grzmiącego głosu nogi ugięły się pod Francie. Maitland popchnął ją do środka.

- Panienka Francie, proszę pana - powiedział.

- Dziękuję. - Harmon Harrison zza biurka podniósł wzrok na córkę, skrytą w cieniu ogromnych drzwi. - Podejdz, Francesco.

Niechętnie przeszła parę kroków.

- Bliżej - rozkazał. - Chcę, abyś wyraźnie usłyszała i zapamiętała, co ci powiem, bo nie będzie już drugiej okazji. - Francie stanęła tuż przy biurku z rączkami zaciśniętymi kurczowo z tyłu. Przerażona wpatrywała się w ojca niczym królik w nadbiegającą fretkę.

Harmon spojrzał pogardliwie na jej brudną buzię, zaczerwienione od płaczu oczy i poplamiony fartuszek.

- Jesteś odrażająca - powiedział. - Nie zasługujesz na to, aby nosić nazwisko Harrisonów. Całe szczęście, że twoja biedna matka tego nie widzi. No, moja panno, co powiesz na swoje usprawiedliwienie?

Francie walczyła z napływającymi łzami.

- Mama nigdy by mnie tak nie zostawiła - wybuchnęła - nigdy nie zamknęłaby mnie!

- Twoja matka - Harrison przerwał lodowatym tonem - zrobiłaby dokładnie to, co ja bym kazał. I ty również tak postąpisz.

Rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu z rękami złożonymi na brzuchu i patrzył na córkę. Francie nerwowo przestępowała z nogi na nogę, unikając jego wzroku.

Wreszcie przemówił:

- Oczekuję przeprosin, Francesco. A może wcale nie żałujesz, że wywołałaś skandal? Dziewczynka spuściła głowę.

- Przepraszam, tatusiu - wyszeptała.

Wstał, zdjął marynarkę i powiesił starannie na oparciu krzesła. Wziął z biurka skórzaną smycz, wskazując na stołeczek.

- Pochyl się! - rozkazał.

- Ależ to smycz Księżniczki! - krzyknęła zdumiona.

- To prawda - potwierdził ojciec. - Skoro zachowujesz się jak bezpańska suka, to tak będziesz traktowana. Podnieś spódnice.

- Tatusiu - protestowała, gdy Harrison mocno chwycił ją za ramię.

- Pochyl się! - ryknął i Francie, śmiertelnie przerażona, opadła na stołeczek.

Krzyczała, gdy palące razy cięły pośladki. Z delikatnej skóry trysnęła krew i zabrudziła bieliznę.

W holu pięcioletni Harry Harrison zatykał uszy i wykrzywił buzię, słysząc krzyki dobiegające z gabinetu. Wyobrażał sobie, co tam się dzieje. Ale ojciec powiedział mu, że siostra zasługuje na karę, bo jest zła i nic nie warta, zhańbiła nazwisko, a nie ma nic ważniejszego niż dobre imię i pozycja Harrisonów.

Po paru minutach krzyki ucichły. Dobiegało tylko ciche szlochanie Francie i basowy głos ojca, który kazał jej wstać. Rozległ się trzask otwieranej szuflady i dziewczynka krzyknęła znowu śmiertelnie wystraszona.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Harrison z pistoletem w dłoni.

- A teraz rozprawimy się z drugą suką! - ruszył w stronę wyjścia na podwórze.

- Nie! - Francie pobiegła za ojcem. - Nie, tatusiu, nieee!

Przez uchylone drzwi Harry widział ojca zmierzającego do stajni. Parobkowie oderwali się na chwilę od zajęć, z szacunkiem podnosząc czapki, ale żaden nie zatrzymał zrozpaczonej dziewczynki.

Francie usłyszała radosne szczekanie Księżniczki za odmykanymi drzwiami. Pies skoczył do niej i dziewczynka przytuliła go w obronnym geście. Czowała na twarzy ciepły język Księżniczki, zlizującej słone łzy.

- Nigdy nie pozwolę ci zastrzelić Księżniczki, nigdy! - krzyknęła do ojca. - Musiałbyś mnie najpierw zabić.

Harrison dał znak parobkowi, aby odsunął małą. Mężczyzna siłą oderwał jej szczupłe ramionka od psa. Harmon zbliżył się i chwyciwszy obrożę Księżniczki przyłożył pistolet do potężnego łba.

- Nie! Tatusiu, nie! - krzyczała Francie. - Przepraszam cię za wszystko, zrobię, co tylko każesz, obiecuję... tylko proszę, błagam cię, nie zabijaj jej...

Mały Harry zasłonił uszy, gdy pojedynczy strzał odbił się echem od muru ogradzającego podwórko. Widział, jak psisko powoli pada na ziemię z ogromnym zdziwieniem w bursztynowych ślepiach. Zrobiło mu się niedobrze. No, ale przecież ojciec miał rację. Wyjaśnił mu wszystko, gdy spacerowali po pokładzie statku w drodze powrotnej do domu. Bez żalu więc spojrzął na szlochającą, roztrzęsioną siostrę.

Służba plotkowała i wkrótce w eleganckich salonach San Francisco powtarzano, że milioner Harrison więzi córkę w służbówce z kratami w oknach i za karę zastrzelił psa, że wynajął srogą guwernantkę, która miała uczyć Francie francuskiego, szycia oraz wpoić jej surowe zasady moralne.

Każdy dźwiga swój krzyż - szeptano przy herbacie. - Ale młody Harry to co innego, przystojny jak ojciec, ze wspaniałymi manierami i nosi się niczym prawdziwy arystokrata. Na pewno zajdzie daleko i odziedziczy miliony ojca.

Wkrótce zapomniano o dziewczynce. Dziesięć lat spędziła w mrocznym pokoiku na czwartym piętrze. Uczyła się francuskiego, haftowała kwiaty na serwetkach, których nikt nie używał, i codziennie spacerowała z guwernantką, która co tydzień składała raport o zachowaniu dziewczynki. Za nadmiar przewinień ojciec wzywał ją do gabinetu i bił smyczą Księżniczki.

Harry wyjechał do szkoły przygotowawczej na Wschodzie, więc Francie widywała go tylko podczas wakacji. Wyrósł na aroganckiego, bezczelnego chłopaka, który do służby odnosił się z pogardliwym lekceważeniem, ale w towarzystwie był gładki jak jedwab. Siostrę ignorował. Francie uznała, że takie zero nie zasługuje na uwagę. Dokładnie przypominał ojca.

Uwięziona we własnym domu uciekała w świat wspomnień. Tęskniła za matką i Księżniczką, marzyła o minionych dniach na starym ranczo, gdy była naprawdę szczęśliwa.

Rozdział 7

Josh Aysgarth ze swym marzycielskim usposobieniem i zniewalającym uśmiechem podbijał wszystkie serca. On i Sammy Morris różnili się niczym ogień i woda.

Sammy był ciemnowłosy i masywny, a Josh jasny i smukły. Sammy szybko wpadał w gniew oraz miewał zmienne nastroje, Josh zaś rzadko złościł się i w każdym dostrzegał coś dobrego. Mimo to byli nierozłączni w szkole, w czasie zabaw i psot, jakim z lubością oddają się uczniacy.

Toteż przeprowadzkę rodziny Aysgarthów do dużego domu na lesistym wzgórzu Sammy odczuł jako cios. Dom z czerwonej cegły, otoczony laurowymi krzewami, składał się z czterech sypialni i drewnianej werandy. Frank nazwał go „Bluszczową Chatką”, choć w pobliżu nie rósł ani jeden pęd bluszczu. Mieszkańskie, solidne umeblowanie świadczyło o tym, że Frank wspina się niestrudzenie ku wymarzonej, oznaczającej bezpieczeństwo i stabilizację, klasie średniej.

Sammy był zdruzgotany, gdy Josh pierwszy raz wspomniał o przeprowadzce.

- Przez całe życie mieszkaliśmy w pobliżu, a teraz wynosisz się o całe mile stąd - wybuchnął siłą powstrzymując łzy bezsilnej złości. - Już nigdy się nie zobaczymy.

- Oczywiście, że będziemy się spotykać - odparł Josh, obejmując przyjaciela. - Jesteśmy przecież nierozłączni.

I rzeczywiście prawie cały tydzień Josh mieszkał w domu Sammy'ego, skąd miał znacznie bliżej do szkoły, gdyż na wzgórze nie jeździły tramwaje. A weekendy prawie zawsze spędzali u Josha.

- Sammy nie umiałby chyba żyć bez Josha - mówiła pani Morris do Annie. - Czasami myślę, że gdyby przyszło mu do głowy skoczyć w ogień, Sammy zrobiłby to samo.

Annie uśmiechnęła się, ale pani Morris widziała, że jest bardzo zmęczona. Miała dwadzieścia lat, pulchną figurkę, śliczne brązowe oczy i lśniące, bujne ciemnobrązowe włosy. Wszyscy zgadzali się co do tego, że brak jej osobistego życia. Czasami w pogodną sobotę wyrывała się z domu choć na dwie godziny, ale zawsze sama. Nie miała koleżanek, ponieważ opuściła szkołę tak wcześnie. Czasami jeździła tramwajem aż do pętli i wędrowała po lesie albo jechała pociągiem do Ilkley czy Knaresborough i spacerowała po mieście, po czym odpoczywała w jednej z małych herbaciarni. Ale najbardziej lubiła całodzienne wyprawy z chłopcami na wrzosowiska lub do rozległych dolin wśród urwistych skał. Chłopcy mogli tam biegać i krzyczeć do woli, wspinać się na skały i nikt nie narzekał, że zbyt hałasują.

- Już nie wiem, co bardziej lubię, pani Morris - mówiła, gdy odprowadzili Sammy'ego do domu. Policzki poróżowiały jej od świeżego powietrza, a brązowe włosy rozwał wiatr. - Doliny wiosną są piękne, młodziutkie liście zieleńią na drzewach. Jagnięta bawią się w słońcu albo chowają przed deszczem pod brzuchami matek. A w strumieniu widać skaczące węgorze. To naprawdę wspaniałe. Ale kiedy widzę wrzosowiska jesienią... Stoi się na wierzchołku skały jak nad brzegiem fioletowego morza - urwała i uśmiechnęła się do pani Morris znad filiżanki herbaty. - No, dosyć tych marzeń. Muszę pomyśleć o obiedzie dla ojca. Co prawda zostawiłam mu zimne mięso, ale wie pani, jak kaprysi...

- O, tak - Sally odparła z przekąsem. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, Annie Aysgarth, powinnaś bardziej zadbać o siebie. Najwyższy czas, żebyś poznała jakiegoś miłego chłopca. Moja droga, jesteś dobrą partią... I ładną dziewczyną - dodała po chwili.

Annie, zmieszana, zarzuciła na ramiona wełnianą pelerynę i szybko zbierała swoje rzeczy.

- Może... gdy Josh już dorośnie i odejdzie z domu.

- Wówczas będzie już za późno - odparowała pani Morris. - Zostaniesz starą panną, bo nikt tak długo nie zaczeka na ciebie.

Annie oblała się rumieńcem.

- Widać takie jest moje przeznaczenie - odparła śpiesząc do drzwi. - Może Bóg tak chce.

Sally Morris patrzyła za oddalającą się dziewczyną. Do Ivy Cottage prowadziła długa droga pod górę, a Frankowi w głowie nawet nie zaświtało, aby dać córce pieniądze na dorożkę. Zawsze mówił, że powinna robić użytek z młodych nóg.

Wszyscy widzieli, jak pod ciężarem obowiązków przemija jej młodość. Żyli samotnie w domu na wzgórzu. Sally powtarzała, że Frank dawno powinien sprzedać Ivy Cottage i wrócić na Montgomery Street. Wtedy Annie miałyby towarzystwo i może spotkałyby kogoś odpowiedniego. Ale to tylko marzenia, bo gdyby córka wyszła za mąż, ojciec straciłby dobrą gospodynię, a na to jest zbyt wielkim egoistą.

Po powrocie zastała ojca, jak zwykle, przy dębowym stole palącego fajkę.

- Przepraszam za spóźnienie, tatusiu - powiedziała szybko, wieszając pelerynę na mosiężnym haczyku na kuchennych drzwiach. Krzątała się po kuchni, dorzuciła węgla i wstawiła wodę w wielkim blaszanym czajniku. - Za chwilę podam herbatę. W piecyku zostawiłam ragout z cielęciny, bo na obiad było tylko zimne mięso...

- Przestań paplać i usiądź na chwilę, Annie - przerwał ojciec. Zaskoczona spojrziała na ojca z obawą. To prawda, spóźniła się trochę, ale wiedział przecież, że pojechała na wrzosowiska, więc chyba nie o to chodzi... Wszystkie koszule, czyste i uprasowane, leżały w szufladach, a skarpetki starannie zacerowała. W całym domu nie było ani pyłka... chyba że coś stało się z chłopcami.

- Czy chodzi o Josha? - zaniepokoiła się, siadając naprzeciw ojca.

- Nie. Chodzi o ciotkę Jessie. To kuzynka twojej matki, widziałas ją na pogrzebie. Ostatnio mieszkała w Northumberland, a teraz zmarła i zapisała ci mały spadek, choć nie rozumiem, dlaczego nie dostali go chłopcy - stwierdził, ugniatając tytoń w fajce i wypuszczając smugi ostrego, gryzącego dymu.

- Spadek? - powtórzyła Annie w osłupieniu.

- Tak, córko. Sto funtów, przez pamięć dla matki. W każdym razie tak jest w testamencie. To dużo więcej pieniędzy, niż mężczyzna zarabia w ciągu roku, więc nie pozwolę ci ich wydać na sukienki, futrzane kołnierze i jakieś świecidełka, tylko wpłacę do banku.

Brazowe oczy Annie jeszcze bardziej zaokrągliły się.

- Ale to moje pieniądze - powiedziała wolno. - Ciocia Jessie mnie je zostawiła.

Frank w zamyśleniu palił fajkę. Nie był przyzwyczajony do protestów córki.

- Tak - przyznał po chwili - teraz dziewczęta nie mają kont bankowych, więc poleżą na moim, aż do chwili, kiedy naprawdę będą ci potrzebne.

W oczach Annie pojawił się gniew. Sto funtów to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek spodziewała się ujrzeć, więc teraz gorąco zapragnęła niepodzielnie dysponować całą sumą.

- Ciocia Jessie zostawiła je mnie, tatusiu - powtórzyła. - Mam prawo zrobić z nimi, co zechcę.

Frank odsunął krzesło, starannie umieścił fajkę w dużej szklanej papierośnicy i powiedział lodowatym tonem:

- Nie masz żadnych praw, Annie Aysgarth, i nie zapominaj o tym. Spełnisz moje polecenia.

Annie opuściła głowę. Z żalem popatrzyła na czerwone od pracy, zniszczone ręce.

- Biedna ciotka Jessie - szepnęła, bezradnie połykając łzy. - Dopiero spoczęła w grobie, a my już kłócimy się o jej pieniądze.

Znowu spojrziała na ojca.

- Tatusiu? - zaczęła błagalnym głosem - nigdy jeszcze o nic cię nie prosiłam. - Patrząc na jego spokojną, niewzruszoną twarz traciła wszelką nadzieję. Te funty stały się nagle symbolem wolności, którą w przyszłości kupiłaby za nie... gdy Josh już dorośnie, zakocha się w ładnej dziewczynie i odejdzie od nich...

Wstrzymała oddech, widząc cień wahania na twarzy ojca. Usiadł przy stole i ponownie nabijał fajkę.

- Tak - mruknął - przez pamięć dla matki. To ostatnia wola ciotki... ale lepiej trzymaj je w bezpiecznym miejscu. Nie będę odpowiadał, gdy zginą.

Annie skoczyła na równe nogi z oczyma rozjaśnionymi wdzięcznością. W pierwszym odruchu chciała rzucić się ojcu na szyję, ale nigdy nie okazywali sobie czułości. Powiedziała tylko:

- Dziękuję, tatusiu. Jutro pomodłę się za duszę ciotki Jessie i podziękuję, że o mnie pamiętała. Nie martw się, schowam pieniądze pod materac, nikt ich tam nie znajdzie.

Podeksytowana przygotowywała kolację. To była sobota i lada chwila powinni zjawić się chłopcy. Ojciec życzył sobie, aby wszyscy zasiadali do stołu punktualnie o szóstej. Annie spieszyła się jak zawsze, ale tym razem codzienne obowiązki nie ciążyły jej wcale. Postanowiła, że pieniądze, które tak niespodziewanie odziedziczyła, zachowa na czarną godzinę.

Rok 1906 był tragiczny dla rodziny Aysgarthów. Josh skończył 19 lat i wyrósł na pięknego chłopca. Miał posągowe rysy, szare oczy ozdobione długimi rzęsami i bujną, ciemnoblonde czuprynę. Wysoki, muskularny i smukły wyglądał niczym grecki bożek, ale najbardziej przyciągały ludzi jego szczere spojrzenie i łagodny uśmiech.

- Josh Aysgarth chodzi swoimi drogami - zgadzali się wszyscy - ale to dobry chłopak. Nie potrafiłby skrzywdzić nikogo, pomoże nawet kulawemu psu.

Sammy Morris doskonale pamiętał dzień, w którym zdał sobie sprawę, jak bardzo jest brzydki w porównaniu z pięknym przyjacielem. Zrozumiał też, że kocha Josha.

Wraz z innymi chłopcami wybrali się na wrzosowiska. Na czele grupy szedł Josh, wysoki, smukły, uśmiechnięty i zachwycony otaczającą go przyrodą. Bez wysiłku wspinał się po rozlicznych skałach i głazach. Sammy z trudem dotrzymywał kroku innym, z zazdrością obserwował przyjaciela, wodzącego rej wśród rozbawionych kolegów. Nie przywykł do tego, aby dzielić się Joshem z innymi. Zawsze byli tylko we dwóch.

Gdy dochodzili do rzeki, Sammy włókł się z tyłu odrętwiały ze zmęczenia. Chłopcy już rozebrani wchodzili do spokojnej tutaj zatoczki pod osłoną wysokiego brzegu.

Josh stał na szczycie skały, nagi jak go pan Bóg stworzył, i z uśmiechem wpatrywał się w ciemne lustro wody. Skupiony wyprostował ramiona do skoku, a obserwujący go koledzy zamilkli pełni podziwu. Sammy wstrzymał oddech widząc doskonale wyrzeźbione ciało Josha, który lekko odchylił głowę i kreśląc w powietrzu idealny łuk przeciął dłońmi wodę tak gładko, że najmniejsza zmarszczka nie pojawiła się na powierzchni. Wypląnął błyskawicznie i ze śmiechem wspinał się po skałach. Z jasnych włosów spadał deszcz kryształowych kropel. Mówił coś do Murphy'ego, krępego Irlandczyka z sąsiedztwa, i objął go ramieniem.

Sammy patrzył jak rażony gromem. Czuł, że piekący ból skręca mu wnętrzności.

Nigdy przedtem nie doświadczył takich mąk zazdrości. Josh należał do niego, ale był nieobliczalny, miewał kaprysy. Lubił towarzystwo innych chłopców nie mniej niż Sammy'ego. A teraz wybrał Murphy'ego.

Sammy rozebrał się i skulił ramiona. Drżał z zimna, gdyż w Yorkshire nawet w upalne dni wiał chłodny, przenikliwy wiatr z północnego wschodu. Porównywał swój krępy tors i krótkie, masywne nogi z posagową sylwetką Josha. Poczul się brzydszy od karła z Notre Dame.

Josh i Murphy raz po raz znikali pod wodą, kolejno skakali w głębinę. Inni pływali bliżej brzegu, rozpryskując wokół fontanny wody. Wreszcie i Sammy ostrożnie zanurzył się w rzece, ale nie dołączył do kolegów, tylko obserwował ich z oddali. Toteż wszyscy dziwili się, że nie pamiętał, co nastąpiło później.

Matce powiedział, że dokazywali w wodzie, a Josh i Murphy popisywali się coraz śmielszymi skokami. Po pewnym czasie inni zmęczeni wyszli na brzeg i wygrzewali się na słońcu. Twierdził, że Murphy musiał wypłynąć z zatoczki w nurt rzeki, prawdopodobnie chciał jeszcze raz popisać się przed Joshem. Dopiero po pewnym czasie koledzy zorientowali się, że znikną.

Po dwóch dniach znaleziono jego ciało zaplątane w muliste wodorosty na drugim brzegu rzeki. Miał rozbitą głowę i mówiono, że zapewne uderzył o skałę podczas nurkowania.

Annie wypytywała Josha, co się stało, ale chłopak wzruszył tylko ramionami i milczał. Zazwyczaj potrafiła wyczytać wszystko z oczu brata, ale nie tym razem.

Patrzył w dal nieobecny wzrokiem. Pomyślała, że widocznie czyni sobie jakieś wyrzuty i pocieszająco poklepała go po ramieniu. - Nie martw się - powiedziała.

- Przecież pomógłbyś Murphy'emu, jestem tego pewna.

Sammy i Josh pracowali dla Franka Aysgartha od czternastego roku życia, gdy zakończyli naukę. Zaczynali, jak Frank, od wspinałki na rusztowania z drewnianym kozłem pełnym cegieł, mieszania cementu i równego układania ścian.

Uczyli się też wymierzania odległości, pokrywania dachu i tynkowania.

Sammy uwielbiał tę prostą, fizyczną pracę, Josh nie cierpiał, choć nigdy nie odważył się narzekać przed ojcem. Zwierzył się tylko Annie. Oprócz Sammy'ego wyłącznie jej ufał. Dwaj bracia ożenili się już i wyprowadzili z domu. W Ivy Cottage pozostali jedynie Frank, Annie i Josh.

Spojrzała na brata z wyrazem zatroskania w brązowych oczach.

- Więc co chciałbyś robić? Chłopak wzruszył ramionami.

- Może zostałbym gajowym w jakimś bogatym majątku albo farmerem - fantazjował.

- Ależ marzyciel z ciebie - roześmiała się. - Co ty wiesz o leśnictwie czy o prowadzeniu farmy?

Sammy widział, że siostra martwi się o Josha.

- Czasami nie wiem, gdzie jest i co robi. Po prostu znika - żaliła się.

- Nie martw się - pocieszał ją. - Zawsze będę się nim opiekował.

Pamiętał, jak w wieku siedmiu lat przyrzekli sobie dożgonną przyjaźń.

Przypiętowali to krwią, przyciskając skaleczone kciuki i uroczyście wypowiadając słowa przysięgi. Dotrzymał słowa, choć Josh nieraz wystawiał go na próbę, zapominając o nim w towarzystwie kolegów. Ale i on wypróbował przyjaciela, wyzywając go do ryzykownych popisów, na które sam by się nigdy nie odważył, jak przechodzenie po zewnętrznej, wąskiej kładce na moście kolejowym, czy przebieganie tuż przed dudniącym, rozpędzonym parowozem, gdy dosłownie sekundy dzieliły go od śmierci pod żelaznymi kołami. Ale nie mógł ścierpieć, gdy Josh zainteresował się dziewczętami.

- Daj spokój - mówił z niesmakiem, gdy mijali ponętne panienki. - Co ty w niej widzisz? - pytał, gdy Josh próbował flirtować z dziewczyną ze sklepu spożywczego. Ta sama, paląca zazdrość skręcała mu wnętrzności aż do bólu. Myślał wtedy, że chyba umrze z męki i powtarzał sobie, że będą razem na wieki, cokolwiek się stanie.

Annie nie rozumiała nagłej zmiany w zachowaniu brata. Codziennie wracał do domu po pracy, mył się i w milczeniu siadał do obiadu. Zupełnie jak ojciec, ale rzecz w tym, że Josh nigdy nie był taki. Przez cały tydzień nie wychodził wieczorami i Sammy nie odwiedził go ani razu. Nie chciał nawet czytać gazety. Zresztą, wcale nie dziwiła się, na pierwszej stronie opisano tę straszną zbrodnię. Już druga w krótkim czasie, za każdym razem mordowano młodą dziewczynę przy pełni księżyca, księżycowe morderstwa" - zatytułowano reportaż. Żadna młoda kobieta w Leeds nie czuła się bezpieczna.

Zegar na kominku - ten sam mahoniowy zegar, który ojciec kupił mamie na oświadczyzny - wygrywał słodkie westminsterskie I kuranty i wybił dziewiątą.

Annie z westchnieniem odłożyła druty i zaczęła uprzątać pokój.

- Coś się stało, prawda? - zagadnęła brata. - Dlaczego mi nie powiesz? Przecież to na pewno nic złego. Czuję, że się po prostu zakochałeś. - No proszę, opowiedz nam o niej. Może ci pomogę.

Ale Josh znów tylko pokręcił głową i przymknął oczy.

- Nikt nie może mi pomóc - powiedział ponuro. - Annie, proszę, zostaw mnie w spokoju.

Noc była zimna, mróz namalował nieforemne figury na szybach, lodowaty wiatr wciskał się przez szpary w zimowych, ciepłych zasłonach. Annie rozebrała się szybko, włożyła różową flanelową koszulę nocną i ciepłą lizeskę, którą zrobiła na drutach. Umyła twarz i przeciągnęła długie, brązowe włosy ostrą szczotką dokładnie sto razy, by nazajutrz błyszczały. Potem spojrzała na swoje odbicie w lusterku i nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

Sally Morris powiedziała jej w oczy to, co wszyscy powtarzali za plecami: że nie jest już taka ładna i wesoła jak dawniej, na twarzy pojawiły się już pierwsze zmarszczki i że nawet ze sposobu chodzenia widać, jak jest przemęczona. Ojciec obciążył ją obowiązkami ponad siły. W wieku dwudziestu sześciu lat nie miała żadnego adoratora. Ludzie mówili, że Frank na zawsze uwięzi przy sobie córkę, gdy Josh ożeni się. Całe życie spędzi z robótką na drutach jako stara panna i nudna ciotka zapomniana przez braci, bez dzieci, które osłodziłyby jej starość.

Annie opadła na łóżko. Ukryła twarz w dłoniach. Na flanelową koszulę kapały wielkie łzy. Miała dopiero dwadzieścia sześć lat i żadnych perspektyw na przyszłość.

Po chwili uklękła na podłodze i z zamkniętymi oczami modliła się za zmarłą matkę, Teddiego, Bertę i Josha, który teraz uświadomił jej, jak bardzo sama jest nieszczęśliwa. A potem modliła się za siebie. - Dobry Boże - błagała - spraw, bym poznała prawdziwe życie, aby ktoś mnie pokochał. Pozwól mi choć raz zakosztować niecodziennych wydarzeń. I pozwól mi mieć własne dzieci, wówczas łatwiej rozstanę się z Joshem, gdy nadejdzie czas...

Gorąca cegła owinięta flanelą ogrzewała skrawek pościeli i Annie z przyjemnością oparła o nią zziębnięte stopy. Ale przed zaśnięciem, długo jeszcze myślała o Joshu, o sobie, i o tym, czy jej modlitwy zostaną wysłuchane.

Tragedia nastąpiła kilka tygodni później. Na pozór wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Josh znowu spędzał większość wolnego czasu w towarzystwie Sammy'ego, ojciec - jak zwykle każdego wieczoru - krztusił się dymem z fajki i narzekał na obiad, Annie zaś była u kresu wytrzymałości. Poświęciła młodość dla ojca, a teraz czuła, że traci ukochanego brata. Dławiły ją rozgoryczenie i uraza.

Zimowe wieczory stały się nieskończenie długie i ciche. Tkwili w fotelach przy kominku. Annie nie umiała siedzieć bezczynnie, toteż już automatycznie nabierała i spuszczała oczka dziergając kolejny sweter lub rękawiczki. Ale myślami była daleko od Yorkshire, w świecie znanym jej tylko z gazet, w którym kobiety w satynowych sukniach balowych tańczyły z wysokimi, dystyngowanymi mężczyznami, pływały za granicę na wspaniałych jachtach, wychodziły za mąż za przystojnych księci, którzy obsypywali je klejnotami. Po prostu żyją - myślała z zawiścią. - A ja?

Tego wieczora Josh jeszcze nie wrócił, gdy szła do pokoju. Drzwi zamknęła tylko na klamkę. Rankiem wstała jak codziennie o piątej i drżąc z zimna, otulona wełnianym szlafrokiem, zeszła na dół, aby rozpaść ogień pod kuchnią. Właśnie napełniała czajnik, gdy ktoś załomotał w okno.

- Sammy! - zdumiona otworzyła drzwi. - Co tu robisz o tej porze?

- Ciiicho - przyłożył palec do ust.

Patrzyła przerażona na jego rozczochrane włosy, podartą marynarkę i zabłocone buty. Twarz miał szarą, jakby cała krew z niej uciekła, a w ciemnych oczach czaił się strach.

- Coś przytrafiło się Joshowi, prawda? - wyszeptwała, przejęta nagłym lękiem.

Niechętnie skinął głową, gdy chwyciła go za ramię.

- Czy jest ranny?

Zaprzeczył.

- Nie pytaj mnie, co się stało. Josh wpadł w tarapaty i przysłał mnie do ciebie. Powiedział, że jeśli go kochasz, to na pewno mu pomożesz. Wiesz przecież, że to dobry chłopak, naprawdę...

- O czym ty mówisz, Sammy? - Annie zapało dech z przerażenia. - Josh, w opałach, nie jest zły... Co to wszystko znaczy?

Chłopak westchnął głęboko.

- Policja go szuka i tym razem go złapią. Wyjawił mi, że masz pieniądze od ciotki Jessie pod materacem. Potrzebuje ich, żeby uciec. - Zdesperowany nagle chwycił Annie za ramiona. - On musi zbiec za granicę. Powiedział, że może pojedziemy do San Francisco, gdzie był twój ojciec. Nie pytaj o nic, Annie, daj mi tylko pieniądze. Obiecuję, że zaopiekuję się nim przez całe życie. Ale błagam, nie pytaj dlaczego.

Coś szalonego było w ciemnych oczach Sammy'ego i Annie czuła, że chłopak ukrywa historię zbyt straszną, aby ująć ją w zwykłe słowa. Ale nadal nie rozumiała, co z tym wszystkim miał wspólnego Josh. Przecież zawsze był dobrym chłopcem... Cóż takiego zrobił, że policja go ściga i musi uciekać tak daleko, aż do San Francisco...

- Annie, na miłość boską, nie ma czasu do stracenia.

Z trudem opanowała się i pobiegła na górę. Ściągnęła z łóżka ciężki materac.

Drżącą dłonią odszukała zwitek dziesięciofuntowych banknotów. Zbiegła na dół i wcisnęła pieniądze w dłoń Sammy'ego, zbyt roztrzęsiona, by dopytywać się o cokolwiek.

- Dziękuję, jesteś wspaniała - spokojnie włożył pieniądze do kieszeni i wyszedł z kuchni. Nie odwracając się nawet pobiegł do furtki.

- Zaczekaj! - zawołała Annie. - Czy Josh nie przekazał mi żadnej innej wiadomości?

Sammy zaprzeczył.

- Muszę pędzić - nerwowo rozglądał się na boki. - Bywaj, Annie.

Czuła łzy napływające do oczu.

- Powiedz, że go kocham - zawołała - i nigdy nie uwierzę, że zrobił coś złego!

Sammy chwilę popatrzył na nią tajemniczo i zniknął. W miasteczku zawrzało, gdy podano do wiadomości, że policja poszukuje Josha Aysgartha za zamordowanie trzech kobiet.

- Josh Aysgarth? - powtarzano z niedowierzaniem. - Nawet muchy by nie skrzywdził. Łagodny jak baranek i zawsze żył marzeniami. A poza tym wcale nie zwracał uwagi na dziewczęta. Przyjaźnił się z Sammym, wszędzie razem chodzili.

Pani Morris opowiedziała wszystkim, że Sammy znalazł Josha w Durrenfs Beck na pół zanurzonego w wodzie' nad ciałem dziewczyny. Powiedział, że tego nie zrobił, a Sammy, który miał zawsze lekkiego bzika na punkcie przyjaciela, oczywiście mu uwierzył. Pobiegł szybko do Annie z prośbą o pomoc. Czyż mogła odmówić? Była dla niego matką po śmierci Marty, więc dała chłopakowi sto funtów, które zapisała jej w spadku ciotka Jessie. Sammy wpadł jeszcze do domu i powiedział matce, że ucieka z przyjacielem, lecz nie wiedziała, gdzie się ukryli.

- Nie wybaczę Joshowi, że sprowadził mojego syna na złą drogę - mówiła przerażonym sąsiadom, ocierając łzy rogiem czystego fartucha. - Mój Sammy wyjechał i pewnie nigdy już go nie zobaczę.

Może Annie Aysgarth знаła miejsce pobytu chłopców, ale nie wyjawiała tego nikomu.

Dzień w dzień, jak od lat, nadal robiła zakupy u?????????', spieszyła się do tramwaju, wieczorem kupowała piwo dla ojca. Wszyscy zgodnie twierdzili, że jednego dnia postarzała się o kilkanaście lat. Biedna Annie kochała chłopca jak własnego syna, i nie wyda go choćby za tysiąc lat.

Natomiast Frank Aysgarth nigdy już nie opuścił Ivy Cottage, od kiedy te straszliwe nagłówki pojawiły się w gazetach. Osiwiał zupełnie i spędzał dni w samotności, pod opieką wiernej córki Annie.

Rozdział 8

Smutne dzieciństwo Francie upływało powoli, kolejny rok podobny był do poprzedniego. W dniu osiemnastych urodzin wyskoczyła z łóżka, pokrytego wciąż starym pagórkowatym materacem i podbiegła do lustra, ciekawa, czy jako osoba pełnoletnia choć odrobinę zmieniła się. Ale buzia w lustrze nie wyglądała ani odrobinę doroślej niż wczoraj.

Po popołudniu ojciec wezwał ją do gabinetu. Dziewczyna stanęła przed nim posłuszenie z dłońmi splecionymi z tyłu i spuszczonej oczami. Nienawidziła go każdym włókniem swego ciała.

Harrison zmarszczył brwi patrząc na córkę. Skończyła osiemnaście lat, ale trudno będzie wydać ją za mąż. Oczywiście za pomocą dobrego posagu na pewno znalazłby narzeczonego dla Francie, ale przecież jego córka nie poślubi kogokolwiek. Wszak urodzi mu wnuki, które nie mogą przynieść wstydu nazwisku Harrisonów.

Zastanawiał się, co zrobić, aby Francie zaprezentowała się korzystnie wśród elity San Francisco. Przede wszystkim musi nauczyć ją dobrych manier, aby wszyscy zapomnieli o opinii dzikuski, i poszukać stosownego kandydata na męża.

Jeżeli plan zawiedzie, rozpowie, że odziedziczyła po matce słabe zdrowie i wysła ją na ranczo.

Francie stała spokojnie, z oczami utkwionymi w podłogę, a Harrison zauważył nagle, że jest bardzo wysoka, ma smukłą sylwetkę, jasną i delikatną cerę oraz lśniącej blond włosy. Piersi pod wełnianą sukienką były małe, ale kształtne. Trochę towarzyskiej oglądy i stanie się atrakcyjną partią, zwłaszcza że może wnieść całkiem pokaźny posag. Lecz w zamian Harrison oczekuje tytułu arystokratycznego. Nie zadowolony się niczym innym.

- A zatem skończyłaś dzisiaj osiemnaście lat, Francesco. - odezwał się wreszcie.

Spojrzała na ojca zdziwiona. Nigdy nie wspominał o jej urodzinach i była pewna, że i teraz zapomni.

- Powiedz pannie James, żeby przyszła do gabinetu o trzeciej. Mamy sporo spraw do omówienia.

- Tak, ojczy - odparła. Ukłoniła się i z pochyloną głową czekała, aż pozwoli jej odejść.

Harrison był zadowolony ze swego pomysłu. Może upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozbędzie się z domu niechcianej córki i doda splendoru nazwisku.

Ale zdawał sobie sprawę, że sam tego nie dokona. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer pani Brice Leland, jednej z najbardziej wpływowych dam w San Francisco.

Wyznał, że potrzebuje rady oraz pomocy i natychmiast otrzymał zaproszenie na popołudniową herbatę. Przybierając pozę zmartwionego ojca, wyjaśnił, że ma nieobytą w towarzystwie córkę z trudnym charakterem. Oczywiście starał się wychować ją jak najlepiej, ale pani Leland na pewno doskonale rozumie, iż samotny mężczyzna z trudem radzi sobie z dorastającą panną. Francie chowała się bez matki, jest nieśmiała, a skończyła już osiemnaście lat i należałoby wprowadzić ją do towarzystwa. Potrzebuje kobiecej ręki...

Brice Leland była w swoim żywiole. Prośba Harrisona pochlebiała jej, a poza tym pomyślała od razu o niezamężnych siostrzenicach, które przedstawi Harmonowi na balu. Harrison był niezwykle atrakcyjną partią. O jego niesamowitej fortunie wciąż szeptano w salonach San Francisco, ale na razie nie dał się złowić na żaden haczyk.

Już wieczorem guwernantka powiedziała Francie, że ojciec zamierza wprowadzić ją do towarzystwa.

- Po co? - wyszeptwała przerażona. - Nie znam nikogo z tych ludzi. Cóż ja ich obchodzę?

- To życzenie twojego ojca - odparła panna James przeglądając listy fryzjerów, krawcowych, szewców, rękawiczników, szkół tańca i kursów dobrych manier, które otrzymała od pani Leland. - Ojciec wyda bal dla ciebie za dwa miesiące, więc zaczynamy od zaraz.

Nazajutrz ubrano Francie od stóp do głów, na każdą możliwą okazję, w najelegantszym salonie w San Francisco. Zakupiono piękne, jasne wełniane spódnice z zakietami, koronkowe bluzki z żabotami, koktajlowe suknie z jedwabiu i szyfonu oraz przepiękną suknię balową z aksamitną pelerynką. Do każdego stroju odpowiednie buty, pończochy, rękawiczki, a także koronkowe parasole, słomiane kapelusze przystrojone kwiatami i wykwiłtne ozdoby z piór do włosów. Dotychczas Francie ubierała się głównie w kretonowe i barchanowe sukienki, więc szelest marszczonych halek z tafty i miękkość jedwabnych domowych pantofelków przyprawiał ją o przyjemny dreszcz emocji. Ale spojrzawszy w lustro, mimo eleganckiego stroju, traciła pewność siebie. Czuła się jak wiejska, robocza szkapina przystrojona uroczyście wstążkami, wśród pełnokrwistych, szlachetnych i pełnych wdzięku klaczy.

Na szczęście, nie miała zbyt wiele czasu na zmartwienia. Prosto od krawcowej biegła na kurs dobrych manier, gdzie uczono ją, że dama powinna siedzieć ze stopami ukrytymi pod suknią, jak posługiwać się wachlarzem i chodzić w sukni z trenem.

Uczyła się także sztuki towarzyskiej rozmowy na przyjęciach i podczas damskich herbatek, a na lekcjach tańca - polki i walca. Po sześciu tygodniach zakończyła edukację i ojciec zażądał, aby uczestniczyła w podwieczorku, na który zaproszono znajome damy z towarzystwa.

W jedwabnej błękitnej sukni z żorzęty, która doskonale pasowała do koloru jej oczu, z bijącym sercem schodziła po dębowych schodach. Po raz setny zastanawiała się, dlaczego ojciec nagle postanowił uczynić z niej gwiazdę. Zatrzymała się przed gabinetem z tym samym lękiem, który towarzyszył jej od dzieciństwa.

Wyprostowała się jednak, uniosła brodę do góry i zapukała.

- Wejść! - zagrzmał bas.

Ojciec obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

- Odwróć się - rozkazał. - Przynajmniej raz wyglądasz przyzwoicie - przyznał. - Podziękuj pani Brice Leland za pomoc i zachowuj się jak dama. Oczekuję, że nie przyniesiesz wstydu rodzinie. Zrozumiałaś?

- Tak, papo - skinęła głową.

Idąc do drzwi czuła na sobie jego wzrok. Ze zdenerwowania potknęła się o suknię.

- Na miłość boską, Francesco, czyż nie umiesz jeszcze chodzić przyzwoicie? - wybuchnął.

- Przepraszam, papo - Francie zagryzła wargi, pewna, że stanie się pośmiewiskiem całego towarzystwa.

Pani Brice Leland mieszkała w rezydencji zbudowanej z kamienia na wzór włoskich pałaców. Wśród ścian pokrytych dębową boazerią królowały meble w stylu Ludwika XIV i setki donic z palmami. Sześć dam siedziało na małych, wyściełanych brokatem krzesłach wokół pani domu, która trzymała srebrny dzbanek do herbaty niczym królowa berło. Pani Brice Leland wyglądała rzeczywiście po królewsku w sukni z czerwonej koronki i „popołudniowych” diamentach. O wiele większe i wspanialsze zakładała wieczorem, wspominając, że odziedziczyła je po babce. Co prawda wszyscy podejrzewali, że wraz z mężem nie mieli nawet grosza przy duszy, nie wspominając o biżuterii, aż panu Lelandowi dopisało szczęście na złotodajnych polach Kalifornii, ale głośno nikt o tym nie mówił. Dopóki konta bankowe były wystarczająco wysokie, nawet najbardziej niewiarygodne opowieści o przodkach przyjmowano za dobrą monetę.

Panie, wszystkie w eleganckich jedwabnych sukniach i klejnotach, drobnymi łyżkami piły chińską herbatę z kruchych filiżanek Wedgwooda i próbowały znakomitych słodczy, przygotowanych przez francuskiego kucharza. Wreszcie lokaj zaanonsował Francie i wszystkie odwróciły się w stronę drzwi, potrząsając piórami na kapeluszach jak stado ptaków.

Pani Brice Leland uśmiechnęła się:

- Proszę bardzo, oto tajemnica Harrisonów. - Po czym, obejrzawszy Francie od stóp do głów, dodała: - Ale trzeba przyznać, że całkiem ładna. Zbliź się, dziecko - wezwała Francie królewskim gestem. Zmarszczyła brwi, gdy dziewczyna potknęła się o turecki dywan. Przedstawiła ją zgromadzonym damom i powiedziała:

- Siądź koło mnie, Francesco. Chciałybyśmy dowiedzieć się czegoś o tobie. Twój ojciec prosił nas o pomoc i zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Wyglądasz wspaniale. Ojciec może być z ciebie dumny.

- Dziękuję pani - Francie oblała się rumieńcem. Ścisnęła w dłoni filiżankę, odmawiając cieniutkiej kanapki z ogórkiem. Bała się, że upuści ją na podłogę, a poza tym nic nie przełknęłaby ze strachu.

Dziwiła się, jak przetrwała następne 45 minut, ale chyba wypadła nie najgorzej, bo panie pożegnały ją uśmiechami, a jedna powiedziała:

- Kochanie, urządzam jutro podwieczorek dla córki. Może przyszlabyś, poznasz dziewczęta w twoim wieku? - Zaproszenie brzmiało serdecznie, ale perspektywa spotkania rówieśnic przeraziła Francie. Obawiała się, że wypadnie fatalnie.

Przewidywania jej spełniły się co do joty. To prawda, nie różniła się od nich, w różowej jedwabnej sukni z bufiastymi rękawami i kokardami na ramionach, siedziała jak dama i rozmawiała uprzejmie z innymi. Ale nie miała pojęcia, o czym i o kim szczebiocą tak wesoło. Nie znała ich szkół, przyjaciół, ani przyjęć, które wydawały. Czuliła się trochę jak gość z innej planety i one chyba też tak uważały, wymieniając ukradkowe spojrzenia i lekceważące uśmiešky. Na widok pochylonych i kunsztownie uczesanych dziewczęcych główek szepczących coś najwyraźniej nie przeznaczonego dla jej uszu, płonęła z upokorzenia.

Ale wszyscy przyjęli zaproszenie na kolację, którą tydzień później Harmon Harrison wydawał dla córki. Z wyjątkiem Franceski, całe miasto wiedziało, że ojciec szuka męża dla kłopotliwej panny.

Przez kilka dni cały dom żył przygotowaniami do balu. Parkiet w sali balowej froterowano do połysku co najmniej tuzin razy i posypano francuską sproszkowaną kredą, na lśniących kryształowych żyrandolach zapalono setki świec, girlandy jasnych róż oplatały marmurowe kolumny, spływały ze ścian i piętrzyły się w ogromnych bukietach. Stoły uginały się pod ciężarem półmisek, wyrzeźbione w lodzie łabędzie wdzięcznie kusily gości porcjami czarnego kawioru. Ogromne, również lodowe rogi obfitości wypełniały świeże, różowe ostrygi. Na tuzinach srebrnych półmisek piętrzyły się pieczone mięsa, świeże szparagi, kiście wielkich winogron, brzoskwinie, figi oraz mnóstwo ciast, ciastek i tortów, misternych lodowych sufletów i kolorowych galaretek.

Fontanna szampana tryskała na wysokość ośmiu stóp. Zatrudniono kelnerów do obsługi gości.

Piętnastoletni Harry został wezwany do domu. Wraz z ojcem i siostrą witał gości w wielkim marmurowym holu. Wzrostem dorównał już Francie, był barczysty, przystojny i do złudzenia przypominał ojca. I podobnie jak ojciec, ani słowem nie odzywał się do niej.

Francie miała piękną, sutą suknię z delikatnej białej koronki, ułożoną na sześciu różowych halkach z tafty, obszytą wąską purpurową aksamitką. Do tego białe, jedwabne pończochy, haftowane atłasowe pantofelki i białe gienzowe rękawiczki. Na upiętych wysoko jasnych włosach lśniła diamentowa tiara, a do stanika sukni wpięto purpurowe róże.

Josh Aysgarth uważał, że wygląda jak księżniczka z bajki. Był jednym z kelnerów, wynajętych przez Harrisona na ten wieczór. Często witał gości szampanem, ale nie mógł oderwać wzroku od panny Harrison. Taki chłopak jak on, który dopiero co przyплыł statkiem z Anglii, nie miał grosza przy duszy, mógł tylko marzyć o pięknej dziewczynie.

Dopisało im szczęście, że dostali obaj z Sammym tę pracę. Gdyby nie to, przyszłoby im chyba spać z pustymi brzuchami, a zupełnie im to nie odpowiadało.

Josh wpatrywał się w śliczną buzię Francie zamiast napełniać kieliszki gości i przysięgałby, że dziewczyna jest śmiertelnie przestraszona. Zastanawiał się, czego taka wspaniała panna obawia się: miała przecież wszystko, czego tylko dusza zapagnie: urodę, pieniądze, wspaniały dom i kochającą rodzinę.

- Lepiej przestań się tak na nią gapić - szepnął zazdrośnie Sammy Morris, mijając go ze srebrną tacą pełną kieliszków. - Za wysokie progi na twoje nogi...

- Ale popatrzeć można, prawda? - odparł przekornie Josh, choć wiedział, że Sammy ma rację.

Wszyscy goście zapamiętali ten bal do końca życia. Później opowiadali zdławionym szeptem o całym zajściu zgodni, że już wtedy Francie Harrison pokazała się z jak najgorszej strony.

Zwiewna i delikatna w białych koronkach, różach i diamentowej tiarze matki stała pomiędzy swym potężnym ojcem a przystojnym bratem. Ale witała gości bez cienia uśmiechu na bladej buzi. Potem, sparaliżowana lękiem, siedziała u szczytu stołu i nie mogła przełknąć ani kęsa. Równie przerażona tańczyła w pierwszej parze z ojcem, później z baronem von Wurtheim. Baron już jej nie opuszczał, o co zatroszczyła się pani Brice Leland. Oczywiście, mógłby z powodzeniem być dziadkiem Francie i wszyscy wiedzieli, że stracił majątek, ale posiadał tytuł i wielkie posiadłości ziemskie w Bawarii. Goście wymieniali cyniczne uśmiešky i spojrzenia spod uniesionych brwi, wiedzieli, że

pani Brice Leland pełniła rolę swatki. I nagle padło zbyt głośne zdanie:

- Kto by pomyślał, że Harrison tak będzie się starał wydać za żonę swoją zwariowaną córkę, da nawet milion dolarów posagu, żeby się jej pozbyć.

Francie usłyszała te słowa. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Z płaczem uciekła z sali balowej, szarpiąc się z koronkowym trenem sukni. Ludzie rozstępowali się przed nią jak wody Morza Czerwonego. Pani Brice Leland i Harrison pobiegli za nią, ale wkrótce wrócili sami. Najwidoczniej nie znaleźli dziewczyny. Bal trwał i wszyscy udawali, że nic się nie stało, ale wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie na to, co musi nastąpić.

Po kilku minutach do sali wbiegł Harry i zamienił parę słów z ojcem. Tym razem Harmon Harrison zbladł jak kreda i wszyscy dostrzegli błyski gniewu w jego oczach. Spokojnie wyszedł z sali, ale bliżsi znajomi wiedzieli, że mógłby teraz kogoś zabić. I omal tego nie uczynił chwilę później, gdy znalazł na balkonie córkę szlochającą w ramionach przystojnego kelnera.

Szlochającą Francie ponownie zamknięto w pokoiku na górze, a na dole nadal trwał jej pierwszy bal. Rzuciła się na łóżko i gniewnie biła pięściami w poduszki. Po chwili wstała i popatrzyła na odbicie w lustrze: zwariowana córka, wystrojona w śmieszne fatałaszkę, z niewidzialną metką przypiętą do sukni - „cena: milion dolarów”.

Ojciec upokorzył ją przed całym światem. Tylko ona nie wiedziała, że chce pozbyć się jej, że uważa ją za istotę niespełna rozumu, o złych instynktach. I właśnie pokazała wszystkim, że ojciec ma rację.

Zdesperowana ściągnęła z włosów diamentową tiarę i rzuciła o ścianę. Podarła piękną koronkową suknię, jedwabne halki i podeptała je. Kolejno padały na podłogę atlasowe pantofelki, giemzowe rękawiczki, uciskający boleśnie gorset, aż wreszcie Francie, szlochając i przeklinając ojca, znów spojrzała w lustro. Stała na wpół naga, jasne włosy w nieładzie opadały na błądą, zagniewaną twarz z opuchniętymi od płaczu oczami.

- Taka jestem naprawdę jak ta dziewczyna w lustrze, a nie tamta wystrojona lalka, którą ojciec chce sprzedać za milion dolarów. - I ponownie padła na łóżko, zalewając się łzami.

Kiedy wydawało się, że wypłakała już oczy, a pierwszy ból i gniew ustąpiły, przypomniała sobie tego biednego kelnera, który chciał jej pomóc. Chwycił ją za ramię, gdy jak szalona pędziła przez hol, i wyprowadził na taras. Dygotała z zimna, a on zarzucił jej swoją marynarkę na suknię. Potem mocno przytulił Francie.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał - wszystko będzie dobrze, panienko. Ja też nieraz tak się czułem. Ale ból przeminie. Proszę opowiedzieć, co się stało. Może będę mógł pomóc.

Ale ona tylko potrząsała głową. Łzy i upokorzenie nie pozwalały jej mówić. Josh nadal gładził ją delikatnie po włosach i szeptał coś ciepłym, kojącym głosem.

Wreszcie powstrzymała płacz i spojrzała na niego pierwszy raz.

Włosy miał jasne, jak ona, i ciemne oczy okolone długimi rzęsami. Szerokie brwi rysowały się nad rzymskim nosem. Z profilu przypominał starożytny posąg. Wydał jej się piękny. Patrząc na jego łagodny, dobry uśmiech myślała, że ma przed sobą twarz anioła.

- Kim ty jesteś? - szepnęła, odchylając głowę.

- Nikim - odpowiedział. - Tylko kelnerem. Łzy żalu trysnęły znowu z jej oczu.

- Ja także jestem nikim - powiedziała z goryczą.

- Francesca! - zagrział nagle ojciec.

Odwróciła się i ujrzała zdumionego Harrisona oraz panią Brice Leland. Ojciec odciągnął ją na bok i gwałtownym ciosem w twarz powalił chłopca, który natychmiast zalał się krwią. Ojciec kopał go i przeklinał, a potem pociągnął córkę do wyjścia dla służby i na górę po kuchennych schodach. Otworzył drzwi do pokoiku i pchnął Francie z impetem na podłogę.

- Nie nadajesz się do przyzwoitego towarzystwa. Jesteś szalona, dziwka... - szeptał lodowatym głosem. - Już nigdy mnie nie skompromitujesz. Zamkniemy cię na zawsze.

Trzasnął drzwiami, przekręcił klucz w zamku i dopiero wtedy zrozumiała, o czym naprawdę myślał. Wcale nie zamierzał uwięzić jej w domu, gdyż jej obecność okrywałaby wstydlivą tajemnicą. Na pewno odda ją do przytułku dla obłąkanych w San Jose. Wówczas ani on, ani Harry nigdy nie będą musieli jej oglądać. Nikogo już nie zobaczy.

Równie dobrze mogłaby umrzeć.

Przerażona podbiegła do zakratowanego okna i wyjrzała na mroczne podwórze.

Światło księżyca z trudem przebijało się przez mgłę, a z sali balowej dobiegała przytłumiona muzyka. Kilku służących stało w cieniu ścian, ukradkiem paląc papierosy. Zza drzwi stajni rozległo się ciche rżenie koni. Przypomniała sobie smutne, zdziwione ślepie Księżniczki, gdy ojciec przyłożył jej pistolet do łba.

Boże, gdyby wreszcie i ją zabił... Ale nie zrobi tego, tylko będzie ją bił. A od tego nie ucieknie.

Francie wezwano do gabinetu o siódmej rano. Harrison był jak zwykle nienagannie ubrany, świeżo ogolony i pachnący dobrą wodą kolońską. Czekał przy biurku ze starą, skórzaną smyczą Księżniczki w ręku.

Spojrzał na córkę oczami zimnymi jak lód.

- Wiesz, co masz robić.

Nie ruszyła się ani krokiem od drzwi. Stała wyprostowana w starej, ciemnej sukience. Umyła spuchnięte od płaczu oczy, wyszczotkowała włosy i przewiązała je z tyłu kokardą. W nocy bardzo starannie przygotowała sobie każde słowo, ale gdy przyszła pora je wypowiedzieć, ogarnął ją strach. Odetchnęła głęboko - teraz albo nigdy.

- Nie, ojcze. Nie jestem już dzieckiem - powiedziała opanowana. - Już nie uderzysz mnie więcej.

Harmon zachował kamienny spokój.

- Pochyl się nad stołkiem, Francesco - powtórzył, jakby w ogóle nie usłyszał jej słów.

Francie wpatrywała się w skórzany rzemień.

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy mnie już nie uderzysz - powtórzyła.

Harrison zamknął oczy, jakby próbował opanować nerwy, ale gniew i tłumiona nienawiść wzięły górę. Chwycił Francie za włosy i ciągnął przez cały pokój.

Uniósł rzemień i smagnął z całej siły; krzyczała, ale on bił ją coraz mocniej, jakby owładnięty szałem, aż wreszcie ogłuszona bólem, upadła na podłogę.

Ojciec stał nad nią z zakrwawionym rzemieniem w ręku. Oddychał ciężko z wyrazem niezmiernie pogardy na twarzy. Potem schował smycz do szuflady, poprawił krawat, przygładził włosy i spokojnym krokiem podszedł do drzwi. Maitland czekał w holu. Wyglądał tak, jakby krzyki i dźwięki razów w gabinecie nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Harrison kazał mu sprowadzić pannę James i zabrać Franceskę do pokoiku na górze. On zaś idzie teraz do biura.

Guwernantka zbladła na widok półprzytomnej Francie leżącej na dywanie. Ze strzępów sukni wyłaniały się zalane krwią plecy. Przerażona spojrzała na Maitlanda:

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Trzeba wezwać lekarza.

- Oszalał z gniewu - odparł Maitland. - Następnym razem ją zabije. Musimy zabrać pannę Francie do pobliskiego klasztoru Sióstr Miłosierdzia. Tam będzie bezpieczna. Opowiem o wszystkim w pokoju dla służby i odchodzę. Chętni mogą pójść w moje ślady. Nie będę dłużej pracował dla tak okrutnego człowieka, choćby nie wiem jak dobrze mi płacił.

Panna James przytaknęła.

- Wezmę koc dla Francie. Odniesiemy ją do sióstr, a potem ja także odejdę. Nie chcę, żeby gniew pana Harrisona spadł na mnie.

Rozdział 9

Parę tygodni po balu Maitland wstąpił na piwo do baru przy Pacific Street, w którym pracował Josh. W tweedowej marynarce i spodniach wyglądał zupełnie inaczej niż w służbowej kamizelce w czarne paski, toteż chłopak w pierwszej chwili nie poznał go. Ale Maitland poznał Josha od razu po pokiereszowanej twarzy.

- Wygląda na to, że stary Harrison nieźle cię urządził - popatrzył na obandażowaną głowę, podbite oko i opuchnięte usta.

Josh postawił kufel na brudnej ladzie i wzruszył obojętnie ramionami.

- O mało nie zabił córki - dodał Maitland, pociągając potężny łyk piwa.

- Co pan mówi? Przecież jest taka młoda i chyba nie zrobiła nic złego... po prostu płakała, to wszystko...

- Wiem, że chciałeś jej tylko pomóc, chłopcze, ale ona ośmieszyła ojca przed całym towarzystwem. Zawsze nienawidził kobiet, a jej przede wszystkim. Przez całe lata trzymał dziewczynę w zamknięciu i krążyły pogłoski, że jest niespełna rozumu. Ale potem wystroił ją, odbyła kurs dobrych manier i oznajmił wszystkim, że dostanie milionowy posag, o ile znajdzie się narzeczony z arystokratycznym tytułem. Jakiś głupiec wspomniał o tym głośno na przyjęciu, Francie zaś tak się przejęła, że uciekła z płaczem. A teraz wszyscy mówią, że znaleziono ją w ramionach kelnera. I wszyscy wiedzą, że Harrison z wściekłości omal nie zatłukł córki na śmierć, jeszcze nie wiadomo, czy wyjdzie z życiem. Josh wpatrywał się w niego przerażony.

- To niemożliwe, żaden ojciec nie zrobiłby tego. Maitland skinął głową.

- To prawda, chłopcze. Sam zawiozłem ją do klasztoru Sióstr Miłosierdzia.

Opiekują się Francie, ale nie mają wiele nadziei. Harrison dał im trochę pieniędzy, lecz nigdy nie odwiedził córki. Sam słyszałem, jak mówił do syna, że nigdy nie wpuści jej za próg. Oczywiście, jeżeli przeżyje.

- Ten łajdak powinien zawisnąć, jeśli Francie umrze - wybuchnął Josh, uderzając pięścią w ladę.

Maitland spojrział na niego ironicznie znad pustej szklanki i potrząsnął głową.

- Nie w tym mieście, młody człowieku. Harmon Harrison ma wpływy, jest bogaty i trzyma w rękę połowę San Francisco. Tacy jak on stanowią prawo, a my musimy ich słuchać.

- To wszystko moja wina. - Josh szybko narzucił marynarkę. - Zaraz tam pójde.

Powiedział pan, klasztor Sióstr Miłosierdzia?

- Nie wpuszczają cię, synu - ostrzegwał Maitland, ale chłopak zniknął już za drzwiami baru.

Zakon Sióstr Miłosierdzia mieścił się w małym, białym budynku klasztorным na tyłach Dolores Street. Od świata odgradzały go wysokie mury i ciężka drewniana furta. Josh szarpnął niecierpliwie za sznur dzwonka, ale nikt nie podchodził.

Zza murów dochodziły ciche, nie znane mu dźwięki. Po kilku kolejnych pociągnięciach za bramą rozległy się miękkie, ciche kroki. Okienko w bramie uchyliło się i ukazała się twarz na wpół ukryta za wykrochmalonym białym kornetem.

- Chciałbym zobaczyć się z Francescą Harrison - powiedział Josh. - Muszę się z nią zobaczyć.

- Panna Harrison nie przyjmuje gości - zakonnica odparła ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Ale ze mną będzie chciała się zobaczyć! - krzyknął zdesperowany.

- Pan jest krewnym?

- Krewnym? Tak, oczywiście - skłamał pospiesznie.

- Żadni krewni nie mogą jej odwiedzać - rzekła stanowczo, zamykając małe okienko.

- Nie, nie, proszę zaczekać - Josh przytrzymał dłonią kłapkę. - Siostra źle mnie zrozumiała. Jestem... jestem jej narzeczonym. Kochamy się. Ona nie może umrzeć, ja nie pozwolę. Musi żyć, dopóki nie zobaczymy się. Błagam...

Na twarzy zakonnicy spostrzegł wahanie i dodał szybko:

- Mieliśmy się pobrać. Czyż siostra może nie wpuścić mnie do niej?

- Proszę chwilę zaczekać. - Za furta rozległy się ciche kroki stóp w sandałach.

Josh krążył wzdłuż muru rozcierając ramiona. Lutowa noc była chłodna, a on nie miał płaszcza. Marynarka z dobrej angielskiej wełny mocno się już przetarła, a dziurawe buty nie chroniły przed zimnem i wilgocią. Jego cały majątek wynosił 5 dolarów. Ale wszystko straciło znaczenie, piękna Francie umierała, a on musiał ją uratować.

Zakonnica wróciła. Josh spojrział niespokojnie przez okienko w furcie.

- Czcigodna Matka pozwala panu wejść - oznajmiła, otwierając masywną bramę. - Chce z panem porozmawiać.

Zdjąwszy czapkę podążał za siostrą przez klasztorny dziedziniec do poczekalni.

- Czcigodna Matka nadejdzie za chwilę.

Zakonnica zniknęła za drzwiami. Josh wielkimi krokami przemierzał nieduże pomieszczenie. Ściany pokrywał surowy, chropowaty tynk, a na podłodze leżały nierówne kafle z terakoty. Jedyne meblowanie stanowiły prosty dębowy stół i dwa krzesła. Na ścianie wisiała pięknie wyrzeźbiona w drewnie figura Chrystusa na krzyżu. Było tu równie zimno jak na ulicy. Josh pomyślał, że delikatna Francie Harrison nie

powinna przebywać w takim miejscu, lecz w jasnym, ciepłym i tętniącym życiem domu. A wszystko przez niego. Pomyślał o swojej siostrze Armie, która została w dalekim Yorkshire. Szkoda, że nie ma jej tutaj, świetnie zaopiekowałaby się Francie. Gotowałaby pożywne zupy, dokładałaby drewna do kominka, poprawiała poduszki i dziewczyna wyzdrowiałaby w okamgnieniu.

- Dobry wieczór.

Zaskoczony odwrócił się. Nie słyszał kroków Matki Przełożonej. Podobnie jak inne zakonnice, miała na sobie ciężki szary habit i sztywny biały kornet skrywający twarz. Na sznurowym pasku wisiał różaniec z kości słoniowej i pęk srebrnych kluczy, a wokół szyi na łańcuszku prosty, duży złoty krzyż.

- Pan chciałby zobaczyć pannę Harrison? - mówiła tak cicho, że z trudem rozróżniał słowa.

- Tak, Matko. Wiem, co przeżyła. Kocham ją i wierzę, że mógłbym pomóc.

- Przykro mi, ale panna Harrison umiera. Uznałyśmy, że najlepiej zostawić ją w spokoju. Nawet ojcu nie wolno jej odwiedzać.

- Ojcu! - wybuchnął z pogardą. - Przecież to on nieomal ją zabił!

Zapadła cisza i przełożona patrzyła na Josha spokojnym, łagodnym wzrokiem.

- Dlaczego uważa pan, że mógłby pomóc, panie...?

- Aysgarth. Josh Aysgarth. Kocham ją, Matko, a miłość czyni cuda. Przecież sam Bóg obdarzył nas łaską miłości.

Znów zamilkli. Josh patrzył na swoje dłonie, posiniałe z zimna.

- Zgoda - powiedziała cicho przełożona. - Niech pan spróbuje. Proszę iść za mną.

Poszli mrocznym, wyłożonym płytami korytarzem do szpitalnej sali, w której stały rzędy szarych łóżek, przykrytych szkarłatnymi kocami. Tylko dwa były zajęte: w jednym spała jakaś staruszka, a w drugim leżał dwunastoletni chłopiec, z policzkami rozpalonymi gorączką i oczami pociemniałymi z bólu. Na końcu sali, za parawanem na małym żelaznym łóżku leżała blada i nieruchoma Francie Harrison.

Młoda zakonnica, pochylona nad różańcem, czuwała przy chorej. W sali rozlegał się jedynie ciężki, chrapliwy oddech Francie. Josh padł na kolana, złożył ręce w modlitwie i przez chwilę nie odważył się nawet spojrzeć na dziewczynę. Wreszcie uniósł wzrok i ujrzał twarz dotkniętą już pocałunkiem śmierci.

Podczas choroby obcięto jej piękne, jasne włosy, szaroniebieskie cienie pod oczami ogromniały pośród zapadłych policzków, a blade, lekko rozchylone usta walczyły o każdy oddech. Chudziutkie dłonie złożono na piersiach, jakby przygotowywano ją już do trumny.

Josh odruchowo ujął przezroczystą, lodowato zimną rękę. Wyczuł słaby puls.

Ciągle walczyła o życie.

- Francie - szepnął, by nie rozbudzić jej. - Pomogę ci. Przysięgam na honor, że nikt już nigdy nie ośmieli się ciebie skrzywdzić. Zaopiekuję się tobą, daję ci na to uroczyste słowo. - Mówił jeszcze długo, cicho i łagodnie, ale Francie nie dawała znaku życia. Po godzinie odszedł.

Odwiedzał ją codziennie rankiem, zanim otworzono bar, i wieczorem, przed nocną zmianą. Ale Francie wciąż leżała nieprzytomna, jakby nie chciała wrócić do świata, który ją skrzywdził, ani rozmawiać z ludźmi, którzy jej nie rozumieli.

Josh wiedział, że dziewczyna pragnie umrzeć, uwolnić się od cierpienia, i był bezradny. Przemawiał do niej trzymając w rękach zimne dłonie, delikatnie gładził po twarzy i szeptem opowiadał o sobie.

- Jak wyzdrowiejesz, zabiorę cię do domu. Nigdy nie widziałaś czegoś tak pięknego, jak wrzosowiska w Yorkshire i owce pasące się w dolinach. A w naszych przędzalniach produkuje się najlepszą wełnę na świecie.

Urwał, przypomniawszy sobie, dlaczego znalazł się w San Francisco. Z westchnieniem dodał:

- Może kiedyś pojedziemy do Yorkshire... Pewnego dnia... Sammy powtarzał mu co wieczór, że jest głupcem.

- Prawie jej nie znasz - mówił, spijając kolejne kufle piwa przy ladzie. - Ta dziewczyna wpędzi cię tylko w tarapaty. Już straciłeś przez nią pracę i oberwałeś po głowie. Nie wystarczy? Na pewno umrze, a jeżeli nawet wyżyje, ojciec zabierze ją do domu i zatroszczy się o to, żeby już nie sprawiła mu kłopotów. Jak zawsze szukasz guza, Joshu Aysgarth.

Sammy stuknął pustym kuflem o ladę. Ze złością zapinał marynarkę.

- Lepiej zapamiętaj te słowa. Wiesz, co się dzieje, gdy nie słuchasz moich rad.

Zapomniałeś już?

Josh patrzył na znikającego za drzwiami Sammy'ego i już kolejny raz zastanawiał się, jak to możliwe, że są najlepszymi przyjaciółmi, choć tak różnią się od siebie.

Ale Sammy ma rację, myślał ponuro, wycierając zachlapaną piwem ladę. Harrison nigdy nie pozwoli córce odejść.

- Znowu marzysz, Josh? - odezwał się z końca sali zirytowany właściciel baru. - Ostatni raz ci powtarzam. Zajmij się obsługiwaniem gości, bo wylądujesz na ulicy.

Jak obudzony ze snu wrócił do pracy, ale słowa Sammy'ego ciągle dźwięczały mu w uszach. Oczywiście pamiętał, gdy ostatnio zignorował jego rady. Wzdrygnął się na wspomnienie deszczowej nocy, podczas której uciekali z Yorkshire. Sammy obiecał wtedy, że mu pomoże. Gdyby nie przyjaciel, może nawet nie byłoby go wśród żywych. I

nigdy nie spotkałby Francie. Wszystko zawdzięczał wiernemu Sammy'emu Morrisowi.

Francie nie chciała otworzyć oczu. Unosiła się we mgle, przesączonej białym światłem, pełnej łagodnego szmeru cichych głosów. Przypominały jej szelest topolowych liści na ukochanym ranczo. Myślała, że jest właśnie tam, razem z matką, kasztanką i Księżniczką. Było tak spokojnie, ale gdy tylko poruszała się, przeszywał ją ostry ból, jakby tysiące noży wbijało się w ciało. Wtedy słyszała własny krzyk. Po chwili ból ustawał. Czuła rozkoszną ulgę i zaciskała powieki, bezpieczna we własnym, spokojnym, białym świetle.

Docierały do niej łagodne słowa.

- Francie, kochanie, taki piękny dzień. Popatrz na słońce. - Słyszała też modlitwy, aby Bóg dał jej siłę i odwagę konieczne do życia. Ale jej podobał się ten nowy świat bez okrucieństwa, nienawiści i cierpień. Chciała w nim zostać na zawsze. Aż pewnego dnia, zamiast miękkich kobiecych szeptów, usłyszała męski głos.

- Francie, to ja, Josh. Byłem kelnerem na balu. Otwórz oczy, spójrz na mnie.

Josh, Josh, Josh... imię kołatało się echem w leniwej pamięci. Powieki ciążyły jej. Czyżby już położono na nich jednocentowe monety, jak to czyni się po śmierci? A może już nie żyje i nigdy nie otworzy oczu... lecz wtedy nie zobaczyłaby Josha.

Ciężar nagle ustąpił i Francie powoli uniosła powieki. Czuła się jak w teatrze, gdy podnoszono kurtynę. Dzielne światło oślepiło ją na chwilę. Dostrzegła tylko zarys sylwetki i słyszała oderwane głosy. Potem, równie nieoczekiwanie, wyraźnie ujrzała piękną twarz dobrego anioła.

- Josh? - szepnęła.

- To ja, Francie. - patrzył na nią uśmiechnięty, z ulgą w jasnych oczach. - Już myślałem, że cię utracę - ucałował jej dłoń.

Rozdział 10

Francie powracała do zdrowia, nabrała trochę ciała i rumieńce zabarwiły jej policzki. Z każdym dniem była silniejsza.

Zakonnice uśmiechały się widząc blask w jej oczach, gdy czekała na chłopaka i wyciągała ręce na przywitanie. To on przywrócił ją do życia znad skraju przepaści, a nawet lekarze stracili już nadzieję.

- Ten młody człowiek miał rację - szeptały siostry. - Miłość czyni cuda. Chwała Bogu!

Josh przychodził codziennie. Po wypłacie przynosił jej małe podarunki: bukietik fiołków, wspaniałą brzoskwinę albo pudełko czekoladek. - Nie wolno tak wyrzucać pieniędzy - protestowała Francie - przecież są ci potrzebne. - Ale on uśmiechał się tylko i całował jej szczupłą rękę.

Ten niewinny pocałunek przejmował dziewczynę dreszczem. Przez całe lata po śmierci matki nikt jej nie pocałował. Zapomniała już, co to znaczy kochać i być kochaną. Czasami chciała objąć Josha, jak kiedyś przytulała Księżniczkę, i gładzić go po twarzy, jak niegdyś ukochaną kasztankę. Nie umiała inaczej wyrazić uczuć.

Po odejściu Josha znów martwiła się, gdyż siostry powiedziały jej, że za tydzień może opuścić klasztor. Gdzież pójdzie? Co ze sobą zrobi? Jedynym przyjacielem na całym świecie był Josh, ale wiedziała, z jakim z trudem zarabia na życie.

Następnego dnia spacerowali po klasztornym ogródku. Nagle Francie powiedziała stanowczo:

- Wkrótce wyjdę stąd i muszę poszukać jakiejś pracy. Josh potrząsnął głową.

- Takie kobiety jak ty nie pracują, Francie - uśmiechnął się do swoich myśli. - Założę się, że nawet nie potrafisz ugotować jajka.

- To nauczę się - odparła. - Mogę pomagać w kuchni, sprzątać... wszystko jedno zresztą.

- W San Francisco nikt nie zatrudni córki Harmona Harrisona.

- W takim razie zajmę się chorymi w klasztorze - oznajmiła.

- Wtedy już nigdy nie zobaczę cię, Francie.

- Przynajmniej umiem szyć i haftować. To wszystko, czego panna James nauczyła mnie naprawdę dobrze.

- Moja żona nie będzie pracować w szwalni - Josh nagle rozgniewał się.

Serce zabiło jej mocniej. Spojrzała uważnie na chłopaka.

- Twoja żona?

- Tak. Właśnie to powiedziałem. Francie opanowała się i rzekła z godnością.

- Nie musisz czuć się za mnie odpowiedzialny, jakoś sobie poradzę.

Josh objął ją i spojrzał głęboko w oczy.

- Ale ja nigdy nikogo nie kochałem, chcę opiekować się tobą. Pragnę, żebyś była szczęśliwa.

Zadrzała. Pierwszy raz od czasu, gdy jako mała dziewczynka mieszkała z matką na ranczo, czuła taką radość. Jej oczy rozpromieniły się. Do tej pory kochała tylko matkę, ale ta miłość była zupełnie inna, serce biło jej jak szalone, Josh pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Pragnęła, aby ta chwila trwała wiecznie.

Za tydzień Josh wieczorem zabrał Francie z klasztoru. Ubrała się w brązową wełnianą sukienkę i zakiet z darów jakiejś instytucji dobroczynnej, a siostry dały jej parę sztuk bielizny. Własne miała tylko buty, w których przyniesiono ją do klasztoru. Na głowie zawiązała wełnianą kraciatą chustę i Josh powiedział, że wygląda w tym stroju jak prządka z Yorkshire.

Przełożona pobłogosławiła ich i wcisnęła w dłoń dziewczyny miękką skórzaną portmonetkę z kilkoma dolarami.

- Niech Bóg cię prowadzi, dziecko - szepnęła. - Weź to wraz z naszym błogosławieństwem.

Drewniana furta klasztoru zamknęła się, a Francie poczuła, że dopełniła się miara upokorzenia. Przysięgła sobie, że pewnego dnia Harrisonowie stracą swoją butę. Nie wiedziała jeszcze, jak tego dokona, ale zawsze będzie nienawidziła ojca, aż do śmierci.

Bar i pensjonat Barbary mieściły się w czteropiętrowym budynku z drewna i cegły przy Pacific Avenue u stóp wzgórza Telegraph. Do wcisniętej między podrzędną tancbudę i gromadnie odwiedzany dom publiczny knajpy wpadała klientela z obu tych przybytków, a także robotnicy z oddalonej o parę ulic fabryki. Przy długiej, porysowanej, mahoniowej ladzie było zawsze tłoczno.

Francie stała na chodniku wspominając potajemne wieczorne wycieczki z dzieciństwa, gdy zazdrośnie zaglądała do środka przez rozświetlone okna barów.

Teraz pozna je wreszcie naprawdę. Josh wynajął dla niej pokój tuż obok swojego i opłacił już za miesiąc z góry. Francie zamierzała zwrócić mu pieniądze i, niezależnie od jego sprzeciwów, postanowiła znaleźć pracę. Nie może przecież całe życie korzystać z cudzej łaski.

- Francie Harrison? - usłyszała nagle schrypnięty, obcesowy głos.

Zaskoczona spojrzała na krępego młodego mężczyznę opartego o drzwi baru. Nosił wytartą marynarkę i brązowy szalik pod szyją. Nawet nie zdjął czapki, zwracając się do niej. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- A pan to zapewne Sammy Morris, najlepszy przyjaciel Josha. Wszystko mi o panu opowiedział.

- Nie wiadomo - odburknął.

Francie uznała, że nie jest szczególnie miły, ale Josh właśnie podszedł, objął ją ramieniem i rzekł:

- Widzę, że poznałaś Sammy'ego Francie patrzyła na jego radosne oczy i nie chcąc psuć nastroju, powiedziała uprzejmie:

- Jestem bardzo szczęśliwa, że wreszcie poznałam cię, Sammy. Ten pogardliwie zmarszczył nos, przedrzeźniając jej głos.

- Cóż za wspaniałe maniery. Chyba musimy zejść trochę na ziemię, panno Harrison. Tu nie Nob Hill.

- Francie wcale nie tęskni za Nob Hill - odparł krótko Josh i ignorując przyjaciela poprowadził dziewczynę w głąb domu. W brudnym holu unosiły się stęchłe zapachy kuchenne. Dziewczyna krzywiła twarz, gdy wspinali się po gołych schodach. Na czwartym piętrze oddychała z trudem i pokonała ostatnie pięć stopni wsparta o ramię Josha. Chłopak z dumą otworzył przed nią drzwi do niewielkiego pokoju na poddaszu. Spadzisty sufit tworzył trójkątne obramowanie dla wielkiego okna, przez które wpadało szare marcowe słońce. Francie popatrzyła na podwójne mosiężne łóżko przykryte cienką bawełnianą kołdrą, zniszczoną toaletkę bez szuflad, wytarte brązowe linoleum na podłodze, stary chodnik, pluszowy czerwony fotel z podartym obiciem i stół na nierównych nogach. W słoiku na stole jaśniał bukietik zawilców i ten pokój wydał się jej najpiękniejszy na świecie. Był taki jasny i przestronny. Po pokonaniu czterech pięter kręciło się jej w głowie, ale czuła się lekko i szczęśliwie.

Josh popatrzył na nią z niepokojem.

- Podoba ci się? Wiem, że przywykłaś do czegoś innego, ale tylko na to mnie stać. Przynajmniej nie słyhać tu hałasu z baru. Zawsze będę na dole, więc nie obawiaj się niczego.

Francie roześmiała się, chwytając go za rękę.

- Zawsze będę spokojna, gdy będziesz w pobliżu.

Sammy Morris, wsparty o balustradę schodów, patrzył na nich ponuro.

- Idę do pracy, Josh - oświadczył wreszcie, zawiązując mocniej szalik i zapinając marynarkę. - Zobaczymy się później. - Ignorując dziewczynę szybko zbiegł na dół.

Francie spostrzegła, że Sammy jej nie lubi, ale Josh usprawiedliwiał przyjaciela.

- Przyzwyczaił się do tego, że byliśmy zawsze sami. Wychowaliśmy się razem.

Sammy nigdy jeszcze nie spotkał takiej dziewczyny jak ty. Na pewno pokocha cię, gdy się lepiej poznacie.

Ale Francie nie obchodził teraz Sammy. Radosna spacerowała po swoim nowym domu.

- Tutaj będziemy pili herbatę - pogładziła dłonią chropowaty blat stołu. - Popatrz na ten wspaniały widok z okna na całe miasto.

Razem obserwowali białe mewy kołujące po szarym marcowym niebie i szerokie, ruchliwe ulice. Francie odezwała się pierwsza.

- Nie wyjawiałeś mi nigdy, dlaczego przyjechałeś do San Francisco. - Josh odwrócił głowę, więc dodała pospiesznie: - przepraszam za wścibstwo, ale to tak daleko od rodzinnego domu.

- W poszukiwaniu szczęścia, podobnie jak niegdyś mój ojciec - odparł spokojnie.

- Ojciec?

- Tak, Frank Aysgarth. Rodzice byli biedni. Tylko ciotka Jessie miała pieniądze i zapisała w testamencie sto funtów mojej siostrze. Annie dała mi je na wyjazd.

To dobra dziewczyna. Zastępowała mi matkę. Chciałbym ją jeszcze kiedyś zobaczyć... - mówił ciepło.

Pod opiekuńczymi skrzydłami Josha Francie wracała do równowagi psychicznej.

Świat nie wydawał się już tak wrogi i obcy. Rano Josh budził ją pocałunkiem, przynosił świeżą bułkę z włoskiej piekarni i filiżankę aromatycznej kawy.

Prosił, aby nie ruszała się z pokoju, aż zakończy pracę. W południe dzielił się z nią darmowym obiadem, który serwowano pracownikom. O trzeciej był wolny i mieli dla siebie całe popołudnie. Francie skrywała pod jedwabnym szalem krótko ostrzyżone po chorobie włosy i ruszali na miasto. Nigdy jednak nie chodzili tam, gdzie ktoś mógłby rozpoznać dziewczynę.

Josh oprowadzał ją po mieście, w którym spędziła tyle lat, ale tak naprawdę wcale nie znała. Wspinali się na Telegraph Hill i obserwowali, jak gęsta mgła unosi się nad oceanem i stopniowo otula ich szczelnie. Ze śmiechem zatykali uszy na dźwięk przenikliwych gwizdów i dzwonków, którymi kolejne statki sygnalizowały wejście do portu. Czasem wybierali się na wycieczkę promem, aby popatrzeć na foki, dokazujące na skałach Cliff House i grzywiaste fale załamujące się na brzegu miejskiej plaży. Podziwiali też wspaniały, największy w Ameryce hotel Pałace ze strzelistym siedmioletowym atrium, siedmioma tysiącami wykuszowych okien z widokiem na miasto i okazałym barem.

Josh z uśmiechem słuchał zachwytów Francie nad nowo poznanymi miejscami, ale czasem szedł obok w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w ziemię, zatopiony w myślach.

- Czy coś się stało? - pytała wtedy zaniepokojona, ale chłopak wzruszał tylko niedbale ramionami.

- Wszystko w porządku - odpowiadał niechętnie.

A niekiedy u niej w pokoju całymi godzinami wpatrywał się nieprzeniknionym, szklanym wzrokiem w szare niebo za oknem. Ale bywały dni, gdy brał Francie w ramiona i całował delikatnie. Wówczas przenikał ją nieznanym, słodkim dreszczem.

Dziewczyna nie miała już jednak wątpliwości, że Sammy Morris jej nie znosi.

Pracował na budowie, całe dni dźwigał cegły po rusztowaniu, a wieczorami przesiadywał w barze. Od czasu pierwszego spotkania przed hotelem nigdy nie podszedł do niej, aż pewnego wieczoru zapukał do pokoju na górze.

Otworzyła szybko drzwi i cofnęła się na widok Sammy'ego.

Tym razem zdjął czapkę na powitanie. Francie czuła nieprzyjazne spojrzenie ciemnych oczu.

- Przyszedłem prosto z pracy. Muszę z panią pomówić. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wejdz, proszę. Dlaczego nie mówisz mi po imieniu?

- Nie zjawilem się tu na pogawędki - rzucił krótko. - Chcę opowiedzieć o Joshu.

- Rozumiem. Wiem, jak ważna jest dla pana ta przyjaźń. Oczy zapłonęły mu nienawiścią. Zbliżył się i Francie poczuła zapach jego przepoconej roboczej koszuli, widziała cementowy kurz na szyi.

Przylgnęła do drzwi. Sammy wybrał dobrą chwilę - wiedział, że Josh wróci dopiero za godzinę.

- Josh i ja kochamy się - powiedziała drżącym głosem. - Ale możemy wszyscy zostać przyjaciółmi... - próbowała się uśmiechnąć.

Sammy ścisnął czapkę tak mocno, aż pobieleły mu kciuki. Chciał uderzyć tę roześmianą buzię.

- Czym pani sobie zasłużyła na to, żeby nazywać się jego przyjaciółką? - warknął. - Nawet go pani nie zna. Nie tak dobrze jak ja. On nie potrzebuje żadnej słabej kobiety, która przyssie się do niego niczym pijawka, tylko prawdziwego przyjaciela na dobre i na złe. Josh nic pani nie może ofiarować.

- Ale ocalił mi życie.

- I przy okazji mało sam nie zginął! Oczywiście nie powiedział, jak pani ojciec go urządził, prawda? Naturalnie, nic nie powiedział, prawdopodobnie już tego nie pamięta. Zawsze bardzo szybko zapomina o nieprzyjemnych sprawach. Wystarczy zapytać i popatrzeć na ten nieprzytomny wzrok. „Nie, Sammy, ja tego nie zrobiłem” - powtarza, choć ja cholernie dobrze wiem, że było inaczej.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - szepnęła wystraszona Francie. - Kochamy się i zamierzamy się pobrać. Nic więcej mnie nie obchodzi.

Podszedł o krok bliżej i wyszeptał złowieszczo:

- Dobrze, sama chciałaś. Jak sądzisz, dlaczego Josh przyjechał do San Francisco?

Dlaczego uciekł z domu, co? Myślisz, że wszystko o nim wiesz, ale założę się, że o tym ci nie wspomniał. Dobrze, więc ja ci powiem. Zbiegł przed policją.

Sammy ciężko przytupywał o drewnianą podłogę. Francie patrzyła na jego gniewnie zaciśnięte pięści, zmarszczone brwi i czuła, że nogi uginają się jej ze strachu.

Powoli opadła na krzesło.

- Dlaczego? - wyjąkała.

Odrzucił głowę do tyłu i powiedział powoli z przymkniętymi oczami:

- Ponieważ jest mordercą...

Zamarła z przerażenia. Przekonywała się w myślach, że chłopak chce ją tylko przestraszyć i na razie znakomicie mu się to udało. Jednak opanowała się.

- Po prostu jesteś zazdrosny - stwierdziła. Spojrzał na nią uważnie.

- Przyszedłem cię ostrzec. Josh zadźgał nożem już trzy młode i ładne kobiety. - Przyłożył palec do jej szyi. - Przeciął gardło, o tutaj, gdzie bije puls.

Powiedział mi, że to najlepsze miejsce. - Zerknął przez okno na okrągły księżyc.

- Zawsze to się działo podczas pełni. Proszę mi uwierzyć. Niech pani stąd ucieka, zejdzie mu z drogi. Nie ma czasu do stracenia.

Francie uważała, że Sammy oszalał.

- Jaki przyjaciel opowiada takie straszne historie?

- Prawdziwy - odparł gorzko. - Właśnie tego nigdy pani nie zrozumie.

Oslabła ze strachu, ale nie dała za wygraną.

- To bzdury - powiedziała. - Nigdy nie zostawię Josha. Nigdy. - Przywarła do oparcia krzesła, gdyż Sammy zbliżał się do niej czerwony z gniewu i nienawiści.

Opanował się jednak. Zawrócił do drzwi i rzucił jeszcze przez ramię:

- Pamiętaj, ostrzegałem cię.

Francie natychmiast przekręciła klucz w zamku i próbowała uspokoić się. Serce waliło jak młotem. Podbiegła do okna i popatrzyła na okrągły księżyc nad miastem. Przesunęła palcem po gładkiej szyi, wyczuwając szybko bijący puls. To tutaj, powiedział Sammy, jest najlepsze miejsce.

Usiadła na łóżku i otuliła się kocem. Drżąc z zimna czekała na Josha.

Czas dłużył się, aż wreszcie, około jedenastej na schodach rozległy się znajome kroki. Francie otworzyła drzwi szeroko i bez słowa wtuliła się w ramiona Josha.

- Co się stało? Cała drżysz, Francie. - Popatrzyła w jego łagodne, szare oczy, dobrą twarz i była pewna, że Sammy kłamał, ale rozplakała się bezradnie.

Josh zaniósł ją do łóżka, położyli się mocno przytuleni. Chłopak gładził jej jedwabiste, jasne włosy i scalał jej wargi. Potem pocałował ją w usta i wtedy zapomniała zupełnie o Sammie Morrisie. Pragnęła na zawsze zostać w ramionach ukochanego.

Drżała, gdy pokrywał pocałunkami jej nagie ciało. Przytulił ją jeszcze mocniej.

Wydało jej się naturalne, że leży w jego ramionach, a ich ciała stanowią jedno. Francie uważała się za najszczęśliwszą kobietę na świecie.

Rankiem Josh stukał niecierpliwie do pokoju dziewczyny. W rękach trzymał ogromny pęk żonkili.

- Pospiesz się, to ja - z uśmiechem słuchał jej szybkich kroków.

Przez moment patrzyli na siebie bez słowa. Josh pomyślał, że nigdy nie widział równie pięknej kobiety - jasne włosy Francie lśniły jak aureola nad roziskrzonymi, szafirowymi oczami. Uśmiechała się trochę nieśmiało, jakby z wahaniem.

Ona zaś pierwszy raz dostrzegła taką miłość w oczach drugiego człowieka. Były niezwykle łagodne, ciepłe i piękne.

- Niespodzianka! - rzucił bukiet.

- Żonkile! - zanurzyła twarz w płatkach i wdychała zapach. Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Dziękuję, Josh. Dziękuję ci za to, że mnie kochasz.

Ich usta połączył długi pocałunek.

- Muszę już iść, Francie. - szepnął. - Spóźnię się do pracy. Dziewczyna przechyliła się przez balustradę patrząc, jak chłopak szybko zbiega po schodach. Zatrzymał się na podeście i pomachał jej ręką. Promień słońca przedarł się przez oblepione brudem okno i zatańczył w jego włosach. Jeszcze raz pomyślała, jak dobry i piękny jest jej Josh w przeciwieństwie do tego niegodziwego Sammie'ego. Radosna wróciła do pokoju.

Żonkile leżały na stole. Tacy jesteśmy bogaci, chociaż nic nie mamy - pomyślała.

Przez otwarte okno docierał stukot końskich kopyt uderzających o bruk, turkot powozów i nawoływania gazeciarzy. Uliczni sprzedawcy głośno zachwalali prażone orzeszki i prele, a z sąsiedniego budynku dobiegały wesole dźwięki muzyki.

Francie przyszywała guziki do koszuli Josha. Czekala na niego, rozmyślając o dzieciństwie, spędzonym jak w więzieniu za sprawą okrutnego ojca. Chciała, żeby umarł. Nie wstydzila się tej myśli ani przez chwilę. Więził ją, ukradł jej dzieciństwo i młodość. Nienawidziła go równie gorąco, jak kochała Josha Aysgartha.

Josh spóźnił się. Okrągły blaszany budzik z dwoma dzwoneczkami wskazywał czwartą, piątą, a on nie wracał. Francie patrzyła, jak wskazówki wolno zbliżają się do szóstej i niepokoiła się coraz bardziej. Wreszcie owinęła się szalem i zbiegła do baru.

W sali było tłoczno, mężczyźni w ciemnych garniturach i melonikach siedzieli nad szklankami whisky i kufkami piwa, czytając wieczorne gazety w świetle syczących, gazowych lamp. Smugi papierosowego dymu układały się we wzory na krokwiach sufitu. Wokół unosiła się woń trocin, męskiego potu i piwa. Na marmurowym stoliku siedziały panienki z pobliskiego domu publicznego w kapeluszach z piórami i jaskrawych sukienkach. Kiedy Francie je mijała, wołały barmana, by nalał ginu. Miały niskie, ochryple głosy.

Kobieta w stroju z dużym dekoltem i niesamowicie czerwonymi włosami, obrzuciwszy Francie spojrzeniem od stóp do głów, I zawołała:

- Zobaczcie, kto przyszedł? Chyba Czerwony Kapturek po wino dla babci?

Mężczyźni przy barze odwrócili się i wybuchnęli śmiechem. Dziewczyna jeszcze mocniej otuliła się szalem, rozpaczliwie szukając wzrokiem Josha. Tęgi barman w fartuchu i z podwiniętymi rękawami koszuli krzyknął:

- Hej! Czego chcesz, dziecko?

- Przepraszam pana - odparła drżącym głosem - szukam Josha Aysgartha.

- Mów głośniej, nic nie słyszę w tym wrzasku! Powtórzyła:

- Szukam Josha Aysgartha.

Goście spojrzeli na nią z zainteresowaniem, a barman uśmiechnął się znacząco.

- Josha Aysgartha, he? Niestety, już go nie ma. Parę godzin temu skończył pracę.

- Jak to? - spytała zaskoczona.

- Zgadza się. Przyjaciel Sammy przyszedł po niego i razem gdzieś powędrowali. - Francie stała chwilę przy kontuarze zagubiona.

- Wystawił cię do wiatru, co? - powiedziała głośno rudowłosa z dużym dekoltem.

- Prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwię, wyglądasz jak siedem nieszczęść. Kup sobie nową sukienkę, mała, i nowe... - złożyła dłoń w trąbkę i powiedziała coś siedzącym obok kobietom. Wybuchnęły piskliwym śmiechem.

Mężczyzna o czerwonej twarzy, wsparty o kontuar, odsunął szklankę i uważnie śledził wzrokiem Francie, która pospieszyła do drzwi. Potem wziął gazetę, rzucił barmanowi kilka monet i szybko poszedł za nią.

Francie wbiegła na górę i zapukała do pokoju, który Josh dzielił z przyjacielem.

Nikt nie odpowiedział. Zapukała ponownie, myśląc, że może chłopak zasnął albo zachorował nagle. Była pewna, że nie odszedłby bez słowa. Nie teraz. Drzwi były otwarte, więc Francie zajrzała do środka. Zobaczyła zasłane łóżko, a na krześle brązowy szalik Sammy'ego. Zadrżała, pusty pokój był zimny i obcy, nie czuło się tu obecności Josha. Powoli wróciła do siebie. Nie miała pojęcia, co począć dalej.

Błasznany budzik wybijał kolejne godziny, nastąpiła noc. Josh nie przychodził.

Słyszała pijackie krzyki na ulicy i odgłos muzyki z tancbudy. Jeszcze rano ta muzyka wydawała mi się taka piękna - pomyślała. Księżyc lśnił niczym okrągły brylant i oświetlał pokój. Francie bez trudu odczytała godzinę na zegarze:

trzecia nad ranem.

Ta nie kończąca się noc była gorsza niż jakakolwiek spędzona samotnie w pokoju na Nob Hill. Wtedy przynajmniej nie przeżywała męki oczekiwania. W poświęcie księżyc żonkile wyglądały jak rekwizyty ze starej sztuki. Francie leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami: umrze, jeśli Josh nie wróci. Była tego pewna.

Księżyc zbladł, wschodziło słońce. Na ulicy znów zapanował ruch i gwar. Josh nie pojawił się.

Cały ranek i przedpołudnie Francie leżała zbyt słaba nawet, by płakać. O drugiej rozległy się nawoływania gazeciarzy: „Specjalne wydanie, specjalne wydanieeee...” Francie usłyszała jakiś szelest za drzwiami. Zerwała się z łóżka i wybiegła na korytarz, ale nikogo nie zauważyła. Na podłodze leżało specjalne wydanie popołudniówki. Wielkie, czarne litery nagłówka krzyczały:

KOLEJNE MORDERSTWO - KOBIETA ZADŹGANA NOŻEM W ALEI BARBARY COAST.

Lękała się czytać dalej. Gazeta wypadła jej z rąk. Ale czarne litery przyciągały jak magnes. W poprzek strony ktoś napisał ołówkiem: „Pamiętaj, ostrzegłem cię”.

Słowa tańczyły jej przed oczami, gdy czytała reportaż. Ta dziewczyna... „miała tylko dwadzieścia jeden lat... - brutalnie zamordowana, podcięte gardło...”

Francie bezwiednie dotknęła szyi. Jęknęła, przypominając sobie łagodną, uśmiechniętą twarz Josha, który machał dłonią na pożegnanie. Ale zniknął z domu na całą noc. I spełniły się słowa Sammy’ego.

Rozdział 11

Mgła napływała od strony zatoki, przysłaniając nadbrzeżne budynki i okna rezydencji na Nob Hill. Kobiety, wracające tej nocy samotnie do domów, czuły na policzkach lodowate muśnięcia. Z lękiem wpatrywały się w mrok; w każdej uliczce mógł czaić się tajemniczy morderca.

Ale Francie spała głębokim snem. Nie słyszała, jak otwierają się drzwi, nie wiedziała nawet, że Josh usiadł przy niej, aż do chwili, kiedy poczuła jego rękę na swojej dłoni i oddech na policzku.

- Bardzo zmarzłaś, mała dziewczynko - szepnął... Zamarła z przerażenia obserwowała, jak chłopak przechodzi przez pokój i zapala gazową lampę. Potem z nachmurzoną twarzą patrzył chwilę przez okno na gęstniejącą mgłę. Po czym podniósł gazetę i przeczytał nagłówek.

- Sammy opowiedział mi wszystko - wyszlochała Francie. -'j Powiedziałam mu, że kłamie z zazdrości. Nie wierzyłam, ale stało się dokładnie tak, jak przepowiedział.

Josh ujął jej twarz w dłonie.

- Wierzysz mu, Francie?

Patrzyła na ukochanego, który ocalił jej życie. Nawet siostry mówiły, że z jego oczu promieniuje dobro. Ale przecież Sammy przewidział to morderstwo, a Josh całą noc spędził poza domem...

Odezwał się spokojnie:

- Czy uwierzysz mi, że nigdy nie zabiłem nawet ćmy?

- Ale Sammy mówił tak... tak przekonywająco...

- To w jego stylu. Nieraz żałowałem, że mu ufam. Jako mali chłopcy przysięgliśmy sobie przyjaźń na dobre i na złe. I dotrzyaliśmy obietnicy.

Popatrzył na nią ze smutkiem i ciągnął dalej.

- Opowiadał ci, jak uciekaliśmy przed policją? Nigdy nie wierzyłem, że mój najlepszy przyjaciel popełnił morderstwa, ale teraz wiem, że to prawda. Wczoraj wpadł wściekły do baru, powtórzył mi rozmowę z tobą, a ja zacząłem bać się.

Chodziłem za nim po knajpach i tancbudach, ale w końcu zniknął z dziewczyną."

Zgubiłem go. On jest szalony - w głosie Josha był smutek i rozgoryczenie.

Wyciągnął rękę. - Kochanie, to Sammy zabił tę dziewczynę.

- Wierzę, Josh, i nigdy nie zwątpię w ciebie - zalana łzami twarz Francie przypominała w mglistym świetle lampy buzię dziecka.

Josh objął ją, całował włosy, oczy, usta.

- Na pewno bardzo zmęczyłaś się i nic nie jadłaś - powiedział miękko. - Chodźmy do restauracji.

Francie schodziła na dół wsparta o ramię Josha, a wszystkie myśli o morderstwie i Sammym zniknęły jak zły sen. Nie zauważyli tęgiego mężczyzny o czerwonej twarzy, w meloniku, który odłączył się od tłumu przed barem i podążał za nimi wzdłuż Pacific Avenue w dyskretnej odległości.

Nie wiedzieli także, że Sammy Morris czekał z uchem przyciśniętym do drzwi swego pokoju, aż ucichną ich kroki na schodach. Potem wbiegł szybko na poddasze i w pokoju dziewczyny zobaczył zgniecioną kapę na łóżku, gdzie przed chwilą zapewne leżeli przytuleni, i wyraz bezsilnej złości pojawił się w jego oczach. Zakrył twarz rękami. Kątem oka dostrzegł jeszcze gazetę ze strasznym nagłówkiem, niedbale rzuconą na podłogę, jakby to nie miało dla nich żadnego znaczenia.

Namacał w kieszeni nóż myśliwski. Gniew i zazdrość opętały jego chory umysł.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Harmon Harrison wraz z przystojnym synem Harrym wchodzili na stopnie gmachu opery w pobliżu Mission Street. Sezon nie rozpoczął się najlepiej, ale dzisiejszego wieczoru wystawiano Carmen z legendarnym tenorem Enrico Caruso w roli Don Jose, więc cała śmietanka towarzyska San Francisco przybyła na przedstawienie. Z łoży obaj Harrisonowie wymieniali ukłony i powitania. Rozległy się dźwięki uwertury, ogromne kryształowe świeczniki rzucały przyćmione światło na widownię i wolno unoszącą się kurtynę. Elegancko ubrani widzowie, przyjemnie podekscytowani, oczekiwali na pojawienie się jednego z największych artystów nowego stulecia w jednej z najsłynniejszych ról.

Ale magiczny nastrój chwili nie udzielił się Harmonowi. Nie mógł skoncentrować się na muzyce. Ciągle myślał o córce. Powtarzał sobie, że wszystkie kobiety są takie same, a Francie wrodziła się w jego matkę, dziwkę z burdelu Maloney Cats w Virginii. Pamięć o matce, której nie znał, nie dała się zagłuszyć. Palila jak rozżarzone węgle. Lekarze powiedzieli mu, że ma wrzody żołądka i wysokie ciśnienie, więc powinien odprężyć się i zapomnieć o wszystkich zmartwieniach.

Ale nie potrafił. Uderzał nerwowo palcami w aksamitne obicie fotela i błdził niespokojnym wzrokiem po pogrążonej w półmroku widowni, jakby wypatrywał, czy ktoś go obserwuje albo plotkuje na temat Harrisonów i tej dziwki, Francie.

Potem spojrzał na syna, który siedział w fotelu z brodą opartą w dłoniach, zasluchany w muzyce. Harmon przysiągł sobie, że nic nie zagrozi reputacji ukochanego chłopca. Nie spocznie, aż zamknie Francie za kratami stanowego zakładu dla umysłowo chorych, by już nigdy nie zszargała dobrego imienia Harrisonów.

Po przedstawieniu zabrał Harry'ego do Pałace Hotel na lampkę szampana wydawaną przez Segnora Caruso, a potem na późną kolację. Do domu dotarli dopiero o czwartej nad ranem. Lokaj otworzył drzwi, zanim nowy, kosztowny automobil Stanley zatrzymał się na dobre. Oznajmił, że na Harrisona czeka jakiś człowiek.

- Mówiłem, że pan wróci bardzo późno, sir, ale nalegał. Mężczyzna o czerwonej twarzy czaił się w półmroku, przyciskając do piersi zgnieciony melonik.

- Zaprowadź go do gabinetu - rzucił Harmon. - Przyjdę za chwilę.

- Kto to jest, ojcze? - zapytał Harry, patrząc ze zdziwieniem na późnego gościa.

- Idź do siebie, synu. Te wiadomości nie są przeznaczone dla twoich uszu.

Harry zbiegł na palcach do holu, gdy ojciec wszedł do gabinetu, a lokaj zniknął w części domu przeznaczonej dla służby. W pobliżu drzwi słyszał wszystko.

- Zauważyłem tę dziewczynę w barze Barbary - opowiadał nieznajomy. - Rysopis zgadza się, sir. Błada, nerwowa, a spod szala wystawały jasne włosy. Pytała barmana o Josha Aysgartha. Odpowiedział, że go nie ma, ale zrozumiałem, że pracuje w tej knajpie. Oczywiście śledziłem ją. Poszła do pokoju nad barem, tam jest taki pensjonat, rozumie pan...

- Tak, dalej - warknął niecierpliwie Harrison.

- Barman potwierdził później, że ten Aysgarth też mieszka na górze i płaci za dwa pokoje.

Harry usłyszał głośne przekleństwo ojca i uderzenie pięścią w biurko.

- Dzisiaj wieczorem, sir, wreszcie zobaczyłem ich razem. Spacerowali przytuleni, zjedli kolację w restauracji na Pacific Avenue, a potem wrócili do tego pensjonatu. Mężczyzna obejmował ją, sir, i weszli do jej pokoju. Czekałem jakiś czas, ale Aysgarth nie pojawił się. Oni tam teraz są, sir.

- Zabiję ją! - ryknął Harrison. - Tym razem ją zabiję! Harry odskoczył od drzwi i błyskawicznie schował się pod schodami. Po chwili zobaczył tego mężczyznę z plikiem banknotów w dłoni i wyrazem zadowolenia na twarzy. Nocny lokaj wyprowadził go pospiesznie przez wyjście dla służby.

Ojciec pojawił się w holu z pistoletem w ręku. Purpurową twarz wykrzywił grymas wściekłości. Harry znał jego zamiary i wiedział, że nawet Harmonowi Harrisonowi uczynić tego nie wolno. Chwycił go za ramię.

- Nie, ojcze... nie.

- Ukatrupię ją! - grzmiał Harmon. - Nie wiesz, co ona zrobiła.

- Mylisz się! - krzyknął chłopak. - Wszystko podsłuchałem. Ale nie możesz jej zabić, gdyż wywołasz tylko większy skandal. Każ ich wychłostać. Zamknij ją w zakładzie dla obłąkanych, jak planowałeś. Zasłużyła sobie na to, a nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

Wyjął pistolet z ręki ojca. Pobiegł do gabinetu i ostrożnie włożył broń do górnej szuflady biurka, przekręcił w zamku kluczyk i przezornie schował go do kieszeni. Potem zdjął ze ściany starą smycz, wrócił do holu i podał ojcu.

- Oboje trzeba wyćwiczyć - powiedział z okrutnym uśmiechem. - Wtedy będziemy pewni, że nigdy więcej nie sprawią??? kłopotów.

Harmon z uznaniem popatrzył na swego wysokiego, przystojnego i rozsądnego syna.

- Dziękuję ci, mój chłopcze. Właśnie powstrzymałeś mnie przed nierozważnym postępkim. Zachowałeś zimną krew. Dumny jestem z ciebie, Harry.

W ten kwietniowy poranek brzask rozjaśnił bezchmurne niebo. Zegar wybijał piątą, gdy Harmon przejeżdżał obok starego kościoła Marii Panny. Nie uspokoił się jeszcze, gniewne myśli o ukaraniu córki i jej kochanka całkowicie zaprzętały mu głowę. W ostatniej chwili zauważył duży, dwukołowy wóz konny, wyładowany towarem. Gwałtownie zahamował i przycisnął klakson, a konie w panice stanęły dęba wywracając wóz. Woźnica leżał bez ruchu pośród rozrzuconych bezładnie główek kapusty. Harmon miał w ustach przekleństwa. Droga była teraz zupełnie zablokowana.

Robotnicy z pobliskiej budowy rzucili się do koni, chwycili za lejce, próbując uspokoić rozszalałe zwierzęta. Inni pochylili się nad woźnicą i bezradnie kiwali głowami. Ktoś pobiegł po lekarza.

- Przeklęty głupiec! - krzyknął Harmon. - O mało co mnie nie przejechał.

Powinien uważniej prowadzić taki wóz. Mógł mnie zabić.

- Wygląda na to, że sam zginął - przerwał mu jeden z robotników, w koszuli z podwiniętymi rękawami.

- To cud, że tylko jeden z nas nie żyje. - Harmon wzruszył ramionami.

Wokół zbierał się tłum. Harrison czuł na sobie nieprzychylnie spojrzenia, lustrujące elegancki automobil, biały garnitur i krawat, bijące w oczy bogactwo.

Podniósł skórzaną smycz i powiedział krótko:

- Przyślę szofera po samochód, a jeżeli któryś coś ruszy, będzie miał do czynienia z Harmonem Harrisonem.

Idąc uderzał się w udo rzemieniem. Czuł niepohamowaną jienawiść do wszystkich kobiet. Pragnął zemsty. Ulicę zapełniły towarowe wozy, powracające z porannego targu. Harmon przeklinał woźniców. Wyglądało na to, że żaden nie panuje nad końmi, które rżały, uderzały kopytami w uliczny bruk, wyginając szyje w szalonym tańcu. Nagle

zagrzmiało, więc spojrzał w górę, spodziewając się burzy, ale niebo było czyste. Hałas jednak nasilał się, przypominając potężny ryk rozpedzonego pociągu. Rozejrzał się wokół zaskoczony. Nagle ulica wybrzuszyła się niczym fala, uniosła go na grzbiecie i przewróciła. Z trudem podniósł się i na chwiejnych nogach podszedł do bramy najbliższego budynku. W tym momencie rozległ się jeszcze potężniejszy ryk, ziemia zatrzęsała się gwałtownie i Harrison znowu upadł. Stalowe konstrukcje pękały z trzaskiem. Na ziemię leciał gruz. Wreszcie po kolejnym wstrząsie budynek zawalił się, grzebiąc Harmona Harrisona pod rozprysniętymi na tysiące kawałków murami.

Francie obudziła się nagle z uczuciem dziwnego niepokoju. Josh spał spokojnie przytulony do niej. Za oknem rozległ się potężny hałas, jakby ryk przetaczającego się grzmotu. Usiadła i zasłoniła uszy rękami. Ale huk narastał i zadrżały ściany pokoju. Wazon z żonkilami spadł na podłogę i rozbił się. Josh nie obudził się, tylko mocniej objął Francie. Cała ziemia trzęsała się, dom dygotał coraz mocniej, szyba w oknie rozprysła się niczym bańka mydlana.

Wreszcie, z przeraźliwym zgrzytem rozrywanej stali budynek runął. Josh i Francie, wtuleni w siebie, spadli z czwartego piętra do piwnic.

Rozdział 12

Lai Tsin był wysoki jak na Chińczyka, miał bladą, gładko wygoloną twarz, wąskie, czarne przenikliwe oczy i lśniący warkocz. Jak większość rodaków nosił zapiętą pod szyję błękitną bluzę, czarne bawełniane spodnie i pantofle.

Cały dobytek niósł w zawieszonym na plecach słomianym koszu. Prowadził za rękę czteroletniego chłopca.

Setki Chińczyków opuszczały San Francisco, uciekając przed trzęsieniem ziemi i pożarami. Szli całymi rodzinami, na czele ojciec, dwa kroki za nim żona, a z tyłu rządkiem dzieci, z których każde trzymało starszego brata lub siostrę za czarny warkoczek, aby nie zgubić się. Wszyscy coś nieśli, ciągnęli lub pchali;

wózki dziecinne, kufry załadowane starymi zwojami pergaminu, obrazami, garnkami i naczyniami kuchennymi, pościelą, ptakami w klatkach, krzesłami i komodami.

Uginali się pod ciężarem, starając się ocalić choć część dobytku.

Lai Tsin zatrzymał się na szczycie wzgórza na rogu California Street, by przez chwilę popatrzeć, co zostało z San Francisco. Kozuch szarego dymu pokrywał miasto, ginące stopniowo w złowieszczych, jaskrawopomarańczowych płomieniach.

Ogień pochłoniął już wiele wspaniałych rezydencji, trawiąc nawet marmurowe ściany, a drewno natychmiast zamieniając w popiół. Zniknęły już całe dzielnice.

Strażacy próbowali powstrzymać pożar, wysadzając w powietrze niektóre budynki, ale ich wysiłki były nadaremne. Wydawało się, że piekielny żywioł niepodzielnie zawładnął miastem. Płomienie błyskawicznie przeskakiwały z dachu na dach i kolejne ulice. Dzielnica targowa spłonęła doszczętnie, nad ruinami monumentalnego hotelu Pałace kłębił się dym, zabudowania na wzgórzach Telegraph Hill i Russian Hill już też zniknęły. Ogień wtargnął teraz do Dzielnicy Chińskiej. Ziemia drżała na skutek odbić silnych wstrząsów, wystawiając na kolejną próbę wycieńczonych uciekinierów. Ale na ogół ludzie zachowywali spokój, siedzieli otepiali na pobliskich wzgórzach, patrząc z rezygnacją na swoje płonące domy.

Po chaosie pierwszych kilku godzin mieszkańcy rzucili się gorączkowo do odkopywania rannych i zabitych. Jednakże szpital miejski już nie istniał, a inne były poważnie zniszczone. Poza tym nikt nie potrafił powstrzymać ognia. Lai Tsinowi wydawało się, że to niebo płonie. Pomyślał, że o północy z całej Dzielnicy Chińskiej zostanie pewnie garstka popiołu.

Szedł z chłopcem wzdłuż California Street. Robotnicy pospiesznie wynosili cenne przedmioty i obrazy z rezydencji starego Marka Hopkinsa. Wdowa po milionerze podarowała ten budynek miejskiej galerii sztuki i Szkole Sztuk Pięknych.

Rezydencje przy Nob Hill stały na razie nietknięte, ale pożar zbliżał się, a strażakom kończyły się zapasy wody.

Lai Tsin usiadł na stopniach jednej z posiadłości. Chłopca posadził na kolanach.

Co dalej? - myślał. Dziecko było biednie ubrane w błękitny podarty kaftanik i rozglądało się przestraszone wokół. Lai Tsin dał mu kawałek ryżowego ciasta, ale malec rozplakał się bezgłośnie, jakby bał się hałasować. Łzy wypływały spod mocno zaciśniętych powiek. Lai Tsin przytulił go i delikatnie głaskał po plecach.

- Wszystko będzie dobrze, Mały Synku - powiedział łagodnie. - Teraz ja zaopiekuję się tobą.

Po chwili chłopczyk usnął z palcem w buzi. Czapeczka ozdobiona różnokolorowymi wstążeczkami przekrzywiła mu się na głowce. Wtedy właśnie Lai Tsin spostrzegł dziewczynę z twarzą szarą jak popiół i obandażowaną głową. Miała na sobie znoszoną odzież i stare buciki, ale jego uwagę zwróciły jej przerażone, na wpół nieprzytomne oczy. Tępo wpatrywała się w drzwi do rezydencji po przeciwnej stronie ulicy.

Francie nie wiedziała, że Lai Tsin obserwuje ją. Cofnęła się w głąb ulicy, gdy od strony płonącego miasta zauważyła nadjeżdżający wóz. Woźnica zatrzymał się przed domem naprzeciwko. Dwaj mężczyźni pospiesznie zdjęli nosze i mocniej otulili purpurowym kocem ciało.

W drzwiach ujrzała swego brata, Harry'ego. Był blady, ale w niebieskich oczach nie widziała rozpacz, tylko gniew.

Jeszcze bardziej skuliła się w cieniu budynku.

- Proszę wnieść ojca - rozkazał Harry i robotnicy pospiesznie wypełnili polecenie. Położyli nosze na wielkim dębowym stole w holu. Po paru minutach wyszli, wsuwając do kieszeni złote monety.

Drzwi zostawiono otwarte, więc Francie obserwowała służbę gromadzącą się w holu.

Harry odsunął koc i patrzył na zakrwawione, pokaleczone ciało ojca. Z martwych oczu Harrisona przebijały strach i nienawiść. Jakże świat ośmielił się tak potraktować najpotężniejszego obywatela San Francisco?

Harry spojrział w wielkie, witrażowe okno lśniące niczym klejnot na tle płonącego nieba.

- To ty to zrobiłaś, Francesco! - krzyknął. - Ocalałby, gdyby nie poszedł po ciebie. Zabiłaś go. I przysięgam na Boga, że zapłacisz za to, nawet za cenę mojej śmierci.

Francie zadrżała. Wiedziała, że brat nie żartuje, trawiony większą nienawiścią niż ojciec. Z pewnością dotrzyma słowa, jeżeli kiedykolwiek znajdzie ją.

Lai Tsin widział podjeżdżający pod rezydencję Harrisonów czarny, elegancki kabriolet. Do domu wniesiono pośpiesznie mahoniową trumnę ze srebrnymi rączkami.

Ze zdziwieniem patrzył na skuloną po drugiej stronie ulicy dziewczynę. Wydawało się, że nie dostrzega zbliżających się płomieni, choć od rozgrzanego chodnika bił żar i z sykiem pękały gałęzie drzew w pobliskim ogrodzie. Dostrzegł smugę czarnego dymu nad rezydencją Hopkinsów i żółte języki ognia na drewnianych dachówkach.

Wstał, trzymając w ramionach śpiącego chłopca. Strażacy biegli wzdłuż ulicy, nawołując wszystkich do opuszczenia domów. Nie było żadnej szansy na ocalenie budynków bogaczy ani ich skarbów.

Francie czuła na twarzy rozpalone powietrze, oczy łzawiły od dymu, ale stała jak zahipnotyzowana. Z domu wybiegli przerażeni służący, gorączkowo przyciskający do piersi torby i tobołki. Kilku parobków prowadziło gdzieś wystraszone konie. Lokaj wraz z sześcioma mężczyznami podszedł do Harry'ego.

- Wynieść trumnę, sir? - zapytał. Pozostali z uszanowaniem zdjęli czapki.

Harry zaprzeczył.

- Ten dom wybudowano dla ojca - powiedział z goryczą. - Był jak pomnik wielkiego człowieka. Teraz niech stanie się jego grobowcem.

Francie zadrżała. Podmuch gorącego wiatru przemknął tuż obok. Szyba w oknie hotelu Fairmont wypadła z hukiem i z pustych ram buchnął płomień.

Harry ostatni raz spojrział na trumnę, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Z garstką wiernych służących poszedł w dół ulicy.

Lai Tsin zbliżył się do dziewczyny. Ciągłe wpatrywała się w dom ojca, jakby oczekiwała, że kogoś jeszcze w nim ujrzy.

- Chodź - powiedział po angielsku, ale nie drgnęła nawet. Zdziwiony spojrział na rezydencję Harrisonów. Cała ulica płonęła. Nie było wiele czasu.

Francie westchnęła głęboko, gdy smugi czarnego dymu pojawiły się nad dachem.

Rozległ się syk płonącej blachy i trzask dachówek. Czerwone języki ognia błyskawicznie objęły wszystkie ściany. Budynek płonął.

Odwróciła się powoli do Chińczyka.

- Nareszcie ten straszny dom umiera - powiedziała cicho. - Przysięgłam sobie, że zobaczę ojca w grobie. I on tam teraz jest, w ogniu.

Potem bez słowa poszła wraz z Lai Tsinem w nieznaną, ciemną noc, byle dalej od pożaru i śmierci.

Annie zastał ponury kwietniowy poranek i ciężkie, deszczowe chmury wisiały tuż

nad dachami domów. Annie wyjrzała na dwór i podziękowała Bogu, że to nie poniedziałek, dzień prania. Zrezygnowawszy z szorowania frontowych schodów zastanawiała się, co robić w taki dzień.

Czerwony turecki dywan w przedpokoju był nieskazitelnie czysty. W salonie, w którym przebywano jedynie podczas wielkich rodzinnych uroczystości i świąt, nie znalazłaby nawet pyłka. Kuchnia, gdzie spędzali wolne chwile, lśniła jak zwykle.

W sypialniach na górze każdy centymetr podłogi wyfroterowała do połysku. W całym domu nie było odrobiny kurzu i ani jednej nie wykrochmalonej koszuli. A ponieważ wypadła czwartek, więc na kolację poda zapiekankę z mięsa i ziemniaków.

Ojciec jadał te same Potrawy w określone dni tygodnia, więc nawet w kuchni nie będzie żadnych niespodzianek.

Ogień płonął wesoło w piecu. Annie odstawiła z fajerki ogromny czajnik. Do brązowego imbryka nasypała trochę czarnej, mocnej herbaty i zalała wrzątkiem.

Potem usiadła na krześle i czekała, aż naparzy się.

Ojciec jeszcze spał. Annie oparła spracowane ręce na sosnowym stole przykrytym brązową ceratą. Tu przygotowywała wszystkie posiłki. Obok stały wysokie krzesła z okrągłymi oparciami, przyj] których siadali do stołu. Mosiężne kurki nad zlewem lśniły, jakby uśmiechając się do równiutkiego szeregu białoniebieskich talerzy. Przez duże okno widziała podwórko wyłożone płytami chodnikowymi, otoczone krzewami laurowymi i wąsatym rododendronem. Latem postawi na parapecie skrzynkę pełną kolorowych petunii.

Westchnęła i zamknęła oczy. Bez patrzenia odtworzyłaby najdrobniejszy szczegół umeblowania. Wyrwana ze snu na pewno zanuciłaby słodką melodię pozytywki ze starego mahoniowego zegarka i rozpoznała cichy gwizd czajnika, który zawsze stał na fajerce z wrzątkiem dla gości. Tyle że nikt ich teraz nie odwiedzał. Gazowe lampy syczały, a pod kuchnią wesoło buzował ogień, który rozpalano niezależnie od pory roku.

Annie pomyślała o kolejnym wieczorze, który spędzą w milczeniu przed kominkiem - ona z wieczną robótką na drutach, a ojciec z nieodłączną fajką. Pomyślała, że te identyczne, puste dni będą ciągnąć się w nieskończoność.

Ponownie westchnęła. Minał rok od wyjazdu Josha, a otrzymała od niego tylko jedną pocztówkę z widokiem baru Barbary w San Francisco, starannie zapakowaną w grubą kopertę z szarego papieru. Napisał: - „Radzę sobie dobrze, nie martw się o mnie. Nie zrobiłem tych strasznych rzeczy. Proszę, uwierz mi. Twój kochający, Josh”. Czytała tę kartkę tysiące razy. To on wnosił życie do tego domu, i Annie poświęciła się bratu bez granic. Kiedy odjechał, płakała jak matka za utraconym synem i przenigdy nie uwierzyła w te koszmarnie historie. Ale wszyscy prawie uważali go za mordercę. Nawet bracia

wstydzieli się tak bardzo, że rzadko odwiedzali ojca. Ich żony zaś lękały się, aby hańba Aysgarthów nie przeszła na następne pokolenia, więc trzymały też dzieci z dala. Jednak wszyscy bez skrępowania korzystali z pieniędzy Franka. Toteż ilekroć Tedd albo Bertie pojawiali się na ścieżce prowadzącej do domu, wiedziała, po co przychodzą.

- Ojcu pokręciło się w głowie - tłumaczył Bertie. - Musimy przejąć interesy, bo firma splajtuje. Nie podjął żadnej decyzji, więc nie możemy nic budować.

Brat miał rację, ale zdawała sobie sprawę, że obaj powoli przejmują kontrolę nad pieniędzmi Franka. Jednak była bezradna, a ojciec najwyraźniej zaniedbywał już interesy. Pozostało jej więc wyłącznie dzierżanie na drutach kaftaników i czepeczków z najlepszej angorskiej włóczki dla kolejnych bratanków. Imienia Josha nie wspominał nigdy nikt.

Poderwała się słysząc kroki ojca na schodach. Szybko naląła świeżutkiego mleka do rondelka z owsianką i dosypała szczyptę soli, ukroiła kilka kromek chrupiącego chleba, który upiekła wczoraj, a obok talerza postawiła słoik truskawkowego dżemu, o który oparła poranną gazetę, choć ojciec nigdy już nie przeglądał prasy od czasu tych strasznych informacji o Joshu. Annie jednak nadal kupowała Yorkshire Post i czytywała popołudniami.

- Dzień dobry, tatusiu! - zawołała pogodnie, odsuwając mu krzesło i nalewając herbaty. - Owsianka będzie gotowa za chwilę. A może zjesz jajko na bekonie?

Frank potrząsnął siwą głową i z westchnieniem usiadł przy stole.

- Owsianka wystarczy - powiedział tylko.

Bez słowa wpatrywał się w talerz. Annie spoglądała na niego ze smutkiem. Ciągłe powtarzała, że ojciec ma jeszcze dwóch synów, wnuki, firmę i pieniądze w banku.

Przekonywała uparcie, że Josh jest niewinny. Ale bez skutku.

- Bóg nigdy nie wybaczy, że wychowałem syna, który dopuścił się zbrodni. I ja też mu nie przebaczę. - Więcej nie wspominał najmłodszego syna.

Tego ranka Frank jak zwykle odsunął gazetę, ale kątem oka dostrzegł nagłówek.

POTEŻNE TRZĘSIENIE ZIEMI W SAN FRANCISCO. TYSIĄCE ZABITYCH POD GRUZAMI MIASTA.

- Założę się, że runęło też kilka domów, które budowałem - mruknął, wkładając łyżkę truskawkowego dżemu do owsianki.

- Co się stało, tatusiu? - zapytała Annie, zdziwiona, że interesuje go coś oprócz jedzenia i domowych porządków.

- Trzęsienie ziemi - odparł. Odsunął talerz i powoli słodził herbatę.

Annie klęczała na małym chodniku przed kominkiem i opieką grzanki na długim, mosiężnym widelcu. Policzki zaróżowiły się od żaru. Zaskoczona spojrzała na ojca.

- Słucham?

- Trzęsienie ziemi w San Francisco, zresztą sama przeczytaj.

Rzuciła widelec, podbiegła do stołu i chwyciła złożoną gazetę. Szybko przebiegła oczami artykułu. Pobladła i chwyciła się ręką za serce.

- Tatusiu - szepnęła - to nie może być prawda.

- Niestety - odparł Frank, popijając herbatę. - Pamiętam, że tam często są trzęsienia ziemi.

- Nic nie rozumiesz - opadła na krzesło, zakrywając twarz fartuchem, aby nie zobaczyć łez. Myślała o Joshu, może zginął pod gruzami albo w płomieniach. Boże, co teraz zrobić? Jej ukochany, piękny, niewinny Josh...

Po chwili otarła łzy i sięgnęła po gazetę. Ojciec siedział spokojnie nad filiżanką herbaty i nie ruszonym śniadaniem, napełniając fajkę. Chciała krzyknąć, że jego syn pewnie leży ranny wśród zgliszczy lub spłonął na popiół, ale nie odezwała się, tylko tępym wzrokiem patrzyła na gęsto zadrukowaną płachtę papieru.

Wiadomości były jeszcze skąpe i niepełne, bo nie działał telegraf. Kalifornia pospieszyła już miastu z pomocą. Także z innych stanów dostarczano żywność, koce, odzież i pieniądze na potrzeby ofiar kataklizmu. Naczelnik straży pożarnej zginął podczas pierwszego wstrząsu. Rury z wodą popękały, toteż nie było czym gasić ognia. Całe miasto płonęło. Nowy gmach ratusza, którego budowa kosztowała osiem milionów dolarów, rozpadł się w pył, wspaniały, największy na świecie hotel Pałace zamienił się w stertę popiołu, a rezydencje na Nob Hill nadal trawił pożar.

Sławny tenor, Enrico Caruso, zdążył uciec specjalnym pociągiem. Oznajmił, że „w mieście jest piekło” i przysiągł, że nigdy więcej tam nie pojedzie. Kiedy minął szok po pierwszych wstrząsach, obywatele San Francisco wylegli na ulice.

Wydawało się, że już po wszystkim, toteż wiele osób przygotowywało posiłek i to dopiero okazało się prawdziwym nieszczęściem. Większość rur gazowych była nieszczelna i wkrótce w wielu miejscach wybuchły nowe pożary. Wieczorem rozszalały żywioł panował już niepodzielnie nad miastem. „San Francisco i tysiące mieszkańców skazanych jest na zagładę” - pisał dziennikarz w zakończeniu artykułu.

Annie cały dzień chodziła jak nieprzytomna. O czwartej po południu pobiegła do sklepiku po wieczorne wydanie gazety z nadzieją na lepsze wiadomości. Ale były jeszcze straszniejsze Miasto nadal płonęło. Dla uchodźców rozbijano namioty w pod miejskich parkach i w Oakland, po przeciwnej stronie zatoki, gdzie wielu uciekło na promach. Ludzie biegli płonącymi ulicami, dźwigając resztki dobytku. Ciągnęli też psy i koty, nieśli w klatkach przerażone ptaki. Ktoś próbował uratować z pożogi cenne obrazy, a nawet pianino. Dzieci dreptały obok rodziców, tuląc ukochane zabawki. W Dzielnicy

Chińskiej mieszkało wiele kobiet, które w dzieciństwie nosiły specjalne obuwie kępujące stopy, aby nie urosły. Teraz nie mogły biec. Niektórzy mężowie nieśli żony na rękach.

Annie szła powoli do domu. Pamiętała te wszystkie wieczory, gdy klęcząc przy łóżku modliła się za Josha. Prosiła Boga o szczęście dla niego i aby oczyszczony z pomówień powrócił do niej. Już wiedziała, co powinna zrobić.

Tego wieczora po kolacji Frank Aysgarth jak zwykle wpatrywał się z fotela w ogień na kominku i palił fajkę. Annie usiadła obok.

- Ojczy, chcę z tobą porozmawiać. Frank mruknął coś pod nosem.

- Wyjeżdżam, tatusiu - powiedziała głośno.

Frank wyjął fajkę z ust i zmierzył córkę zdumionym wzrokiem.

- Co takiego? Czy ty postradała zmysły? Nie gadaj głupstw, Annie - i uznawszy sprawę za zakończoną ponownie odwrócił się do kominka.

- Poważnie, tatusiu - powtórzyła. - Muszę odnaleźć Josha. Cały czas wiedziałam, że jest w San Francisco. Pragnę dowiedzieć się, czy przeżył, a jeżeli zginął, dopilnuję, aby pochowano go w poświęconej ziemi.

- Nikt nie pochowa mordercy w poświęconej ziemi! - krzyknął Frank purpurowy z gniewu.

- Josh jest niewinny - odparła z przekonaniem Annie. - Uciekł tak szybko, bo nie miał możliwości obrony. Policja знаła jedynie opowiadanie pani Morris, ona zaś powtarzała tylko słowa Sammy'ego, że znalazł Josha nad ciałem tej kobiety.

Po policzku Franka spłynęła wielka łza. Potem druga, trzecia...

- Och, tatusiu - Annie nie umiała pocieszyć ojca. Nigdy nie okazywali sobie czułości, nie mogła po prostu objąć go za szyję i ucałować.

- Tatusiu, nie płacz. Gwarantuję ci, że twój syn nie jest mordercą. Nieważne, co wygaduje Sally Morris.

- Jestem skończony, Annie - mówił Frank, nie zważając na łzy. - Mężczyzna ma prawo być dumny ze swoich synów, a ja najbardziej kochałem Josha, choć wszystkich traktowałem tak samo. Nigdy nie spodziewałem się, że coś takiego wydarzy się w naszej rodzinie. Nigdy.

Annie odwróciła głowę, nie mogła patrzeć na zrozpaczoną twarz ojca, trzęsące się ręce i łzy płynące niepowstrzymanym strumieniem. Frank Aysgarth po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie na luksus ujawnienia uczuć i Annie wiedziała, że to najlepsze, co mogło mu się teraz przydarzyć. Te łzy wzbierały w nim od dnia, w którym opuścił ich Josh.

- Tatusiu, jadę do San Francisco, żeby go odnaleźć. Wszystko musi się wyjaśnić.

Nie pozwolę ci umrzeć w przekonaniu, że twój syn to zbrodniarz. Ale proszę cię o dwie rzeczy - po pierwsze o pieniądze. Będę ich potrzebowała sporo. I po drugie - o milczenie. Nikt nie może wiedzieć, dokąd pojechałam ani po co.

Frank spojrział na córkę roztrzęsiony. Annie po raz pierwszy w życiu zrobiło się żal ojca.

- Zrobisz to? - wyszeptał. Skinęła głową.

- Obiecuję.

- W takim razie pieniądze dam ci jutro. I ta sprawa zostanie między nami.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Przyrzekam, że Aysgarthowie znów będą mogli chodzić z podniesioną głową niezależnie od tego, czy Josh żyje.

Następnego ranka Frank Aysgarth pojawił się w mieście pierwszy raz od ponad roku. Sąsiedzi obserwowali go z okien głośno ubolewając, że tak bardzo osiwiiał i przygarbił się. Zastanawiali się też, co robił przez cały rok w domu tylko w towarzystwie córki.

- Po co mu te pieniądze, które zbierał całe życie. To już skończony człowiek - wymieniali uwagi.

A Sally Morris, coraz starsza i bardziej rozgoryczona, krzyknęła za Frankiem przez drzwi:

- Dziwię się, że nie wstydzisz się pokazywać między ludźmi, Franku Aysgarth. To przez twojego syna musiał uciekać Sammy. Wasze bogactwo zgubiło mojego chłopca. Bóg nigdy ci tego nie przebaczy.

Frank zachwiał się, ale zebrał siły i poszedł dalej, jakby nie słyszał ani słowa.

Po dwóch godzinach wracał do domu. Na ulicy pojawiła się Annie i wszyscy sąsiedzi znowu śledzili przez okna, dokąd tak się spieszy. A następny tydzień przyniósł kolejne tajemnicze wydarzenie, nad którym głowiły się najtęższe umysły w mieście. Pod dom Aysgarthów przyjechała dorożka i Annie wraz z wielkim bagażem pojechała na dworzec kolejowy. Bertie Aysgarth z żoną i dziećmi wprowadził się do Ivy Cottage, żeby zaopiekować się ojcem.

Rozdział 14

Lai Tsin dziwił się. Przez sześć dni dziewczyna milczała, choć była ufna jak dziecko. Przynosił coś do jedzenia i mówił „zjedz”, a ona jadła bez słowa.

Kazał jej iść za sobą i szła bez pytania, a gdy prosił, by zaczekała, stała posłusznie. Czekalaby tak chyba bez końca, gdyby nie wrócił. Nie interesował jej własny los ani życie dwustu pięćdziesięciu tysięcy bezdomnych uchodźców, żyjących pod namiotami w wielkich podmiejskich parkach. Siedziała spokojnie z dzieckiem w ramionach i patrzyła przed siebie nieświadoma własnego istnienia.

Lai Tsin westchnął. Zaopiekował się nią jak żołnierzem rannym w bitwie, ale bał się, że dziewczyna oszaleje z szoku i odniesionych obrażeń. Nie mógł przecież na stałe wziąć na siebie odpowiedzialności za jej los. Był tylko biednym Chińczykiem z mnóstwem własnych problemów. A ona wyglądała na panienkę z dobrego domu.

- Panienko? - nachylił się ku niej, zważając, by jej nie dotknąć, co mogłaby uznać za impertynencję. - Panienko? - powtórzył. Zwróciła na niego ogromne, szafirowe, obojętne oczy. Lai Tsin zrozumiał, że czeka na polecenie. Westchnął znowu. - Musisz tutaj zostać z innymi amerykańskimi paniami - oznajmił.

Wyjął z ukrytej pod kaftanem kieszeni pięciodolarowy banknot i włożył jej do ręki. Potem wstał.

- Do widzenia, panienko - powiedział, zakładając na plecy słomiany kosz. Ale dziewczyna milczała.

Wraz chłopcem odeszli parę metrów i Lai Tsin odwrócił się. Zobaczył ogromne, lśniące jak kryształy łzy, spływające po policzkach dziewczyny. Widok tej samotnej i zupełnie bezbronnej istoty wywołał bolesne wspomnienie.

Wrócił i zapytał:

- Dopiero teraz płaczesz. Dlaczego? Potrząsnęła głową.

- Myślałam, że znalazłam przyjaciela - szepnęła z goryczą. - A ty opuszczasz mnie.

- Nie możemy być przyjaciółmi. Ja jestem biednym Chińczykiem, który nic nie znaczy w świecie, a ty jesteś damą - popatrzył na jej tanią sukienkę, chustę i toporne trzewiki.

Francie tarła oczy dziecięcymi piąstkami, by powstrzymać płacz. Lai Tsin popatrzył na sińce pod oczami, bladą cerę i szczupłutkie dłonie. Żal chwycił go za serce, ale wiedział, że Francie musi zostać wśród swoich.

Chłopiec niecierpliwił się. Pociągnął Lai Tsina kilkakrotnie za nogawkę spodni, aż w końcu też rozplakał się. Chińczyk pogłaskał go po głowie, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

- Wolałabym raczej zostać z tobą - westchnęła. Zamyślił się, czując jej spojrzenie.

- To bardzo trudne - odezwał się wreszcie.

- Nic nie jest trudniejsze od tego, co już przeżyłam - stwierdziła rozgoryczona.

Ze zrozumieniem skinął głową.

- Zgoda. Pójdziemy razem - zarzucił na ramię kosz i wziął chłopca za rękę.

Francie szła za nimi. Lai Tsin pomyślał, że gdyby powiedział jej teraz „Chodźmy na koniec świata”... zgodziłyby się bez słowa. Tak widocznie było zapisane w gwiazdach.

Po pewnym czasie zatrzymali się przy jakiejś naprędce skleconej budce z żywnością. Lai Tsin wyciągnął piętnaście centów. Ostrożnie namacał ręką pozostałe kilka banknotów. Przyniósł kubeczki z gorącą zupą i kromki chleba z masłem. Francie i chłopiec siedzieli na stosie kamieni. Małec przytulił się do niej. Lai Tsin pomyślał, że bogowie dokonali cudu, gdyż dziewczyna uśmiechnęła się.

- Proszę - wcisnął jej do ręki chleb i kubek z zupą. - Musisz nabrać sił.

Francie zjadała z apetytem. W kieszeni miał już tylko pięć dolarów. Co prawda posiadał chińską książeczkę kredytową na sumę stu trzech dolarów i piętnastu centów, ale z pewnością spłonęła podczas pożaru. Westchnął. Wygrał te pieniądze w mahjongg; To były całe oszczędności na przyszłość. Naprawdę nie dopisywało mu szczęście. Ale żył, to było najważniejsze.

Policzki Francie poróżwiały. Szła szybciej, a mały dzielnie usiłował dotrzymać jej kroku. Ludzie patrzyli na nich nieprzychylnie. Lai Tsin wiedział, że nigdy nie zaakceptują białej kobiety w towarzystwie Chińczyka. Podejrzewał, że w żadnym obozie dla uchodźców ich nie przyjmą, toteż szukał po drodze schronienia.

Mijali właśnie kolejny przydrożny stragan z płóciennymi namiotami.

- Ile? - zapytał.

Sprzedawca obrzucił go pogardliwym spojrzeniem:

- Dla Chińczyków po dziesięć dolarów. Dla was to i tak za tanio.

Lai Tsin odwrócił się bez słowa, czując na sobie złe, przebiegłe oczy.

Ściemniało się, mieli coraz mniej czasu na znalezienie schronienia. Chłopiec zmęczył się i Lai Tsin wziął go na ręce. Błądził oczami w półmroku, szukając czegoś przypominającego dom. Wreszcie zauważył chałupkę, w jakiej zazwyczaj mieszkali rzemieślnicy. Wyglądała tak, jakby ktoś równiutko odciął górne piętro.

Parter pozostał nietknięty, chociaż bez drzwi wejściowych i szyb. W oknach powiewały kraciaste bawełniane zasłonki. Drewniany stół przykrywała gruba warstwa pyłu. Przed kominkiem stała czarna sofa z materacem z końskiego włosia, a obok kredens, na którym piętrzyły się zakurzone talerze. Jakimś cudem przetrwały wstrząsy. Lai Tsin uważnie popatrzył na sufit: tynk popękał w kilku miejscach, ale pomieszczenie wydawało się bezpieczne.

Wygładził sofę i oczyścił ją z kurzu. Gestem zaprosił Francie.

- Proszę usiąść, panienko.

Dziewczyna z ulgą opadła na miękkie siedzenie. Lai Tsin położył obok śpiącego chłopczyka. Spojrzał na nią wyraźnie zdenerwowany:

- Przyjechałem do Ameryki bez żadnych papierów. Zarabiałem dla skromne utrzymanie grą w karty. Nie mam żadnej przeszłości, panienko, i żadnej przyszłości. Liczy się tylko dzień dzisiejszy. Zawsze tak żyłem i cała moja rodzina.

Francie zamyśliła się, po czym skinęła głową.

- W takim razie oboje mieliśmy szczęście. Trzęsienie ziemi pogrzebało moją przeszłość i zabrało przyszłość, zostawiając tylko dzień dzisiejszy.

- Może to rzeczywiście obróci się na dobre - zgodził się Lai Tsin.

Chłopczyk spał, a Francie i Lai Tsin szukali w ruinach pościeli albo koców. Noc była zimna, palenia ognisk zabroniono. Wreszcie Francie usnęła na sofie otulona w podartą różową kołdrę, a Lai Tsin, okrywszy się starą zasłoną, czuwał aż do brzasku.

Rozmyślał o dziewczynie. Pamiętał, z jaką nienawiścią patrzyła na płonąca rezydencję ojca, i wiedział, że cierpiała, bo sam niejednokrotnie doświadczył tego uczucia. Przez całe życie stykał się z wrogością, strachem i samotnością.

Ale o nic jej nie pytał. Wiedział, że z czasem opowie mu o wszystkim.

Rankiem ruszyli w dalszą drogę.

- Dokąd idziemy? - chłopczyk ciągnął Francie za spódnicę.

- Przed siebie - odpowiedział spokojnie Lai Tsin. Sam nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, ale małemu najwidoczniej wystarczyła ta informacja. dzielnie maszerował u boku opiekuna.

Po pewnym czasie znaleźli się w parku pełnym białych namiotów. Ludzie siedzieli na trawie w porannym słońcu, rozmawiali i czytali gazety. Inni stali w kolejce po darmowe śniadanie, wydawane z kotłów ustawionych na drewnianych wozach. W powietrzu unosił się zapach gorącej kawy i chleba. Chłopczyk znowu pociągnął Francie za spódnicę. Był głodny. Francie zdobyła śniadanie i koce. Zjedli szybko, z dala od innych, zarzucili pledy na ramiona i poszli przed siebie, ufnie zdając się na Lai Tsina.

Przez następne dni Chińczyk opiekował się nią jak młodszą siostrą, szukał jedzenia i noclegu, aż w końcu wydał wszystkie pieniądze. O nic nie pytał, a Francie też odzywała się rzadko. Wreszcie, pewnego wieczoru przy ognisku rozpalonym wśród kamieni, zaczęła nieśmiało:

- Muszę ci coś powiedzieć, Lai Tsin.

Ukryła twarz w dłoniach. Czekał cierpliwie, wiedział, że Francie musi wreszcie pozbyć się gnębiącego ją ciężaru. Chwilę siedzieli w milczeniu, w niesamowitej scenerii zniszczonego miasta. W oddali, na tle atramentowego nieba, rysowały się zgliszczka San Francisco.

- Nazywam się Francesca Harrison, a Harmon Harrison był moim ojcem. - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. - Nawet ty o nim słyszałeś - powiedziała z goryczą, widząc poruszenie Lai Tsina.

- Wszyscy w San Francisco znali go - odparł. Jego czarne oczy stały się ponownie nieodgadnione.

Francie opowiadała, że ojciec i brat Harry nienawidzili jej.

- Chcieli zamknąć mnie w zakładzie dla obłąkanych i zabić. - mówiła. A potem spotkała Josha, który uratował jej życie. Pokochali się. Był dobry i piękny jak anioł. „Nawet siostry w klasztorze tak mówiły”. Opowiedziała o tajemniczych morderstwach i o Sammym. Josh nie wierzył, że to przyjaciel zabił te kobiety, ale z czasem nie miał już wątpliwości.

Francie zakryła twarz dłońmi, jeszcze raz przeżywając straszny wybuch.

- Nagle poczułam, że spadamy w przepaść i wszystko wali się na nas - opowiadała przejęta. - Myślałam, że to tylko koszmarny sen. Czułam ciężar na piersiach i pełno pyłu w ustach. Dusiłam się. Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą twarz Josha. To on mnie tak przygniatał. Gdzieś wysoko była szpara w zawałonych murach, przez którą sączyło się światło. Potem rozległ się straszny łoskot i spadła na nas ogromna belka. Słyszałam, że Josh rzeździ, jakby ktoś ciął metal pilnikiem. Chciałam wydostać się spod niego, ale był za ciężki, a belka zamknęła nas jak w potrzasku. Czułam na sobie lepłą krew, nie wiedziałam nawet czyją.

Myślałam wyłącznie o tym, aby uwolnić się. Powoli, nie wiem, jak długo to trwało, udało mi się wreszcie stanąć na nogi.

Josh cały czas oddychał ciężko, podobnie jak moja matka przed śmiercią. Jęczał z bólu, a ja byłam bezradna. Próbowałam dźwignąć belkę, ale nawet nie drgnęła, więc chwyciłam go pod ramiona i ciągnęłam. Przez moment wydawało mi się, że dam radę, wysunął się o kilka centymetrów, ale właśnie wtedy nastąpił kolejny wstrząs.

Belka ześlizgnęła się, zobaczyłam, że z góry leci kawałek muru. Odskoczyłam, gruz spadł na Josha. Nie wiedziałam, co robić. Ukłękłam obok niego. Nie ruszał się i nie oddychał. Nagle podniósł głowę i spojrzał na mnie.

Francie drżała. Z lękiem patrzyła na Lai Tsina.

- Jego piękna twarz była zmiażdżona i cała we krwi. Milczał. Nie próbował jej pocieszać. Wiedział, że pewnych spraw nie załatwi się słowami i ciężą w duszy do końca życia.

- Oddychał coraz ciszej i ciszej... aż wreszcie zamilkł - ciągnęła Francie. - Nie wyczuwałam już tętna. Nie żył. Nakryłam go kocem i wyszłam.

Już nie pamiętam, jak znalazłam się na ulicy, po której zostały tylko potłuczone kamienie. Szalał pożar, ludzie gdzieś uciekali... Dołączyłam do nich. Ktoś zabandażował mi głowę i dał ubranie. Chciano nawet zabrać mnie do szpitala, ale okazało się, że już nie istnieje. Na ulicach było mnóstwo rannych, lekarzy, pielęgniarek. Zawróciłam. Musiałam zobaczyć, co dzieje się w domu. W głębi duszy życzyłam ojcu śmierci.

Spojrzała na Lai Tsina ze smutkiem.

- Resztę znasz. Moje pragnienie spełniło się. Chińczyk z powagą skinął głową.

- Serce wypełnia mi współczucie dla ciebie, Mała Siostrze. Ale to nie twoje życzenia zabiły ojca i zniszczyły dom. Okradł cię z młodości i szczęścia.

Wszystko dał bratu. Nie zabiłaś ani ojca, ani ukochanego. To los, Mała Siostrze, tak zdecydował.

Teraz wreszcie będziesz sobą. Zapomnij o uczuciach i zostań panią swego życia.

Musisz być twarda, wtedy los cię nie pokona.

Francie otarła łzy z oczu. Skuliła kolana i po raz pierwszy uważnie przyjrzała się towarzyszowi. Z pewnością nie był już młody, chociaż nie potrafiła dokładnie określić jego wieku. Wyglądał na zabiedzonego, lecz emanował jakąś niepospolitą siłą, przy której nędzne ubranie i pusty portfel wydawały się nieważne. W ciemnych oczach czały się głęboki smutek i rezygnacja, jakby jego ród od wielu pokoleń borykał się z biedą i przeciwnościami losu.

- Jesteś mędrcom, Lai Tsin - powiedziała. - Jak prawdziwy chiński mandaryn.

Uklonił się.

- Musisz zapomnieć o przeszłości, Mała Siostrze. Teraz zaśnij, a jutro zaczniesz nowe życie. Nie od razu zapomnisz, ale idź przed siebie bez oglądania się wstecz.

Francie położyła się spokojnie obok chłopca, a Lai Tsin przykrył ich troskliwie kocem. Potem usiadł przy ogniu i długo rozmyślał o Harmonie Harrisonie. Z trudem stłumił złe wspomnienia. Przypominają dwoje dzieci, pomyślał z żalem o śpiących, których los pozbawił dzieciństwa, jak niegdyś jego. Teraz razem zmierzają się z przyszłością. Już jutro.

Rozdział 15

Ciężkie szare chmury szybko przetaczały się po niebie. Padał ulewny deszcz.

Francie biegła w górę California Street. Zatrzymała się przed samym szczytem wzgórza, żeby złapać oddech. Krople wisiały na kosmykach jasnych włosów, wymykających się spod szala, policzki zaróżowiły się od wiatru. Minęły trzy tygodnie od trzęsienia ziemi, od śmierci Josha i chwili, gdy Harry zostawił ciało ojca na pastwę płomieni.

Teraz nadszedł czas, aby pożegnać jego duszę. Rano przeczytała w Kronice, że odbędzie się msza żałobna w intencji Harmona Harrisona. Donoszono również, że syn, który tak dzielnie zniósł cios, odbuduje rodzinną rezydencję na Nob Hill, „żeby pokazać światu, że nawet wyroki losu nie zniszczą Harrisonów”.

Napisano również, że Harmon Harrison był najbogatszym człowiekiem w San Francisco i cały majątek przekazał synowi. Z wyjątkiem rancza w Sanoma Valley, które należało do zmarłej żony Harrisona, Dolores. Matka zapisała je córce. Ale dziewczyny nie widziano po trzęsieniu ziemi i uznano za zaginioną.

Francie przemierzała powoli California Street, patrząc na osmolone ruiny hotelu Fairmont i wypalone kikuty innych budynków. Robotnicy metodycznie przeczesywali gruz, ładując sterty kamieni na wózki i odkładając wszystko, co miało jakąś wartość - fragmenty mozaiki, marmurowe popiersie, atlasowy pantofelek.

Z rezydencji Harrisonów została tylko fasada. Francie minęła nadpalone doryckie kolumny i po znajomych marmurowych schodach weszła do środka. Spojrzała w górę.

Nie było wielkiego, witrażowego okna i do domu lały się strumienie deszczu.

Odgarnęła stopą kurz z czarno - białej marmurowej posadzki, która rozpadła się na tysiące maleńkich kawałków. Nagły dreszcz nią wstrząsnął. Wśród tych zgłiszczy były gdzieś prochy ojca. Czowała jego obecność, jakby nadal żył.

Uciekła wystraszona. To dobrze, że nic jej nie zostawił. Będzie biedna, ale wolna.

Francie przyzwyczaiła się już do widoku ruin i zniszczeń. Ulice przypominały teraz miasteczko w czasie odpustu albo ludowego święta. Ludzie gromadzili się przed prowizorycznymi domostwami, gwarzyli po przyjacielsku, a czasami siedzieli na ustawionych wzdłuż chodnika krzesłach i kanapach. Kobiety gotowały na dworze w piecykach, a mężczyźni zbijali stoły z drewnianych krat kominkowych. Dzieci biegały wśród gruzów, słuchając wędrownego kataryniarza i śmiejąc się z jego małpki. Uliczni sprzedawcy zachwalali towary tym nielicznym przechodniom, którzy mieli jeszcze pieniądze. W zniszczonym mieście panował nastrój braterstwa, ludzie solidarnie stawiali

czoło trudnościami przekonując się, że nic sobie z nich nie robią. „W końcu wszyscy jedziemy na tym samym wózku”, twierdzili.

Francie, Lai Tsin i chłopczyk korzystali z pomocy władz miejskich, podobnie jak dwieście pięćdziesiąt tysięcy innych bezdomnych uciekinierów. Czasami stołowali się w ulicznych jadłodajniach, gdzie obiad kosztował piętnaście centów, a gdy zabrakło pieniędzy, chodzili do Czerwonego Krzyża na darmowe posiłki. Na śniadanie były gorące grzanki i kawa albo kasza kukurydziana, na obiad zupa i wołowina z jarzynami, a na kolację irlandzki gulasz, chleb i herbata. Mieszkali w małym baraku na skraju chińskiej dzielnicy i radzili sobie, jak inni.

Lai Tsin siedział na pomarańczowej kracie w prowizorycznie skleconej przybudówce i uczył chłopca korzystać ze starych, drewnianych liczydeł. Uśmiechał się do Francie. Z ukrytej pod kaftanem kieszeni wyjął pęk banknotów.

- Zobacz, ile mam dzisiaj pieniędzy.

policzyła szybko i spojrzała zaskoczona:

- Ależ to ponad sto dolarów.

- Sto trzy dolary i dwadzieścia centów - poprawił ją Lai Tsin z promiennym uśmiechem. Zza pazuchy wyciągnął jeszcze małą czarną książeczkę. - Dzisiaj otworzono chiński bank. Moje oszczędności nie spłonęły, czego obawiałem się, i wypłacono mi gotówkę.

Francie roześmiała się.

- Jesteś bogaty, Lai Tsin.

- Wieczorem zagram w pai-gow - zniżył głos - i będę jeszcze bogatszy.

- Naprawdę zamierzasz postawić wszystkie pieniądze w karty? - spytała zaskoczona.

Chińczyk spoważniał przybierając znowu nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Zawsze tak robię - odparł.

Francie patrzyła z żalem, jak przeciskał się przez zatłoczone ulice wśród maszyn do szycia, wanien i suszącej się na sznurach bielizny. Mijał stragany z czerwonymi szyldami i piece z kawałków metalu oraz cegieł. Za sto trzy dolary kupiłaby buty dla chłopca, poduszki, świece, mydło i jedzenie. Nie musieliby więcej korzystać z pomocy charytatywnej. Potrząsnęła głową. Pieniądze należały do Lai Tsina i miał prawo dowolnie dysponować nimi. A ona musi znaleźć pracę.

Weszła do baraku i przygotowywała kolację dla chłopca. Zdziwiona ujrzała Lai Tsina za lekko odsuniętą zasłoną. Wcisnął jej do ręki pięćdziesiąt dolarów i szybko powiedział:

- Kiedyś byłem sam. Teraz mam obowiązki, nie mogę stawiać w karty wszystkich pieniędzy. Trzeba kupić buty dla Małego Synka i inne rzeczy dla Małej Siostry - uklonił się i zniknął.

Francie usiadła na kracie. Mały podniósł główkę znad liczydeł i uśmiechnął się do niej. Lai Tsin nazywał go „Małym Synkiem”, ją zaś „Małą Siostrą”. Poczowała falę ciepła w sercu. Lai Tsin i chłopiec byli jej bliżsi niż rodzina.

Lai Tsin wrócił bardzo późno i w świetle migocącej świecy zauważyła wydłużoną twarz. Z westchnieniem usiadł na kracie i schował twarz w dłoniach.

- Szczęście mnie dzisiaj opuściło, Mała Siostro - powiedział śpiwnym, żalonym głosem - Aiee, aiee, szczęście opuściło Lai Tsina.

Z żalem pomyślała o utraconych oszczędnościach.

- Och, Lai Tsin, straciłeś wszystko - szepnęła. Zaprzeczył.

- Ja świetnie gram, Mała Siostro. Ale człowiek, z którym wygrałem, nie miał pieniędzy, więc dał mi ten papier. Powiedział, że to warte może osiemdziesiąt dolarów albo i więcej...

Francie wzięła zwitek cienkiego pergaminu z czerwoną pieczęcią zapisanego po chińsku z angielskim tłumaczeniem:

„Dzierżawa na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat na parcelę ziemską w Centralnym Dystrykcie Hongkongu, pomiędzy ulicami Des Voeux i Queens, której dokładny obszar i rozmiary są podane na poniższej mapie”.

- Ależ Lai Tsin, to jest nadanie ziemi w Hongkongu! - wykrzyknęła Francie. - Dzierżawę sprzedała Spółka Mon Wu panu Huang Wu.

Skinął głową.

- Chung Wu to jego wnuk. Odziedziczył tę ziemię, a teraz jest moja. Tak napisał w tym liście.

Wręczył Francie zwitek papieru. Popatrzyła na chińskie litery.

- Musisz mi to przetłumaczyć.

Lai Tsin trzymał papier w wyciągniętej dłoni, chrząkał i prze-stępował z nogi na nogę. Wreszcie wbił oczy w podłogę.

- Mała Siostro, to mój wielki wstyd i smutek. Nigdy nie nauczyłem się czytać i pisać.

Francie oblała się rumieńcem. Nie chciała go upokorzyć, wiedziała, jak ważny dla Chińczyka jest szacunek otoczenia.

- Tak mi przykro - powiedziała tylko. Lai Tsin wzruszył szczupłymi ramionami.

- Moja rodzina była bardzo biedna. Brakowało czasu i pieniędzy na naukę. Umiem tylko liczyć. Jako czteroletni chłopiec pracowałem już na polach morwowych.

Zbierałem liście i pakowałem je do wielkich koszy. Pracowałem też na polach ryżowych, pilnowałem kaczek w wielkim gospodarstwie należącym do właściciela naszej wsi. Pragnąłem kształcić się, zamiast uprawiać ryż, ale nie było mi to przeznaczone. Miałem sześciu braci i siostrę. Wszyscy musieliśmy pracować, by zarobić najedzenie. - Lai Tsin westchnął głęboko. - ? teraz skończyłem trzydzieści lat i nadal jestem biedny. Los jest moim panem, Mała Siostró. Nie przeznaczył Lai Tsinowi wybitnych ról.

- To nieprawda - zaprotestowała żywo Francie. - Możesz stać się wielkim człowiekiem, potężniejszym niż właściciel waszej wioski. Zdobędziesz wykształcenie. Sama nauczę cię czytać i pisać.

Spojrzał na nią ze smutkiem przez migocące światło świecy.

- Jako młody chłopak też byłem pełen niemądrych nadziei - powiedział łagodnie.

- Teraz jestem starszy, mądrzejszy i wiem, że na zawsze pozostanę niewykształconym wieśniakiem. Potrafię jedynie dobrze grać w karty.

Usiadł na podłodze naprzeciwko Francie i mówił dalej.

- Większość Chińczyków w San Francisco pochodzi z Toishan. Ale moja wioska leży w prowincji Anhwei nad rzeką Jangcy, którą nazywamy „Ta Chiang - Wielka Rzeka”, bo płynie przez cały kraj. Ma źródło w Tybecie, zakolami wiję się przez wysokie góry i głębokie wąwozy, a potem rozlewa się na ogromnych równinach Szanghaju i zmierza na wschód, do Morza Chińskiego. Co roku, po deszczach monsunowych są powodzie. Czasami Ta Chiang zalewała także naszą wioskę i niszczyła zbiory. To były złe lata, bo nikt nie miał żywności ani pieniędzy.

W wiosce panowała bieda. Ziemia należała do dziedzica. Chaty budowano z cegieł wypalonych z żółtego błota. Wzdłuż podwórza stawiano drewniane galeryjki, łączące poszczególne izby. Na parterze była wielka kuchnia, gdzie kobiety przygotowywały jedzenie, i głęboka studnia. W szczytach dachu tkwiły wyrzeźbione z drewna nietoperze, polakierowane na czerwono. Ludzie wierzyli, że chronią przed nieszczęściem. Chociaż nie rozumiem, dlaczego nie zwątpili w to po tylu niepomyślnych latach.

Lai Tsin przerwał. Podniósł ze stojaka fajkę i zapalił ją od płomienia świecy.

Zaciągał się spokojnie, delektując się smakiem tytoniu. Francie czekała na dalszą opowieść.

- Okna zasłaniano ryżowym papierem - odezwał się wreszcie. - Pamiętam, jak szeleścił w lodowatym, zimowym wietrze, który wdzierał się do środka. My kuliliśmy się na matach wokół małego piecyka. A w lecie z trudem oddychało się z wilgoci i upału. Moja rodzina była bardzo liczna - ojciec, jego druga żona i konkubina oraz dziesięcioro dzieci. Dwoje umarło jako niemowlęta, a później zmarł mój ukochany młodszy brat, Mały Chen. Miał okrągłą i płaską jak naleśnik twarz, mrugające oczy i zawsze się

uśmiechał. Opiekowałem się nim, zabierałem go na pola ryżowe dzieliłem się jedzeniem, a w nocy przytulałem do siebie, żeby nie zmarł. Któregoś dnia zachorował na bagienną gorączkę, i wieczorem już nie żył...

Ojciec powiadomił wioskową starszą i następnej nocy, jeszcze przed świtem kilku mężczyzn zabrało mojego braciszka w koszyku. Poszedłem za nimi, chociaż to było zabronione. Łzy żalu płynęły mi po twarzy, ale nie odważyłem się głośno zapłakać. Mały Chen był taki malutki, toteż ludzie mówili, że jego dusza jeszcze nie ukształtowała się i nie wolno wyprawić mu pogrzebu. Zostawili koszyk u podnóża drzewa w świętym gaju fung-shui, skąd zabiorą go ptaki i psy.

Wiedziałem, że starsi muszą wrócić do domu przed brzaskiem, więc czekałem. Potem otworzyłem koszyk, pocałowałem słodką twarzyczkę braciszka i pożegnałem się z nim. Słyszałem łopot skrzydeł krążących w górze wielkich ptaków i hałas w trzcinach. Nadchodziły głodne psy. Wystraszony pobiegłem do wioski. Zgodnie ze zwyczajem, nikt w rodzinie już o nim nie wspomniał.

Lai Tsin umilkł. Zdmuchnął popiół z fajki i popatrzył na Francie.

- Nikomu o tym nie mówiłem - powiedział zdziwiony. - Wspomnienia ciężą w sercu jak kamienie, a inne kłują jak ciernie - potrząsnął głową. - Lepiej nie opowiadać takich historii i zapomnieć o nich.

W drżącym płomieniu świecy ujrzał łzy w niebieskich oczach dziewczyny. Ujął ją za rękę.

- Masz czułe i ufne serce, Mała Siostró - powiedział spokojnie. - Kiedyś cierpiałem jak ty teraz. Może nawet więcej miałem powodów do rozpacz. Ale uwierz mi, życie trwa niezależnie od tego, co nam się przydarzy. Czas goi rany i pewnego dnia uwolnisz się od koszmarnych wspomnień.

- Próbowałam dzisiaj zapomnieć o ojcu - szepnęła przejęta nagłym chłodem. - Ale nie udało się, Lai Tsin, jego duch wciąż tu jest, nie daje mi spokoju...

Odłożył fajkę i ujął jej twarz w chude, wąskie dłonie, przesunął palcami po skroniach. Potem wziął Francie za ręce i popatrzył na delikatne linie papilarne.

- Twój los jest tutaj zapisany - odezwał się wreszcie. - Ta linia wskazuje, że w dzieciństwie byłaś silna, a krótkie i poplątane linie to choroby oraz smutki. Na twojej twarzy widzę mądrość, zdobędziesz władzę nad ludźmi, spełnią każde twoje życzenie. Zdobędziesz duży majątek, będziesz podróżować, a wszyscy obdarzą cię szacunkiem. Pokonasz kłopoty i smutki, bo jesteś silniejsza od przeciwników.

Widzę też bodaj dwoje dzieci - popatrzył na nią z dziwnym niepokojem.

- Nigdy nie wyjdę za mąż! - krzyknęła z pasją. Brązowe, migdałowe oczy Lai Tsina nabrały magnetycznej siły.

- W twoim życiu będą mężczyźni - powiedział. - Jesteś śliczną dziewczyną, a wkrótce staniesz się piękną kobietą. Niejeden mężczyzna pokocha cię. To także twoje przeznaczenie.

Francie spojrzała na dłonie, które wciąż trzymał Lai Tsin.

- Widzę też przemoc i zbrodnie na drodze twego życia. Przyniosą ci wielki smutek.

- Więc mój los jest już przesądzony - szepnęła. Znowu przytaknęła.

- Możemy go tylko przechytryć, nieraz próbowałem oszukać przeznaczenie.

Powoli nabijał fajkę.

- Proszę, Lai Tsin, opowiedz mi o tym.

- Może innym razem, Mała Siostró.

Francie położyła się na macie obok chłopca. Patrzyła na niewinną buzię pogrążoną w słodkim śnie. Dzieci zapominają tak szybko... Mały stracił rodzinę, dom, przeżył trzęsienie ziemi i pożar, a spał spokojnie jak aniołek. Przykryła się kocem i słuchała spokojnego, kołyszącego do snu oddechu dziecka. Po kilku minutach już spała. Lai Tsin delikatnie pykał fajkę, aż do świtu pogrążony we wspomnieniach. Brzask poranka oświetlił szarą, zatroskaną twarz. Odłożył fajkę i położył się na macie przy drzwiach. Myślał, o przyszłości Francie. Dopiero po długim czasie usnął, czujny niczym kot lękający się nieprzyjaciół.

Rozdział 16

Francie rozpoznała miejsce z pocztówki, którą przysłał jej Josh. Wpatrywała się w stos cegieł i kamieni; tyle zostało po barze i pensjonacie Barbary... Żałowała, że przyjechała do San Francisco. Na liście zaginionych i uznanych za zmarłych znalazła nazwisko Josha. To tutaj mieszkał i zginął...

Żal ścisnął serce, gdy wspominała pogodnego, ślicznego dziecko, psotnego chłopca i wreszcie przystojnego, młodego mężczyznę. Zawsze był taki dobry dla wszystkich.

Josh na pewno nie zabił żadnej kobiety, nieważne, co twierdził Sammy Morris. To przez niego uciekł do San Francisco i zginął samotnie. Próbowła sobie wyobrazić, co czuł, gdy zatrzęsa się ziemia i ściany runęły przywalając go gruzem. Myślała, jak dusił się, nie mogąc wydostać się spod kamieni. Pomoc nie nadeszła, a pojawił się ogień. Zrozpaczona zadrżała i zakryła twarz rękami.

Francie jakby wbrew własnej woli wracała tego dnia do baru Barbary. Szła powoli z chłopcem za rękę. Lai Tsin powiedział, że aby odzyskać spokój, musi także pogodzić się ze śmiercią Josha.

Już z daleka zauważyła młodą kobietę. Wyglądała jakoś po cudzoziemsku w błękitnym wełnianym kostiumie i kapeluszu z brązowym piórem. Widziała, jak chowa twarz w dłoniach i szlocha. Nagle współczucie ogarnęło Francie. Podbiegła i objęła ją ramionami.

- Proszę mi wierzyć, wiem, co pani czuje - powiedziała ciepło, Annie zaś spojrzała przez łzy. - Tutaj zginął mój narzeczony. Leżał ranny pod zwałem muru, a potem ziemia zatrzęsa się znowu i wielka belka spadła na niego.

- Przykro mi, kochanie - powiedziała Annie, ocierając łzy. - Tysiące ludzi oplakuje tutaj bliskich, ale mój brat był takim niezwykłym człowiekiem...

Przejechałam pół świata w nadziei, że znajdę go wśród żywych.

Francie wpatrywała się w nią zdumiona. Coś dziwnie znajomego pobrzmiewało w sposobie mówienia tej kobiety, słowo „kochanie” akcentowała tak samo jak Josh, i przybyła z daleka... Dokładnie przyjrzała się nieznajomej. Pulchna, o twarzy z dużymi brązowymi oczami okolonymi gęstą firanką rzęs i uśmiechem, który przypominał coś Francie...

- Pani jest siostrą Josha - powiedziała pewnym głosem. Annie zamarła. Potem ścisnęła ją mocno za ramię.

- Pani знаła Josha?

- Właśnie o nim opowiadałam...

Annie wybuchnęła płaczem... A więc Josh naprawdę nie żyje. Przytuliła do siebie Francie.

- Jestem szczęśliwa, że poznał panią - wyszłochała. - Przynajmniej nie umierał samotnie. W koszmarnych snach widziałam brata leżącego pod gruzami i patrzącego na zbliżające się płomienie. Teraz przynajmniej wiem, jak zginął. To straszne, ale mam jakąś pociechę.

Cofnęła się o krok i popatrzyła na Francie. Zastanawiała się, czym właściwie ujęła Josha ta zaniedbana chudzina, z krótko obciętymi jasnymi włosami i słodką buzią w kształcie serca. Na czole, nad ogromnymi szafirowymi oczami miała bliznę. Annie otarła łzy.

- Więc pani była narzeczoną Josha. To prawie tak, jakby należała pani do rodziny, czyż nie? Gdyby Josh żył, zostałyby pani moją bratową. A ja nawet nie znam imienia pani.

- Francie Harrison. - Chłopiec, który schował się za dziewczyną, już się niecierpliwił.

Annie ze zdziwieniem spojrzała na małego Chińczyka w kaftaniku z surowej niebieskiej wełny i w śmiesznie przekrzywionej czapeczce z kolorowymi wstążkami.

Miał okrągłą buzię, migdałowe oczy i pewnie cztery lata. Chwyciła go w objęcia.

- A kim ty jesteś, mały człowieczku? - zapytała z uśmiechem, poprawiając czapeczkę.

- To sierota - wyjaśniła Francie. - Lai Tsin znalazł go błąkającego się po ulicy, więc zaopiekowaliśmy się nim.

- Jak ma na imię? - Annie pociągnęła żartobliwie za warkoczyk. Mały uśmiechnął się nieśmiało.

To pytanie zaskoczyło Francie. Nigdy nie myślała o jego imieniu.

- Lai Tsin mówi do niego Mały Synku.

- Każdy ma prawo do imienia - stwierdziła oburzona Annie. - Może Filip? To dobre chrześcijańskie imię dla takiego małego poganina. A kim w ogóle jest ten Lai Tsin?

- Moim przyjacielem - odparła Francie dumnie. - Wcale nie są poganami, panno Aysgarth. Poza tym Lai Tsin to prawdziwy gentleman. Bardzo mi pomógł po trzęsieniu ziemi.

Annie skinęła głową.

- Teraz ja zatroszczę się o panią, brat oczekiwałby tego ode mnie - zdławiła cisnące się do oczu łzy. - Lepiej będzie, jeśli przestanę już płakać. Teraz wreszcie napiszę do ojca, że naszego Josha pochowano z setkami mieszkańców San Francisco. Przecież nie skłamię, prawda? Wiem, że to nie poświęcona ziemia, ale przynajmniej w ten sposób ocalimy honor rodziny.

Po chwili wahania dodała szybko:

- Zapewne Josh wyznał ci wszystko, kochanie? Oczywiście jest niewinny. To przez Sammy'ego Morrisa uciekł z domu i znalazł śmierć pod gruzami.

Na sam dźwięk tego imienia Francie przeszył nieprzyjemny dreszcz.

- Tak - ciągnęła Annie z goryczą. - Przyjaciół Josha, o ile w ogóle można nazwać kogoś takiego przyjacielem. Sprawdzę jutro listy zaginionych. Na pewno odnajdzie się tam jak zły szeląg.

Annie poprawiła energicznie kapelusz i jeszcze raz zlustrowała sylwetkę Francie.

Nie uszły jej uwagi zniszczona spódnica, stary, szary szal i podarte trzewiki.

- Musimy kupić jakieś nowe ubranie - zdecydowała. - Ale najpierw odprowadźmy małego Filipa do twojego Chińczyka. - Objęła Francie ramieniem i poszły do Dzielnicy Chińskiej. - Powiadają, że Bóg zawsze zsyła coś na pocieszenie - powiedziała z przejęciem. - I teraz zesłał mi narzeczoną Josha.

Lai Tsin gotował jarzyny w okrągłym rondelku na kuchence, w której palono węglem drzewnym.

Z szacunkiem ukłonił się ładnej towarzyszce Francie. Annie zawołała już w progu:

- Dzień dobry, panie Lai Tsin. Francie opowiedziała mi, jak pan jej pomagał.

Zaznaczyła też, że jest pan gentlemanem i muszę jej przyznać rację - usiadła na kracie, rozpiąwszy wełniany żakiet kostiumu. - Nazwałyśmy małego Filip. To angielskie imię, ale nazwisko ma chińskie, prawda?

Lai Tsin patrzył na nią w milczeniu. Annie zdjęła żakiet i podwinęła rękawy białej bawełnianej bluzki.

- Uff, trochę tu za gorąco na najlepszą szkocką wełnę. Co pan gotuje, Lai Tsin?

Smakowicie pachnie, choć nie przypuszczam, żebym kiedyś jadła coś takiego.

Ale on myślał o pierwszym pytaniu.

- Chen - odpowiedział.

- Chen?

- Mały Synek nazywa się Chen. Tak jak mój brat.

- Rozumiem. Filip Chen. Mmm, ładnie brzmi. Wdaje mi się, że dobrze wybrałam.

No, ale omówmy nasze sprawy. Bardzo jestem panu wdzięczna za pomoc dla Francie.

Przypadkiem spotkałyśmy się przy barze Barbary - zagryzła wargi i ciągnęła szybko:

- Francie powiedziała, że jakaś siła pchnęła ją w tym kierunku, choć wcale nie zamierzała tam iść. Nie sądzi pan, że to przeznaczenie? Francie została by żoną brata, gdyby żył, więc pragnę jej pomóc. - Wyjęła z portmonetki plik banknotów. - Myślę, że pan także wszystko stracił, panie Lai Tsin, a zatem przyda się panu trochę gotówki.

Chińczyk nie drgnął nawet na widok pieniędzy, lecz Francie znała go już dobrze i wiedziała, że zraniono jego dumę.

- Panno Aysgarth, przeżyliśmy razem najgorsze dni - wtrąciła szybko. - Teraz Lai Tsin i Mały Synek są moją rodziną. Dziękuję za pomoc, ale zostanę z nimi.

Twarz Annie wyrażała niebotyczne zdumienie. Nie spodziewała się, że dziewczyna podejmie taką decyzję, ale podziwiała ją za to. Szkoda, że sama nie zdobyła się na własne zdanie w wieku osiemnastu lat. Prawdopodobnie jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Myślała o monotonnej egzystencji w Ivy Cottage, gdzie była tylko niewolnicą ojca, i nagle postanowiła: nie wróci do domu. Przecież często słyszała, że nigdy nie jest za późno na nowe życie.

- Cóż, w takim razie przyłączę się do was. Też jestem samotna, po śmierci Josha... Co prawda w Yorkshire mieszkają ojciec i bracia, ale nie potrzebują mnie. Byłam tylko koniem roboczym, starą panną bez własnej rodziny. Przez najlepsze lata opiekowałam się ojcem, więc teraz chyba mogę zatroszczyć się o kogoś innego. - Błagalnie spojrzała na Francie. - Josh był moim życiem. Przy was miałabym przynajmniej jakiś cel. Dzięki Joshowi znalazłam się tutaj i pragnę zostać. Z wami.

Mały Synek wspiął się na kolana Annie i objął ją za szyję małymi ramionkami.

- Naszym domem jest ulica - powiedziała poważnie Francie. - Nie mamy pieniędzy, korzystamy z kuchni dobroczynnych. Nie zna pani naszych problemów. Lai Tsin jako Chińczyk bez dokumentów żyje właściwie poza prawem. Chcę odwdziżyć się za pomoc. Razem staramy się przechytrzyć los.

Annie skinęła głową. A więc odejdzie. Wstała i powoli strzepnęła kurz ze spódnicy.

- Może ja też zawsze marzyłam o tym w głębi duszy - odparła, zakładając kapelusz.

Kobiety spojrzały na siebie i przemknął między nimi błysk zrozumienia, jakby wyczuły, że równie mocno pragną uciec od przeszłości. Wreszcie Francie uśmiechnęła się.

- Więc dlaczego nie zostaniesz?

Rozdział 17

Lai Tsin stał w głębi małego pokoju w budynku przy wąskiej alejce w Dzielnicy Jmrrn Chińskiej. Obserwował grających w mah-jongg. Małe kostki strzelały jak pociski, gracze piszczeleli i krzyczeli z podniecenia, a w powietrzu unosił się słodkawy, ciężki zapach opium. Po trzęsieniu ziemi pomieszczenie przypominało raczej pobożowisko, tynk odpadał ze ścian, wspartych na belkach, a na suficie widniała niebezpieczna pajęczyna pęknięć. Ale hazard kwitł tutaj od lat i nawet kataklizm nie skłonił Chińczyków do zmiany obyczaju.

Lai Tsin wsunął ręce do kieszeni i przesypywał monety między palcami: miał dwadzieścia dolarów wygranych od Chung Wu, ten bezwartościowy świstek papieru o dzierżawie ziemi w Hongkongu i dziesięć dolarów, które pozostały z początkowego „kapitału”. Nigdy bowiem nie stawiał ostatniego centa. Poza tym posiadał jeszcze żelazny zapas na czarną godzinę: monety dziesięciocentowe poutykane w zakamarkach przepaścistego słomianego kosza. Właściwie czarne godziny zdarzały się codziennie, ale tylko prawdziwa katastrofa zmusiłaby Lai Tsina do wydania tych pieniędzy.

Z pogardą patrzył na mężczyzn przy stolikach. Grali ogarnięci gorączką hazardu, ale żaden z nich nie był tak mądry jak on. Lai Tsin, z umysłem lotnym jak ptak, przewidywał kolejne posunięcie, zanim gracz wyciągnął rękę. Kłopot polegał na tym, że jego partnerzy często byli nawet biedniejsi niż on, toteż nie mógł wygrać tyle pieniędzy, aby zmierzyć się z naprawdę wielkimi. Trzęsienie ziemi zmiotło z powierzchni większość kasyn, więc rekiny hazardu, o których Lai Tsin jedynie słyszał do tej pory, zawitały do tego podrzędnego lokaliku.

Myślał o trzydziestu pięciu dolarach i odpowiedzialności za dziewczynę oraz malca. Według prawa, powinien wrócić do pracy na polach ryżowych, zbierać jabłka i śliwki albo uprawiać zboże, z czego sam z trudem mógłby się utrzymać, a już na pewno nie wyżywiłby nowej rodziny. Musiał zarobić na utrzymanie, bo inaczej straci szacunek dla samego siebie, a zatem zmierzy się z którymś spośród uboższych graczy.

Czekał cierpliwie, aż wreszcie starszy brodaty mężczyzna z niesmakiem wstał od stolika, przeklinając pech. Lai Tsin zajął jego miejsce. Rozdano zniszczone kościane tabliczki ozdobione czerwonymi, zielonymi i białymi smokami, kwiatami, drzewami bambusowymi i cyframi. Jeden z graczy rzucił kostkę. W pięć minut dziesięciodolarowy wkład Lai Tsina urósł do pięćdziesięciu dolarów, po półgodzinie zaś wynosił już trzysta.

Schował wygraną do kieszeni i podszedł do okna bez szyby, gdzie też stał stolik.

We framudze wisiał haftowany szkarłatny szal, zasłaniający graczy przed wścibskimi przechodniami. Frędzle poruszał wieczorny wiatr. Sześciu mężczyzn licytowało w niezwykle skomplikowanej chińskiej grze. Dym z fajek łączył się z oparami opium, wypełniając pokój błękitną mgiełką.

Lai Tsin oparł się o ścianę i obserwował ich z obojętnym wyrazem twarzy. Znał tę grę, wymagała bystrego umysłu i refleksu, ale jego partnerzy byli zazwyczaj zbyt powolni i ograniczeni. Zerknął na skupione, zdecydowane na wszystko twarze graczy. Przed kilkoma piętrzyły się imponujące stosy banknotów. Zgromadzili się tu znani hazardziści, „grube ryby” z Toishan. Lai Tsin powtarzał sobie, że dzisiaj szczęście mu sprzyja, a taka okazja na pewno nie powtórzy się. Pomyślał o pieniądzach ukrytych w kieszeni kaftana. Odczekał, aż z gry wypadł kolejny mężczyzna, i zajął jego miejsce.

Serce zabiło mu mocniej, gdy ujrzał w kartach same szczęśliwe numery: podwójne szóstki i ósemki. Ale zachował obojętną twarz. Pewną ręką położył na stole dwieście dolarów, choć dostał skurczu żołądka ze zdenerwowania. Partnerzy wyłożyli karty. Lai Tsin błyskawicznie ocenił ich szanse, liczby przelatowały mu przez głowę niczym w kalejdoskopie. Po trzydziestu sekundach już zgarniał pierwszą wygraną.

Z kamienną twarzą postawił całość w następnej kolejce. Błyszczącymi z podniecenia oczami spojrzął w karty. Znowu trafiły do niego najszcześniejsze trzy dziewiątki i dwa asy, co oznaczała, że rozpocznie partię. Najwyraźniej bogowie czuwają nad nim dzisiaj, więc szczęście nie opuści go.

Gracze, którzy wąskimi, chytrymi oczkami lekceważąco otaksowali nędznie ubranego Lai Tsina, teraz patrzyli na niego z szacunkiem. Drugą kolejkę także wygrał. I następną. Za każdym razem stawiał całą wygraną, bo jeżeli bogowie mu dziś sprzyjają, któż ośmieliłby się im sprzeciwić?

Wokół stolika zgromadzili się mężczyźni i podziwiali rosnący przed Lai Tsinem stos pieniędzy. Tłumili okrzyki, gdy przy każdej kolejce kusił los ryzykując całą wygraną. Ciągłe jednak wygrywał, setki dolarów zamieniały się w tysiące.

- Szczęście na pewno odwróci się - szeptali. - Lai Tsin wyzywa los.

Po godzinie inni gracze popatrzyli na siebie, po czym odsunęli krzesła i wstali od stołu. Lai Tsin ukłonił się z szacunkiem, gdy gratulowali mu sukcesu.

Wiedział, że pod uprzejmymi słowami kryją zazdrość i złość. Ich stalowe spojrzenia nie wyrażały sympatii. Zgarnawszy ze stolika gotówkę, podszedł do biedaków, od których wygrał trzysta dolarów, i zwrócił im pieniądze.

- Przynieśliście mi szczęście - wyjaśnił. - Bez was nie grałbym dalej.

Lai Tsin wychodził zupełnie odmieniony. Pierwszy raz w życiu czuł na sobie spojrzenia pełne podziwu i szacunku. Z godnością uniósł głowę. Mówił sobie, że jeśli los uśmiecha się do człowieka, to z pewnością towarzyszy mu też błogosławieństwo bogów. Dziś obudził się biedny, a pożegna dzień jako bogacz.

Już prawie świtało, gdy wrócił do baraku. Francie i Mały Synek śpali głęboko. W szarym świetle poranka, wdzierającym się do Pokoju przez szparę w zasłonie, Lai Tsin policzył pieniądze. Nie wierzył własnym oczom: dwanaście tysięcy dolarów! Z lękiem dotknął banknotów, jakby sprawdzał, czy to nie przywidzenie. Zamyślony oparł się o drewnianą ścianę baraku.

Wspominał swoje życie, nędzę, bicie i strach. Brak wykształcenia skazywał go na egzystencję niewolnika, w głębi duszy zaś czuł się inny niż chłopci, wśród których wyrósł. Całe życie harował. Zawsze jednak wiedział, że istnieje także inny świat. Patrzył na biedne białe kaczki taplające się w wiejskim stawie i wydawało mu się, że jego los, jak tych ptaków, został przesądzony, zanim się urodził. Zawsze jednak czuł się księciem wśród żebraków, królewskim podrzutkiem światlejszym i mądrzejszym niż ludzie wokół niego. Wiedział, że ma w sobie siłę i ciekawość świata. A teraz dzięki amerykańskim dolarom wygranym od hazardzistów z Toishan może wreszcie stać się kimś. I nigdy już nie będzie grał.

Czekał niecierpliwie, aż Francie obudzi się. Żałował, że nie zna zaklęcia, które rozpogodziłoby jej twarz. Nawet w czasie snu marszczyła brwi i ciężko wzdychała.

Wiedział, że Francie ma powody do zmartwienia i był zadowolony, że teraz wreszcie pomoże jej.

Wyszedł z baraku i rozpała ogień pod małą kuchenką. Szkarłatne płomyki skakały po bryłkach węgla drzewnego. Potem przyniósł wodę z ulicznego wodociągu i postawił czajnik na fajerce. Do białoniebieskiego imbryka nasypał garść delikatnych, pachnących jaśminem listków i zalał wrzątkiem. Francie siedziała na posłaniu, gdy wrócił do pokoju. Na widok banknotów przecierała oczy ze zdumienia.

- Lai Tsin! - wyszeptała. - Obrabowałeś bank? Podał jej herbatę.

- Dopisało mi wczoraj szczęście - odparł. - Pokonałem wielkich graczy z Toishan.

Wszystko stawiałem w każdej kolejce, aż wreszcie zrezygnowali. Wygrałem dwanaście tysięcy dolarów, Francie. Jesteśmy bogaci.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Chociaż nie spał tej nocy, miał jasny wzrok i na twarzy wyraz pewności siebie, którego nigdy nie widziała. Odmienił się, ale dwanaście tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy, o wiele więcej niż potrzeba na buty dla Małego Synka, świece i pościel. Francie nie mogła znieść myśli, że Lai Tsin znowu zaryzykuje i może wszystko przegra, zamiast pomnażać kapitał.

- Musisz zainwestować te pieniądze - orzekła stanowczo. - Pomyśl tylko, jakie są możliwości po trzęsieniu ziemi! Zupełnie jak podczas gorączki złota. Mój dziadek dorobił się wtedy wielkiego majątku na handlu. W Dzielnicy Chińskiej brakuje mnóstwa towarów: jedzenia, ubrań, butów, tytoniu. Ludzie kupią wszystko, bo teraz nie mają nic!

Lai Tsin bez słowa zapalił fajkę. Francie wiedziała, że zastanawia się. Po dłuższej chwili wyjął ze słomianego kosza kawałek czerwonego jedwabiu i owinął pieniądze. Z zawiniątkiem pod pachą wyszedł nie oglądając się za siebie.

Dziewczyna westchnęła. 'Nie przekonała go, hazard był silniejszy.

Lai Tsin torował sobie drogę wśród ruin. Niepewnie zastukał do drzwi jednego z niewielu ocalałych domów w Dzielnicy Chińskiej. Mieszkający tu starzec należał do grona najbardziej poważanych członków starszyny chińskiej w San Francisco.

Sprawował kontrolę nad funduszami, zgromadzonymi na zasadach starego, południowo - chińskiego rotacyjnego systemu kredytowego: członkowie wpłacali pieniądze do kasy i kolejno zaciągali duże pożyczki na warunkach honorowych:

każdy osobiście zobowiązywał się do zwrotu pieniędzy. Poczucie honoru Chińczyków i obawa przed utratą twarzy gwarantowały na ogół terminową spłatę pożyczek.

Zalegało niewielu, w razie kłopotów pomagały rodziny. Ale Lai Tsin nie miał nikogo, tylko pomysł, honor i dwanaście tysięcy dolarów.

W uchylonych drzwiach ukazała się kobieta. Powiedział, że chce widzieć się z Czcigodnym Starszym.

- Kto przychodzi? - zapytała nieufnie.

- Proszę powiedzieć, że Ke Lai Tsin z prowincji Anhwei przyszedł w interesach.

- Rodowe nazwisko użyte pierwszy raz od wielu lat zabrzmiało dziwnie w jego uszach. Kobieta gwałtownie zamknęła mu drzwi przed nosem i dopiero co nabyta pewność siebie ulatywała z każdą minutą oczekiwania. Powtórzył sobie, że ma dwanaście tysięcy dolarów, jest teraz zamożny oraz posiada nowe obowiązki.

Wyprostował się i zadarł głowę do góry.

Wreszcie starsza kobieta niechętnie wpuściła go do środka. Lai Tsin znalazł się w ogromnym pokoju, urządzonego z przepychem: stały tu porcelanowe wazy, rzeźbione w szkle zwierzęta. Podłogę wyściełały miękkie, jedwabiste kobierce, a między meblami umieszczono parawany wysadzone macicą perłową. Lai Tsin widział także barwne zwoje pergaminu, ozdobione frędzlami abażury lamp i figurki z kości słoniowej. Na jednym ze stolików stał rzeźbiony ołtarzyk z okresu Dynastii Ming z kolekcją oprawionych w brąz bsterek i dzadeitowych miseczek. Mroczny pokój wypełniały doczesne dobra zgromadzone przez chińskiego bogacza i Lai Tsin bał się poruszyć, aby nie stłuc lub nie

zniszczyć czegoś cennego...

Do pokoju wszedł starzec, otulony ciepłą marynarką obszytą jedwabiem. Łysina lśniła w świetle lampy, miał groźne, krzaczaste brwi, długie wąsy i białą brodę.

Lai Tsin pospiesznie uklonił się trzy razy, zbierając całą odwagę, by przemówić do tak ważnej i bogatej osoby.

- Czcigodny Ojciec - zaczął podenerwowany, nazywając rozmówcę ojcem ze względu na podeszły wiek - sprowadzają mnie interesy. Po trzęsieniu ziemi w Dzielnicy Chińskiej brakuje towarów. Nasi rodacy nie mają wielu rzeczy potrzebnych do życia. Pragnąłbym, mimo mego niskiego stanu, zostać kupcem i sprowadzać towary bezpośrednio z Chin.

Starzec przeszywał go wzrokiem, oceniając ubogi przyodziewek i wynędzniałą postać.

- Az czym chcesz rozpocząć interesy, Ke Lai Tsin? - zapytał. Chińczyk odwinął jedwabny materiał.

- Na początek mam dwanaście tysięcy dolarów, Czcigodny Ojciec. A jeśli szczęście mi dzisiaj dopisze, uzyskam też pieniądze z kredytu rotacyjnego za twoją, Czcigodny, poręką.

Stary człowiek popatrzył obojętnie na pieniądze. Ale w jego oczach pojawiły się twarde błyski, gdy spojrział na Lai Tsina.

- A gdzie biedny kulis zdobył taką sumę? Lai Tsin wyprostował się dumnie.

- Czcigodny, człowiek, który stoi przed tobą, jeszcze wczoraj był hazardzistą, wygrał pieniądze uczciwie i stał się zamożny. A dzisiaj, dawny wieśniak pragnie zostać kupcem i ogólnie szanowanym obywatelem.

Czcigodny skinął głową zadowolony, że gotówka nie pochodzi z kradzieży.

- Powiedz mi, jak zamierzasz rozpocząć pracę - zażądał. Potem przywołał kobietę i polecił, by przygotowała jaśminową herbatę.

- Czcigodny, zapytam Chińczyków, czego najbardziej potrzebują. Sam będę chodził po ulicach i patrzył, czego nam brakuje; Nie mam funduszy, by odbudować domy, ale przy twojej hojnej pomocy dostarczę niezbędne towary. Żywność i przyprawy, imbir i imbryki do herbaty, maty, kołdry, lampy, krzesła, stary okienne z ryżowego papieru, obuwie i odzież. Dowiem się, jakie statki płyną teraz ze Wschodu i telegraficznie zamówię cały ładunek, niezależnie od tego, czy przybijają do portu w Nowym Jorku, Seattle, Los Angeles czy San Francisco. Skupię towary ze wszystkich następných statków handlowych kursujących z Chin i złożę je w wynajętym magazynie. Otworzę sklep przy ruchliwym skrzyżowaniu ulic. Klientów będę traktował z szacunkiem i zaproponuję niewygórowane ceny, aby później wracali do mnie, gdy inni też otworzą sklepy. - Wyciągnął rękę z pieniędzmi w kierunku Starszego. - Wszystko to zrealizuję,

jeżeli, Czcigodny, pomożesz mi i taka będzie wola bogów.

- Dlaczego uważasz, Lai Tsin, że bogowie ci sprzyjają? Zamyślił się, choć znał tylko jedną odpowiedź.

- Mój los odmienił się, gdy spotkałem białą kobietę - odparł szczerze. - Dotychczas byłem ciemnym wieśniakiem. Ona mnie przekonała, że powinienem rzucić hazard. Powiedziała mi, co robić.

Oczy Starszego zwęziły się gniewnie.

- Białą kobietę, Lai Tsin? Diabelskie nasienie? Zaprotestował szybko.

- Nie, Czcigodny. To biedna sierota. Co prawda pochodzi z diabelskiego rodu, ale wiele wycierpiała od bliskich. Ma dobre serce. Pomagaliśmy sobie po trzęsieniu ziemi.

Starszy zamyślił się. Powoli sączył herbatę i nie spuszczał wzroku z Lai Tsina.

Wreszcie skinął przyzwalająco głową.

- Wierzę ci. I widzę, że powodzenie twojego planu zależy od szybkości działania. Pożyczę ci sumę równą tej, którą już posiadasz, ale jaką dasz mi gwarancję, że zwrócisz pieniądze?

Lai Tsin westchnął.

- Tylko moją wiarę, że osiągnę sukces, Czcigodny.

- Wielu prosi o pożyczkę. Nie wszyscy jednak są tak uczciwi jak ty, Ke Lai Tsin. Dlatego daję ci szansę, ale w zamian oczekuję, że również pomożesz innym, którzy pragną korzystać z kredytu, i wpłacisz do naszego banku pięć procent pierwszego zysku.

Lai Tsin skłonił się głęboko.

- Czcigodny - powiedział uroczyście. - To będzie najszczęśliwszy dzień w moim życiu, gdy przyniosę ci te pieniądze.

Annie znalazła mały pokój i zapraszała Francie. Ale dziewczyna przyzwyczała się już do nowego, koczowniczego życia. Mały Synek bawił się z rówieśnikami i prawie cały dzień była sarna. Sprzątała pomieszczenie, chodziła po wodę. Potem, zmęczona, odpoczywała na macie. Ale dręczące problemy nie zniknęły.

Wpatrywała się w stojący w kącie słomiany kosz Lai Tsina. Któregoś dnia, nękana ciekawością, zajrzała do środka pod nieobecność Chińczyka. Zawierał niewiele skarbów: pałeczki z kości słoniowej do ryżu, dokument o nadaniu ziemi w Hongkongu, wygrany w karty, długie drewniane pudełko i zniszczoną fotografię ładnej młodej Chinki siedzącej na krześle z papierowym wachlarzem w dłoni.

Francie uważnie przyjrzała się zdjęciu. To zapewne siostra Lai Tsina, miała takie same migdałowe oczy i owalną twarz. Podniosła drewniane pudełko z rzeźbionym wieczkiem. Zawahała się, ale nie mogła oprzeć się pokusie. Otworzyła je. Na dnie leżał czarny jedwabisty warkocz przewiązany czerwoną wstążką.

- To mojej siostry - odezwał się niespodziewanie Lai Tsin, który cicho wszedł do baraku. Francie podskoczyła i oblała się rumieńcem.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Nie wiem, co mnie podkusiło.
Wzruszył ramionami.

- Czasami ciekawość jest silniejsza niż rozsądek i dobre wychowanie. To moja „poduszka skarbów”. My, biedni Chińczycy, chowamy w pudełeczku nasze ziemskie skarby. W nocy kładziemy je pod głową, jak poduszkę, aby nikt ich nie ukradł. - Posmutniał. - Zachowałem warkocz siostry, aby coś po niej pozostało. Była młoda, ładna i pełna życia. Matka karmiła ją zawsze mówiąc, że taka hałaśliwa dziewczyna ściągnie na siebie gniew bogów. Miała rację, bo bogowie szybko zabrali ją z tego świata.

Schował pudełko do kosza. Francie zauważyła, że zawiniątko w czerwonym skrawku jedwabiu zniknęło.

- Nie martw się - Lai Tsin czytał w jej myślach. Opowiedział o spotkaniu z najbardziej czcigodnym członkiem starszyny chińskiej.

Francie uśmiechnęła się przejęta, a Lai Tsin dodał:

- Nie jestem jeszcze bogaty, bo pożyczyłem te pieniądze. I nie osiągnąłem sukcesu, gdyż wszystko, co mam, pochodzi z hazardu.

Ale dzięki twojej mądrości, Francie, od dzisiaj stałem się człowiekiem szanowanym.
Spojrzał na nią łagodnie.

- Od razu rozpoznałem w tobie pokrewną, zagubioną duszę. Teraz los będzie nam sprzyjał. Nie jestem już wieśniakiem i hazardzistą, lecz kupcem.

Lai Tsin niezwłocznie dowiedział się, jakie statki płyną ze Wschodu i wysłał zamówienia do Seattle, Nowego Jorku i Los Angeles. Wynajął małe pomieszczenie naprzeciwko portu, jakimś cudem ocalałe po trzęsieniu ziemi, na magazyn. Nad drzwiami zawiesił lusterko, aby odegnać złe duchy i zatrzymać dobrego fung-shui, by czuwał nad tym miejscem. Wydzierżawił też niewielki kawałek ziemi w Dzielnicy Chińskiej przy ruchliwym skrzyżowaniu, licząc na klientelę. W kilka tygodni postawił prowizoryczny, drewniany barak. Nad drzwiami zawiesił szyld: ATRAKCYJNA SPRZEDAŻ TOWARÓW wymalowany czarnymi chińskimi literami. W oknach pojawiły się wielkie czerwone napisy, świadczące o tym, że właściciel sklepu ceni najważniejsze dla Chińczyków wartości: „Długie Życie”, „Sukces”, „Szczęście” i „Synowską Miłość”. Obok widniała też prośba o Pięć Błogosławieństw: długie życie, bogactwo, spokojny umysł, zdrowie i umiłowanie cnót.

Lai Tsin zatrudnił młodego sprzedawcę i do sklepu napływała rzeka klientów.

Kupowali przyprawy, suszone grzyby, peklowane kaczki, imbir i olej sezamowy. A także węgiel drzewny i nowe kuchenki, garnki i miseczki na ryż. Niebawem musiał dobudować nowe pomieszczenie: zapotrzebowanie na towary rosło, w miarę jak normalne życie wracało do Dzielnicy Chińskiej. Ludzie pytali o maty, kołdry, zasłony z ryżowego papieru, czajniki i drewniaki.

Po dwóch miesiącach Lai Tsin wynajął kolejny magazyn i otworzył drugi sklep, gdzie klienci nabywali krzesła, maszyny do szycia, stoły i kredensy. Na wieszakach lśniły rzędy haftowanych jedwabnych zakietów, czarnych bawełnianych kaftanów i spodni, jakie nosili kulisi.

Annie i Francie przeprowadziły się do małego, naprędce odnowionego mieszkania przy Kearny Street, a Chińczyk zamieszkał w sąsiednim pokoju. Francie uczyła Małego Synka angielskiego, Lai Tsina zaś czytania i pisania. Była blada, mizerna i zawsze zmęczona.

Wiedział, że coś ją dręczy, ale ukrywał, że domyśla się prawdy, by nie wprawiać jej w zakłopotanie. Czekał, aż sama powie.

Ktoś przyniósł wiadomość, że archiwa miejskie spłonęły w czasie trzęsienia ziemi i Chińczycy gromadnie ruszyli do urzędów twierdząc, że urodzili się w Ameryce i przysługują im legalne dokumenty. Lai Tsin też poszedł i otrzymał papiery.

Szczęście znowu uśmiechnęło się do niego: został pełnoprawnym obywatelem amerykańskim.

Czas mijał i Annie, która nie umiała siedzieć beczynnie, szukała użytecznego zajęcia. Miała pieniądze od ojca i pewnego dnia powiedziała Francie:

- Umieję tylko gotować i opiekować się innymi. Chętnie otworzyłabym mały pensjonat. Pomyśl, tylu ludzi jest nadal bez dachu nad głową. Na pewno z radością prześpią się w czystym łóżku i zjedzą dobrą, domową kolację. Poproszę Lai Tsina, żeby wynalazł mi jakieś miejsce.

Po kilku dniach Lai Tsin zjawił się z wiadomością, że w pobliżu Union Square można kupić ładny plac z ruinami budynku, ale fundamenty są solidne. Lai Tsin zapewnił kredyt, robotników i potrzebne materiały.

Natomiast Francie ogarnęła apatia. Wydawało się jej, że szczęście uśmiecha się do wszystkich z wyjątkiem niej. Sama zostanie ze swoją tajemnicą.

Rozdział 18

Francie nadal drżała na wspomnienie imię Josha. Z dłońmi na brzuchu podeszła do długiego lustra, które Annie zawiesiła we wspólnej sypialni. Nerwowo obróciła się bokiem. Cięża stawała się coraz bardziej widoczna, choć pod szerokim chińskim kaftanem nadal można było ją ukryć. Na razie tajemnica nie wyjdzie na jaw.

Z niechęcią patrzyła na swoje odbicie. Mała twarzyczka poszarzała, jasne włosy związane niedbale z tyłu straciły blask. W oczach widniały zmęczenie i lęk.

Pomyślała o dziewczynie w koronkowej sukni balowej i błyszczącej tiarze, jakże była różna od tej osiemnastolatki stojącej dziś przed lustrem w chińskim kaftanie z wysoką stójką i czarnych spodniach! Należały do dwóch różnych światów.

Zmęczonym krokiem podeszła do okna i spojrzała na tętniącą gwarem ulicę. W Dzielnicy Chińskiej nigdy nie zamierało życie. Działy się tu rzeczy nie zawsze zgodne z prawem i często okryte tajemnicą. W lokalach pełnych szcurów handlowano młodymi dziewczętami, uprawiano hazard i palono opium, a gangi staczały krwawe walki o wpływy.

Ojcowie miasta zaplanowali budowę nowej Dzielnicy Chińskiej przy Hunters Point, ale Chińczycy całkowicie zignorowali tę decyzję. Nowe domy wyrastały w miejsce zburzonych, ale teraz wznoszono je w tradycyjnym chińskim stylu, z rzeźbionymi krokwiami i ażurowymi szkarłatnymi, zielonymi lub złotymi zasłonami w oknach. Lwy strzegły polakierowanych na czerwono drzwi. Ulice pachniały kadzidłem i przyprawami, wokół rozbrzmiewały dźwięki pił i młotów. Domy powstawały nieomal w ciągu jednej nocy. Ludzie pracowali bowiem całą dobę, by jak najszybciej odbudować mieszkania i sklepy.

Francie pomyślała o przyjaciółce, nadzorującej teraz zapewne budowę nowego pensjonatu przy Union Square. Niewątpliwie Annie doprowadzała robotników do szału. Jako córka Franka Aysgartha znała się na rzeczy, co wielokrotnie dawała do zrozumienia wynajętym cieślom i murarzom. Francie była kiedyś świadkiem, jak Annie złapała robotników przy piwie. Patrzyli osłupiali na małą kobietkę, która wygarnęła prosto z mostu, że jeżeli zamierzają próżnować, marnować jej czas i pieniądze, to ona, Annie Aysgarth, nie daruje im tego. Rzucali ponure spojrzenia i mruczeli coś pod nosem, ale wrócili posłusznie na budowę. Wiedzieli bowiem, że Annie była nie tylko surowa, ale i sprawiedliwa. Uczciwie pracujący robotnik zawsze otrzymywał dobrą premię oprócz tygodniowej wypłaty.

Po ukończeniu dachu Annie wydała przyjęcie. Ustawiono długie stoły, pokryte śnieżnobiałymi wykrochmalonymi obrusami. Nawet pośród kurzu i cementowego pyłu potrafiła dbać o czystość. Zaprosiła cieśli wraz z rodzinami. Piwa i jedzenia starczyło dla wszystkich. Wznosili zdrowie chlebobawczyni i przyznawali w duchu, że chociaż kobieta, jest świetnym szefem.

Francie wydawało się, że Lai Tsin pracuje ponad dwadzieścia cztery godziny na dobę, znajdował jednak czas na „odrabianie lekcji”. Czytał głośno każde nowe słowo w prostych opowiadaniach dla dzieci, wodząc palcem po literach. Ćwiczenia przepisywał starannie do zeszytu, z którym nigdy nie rozstawał się. Chłonał wiedzę jak gąbka i z tak wielkim zapalem, że Francie z trudem nadażała z przygotowaniem nowych lekcji.

Zdecydował także, że Mały Synek Filip Chen powinien wychowywać się w chińskiej rodzinie.

- Musi wyrastać na Chińczyka - mówił. - Starszy i mądrzejszy może wróci do nas, ale na razie niech pozna swoje korzenie.

Tak więc Francie pozostała sama; ze strasznymi wspomnieniami z przeszłości i obawą przed jutrem. Wstydziała się wspomnieć o dziecku nawet Lai Tsinowi czy Annie.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Pobiegła otworzyć. Mały chłopiec popatrzył tylko na nią, wcisnął do ręki kawałek papieru i szybko zbiegł po schodach.

Zaskoczona rozwinęła pognieciony świstek i przeczytała: „Jeśli nadal mnie kochasz, przyjdź wieczorem o dziewiątej w aleję Gai Pao. Josh”.

Cała krew uciekła jej z twarzy i serce waliło jak młotem. Niemożliwe, to jakiś okrutny żart. Ale przecież - tylko Annie i Lai Tsin wiedzieli o Joshu, a oni z pewnością nie zakpiliby z niej! Poczowała nagle pierwszy ruch ich dziecka.

Położyła rękę na brzuchu. Może to znak, że Josh jednak żyje... Jeżeli nadal mnie kochasz...

Zdjęta nagłym lękiem wpatrywała się w kartkę żalując, że nie ma przy niej przyjaciół. Ale Lai Tsin pracował od świtu do nocy, Annie zaś umówiła się dzisiaj z architektem i wróci bardzo późno.

Nerwowo krążyła po pokoju: raz mówiła sobie, że nie pójdzie, po czym gnębiła ją myśl o Joshu, może oczekującym pomocy. Postanowiła, że jednak uda się we wskazane miejsce.

W domu zostawiła wiadomość, gdzie poszła, i zapuściła się w obskurne zakamarki w poszukiwaniu alei Gai Pao. Okazało się, że to ślepa uliczka. Było całkiem pusto i ciemno, jedynie na końcu migąło jakieś niewyraźne światełko. Francie zawahała się wystraszona. Chciała uciec, ale wiadomość od Josha kusiła jak przynęta. Szła szybko, oglądając się co chwila, niemal przytulona do na wpół zburzonych ścian.

Dotarła do drzwi, z których została tylko futryna. Wejście zasłonięto obskurną zasłoną. U góry tliła się przyćmiona lampka. Powinna uciec czym prędzej, ale nie mogła tego uczynić. Przecież przeczytała: Jeśli nadal mnie kochasz”. Tylko miłość sprawiła, że przyszła tutaj.

Zagracony pokój oświetlały lampy naftowe. Zewsząd dobiegały podniecone głosy graczy i brzęk kostek do mah-jongg. Pachniało potem, naftą, opium i tytoniem.

Chińczycy patrzyli na nią mrużąc coś gniewnie. Francie przesuwała się bezszelestnie wzdłuż ściany. Po lewej stronie była lada, zza której młody barman serwował ryżowe wino w naczyniach w kształcie tykwy. Pochylił się ku niej i rzekł szybko:

- Proszę za mną, panienko. Tędy, szybko.

Weszli za kolejną zasłonę. Francie potykała się, usiłując nadażyć za przewodnikiem przez nie kończący się labirynt ciemnych zaułków. Wreszcie znaleźli się w małym kwadratowym pokoiku. Właściwie trudno było nazwać go pokojem, gdyż zamiast sufitu widniały kłębiaste chmury, zza których wychylał się księżyc. W jego poświacie złowrogo wyglądały puste bramy i wypalone okna.

Francie nagle uświadomiła sobie, że chłopak zniknął. Fala strachu podpłynęła pod gardło. Rozejrzała się wokół. Na środku stało krzesło, na którym ktoś siedział.

Poczuła pulsowanie krwi w skroniach, a serce omal nie rozerwało jej piersi.

- Josh? - szepnęła.

- Wiedziałem, że odpowiesz na jego wezwanie - odezwał się znajomy głos. Światło oślepiło ją. To był... Sammy Morris. - Tak, to ja - podniósł lampę, aby zobaczyła twarz. Przerażona zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę.

- To ty napisałeś list - szepnęła.

- Jasne, że ja. Josh już nie może pisać. Więc pomyślałem, że w jego imieniu zapewnię cię o miłości. - Oczy załśniły mu nienawistnym blaskiem, jak zawsze gdy na nią patrzył. Mały, triumfalny uśmieszek przeciął brzydką twarz. Lampa oświetlała krzesło. - Spójrz na ukochanego. Widzisz, jaki jest teraz przystojny?

- Francie była bliska omdlenia. Przecież niemożliwe, żeby to był Josh. Widziała, jak umierał. Czyżby wrócił z grobu, aby ją odnaleźć?

Sammy chwycił dziewczynę za ramiona i pociągnął w stronę krzesła. Światło padało teraz prosto na twarz siedzącego. Ujrzała bezkształtną, krwisto - niebieską masę.

Z ropiejącymi ranami, groteskowo wykrzywionymi ustami i szklistymi oczami wzniesionymi w górę.

Francie krzyknęła przerażona, a chłopak jeszcze bardziej wykręcił jej ramię i popchnął do tego potwora na krześle.

- Pocałuj go, Francie, no, szybciej. Przecież sama tak go urządziłaś! - Strach dodał jej sił, wyrwała się z uścisku Sammy'ego. Złorzecząc, puścił lampę.

Światło zamigotało i zgasło, pogrążając pomieszczenie w ciemności.

Klnąc próbował podnieść lampę. Francie dostrzegła szarą smugę światła przy wejściu. Wypadła i pobiegła na oślep przed siebie.

Z tyłu słyszała ciężkie sapanie, Sammy doganiał ją. Nagle potknęła się. Czowała jego pot, oddech na twarzy i dłonie zaciskające się na gardle. Gdzieś w oddali rozległy się kroki i krzyki. Potem wszystko zniknęło.

Lai Tsin szukał tętna na lodowatej dłoni Francie, odgarniał kosmyki włosów z twarzy. W duchu modlił się do wszystkich bogów, aby uratowali jego jedyną, ukochaną przyjaciółkę. Bez niej cały sukces nic nie znaczy. Wreszcie otworzyła oczy, zaniósł ją do powozu i pojechali do domu.

Annie nieomal zemdliała na ich widok. Dziękowała Bogu, że przynajmniej Francie miała na tyle rozsądku, aby zostawić wiadomość, gdzie poszła. Patrząc na bladą jak popiół, drżącą i nie mogącą wykrztusić słowa dziewczynę, zrozumiała, że stało się coś strasznego.

- Oni żyją - wyszeptała w końcu. - Widziałam, Josha i Sammy'ego. Och, nawet strach o tym myśleć, taka potworna twarz, a raczej to, co z niej zostało...

Sammy z nożem w ręku zmusił mnie do patrzenia.

Annie przycisnęła dłoń do serca. Lęk na chwilę ustąpił miejsca nadziei.

- Nie mówisz chyba, że Josh żyje?

- Gdzie ich widziałaś? - zapytał Lai Tsin spokojnie.

- W palarni opium w alei Gai Pao. Na kartce było napisane, żebym tam poszła... jeżeli nadal go kocham. - Annie wzięła zgnieciony świstek papieru.

- Przysięgam, że tego nie pisał Josh - stwierdziła. - To sprawka Sammy'ego.

Lai Tsin zamyślił się. Wiadomość nadeszła zza grobu i wiedział, że Francie jest nadal w niebezpieczeństwie.

Wrócił w aleję Gai Pao, przemierzając zrujnowane, opustoszałe już ulice Dzielnicy Chińskiej. Znał to miejsce, zdobyło złą sławę jako siedziba starych chińskich gangów i mafijnych organizacji, które kontrolowały wszystkie ciemne interesy: prostytucję, hazard, przemoc i handel narkotykami. Gangsterzy podzielili miasto na strefy wpływów i toczyli między sobą krwawe walki, na śmierć i życie.

Lai Tsin przemknął cicho w kierunku światła na końcu alei, odsunął ciężką zasłonę i wślizgnął się do środka. Blask lamp naftowych przedzierał się przez gęste opary opium i dymu tytoniowego, oświetlając kostki do gry i fajki ułożone w stosy. Mężczyzna za barem był młody, o zaciętej twarzy i błyszczących rozbieganych oczkach. Wyraźnie

unikął spojrzenia Lai Tsina, gdy ten zapytał o gwailos - białych, którzy byli tu wcześniej.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wzruszył ramionami. Nie oszukał go.

- Ile ci zapłacili? - Lai Tsin wyjął z kieszeni kuka banknotów i jakby od niechcenia przesunął je między palcami.

Mężczyzna zawahał się, a Lai Tsin pokazał mu banknot dziesięciodolarowy.

- Dostałem dwadzieścia - chciwie sięgnął po pieniądze.

- Następny dam ci, gdy opowiesz wszystko. Barman wzruszył ramionami.

- Przyszedł taki jeden. Młody, czarne włosy i oczy, niski i szeroki w barach - rozłożył ręce, jak goryl i roześmiał się. - Powiedział, że szuka jakiegoś pokoju na spotkanie z kobietą gwailo, mężatką - uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd zębów brązowych od tytoniu. Podniósł koszulę i Lai Tsin zobaczył toporek za paskiem od spodni. - Wie pan, co by się stało, gdyby chodziło o Chinkę - z dumą poklepał lśniące ostrze.

- Więc? - ponaglił go Lai Tsin.

- Wskazałem mu niezłe miejsce wśród ruin i wtedy powiedział, że dziewczyna przyjdzie o dziewiątej, więc żebym ją przyprowadził. Zrobiłem, jak kazał. Nic więcej nie wiem.

Wyciągnął rękę po resztę pieniędzy, ale Lai Tsin zażądał:

- Najpierw chodźmy tam.

W oczach barmana pojawiły się niebezpieczne błyski, ale posłusznie wziął lampę i udali się w głąb mrocznych ruin. Księżyc w pełni stał wysoko na niebie i oświetlał drogę. W pomieszczeniu nie było nikogo. Barman pospiesznie zainkasował pieniądze i odszedł.

Na środku leżało przewrócone krzesło. Lai Tsin podniósł je i zauważył na podłodze jasnoblonde perukę oraz chińską „diabelską maskę”, jakich używano podczas różnych procesji i uroczystości. W blasku księżyca upiornie wyglądały czerwone blizny, usta wykrzywione w przerażającym grymasie i zapadnięte oczy. Lai Tsin widział, że to tylko farba, ale i na nim straszliwie zniekształcone rysy zrobiły wrażenie.

Wyobraził sobie, jak bardzo przeraziła się Francie, gdy ciemność i strach jeszcze spotęgowały koszmar.

Powoli wracał do domu. Sammy Morris, zdecydowany na wszystko, z pewnością będzie kręcił się w pobliżu, aż dopadnie Francie. Ale w Dzielnicy Chińskiej nietrudno odnaleźć gwailos. Lai Tsin przedarł się przez labirynt wąskich uliczek i znalazł się przed domem Czcigodnego Starszego. Zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał, więc rzucił garść małych kamyczków w szybę. Z okna natychmiast rozległ się poirytowany głos.

- Kto zakłóca sen błogosławionego?

Lai Tsin cofnął się i spojrzał śmiało na rozgniewanego starca. Łysa głowa lśniła w księżycowym blasku.

- Czcigodny, to ja, Lai Tsin. Muszę z tobą porozmawiać. Usłyszał tylko, jak mruczy coś pod nosem, potem zniknął i po kilku minutach uchylił drzwi, a Lai Tsin przecisnął się do środka. Czcigodny, owinięty w błękitne kimono, powitał go wymówkami:

- Czyżbyś splajtował, Ke Lai Tsin, i dlatego budzisz mnie o tak wczesnej porze?

- Nie, Czcigodny Ojciec - zaprzeczył. - Interesy idą dobrze. To poważniejsza sprawa niż pieniądze.

Starzec słuchał uważnie wyjaśnień Lai Tsina. Wreszcie powiedział:

- Nikomu nie wyszło na dobre mieszanie się do spraw gwailos. A szczególnie biała konkubina może sprowadzić na ciebie nieszczęście. Czyż nie doświadczyłeś tego? Zostaw ją i poszukaj sobie porządnej chińskiej kobiety. Mam kuzynkę w odpowiednim wieku i mogę ci pomóc w zaaranżowaniu małżeństwa. Co prawda jest trochę starsza, ale rodzice byliby hojni dla przyszłego męża i wsparliby cię w interesach.

- Obawiam się, że mnie źle zrozumiałeś, Czcigodny - spokojnie odpowiedział Lai Tsin. - Dziewczyna nie jest moją konkubiną. To prawie dziecko. Chociaż sama miała kłopoty, bardzo mi pomogła. Przyniosła mi szczęście i teraz nie opuszczę jej w potrzebie.

- Żaden Chińczyk nie ma obowiązku wspierać kobiet gwailos - odparł szorstko starzec.

Lai Tsin przytaknął.

- To prawda, Czcigodny. Ale czyż nie jest także prawdą, że powinniśmy odplacić tym, którzy obdarzyli nas błogosławieństwem? Proszę o niewiele. Pomóżcie mi tylko odnaleźć tego człowieka. - Niskim i spokojnym głosem pół godziny wyjaśniał swoją sprawę. Wreszcie, choć niechętnie, starzec zgodził się rozważyć prośbę.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Ke Lai Tsin. O twoim grzesnym związku z tą dziewczyną głośno już w całej dzielnicy, ale widać są to pomówienia. Spełnię więc twoją prośbę. Przyjdź jutro o siódmej wieczorem, a otrzymasz odpowiedź.

Czcigodny znał ludzi w Dzielnicy Chińskiej, uczestniczył we wszystkim, co działo się tutaj, i Lai Tsin był pewien, że starzec dotrzyma słowa. Pospiesznie wrócił do domu. Już świtało, a on nie spał całą noc, mimo to umysł miał jasny i nie czuł znużenia. Lekko wbiegł na górę. Annie czekała na niego niecierpliwie.

- Francie leży nieruchomo i patrzy tępo przed siebie - powiedziała zatroskanym głosem. - I jest taka zimna, chociaż zawinęłam ją we wszystkie kołdry.

Lai Tsin podszedł do łóżka, ujął dłoń dziewczyny i kilkakrotnie powtórzył jej imię, ale nie zareagowała. Zmartwił się, gdyż to świadczyło o głębokim szoku.

- Pójdę po felczera - oznajmił i zniknął.

Po piętnastu minutach wrócił w towarzystwie Chińczyka o krzaczastych brwiach, dźwigającego dużą czarną torbę. Annie ze zdziwieniem obserwowała chińskiego doktora, który nie osłuchiwał serca Francie ani nie mierzył temperatury, tylko zbadał puls i obliczył dwadzieścia osiem najróżniejszych jego parametrów. Na tej podstawie postawił diagnozę.

- Jest w szoku - stwierdził, wypisując receptę na ziołową miksturę, którą Lai Tsin miał wykupić w chińskiej aptece. - Musi pić to lekarstwo trzy razy dziennie, leżeć w cieple i przez dwa dni pić tylko wodę ryżową. Nie wyleczę lęku, który odczuwa, ale mogę uzdrowić jej ciało. - Popatrzył gniewnie na Lai Tsina i szybko rzucił kilka zdań po chińsku.

- Dlaczego był taki zły? - zapytała Annie po wyjściu doktora. Lai Tsin uznał, że musi powiedzieć prawdę, bo i tak wkrótce wyjdzie na jaw. Poza tym obawiał się, aby dziewczyna nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

- Powiedział mi to, o czym już wiedziałem. Francie oczekuje dziecka. Rozgniewał się, bo myślał, że to ja jestem ojcem.

Serce Annie wypełniły żal i współczucie dla Francie, która w samotności zamartwiała się swoją tajemnicą.

- Więc urodzi dziecko Josha - dotarła do niej cała prawda.

- Tak. Wiedziałem, że stara się ukryć swój stan. Czekałem, aż sama zacznie mówić, bo nie chciałem jej zawstydzić. Ale teraz lękam się, że zrobi coś bardzo niemądrego. Potrzebuje twojej pomocy, Annie. Musisz ją zabrać z Dzielnicy Chińskiej, w ogóle z San Francisco, gdzie czyha na nią niebezpieczeństwo.

Annie cały czas myślała o dziecku, ale ostatnie słowa przykuły jej uwagę.

Przerażona patrzyła na maskę i słuchała wieści, które Lai Tsin uzyskał od barmana.

- To na pewno był Sammy - stwierdziła z goryczą. - Jak on mógł uczynić coś podobnego?

- Oszalał z zazdrości. Kocha twojego brata i jednocześnie nienawidzi kobiet.

Czasami taka miłość istnieje między mężczyznami, ale rzadko łączy się ze zbrodnią.

Annie zaczerwieniła się. Opowiadał o sprawach, o których nigdy nie mówiło się w Yorkshire. Czytała o nich jedynie w Biblii.

- Ale Josh był przecież inny!

- Na tym właśnie polegała tragedia Sammy'ego, gdyby Josh także go kochał, może nie wydarzyłoby się to wszystko. Teraz musisz zabrać stąd Francie - powtórzył stanowczo. - Pobyt tutaj nie wróży jej nic dobrego. Chińczykom też się nie spodoba, gdyż uważają, że to moja konkubina i że jestem ojcem dziecka. Nie mogę pozwolić, by opowiadali takie historie. Chińczycy będą nią pogardzać równie jak biali, dla których

stanie się czarną owcą. Będzie żyła w obcym świecie, bez przyjaciół. I dziecko także ucierpi na tym. Wyjedźcie stąd, zaczynajcie żyć od nowa. Jesteście teraz moją rodziną i zatroszczę się o was, będę posyłał pieniądze. To jedyne wyjście w tej sytuacji.

Annie słyszała smutek w głosie Lai Tsina i zrobiło jej się serdecznie żal wiernego przyjaciela. Wiedziała, że pokochał Francie. Ale na myśl o potomku Josha czuła się szczęśliwa. Wyjadą stąd. Przecież ma gotówkę, więc kupi pensjonat gdzie indziej. Zarobi na staranne wychowanie dziecka. Nie mogła się wprost doczekać, aby wreszcie powiedzieć Francie, że niepotrzebnie zamartwia się.

Lai Tsin poszedł do swego pokoju. Pierwszy raz w życiu miał własne cztery kąty i dotychczas zawsze zamykał drzwi z przyjemnością, ciesząc się z samotności. Ale nie dzisiaj. Zapalił małe kadzidło, rozłożył matę i położył się z rękami założonymi za głowę. Rozmyślał jeszcze raz o wydarzeniach dnia. Jutro odnajdą Sammy'ego Morrisa i już zdecydował, co zrobi. A za parę dni Francie będzie musiała go opuścić, gdy już poczuje się lepiej.

Samotność doskwierała mu często w przeszłości. Powtarzał sobie, że przecież samotni nie mają nic do stracenia, ale wreszcie zakosztował słodczy przyjaźni i cierpiał okrutnie, gdy miał ją utracić. Bogowie sprzyjali mu przez pewien czas, ale teraz odwrócili się od niego. Tak widocznie było zapisane w gwiazdach.

Rozdział 19

Następnego wieczora o siódmej udał się do Czcigodnego po odpowiedź. Starzec uprzejmie zaprosił go do środka, usiadł naprzeciwko i głaszcząc powoli białą brodę wpatrywał się w niego z uroczystą miną.

Lai Tsin czekał. Byłoby niegrzecznie ponaglać gospodarza.

- Zanim spełnię twoją prośbę, muszę wiedzieć, co zamierzasz - odezwał się wreszcie.

- Lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział, Czcigodny - Lai Tsin próbował wykręcić się od odpowiedzi. Ale starzec nie dał się zwieść.

- Nie chcemy, żeby posądzano Chińczyków o zbrodnie.

- Czcigodny, ten człowiek jest większym zbrodniarzem niż przywódca mafii, zamordował kilka kobiet i teraz próbuje zabić kolejną.

- Twoją konkubinę - starzec odparł z pogardą. Lai Tsin zwiesił głowę. Patrzył na czubki pantofli, czekając na dalsze słowa starca. - Zapoznałem się z całą sprawą - powiedział w końcu. - Nie kłamałeś, mówiąc o dziewczynie. Ale jest również prawdą, że pochodzi z zamożnego rodu. Twoja namiętność musi być wielka, skoro przeciwstawiasz się tak wpływowym ludziom. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś kazał jej wrócić do rodziny.

- Równie dobrze mógłbym ją zabić! - w oczach Lai Tsina fV pojawiła się złość. Starzec zrozumiał, że rozmówca nie ustąpi. Ze zdziwieniem uniósł brwi do góry i pokiwał głową.

- Załatwilibyśmy sprawę po naszymu, gdyby to był Chińczyk. Widzę jednak, że podjąłeś ostateczną decyzję, więc powiem ci, gdzie go szukać, ale pod jednym warunkiem: cokolwiek stanie się z tym człowiekiem, na zawsze dochowasz tajemnicy. Nic nie wyjawisz mnie ani nikomu innemu. Żadna plotka w tej sprawie nie może zaważyć na naszym honorze i opinii o Dzielnicy Chińskiej.

Lai Tsin pochylił się na krześle.

- Zgadzam się, Czcigodny.

Zdumiony wysłuchał informacji, które przekazał mu starzec, uklonił się i skierował do drzwi. Czcigodny odwrócił się już, ale rzucił jeszcze przez ramię:

- Wszystko, co powiedziałem, już uleciało ode mnie. Nic nie pamiętam z naszej rozmowy.

Lai Tsin wolnym krokiem wracał do domu i po raz pierwszy od dłuższego czasu nie myślał o interesach, ale o tym, co go czeka w najbliższej przyszłości. W drzwiach spotkał Annie. Miała podwinęte rękawy, a mały pokoik lśnił czystością.

Lecz w brązowych oczach czał się niepokój.

- Obudziła się - odezwała się podnieconym głosem. - Wypiła lekarstwo i trochę wody ryżowej. Potem powiedziałam jej, że już wiemy o dziecku. Rozpłakała się, ale najwyraźniej kamień spadł jej z serca. I nie chce słyszeć o wyjeździe.

Uparła się, że zostaniemy razem.

- Pomówię z nią.

Francie leżała sztywno z zamkniętymi oczami, a na twarzy widniało napięcie.

Dłonie zacisnęła w drobne piąstki.

- Sammy Morris nigdy już cię nie skrzywdzi. Obiecuję ci to. Wierzysz mi, Francie? - Wolno skinęła głową, ale nie otworzyła oczu.

Kucnął przy łóżku i ujął jej rękę.

- Nadszedł czas rozstania, Mała Siostró - mówił spokojnie, - i Musisz udać się w dalszą drogę bez Lai Tsina. Tak jak mały Filip Chen, twoje dziecko powinno wyrastać wśród rodzinnych tradycji. - Francie ani drgnęła, gdy Lai Tsin przekonywał ją miękkiem, łagodnym głosem, że należy przede wszystkim myśleć o dziecku, że Annie jej pomoże, on zaś będzie się nią zawsze opiekował, bo są teraz rodziną. Ale muszą się rozstać.

Dziewczyna przytuliła jego rękę do twarzy.

- Jesteś moim przyjacielem - szepnęła. - Nigdy cię nie opuszczę.

- W takim razie coś ci opowiem. - Lai Tsin usiadł na brzegu łóżka, jakby szykując się do dłuższej opowieści. - Musisz wiedzieć, że pochodzę z bardzo biednej rodziny. Praktycznie całe życie spędziłem w nędzy. - Francie ufnie patrzyła mu w oczy. - Moja siostra Meyling i ja byliśmy dziećmi konkubiny, Lilin. Ojciec, Ke Chungfen, miał już sześćdziesiąt lat, był siwy, przygarbiony i bardzo okrutny. Pierwsza żona zmarła po urodzeniu pięciu chłopców, więc szybko ożenił się powtórnie, bo więcej synów zapewniłoby mu bezpieczniejszą starość.

Młoda, ładna żona okazała się bezpłodna i leniwa, toteż ojciec przeklinał dzień, w którym się z nią ożenił. W domu było brudno, wszyscy mówili, że nowa żona cały dzień pali opium i ma młodych kochanków. Ośmieszała go przed sąsiadami, chociaż bił ją co wieczór, żeby dać jej nauczkę.

Ojciec rozpytywał po wsi, o mui-tsai, dziewczynę, którą rodzina sprzedalaby na służbę. W domu trzynastoletniej Lilin bieda aż piszczała, więc z chęcią sprzedano ją za nędzną zapłatę, żeby tylko pozbyć się jednej osoby do żywienia.

Miała słodką owalną buzię, lśniące czarne włosy do pasa i duże czarne oczy. Po krótkim czasie ojciec domagał się od niej więcej niż pracy w domu. Lilin została konkubina. Stary traktował ją okrutnie, mimo że ciężko pracowała, aby go zadowolić. Sprzątała ubogie mieszkanie, prała, przygotowywała posiłki i obsługiwała żonę oraz

dorastających synów, którzy również pomiatali nią. A ona pokornie spuszczała głowę i przyrzekała poprawę, bo była przecież tylko mui-tsai, bez żadnych praw.

Lai Tsin znowu spojrzął na Francie i opowiadał dalej:

- Kiedy Lilin upewniła się, że oczekuje dziecka, modliła się o chłopca. Miałby lepsze szanse w życiu niż ona, chociaż jako syn mui-tsai stał w hierarchii najniżej ze wszystkich. Z córką nie liczone by się wcale.

Lilin czasami pół nocy szyła bawełniane pantofle, które najstarszy, trzynastoletni chłopiec sprzedawał na targu. Ojciec doglądał dużych białych kaczek na stawach należących do właściciela wioski, a synowie pracowali przy zbiorze liści morwowych albo na polach ryżowych, zależnie od pory roku.

Pewnego dnia Lilin nakładała gotowany ryż do drewnianych pudełek, które chłopcy zabierali w pole, kiedy poczuła ból. Położyła się na macie. Nikt nie podszedł do niej, chociaż żona ojca słyszała krzyki. Wreszcie urodziła się dziewczynka.

Lilin rozpląkała się, ale pokochała córeczkę. Przynajmniej miała teraz kogoś, kto w przyszłości odwzajemni jej miłość. Nazwała ją Mayling.

Pracowała ponad siły, zajmując się domem i dzieckiem. Nikt nie chciał słuchać płaczu i krzyku małej, więc Mayling bardzo szybko pojęła, że musi być cicho.

Pewnej nocy Lilin usłyszała gwałtowną kłótnię ojca z drugą żoną, która wyśmiewała się z Ke Chungfena. Ostry zapach opium z jej fajki przenikał przez cienkie ścianki w mieszkaniu. Nagle zapadła cisza. Rano ojciec powiedział, że żona umarła w nocy - po przedawkowaniu opium.

Lilin pomagała w przygotowaniu zmarłej do pogrzebu, toteż zauważyła siniaki na plecach, chociaż ojciec szybko przykrył ciało. Była pewna, że zabił tę kobietę.

Od tego czasu bała się go potwornie i jak najczęściej schodziła mu z drogi, ale po śmierci drugiej żony Chungfen stał się jeszcze większym tyranem. Nawet synowie posmakowali teraz ostrych razów rzemienia, którym przeganiał kaczki ze stawu. Ale nadal odwiedzał ją nocami, choć na szczęście nie zaszła szybko w ciążę. Córeczka skończyła już trzy lata, kiedy urodziła syna, którego nazwała Ke Lai Tsin.

- Wystarczy mi już synów - powiedział chłodno Chungfen, kiedy Lilin z dumą pokazała mu dziecko.

Lai Tsin urwał. Wbił wzrok w podłogę, a pomiędzy oczami ukazała się gruba zmarszczka.

- Miała dopiero siedemnaście lat - mówił dalej o matce. - Nie kochała tego człowieka. Nie chciała jego dzieci. Ale pokochała je. Nadal sprzątała dom, prała i gotowała. Sama jadła prawie wyłącznie ryż i warzywa, lecz dbała, aby w miseczkach dzieci co wieczór znalazło się trochę mięsa albo ryby. Uczyła je różnych gier, tuliła i

zapewniała o miłości. Mówiła tak miękko i pieszczotliwie.

Mayling nazywała „Małym Skarbem”, a Lai Tsina „Małą Śliweczką”. W nocy dzieci spały na macie przytulone do matki, a przed snem Lilin śpiewała im kołysanki, czesząc swoje długie czarne włosy. Miałem prawie cztery lata, kiedy urodził się Chen. Pamiętam jego śmieszna, okrągła jak naleśnik buzię. Pokochaliśmy braciszka.

Ciężko pracowaliśmy w polu, ale pomagaliśmy matce w opiece nad maleństwem.

Jednak bogowie nie wyznaczyli Chenowi długiego życia i zmarł jako mały chłopiec.

Wtedy pierwszy raz odczułem prawdziwy smutek.

Za rok zmarła matka. Ja skończyłem wówczas siedem lat, a Mayling dziesięć. - Lai Tsin ze smutkiem potrząsnął głową. - Do dziś nie wiem, jak to się stało. Pewnego dnia obudziłem się i mówiłem, że jestem głodny, a mama nie odpowiadała. Nawet w ostatnim śnie wyglądała na znużoną. Ke Chungfen zamęczył ją na śmierć.

Nasza matka nie miała nawet odpowiedniego pogrzebu. Przecież była tylko biedną mui-tsai. Ke Chungfen oświadczył, że nie stać go na kupno trumny. Biedną Lilin zawinięto po prostu w matę, na której leżała, związano końce sznurkami i szybko pochowano bez żadnych obrządków żałobnych. To straszny wstyd dla rodziny, taki pogrzeb, nie mogliśmy spojrzeć w oczy nikomu ze wsi. Zostaliśmy sami na świecie, zdani tylko na obojętność i gniew ojca.

Zapadła długa, męcząca cisza. Na twarzy Lai Tsina nie malowały się żadne uczucia. Patrzył przed siebie pustym, nieprzeniknionym wzrokiem. Francie zapomniała o własnych zmartwieniach. Mocno ścisnęła go za rękę.

- Żyłeś w tak okrutnym świecie.

- Podobnie jak ty, Francie, tylko że ciebie otaczało bogactwo, a mnie skrajna nędza. Nasi ojcowie byli równie okrutni i obojętni. Tylko matki, chociaż żyły tak krótko, pokazały nam, co znaczy miłość. I dlatego myśl teraz wyłącznie o dziecku. Obdarz je wielką miłością, aby było silne psychicznie. Pamiętaj, że sama musisz je wychować. Jeśli nie nauczysz dziecka kochać, będzie cierpiało jak my oboje.

Annie wspomniła własne życie, które poświęciła samolubnemu ojcu. Nigdy nie okazał uczuć, żadnym słowem ani gestem nie dał do zrozumienia, że ją kocha.

Rozumiała Lai Tsina i zgadzała się z nim całkowicie.

Francie milczała podekscytowana. Mądry Lai Tsin wskazał jej właściwą drogę.

Przestanie rozpaczać i myśleć tylko o sobie, urodzi dziecko, które pokocha i/ochroni przed złem. Do końca życia będzie wdzięczna Lai Tsinowi za tę opowieść, bo wie, ile go kosztowały zwierzenia. Ale wiedziała także, że nie wyjawiał wszystkiego i część tragicznej historii okryta jest jemu tylko znaną tajemnicą.

Rozdział 20

Annie ze ściśniętym sercem patrzyła, jak zza zakrętu porośniętej trawą drogi wyłania się rancho de Soto. Było jeszcze gorzej, niż przypuszczała.

Ale Francie z taką radością opowiadała o rancho. - Mama mi je podarowała - powtarzała uparcie. - Przeczytałam o tym w gazetach, kiedy opublikowano testament ojca. Nigdy nie poszłabym w tej sprawie do prawników, bo bałam się, że Harry mnie znajdzie, ale on tu nigdy nie przyjedzie! To najpiękniejsze miejsce na świecie, w dodatku moje własne i tutaj chcę urodzić dziecko! - Po dwóch dniach dotarli do celu. W promieniu kilku mil nie było żadnego zabudowania, a dom na rancho wyglądał tak, jakby za chwilę miał rozpaść się w kawałki.

- Och, spójrz! - zawołała Francie z uniesieniem. - Czyż to nie najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek widziałaś?

Annie patrzyła ponuro na wysmagane przez wichry i ulewy szare ściany, zapadający się ganek i okna bez szyb.

- Myślę, że uda nam się coś z tym zrobić - odpowiedziała niechętnie.

Francie wysiadła z bryczki i wbiegła na schody, skąd rozciągał się widok na długą dolinę, zielone pastwiska i wysuszone słońcem pagórki. W oddali rozlegało się gęganie gęsi i rżenie koni. Na policzkach czuła delikatny podmuch wiatru.

- Nic się nie zmieniło - powiedziała uszczęśliwiona. - Tylko tutaj miałam prawdziwy dom!

Drzwi były otwarte i Francie weszła do środka. Wędrowała przez zakurzone pokoje, uśmiechając się do wspomnień.- Stare sprzęty nagle ożyły. Ujrzała stary, pękaty piec, który promieniował przytulnym ciepłem, matkę na szezlongu, małą Francie skuloną u jej stóp i Księżniczkę śpiącą na ozdobionym frędzlami dywaniku. W wielkiej kuchni, z królującym pośrodku sosnowym, wyszorowanym do białości stołem unosił się smakowity zapach świeżo upieczonego chleba i kurczaków z rusztu, rumianych jabłek, zielonych orzechów i czarnych winogron.

Do pokoju matki wdzierało się słońce przez wyłamane okiennice i Francie przez moment widziała ją z zaróżowionymi policzkami i lśniąco oczami, leżącą na haftowanych białych poduszkach w rzeźbionym drewnianym łóżku.

- Nic się nie zmieniło - powtórzyła wzruszona. - Jest równie wspaniale jak dawniej.

Annie sceptycznie uniosła brwi. Widziała jedynie starą rudere, z przeciekającym prawdopodobnie dachem. Trudno powiedzieć, jak dom prezentował się przed dwunastu laty, zanim czas i pogoda dokonały spustoszenia. Ale przynajmniej Francie była szczęśliwa.

- Wszystko doprowadzimy szybko do porządku - powiedziała pogodnie Annie, choć tak naprawdę nawet ona nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Wtedy za oknami rozległ się tętent końskich kopyt.

- Wiem, kto jedzie! - Francie pobiegła do drzwi.

Niski, zwinny mężczyzna o cerze ciemnej jak orzech wiązał właśnie konia przy altance. Zdumiony odwrócił się na odgłos kroków.

- Zocco! - krzyknęła dziewczyna.

- Francie? - zapytał niepewnie.

Ze śmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję.

- To ja, Zocco. Po tylu latach nareszcie wróciłam do domu. Przyjrzała się mu dokładniej. Nie był już młodzieńcem, którego zapamiętała. Miał ponad czterdzieści lat, wokół oczu rysowały się gęste, drobne zmarszczki, twarz wysuszyły wiatry i wysmagały ulewne deszcze. Tak jak dawniej, niemiłosiernie kaleczył angielski.

- Zawołam Esmeraldę. Pomóc posprzątać. My nic tu nie robić przez tyle lat - mówił szybko. - Zaraz ją sprowadzę. Cieszę się że pani wróciła, panno Francie, bardzo się cieszę.

Odwiązał konia, zręcznie wskoczył na siodło i pognął wznosząc tumany kurzu.

- Kto to był? - zapytała Annie.

- Zocco. Mieszkał tu, odkąd pamiętam. Uczył mnie jeździć na oklep, gdy miałam sześć lat, i nigdy nie spadałam z konia. To mój przyjaciel - odparła Francie.

Przed upływem pół godziny Zocco wrócił z żoną. Esmeralda siedziała w małym, dwukołowym powoziku pełnym szczotek, wiader, listew drewnianych, gwoździ i młotków. Na kolanach trzymała wielki kosz z jedzeniem.

- Jak to miło, że przyjechałaś, Esmeraldo - ucieszyła się Annie, wyjmując garnek z ciepłą jeszcze fasolą, chleb z kukurydzy, zawekowaną czerwoną paprykę i ogromny placek z jabłkami. Esmeralda, śniada i uśmiechnięta jak mąż, nie знаła angielskiego, ale potakiwała ze zrozumieniem głową. Domyślała się, że Annie jest zadowolona z tego, co przywiozła. A potem wysłały Francie na spacer i, założywszy fartuchy, zabrały się do sprząwania domu.

Dziewczyna spacerowała wokół stawu, śmiejąc się z gęsi, które groźnie stroszyły pióra zbliżając się do niej. Przypomniała sobie ostatnią zimę, przed śmiercią matki - staw wtedy zamarł i ptaki ślizgały się niezdarnie po lodzie. Znalazła też opuszczony kurnik, gdzie szukała brązowego jajka na Boże Narodzenie.

Przyrzekła sobie, że już jutro kupi kury i codziennie na śniadanie będą świeże jajka. Potem poszła do opustoszałej stajni, gdzie nadal unosił się słodki zapach siana. Wracała do domu porośniętą trawą drózką, tędy pchała kiedyś ciężki wózek z matką. Westchnęła i powzięła jeszcze jedną decyzję: to nie będzie wyłącznie dom wspomnień, teraz należy do niej i dziecka. Wspólnie wniosą tu życie. Tylko bardzo jej brakowało psa, radośnie merdającego ogonem. Musi koniecznie postarać się o psiaka, który choć częściowo zastąpi Księżniczkę.

Po tygodniu stary dom lśnił czystością. Podłogi z drzewa kasztanowca wyszorowano i wywoskowano, w oknach jaśniały nowe szyby. Zocco naprawił altankę, Annie zaś wypolerowała wszystkie meble. Wyprała i powiesiła na słońcu stare dywaniki, wybieliła sosnowy kuchenny stół i wyczyściła żelazną płytę przed kominkiem.

W powietrzu unosił się zapach porąbanego drzewa jabłoni i smakowitych wypieków. Ranczo de Soto ponownie stało się domem.

Sammy Morris pospiesznie szedł wąską uliczką na obrzeżach Dzielnicy Chińskiej.

Skulony, z głową ukrytą w ramionach, nie dostrzegał prawie wypalonych, czarnych zabudowań. Od oceanu wiał ostry, przenikliwy wiatr. Oczy mu łzawiły, mocniej otulił twarz wełnianym szalikiem. Dłuższy czas kluczył w labiryncie wąskich alejek, aż wreszcie stanął przed na wpół zburzonym budynkiem. Postawił kosz na ziemi i ostrożnie rozejrzał się dookoła. Poczekał jeszcze parę minut, by upewnić się, czy nikt go nie śledzi. Potem podniósł koszyk i zniknął w środku. Minał nadpalone schody prowadzące na nie istniejące drugie piętro i zaśmiecony korytarz, aż dotarł do pokoju w głębi domu. Zamiast drzwi w futrynie wisiał kawał materiału z worka. Sammy rozejrzał się jeszcze na boki, zanim rozsunął prowizoryczną kotarę.

W środku panował przenikliwy chłód, jak w każdym opuszczonym pomieszczeniu.

Sammy postawił koszyk i próbował rozpalić ogień węglem drzewnym w małym piecyku.

Wrócił później, niż zamierzał, bo ciągle miał wrażenie, że ktoś go śledzi. To uczucie nie opuszczało go już od dłuższego czasu, czuł na sobie czyjś wzrok, słyszał ciche kroki, ale ilekroć odwrócił się, nie było nikogo. Mokry ze strachu, puścił się jak szalony wzdłuż wąskich uliczek Dzielnicy Chińskiej, chcąc zmylić swego prześladowcę, skręcał w zaułki, biegł ciemnymi zakątkami, aż sam się zgubił. Wreszcie dotarł na tyły stołówki, gdzie wydawano bezpłatne posiłki. Zjadł gorącą zupę, zachowując spokój, jakby nic się

nie działało, ale cały czas miał się na baczności. Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi.

Zygarki dymu unosiły się nad rozżarzoną piecykiem. Sammy przez chwilę ogrzewał zziębnięte dłonie. Potem spojrzał na Josha. Leżał na łóżku/przykrytym nierówno wypchanym siennikiem dokładnie w tej pozycji, w jakiej zostawił go przed wyjściem. Pomyślał z goryczą, że to nic dziwnego, przecież przyjaciel był kompletnie sparaliżowany. Jego niewidzące oczy nie reagowały na żaden sygnał.

Ani drgnął, gdy Sammy wchodził do pokoju. Josh nie odezwał się od chwili, gdy Sammy wyciągnął go z płonącego budynku i wyjącego z bólu zaniósł do szpitala.

Teraz uniósł go do pozycji siedzącej i rozcierał mu lodowate ręce, aż powróciło krążenie.

- Przyniosłem coś na rozgrzewkę - mówił pogodnie, wyjmując z koszyka zakupy.

Potem podetknął przyjacielowi pod nos rondel z gorącym wywarem z wołowiny, aby poczuł smakowity zapach. - Taki sam gotowała twoja Annie - wlał mu łyk rosółu w usta. - Bardzo ładnie - karmił go łyżeczką jak małe dziecko. - Pięknie, Josh.

Nie mógłbyś chyba powiedzieć, że twój przyjaciel, Sammy, źle opiekuje się tobą.

Nie opuszczę cię aż do śmierci, jak to sobie przysięgliśmy. Pamiętasz?

Głowa Josha bezwładnie opadła na ramię. Sammy odstawił miseczkę i usadził przyjaciela w wygodniejszej pozycji.

- Wkrótce znajdę jakąś pracę - obiecał. Zapalił papierosa. - Teraz łatwo o robotę. Tyle się dookoła buduje. A potem poszukam jakiegoś ładnego pokoju - na parterze, żebym mógł cię wynosić na powietrze. A kiedy zacznę lepiej zarabiać, kupię wózek i zabiorę cię na spacer. Może nad ocean... Podobałoby ci się, prawda, chłopie?

Rozpacz ścisnęła mu serce, gdy patrzył na Josha. Jakież z niego był złoty chłopak, młody, piękny, pełen życia! A teraz ma go zawieźć w wózku do miejsc, których i tak nie zobaczy, nad ocean, w którym nigdy już nie będzie mógł pływać.

Wyciągnął z kieszeni butelkę taniej whisky, odkorkował i pociągnął potężny łyk.

Mocny trunek palił gardło i żołądek. Potem przyłożył butelkę do ust Josha, zadowolony, że przyjaciel zdołał przełknąć trochę alkoholu.

- Tak będzie lepiej, chłopie - mruknął. - Chociaż na chwilę uśmierzy ci ból.

- Powiem wprost, Josh - chrząknął. - Wspomnij te dobre, szkolne lata. Wtedy było nam najlepiej, prawda? Zawsze tylko we dwóch, ty i ja. - W zamyśleniu sączył whisky. - Chciałbym cofnąć zegar do czasów przed wypadkiem Murphy'ego. - Westchnął głęboko. - Uwierz mi, Josh, zrobiłem to wbrew sobie, ale gniew był silniejszy ode mnie. - Przycisnął dłoń do piersi, powstrzymując łzy. - Patrzyłem, jak stałeś na tej skale i gadałeś z Murphym, jak z najlepszym kumplem. Zupełnie nie zwracałeś na mnie uwagi. Czułem

się jak kompletne zero.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nie wiedzieli nawet, że tam byłem. A zwłaszcza ty. Nie mogłem tego znieść, Josh, nie po tych wszystkich latach. Przecież nawet przypieczętowaliśmy krwią naszą przyjaźń. Bez trudu zrobiłem to z Murphym. Nigdy nie wiedziałem, czy się domyśliłeś. Nikt o tym nie wiedział.

Wpatrywał się w milczeniu w Josha, jakby oczekując odpowiedzi, nieruchoma twarz przyjaciela nie wyrażała żadnych uczuć. Wlał jeszcze trochę whisky w jego uchylone usta, ścierając palcami rozlane krople.

- Ciepłej ci teraz, co? - zaniepokojony sprawdził, czy ogień dobrze pali się w piecu. - Wiem, że nigdy nie nagrzej się tutaj, ale whisky pomoże. Mam nadzieję, że choć zabije twój ból, bo mojego na pewno nic nie uśmierzy. Tyle dla ciebie zrobiłem, gdybyś mógł zobaczyć, jak teraz wyglądasz...

Ze łzami w oczach patrzył na Josha i kręcił głową.

- Widzisz, gdybyś nie biegał za tymi dziewczynami, nie musiałbym ich zabijać.

Po prostu nie mogłem znieść myśli, że je całujesz, dotykasz... byłem chory, rozumiesz? Ale po usunięciu Murphy'ego wiedziałem już, jak postępować. Tylko ostatnim razem powinęła mi się noga. Domyśliłem się, że mnie podejrzewasz, ale mimo to pomogłeś mi. „Powiesz mi, Josh”, powiedziałem, „Kat założy czarną czapkę i zawisną na szubienicy, a przecież nie zrobiłem tego”, przekonywałem.

„Nie pozwolisz na to, prawda?” Pamiętasz, jak cię prosiłem, żebyś dał mi szansę?

I zgodziłeś się, wysłałeś mnie do Annie po pieniądze, a sam w tym czasie starałeś się zmylić policję. Ale ja byłem przezorny, więc to twój szalik znaleźli policjanci na ciele dziewczyny i powiedziałem matce, że ty popełniłeś morderstwa. Postąpiłem tak dlatego, że mi na tobie zależało, Josh. Musiałeś ze mną wyjechać. Wiedziałem, że nigdy nie wrócisz do domu, bo wtedy ciebie powieszają. Wreszcie miałem cię tylko dla siebie. Aż spotkałeś pannę Harrison.

Chwiejnym krokiem podszedł do przyjaciela. Ukląkł i patrzył w jego puste, niewidzące oczy.

- Słyszysz, co mówię, Josh? Całą prawdę, mój drogi. Nic więcej. A Francie Harrison byłaby następna, gdybym nie stracił jej z oczu. Chciałbym, żeby cierpiała jak ty. Wówczas sprawiedliwości stałoby się zadość.

Ze złością rzucił pustą butelką o ścianę.

- To przez nią leżysz tutaj! - krzyknął, patrząc na Josha wzrokiem pełnym bezsilnego gniewu i rozpacz. - To Francie okaleczyła cię, oślepiła, odebrała rozum i mowę. Z jej winy przeżywasz teraz piekło na ziemi!

Rzucił się na podłogę z twarzą w dłoniach. Szlochał.

- Nigdy nie zapomnę chwili, gdy cię odnalazłem. Wokół wszystko płonęło, ale wygrzebałem cię z ruin i zaniósłem do szpitala. Cały czas byłem obok, gdy lekarze walczyli o twoje życie. Potem zabrałem cię do siebie. Tutaj jest twoje miejsce.

Trzęsącymi się rękami odkorkował drugą butelkę.

- Teraz należysz wyłącznie do mnie - powiedział z dumą - I już nigdy nie pozwolę ci odejść. - Odchylił głowę do tyłu i pociągnął haust whisky, po czym wytarł usta dłonią. - W odpowiednim momencie ta kobieta znajdzie się w grobie, jak tamte trzy.

Bar Jimmy'ego przy Washington Street znów tętnił życiem, a właściciel błyskawicznie dorabiał się majątku - knajpka była bardzo popularna i zawsze pełna gości. Sammy, nie mogąc już dłużej znieść milczenia Josha, szedł do baru i topił smutki w irlandzkiej whisky. Siedział przy porysowanej drewnianej ladzie i tępo wpatrywał się w szklankę rozmyślając o przyjacielu.

Jego milczenie przerażało Sammy'ego. Miał wrażenie, że Josh całą siłą woli stara się coś powiedzieć, ale ilekroć patrzył na niego, napotykał tylko szklane, nieruchome oczy. Wiele razy pijany stawał nad Joshem i krzyczał:

- Na miłość boską, wyduś to w końcu!

Dzisiaj jego złość przerodziła się w kipiący gniew. Chwycił go i potrząsał jak psem. Zupełnie stracił panowanie nad sobą, wrzeszczał, kazał mu mówić, chodzić, zachowywać się normalnie.

- Odezwij się wreszcie! Nawet jeżeli znienawidziłeś mnie, powiedz mi to! - Ale głowa Josha tylko bezwładnie opadała na bok.

Sammy rzucił go na siennik i nakrył kocami. Mimo zimna czuł pot spływający po karku. Strach pełzał po plecach niczym wąż... Szybko uciekł do baru. Ale nie mógł tam wysiedzieć. Złowieszcza obecność przyjaciela przyciągała go jak magnes.

Zamówił kolejną whisky. Josh nie należał już do świata żywych. Sammy obawiał się powrotów do zimnego pokoju, gdzie przyjaciel leżał na brudnym materacu. Lękał się swego bezsilnego gniewu, wzmagającego się z każdym dniem. A przecież Josh nigdy nie poruszy się ani nie przemówi. Wiedział, że nie zniesie tego dłużej. Musi coś zrobić, choćby to nawet złamało mu serce. Wsunął rękę do kieszeni i namacał zimną stal składanego noża. Już niedługo, Josh...

Bardzo późno wytoczył się z baru. Niebo było czarne jak smoła i ciężkie chmury zwisały nisko nad dachami. Ale Sammy i po ciemku trafił do domu. Znał drogę na pamięć, jak ptak wracający do gniazda. Przy każdym kroku nóż w kieszeni uderzał o butelkę whisky, lecz Sammy, pogrążony w myślach, nie zwracał na to uwagi. Nie, podaruje Joshowi jeszcze jedną noc, da mu ostatnią szansę. Wleje w niego trochę whisky, żeby zagłuszyć ból, chociaż wcale nie był pewien, czy przyjaciel odczuwa cokolwiek.

Zanim wszedł do domu, odruchowo rozejrzał się wokół. Ale w ciemnościach nic nie dostrzegł. Piec wygasł i w pokoju panował mrok. Przeklinając, zapalił świecę i spojrzął na łóżko. Josh zniknął.

Sammy przetarł oczy. Nic. Podniósł świecę i zbliżył się do pustego siennika. Koc leżał na podłodze. Przestraszył się. Bezladne myśli kłębiły się w głowie. Josh odszedł. Zostawił go. Sammy rzucił świecę i padł na puste posłanie. Krzyczał jak rozjuszona zwierzę, ale w tej samej chwili od ściany oderwały się dwie nieruchome dotąd postacie i skoczyły na niego. Mężczyźni wykręcili mu ręce do tyłu, aż zawył z bólu.

- Puśćcie go - odezwał się spokojny głos. Napastnicy wycofali się w głąb pokoju. Patrzył na nich, oddychając ciężko. To byli Chińczycy. Za paskami mieli małe, ostre toporki w czerwonych pochewkach. Sammy wiedział, że nie dadzą mu żadnej szansy.

- Usiądź - rozkazał ten sam głos. Pospiesznie spełnił polecenie, zerkając nerwowo na czających się w półmroku ludzi.

- Kim jesteście? - zapytał głucho. - Czego Chińczycy chcą ode mnie?

Lai Tsin podszedł do niego z lampą w ręku. Jego słowa były teraz ostre i zimne jak lód.

- Spowiedzi, panie Morris - powiedział.

Sammy wpatrywał się w niego przerażony. Twarz wydawała mu się znajoma, ale mógł to być każdy z tysiąca Chińczyków, których widywał w tej dzielnicy.

- Co zrobiliście z Joshem? - warknął.

- Nigdy go już nie zobaczysz - odparł nieznajomy cichym, śpiewnym głosem.

Sammy'ego ogarnął ten sam szalony gniew, który odbierał??? rozum i kontrolę nad czynami. Czerwony płomień zabłysnął przed oczami... zabrali Josha, skrzywdzili go... zabili. Błyskawicznie wyciągnął nóż i rzucił się na Chińczyka.

Lai Tsin zauważył błysk stali przecinającej powietrze, poczuł na policzku ostrze i ciepłą krew. Nie ruszył się, a wynajęci członkowie gangu powalili Sammy'ego na podłogę. Wtedy podniósł nóż i odezwał się spokojnie.

- A teraz zrobisz to, co ci każę.

Sammy klęczał. Jeden z mężczyzn trzymał go za ramiona, a drugi za kark, grożąc toporkiem. Lai Tsin położył przed nim pióro, atrament i papier.

- Napiszesz to, co ci podyktuję.

Spojrzął zdziwiony na Chińczyka, ale nie dano mu zbyt wiele czasu do zastanowienia. Poczuł bolesne dźgnięcie i szybko wziął pióro.

- Puść go - rozkazał Lai Tsin. Ucisk zelżał. Jeden Chińczyk stał teraz z tyłu, a drugi przed nim. Patrzył na nich z lękiem. Potrząsnął głową. To przywidzenie.

Co oni od niego chcą? Spowiedzi, powiedział ten Chińczyk...

- Pisz - rozkazał Lai Tsin. - „Ja, Sammy Morris, przyznaję się do zabójstwa pięciu niewinnych ludzi...”

- Nie! - rzucił pióro na podłogę. - Nigdy mnie do tego nie zmusicie!

Lai Tsin skinął głową i mężczyźni ponownie go chwycili. Tym razem poczuł na karku dotknięcie zimnej stali, wyraźne jak oddech napastników i lepki, ciepły strumyczek krwi...

- Teraz wiesz, co czuły twoje ofiary - powiedział Lai Tsin. - Były równie przerażone i bezradne. Podnieś pióro i pisz.

Drżąc, spełnił rozkaz.

- „Przyznaję się do zamordowania mojego szkolnego kolegi, Murphy’ego” - ciągnął Lai Tsin.

Sammy uniósł gwałtownie głowę. W jego oczach malował się paniczny strach. Nikt o tym nie wiedział, z wyjątkiem Josha. Wyznał wszystko ślepemu, niememu przyjacielowi...

- Pisz! - rozkazał Lai Tsin. Ostrze noża przyłgnęło do szyi Sammy’ego, więc schylił się nad papierem. - „Przyznaję się do zamordowania trzech kobiet. O to morderstwo niewinnie oskarżono mojego przyjaciela, Josha Aysgartha”.

Dyszał ciężko. Josh musiał udawać, cały czas słyszał, doniósł na niego...

Ponownie spojrzął na Lai Tsina. Zduszony jęk wydobył się z jego gardła.

Rozpoznał go. To ten Chińczyk przyjaźnił się z Francie Harrison. Ona mu wszystko powiedziała i przysłała tutaj, zabrała mu Josha...

- Pisz - powtórzył Lai Tsin z kamienną twarzą. Przerażony Sammy stawiał koślawe, wielkie litery na papierze. - Podpisz się - padł kolejny rozkaz.

- Gdzie jest Josh? Co z nim zrobiliście?! - krzyknął przeraźliwie. - Nie możecie mi go zabrać, jesteśmy jak bracia, uratowałem mu życie... opiekowałem się nim, zawsze byłem przy nim.

- Podpisz - powtórzył Lai Tsin twardo.

Roztrzęsiony nie mógł utrzymać pióra w ręku. Z trudem nabazgrał swoje imię i nazwisko.

- Jeszcze raz - rozkazał Lai Tsin. - Wyraźnie. Mężczyźni ponownie wykręcili mu ramiona, aż zawył z bólu. Lai Tsin spokojnie podniósł papier i przeczytał zeznanie.

Z zadowoleniem skinął głową. Zbliżył się do Sammy’ego i chwilę patrzył w oczy tego szaleńca, który mordował bez skrupułów. Człowieka, który zabiłby Francie, gdyby miał taką możliwość.

- Wiecie, co z nim zrobić - rzucił w stronę młodych Chińczyków wychodząc z pokoju.

- Nie! - Sammy rozpaczliwie rzucił się w jego stronę. Ale Lai Tsin już zniknął.

Wtedy poczuł piekące uderzenie w tył głowy i stracił przytomność.

Późną, ciemną nocą mężczyźni zawieźli Sammy'ego Morrisa przykrytą derką rykszą na wybrzeże i ulokowali na statku, odpływającym do Chin. Kapitan schował zapłatę do kieszeni, załoga zaś posłusznie odwróciła głowy, gdy wrzucali ciało do ładowni. Sammy żył jeszcze, jak rozkazał Lai Tsin. Ale napastnicy obcięli mu męskość.

Rozdział 21

Sześć miesięcy później kiedy minęła już północ, ale Lai Tsin nadal pracował w magazynie. Sprawdzał zapasy towarów i sporządzał listę nowych zamówień. Francie nauczyła go pisać potrzebne słowa, więc teraz notował powoli i dokładnie.

Potrząsnął głową odkładając notes. Całe dotychczasowe życie spędził samotnie - przywykł już nawet do tego i nie spodziewał się nic więcej. Ale bez Francie czuł pustkę. Wszystko zmieniło się przecież, gdy ją poznał.-Teraz uważał się za człowieka godnego szacunku. W zamian za to, co uczyniła dla niego, chciał zwrócić jej młodość i urodę, radość życia, ofiarować cały świat. Ale najpierw musiał na to zarobić.

Zamknął magazyn na klucz i powoli szedł do domu przez ciche, ciemne ulice San Francisco. Nigdy nie oczekiwał zbyt wiele od przyszłości. Dotychczas żył tylko dniem dzisiejszym. Teraz zdawał sobie już sprawę, że aby zrealizować swe cele, musi działać z większym rozmachem, być nie tylko kupcem, ale inwestorem i przedsiębiorcą. Musi dotrzeć do Hongkongu, Chin, na Hawaje, do Indii, Rosji i krajów Orientu.

Przyjrzał się swemu odbiciu w witrynie sklepowej. Zobaczył prostego, chińskiego wieśniaka. Wykształceni i bogaci Chińczycy zostali w kraju, tylko biedacy uciekali do Ameryki i pracowali przy kolei, na polach, w pralniach i restauracjach. Sprytniejsi, jeśli mieli chociaż trochę pieniędzy, zajmowali się handlem, tak jak on, ale nawet ich życie było pełne niebezpieczeństw oraz kłopotów. I to nie tylko przez gwailos. Zagrozały im gangi, a także wielu podstępnych i zawistnych konkurentów. Inni chińscy kupcy byli silni, bo mieli oparcie w rodzinach. Ale on miał tylko Francie. Nagle spłynęło na niego olśnienie. Przecież Francie może zostać jego partnerką, szefem firmy, wówczas kupi ziemię i rozwinie interesy, nie tylko w Dzielnicy Chińskiej, ale w całej Ameryce, w każdym zakątku świata, do czego inni Chińczycy nie mieli prawa. Z Francie u boku będzie potężniejszy niż pozostali chińscy kupcy.

Podczas tej długiej, bezsennej nocy, gdy przewracał się z boku na bok, uzmysłowił sobie, że powinien zdobyć wiedzę. Tylko osiągnąwszy sukces, bogaty i wykształcony wróci do rodzinnej wioski na brzegu rzeki Ta Chiang. Pokaże wszystkim, jak wiele uzyskało w życiu dziecko biednej mui-tsai, Lilin. Chciał wznieść świątynię dla uczczenia pamięci matki i jej zmarłych dzieci, aby ich dusze zamieszkały we własnym domu. A cały majątek zostawi Francie i jej potomkowi.

Na razie mógł ofiarować dziewczynie jedynie psa. Znalazł gdzieś dwa duże szczeniaki o bursztynowych ślepiach i postanowił zawieźć je na ranczo. Wmawiał sobie, że odkłada wizytę, aby nie przeszkadzać Francie, ale był też i inny powód: dawno temu przebywał w dolinie de Soto i lękał się, że powrót w te strony ożywi bolesne wspomnienia.

Sprawił sobie nowe ubranie, aby Francie nie wstydziła się go: długi, jedwabny ciemnoniebieski kaftan, czarny żakiet z wywatowanymi ramionami i okrągły kapelusz z jedwabnym guzikiem pośrodku. Włosy zaplótł w warkocz. Na ramieniu zawiesił słomiany kosz, a drugą ręką trzymał na smyczy psy. Tak był podekscytowany podróżą, że nie zauważył nawet pełnych wyższości uśmiezków, którymi obrzucali go pasażerowie na pokładzie promu Contra-Costa.

Stare lęki powróciły, gdy Zocco wiozł go na ranczo. Powtarzał sobie, że teraz jest szanowanym kupcem i wkrótce zbierze już tyle pieniędzy, aby wypłacić starszyźnie pięć procent z pierwszego zysku. Musi zapomnieć o przeszłości. Ale bolesne wspomnienia tłumili rozsądek. Za każdym zakrętem malowniczej drogi ożywały obrazy z dawnych lat.

Na dźwięk turkoczącego powozu Francie wybiegła na ganek. Cięża była już bardzo widoczna, a ona sama wyglądała jak małe, uradowane dziecko. Wokół zaróżowionej buzi wiły się długie, złotoblond włosy. Śmiała się ze szceniaków, gdy smycze zaplątały się wokół jej stóp.

- Lai Tsin, aż dwa! - krzyknęła z zachwytem.

- Parka. W przyszłości wyhodujesz sobie więcej dogów. Miałem nadzieję, że ci się spodobają.

Roześmiała się ponownie.

- Będą się nazywały Hrabia i Hrabianka - przez pamięć dla Księżniczki. A ja także ofiaruję ci prezent - powiedziała z dumą. - Mój dom jest również twoim, Lai Tsin. Przyjeżdżaj zawsze, kiedy tylko zapragniesz.

Lai Tsin szedł za nią przez skromne pokoje. Nie widział rzeczy o wielkiej wartości, ale ten mały domek promieniował ciepłem i serdecznością, jakich nigdy jeszcze nie doświadczył.

Annie, uśmiechnięta, wypadła z kuchni. Przygotowała uroczysty obiad na powitanie i zasiedli przy długim sosnowym stole kuchennym. Podała zupę, przyrządzoną z pomidorów, które wyrosły we własnym ogródku, rybę złowioną w pobliskiej rzece, świeże jarzyny oraz wspaniałą szarlotkę z kremową śmietanką. I chociaż Lai Tsin pierwszy raz kosztował takie jedzenie, z uśmiechem powtarzał, że wszystko jest znakomite.

Po kolacji usiedli przy kominku. Annie z ciekawością obserwowała gościa. Nowe ubranie podkreślało jeszcze jego chudość, ale czuła, że pod niepozorną powierzchownością kryje się stał, niezwykle hart ducha i odporność na przeciwności losu. Francie powtarzała zawsze, że nie śmie wypytywać Lai Tsina o przeszłość, ale Annie nie miała takich skrupułów. Zdjęła buty i z przyjemnością wyciągnęła stopy w stronę ognia.

- Opowiedz, co sprowadziło cię do Ameryki, Lai Tsin? - zapytała po prostu.

W milczeniu zastanawiał się nad odpowiedzią. Jakże wyznać im tę historię. Na dworze zapadł już zmrok, wiatr bił gwałtownie o szyby. Rozejrzał się po małym zacisznym pokoju. Na ścianach tańczyły cienie ognia. Nigdy nie odczuwał tak głębokiego spokoju, wynikającego z przyjaźni i zaufania bliskich, poczucia bezpieczeństwa, świadomości, że kochamy i jesteśmy kochani. Serce przepelniała łagodna czułość. Odparł:

- Drogie przyjaciółki. Nie ukrywałyście przede mną prawdy o swoim życiu. Jestem obcy w waszym świecie. Rozumiem waszą ciekawość, więc powiem, dlaczego przyjechałem do Ameryki.

Lai Tsin poczuł wyczekujące spojrzenia kobiet. W kominku z trzaskiem przewróciło się polano, wzbijając obłok szkarłatnych iskier. Szczeniaki zamruczały przez sen. Lai Tsin rozpoczął opowieść.

- W prowincji Anhwei na brzegach rzeki Jangcy, gdzie mieszkaliśmy, wszystko należało do właściciela wioski. Ziemia, domy, staw z kaczkami, pola ryżowe i morwowe, także wieśniacy. Ojciec również hodował kaczki, bardzo cenione ze względu na smaczne mięso. Właściciel sprzedawał swój drób w odległym Nanking.

Oboje z siostrą musieliśmy zapędzić kaczki na brzeg rzeki. Poganialiśmy je wielkimi pałkami, lecz uważaliśmy, aby ich nie uderzyć. Żał nam było biedaczek i często zastanawialiśmy się, czy przeczuwają swój los, gdyż skrzeczały żałośnie i próbowały uciekać. Ale trzepotały tylko bezradnie przyciętymi skrzydłami i dreptały w kierunku rzeki.

Niezwykle wrażliwa Mayling zalewała się łzami. Zawsze w stadzie znalazła się kaczka, która wydała jej się odmienna. Brała ją na ręce i głaskała po nastroszonych piórkach. Szeptala coś, jakby ptak rozumiał ludzkie słowa, a potem sadzała pośród innych na żółtej wodzie rzeki.

Ale najgorsze było dopiero przed nimi. Wyczerpane długą drogą, musiały jeszcze przepłynąć sto mil do Nanking. Ze łzami w oczach patrzyliśmy, jak trwożnie biją skrzydełkami o wodę, popędzane z tyłu grubą czarną liną przez mężczyzn w sampanach, którzy otaczali ptaki z obu stron. Lina płynęła tak szybko, że kaczki ledwo nadążały bez

chwili odpoczynku. Dopiero o zmroku wyganiano je na noc na brzeg. Świtem znów skakały do wody i płynęły na rzeź.

Ojciec zawsze udawał się do Nanking sam. Przez te wszystkie lata nigdy nie poprosił, aby ktoś mu towarzyszył. Ale tym razem oświadczył siostrze, że oboje pojedziemy z nim. Skończyłem dziewięć lat, a Mayling trzynaście. Była ładna, tak jak matka, miała długie czarne włosy do pasa. Zawiazywała je w koński ogon.

Wciąż jeszcze była dziewczynką i, mimo naszego smutnego dzieciństwa, radowała się życiem. Pełna słodyczy i życzliwości, zawsze roześmiana i skora do żartów, cieszyła się najmniejszymi drobiazgami. Śmiała się na widok psów, uganiających się na podwórku za swymi ogonami, wciskała kwiat za ucho bawołu, gdy wrócił z pola po dniu ciężkiej pracy, i głaskała go pieszczotliwie. Z zachwytem zawiązywała na włosach czerwoną wstążkę, którą podarowała jej jakaś życzliwa wieśniaczka. Nasze koszule i spodnie uszyto z najgrubszej, biało-niebieskiej bawełny, jaką nosili kulisi. Zimą zakładaliśmy jeszcze znoszone kaftany starszych braci.

Do Nanking nie płynęliśmy łódką razem z ojcem, ale małym sampanem, wiosłując na zmianę i pilnując kaczek. Dzięki temu uniknęliśmy gniewu ojca i bicia.

W dole rzeki był duży ruch. Z bijącym sercem wpatrywałem się w wielkie białe żaglowce, konwoje z solą i duże drewniane tratwy, niekiedy zamieszkałe przez całe rodziny. Ale Mayling cały czas płakała nad losem biednych kaczek.

Pierwszy raz wyjechaliśmy z wioski. Nigdy nie byliśmy w mieście i widok setek statków w porcie rzeczonym sprawił nas w osłupienie. Przerazał nas tłok na wąskich, wybrukowanych kamieniami uliczkach i tłum spieszących się, popychających ludzi. Z trudem torowaliśmy drogę stadku kaczek wśród obładowanych towarami mułów. Kulisi z koszami zawieszonymi na bambusowych kijach lekko biegli przed siebie, zwinnie mijając sedanowe lektyki, w których siedzieli bogaci kupcy.

Mayling zatrzymała się przed pewną damą o uróżowanej twarzy, z dzadeitową biżuterią w czarnych włosach. Na suknię z żółtego brokatu narzuciła satynowy żakiet. Mayling była pewna, że kobieta pochodzi z rodziny cesarza, bo nikt inny nie miał prawa nosić ubrań w kolorze żółtym. Podziwialiśmy jej maleńkie stopki w ciasnych pantofelkach. Wysiadła z lektyki i weszła do sklepu, gdzie sprzedawano bele drogiego jedwabiu o barwie szmaragdowej, indygo, szkarłatnej i złocistej.

Podskoczyliśmy ze strachu na widok mężczyzny, który wybiegł zza rogu ulicy i uderzał w wielki gong. Drugi mężczyzna chłostał go wiązką bambusowych witek w gołe plecy. Okazało się, że to był złodziej, który biciem w gong oznajmiał światu o przewinieniu.

Widok tak wielu eleganckich sklepów i nieznanymi towarów zupełnie nas oszołomił.

Gapiliśmy się na butelki wina ryżowego, gliniane naczynia z oliwą, aromatycznymi przyprawami i pastą z ziarna lotosu. Wokół górowały szkarłatne wieże świątyń, ozdobione złotymi lwami. Wszędzie unosił się zapach kadzidła. Milczeliśmy, onieśmieleni takim bogactwem i własną nędzą.

Te wszystkie widoki, dźwięki i zapachy przyprawiły nas o zawrót głowy, mimo to myśleliśmy z żalem o biednych kaczkach, które kazano nam zapędzić do drewnianej zagrody. Ke Chungfen zabrał pieniądze i powiedział, abyśmy wracali do sampanu i czekali, aż kogoś po nas przyśle.

Mayling ciągle płakała, a ja przypomniałem ojcu, że nie jedliśmy nic od świtu, a jest już piąta po południu.

Niechętnie wyjął z kieszeni kilka monet i kazał mi kupić najtańszą miskę ryżu.

Przejeżdżąc biegliśmy przez ulice, szukając taniej knajpki. Byliśmy wdzięczni ojcu, że chociaż raz pomyślał o nas. Te parę groszaków starczyło jedynie na miseczkę słonego, kleistego ryżu.

Jednak zaspokoiliśmy pierwszy głód. Potem wracaliśmy przez zatłoczone ulice, zaglądając do sklepów. Przerazały nas ostre, wyniosłe, nieprzyjemne głosy mieszczuchów. Zbyt wiele wrażeń przyniósł ten dzień, jak na dwoje małych, wiejskich dzieci! Wreszcie zwinęliśmy się w kłębek na dnie naszego sampana i zasnęliśmy od razu. Śniły się nam biedne, przerażone kaczkki.

Parę godzin później obudził nas krzyk kulisa:

- Ojciec was wzywa! - Patrzył na nas jakoś dziwnie, gdy wychodziliśmy z łódki, ale posłusznie podreptaliśmy za nim.

Zapadła już noc i na rzece w łodziach paliło się tylko kilka lamp naftowych. Dla pewności trzymaliśmy się za ręce. Przed wszystkimi drzwiami dymiły się laseczki kadzidła ku czci bogów opiekujących się domem. Silna woń zabijała zapach z miejskich ścieków. Kulis bez słowa prowadził nas przez labirynt ciemnych uliczek, aż znaleźliśmy się na małym placu.

W rogu, pod migoczącą latarnią zebrała się grupa mężczyzn. Ojciec z ożywieniem rozmawiał z przysadzistym, śniadym mężczyzną, który miał długie, zwisające wąsy i wąskie chytne oczka. Nie podobał mi się. Ojciec zwrócił się też do jakiegoś brodacza. Ten obrzucił Mayling taksującym spojrzeniem od lśniących czarnych włosów aż po czubki znoszonych, szmacianych pantofelków. Wzruszył ramionami i powiedział coś, na co ojciec wyraźnie się obruszył i zaczął gwałtownie gestykulować. Zdziwieni patrzyliśmy na to wszystko.

Nagle dostrzegłem w rogu placu, na niewielkim podeście, grupę młodych, przerażonych dziewcząt. Mężczyźni przyglądali się?? śmiało i ze śmiechem dotykali ich piersi.

Wystraszony, mocniej chwyciłem Mayling za rękę. Nie skończyła nawet trzynastu lat. Choć pracowała ciężko dla ojca, to musi dać posag, gdy zechce wydać ją za mąż. Starsi synowie powinni niedługo ożenić się i potrzebne są pieniądze na wesela. Sprzedając teraz Mayling, nie musiałby jej karmić przez następne lata ani dawać posagu, a ponadto zyskałby sporą sumę na śluby synów.

Spojrzelśmy na siebie i zrozumiałem, że siostra domyśla się wszystkiego.

Zbladła, wielkie oczy pociemniały jeszcze i pojawił się w nich lęk.

Ojciec nadal klócił się z handlarzem o cenę. Chwyciłem siostrę za ramię.

- Szybko biegnij za mną - wyszeptalem.

Wymknęliśmy się niepostrzeżenie z placu. Ślizgaliśmy się po śmierdzącym błocie i potykaliśmy o kamienie wystające z bruku. Pędziliśmy na oślep przez ciemne alejki, aż zabrakło nam tchu, a serca waliły młotem.

Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy ani dokąd prowadzą kręte uliczki. Pragnąłem jedynie oddalić się od ojca i tego straszego człowieka, który chciał uczynić z mojej siostry niewolnicę.

Wreszcie znaleźliśmy się na jakiejś szerszej ulicy. Przypomniałem sobie, że tędy właśnie pędziliśmy rano kaczkę. Wkrótce dotarliśmy nad rzekę. Wskoczyliśmy do sampana i popłynęliśmy w dół rzeki, w nieznaną.

Wiosłowaliśmy całą noc i o świcie, śmiertelnie wyczerpani, wdrapaliśmy się na brzeg. Zasnęliśmy. Obudziliśmy się nadal zmęczeni i bardzo głodni. Ukryliśmy sampana w szuwarach i zakurzoną drogą doszliśmy do małej osady. Ale wieśniacy odwracali się od nas, gdy żebraliśmy o trochę ryżu. Nie wiedzieliśmy, co począć.

Nagle nad brzegiem czystego, bystrego strumienia dostrzegliśmy klasztor taoistów.

Młody mnich w szafranowym habicie pochylił wygoloną głowę. Szybko odклонiliśmy się dwukrotnie i opowiedzieliśmy naszą historię. Zobaczyłem współczucie w jego oczach. Podzielili się z nami jedzeniem. Nie było tego wiele, bo ubodzy mnisi żywili się jedynie tym, co przynieśli okoliczni chłopcy, ale chudy ryżowy kleik smakował nam jak nigdy. W żołądkach czuliśmy rozkoszne ciepło.

Isjoc przepalił nam matach w małej celi wśród nowych przyjaciół. To była ostatnia spokojna i bezpieczna noc w najbliższych paru latach.

Rankiem ruszyliśmy w drogę. Mnisi pożegnali nas modlitwami i błogosławieństwem.

Zadecydowaliśmy, że popłyniemy dalej w dół rzeki, aż do najbliższego dużego miasta - może nawet do Szanghaju - i poszukamy pracy. Dopiero o zmroku wreszcie dotarliśmy na brzeg. Z ulgą ujrzelśmy nasz mały sampan kołyszący się w szuwarach. Nie zauważyliśmy natomiast ukrytej za zakolem rzeki dżonki z czarnym żaglem ani mężczyzn z nożami w zębach, którzy przewrócili nas na dno łodzi.

Zacisnęli nam dłonie na ustach, więc nie zdążyliśmy nawet krzyknąć. Wiedzieli, że nie powiedzie się nam ucieczka.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na drugiej łodzi, twarzą w twarz z ojcem i śniadym handlarzem żywym towarem. Roześmiał się na nasz widok.

- Cóż za temperament! - powiedział z uznaniem o Mayling, szczypiąc ją w pośladek.
- Ale nie ma jeszcze piersi. To obniża cenę - dodał po chwili.

Staliśmy obok siebie. Opuściła głowę, dławiąc się ze wstydu, gdy mężczyźni tak bezceremonialnie targowali się o to, ile warte jest jej młodzieńcze ciało.

- Ile? - zapytał niecierpliwie Ke Chungfen.

- Chłopaka wyszkoli się na dobrego służącego. Trzysta juan za oboje - oświadczył handlarz, krzyżując ręce na piersiach.

Ojciec najwyraźniej był niezadowolony z zapłaty. Liczył na większy zysk.

- Tyle daję, albo zabieraj ich sobie - powtórzył handlarz i odwrócił się obojętnie.

Ke Chungfen westchnął głęboko. Wiedziałem, że myśli w tej chwili o czterdziestu juanach, które zapłacił za naszą matkę. Niewiele więc zarobi, zważywszy, że żywił nas przez lata. Wreszcie jednak zgodził się. Od tej chwili należeliśmy do handlarza.

Skuli nam nogi łańcuchami, abyśmy nie uciekli, i wracaliśmy dżonką do Nanking, gdzie cumował statek handlarza.

Wrzucono nas pod śmierzdzący pokład. Skurczeni z zimna i strachu, słyszeliśmy szczury chroboczące w ciemnych kątach.

Po długim czasie kłapa uniosła się i zobaczyliśmy, że już świta.

Kulis opuścił na linie mały koszyk z miską ryżu, chlebem i butelką wody. Głód był silniejszy niż strach i niepewność. Rzuciliśmy się na jedzenie, jak małe króliki, szybko wpychając do ust garście gorącego ryżu w obawie, że zaraz nam go zabiorą. Wdychaliśmy też hausty świeżego powietrza, zanim kulis zamknął kłapę.

Ponownie zapadła ciemność.

Po kilku dniach rano na dno ładowni spuszczone drabinę i kazano nam wyjść na pokład. Łańcuchy boleśnie wbijały się w gołe nogi, gdy wspinaliśmy się na górę.

Ostre słońce oślepiło nas. Zdziwiliśmy się, ponieważ zdjęto nam łańcuchy i polecono umyć się w kabinie. Zastanawialiśmy się, co nas dalej czeka. Ale nikt nie przychodził, więc przycupnęliśmy w kącie, spodziewając się najgorszego.

Znowu mijały długie godziny. O zmierzchu dżonka dopłynęła do brzegu rzeki. Kiedy księżyc był już wysoko na niebie, pojawił się handlarz. Roześmiał się hałaśliwie, zobaczywszy nas skulonych na pokładzie. Złapał Mayling za włosy i postawił na nogi. Rzuciłem się na pomoc siostrze, ale jeden z kulisów odepchnął mnie i trzymał mocno za ramiona, gdy handlarz ciągnął Mayling do kabiny.

Stał nade mną z nożem w ręku, a ja siedziałem bezradnie na pokładzie i słuchałem przerażającego krzyku siostry. Brzmiał mi w uszach jak dźwięk z koszmarne go snu.

Ale była to najprawdziwsza, przerażająca jawa...

Lai Tsin ukrył twarz w dłoniach i przez moment zdawało się, że już nic nie powie. Lecz opanował się.

- Czekałem i czekałem, a Mayling nie zjawiała się. W końcu kulis kazał mi wrócić pod pokład. Zamknął klapę i znalazłem się sam w ciemnościach ze strasznymi myślami.

Sądziłem, że minęły wieki, zanim usłyszałem głosy. Domyśliłem się, że dżonka wpłynęła do jakiegoś dużego portu - to musiał być Szanghaj. Może teraz nareszcie zobaczę Mayling. Klapę otworzono i na tle szarego nieba zamajaczyła sylwetka kulisa. Spuścił drabinę. Wspinałem się szybko, wdychając ostre, morskie słone powietrze. Po długim przebywaniu w ciemności teraz mrużyłem oczy. Wypatrywałem wszędzie Mayling, ale nigdzie jej nie było. Po pokładzie kręcili się majtkowie, zwijali żagle i cumowali łódź do pomostu grubymi linami. Kulis pochylił się, aby skuć mi nogi, ale widocznie litość go zdjęła nad małym, przerażonym chłopcem, równie biednym jak on. Cóż złego mógłbym uczynić? Wzruszył ramionami i schował łańcuch pod zwój grubych lin. Przykazał mi tylko ruchem ręki, abym nie ruszał się z miejsca, i odszedł gdzieś.

Parę minut później zauważyłem handlarza, który pospiesznie zszedł pomostem na brzeg i odjechał rikszą. Poczekałem, aż pojazd zniknie z pola widzenia i wślizgnąłem się do kabiny właściciela statku. Było tam kilka pomieszczeń, ale w żadnym nie znalazłem Mayling. Przeszukałem całą dżonkę i ogarnął mnie strach.

Wiedziałem, że handlarz nie wyrzucił jej za burtę, bo straciłby pieniądze - zapewne zaraz po zacumowaniu łodzi wysłał ją na ląd i dołączyła do innych dziewcząt, które chciał sprzedać.

Pobiegłem za marynarzami, gdy zeszli na brzeg. Miałem nadzieję, że zaprowadzą mnie do handlarza i Mayling. Ale oni skierowali się do alei pełnej smrodliwych zapachów portowych i oparów opium. Pod ścianami domów kręciły się jaskrawo ubrane dziewczęta, z szulerni dobiegały hałaśliwe głosy graczy. Nigdzie ani śladu siostry.

Uciekłem stamtąd, cały dzień błądziłem po śliskich, wybrukowanych granitem uliczkach. W wielu miejscach pytałem, gdzie tutaj sprzedają dziewczęta, ale wszyscy zdziwieni odchodzili w pośpiechu. Zapadła noc. Znalazłem się sam w wielkim mieście, głodny, wystraszony i na dnie rozpaczy.

Minęło kilka dni. Błąkałem się po ulicach, zebrałem o jedzenie, wdzięczny za każdy kasek, który niechętnie dawali mi przechodnie. Czałem się jak duch na obrzeżach prawdziwego życia. Tęsknie wystawałem w oknach herbaciarni, słuchając opowiadań gości. Często mówili o ciężkim życiu w Chinach i bogactwie tych, którzy wyjechali do Ameryki i pracują w kopalniach złota. Wydobywają cenne kruszce, budują koleje i otwierają własne fabryki. Żyją tam jak królowie i jeszcze pomagają rodzinie w Chinach. „Ludzie z Toishan są bogaci” - mruclili z zazdrością, pochłaniając wspaniałe potrawy, o jakich mogłem tylko zamarzyć:

kluseczki z wieprzowiną, fasolkę i suma w sosie. Bogactwo oznaczało dla mnie pełny żołądek i matę do spania, ale rozmyślałem o tym, co usłyszałem. Straciłem Mayling, nie miałem rodziny. Dlaczego nie miałbym dołączyć do bogaczy z Toishan?

Wróciłem do doków i dowiedziałem się, że nazajutrz odpływa do Seattle mały, zaniedbany żaglowiec prezentujący się równie ponuro jak załoga. Brudni marynarze oparci o reje palili fajki i wypluwali do wody resztki tytoniu. Ale był to jedyny statek, który zmierzał w kierunku złotodajnych gór, więc postanowiłem dostać się na pokład. Śmiało wszedłem na pomost i poprosiłem, aby przyjęto mnie na chłopca kabinowego. Marynarze ze śmiechem zaprowadzili mnie do kapitana - grubasa w białym mundurze ze złotymi dystynkcjami. Czapka również lśniła od złota, a w ręku trzymał butelkę whisky i co chwila pociągał potężny łyk.

Przemogłem lęk i powtórzyłem prośbę.

Kapitan śmiał się tak głośno, że tłusty brzuch dygotał mu jak galareta.

- Zgoda, synu - powiedział. - Jeden więcej nie robi żadnej różnicy. Ale musisz zapracować na utrzymanie.

Nawet nie wspomniał o zapłacie, lecz pragnąłem jedynie uniknąć śmierci głodowej.

W Ameryce dołączę do ludzi z Toishan i dorobię się fortuny w kopalni złota.

Statek odpływał o świcie. Pomagałem przy zwijaniu lin, potem patrzyłem na Chiny, mój rodzinny kraj, który zniknął za horyzontem. Ukłąłem na drewnianym pokładzie i ukloniłem się dziewięć razy, dotykając czołem ziemi. Składałem hołd pamięci matki i Mayling, które zostały tu na zawsze. Potem odwróciłem się w kierunku otwartego morza i Ameryki.

Ogień na kominku przygasał, oświetlając czerwonym blaskiem zasłuchane twarze Francie i Annie. Lai Tsin westchnął.

- Późniejsze wydarzenia to już inna historia. Wstał i uklonił się uprzejmie.

- A teraz proszę o wybaczenie, ale jestem bardzo zmęczony i muszę udać się na spoczynek. Zanim jednak odejdę, chciałbym wam podziękować za bezcenny dar przyjaźni. Nigdy nie spędziłem takiego wieczoru w ciepłe domowego ogniska i nie czułem miłości oraz zrozumienia ze strony innych. Dzisiaj moje życie stało się bogatsze i dziękuję wam za to.

Uklonił się i wyszedł z pokoju. Długo jeszcze siedziały pogrążone w myślach.

- Zawsze sądziłam, że mój los jest ciężki i niesprawiedliwy - odezwała się wreszcie Annie. - Ale teraz wstydzę się, bo w porównaniu z Lai Tsinem miałam prawdziwy raj; dach nad głową, jedzenie i wszystko niezbędne do życia.

Francie skinęła głową.

- Ale nikt z nas nigdy nie zaznał najważniejszego... Tego nie można kupić...

W nocy przewracała się bezsennie na łóżku, rozmyślając o historii Lai Tsina.

Czuła gwałtowne ruchy dziecka. Przycisnęła ręce do brzucha i przyrzekła sobie, że jednego maleństwa nigdy nie zabraknie - miłości.

Rozdział 22

Rano Lai Tsin wyjawiał Francie swój pomysł.

- Inni kupcy sprzedają już to samo co ja - powiedział. - Muszę zdobyć lepsze towary i obniżyć ceny, bo nie wytrzymam konkurencji. Zrezygnuję z agentów i pośredników, sprowadzę towary bezpośrednio z Szanghaju i Hongkongu. A sprzedam je nie tylko w San Francisco, ale w Nowym Jorku, Chicagu i Waszyngtonie, w całej Ameryce.

Muszę mieć towary nie tylko dla Chińczyków, lecz także dla gwailos: jedwabie z Hunan, dywany z Persji, stare srebra, lustra i hebanowe meble, obrazy i porcelanę. Poważny kupiec handluje z całym światem, a ja takim pragnę zostać, jednak gwailos nie chcą rozmawiać z Chińczykami. Firma pod nazwiskiem Lai Tsin nie przedstawia żadnej wartości. Jeśli zostaniesz moją współniczką, drzwi na świat staną przed nami otworem.

Francie spojrzała na niego zaskoczona. Bez wątpienia Lai Tsin to tajemniczy człowiek - zapewne nigdy nie pozna go do końca. Ale miała do niego całkowite zaufanie. Tą propozycją sprawił jej taką radość, że w pierwszej chwili chciała rzucić mu się na szyję i serdecznie ucałować. Ale on zawsze odnosił się do niej z pełną szacunku rezerwą i Francie wiedziała, że nie potrafiłby jej przełamać.

- Czuję się zaszczycona twoją propozycją, Lai Tsin - powiedziała tylko.

Tego wieczora po kolacji Lai Tsin ciągnął swoją opowieść. Wiatr wył za oknami małego drewnianego domku i pierwsze płatki śniegu załśniły na szybach, a szczeniaki pochrapywały przed kominkiem.

- Już po kilku dniach na morzu zorientowałem się, że na statek wcale nie załadowano herbaty.

Pod pokładem tłoczyli się kulisi, którzy jak ja zmierzali do ziemi obiecanej.

Nikt nie miał wizy amerykańskiej i wszyscy musieli zapłacić kapitanowi wielkie sumy pieniędzy, aby przeszmułował ich do Ameryki. Już na pełnym morzu mogli wyjść na pokład. Z radością opuścili brudną, zatłoczoną ładownię i rozłożyli cały swój majątek na deskach pokładu: maty z trawy, watowane kołdry, pudełka ze skarbami. Natychmiast też zaczęli grać w karty i kości. Grali prawie przez całą podróż, w przerwach zachłystując się gorącym ryżem lub odmawiając modlitwy. Bili głowami o twarde deski, prosząc bogów o pomyślność. Byłem właściwie osobistym służącym kapitana - nieustannie biegałem z jedzeniem między kuchnią a mostkiem kapitańskim, wylewałem brudną wodę i szorowałem podłogę w jego kajucie. Pomagałem też kucharzowi - zmywałem naczynia, ładowałem węgiel do wielkich kotłów, myłem deski i schodziłem z drogi wiecznie pijanym marynarzom. A w wolnych chwilach obserwowałem graczy. Znałem już

maj-jongg, ale teraz podpatrywałem wszystkie chwytaki i sztuczki, oraz inne gry, fan-tan i paigow, która przypomina domino. Wkrótce byłem już pewien, że pokonałbym niejednego z kulisów. Brakowało mi jednak pieniędzy na rozpoczęcie gry.

Kiedy nadszedł niespodziewany tajfun, biedaków wrzucono z powrotem pod pokład i zatrzaśnięto luki. Kapitan kłął siarczyście za sterem i pociągał whisky potężnymi łykami. Spienione, wysokie jak góry fale unosiły statek niczym lekki korek, obracały nim na pomarszczonych grzywach i rzucały w dół z szybkością wodospadu. Natychmiast kolejna fala czyniła to samo. Przerażona załoga chowała się po kątach, czekając na śmierć. Marynarze wrzeszczeli, kulisi jęczeli żałośnie zamknięci pod pokładem, a kapitan kłął coraz donośniej. Przycupnąłem na mostku i podawałem mu kolejne butelki whisky. Fala wytrąciła mi jedną butelkę z ręki i drogocenny płyn zniknął w głębinie. Kapitan dzielił mnie potężnie przez głowę. Tak się wystraszyłem, że nie czułem nawet bólu, kapitan był panem mojego życia. Ale on wiedział, że tak naprawdę tylko bogowie decydują o naszym istnieniu albo śmierci - byliśmy kruchymi łupinami na łasce żywiołu.

W nocy tajfun ustąpił i znowu płynęliśmy po spokojnym morzu. Z zakamarków wyłonili się przerażeni marynarze i wypuścili kulisów. Kazali im posprzątać wymiociny z pokładu. Kapitan popatrzył na mnie kompletnie pijany. Wyjął z kieszeni srebrnego dolara i dał mi go.

- Zarobiłeś pierwszego w życiu amerykańskiego dolara - powiedział. - Wszyscy inni to śmierzdzący tchórze. - Zszedł z pokładu obrzucając załogę przekleństwami.

Po tym wszystkim trzymałem się możliwie blisko kapitana, ponieważ załoga obwiniła mnie za jego gniew. Bałem się, że wyląduję za burtą, a oni powiedzą potem, że utonąłem. Lawirowałem więc między marynarzami a kapitanem. Cały czas ciężko pracowałem, spałem zaledwie kilka godzin dziennie. Wśród kulisów wybuchła epidemia dezynтерии i na statku panował straszliwy smród. Musiałem zmywać pokład i podłogę w ładowni, pomagałem przy wyrzucaniu do morza zmarłych. Kotły zaczynały się psuć i kilku palaczy zbiegło na ląd podczas postoju w portach.

Kapitan musiał zatrudnić nowych ludzi. Kulisi ciągle grali.

Po trzech długich miesiącach dopłynęliśmy do Kalifornii. Kapitan stał się milczący i ponury, gdy zbliżaliśmy się do lądu.

Na wybrzeżu widniały skały. Noc była zimna i deszczowa, statek podskakiwał na wzburzonych falach. Strumienie deszczu smagały pokład. Nagle kapitan krzyknął, żeby otworzyć klapy do ładowni. Patrzyłem zdumiony, jak kulisi wychodzą i stają obok siebie, zbici w stado jak przerażone ptaki. Patrzyli na kapitana, który wymachiwał rewolwerem. Pilnowało ich czterech uzbrojonych marynarzy.

- To jest Ameryka! - wrzasnął kapitan po chińsku. - Złotodajne Góry. Tutaj wysiadacie - groził im bronią, ale kulisi ani drgnęli. - Wybierajcie! - krzyknął znowu. - Skok do wody i przepłyniecie te kilkaset jardów do brzegu albo kulka w łeb i wylądujecie w morzu już martwi! - Marynarze strzelili i trafili paru kulisów. Ciała odepchnęli pogardliwymi kopniakami.

Oniemiały z przerażenia popatrzyłem na kapitana. Ci biedacy oszczędzali kilka lat, zapożyczali się i odmawiali sobie wszystkiego, żeby opłacić podróż do Ameryki. Kapitan zabrał im wszystkie pieniądze. A teraz chciał ich wrzucić do zimnego, rozszalałego morza, nie bacząc nawet, czy umieją pływać. To pirat i morderca, nienawidziłem go z całego serca.

Obserwowałem, jak marynarze zmuszają kulisów do skoku za burtę i śmieją się z ich nieporadnych ruchów w lodowatej wodzie. Wyjąłem z kieszeni srebrnego dolara, plunąłem na monetę i wyrzuciłem za siebie. Jeśli taka jest Ameryka, to wcale nie chciałem tam jechać. Wcale nie była lepsza od rodzinnej wioski!

Kapitan zauważył mój gest. Wściekły złapał mnie za włosy i przyciągnął do burty.

- Idź do swoich, ty zawszony chiński bękarcie! - ryknął.

Zanurzyłem się głęboko pod wodą, rozpaczliwie walcząc z silną lodowatą falą.

Nagle wyskoczyłem do góry niczym korek i wynurzyłem się. Jeszcze w Wielkiej Rzece nauczyłem się pływać i teraz z całej siły parłem naprzód. Słyszałem już huk fal uderzających o brzeg i domyśliłem się, że są tam wielkie skały. Wokół mnie na wodzie unosiły się głowy kulisów. Rozlegały się krzyki biedaków oszalałych ze strachu i pojedyncze strzały. Zamknąłem oczy, bo byłem zbyt mały i słaby, aby im pomóc. Tylko kilku ludzi płynęło obok mnie. Wiedziałem, że jesteśmy blisko brzegu. I wtedy właśnie pochłonięła nas ogromna fala, zatapiając w lodowatej ciemności i rzucając z ogromną siłą na skalistą plażę. Uczepiłem się rozpaczliwie skały, by woda nie zagarnęła mnie z powrotem. Potem podczołgałem się do kamieni, które wyznaczały linię przypiływu. Leżałem zupełnie wyczerpany, z rozrzuconymi ramionami, łapiąc powietrze jak ptak. Byłem w Ameryce.

Lai Tsin popatrzył na przerażone kobiety.

- Burza szalała - powiedział. - Fale docierały nieomal do mnie. Nagle ujrzałem głowę człowieka, z rozpaczą walczącego o życie. Wyciągnął rękę, ale fala pochłonięła go bezlitośnie. Drżąc z zimna i ze strachu czekałem na towarzyszy podróży, ale wszyscy bilisi, którzy tym piekielnym statkiem dotarli do Ameryki, zginęli.

Już trzeci dzień Lai Tsin gościł na ranczo, ale jeszcze nie opowiedział o Sammym. Obawiał się, że wiadomość o Joshu zmartwi Francie i sama wzmianka o okrutnym Sammym zakłóci wspaniały, błogi spokój.

Joshua zanieśiono na noszach do znanego chińskiego lekarza, który obserwował go kilka dni i przeprowadził rozliczne badania. Ale werdykt brzmiał jak wyrok. Josh Aysgarth już nigdy nie będzie chodził ani mówił. Miał uszkodzony mózg, nikogo ani niczego nie rozpoznawał. Należał już bardziej do świata umarłych i doktor dawał mu najwyżej dwa tygodnie życia.

Lai Tsin był w rozterce, nie wiedział, czy powiedzieć Francie i Annie, że Josh żyje jeszcze. Ale postanowił milczeć. Obydwie uznały już chłopaka za zmarłego i opłakały jego śmierć. I tak nie rozpoznałyby ich. Przeżyłyby tylko szok. Teraz Francie oczekiwała dziecka i należało myśleć o przyszłości.

Umieścił Josha w szpitalu nad brzegiem zatoki na południe od San Francisco, prowadzonym przez zakonnice. Pastelowe budynki klasztorne na tle sosnowego lasu i słodko pachnących krzewów emanowały spokojem. Świeciło słońce i łagodna bryza morska rozwiewała jasne włosy na czole chorego. Minał tydzień, później drugi i trzeci. Lai Tsin często odwiedzał Josha. Pewnego dnia zastał go jak zwykle leżącego nieruchomo z głową zwróconą do okna. Chłopak odetchnął głęboko, powędrował niewidzącymi oczyma ku szumiącemu morzu.

Siostry powiedziały Lai Tsinowi, że śmierć przyniosła Joshowi ulgę. Pochowano go na małym cmentarzyku w pobliżu klasztoru. Na grobie stanął prosty biały krzyż z wrytym imieniem i nazwiskiem. W kościele odprawiono mszę za duszę Josha, a Lai Tsin udał się również do chińskiej świątyni, gdzie także modlono się w intencji zmarłego.

Często zastanawiał się, czy słusznie postąpił zatajając prawdę przed kobietami.

Ale nie mógł uczynić inaczej. Pisemne zeznanie Sammy'ego, które ukrył w wewnętrznej kieszeni marynarki, było jak bomba zegarowa, odmierzająca minuty do wybuchu.

Tego wieczora Francie nie chciała jeść kolacji, narzekała na zmęczenie i ból w krzyżu. Annie zaniepokoiła się. Dziecko miało urodzić się dopiero za kilka tygodni, ale te dolegliwości mogły oznaczać wcześniejszy poród. Posadziła ją w wysokim fotelu przed kominkiem, podłożywszy pod plecy mnóstwo poduszek i pospiesznie wróciła do kuchni po herbatę.

Francie siedziała spokojnie, z rękami splecionymi na brzuchu, dziecko było dzisiaj spokojne.

- Nieraz żałuję, że w ogóle się urodzi - powiedziała ze smutkiem. - Cóż je czeka dobrego? Choć niewinne, zawsze będzie wyrzutkiem, bękartem. Całe życie będzie cierpiało za grzechy rodziców.

- Jedynym grzechem jego ojca była miłość do ciebie - odparł ostro Lai Tsin.

Wyjął z kieszeni zeznanie Sammy'ego i wręczył je Francie.

- Nie zadawaj żadnych pytań. To prawda.

Z niedowierzaniem przeczytała spowiedź szaleńca i mordercy.

- Nie wolno ci pytać, skąd to mam - zastrzegł szybko Lai Tsin. - Uwierz tylko we wszystko.

- Ale wiesz, gdzie jest Sammy? Lai Tsin zachował kamienną twarz.

- Już nie potrzebujesz się go obawiać - powiedział tylko. - Nie pytaj o nic więcej. To zeznanie jest ważne dla ciebie i dziecka. Nie mogę zwrócić ci ukochanego, tylko jego honor.

Francie z westchnieniem oparła jasną główkę o poduszki. Czuła mchy maleństwa.

Tak więc nazwisko Josha zostało oczyszczone, jego dziecko nie będzie dźwiagało ciężaru hańby i upokorzenia.

Znowu poruszyło się gwałtownie. Spokojna, łagodna senność zawładnęła Francie.

Wszystkie smutki i niepokoje odpłynęły.

Lai Tsin patrzył z uśmiechem, jak jej powieki opadają. Zasnęła.

- Dziecko urodzi się wcześniej - powiedział do Annie, wchodzącej właśnie do pokoju. - Musimy wysłać Zocco do Santa Rosa po lekarza.

- To bardzo daleko, ponad trzydzieści mil - odparła. - Może jeszcze poczekać.

Przecież poród wypada dopiero za trzy tygodnie.

- Rozpocznie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin - rzekł spokojnym, pewnym tonem. - Lepiej, żeby lekarz przyjechał.

- Ty chyba wiesz wszystko, Lai Tsin - odparła ze szczerym Podziwem.

- Mam jeszcze jedną wiadomość - dodał z tym samym, niezmaconym spokojem. - To prezent, który przywróci spokój. Francie już wie.

- Wręczył Annie kartkę z wyznaniem Sammy'ego. Czytała ze łzami w oczach.

- Byłam przekonana, że Josh nie zabił tych dziewcząt - po. wiedziała. - Ale dlaczego Sammy to zrobił? Jak mógł popełnić taką straszną zbrodnię?

- On nie myślał tak, jak inni ludzie, Annie. On czuł tylko zawiść i gniew.

Jedyne szczęśliwe chwile przeżywał wtedy, gdy mordował. Był szalony. Uważał, że ma prawo zabić tych, którzy mu przeszkadzają.

- A gdzie jest teraz?

Lai Tsin znowu spojrzął z nieprzeniknionym wyrazem oczu.

- Już nigdy go nie zobaczysz - powiedział tylko.

Annie zadrżała. Nie rozumiała dokładnie, co to wszystko znaczy, i obawiała się pytać.

Gorzkie łzy płynęły jej po policzkach na myśl o Joshu. Lai Tsin nie pocieszał jej. Wiedział, że każdy smutek trzeba wypłakać.

- Honor twojej rodziny został przywrócony, Annie. Teraz musimy myśleć o przyszłości, o dziecku, które się narodzi - powiedział, gdy uspokoiła się trochę.

Przyznała mu rację. Ojciec znowu będzie chodził z podniesioną głową. Starannie złożyła kartkę. Odeśle ją brytyjskiej policji. Josh zostanie oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Potem wysłała Zocco do Santa Rosa po lekarza.

Ostry, szarpiący ból przebudził Francie. Usiadła szybko.

- Annie! Chodź! Chyba zaraz się zacznie.

- Lai Tsin już to przewidział, kochanie - pojawiła się natychmiast. - Zocco właśnie pojechał po doktora. - Z powątpiewaniem spojrzała przez okno na podwórze w strugach deszczu. Szalejący od trzech dni wiatr przybrał siłę huraganu i lękała się, że spadnie śnieg.

Błąda i wystraszona Francie leżała na łóżku matki.

- Zostań ze mną - poprosiła. - I zawołaj Lai Tsina. - Skrzywiła się przy kolejnym skurczu.

Annie pobiegła po niego. Mała lampka naftowa rzucała miękkie światło na meble.

Francie wspominała pewną grudniową noc sprzed wielu lat, gdy leżała w tym samym pokoju na dywanie przed kominkiem. Tej nocy zmarła jej matka. Jakże pragnęła, aby była teraz przy niej! I głaskała miękką dłonią jej rozpalone czoło...

Annie ponownie wyjrzała za okno. Zaniepokojona popatrzyła na Lai Tsina. Padał śnieg. Lekarz tutaj nie dotrze podczas takiej burzy. Jednak zebrała w sobie całą odwagę. Jakoś sobie poradzi, przecież dzieci rodzą się codziennie, niezależnie od pogody!

- Porozmawiajcie ze mną - szepnęła błagalnie Francie. - pokończ swoją historię, Lai Tsin.

Wyglądał na zatroskanego.

- To chyba nie jest odpowiednia chwila na takie okrutne wspomnienia.

- Błagam cię, opowiadaj. Może wtedy nie będzie mnie tak bolało.

Potrząsnął głową. Zastanawiał się, co i jak opowiedzieć. Jest chyba tylko jeden sposób...

- Nie wiedziałem, że miejsce, gdzie wypłynąłem, nazywa się Mała Rzeka. Morze było tam wzburzone, a do brzegu dobijało wiele pirackich statków, z chińskimi imigrantami. Uczępiłem się stromej skały, gdyż zbliżał się przypyływ. W górze dostrzegłem kilka krzaków i sosny. Bałem się spojrzeć w dół w obawie, że na widok kipieli opuści mnie cała odwaga. Więc wspinałem się, chociaż ręce mi krwawiły, a kark bolał nieznośnie. Powoli, cał po calu dotarłem do krzaków.

Uchwyciwszy się ostrych, ciernistych gałęzi podciągnąłem się na górę. Tutaj nie było już tak stromo i pod stopami czułem trawę. Rzuciłem się na ziemię, drżąc z lęku, zimna i wyczerpania. Po chwili opanowałem się i poszedłem w las. Ale drzewa rosły tak gęsto, że poruszałem się wśród zupełnych ciemności. Nie wiedziałem, dokąd iść. Skuliłem się na ziemi i modląc się, aby w lesie nie było krwiożerczych tygrysów, smoków ani jadowitych węży, zasnąłem.

Obudziło mnie szare światło przebijające przez wierzchołki sosen. Mokre ubranie przyłgnęło mi do ciała, skręcałem się z głodu. Ruszyłem jednak w dalszą drogę.

Teraz las wydawał się inny - oprócz sosen rosły też ogromne sekwoje o tak grubych pniach, że dwóch mężczyzn nie objęłoby ich rękami. Gdzieś z daleka dobiegał dźwięk piły. Zbliżałem się do tartaku.

Przerażony usiadłem pod drzewem. Byłem małym, wystraszonego Chińczykiem, zdany na łaskę losu. Nie znałem ani słowa po angielsku, nie miałem żadnych dokumentów ani pieniędzy, żeby zapłacić za jedzenie, nawet gdybym umiał o nie poprosić.

Pomyślałem, że Amerykanie na pewno zabiją mnie, więc postanowiłem, że dopiero o zmroku ukradnę trochę żywności i będę wędrował nocami, aż dojdę do Złotej Góry i odszukam rodaków z Toishan.

Podczołgałem się jeszcze trochę, aż przez szpary między drzewami zobaczyłem tartak. Wysoki drewniany budynek stał na urwistym cyplu, tuż nad wartką rzeką. W powietrzu unosił się silny zapach żywicy. Wokół leżały pocięte pnie i deski ułożone w stosy przewiązane grubymi linami. Mężczyźni odcinali siekierami gałęzie od ściętych sekwoi. Inni skakali zręcznie na kłody spływające w dół rzeki. Wiedziałem, że to gwailos, cudzoziemskie diabły, i zadrżałem ze strachu.

Okrążyłem cały tartak na czworakach, z tyłu zauważyłem drewniany baraczek. Z komina unosiła się smużka dymu, a na podwórku kobieta w czarnej sukni i kwiciastym fartuchu karmiła kury. Serce zabiło mi mocniej: są kury, znajdę więc jajka. Może zdobędę wieczorem coś do jedzenia. Ale radość trwała krótko. Wielki, czarny pies węszył w krzakach. Na pewno będzie szczekał i ostrzeże swoją panią.

O zmierzchu zgrzytanie pił ucichło i drwale, śmiejąc się i pokrzykując, wracali do domu. Poczekąłem, aż kobieta zamknie na noc kurnik. Potem zawołała psa i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Za zasłoną migotało światło.

Zatęskniłem za rodzinną wioską nad Jangcy i wieczorami przy lampie w naszej ubogiej chacie. Ale zaraz pomyślałem o okrutnym ojcu i powiedziałem sobie, że nie mam domu na tym świecie. Będę twardy i nie poddam się losowi. Pewnego dnia wzbogacę się i wrócę do naszej wsi. Wówczas zniszczę ojca tak, jak on zniszczył moją matkę i

Mayling.

O zmroku podczołgałem się bliżej zabudowań. Ptaki zasnęły w gniazdach i w lesie zapadła cisza.

Zakradłem się do kurnika. Kury zagdakały trwożliwie i serce zamarło mi ze strachu. Ludzie na pewno zaraz się obudzą! Szybko poszukałem gniazd i znalazłem dwa jajka. Natychmiast wypilem je ze skorupki. Ale to tylko zaostrzyło głód.

Zjadłem leżące na ziemi okruchy, które gospodyni rozrzuciła kurom. Wylizałem też resztki z psiej miski. Ciągłe głodny, ruszyłem w dalszą drogę.

Nie wiem, ile dni wędrowałem ani gdzie w końcu dotarłem. Żywiłem się jagodami i korzonkami. Raz schwytałem młodego królika i zdarłem z niego skórę ostrym kamieniem. Potem zjadłem surowe, jeszcze ciepłe mięso. Las powoli przerzedzał się i znalazłem się w sadzie. Na ziemi leżały pomarszczone jabłka, pomiędzy drzewami płynął strumień.

W dzień gorące słońce suszyło mi ubranie na plecach, ale noce były bardzo zimne i wilgotne. Którejś nocy tak spadła temperatura, że nawet nie rozgrzałem się szybkim marszem. Miałem na sobie tylko cienkie bawełniane spodnie, kaftan i dziurawe płócienne pantofle. Trafiłem na jakąś ścieżkę, która wiodła do długiego drewnianego budynku. Na małej wieży wisiał dzwon. Drzwi były otwarte, więc ostrożnie wszedłem do środka. W świetle księżyca ujrzałem rzędy drewnianych ławek i ołtarz, a nad nim krzyż. Taki sam widziałem u misjonarzy w Nanking.

Domyśliłem się, że to świątynia gwałos. Uklęknąłem więc i z szacunkiem pokłoniłem się nieznanemu bogowi, uderzając czołem o podłogę. Prosiłem, aby nie gniewał się na mnie za tak śmiałe wtargnięcie do swego domu.

Było zimno, ale przynajmniej nie wiał tu przenikliwy, lodowaty wiatr.

Wyciągnąłem się na drewnianej ławce i zamknąłem oczy. Po raz pierwszy od wyjazdu z Chin nocowałem pod dachem. Mocno zasnąłem.

Nagle przebudziłem się. Przez wysokie okno wpadał strumień światła. Jakiś mężczyzna ubrany na czarno, z czerwoną twarzą i twardym spojrzeniem błękitnych oczu potrząsał mnie za ramię. Nigdy jeszcze nie widziałem jasnych oczu, a te wydały mi się przerażające i ostre jak stal.

Lai Tsing urwał i wbił wzrok w podłogę. Francie wtrąciła szybko:

- Nie musisz już opowiadać, jeśli sprawia ci to przykrość. Wzruszył ramionami.

- Nic strasznego się nie stało. To był pastor. Nie rozumiałem, co mówi, ale uważałem, że jestem jego więźniem. Rozglądałem się wokół szukając drogi ucieczki, ale on wybuchnął głośnym, dudniącym śmiechem. Potem wyprowadził mnie z kaplicy i ścieżką doszliśmy do małej wioski, gdzie stało kilkanaście piętrowych domków.

Rankiem ludzie kręcili się przy pracy. Kobiety były ubrane w czarne suknie, fartuchy w kwiaty i czepki. Z zazdrością patrzyłem na wełniane koszule i marynarki mężczyzn. Wszyscy ludzie mieli poważne twarze i twarde spojrzenia.

Gapili się na mnie z otwartymi ze zdumienia ustami. Domyśliłem się, co powiedział im pastor:

- To mały poganin. Bóg go zesłał, żeby wypróbować naszą wiarę. Musimy podjąć wyzwanie i uczynić z chłopca wyznawcę naszego Pana.

W domu pastora było mroczno i pachniało pleśnią. Nigdy jeszcze nie gościłem u gwailos. Wokół tykało mnóstwo zegarów, a na ścianach wisiały portrety ludzi o takich samych twardych spojrzeniach jak pastor i jego sąsiedzi. Czuję się bardzo nieswojo w tym ponurym wnętrzu, ale w kominku palił się ogień, więc podbiegłem tam szybko. Czuję gorące powietrze na przemarzniętych policzkach.

Pastor nie spuszczał ze mnie wzroku. Potem wziął mnie za rękę i poszliśmy do małego baraku, gdzie stała cynkowa wanna. Kazał mi się rozebrać. Protestowałem nieśmiało, ale chwycił mnie mocno za ramiona i krzyczał coś ze złością, aż poczerwieniał z gniewu. Zerwał ze mnie ubranie i siłą wepchnął do balii. Potem chlusnął wiadrem lodowatej wody, i dał mi kostkę ługowego mydła. Wreszcie oblał mnie jeszcze jednym kubłem zimnej wody i rzucił kawał materiału do wytarcia.

Stałem tak, drżąc z zimna i ze wstydu, aż gospodyni pastora przyniosła mi flanelową koszulę, bieliznę, spodnie i wełniany sweter. Wszystko w szarym kolorze, tylko buty były czarne i nabijane ćwiekami. Nigdy jeszcze nie nosiłem takich butów. Wrzynały mi się w stopy i ciążyły jak ołów.

Gospodyni podgrzała zupę i postawiła przede mną dymiący talerz. Zemdlilo mnie od samego zapachu, ale nachyliłem się, żeby ją wypić. Kobieta zaczęła coś wykrzykiwać. Zrozumiałem, że nie wolno mi tak jeść - muszę używać dziwnej łyżki na długim trzonku.

Pastor siedział naprzeciwko i obserwował mnie z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Co prawda byłem syty i ubrany, ale nie miałem do niego zaufania. I nie lubiłem go.

Gospodyni podeszła do mnie, gdy zjadłem. Złożyła mi ręce razem i pochyliła głowę, a potem uczyniła to samo, a pastor odmówił modlitwę gwailos. Później zaprowadził mnie po wąskich drewnianych schodach do małego pokoiku. Wepchnął mnie do środka i przekręcił klucz w zamku. Zostałem sam.

Rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem ciemne ściany i brzydkie, ciężkie meble.

Zwróciłem uwagę na łóżko przykryte białą kołdrą. Całe życie spałem na macie rozłożonej na podłodze. Byłem bardzo zmęczony, ale nie mogłem tu zostać. Czuję, że grozi mi niebezpieczeństwo.

Podbiegłem do okna. Na zewnątrz widniała metalowa rynna. Małe i zwinne dziecko mogło bez trudu wyślizgnąć się przez okno i spuścić na dół. Po chwili stałem już na ziemi. Okrążyłem dom ostrożnie i popędziłem do lasu.

Po chwili byłem już na leśnej drodze. Czułem się silniejszy po zjedzeniu gorącej zupy i w ciepłym ubraniu na grzbiecie. Jedynie buty raniły mi stopy i przeszkadzały w marszu. Ale czułem instynktownie, że uciekłem przed jakimś nowym, nieznanym złem.

Wędrowałem cały następny dzień i noc. Zatrzymałem się tylko po to, aby zebrać w lesie jakieś pożywienie - jagody, jabłka, grzyby. Z chęcią oddałbym życie za miskę gorącego ryżu. Tak zgłodniałem, że nie dbałem o to, czy jem coś trującego.

I tak o życiu lub śmierci decyduje przeznaczenie.

Las przerzedził się i stopniowo krajobraz stawał się bardziej malowniczy.

Szedłem teraz wzdłuż porośniętych falującą trawą wzgórz, łąk i sadów. Za dnia spałem w krzakach, a nocą maszerowałem. Pewnego ranka dotarłem na obrzeża wsi podobnej do mijanych poprzednio. Ale tutaj domy były większe, otoczone morzem kwiatów, a na polach rosły w rzędach jakieś nieznane mi krzewy, wśród których ujrzałem pracujących Chińczyków.

Zamarłem z szeroko otwartymi oczami. Pomyślałem, że to jest Złota Góra, gdzie rodacy z Toishan dorabiają się fortun. Wypatrywałem górki złota i srebra, ale nie było nic oprócz dziwnych krzaków i ludzi przycinających gałęzie.

Pobiegłem do nich krzycząc i wymachując rękami z radości, a oni zdumieli się na widok małego Chińczyka w wielkich, czarnych butach. Kilkudziesięciu mężczyzn zebrało się wokół mnie, gdy opowiadałem swoje dzieje. Przeklinali kapitana

statku i nazywali go diabłem. Wyjaśnili mi też, że wcale nie dotarłem do Złotej Góry, ale na plantację winorośli. Z tych owoców barbarzyńcy robią wino.

Zazwyczaj pracują w kopalni, tylko dzisiaj, ze względu na przymrozki, przysłano ich na pole.

Przyjrzałem się im z bliska. To nie byli bogacze w jedwabiach, lecz chińscy wieśniacy w zwykłych bawełnianych spodniach i kaftanach. Tak samo jak w Chinach uprawiali pola i drążyli skały pod ziemią. Zapytałem, gdzie jest ta osławiona Złota Góra, ale tylko potrząsnęli głowami. Nigdy jej nie znaleźli.

Wieczorem zabrali mnie do pana. Powiedzieli mu, że jestem silny i mogę pracować pod ziemią. Pan był potężnie zbudowany, pomyślałem, że ma na pewno więcej siły niż my wszyscy, ale on nie musiał nic robić. Nosił piękne bryczesy i skórzaną marynarkę. Dosiadał pięknego czarnego ogiera, który aż rwał się do galopu i orzebierał kopytami jak do tańca. Ta cała ziemia należała do niego i teraz my również.

- Zabierzcie go jutro do pracy, zobaczymy - powiedział tylko.

Poszedłem z nimi do baraku, gdzie mieszkali. Chiński kucharz wydawał gorący ryż z warzywami. Aż ciekła mi ślinka. Zjadłem dwie kopiaste porcje i myślałem, że żołądek mi pęknie. Potem zasnąłem jak kamień na gołej podłodze.

Rano udaliśmy się do pracy w kopalni. Brygadzysta wręczył mi kilof, łopatę i krętym korytarzem schodziliśmy głęboko pod ziemię. Kilku mężczyzn kuło już ścianę. Po godzinie czułem palący ból w całym ciele i bałem się, że serce wyskoczy mi z piersi, ale nie odważyłem się na przerwę w pracy. Kilofem rozbijaliśmy skałę, a potem odgarnialiśmy łopatami pokruszone kawałki. Zmęczyłem się i chciało mi się płakać, ale musiałem wytrzymać, by nie stracić pracy.

Po kilku dniach mój młody organizm przyzwyczał się do wysiłku i nie odczuwałem już tak straszego bólu. A pod koniec tygodnia otrzymałem wypłatę, pierwsze własne pieniądze w życiu, nie licząc srebrnego dolara od okrutnego kapitana. Wieczorem po kolacji mężczyźni zebrali się, jak zwykle, przy kartach i kościach.

Ja również postawiłem. Chciałem sprawdzić swoje umiejętności zdobyte podczas rejsu, gdy obserwowałem hazardzistów. W parę minut straciłem wszystkie pieniądze.

Próbowałem jeszcze wiele razy, aż wreszcie zacząłem wygrywać.

Wiedziałem, że pokonałbym ich za każdym razem, ale ci ludzie byli dobrzy dla mnie i nie chciałem zabierać im pieniędzy. Tak więc porzuciłem grę i odkładałem wszystkie zarobione pieniądze.

Praca w kopalni skończyła się i wyruszyliśmy w poszukiwaniu nowego zajęcia.

Pracowaliśmy na polach i w sadach i wreszcie dotarliśmy do San Francisco. Tam dowiedziałem się, że baptyści prowadzą szkołę niedzielną dla małych pogan, gdzie uczą także angielskiego. Chodziłem więc na lekcje. Pracowałem, gdzie popadło. I tak upływało moje życie aż do trzęsienia ziemi. Spojrzałem na młode kobiety ze smutkiem.

- Teraz znamy prawdziwego Lai Tsina - szepnęła ze współczuciem Francie. - Chciałabym być tak odważna jak ty.

- Nie bój się, Mała Siostró - odparł łagodnym, śpiewnym głosem. - Jesteś odważniejsza.

W nocy bóle nasiliły się. W ciemności wszystko wydawało się groźniejsze niż za dnia. Francie drżała z wyczerpania, gdy skurcze ustępowały. Mijały godziny.

Annie masowała jej lodowate stopy, ciągle dorzucała drewno do kominka i płakała bezradnie przy łóżku.

O świcie nadal nie było lekarza. Przez cały dzień Francie walczyła z bólem.

Drobne kropelki potu pokrywały jej czoło. W pewnej chwili Lai Tsin podszedł do łóżka i wziął ją za rękę.

Spojrzała na tę drobną i kruchą postać, od której biła wewnętrzna siła. Francie czuła, że spokój i pewność wiernego towarzysza zapewnią jej bezpieczeństwo.

Poczuła dziwną lekkość, wydało się jej, że matka siedzi obok i patrzy na nią z miłością. Potem ujrzała zapłakaną Annie, swoją rękę w dłoniach Lai Tsina i wreszcie chłopczyka, który właśnie przed chwilą pojawił się na świecie. A później ogarnęło ją wielkie szczęście.

Teraz leżała już spokojnie z synkiem przy piersi. Wiedziała, że ocaliła ją siła Lai Tsina. Podobnie jak tuż po śmierci Josha, gdy chciała umrzeć. Już nie była bezbronną dziewczynką, lecz matką i miała dla kogo żyć.

Annie zapomniała o budowie pensjonatu w San Francisco. Wszystkie myśli i starania skupiła wokół małego Olivera. Tak przypominał Josha, że wydawało się jej, iż czas cofnął się do dni, gdy jako trzynastoletnia dziewczynka opiekowała się małym braciszkiem. A teraz zatroszczy się o jego syna!

Podziwiała każdy uśmiech dziecka, miękkie blond włoski i duże, piękne szare oczy. Kapały go, karmiły, zmieniały pieluszki, Annie dziergała mnóstwo czapeczek i kaftaników. Na święta Bożego Narodzenia przybrały małą jodełkę szyszkami, purpurowymi wstążeczkami i zapaliły na niej malutkie świeczki. Zaprosiły Esmeraldę i Zocca na uroczysty obiad. Annie przyrządziła wspaniałą pieczoną gęś z rozkosznie chrupiącą przypieczoną brązową skórką oraz świąteczny pudding śliwkowy nadziewany tuzinem różnych owoców i orzechów, wśród których znajdowała się także (to na szczęście!) moneta sześciopensowa, przywieziona z Anglii.

Maleństwo gaworzyło w kołysce w ciepłej przytulnej kuchni, a pod stopami gości baraszkowały szczeniaki, Hrabia i Hrabianka...

Lai Tsin nie przyjechał na święta. Francie i Annie tęskniły za nim, ale nie przyjął zaproszenia, tłumacząc, że musi pracować, aby zwrócić dług zaciągnięty u chińskiej starszyszy.

Nadszedł Nowy Rok, Annie nadal nie mogła zdecydować się na powrót do miasta. - Wkrótce wyjadę - powtarzała ciągle, ale wydawało się jej, że Francie nie poradzi sobie sama. W lutym otrzymały list od Lai Tsina. Pisał, że spłacił już długi.

Zdobył widać zaufanie wśród członków starszyszy, bo udzielili mu nowego kredytu.

W najbliższym tygodniu wyjeżdża w interesach do Szanghaju, więc dopiero po wielu miesiącach zobaczą się. Francie z dumą czytała list, napisany staranną angielszczyzną. Ileż wysiłku musiała kosztować go nauka. Ale pisał teraz pięknie i przejrzyście.

Ubrała małego Olivera w błękitny kaftanik, czapeczkę i owinęła ciepło szalem.

Potem położyła go w wózku, który Lai Tsin kupił małemu w San Francisco, i spacerowała z synkiem po tych samych, porośniętych trawą drózkach, gdzie bywała dawniej z matką. Patrzyła na swoje dziecko, na pogodne błękitne niebo i poczuła się nagle bardzo szczęśliwa. Ma Olivera, cóż więcej może żądać od życia?

Annie wiosną wróciła do San Francisco.

- Wolałabym zostać z wami - mówiła do Francie, gdy Zocco pakował bagaże do powozu. - Ale zainwestowałam wszystkie pieniądze w pensjonat i teraz muszę się nim zająć. Trzeba myśleć o przyszłości małego Olivera.

Francie długo machała ręką na pożegnanie, aż wreszcie powóz zniknął za zakrętem wysadzonej drzewami alejki. Poczula się samotna, ale tylko chwilę. Uśmiechnęła się z dumą do swego silnego, dużego synka.

W kuchni, koło okna, studziły się pięknie wyrosnięte placki, które Annie upiekła na pożegnanie. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy przypraw i wanilii, aż Francie wydawało się, że przyjaciółka wcale nie wyjechała i za chwilę wyjdzie z sąsiedniego pokoju.

Wieczorem, gdy Oliver zasnął w kołysce, usiadła przed kominkiem. W domu panowała zupełna cisza, tylko zegary tykały cichutko i trzaskały palące się gałązki. Już nie czuła się samotna i nie lękała się niczego.

Rozkoszowała się tą chwilą absolutnej ciszy i spokoju. Przez najbliższe cztery lata nic nie zakłóciło jej życia. Pragnęła jedynie na zawsze zostać z Oliverem, być przyjaciółką Annie Aysgarth i Ke Lai Tsina.

CZEŚĆ III 1911-1918

Rozdział 23

Harry Harrison szedł powoli California Street. Był to jeden z najprzyjemniejszych spacerów w jego życiu. Stał przed hotelem Fairmont i dłuższą chwilę napawał się widokiem swojego domu po drugiej stronie ulicy, którego odbudowa właśnie dobiegła końca. Wyglądał dokładnie tak, jak pięć lat temu, przed trzęsieniem

ziemi: na tle kremowej fasady wiły się białe, marmurowe schody. Doryckie kolumny strzelały ku niebu, a nad nimi wznosiła się przeszklona witrażami kopuła. Dom kosztował Harry'ego dwukrotnie więcej niż dziadka, który zbudował pierwszą rezydencję, ale też każdy szczegół wart był tych pieniędzy.

Oczywiście Harry wprowadził pewne zmiany: zamiast stajni wzniesiono teraz garaże, w domu zainstalowano windę, a klatka schodowa była z onyksu. Harry dotrzymał przyrzeczenia i wznosił pomnik przodkom.

We wszystkich oknach świeciły się światła. Na frontowych schodach i w poprzek ulicy położono czerwony chodnik, wzdłuż którego stali lokaje w liberiach, oczekujący na gości. Dzisiaj Harry obchodził dwudzieste urodziny i zaprosił wszystkich, którzy liczyli si? w San Francisco. Przekonają się na własne oczy, że młody Harrison zamierza żyć dokładnie tak, jak jego ojciec.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i wbiegł po schodach do holu.

Nowy kamerdyner, Fredrics, przeżył się w oczekiwaniu na rozkazy Harry jeszcze raz spojrzął z zadowoleniem na szklaną kopułę którą zamówił u pewnego weneckiego artysty. Przepyszny^{}}} kolorami mieniły się w zachodzącym słońcu portrety dziadka, ojca i Harry'ego. Obok zostawił jeszcze miejsce na portret swojego syna. Poniżej ozdobnymi, złotymi literami kazał wypisać motto własnego autorstwa:

„PRZETRWAJĄ DZIĘKI SILE I CNOTOM”.

Uśmiechnął się, coraz bardziej dumny z siebie, przeciągnął dłonią po gładkiej, czarnej poręczy z onyksu i przeskakując po dwa stopnie wbiegł do apartamentu.

Służący przygotował już kąpiel i wieczorowe ubranie. W srebrnym wiaderku z lodem chłodziła się butelka ulubionego szampana, Perrier & Jouet. Harry nalał sobie kieliszek. Już był wytrawnym smakoszem i znawcą dobrych win, lubił też piękne kobiety i jego gust pod tym względem określano jako wyszukany. Z radością zanurzył się w wodzie pachnącej drzewem sandałowym. Dokładnie wiedział, czego chce w życiu. W wieku dwudziestu lat miał miliony i świat u stóp. Zamierzał spełniać wszystkie swoje

zachcianki.

Tylko jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Nie zdobył przekonującego dowodu, że siostra nie żyje. Po trzęsieniu ziemi setki razy przeglądał akta miejskie z nazwiskami ofiar, ale nie znalazł Francie. Wprawdzie uznano ją za zmarłą i był prawie pewien, że zginęła w czasie pożaru razem ze swoim kochankiem Aysgarthem, ale na dnie świadomości czaił się lęk, że któregoś dnia dziewczyna pojawi się znowu i okryje hańbą nazwisko Harrisonów.

Zmarszczył brwi. Dzisiaj nadarzała się niepowtarzalna okazja na powrót siostry marnotrawnej. Wzruszył ramionami. Tylko szaleniectwo wciąż przejmowałby się Francie. Ale mimo wszystko kazał Fredricsowi rozstawić lokajów we wszystkich drzwiach, aby nikt nie wszedł bez zaproszenia. To przez nią nie ma tu dzisiaj ojca. Pamiętał swoją przysięgę, którą złożył, gdy przyniesiono jego ciało na miejsce wiecznego spoczynku. Przyrzekł mu wtedy, że nawet za cenę życia dopilnuje, aby Francie zapłaciła za swój czyn. I dotrzyma słowa, jeżeli kiedykolwiek ją zobaczy.

Najładniejsze i najbogatsze dziewczęta w San Francisco od miesiący szykowały się na przyjęcie urodzinowe Harry'ego i nie rozczarowały się.

Teraz była to jedyna wspaniała prywatna rezydencja 2b Hill. Dom iskrzył się światłami jak choinka na Boże narodzenie. Wzdłuż czerwonego dywanu stały kremowe gardenie w szkarłatnych skrzynkach, a ogromny hol przykrywał kobierzec aksamitnych, ciemnopurpurowych róż.

Po przeciwnej stronie ulicy stał tłum gapiów. Reporterzy z wszystkich gazet miejskich strzelali fleszami aparatów fotograficznych. Przyjęcie u młodego Harrisona było wydarzeniem dnia i sprawozdanie z uroczystości z pewnością znajdzie się w rubrykach towarzyskich jutrzejszych wydań.

Francie, dziwnie spokojna, obserwowała wielki dom, który powstał z popiołów niczym Feniks. Gazety pęczniały wprost od opisów wspaniałej rezydencji Harry'ego. Wiedziała, że nie powinna tutaj przychodzić, ale coś ciągnęło ją z nieodpartą siłą... Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że za chwilę w otwartych drzwiach ujrzy ojca witającego gości, podobnie jak w dniu jej pierwszego balu.

Ale Hann on Harrison nie pojawił się przed wejściem. Nawet jej potężny ojciec nie był w stanie wrócić ze świata zmarłych. Jego miejsce zajął teraz Harry.

Bardzo przypominał ojca. Był wysokim, barczystym, dobrze zbudowanym młodym mężczyzną o błękitnych, przenikliwych i aroganckich oczach. Z cynicznym uśmiechem na pełnych, zmysłowych wargach przyglądał się zebranym wokół tłumom.

Przed rezydencję podjechała kolejna czarna limuzyna, z której wysiadła dostojna pani Brice Leland o srebrzystych włosach, cała obsypana diamentami, a za nią młoda dziewczyna w koronkowej balowej sukni i diamentowej tiarze. Francie nie mogła oderwać od niej oczu. Wyglądała zupełnie jak ona przed pięciu laty!

Harry ucałował ich dłonie w białych rękawiczkach i wprowadził do środka. Potem wrócił, by witać kolejnych gości. Wprawdzie zgodnie z etykietą gospodarz winien oczekiwać na gości w domu, ale Harry pragnął, aby całe San Francisco było świadkiem jego triumfu. Rozkoszował się zawistnymi, ale pełnymi podziwu spojrzeniami gapiów, uśmiechał się do fotoreporterów. Chciał wszystkim pokazać, że on, Harry Harrison, potrafił zakpić z wyroków opatrności. Wzniósł jeszcze wspanialszy budynek niż ten zburzony, dom, który był świątynią dla rodziny Harrisonów.

Wzdłuż ulicy ciągnął sznur eleganckich limuzyn. Wysiadały z nich piękne dziewczęta w jedwabnych sukniach i przystojni mężczyźni w białych frakach.

Powitanie trwało prawie godzinę i Harry odetchnął z ulgą, gdy odjechał ostatni samochód. Wreszcie mógł rozpocząć przyjęcie.

Jeszcze raz spojrzął na zgromadzonych ludzi i nagle zobaczył Francie. Szybko zakryła twarz kapeluszem i odwróciła się, ale był pewien, że to ona. Przez moment stał jak skamieniały. Potem zbiegł szybko po schodach, ale dziewczyna zniknęła w tłumie.

Zaglądał w twarze gapiów, którzy zastanawiali się, co go tak zaniepokoiło. Może zaraz wydarzy się jakaś nowa sensacja. Ale Harry opanował się i wzruszył ramionami. Zapewne pomylił się, po prostu wmówił sobie, że to idealny dzień na powrót marnotrawnej siostry. Oszalał chyba, przecież dziewczyna nawet nie przypominała zbyt mocno Francie, miała tylko takie same blond włosy i błękitne oczy... te głębokie, szafirowobłękitne oczy. Poczuł dreszcz. Francie nie żyje i należy mieć tylko nadzieję, że jej prochy dawno już rozwiały wiatr na cztery strony świata. Dzisiaj jest jego święto i nie pozwoli na to, aby zepsuł je jakiś błahy incydent.

Francie przycupnęła za jedną z kolumn przed hotelem Fairmont pewna, że Harry zaraz chwyci ją za kark. Już niemal słyszała jego triumfalne słowa: „Nareszcie, Francesco!” Czuła skórzane rzemienie zaciskające się wokół płóciennego kaftana.

Przecież ojciec groził, że zamknie ją w zakładzie dla obłąkanych. Przez moment rozszalała wyobraźnia podsunęła wizję celi z zakratowanym oknem. Serce biło jej jak szalone, ciało przenikały dreszcze i z trudem łapała oddech.

- Wszystko w porządku, panienko? - rozległ się czyjś zatroskany głos.

Przerażona obejrzała się. Ale na szczęście to był tylko portier z hotelu Fairmont...

- Dziękuję panu, wszystko w porządku - odparła wystraszona. - Na chwilę zrobiło mi się słabo.

Portier przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Nie wyglądała zbyt dobrze, zbladła jak kreda, a w oczach malował się paniczny lęk. Zgodnie z przepisami kobiecie nie wolno stać w wejściu do hotelu, ale to była wyjątkowo piękna, dobrze ubrana dama.

- Czy zawołać taksówkę, proszę pani? - zapytał. Francie z wdzięcznością przytaknęła i obdarowała go sutym napiwkami, gdy pomógł jej wsiąść do samochodu.

Kiedy przejeżdżali obok rezydencji Harrisonów, skuliła się w ciemnym wnętrzu pojazdu. Już zamknięto ogromne drzwi z brązu, które ozdobiłyby nawet katedrę, ale Uczni gapie wpatrywali się w oświetlone okna i nasłuchiwali muzyki.

Francie przeklinała swoją lekkomyślność. Harry ją rozpoznał i na pewno nie spocznie, aż ją odnajdzie.

Zamieszkała teraz w pensjonacie Annie Aysgarth. W małym mieszkaniu na piętrze.

Wbiegła szybko na górę do pokoju Olliego. Czteroletni synek spał spokojnie, przytulony do pluszowego tygrysa. Nocna lampka rzucała łagodne światło na jasną główkę i długie, pięknie wywinęte rzęsy. Z rękami złożonymi na piersiach patrzyła na małego. Powtarzała sobie, że nie jest już bezbronną dziewczynką, lecz dorosłą kobietą, ma przyjaciół, którzy ją kochają, i dziecko, potrzebujące matczynej troski i miłości. Harry nie może zamknąć jej w zakładzie dla obłąkanych. Była niezależna, miała własne pieniądze. Brat nic jej nie zrobi. Ale wciąż czuła nękający niepokój, którego nie stłumiły racjonalne argumenty.

- Zupełnie jak za dobrych, starych czasów, Harry - powiedziała pani Brice Leland tańcząc pierwszego walca. - Pomyśl tylko, jakże dumny byłby dzisiaj twój ojciec.

To taki sukces, że odbudowałeś wspaniały dom. I nie wątpię, że po ukończeniu studiów w Princeton zasiądziesz w radzie nadzorczej banku.

- Już zająłem miejsce ojca, proszę pani - odparł z uśmiechem. - Zarządzam wszystkimi jego bankami. Uważałem to za swój obowiązek.

Pani Leland ze zrozumieniem skinęła głową.

- Widzę, że młodość idzie w parze z rozważą - dodała z aprobatą.

Harry tańczył kolejno ze wszystkimi szacownymi matronami, zniewalając je uroczym uśmiechem, potem zaś tańczył z każdą z zaproszonych dziewcząt. Niektóre były piękne, inne ładne, a jeszcze inne atrakcyjne, lecz żadna nie była brzydka.

Harry nie znosił towarzystwa nieładnych kobiet. Ale wszystkie były za młode dla niego. Wolał rudowłose dojrzałe damy o obiecujących spojrzeniach, gdyż wiedziały, czego mu potrzeba. Panny co prawda patrzyły uwodzicielsko, lecz czyste i niewinne, pachniały perfumami, a nie seksem. Poza tym potrzebowały męża, nie kochanka.

Harry świetnie się bawił. Jedzenie było znakomite, szampan w wybornym gatunku, a salę rozjaśniały tysiące świec migających w ogromnych żyrandolach. Podobała mu się muzyka cygańskiej orkiestry, klejnoty i arystokratyczne nazwiska zaproszonych dam. Tak będzie zawsze na balach u Harrisonów, obiecał sobie. Ale po wyjściu ostatniego gościa czekała największa atrakcja.

Zaprosił kilku młodych przyjaciół z uniwersytetu, przystojnych, z pieniędzmi, które wydawali lekką ręką. Teraz popijali whisky w bibliotece i wymieniali uwagi na temat balu i dziewcząt. Wreszcie pojawił się Harry i klasnął w dłonie.

- Mam dla was niespodziankę - oświadczył. - Proszę za mną, panowie.

Harry usiadł za kierownicą dużego de Courmonta. Jechał szybko wzdłuż California Street. Wypite koniak i whisky dodawały mu animuszu, gdy z impetem zakręcał w wąskich uliczkach Dzielnicy Chińskiej. Śmiał się hałaśliwie na widok wystraszonych Chińczyków, którzy uskakiwali spod kół. Zatrzymał się w słabo oświetlonej alejce przed polakierowanymi na czerwono drzwiami z małą żelazną kratą pośrodku. Nad wejściem lampa oświetlała podniecone twarze młodych mężczyzn. Nagle uchyliła się klapka w kracie i wąskie, skośne oczy badawczo przyjrzały się oczekującemu. Potem otworzono drzwi na oścież i młodzieńcy weszli do środka.

Zbici w gromadkę z lękiem rozglądali się po mrocznym pokoju. Kilku Chińczyków leżało na czerwonych dywanach paląc długie fajki. Zapach tytoniu mieszał się z ostrą wonią kadzidła i słodkimi oparami opium. Harry, z błyszczącymi z podniecenia oczami, zwrócił się do przyjaciół.

- Oto niespodzianka - oświadczył, gdy jeden z Chińczyków klaskaniem przywoływał dziewczęta. - To mój prezent urodzinowy dla was. Wiele słyszałem o chińskich kobietach i teraz przekonamy się, czy to prawda.

Roześmiali się głośno, strach zniknął bez śladu. Panienki były ładne, ubrane w obcisłe satynowe kimona rozcięte do pasa. Długie miękkie i lśniące włosy opadały im na plecy. Spoglądały figlarnie i zapraszająco migdałowymi oczami z uwodzicielskim uśmiechem rozchyłały pomalowane na szkarłatno usta. Złożywszy dłonie kłaniały się, gdy je przedstawiano. Harry wybrał najwyższą z prowokacyjnie wysuniętymi pośladkami i z wyzywającym spojrzeniem. Chwytał ją za ramię. „Ta jest moja” - rzucił w stronę przyjaciół.

Dziewczyna pociągnęła go do malutkiej izdebki. Pośrodku stał pokryty brokatową narzutą tapczan, obok rzeźbione drewniane krzesło i flaszka ryżowego wina na niskim stole. Lampa z czerwonym kloszem napelniała pokój niesamowitym blaskiem, a wino paliło jak ogień.

Dziewczyna powiesiła jego marynarkę na oparciu krzesła. Rozwiązała mu krawat, zdjęła buty, potem popatrzyła długo i przeciągle w oczy. Powoli rozpięła kimono ukazując nagie ciało. Wiedziała, jak sprawić przyjemność takiemu mężczyźnie.

Pieściła go, rozkosznie podniecając, a Harry pragnął, by trwało to jak najdłużej.

Kiedy odprężony leżał na tapczanie, przyniosła naczynie ciepłej, pachnącej wody i umyła jego ciało. Potem na małej maszynie spirytusowej rozgrzewała ziarna opium. Podała mu fajkę.

- To najlepsze i najdroższe chińskie opium, panie. Maki ścinano o świcie, wtedy płynię w nich najwięcej soków.

Położyła się obok Harry'ego i pokazała mu, jak palić fajkę. Wdychała głęboko dym i jak najdłużej trzymała w płucach.

- Spróbuj, panie - kusila uśmiechem. - Tylko spróbuj.

Wypalili wspólnie jedną fajkę, potem drugą, a później dziewczyna znowu pochyliła się nad Harrym. Pragnął, aby ta noc nigdy się nie skończyła.

Rano przebudził się w swojej wspaniałej rezydencji. Zapomniał już zupełnie o Francie, a gdyby ktoś mu o niej wspomniał, uznalby, że cała historia po prostu się mu przyśniła.

Samotnie jadł śniadanie w ogromnej jadalni. Przyjaciele jeszcze spali. Po wczorajszym balu nie zostało już ani śladu, jedynie bukiet pąsowych róż w wazonie pośrodku stołu. Na twarzy Harry'ego również nie było żadnych oznak nocnych szaleństw. Wyglądał świeżo i niewinnie jak dziecko. Z ogromnym apetytem pochłaniał smażone jajka z ostro przyprawionymi cynaderkami oraz grzanki, przerzucając poranne gazety.

Z radością patrzył na fotografie swego pięknego domu i bogato ubranych, uśmiechniętych gości. Oto i on na szczycie schodów wyłożonych czerwonym dywanem, a poniżej lśniące limuzyny. Nad zdjęciem krzyczący nagłówek:

„HARRISONOWIE POWRÓCILI”.

Dziennikarz pisał o ojcu i jego tragicznej śmierci. Ale wszystko wskazuje na to, że Harry Harrison zamierza powtórzyć sukces ojca, zarówno w interesach, jak i w towarzystwie. Już za rok po ukończeniu Princeton junior stanie na czele rodzinnego, wielomilionowego imperium. Oto zdjęcie młodego człowieka, przed którym otwiera się wspaniała kariera. Ma wszystko, czego można oczekiwać od losu: młodość, urodę, pieniądze i zapewniony sukces. Czegóż więcej pragnąć?

Harry uśmiechał się z satysfakcją sącząc kawę. Nagle zauważył na nieco zamazanej fotografii w San Francisco swoją siostrę Francie. Kapelusze miała głęboko nasunięty na oczy, ale przysięgłby, że to ona.

Gwałtownie odsunął krzesło i przeszedł do gabinetu. Zadzwoił do redakcji z żądaniem, aby natychmiast przesłano mu odbitkę zdjęcia. Potem siedział przy biurku, z dłońmi zaciśniętymi na drewnianym blacie i zastanawiał się, co powinien teraz uczynić.

Przypomniiał sobie wieczór, gdy wrócili z ojcem z opery. W holu czekał detektyw o czerwonej twarzy, który przyniósł wiadomości o siostrze i jej kochanku. Harrison chciał wtedy zabić córkę, a Harry dosłownie wyrwał mu broń z ręki. Teraz zrozumiał, co ojciec czuł wówczas, gdyż sam pragnął jej śmierci.

Wstał i nerwowym krokiem przechadzał się po gabinecie. Wszyscy zakładali, że Francie nie żyje, uznano ją za zaginioną, nikt nawet nie próbowałby jej szukać.

Pomyślał o domu publicznym w Dzielnicy Chińskiej, który podlegał jednemu z gangów. Na pewno mają powiązania z płatnymi mordercami. Może znajdą mu właściwego człowieka.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Frederics niosąc kopertę na srebrnej tacy.

- Z redakcji, proszę pana - oznajmił. Harry niecierpliwie chwycił kopertę i odprawił lokaja.

Wpatrywał się w zdjęcie. Znał twarz siostry równie dobrze jak swoją. To były jej usta, włosy i te szafirowe oczy, których spojrzenie napotkał na jedną krótką chwilę.

Powtórnie tego ranka podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do szefa policji i zapytał o godną zaufania agencję detektywistyczną.

- To drobna sprawa zabezpieczenia banku - łąał jak z nut. Po paru minutach podano mu nazwisko i numer telefonu. Pół godziny później wysoki, siwowłosy Irlandczyk otrzymał poufną misję odnalezienia Francie Harrison.

- Proszę od razu zabrać się do pracy - rzucił niecierpliwie Harry. - Ma pan czterdzieści osiem godzin.

Rozdział 24

Pensjonat Aysgarth mieścił się w wysokim budynku, z oknami na południową stronę - Union Square. Dolne kondygnacje zbudowano z czerwonej cegły, a górne z pomalowanego na biało drewna. W długich oknach lśniły zielone żaluzje, drzwi frontowe ozdabiała błyszcząca mosiężna kołatka, a obok wejścia wisiał napis: Brak wolnych miejsc.

Co najmniej z czterech powodów pensjonat był tak popularny. Po pierwsze, był idealnie czysty, pachniał lawendą i woskiem do podłóg, a nie mydłem ługowym i środkiem odkażającym. Po drugie, przypominał prawdziwy dom. W holu stały głębokie klubowe fotele, w których wygodnie siedziało się z gazetą. W sypialniach była zawsze świeża, pachnąca i śnieżnobiała pościel. Po trzecie, w pensjonacie założono nowoczesny, jak na owe czasy, system kanalizacyjny, a w pokojach nigdy nie brakowało gorącej wody. W chłodne wieczory w kominku zawsze palił się jasny ogień. A czwarty i najważniejszy powód to wspinała kuchnia Annie Aysgarth.

- Smaczniejsze niż w domu - pensjonariusze chwalili najslawniejsze potrawy Annie. Należały do nich ragout cielęcy w ziołowym, aromatycznym sosie i z piezonymi na złoty brąz kartofelkami, pieczony kurczak ze świeżym zielonym groszkiem, przybrany sałatą i krążkami cebulki. Nie wspominając o pieczeni i prawdziwym puddingu Yorkshire z najłżejszego ciasta. Na pytanie, jak przyrządza pudding, Annie zawsze odpowiadała, że trzeba wziąć dwa jajka (a nie jedno), zwykłą mąkę, mleko i szczyptę soli. Rozrobione ciasto wylać na rozgrzany tłuszcz i wstawić na krótko do gorącego pieca, aby wyrosło leciutkie jak puch. Podawać od razu z dodatkiem jedwabistego, cebulowego sosu.

Jednak najwspanialszym przysmakiem był pudding z chleba i masła. Kromki domowego chleba, posmarowane masłem, obtoczone w jajkach ubitych z odrobiną mleka, posypane cukrem, złocistą wanilią i nasączone w koniaku z rodzynkami, piekły się

czterdzieści pięć minut. Z pieca Annie wyjmowała prawdziwy poemat, kruchy i złocisty.

- Powinna pani otworzyć restaurację - powtarzali stali bywalcy, klepiąc się po zaokrąglonych brzuskach. Ale ona miała większe ambicje. Po czterech latach prowadzenia pensjonatu na dwadzieścia osób czuła, że poradziłyby sobie z hotelem dla dwustu gości.

- Oczywiście zatrudniłabym pracowników - zwierzała się przy porannej filiżance herbaty. - Strasznie chciałabym spróbować, Francie!

Z przyjemnością patrzyła na jej jasną główkę pochyloną nad gazetą. Nie była już tym chudym, zagłodzonym stworzeniem, które pamiętała z pierwszego spotkania.

Miała teraz piękną, pełną figurę i poruszała się z wdziękiem. Annie z żalem pomyślała, że przyjaciółka tak piękna i jeszcze młoda nie interesowała się mężczyznami, choć ci podziwiali ją i na pewno mogłaby wyjść za mąż. Ale ona całą miłość skupiała na synku.

Nagle, jakby na zawołanie, do kuchni wbiegł czteroletni urwis z burzą jasnych włosów na głowie. Od razu wdrapał się Annie na kolana.

- Czy dasz mi herbatnika, Annie - oplótł jej szyję ramionkami i uśmiechał się szelmowsko.

Tak słodko spoglądał wielkimi szarymi oczami, niezwykle przypominającymi Joshua, że serce Annie miękło jak wosk. Ale nie ugięła się.

- Nie „dasz”, tylko „poproszę”, mój mały. Nie, teraz możesz zjeść jabłko.

Przytulił się mocniej.

- Dlaczego jesteś taka uparta, Annie? J a chcę ciastko.

- Dostaniesz z mlekiem na podwieczorek - obiecała. - A kiedyś, już jako dorosły mężczyzna, popatrzysz w lustro na swoje piękne, zdrowe zęby i będziesz wdzięczny cioci Annie, że nie dawała ci ciastek za każdym razem, gdy o nie prosiłeś.

Ollie z westchnieniem uznał, że został pokonany. Annie ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę - była tak zaabsorbowana lekturą, że nawet nie zwróciła uwagi na syna. Zazwyczaj nie spuszczała z niego wzroku. Myślami była chyba całe mile stąd...

- Założę się, że nie słyszałaś nawet jednego mojego słowa! - krzyknęła Annie. - Cóż takiego nadzwyczajnego czytasz? - Francie wystraszona podała jej gazetę.

Na dwóch kolumnach umieszczono zdjęcia z przyjęcia u Harri-sonów. Trzecią zajmowały szczegółowe opisy gości, wspaniałych dekoracji z kwiatów, wykwintnego jedzenia i trunków, które podawali na srebrnych tacach lokaje w liberiach i białych rękawiczkach. Nad fotografią rezydencji Harrisonów widniał napis: Jak Feniks z popiołów. W szeroko otwartych drzwiach stał Harry w białym fraku i witał gości. Najwspanialsze przyjęcie roku...

Annie szybko spojrzała na przyjaciółkę.

- Poszłaś tam wczoraj, prawda? - zapytała ze współczuciem w głosie.

Francie przytaknęła.

- Najgorsze, że widziałam Harry'ego.

- Cóż, wrócił do miasta. I tak, prędzej czy później, spotkalibyście się, chociażby na ulicy.

- Nie rozumiesz. On mnie zauważył. Patrzyliśmy na siebie.

- Może nie poznał cię po tylu latach.

- O, to teraz upewni się całkowicie - wskazała na swoją twarz w tłumie gapiów, widoczną na fotografii.

- No tak - przyznała Annie już mniej pewnym głosem. - Ale ciągle nie wiem, czego tak się obawiasz. Jesteś teraz dorosłą kobietą, a nie bezradną dziewczynką. Nie rozumiem doprawdy, co Harry mógłby ci zrobić.

Francie jednak wyglądała na wylęknioną.

- Znam go. Nigdy nie ujął się za mną przed ojcem, tylko patrzył na mnie z pogardą. Wielki dziedzic fortuny Harrisonów. Zawsze chciał we wszystkim przypominać ojca i udało mu się to - odziedziczył nawet nienawiść do mnie. Ma pieniądze, wpływy i wykorzysta je, żeby mnie zniszczyć. Annie przeraziła się nie na żarty.

- Co zamierzasz zrobić?

Francie wstała energicznie, obciążając spódnicę. Poglaskała małego Olliego po jasnej główce.

- Idę do Lai Tsina - oświadczyła.

Jego biuro mieściło się na tyłach wielkiej hurtowni na wybrzeżu. Było tam bardzo czysto i niesłychanie skromnie. Na półkach stały podręczne książki i katalogi, na tablicy informacyjnej widniały daty comiesięcznych przyływów, obok wisiała mapa świata, na której Lai Tsin zaznaczył trasy statków, wiozących jego towary.

W wielkim sejfie żelaznym, do którego klucz miał tylko on, leżały rejestry wszystkich transakcji handlowych, rachunki, pokaźna gotówka oraz drewniane pudełko z najcenniejszymi skarbami: czarnym, jedwabistym warkoczykiem i wyblakłą sepiową fotografią dziewczyny z wachlarzem.

Lai Tsin siedział za biurkiem i podliczał długie kolumny cyfr na drewnianych liczydłach. W pokoju stały jeszcze dwa proste drewniane krzesła, mały piecyk, w którym rzadko palił się ogień, bo Lai Tsin nigdy prawie nie odczuwał chłodu, i wąski drewniany ołtarzyk z pięknymi dżadeitowymi statuetkami bogini miłosierdzia i patronki dobrego losu.

Widoczna za oknem hurtownia przypominała wewnątrz ponurą jaskinię, a kryła najróżniejsze towary wartości setek tysięcy dolarów: jedwabie, malowane parawany, dywany, zabytkową porcelanę ze wszystkich krajów Azji i wiele artykułów domowego użytku. W drugim magazynie stały tylko ogromne drewniane skrzynie z herbatą wszystkich możliwych gatunków i zapachów. Lai Tsin zaciągnął kredyt u

przewodniczącego starszyny chińskiej i osiągnął już tysiąckrotny zysk.

Działał anonimowo, ponieważ oficjalną właścicielką spółki była Francie. To on właśnie, wracając z podróży na Wschód, zatrzymał się na Hawajach i kupił za grosze zbankrutowaną plantację ananasów. Potem założył tam fabrykę przetworów i szybko zarobił duże pieniądze. W San Francisco zaopatrywał okręty i wkrótce pokonał konkurencję. Zainwestował też w przedziałnię dywanów w Hongkongu, w farmy jedwabników w Chinach i hodowlę owiec w Australii. Namówił wielu kupców z Los Angeles i San Francisco, aby zatrudnili go jako agenta. Organizował duże załadunki i dzięki temu obniżyły się koszty przewozu. Zatrudnił też agentów, którzy wyszukiwali dla niego towary szczególnie poszukiwane przez klientów. I wreszcie opanował w dużym stopniu rynek herbaciany w San Francisco, sprowadził nowe, delikatne w smaku gatunki, zaspokajając gusty odbiorców. W oczach ziomków był człowiekiem sukcesu. Stał się bogaczem, Ale czuł, że stać go na więcej.

Osiągnął pewien poziom, z którego należało piąć się w górę, by nie spaść w dół.

Podniósł głowę na dźwięk pukania do drzwi. Na widok Francie uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie potrzebuję cię teraz - powiedział i podsunął jej krzesło. Szybko zauważył jednak, że stało się coś złego. Francie była dziwnie nieswoja. - Zimno ci?

Zaprzeczyła. Nie zwlekając opowiedziała całą historię o Harrym, swojej wyprawie do rezydencji i zdjęciach w gazecie. Brat nie zostawi jej w spokoju, gdy dowie się, że ona żyje.

Lai Tsin milczał dłuższą chwilę. Wiedziała, że tylko on udzieli jej dobrej rady.

Czekała więc cierpliwie. Wreszcie odezwał się, ważąc słowa.

- Harry zobaczy zdjęcie i zacznie cię szukać. Nie masz jeszcze chyba dosyć siły, aby stanąć z nim twarzą w twarz. Musisz wyjechać z San Francisco, Francie.

Wrócisz, gdy Harry znuży się poszukiwaniami i zapomni o tobie.

- Pojadę na ranczo - przerwała żywo. - Ollie je uwielbia. Lai Tsin potrząsnął głową.

- Harry może przypomnieć sobie o ranczo i znajdzie cię tam. Nie, pojedziesz do Chin.

Rozdział 25

Harry rzucił na biurko raport detektywa i podszedł do okna. Gdzieś w tłumie, w jednym z rozlicznych zakamarków tego miasta, ukryła się jego siostra. Ale ten głupiec nie potrafił jej znaleźć!

Zirytowany i przygnębiony krążył niespokojnie po pokoju. Właściwie powinien wrócić na wiosenny semestr do Princeton, ale nie miał na to najmniejszej ochoty.

Miał dosyć college'u, San Francisco i myślenia o przeklętej siostrze.

Potrzebował odmiany. Pragnął kobiet, wina i dobrej zabawy. Zawsze błyskawicznie realizował swoje pomysły. Szybko wbiegł na górę, przeskakując po kilka stopni na raz i kazał lokajowi pakować rzeczy.

- Jadę do Paryża - oznajmił.

Zatelefonował do Bucka Wingate'a i poprosił, aby towarzyszył mu w podróży. Potem zamówił dwa najlepsze apartamenty na statku odpływającym wkrótce do Francji i polecił, aby jego prywatny wagon kolejowy przyłączono do pociągu ekspresowego, jadącego do Nowego Jorku.

Buck Wingate był o trzy lata starszy od Harry'ego. Wysoki, smukły i wysportowany, cieszył się dużą popularnością wśród kolegów i dziewcząt. Nad poważnymi, brązowymi oczami wiły się niesforne ciemne włosy. Ukończył studia w Princeton i właśnie praktykował w kancelarii prawniczej swego ojca, w Sacramento. Zamierzał studiować na Harvardzie, a potem zająć się polityką, Buck był doskonale zorganizowanym młodym człowiekiem. Pływał, uprawiał wioślarstwo, świetnie grał w polo i golfa, ale z największą pasją podróżował własnym morskim jachtem Betsy Bee, zakotwiczonym na stałe w Newport, gdzie Wingate'owie mieli letni dom. Nie zachwyciła go szczególnie perspektywa wspólnego wyjazdu. Ale ojciec nalegał, aby pojechał i miał na oku młodego Harrisona. Jason Wingate już od lat prowadził interesy Harrisonów, a po tragicznej śmierci Harmona starał się opiekować jego synem. Buck miewał w związku z tym spore nieprzyjemności. Kilkakrotnie ratował Harry'ego z opresji, gdy ten popadał w kolizję z prawem. Ostatnio zdarzyło się to podczas nalotu policji na znany w Nowym Jorku dom publiczny, gdzie Harry był stałym bywalcem. „To tylko szaleństwa młodości”, tłumaczył policjantom Buck. Ale Jason Wingate martwił się naprawdę, ponieważ Harry zaniedbywał studia.

- Wezmę urlop z Princeton - oświadczył Harry koledze. - Muszę przyzwyczać się do śmierci ojca i sam ze sobą dojść do ładu. Buck spojrział zdziwiony. Od śmierci Harmona Harrisona minęło pięć lat i wcale nie zauważył u Harry'ego oznak szczególnego żalu. Ale milczał. Posłusznie spakował się i dołączył do niego na pokładzie Normandii.

Ilekróć później wspominał tę podróż, przyznawał, że instynkt go nie mylił: to nie była wyprawa w jego stylu. Harry zachowywał się jak arogancki złoty młodzieniec, służących traktował jak niewolników i szastał pieniędzmi, jakby koniecznie chciał się ich pozbyć - Buck już kilkakrotnie wyjeżdżał do Europy, wiedział, co chciałby ponownie zwiedzić: wille Palladio we Włoszech, Wenecję w świetle księżyca, zamki nad Renem i góry w Bawarii, piękny Paryż z romantycznymi mostami nad Sekwaną i wspaniałe zabytki Luwru. Ale Harry myślał tylko o zabawie.

Nalegał, aby zatrzymywali się w najlepszych hotelach. Całe dni przesypiał i nie uczestniczył w wycieczkach turystycznych. Ze wszystkich uroków Europy interesowały go tylko kobiety. Jadał w najmodniejszych restauracjach, pił najstarszego szampana i chadzał do najbardziej wyszukanych burdeli.

Kupił pół tuzina samochodów, a od angielskiego magnata herbacianego ogromny jacht, który wyposażył i obsadził stałą.

czterdziestoosobową załogą. Posyłał diamentowe bransoletki pięknym kobietom, a sobolowe futra tym, które okazały mu swoje względy.

Buck nie był pruderyjny, ale na wyczyny Harry'ego patrzył z niesmakiem. Poza Buckiem niewiele osób wiedziało o słabości Harry'ego do opium. Był na tyle mądry, że nie zdradzał się przed nikim - Czasami po prostu znikał na całą noc, ale zawsze pojawiał się następnego popołudnia, świeżo ogolony, nienagannie ubrany i z jasnym, przejrzystym wzrokiem. Cokolwiek i z kimkolwiek robił, pozostało tajemnicą.

Wingate'owie, podobnie jak Harrisonowie, mieli pieniądze już od trzech pokoleń.

Posiadali rezydencję w San Francisco, mieszkanie w Nowym Jorku i letni dom w Newport, gdzie spędzali sezon żeglarski. Żyli dostatnio, ale Buck nigdy przedtem nie widział, aby ktoś tak szastał pieniędzmi, jak Harry. Po kilku tygodniach miał dosyć. Zatelegraował do ojca, że wraca, i zostawił kolegę na pastwę zgubnych nałogów.

Pozostawiony sam sobie, Harry ze znudzoną miną zaszedł do baru Ritza i od razu znalazł nowe towarzystwo: grupę młodych Anglików, którzy postanowili spędzić w Paryżu tydzień pełen wrażeń. Czuł się trochę nieswojo bez Bucka, więc z entuzjazmem przyjął zaproszenie lorda Morgana Tilmarsha do złożenia wizyty w posiadłości Tilmarsh Hall.

Wokół imponującej starej rezydencji było kilkaset akrów wspaniałych terenów myśliwskich. Harry'ego powitał lokaj w znoszonej, ciemnobłękitnej liberii.

- Państwo Morgan piją herbatę w małym salonie, sir. Będzie pan łaskaw za mną.

Był pod wrażeniem wielkiego, ciemnego holu, czterokrotnie większego niż w jego domu. Na ogromnym kominku płonął ogień, ale kamienne ściany kryły chłód stuleci.

Wszędzie wisiały wspaniałe myśliwskie trofea, ogromne poroża jeleni. Mały salon zagracono starymi meblami. Pół tuzina psów wylegiwało się na sofach i przed kominkiem, a gdy lokaj wprowadził Harry'ego, omal nie przewróciły go na podłogę.

- As, Rex, Smarty, siad! Zachowujcie się przyzwoicie! Harry usłyszał uroczy głos kobiecy z pięknym angielskim centem.

- Przepraszam pana bardzo. Obawiam się, że psy są dzisiaj bardzo podniecone, gdyż zabraliśmy je na polowanie.

Podniósł głowę i zobaczył przed sobą najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

- Luisa Tilmarsch - z uśmiechem wyciągnęła rękę.

Harry ujął jej dłoń i stało się to, o czym na ogół czyta się tylko w romansach:

pragnął, aby ta chwila trwała wiecznie. Nie mógł oderwać oczu od cudnej twarzy i jasnych, kryształowych oczu.

- Harry Harrison - przedstawił się. - W Paryżu poznałem pani brata, Morgana.

Morganowi właśnie udało się wstać z głębokiej sofy i podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Cieszę się, że pan przyjechał - powiedział ciepło. - W sam raz na herbatę.

- Dopiero wróciliśmy z całodziennego polowania - oświadczyła Louisa podając Harry'emu filiżankę herbaty i srebrny półmisek z gorącymi placuszkami z masłem.

- Czy pan poluje?

- Nie, ale z chęcią spróbuję. Odchyliła głowę do tyłu.

- W takim razie szybko rozpoczniemy naukę. Jutro poszukamy odpowiedniego konia i zabiorę pana na przejażdżkę. Najpierw trzeba poczuć strzemię pod stopą.

Harry wprost pożerał ją wzrokiem. Długie, miedzianozłociste włosy opadały na ramiona, a niesforne loczki wiły się wokół oczu. Miała tę wspaniałą, świeżą, angielską cerę. Spodnie do jazdy konnej opinały drobne pośladki niczym druga skóra. Wyglądała diabelnie podniecająco w wysokich, czarnych, skórzanych butach i męskiej koszuli z białego jedwabiu.

Przy obiedzie natomiast zobaczył zupełnie inne wcielenie Louisy w długiej, aksamitnej, zielonej sukni z trenem i z gardenią w upiętych wysoko włosach.

- To z naszych szklarni - powiedziała, gdy Harry zachwycił się zapachem.

Lord i lady Tilmarsch należeli do nieco zubożałej, starej angielskiej arystokracji. Ale przyjęli Harry'ego serdecznie i życzliwie spoglądali na jego coraz żywsze zainteresowanie Louisa. Jednak - zgodnie z etykietą - po tygodniu musiał wyjechać. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji w jego życiu.

„To wprost niesamowite”, powtarzał Buckowi po przyjeździe do Nowego Jorku.

„Nawet jej nie pocałowałem, a działa na mnie, jak żadna inna kobieta”.

Nie mógł usiedzieć na miejscu. Zapomniał o Princeton i tak często przemierzał Atlantyk, że znali go stewardzi na wszystkich prawie liniowcach. Louisa była niedostępna, cały czas trzymała go na dystans i Harry, przyzwyczajony do tego, że nigdy na nic nie czekał, wił się z wściekłości. W dniu dwudziestych pierwszych urodzin wyglądała tak bosko i seksownie w bryczesach, długich butach i czarnym meloniku, że Harry chwycił ją w ramiona i ucałował. Pachniała słodko Mitsuko i doprowadzała go do szaleństwa. Wiedział jednak, że nie ma szansy na romans, poprosił więc Louise o rękę.

Ślub Harry'ego Harrisona i Louisy Tilmarsch był niewątpliwie towarzyskim wydarzeniem roku 1912. Ceremonia odbyła się w opactwie Świętej Małgorzaty z udziałem księżnej, dwóch hrabiów, wielu lordów i setek innych dostojnych gości.

Louisa wyglądała po królewsku w białej, prostej, satynowej sukni, a gwardia królewska przed kościołem, ubrana w stroje z różową barwą myśliwską, utworzyła dla młodej pary łuk triumfalny ze wzniesionych ponad głowami biczów. Potem odbyło się przyjęcie u Ritza, z udziałem orkiestry na trzydzieści instrumentów, ogromnym tortem i taką ilością szampana, że piwnice hotelowe opróżniono chyba całkowicie! Za wszystko płacił Harry, ponieważ w rodzie Tilmarschów od kilku pokoleń nie było gotówki.

- Wszystko wydajemy na konie - oświadczyła Louisa z dumą. - Mamy najlepsze konie irlandzkie pełnej krwi.

Pierwszą noc miodowego miesiąca spędzili w Ritzu. Louisa wykąpała się i przebrała w białą, prostą nocną koszulę. Wyciągnęła się na łóżku tuż obok Harry'ego i ziewnęła rozkosznie.

- Jestem zmęczona jak pies po polowaniu - oświadczyła, przytuliła twarz do poduszki i natychmiast zasnęła.

Harry osłupiał. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Małżonka zasnęła w noc poślubną, gdy on nie mógł się doczekać, aby ją przytulić. Ogarnęła go złość. Wstał i podszedł do drzwi. Wychodząc, jeszcze z nadzieją spojrzął na łóżko, ale Louisa spała jak zabita, lekko pochrapując. Tak więc noc poślubną spędził w Soho, szukając kobiety gotowej obdarzyć go względami.

W południe następnego dnia płynęli już jachtem Harry'ego w dół Tamizy. A wieczorem, jeszcze przed kolacją, ofiarował Louisie futro z soboli ze szmaragdowymi guzikami.

- To wspaniałe, kochanie - zarzuciła futro na ramiona i przytuliła miękkie, puszyste kołnierze do policzka. - Po prostu boskie.

Harry zazwyczaj nie dawał kobietom takich prezentów przed otrzymaniem bardziej konkretnych dowodów miłości, ale tym razem odniósł sukces. Louisa poddała się.

Wieczorem spacerował po pokładzie, dając jej czas na wieczorną toaletę.

Wreszcie, znecierpliwiony, wrócił do kajuty z butelką zmrożonego szampana w ręku.

Siedziała na łóżku, w białej satynowej lizesce i patrzyła na niego pięknymi, szarymi oczami.

- Jestem gotowa, kochanie - powiedziała spokojnie.

- Nie chciałem cię przynaglać - wyciągnął w jej stronę kieliszek szampana.

- Nie, dziękuję - powiedziała stanowczo. - Muszę być zupełnie trzeźwa, żeby wiedzieć, co robić.

Popatrzył na nią zaskoczony. Czy to nie dziwne, że w takiej chwili jego młoda żona wcale nie pragnie stracić głowy?

- Przypuszczam, że to przypomina polowanie - wyjaśniła. - Trzeba uważać, gdy pokonuje się przeszkody.

Po chwili Harry znalazł się przy niej. Louisa leżała spokojnie, kiedy obejmował ją, obsypywał pocałunkami jej ciało, pieścił. Zesztywniała, poczuwszy jego usta na piersiach i brzuchu. Zastygła w przerażeniu, gdy wędrował dłonią między udami.

Harry skonsumował tej nocy swoje małżeństwo, ale po upływie kilku miesięcy, sfrustrowany, zdał sobie sprawę, że dla Louisy seks to nudny obowiązek, który wykonywała jedynie ze względu na ewentualne dzieci. Ale nawet one ustąpiłyby miejsca w jej sercu koniom i polowaniu. Błąd Harry'ego polegał na tym, że uwierzył, iż temperament Louisy jest równie gorący jak jej myśliwskie pasje.

Tymczasem ona mówiła i myślała wyłącznie o koniach. Harry dziwił się nawet, że w łóżku pachnie Mitsuko, a nie stajnią.

W końcu powiedział jej, że jeżeli kiedykolwiek nauczy się ujeżdżać mężczyznę, tak jak konie, może zdoła utrzymać męża. Ale to nie będzie on.

Złatwił sprawę po angielsku. Zaaranżował noc miłosną z ładną kobietą w hotelu w Brighton, którą sownie opłacił. Louisa przedstawiła konieczne dowody zyczliwemu sędziemu i uzyskała rozwód. Harry zaś wrócił do San Francisco, tylko o rok starszy i o kilka milionów dolarów uboższy.

Rozdział 26

Francie nie przypuszczała nawet, że może się zakochać na pokładzie S/S Orient w drodze do Hongkongu. Tak naprawdę, to na początku nie była wcale pewna, czy to jest miłość. Mówiła sobie, że to zwykły flirt, taka przypadłość morską, na którą zapadają niekiedy pasażerowie liniowców w czasie długich rejsów. A może po prostu Edward Stratton był niezwykle miłym człowiekiem, który dotrzymywał towarzystwa samotnie podróżującej kobiecie.

Ale wszystko miało się dopiero wydarzyć. Na razie Francie, oparta o burtę, patrzyła na znikające za horyzontem San Francisco. Łzy cisnęły się jej do oczu, ilekroć pomyślała o Ollim, pozostawionym pod opieką Annie. Rozstali się pierwszy raz i Francie bardzo boleśnie to przeżywała.

Stojący obok mężczyzna odezwał się ze współczuciem:

- Za późno, żeby zawrócić. - Otarłszy łzy spojrziała na niego. Wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę i podał jej z uśmiechem. - Przed nami są Hawaje, a dalej Chiny. Trzeba cieszyć się podróżą.

Francie skinęła głową, z zainteresowaniem patrząc na towarzysza podróży. Był to pewny siebie, przystojny mężczyzna średniego wzrostu, z ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Miał bujne czarne brwi i jasnoniebieskie, szczere oczy. Mówił z nienagannym angielskim akcentem.

- Edward Stratton - przedstawił się, podając jej rękę.

- Francesca Harrison - zdobyła się na uśmiech. - Przepraszam za moje zachowanie. Zazwyczaj nie płaczę, kiedy ktoś mnie widzi.

- Rozstania są zawsze trudne - lekko wzruszył ramionami.

- W każdym razie dziękuję za pomoc - skłoniła głowę i przeszła na tę część pokładu, którą chroniły przed wiatrem przeszkłone drzwi. Odwróciła się jeszcze na chwilę. Stratton, oparty o burtę, patrzył na nią. Podniósł dłoń w pożegnalnym geście.

S/S Orient należał do statków luksusowych. Pasażerami byli w większości businessmeni i dyplomaci powracający do Szanghaju, plantatorzy herbaty w drodze do Colombo oraz pracownicy wytwórni kauczuku, udający się do Manili i Penang.

Kajuta Francie była bardzo elegancka, wyłożona orzechowym drzewem i miękkimi dywanami. Mosiężne okucia w drzwiach lśniły w zachodzącym słońcu. Ogromne, wygodne łóżko przykryte jedwabną, morelową kapą umieszczono pośrodku. Wszędzie stały kwiaty, a wśród nich najmiłsze, oczywiście, fiołki od Olliego. Pokojówka już rozpakowała kufry i całe pomieszczenie od razu wydało się bardziej swojskie.

Przed podróżą Annie zaciągnęła ją do najmodniejszego w San Francisco sklepu z damską konfekcją.

- Przecież nie możesz wybrać się w podróż dookoła świata bez porządnych sukienek - perswadowała.

Teraz Francie była jej wdzięczna. Do kolacji założyła prostą, ciemnozieloną welwetową suknię, dwoma ozdobnymi grzebieniami upięła włosy w węzeł na karku, a w skórę za uszami wtarła parę kropel jaśminowych perfum.

Nerwowo obracała złotą obrączkę na palcu. Postanowiła, że ze względu na Olliego powinna występować jako wdowa, pani Harrison. To nie było zupełnym kłamstwem, tłumaczyła Annie, gdyby Josh żył, pobraliby się na pewno.

Ale idąc błękitnym korytarzem wzdłuż rzędu kajut do sali jadalnej, nie myślała o Joshu. Kelner zaprowadził ją do stolika. Usiadła, uśmiechnęła się do współpasażerów i poszukała wzrokiem Edwarda Strattona. Siedział przy stoliku kapitana, wyglądał bardzo przystojnie w czarnym aksamitnym smokingu. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę - Francie zaczerwieniła się i spuściła oczy.

Zaraz po kolacji wróciła do kajuty, trzymając się mocno relingu, gdyż spore fale kołysały statkiem. Już w łóżku wdychała rozkoszny zapach fiołków od Olliego rozmyślając o... Edwardzie Strattonie i długiej podróży. Zapomniała zupełnie o Lai Tsinie, Hongkongu i interesach, którymi będzie musiała się tam zająć.

Rano wybrała się na spacer po pokładzie. Wiał silny wiatr, statek kołysał się na wzburzonym aż po horyzont morzu. Chwyciła się relingu. Wiatr rozwiewał jasne włosy, które niesfornie wyrywały się spod kapelusza.

Edward Stratton obserwował ją z uśmiechem na twarzy. Francie śmiała się i walcząc z wichrem, zmierzała w jego stronę.

- Obawiam się, że nieźle nas pobuja! - zawołał, usiłując przekrzyczeć szum fal.

- Myśli pan, że będzie jeszcze gorzej?

Stratton spojrzał na niebo, po którym płynęły szybko ciemnoszare chmury.

- Ciśnienie spada, wkrótce będzie deszcz i silna wichura. Obawiam się, że niewielu gości zejdzie dzisiaj na obiad.

Francie czuła dziwną radość i podniecenie na myśl o nadchodzącym sztormie.

- To wspaniałe, morze, niebo i wiatr. Mam wrażenie, jakbym na nowo się narodziła.

Niebo błyskawicznie pociemniało. Woda przybrała ołowianą barwę i wiatr smagał przenikliwym chłodem. Schronili się do środka.

- Zapewne nie grywa pani w pokera? - zapytał Stratton. - Tej umiejętności dobrze wychowane młode damy nie zdobywają na pensji.

Francie potrząsnęła tylko głową. Pomyślała jednak z goryczą, że wyobrażenie Strattona o jej wychowaniu bardzo odbiega od rzeczywistości. Ale dzisiaj nic nie wydawało jej się tak naprawdę realne. Tysiące mil dzielące ją od domu sprawiły, że zapomniała o wszystkich smutkach.

- Sądzę, że mogłabym spróbować. Nie wiem tylko, czy okażę się wystarczająco pojętną uczennicą.

- Zobaczmy - Stratton rzucił jej lekko wyzywające spojrzenie. Weszli do sali bilardowej. Przy zielonych stołach było prawie pusto. - Widzi pani, miałem rację. Pasażerowie już się wykruszają.

- Ale nie my - roześmiała się. Potasował i rozdał karty. Francie patrzyła na jego dłonie, mocne, silne, prawie kwadratowe. Wskazywały na pewność siebie, jaka emanowała z całej postaci.

Nie grali zbyt długo w pokera, ale za to partner opowiedział jej o sobie.

Właściwie nazywał się lord Edward Stratton. Odziedziczył tytuł jako piętnastolatek. Wówczas uczęszczał do szkoły w Eton. Teraz miał czterdzieści dwa lata i od pięciu był wdowcem. Żona, Mary, zostawiła mu troje dzieci w wieku od siedmiu do czternastu lat. Posiadał duży dom przy Chester Square, w modnej dzielnicy londyńskiej Belgravia, i rezydencję rodową w Strattons, w pobliżu Iverness, na odległym krańcu północnej Szkocji. Przez posiadłość przepływała rzeka, w której łowiło się najlepsze pstrągi w całym hrabstwie. Z okien domostwa rozciągały się najpiękniejsze w całej Europie widoki. Francie wysłuchiwała historii z zainteresowaniem, ale nie opowiedziała nic o sobie. Nie wiedziała, co wolno jej powiedzieć.

- Czy zobaczymy się przy kolacji? - w głosie Strattona wyczuwało się niepokój.

Przytaknęła i szybko wyszła z salonu, by nie zauważył jej rumieńca.

W kabinie opanowały ją niespokojne myśli. Co w ogóle o swoim życiu mogła powiedzieć takiemu człowiekowi, jak Stratton? Bezprawnie występowała jako wdowa, pani Harrison. Gotowa była się założyć, że gdyby znał prawdę, nie chciałby z nią rozmawiać. Powtórzyła sobie chyba ze sto razy, że powinna zjeść kolację w kabinie. Raz po raz zerknęła na zegar. Wskazówki nieubłaganie zbliżały się do ósmej. Wreszcie za piętnaście ósma dała za wygraną. Założyła jedwabną błękitną bluzkę z głębokim dekoltem i obcisłymi rękawami. We włosy, upięte w lśniący węzeł, wpięła kremową różę. Jeszcze tylko jaśminowe perfumy i mogła przejrzeć się w lustrze. Nikt chyba nie powie, że stroi się dla niego. Cała toaleta zabrała jej raptem dziesięć minut, a błękitny jedwab wyglądał bardzo dystyngowanie - zupełnie odpowiednio dla młodej kobiety podróżującej w interesach. Francie owinęła się koronkowym szalem i poszła na kolację.

Po drodze nie spotkała nikogo. W jadalni było zaledwie sześciu gości, sami mężczyźni, którzy siedzieli przy stoliku kapitana. Kapitan Laird wstał, przywitał ją i zaprosił do swojego stolika.

- Będziemy szczęśliwi, jeśli zechce pani dotrzymać nam towarzystwa. Będzie pani prawdziwą ozdobą naszego grona.

Tego wieczoru sala wyglądała dziwnie pusto i obco. Ze stołów zebrano szkło i sztućce, aby nie spadały na podłogę w czasie kołysania statku. Ale stolik kapitana nakryty był tak pięknie jak zwykle. Kapitan posadził Francie po swojej prawej stronie, a Edwarda Strattona tuż obok niej.

- Bałem się, że pani nie przyjdzie - szepnął z szerokim uśmiechem.

- Mało brakowało - odparła wesoło. Stratton jednak nigdy nie dowiedział się, że nie myślała o burzy.

Kapitan Laird popatrzył na nich mądrymi, dobrymi oczami. Dowodził tym statkiem od dwudziestu lat i widział już niejednego romans. Znał wszystkie spojrzenia i uśmiechy, które zwiastowały nadchodzące niebezpieczeństwo. Miał nadzieję, że ta śliczna młoda pani Harrison wie, co robi. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że Edward Stratton to gentleman. Kapitan Laird uznał, że może być spokojny.

Francie czuła się świetnie. Piła szampana małymi łyżkami i próbowała kawioru. Z szeroko otwartymi oczami słuchała opowieści kapitana o sztormach, które przeżył w czasie licznych rejsów, historii francuskiego dyplomaty, o skandalach politycznych w Szanghaju oraz najróżniejszych szachrajstwach przemysłowych w Hongkongu i Singapurze. Wszyscy rozmówcy uważali Francie jedynie za ozdobę, równie uroczą, jak róża w wazonie pośrodku stołu i równie, jak kwiaty, nieistotną dla przebiegu naprawdę ważnych spraw.

W pewnym momencie Edward Stratton zapytał:

- W jakim celu, jeśli wolno spytać, udaje się pani do Hongkongu?

Francie uśmiechnęła się niewinnie.

- Och, to nic wielkiego. Zamierzam kupić statek.

Przy stole zapadła cisza i sześć par męskich oczu patrzyło na Francie z niekłamanym zdumieniem.

- Statek, pani Harrison? - powtórzył uprzejmie kapitan Laird, pragnąc upewnić się, czy dobrze usłyszał.

- Tak, statek handlowy do przewozu towarów. - Spojrzała na zgromadzonych mężczyzn z uroczym uśmiechem.

- A czy mógłbym spytać, jakie to interesy pani prowadzi? - zapytał francuski dyplomata, który patrzył na nią z zachwytem i najwyraźniej był zdania, że tak piękne kobiety nie powinny zajmować się interesami. Każdy mężczyzna z radością dałby jej tyle pieniędzy, ile tylko zapragnie, by stać się właścicielem tych pięknych, szafirowych oczu.

- Moja spółka L. T. Francis zajmuje się eksportem towarów na Wschód, monsieur Delorges.

W oczach mężczyzn pojawiło się uznanie. Słyszeli o tej spółce, cieszącej się dobrą opinią.

- Moje gratulacje, madame - skłonił się Francuz. - Widzę, że wielkiej urodzie towarzyszy rozum. Niełatwo obecnie sprostać konkurencji.

- Muszę przyznać, że mam świetnego doradcę. - Francie spuściła oczy jak pensjonarka. - Mężczyznę.

Wszyscy się roześmiali. Odsunęła krzesło i wstała.

- To był wspaniały wieczór. Dziękuję panom za miłe towarzystwo. - Uśmiechnęła się jeszcze raz, zabrała ze stołu małą, jedwabną, wieczorową torebkę i wyszła z jadalni, pozostawiając za sobą smugę jaśminowego zapachu.

Edward Stratton nie spuszczał z niej wzroku. Gdyby był Francuzem, mógłby powiedzieć, że padł ofiarą coup defoudre, czyli po prostu przepadł z kretesem.

Bez pamięci zakochał się w pani Francesce Harrison.

Był oddanym mężem. Po śmierci żony na prawie dwa lata zamknął się w swoim szkockim zamku, sam na sam ze wspomnieniami. Wiedli spokojne, ustabilizowane życie. Nieuniknionej zmianie pór roku od lat towarzyszyły spotkania towarzyskie w gronie osób, które znali od dzieciństwa. Któż mógł przewidzieć, że nagła śmierć Mary przerwie ten ustalony porządek, w którym spodziewali się doczekać starości? Od wieków niewiele zmieniło się w rodzinie Strattonów. Życie płynęło bezpiecznie, bez wstrząsów i większych niespodzianek. I dlatego, zakochawszy się we Francie, Edward czuł, że traci stały grunt pod nogami.

W barze nad szklaneczką whisky zastanawiał się, czym właściwie tak go zafascynowała. Bezsprzecznie była niemal posagową pięknnością. Ale nie mógł zakwalifikować jej do żadnej znanej mu grupy kobiet. W jednej chwili patrzyła na niego nieśmiała i spłoszona, aby po sekundzie zmieniać się w pewną siebie kobietę interesu. Była damą, wdową, matką, ale zachowała wdzięk młodziutkiej dziewczyny. Chociaż rozmawiali często, zdradziła zaledwie kilka faktów ze swego życia. Była piękna, niezależna i nieuchwytna. Po prostu inna.

Edward dużo podróżował. Kilkakrotnie pływał dookoła świata na wielkich liniowcach oraz na jachtach. Znał niebezpieczeństwa i pokusy pokładowych romansów. Pomyślał o trójce swoich dzieci; zawsze był kochającym, pełnym poświęcenia ojcem, który ich dobro przedkładał ponad własne sprawy. Nigdy nie zdecydowałby się na małżeństwo z inną kobietą, gdyby dzieci tego nie zaakceptowały.

Uśmiechnął się do swoich myśli, patrząc na rozgwieżdżone niebo i przekornie wygięty rogalik księżyca. Ten sam księżyc świecił teraz nad oddalonym o siedem tysięcy mil zamkiem w Stratton. Ale właściwie, dlaczego dzieci miałyby nie pokochać Francie?

Rozpoczął się ostatni tydzień podróży. Wykorzysta każdą okazję do rozmowy z Francie. Wcześniej już zasugerował, że pokaże jej Hongkong, który dobrze znał.

Ale odrzuciła tę propozycję tak gwałtownie, aż czuł się zaskoczony. Miał bowiem wrażenie, że jest mu przychylna.

Długo nie mógł zasnąć tej nocy, próbując odgadnąć, co się stało. Wreszcie doszedł do wniosku, że Francie najprawdopodobniej przejęła się rolą kobiety interesu. Ale to na pewno dałoby się zmienić. Jeżeli partnerzy jej męża nie przejmą obowiązków, wówczas poszuka odpowiedniego człowieka, który pokieruje spółką. Wówczas Francie będzie mogła poświęcić czas jemu i dzieciom.

Ona również nie spała. W małej kabinie intensywnie pachniały kwiaty, przyniesione tego ranka przez stewarda. Wreszcie usiadła na łóżku i zapaliła lampę.

Chyba setny raz powtórzyła sobie, że dla Edwarda to zwykły flirt dla urozmaicenia długiej podróży. Poza tym tylko podczas rejsu mogła udawać wdowę.

Potem prawda wyszłaby na jaw i z pewnością nie spodobałaby się mu. Pomyślała z żalem, że z przyjemnością pozwoliłaby temu silnemu mężczyźnie pokierować swoim życiem. Ale potem przypomniała sobie, że Lai Tsin kazał jej nie poddawać się trudnościom. A tutaj zachowuje się jak mała, głupia kobietka, gotowa oddać niezależność za zachwycone męskie spojrzenie.

Zegar okrętowy wybił czwartą. Francie westchnęła. Bezsenna noc dłużyła się w nieskończoność. Wzbudzali powszechne zainteresowanie na statku. Przy obiedzie, albo spacerując z Edwardem po pokładzie, czuła ciekawe spojrzenia pasażerów.

Wiedziała, że nie może dopuścić do drugiego skandalu w swoim życiu. Postanowiła zachować większy dystans w stosunku do Strattona. Do końca rejsu będzie go unikać.

W ostatni wieczór przed przybiciem do portu w Hongkongu kapitan wydał galowe przyjęcie pożegnalne. Przez cały tydzień Francie prawie nie opuszczała kabiny.

Spacerowała jedynie wtedy, gdy miała pewność, że nie spotka Edwarda. Jadła w kabinie i większość czasu spędzała na lekturze powieści Dickensa, wypożyczonej z pokładowej biblioteki. Czytała bez końca tę samą stronę nic nie rozumiejąc.

Edward przysyłał jej tuziny listów, aż wreszcie odpisała, że jest zmęczona i dopiero w Hongkongu wyjdzie z kabiny.

Ale nie mogła odrzucić zaproszenia kapitana Lairda, który osobiście poprosił ją, aby na uroczystej kolacji usiadła przy kapitańskim stoliku. Na tę okazję założyła najpiękniejszą suknię z kremowego szyfonu, ozdobioną złotą koronką.

Spódnica falowała w rytm kroków. Zrezygnowała z biżuterii, jedynie we włosy wpięła dwie kremowe róże. Postanowiła, że z Edwardem pożegna się chłodno i obojętnie.

Salon przybrano białymi, błękitnymi i czerwonymi szarfami. Stewardzi w białych frakach serwowali szampana.

Usłyszała tubalny głos kapitana Lairda.

- Witam, pani Harrison. Brakowało nam pani. Szarmancko pocałował ją w rękę.

Francie uśmiechnęła się, szukając wzrokiem Edwarda, ale nie zauważyła go nigdzie. Usiadła więc obok francuskiego dyplomaty, który płynął aż do Szanghaju.

- Prawdziwe pożegnanie nastąpi jutro, gdy opuści nas najbardziej urocza pasażerka - powiedział. - Obawiam się, że bez pani towarzystwa zatoniemy wszyscy w ogromnej fali nudy.

Roześmiała się. Francuz był czarujący i z pewnością emablował wszystkie piękne kobiety na liniowcu. Ale dlaczego Edward nie przyszedł?

Rozzłościła się na dobre. Tyle czasu straciła niepotrzebnie, żeby pięknie wyglądać, a on wcale się nie pokazał! Nagle, tuż obok, usłyszała jego głos.

Przepraszał za spóźnienie.

- Francesca - powiedział niskim, ujmującym tonem. - Bardzo niepokoiłem się o panią.

- Zupełnie niepotrzebnie - odparła chłodno i odwróciła się w stronę kapitana Lairda.

Pożegnalny obiad ciągnął się w nieskończoność. Po deserze pożegnała się szybko i obojętnie spojrzawszy na posmutniałego Edwarda, wróciła do kabiny. Jednak nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wyszła na pokład.

Gdy znaleźli się na Morzu Południowochińskim, wszystkie sztormy zniknęły. Noc była spokojna i ciepła. Łagodny wiatr niósł od lądu ciężki zapach piżma. Na niebie iskrzyły się miliony złotych punkcików. W salonie kwartet skrzypcowy grał Mozarta.

Francie oparła się o burtę, wypatrując w ciemności zarysów lądu. Pomyślała, że tak oto pryska kolejne marzenie w jej życiu. Nagle usłyszała czyjeś kroki. Obok stanął Stratton.

- Pani mnie unika - powiedział cicho. Wzruszyła lekko ramionami.

- Dobijamy do brzegu. Chyba wtedy właśnie kończą się wszystkie flirty?

- Flirty? - w jego głosie zabrzmiała uraza. - Dla mnie to coś więcej. - Położył dłonie na jej ramionach. - Kocham panią, Francie. Proszę jechać ze mną. Pokażę pani Strattons. Wiem, że pani także pokocha to miejsce i nie odmówi mi.

Pocałował ją. Francie zamknęła oczy. Poczuła na twarzy szorstki podbródek i mocny, cytrusowy zapach wody kolońskiej. Tysiące drobnych dreszczy przebiegło jej ciało. Chciała przytulić się jeszcze mocniej, zanurzyć dłonie w jego włosach i trwać tak bez końca. Pragnęła Edwarda Strattona i jednocześnie wiedziała, że nigdy nie będzie go miała. To proste, ale przeraźliwie trudne do zniesienia.

- Muszę już iść. - Uwolniła się z uścisku.

- Proszę mi obiecać, że się jeszcze spotkamy - błagał cicho. - W Szanghaju spędzę dwa tygodnie, a potem przyjadę do Hongkongu.

- Może - rzuciła szybko, przez ramię i pobiegła do kajuty.

Rano S/S Orient zarzucił kotwicę w zatoce. Po pasażerów przyплыnęła elegancka biała łódź z hotelu Hongkong. Opuszczając statek Francie czuła na sobie spojrzenie Strattona. Obejrzała się. W białym garniturze z tropiku i szerokim kapeluszu stał na pokładzie. Żal ścisnął jej serce. Edward uniósł rękę w pożegnalnym geście. Francie pomachała mu dłonią. Potem spojrzała na Hongkong.

Tutaj czekało na nią prawdziwe życie.

Rozdział 27

Hotel Hongkong mieścił się u wylotu ocienionej drzewami Padder Street.

- Z okien rozciągała się szeroka panorama portu. Po prawej stronie ciągnęła się Praya, długa esplanada z imponującymi rezydencjami hongów, chińskich przedsiębiorców handlowych. Prawie na każdej powiewała dumnie flaga.

Przedsiębiorcy dysponowali własnymi motorówkami, gotowi w każdej chwili zawieźć jednego z potężnych taipanów na wpływające do portu statki. Nad ulicą górowała stu pięćdziesięciometrowa wieża z zegarem, z której mieszkańcy byli dumni, ale nigdy nie regulowali swoich zegarków według ogromnych wskazówek. Opowiadano, że klimat portowej dzielnicy nie służył skomplikowanym mechanizmom i dlatego zegar na wieży wciąż spieszył się albo spóźniał. W głębi, na stromych wzgórzach wokół białych, marmurowych willi zieleniły się sosny i drzewa eukaliptusowe. Błękitne wody zatoki roiły się od najróżniejszych statków. Były tam stare dżonki i olbrzymie białe parowce, obskurne sampany i eleganckie motorówki. Na nabrzeżu tłoczyli się kulisi, gotowi w każdej chwili pochwycić bagaż schodzących na ląd pasażerów i zanieść go do hotelu. A za nimi, jak zwykle niepozorny, stał Lai Tsin. W okrągłym jedwabnym kapeluszu i błękitnym kaftanie po raz pierwszy, odkąd Francie poznała go, pasował do otoczenia.

Skłonił się ze zwykłą sobie rezerwą, ale ciemne, uśmiechnięte oczy zdradzały radość ze spotkania. Lai Tsin odprowadził Francie do hotelu i zapowiedział, że wróci za godzinę.

Hotel Hongkong uważano za najlepszy na Dalekim Wschodzie, był to budynek w stylu kolonialnym, gdzie oferowano solidną obsługę ze wszystkimi ówczesnie dostępnymi wygodami. W apartamentach były łazienki i oświetlane lampami gazowymi sypialnie.

Z piętra na piętro kursowały windy hydrauliczne. Obok tradycyjnej restauracji działał także autentyczny grill- bar, w którym o każdej porze dnia serwowano porządny stek. Francie myślała o Annie i jej planach otwarcia własnego hotelu. Z pewnością urządziłaby wszystko lepiej, choć i tutaj nie narzekała na obsługę.

Bagaze rozpakowano, zanim dotarła do pokoju, na stole stały świeże kwiaty, nie brakowało pitnej wody w butelkach. Jedyne kłopot polegał na tym, że nie wpuszczano żadnych Chińczyków z wyjątkiem służby.

Kiedy Lai Tsin powiedział jej o tym, natychmiast chciała przenieść się do innego hotelu. „Nie wypada, żeby młoda biała kobieta mieszkała z Chińczykami” - stwierdził.

Czekał na nią przed hotelem w rykszy osłoniętej czarną budą. Szybko wyjechali z eleganckich ulic w zatłoczone, błotniste alejki wśród nędznych nabrzeżnych zabudowań. Rykszarz doskonale orientował się w tym labiryncie wąskich przesmyków za dokami. Wreszcie zatrzymał się przed szarym, drewnianym, obdrapanym budynkiem. I wtedy twarz Lai Tsina rozjaśniła się. Pomógł Francie wysiąść z rykszy.

- Chcę ci coś pokazać - rzekł z dumą, otwierając szeroko drzwi. - To nasz skład towarów w Hongkongu. Miałem szczęście, że udało mi się znaleźć magazyn.

Większość terenów nabrzeżnych należy do dużych spółek handlowych. Kupiłem go na twoje nazwisko. Musisz tylko podpisać papiery.

Francie popatrzyła na dokumenty pokryte drobnym, chińskim Pismem.

- To dopiero początek - ciągnął podekscytowany. - Wielcy businessmeni natychmiast by nas zniszczyli, gdybyśmy próbowali z nimi rywalizować. Przetrywamy wyłącznie jako mała spółka, obierzemy okruchy, po które im nie oplaca się nawet schylić. Może ci się wydaje, że ten obskurny budynek nie jest wart spółki T. i Francis. Ale zapamiętaj: z małych wyrastają ogromne fortuny Trzeba tylko działać wytrwale i dyskretnie. Pewnego dnia nasi wielcy rywale będą zdumieni, że staliśmy się tak potężni. I pokonamy ich.

Francie patrzyła na niepozorną postać przyjaciela. Był taki drobny i kruchy. Na wystających kościach policzkowych napinała się cienka jak pergamin skóra. Ale z jarzących się nowym blaskiem migdałowych oczu biły siła i mądrość. Przez Lai Tsina przemawiało doświadczenie pokoleń, które bieda i wieczna poniewierka nauczyły wytrwałości.

Weszli do pustego jeszcze, zakurzonego pomieszczenia. Przez pękniętą szybę w wysokim oknie przebijał nieśmiały promień światła.

- Kiedy przyjedziesz tu następnym razem, półki zapełnią się towarami - obiecał Lai Tsin.

Na nabrzeżu wrzała nieustanna praca. Obnażeni do pasa kulisi dźwigali ładunki nieraz dwukrotnie cięższe od nich samych. Stojąc w długim rzędzie przekazywali sobie pudła z towarem z brzegu aż na małe barki, które zawoziły je na statki handlowe. Pot spływał im po plecach, zalewał oczy, ale nie mieli nawet czasu, by go otrzeć.

Francie obserwowała ich z ciekawością, ale nie zauważyła, że jeden z kulisów przerwał pracę. Intensywnie wpatrywał się w nią i Lai Tsina. Nie spostrzegła też, że powoli skradał się do nich, ukryty za stosami towarów.

Był krępy i przeraźliwie chudy. Brudną, mokrą od potu twarz przecinała głęboka zmarszczka nadając mu ponury wygląd. Przesłonił się szerokim rondem słomianego kapelusza. Ciemne grube włosy, wygolone z przodu, a z tyłu związane w tradycyjny chiński warkocz, opadały na nagi kark. Ubrany był w tanie, czarne bawełniane spodnie, jakie nosili inni kulisi. Skórę miał opaloną na ciemnożółty kolor i tylko oczy zdradzały, że nie jest Chińczykiem.

Te pełne bólu i nienawiści oczy należały do Sammy'ego Morrisa, który teraz nie spuszczał wzroku z Francie, jakby obawiał się, że to tylko sen i że znajoma sylwetka rozplynie się zaraz we mgle.

Jeżeli modlił się o cokolwiek, to właśnie o to, aby spotkać jeszcze Francie. Był pewien, że umrze, gdy wrzucono go, na wpół żywego, pod śmierdzący pokład chińskiego klipera. Chciał zginąć - po cóż miałby żyć? Aby znosić ten straszliwy ból, rozrywający jego trawiące ciało? Żyć ze świadomością, że już nigdy nie ujrzy Tosha? Patrzeć na szczury zwabione zapachem krwi, które chodziły po bosych stopach i czekały niecierpliwie, żeby wgryźć się w martwe ciało? Kiedy przynoszono mu ryż i wodę, pytał na pół przytomnie, dlaczego w ogóle zajmują się nim.

- Masz żyć - odpowiadało. - Takie są instrukcje. - A zatem, potwornie okaleczonego i pragnącego śmierci zmuszono do przetrwania. Żył więc w upokorzeniu, nędzy i rozpacz.

Raczej wegetował, pracując ponad siły za marne zarobki, wystarczające jedynie na dwie miseczki ryżu dziennie. Nocował w obskurnej komórce, o wymiarach sześć na dziewięć stóp, oddzielonej cienkim przepierzeniem od tuzina innych. Na dzień wynajmowano tę klitkę innemu kulisowi, który pracował na nocną zmianę.

Wiele razy myślał o samobójstwie. Mógł wypalić mocną fajkę opium, wspiać się na skałę w porcie i skoczyć w otchłań albo kupić w chińskiej aptece zioła, które należało wypić w odpowiedniej dawce, by przenieść się na lepszy ze światów. Ale nie zdecydował się na ten ostateczny krok. Przy życiu utrzymywało go pragnienie zemsty na Francesce Harrison. Chciał, żeby cierpiała tak jak on i Josh. Przez nią przeżył sześć lat prawdziwego piekła. Popelniła wielki błąd, że nie kazała go zabić. Po latach tułaczki dotarł wreszcie do Hongkongu. A teraz los ofiarowywał mu taką szansę.

Wyglądała pięknie i elegancko, a jednocześnie wyniośle, niczym królowa wśród poddanych. Nienawiść i gorycz gwałtowną falą podplynęły mu do gardła. Nie zważając na gniewne pokrzykiwania nadzorcy, podążył za Francie i jej towarzyszem. Widział, jak wsiedli do rykszy. Ruszył za nimi w głąb ruchliwej ulicy, trzymając się w bezpiecznej odległości, by go nie zauważyli.

Praca kulisa hartowała, więc mimo odniesionych ran i wiecznie obolałego od dźwigania karku, zdołał dobiec aż do hotelu. Potem czał się w tłumie, przelewającym się ulicą niczym wezbrana rzeka, i patrzył, jak Francie znika za drzwiami.

Zamyślony wracał do swojej nędznej, rojącej się od szczurów nory. W stoisku na rogu ulicy kupił miskę gorącego ryżu z jarzynami. Oparł się o ścianę i jadł, a niespokojne myśli kłębiły się w głowie. Dopiero opium, które wypalił leżąc na macie w cuchnącej klitce, rozjaśniło mu umysł. Już wiedział, co uczyni. Ze wszystkich sił postara się dopaść Francie, a później sprawi, aby cierpiała tak jak on. Okaże jednak więcej litości i zabije ją.

Przez pierwszy miesiąc pobytu Francie w Hongkongu wszystko układało się pomyślnie. Lai Tsin znalazł i zakupił odpowiedni statek, co prawda odrapany, pokryty rdzą i niezbyt szybki, ale nie wymagał większego remontu. Szybko zatrudnili amerykańskiego kapitana i chińską załogę. Teraz statek czekał w porcie na pierwszy ładunek. I z tym właśnie były kłopoty.

Jakoś nie spadały okruchy ze stołów bogatych przedsiębiorców, na co tak liczył Lai Tsin. Wielcy businessmeni oświadczyli wyniośle, że nie będą handlować z Chińczykami. Wtedy Francie wybrała się na rozmowę do jednego z taipanów. Ten jednak wydelegował dyrektora, który przyjął ją uprzejmie, poczęstował szklaneczką sherry i słodkimi ciasteczkami, po czym dał grzecznie do zrozumienia, że w Hongkongu nikt nie prowadzi interesów z kobietami. Francie wstała, fuknęła, że jeszcze tego pożałują, i wyszła z dumnie podniesioną głową.

Ale animusz opuścił ją tuż za drzwiami. Nie wiedziała, co robić. Przedostanie się do wielkich karteli handlowych, zazdrośnie strzegących swoich interesów, było niemożliwością.

Starannie wysprzątnany magazyn oczekiwał na bele jedwabiu i bawełny, skrzynie z herbatą i przyprawami, cenne dywany i porcelanę. Ale półki wciąż jeszcze świeciły pustkami. Lai Tsin też nic nie wskórał w czasie poufnych rozmów z przedstawicielami hongów. Nadrabiając miną, powtarzał, że zapełni statek własnymi towarami, ale Francie wiedziała, że to oznacza brak zysku. Dręczyło ją przykre uczucie, że zawiodła Lai Tsina.

Po powrocie z nieudanych negocjacji odebrała z recepcji list od Edwarda Strattona. „Zatrzymałem się w hotelu Government. Czy okaże pani odrobinę względów biednemu podróżnikowi i zje z nim obiad?” - pisał. Omal nie podskoczyła z radości, chociaż zaraz skarciła się za ten brak subordynacji. Nie powinna spotykać się Strattonem. Jej życie było zbyt skomplikowane, zawile, pełne trudnych do wytłumaczenia zdarzeń. On zaś kroczył przed siebie prosto i bez wahań. Nie, nie pasowali do siebie. Byli jak ogień i woda. Jednak na sam widok zapisanej przez niego kartki poczuła nagłe bicie serca i nieprzewartą chęć spotkania. Wiedziała, że nie odmówi. To byłoby ponad jej siły.

Boy hotelowy zaniósł Strattonowi odpowiedź. Nieoczekiwanie do pokoju Francie wkroczyła pokojówka z ogromnym bukietem wysokich, kremowych róż i krótkim liścikiem. „Pamiętam panią z takimi różami we włosach. Ale żadna nie dorównywała pani urodą”.

Francie była już gotowa o pół do siódmej. Założyła swą piękną, jedwabną, błękitną suknię i wpięła we włosy kremową różę.

Nerwowo spacerowała po pokoju w oczekiwaniu, aż zegar wybije siódmą trzydzieści.

Wzięła z toaletki koronkowy szal, ostatni raz spojrzała w lustro i zeszła do windy. Przysięgła sobie solennie, że spotka się z Edwardem tylko ten jeden, jedyny raz.

Szedł ku niej z wyciągniętymi rękami i z tym samym ujmującym uśmiechem, który tak utkwiał jej w pamięci.

- Wygląda pani tak samo jak podczas pierwszego spotkania - Ujął jej dłonie i podniósł do ust.

Szybko cofnęła ręce i dotknęła róży we włosach.

- To dzięki kwiatom - powiedziała. - Pamiętał pan o różach. Wsiedli do rykszy, która osłaniała ich przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Francie czuła jego ramię niebezpiecznie blisko.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Zabieram panią do mojej ulubionej restauracji - odparł łagodnie.

Dojechali do małego doku, gdzie czekał już sampan. Spojrzała pytająco na Strattona, ale on uśmiechnął się tylko.

Nad zatoką zachodziło ogromne, krwistoczerwone słońce. Na tym tle wyraźnie rysowały się sylwetki czarnych dżonek pod pełnymi żaglami. Przy wiosłach w sampanie siedziała stara kobieta, która zadziwiająco zręcznie manewrowała łodzią. Kilkakrotnie spojrzała na Francie z aprobatą, odsłaniając w uśmiechu bezzębne dziaśła. Wreszcie powiedziała coś po kantońsku i dotknęła sękatą, chropowatą dłonią swego zapadniętego policzka.

Edward roześmiał i wręczył jej suty napiwek. Dopłynęli do sporej dżonki, z której opuszczono schodki.

- Co ona powiedziała? - zapytała Francie, patrząc na odpływający sampan.

- Stwierdziła, że kobieta tego barbarzyńskiego pana jest bardzo piękna, ale za silna dla niego - wyjaśnił rozbawiony.

- Obawiam się, że tym razem nie zgadła - smutny uśmiech pojawił się na ustach Francie.

- O, myli się pani. Ona nie zgadywała. - Edward pomógł jej wejść na pokład dżonki, gdzie kilkunastu kulisów w białych kaftanach i czarnych spodniach gięło się w ukłonach.
- Ci ludzie umieją czytać z twarzy równie dobrze, jak my z książki.

Chińska dżonka pachniała smołą, linami i solą. Poszli w stronę steru, gdzie przy niskim, polakierowanym na czerwono stole, przygotowano dla nich siedzenia. Na drewnianym pokładzie leżały grube, miękkie dywany i jedwabne poduszki. Wokół mosiężnych figurek bogiń morza paliły się kadzidła. Czerwona markiza chroniła ich przed ostatnimi promieniami słońca, a jedwabne zasłony przed wieczornym wiatrem.

Kulisi krząpali się na pokładzie. Kilku wspięło się na chybotliwe, smukłe maszty, inni wyciągnęli kotwicę. Francie usiadła i w milczeniu podziwiała morze.

Mijali maleńkie zielone wysepki, ozdobione białymi kopułami świątyń. Słońce zniknęło, pozostawiając tylko różową smugę na królewskim, błękitnym niebie.

Nadbiegło dwóch młodych Chińczyków. Jeden zapalił latarnie, zawieszane na maszcie, drugi postawił przed Edwardem kubełek z lodem i butelkę szampana.

Stratton podał Francie kryształowy kieliszek.

- Za nasze spotkanie! Nie umiem wprost wyrazić swego szczęścia.

Ocean szumił łagodnie jak strumień, a ciepły wiatr wydymał żagle. Niebo przybrało barwę atramentową. Francie pomyślała, że lampy są niepotrzebne, bo na pokład padało światło tysięcy gwiazd.

Potem pojawiło się z pół tuzina Chińczyków z tacami pełnymi potraw. Obiad był znakomity.

- Może to nasze przeznaczenie, żebyśmy spędzili życie na statkach - powiedziała Francie rozmarzonym głosem. - Liniowce, dżonki, statki handlowe... zawsze w podróży, na morzach i oceanach...

- Czy tego właśnie pani pragnie? - zapytał Edward, pochylając się w jej stronę.

Potrząsnęła głową. Siedzieli bardzo blisko siebie. Francie czuła na sobie jego palący wzrok, widziała granatowe cienie w oczach. Usługujący Chińczyk dyskretnie uprzątnął ze stołu i zaciągnął czerwone jedwabne zasłony.

Stratton pocałował ją. Zapragnęła go tak, jak nigdy przedtem żadnego mężczyzny.

Kiedy przytulał ją Josh, pragnęła opieki i pocieszenia. Teraz odczuwała coś zupełnie innego. Jakaś nowa, przemożna siła pchała ją w ramiona Edwarda.

Ostatkiem silnej woli wyzwoliła się z objęć, usiadła i zwinęła luźno rozpuszczone włosy w węzeł.

Edward był człowiekiem starej daty. Ukłakł i ujął jej dłoń.

- Czy zechcesz wyjść za mnie za mąż, Francesco? Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Nagła fala radości wypełniła jej serce. Pragnęła przyjąć tę propozycję, wreszcie zaznać prawdziwego szczęścia. Ale wiedziała, że to niemożliwe.

- Ja... ja nie mogę - szepnęła. - Znamy się tak krótko... Nic pan o mnie nie wie...

- To żadna przeszkoda. Przyjedzie pani do Szkocji, zamieszka w Stratton, pozna moje dzieci. Proszę zabrać ze sobą syna, wówczas wszyscy się poznamy. Niech pani powie: tak. Żadna kobieta do tej pory tak mną nie zawładnęła, nawet Mary, którą znałem od dzieciństwa. Ale pani jest inna - ucałował jej dłoń - - Mój los jest w pani rękach, Francie. Proszę nie odmawiać.

Czuła lekki zamęt w głowie, nie potrafiła myśleć logicznie.

- Nie mogę w tej chwili odpowiedzieć - odparła słabym głosem. - Może kiedyś odwiedzę Stratton.

Edward westchnął. To już coś.

- Proszę pamiętać: nie zrezygnuję, aż uzyskam pani zgodę - zapewnił.

Rozdział 28

W ostatnich latach Lai Tsin wielokrotnie wracał do Nanking i za każdym razem starał się odnaleźć drogę, wiodącą z nabrzeża portowego na plac, gdzie handlowano żywym towarem. Ale zawsze gubił się w labiryncie uliczek.

Powtarzał sobie, że te poszukiwania nie mają sensu, że nigdy nie spotka tamtego człowieka, a dzięki temu umrze niewinniejszy o grzech. Bo gdyby go spotkał, na pewno by go zabił.

Często przyjeżdżał do Chin, lecz pochłonięty bez reszty interesami, nigdy nie znalazł czasu, aby odwiedzić rodzinną wioskę nad brzegami rzeki Ta Chiang. Tym razem czuł, że nie może już odkładać tej podróży. Musi pojechać tam i rozprawić się z nękającymi jego duszę demonami. Jeżeli tego nie uczyni, będą prześladować go do końca życia.

Długą drogę w górę rzeki na starym, zniszczonym parowcu wypełniły wspomnienia.

Lai Tsin, wsparty o burtę, patrzył na nabrzeżne pejzaże. Na przymglone krajobrazy nakładały się chwilami sceny z tamtej koszarnej podróży sprzed lat.

Parowiec zatrzymywał się w Wohulu. Lai Tsin wysiadł i wynajął małą dżonkę, którą popłynął do rodzinnej wioski. Tuż przed końcem podróży wszedł do kabiny i przebrał się w nowy, jedwabny, haftowany kaftan. Założył też nowy jedwabny kapelusz z cennym W dżadeitowym guzikiem pośrodku i skórzane buty. Musiał przecież wyglądać jak człowiek, któremu się powiodło, który daleko za sobą pozostawił pola ryżowe i nędzną lepiankę.

Na brzegu zebrał się mały tłumek. Nędznie ubrani wieśniacy i ciekawością patrzyli na przybysza w tak eleganckim stroju, zastanawiając się, czego szuka w ich ubogiej wiosce. Niektórzy kłaniali się, gdy schodził po pomoście. Wreszcie stanął na rodzinnej ziemi. Lai Tsin nie patrzył na wieśniaków, tylko sypnął w ich kierunku gradem drobnych monet. Potem odwrócił się i poszukał wzrokiem ścieżki wiodącej do domu. Słyszał krzyki i kłótnie biedaków, którzy rzucili się na pieniądze. Ścieżka nie zmieniła się od dnia, gdy mały Lai Tsin wraz z siostrą gnali do rzeki wystraszone stado białych kaczek, aby wysłać je na rzeź do Nanking.

Nad żółtą, popękaną od gorąca gliniastą dróżką unosiły się tumany kurzu. Ścieżka wiodła przez zielone pola ryżowe. Jak za jego lat dziecińczych, pracowały tam dzieci. Brnęły przez błoto za bawołem, dźwigając ciężkie kosze z sadzonkami.

Zapewne modliły się po cichu o dobre zbiory.

Lai Tsin poszedł najpierw do lasu fung-shui na skraju wioski, gdzie przed wielu laty rzucono psom na pożarcie ciało jego ukochanego braciszka Chena. Nigdy nie zapomni tej straszliwej nocy. Pamiętał nawet, pod którym drzewem położono Chena.

Ukląkł tam teraz i pokłonił się nisko bogom, prosząc o łaskę dla duszyczki małego brata. Co prawda ojciec twierdził wtedy, że mały Chen nie ma jeszcze duszy, ale Lai Tsin był pewien, że to nieprawda.

Po dłuższej chwili opuścił zagajnik i skierował się do wioski. Tutaj także nie zauważył zmian. Na zarośniętym trzciną stawie pływały białe kaczki, których pilnował jakiś mężczyzna. Lai Tsin spojrzał na niego, ale to nie był jego ojciec. Nie znał tego człowieka. Zresztą, pomyślał, minęło już wiele lat, a ojciec z pewnością od dawna nie żyje.

Rodzinna wioska Lai Tsina nie różniła się niczym od tysięcy podobnych nad brzegami rzeki Jangcy. Niskie chaty z żółtej wypalanej gliny wyrastały na płaskim terenie. Ale Lai Tsin znał tutaj każdą piędź ziemi. Odnajdywał znajome kształty: pokrzywioną dziwacznie wierzbę, wioskową świątynię, którą niegdyś pomalowano na czerwono, a teraz miała barwę spłowiałobrazową. Wokół domów kręciły się wychudzone psy, szukając resztek jedzenia. Dzieci w zniszczonych kaftanach po starszym rodzeństwie bawiły się przed drzwiami domostw. W nędznych sklepikach sprzedawano maleńkie porcje mięsa, przyprawy, kadzidła i węgiel drzewny. Wiele chat było pustych. Gliniane ściany, które niegdyś otaczały wioskę, rozpadały się ze starości.

Kilku nędznie ubranych wieśniaków zebrało się na małym rynku, patrząc nieufnie na nieznanego. Czegóż taki bogacz szuka w ich wiosce?

Dom ojca, Ke Chungfena, znajdował się na skraju wioski. Lai Tsin mimowolnie zwolnił kroku. Przed wejściem małe dziecko bawiło się w błocie. Z chaty dochodziły odgłosy kłótni. Nasłuchiwał. To nie mógł być ojciec, ale głos przypominał do złudzenia starego. Ten sam rozkazujący, nieprzyjemny ton, okrutne słowa, brutalne groźby. Podeszedł do uchylonych drzwi i zawołał:

- Ke Chungfen! - Głucha cisza. Po dłuższej chwili rozległy się słowa:

- Ke Chungfen odszedł do swych przodków wiele lat temu. Kto pyta o niego?

- Syn konkubiny Lilin. Lai Tsin - spokojnie odpowiedział. Drzwi otworzyły się z hukiem. Pojawił się w nich syn Ke Chungfena z pierwszego małżeństwa. Był uderzająco podobny do ojca - z taką samą wulgarną twarzą z małymi, chytrymi oczkami, wykrzywioną teraz w fałszywym uśmiechu. Nędzną odzież pokrywały łaty. Wzdłuż ciała zwisały ręce zgrubiałe od ciężkiej pracy w polu. Błyskawicznie otaksował wzrokiem dostatni wygląd Lai Tsina.

- Witam cię, kuzynie - w chińskich rodzinach konkubiny zwyczajowo nazywano ciotkami, ich dzieci zaś kuzynami. - Ciekawe, co sprowadza cię do domu po tylu latach. - Cofnął się o krok i szerokim gestem zaprosił go do środka. - Witaj w naszych niskich progach - powtórzył. Żonie kazał zaparzyć herbatę. Zwracał się do niej szorstko, burkliwie. - Widzę, że daleko zaszedłeś w świecie, Lai Tsin - ciągnął. - Co prawda źle postąpiłeś uciekając z domu i zostawiając nas tu samych. Przez te wszystkie lata ciężko pracowaliśmy na dach nad głową i opiekowaliśmy się starym ojcem. Widzę, że wróciłeś teraz, aby nam to wynagrodzić.

- Nie wypiję z tobą herbaty, Starszy Bracie - odparł spokojnie Lai Tsin. - Nie będę też rozmawiał o moich sprawach. Przybyłem, aby prosić cię o pewną grzeczność, za którą dobrze zapłacę. Moja matka, konkubina Lilin, nie miała pogrzebu, jakiego oczekują dla niej przodkowie. Martwią się i są źli, ponieważ jej duch błąka się i dała od nich. Prosili mnie, abym wybudował świątynię, w której dusza Lilin połączy się z duszą jej syna, Małego Chena.

Chcę, aby na tej ziemi pamiętano o Lilin i jej duch w spokoju cieszył się ze spotkania z przodkami.

Wyjął z kieszeni skórzany portfel.

- Tu jest dość pieniędzy na zakup najlepszych materiałów i budowę. Znam się na tym, Starszy Bracie, więc mnie nie oszukasz. Już dawniej nabyłem kawałek ziemi na wzgórzu. Wrócę za sześć miesięcy i sprawdzę, czego dokonałeś. Jeżeli spiszesz się dobrze, wynagrodzę cię hojnie. I otrzymasz drobną sumę co rok na utrzymanie świątyni. Ale jeżeli mnie oszukasz, dopilnuję, żeby cię wygnano z wioski i rzucono na pożarcie psom jak mojego braciszka.

Starszy brat energicznie zaprzeczył. Z trudem wierzył swemu szczęściu.

- Ile mi zapłacisz, Ke Lai Tsin? - Bogactwo gościa sprawiło, że obdarzył go nawet nazwiskiem rodzowym Ke, zarezerwowanym wyłącznie dla dzieci z legalnych małżeństw.

Lai Tsin rozejrzał się po ubogim wnętrzu chaty, spojrzął na brata uśmiechającego się przymilnie. Przypomniawszy sobie lata, gdy sypiał obok matki na macie z trawy, kuląc się z zimna. W brzuchu burczało mu z głodu, a ręce i nogi bolały od całodziennej pracy w polu. Ke Chungfen i jego starsi synowie spali w drugim pomieszczeniu, gdzie palił się ogień, przykryci kołdrami, objedzeni ryżem i mięsem...

Rzucił na podłogę garść drobnych monet. Z pogardą patrzył na brata, który czołgał się na kolanach, chciwie zbierając pieniądze.

- Jesteś hojny - uśmiechnął się promiennie. Bezgłośnie przeliczał niespodziewaną zdobycz.

Lai Tsin potrzasał głową. Dobrze znał nędzę; wiedział, do czego zdolny jest człowiek, aby zdobyć jedzenie dla rodziny lub odrobinę opium dla siebie, żeby zapomnieć o wszystkim. Ale ten sprzedawał duszę za dużo niższą cenę i Lai Tsin czuł dla niego tylko pogardę.

- Nie zapomnij, że wrócę za sześć miesięcy, by sprawdzić, co zrobiłeś - ostrzegł.

Starszy Brat ukłonił się i wyszedł za Lai Tsinem na próg domu.

Drżał z emocji i lęku, aby jego zamożny kuzyn nie zmienił zdania i nie odebrał mu pieniędzy. Na wszelki wypadek ścisnął je kurczowo w dłoni. Młoda żona o chudej, wynędzniałej twarzy ciekawie zerknęła zza pleców męża na odchodzącego gościa.

Lai Tsin udał się na wiejski cmentarz. Nie przypominał chrześcijańskich cmentarzy. Nie było tam grobów, jedynie skrawki ziemi oznaczone imionami zmarłych. Ale imienia Lilin nigdzie nie znalazł. Ukłąkł jednak i dziewięć razy pokłonił się żółtej, spierzchniętej od słońca ziemi. Obiecał matce, że jej dusza nie będzie już dłużej się błąkać, lecz połączy się z duszami przodków.

Brat Lai Tsina wybiegł przed dom i radosnym głosem oznajmił sąsiadom o swoim szczęściu. Na małym placu pośród rozpadających się chat grupa gapiów podziwiała mężczyznę w bogatym, haftowanym stroju i kapeluszu z dzadeitowym guzikiem, wracającego z cmentarza.

- To mandaryn - szeptali. - Ma wielką władzę i wie o wszystkim. Zobaczcie, do czego doszedł syn biednej konkubiny Lilin.

Ale Lai Tsin nie zwrócił na nich uwagi. Poszedł w kierunku rzeki Ta Chiang. Raz tylko spojrzał na wioskę.

- Wkrótce nic tu nie zostanie - powiedział głośno. - Wiatr wykruszy resztki glinianych ścian, słońce wysuszy stawy i zamieni pola ryżowe w popiół. Z gliny powstanie kurz, który wichry rozniosą na cztery strony świata. A potem wielka rzeka Ta Chiang zaleje wszystko na zawsze.

Jakby na potwierdzenie tych słów suchy, gorący wiatr szarpnął bezlistnymi gałęziami drzew. Na horyzoncie w palącym słońcu majaczyło wzgórze. Tam stanie świątynia ku czci matki. Wydało mu się bardzo sprawiedliwe, że z całej wioski pozostanie tylko ta jedna budowla.

Szybkim krokiem pomaszerował ku rzece. Przy brzegu stała zacumowana dżonka. Nie odwracając się już za siebie, wszedł do łodzi i odpłynął. Trasa wiodła przez Wuhu i Nanking do Szanghaju, Hongkongu i Francie.

Francie i Edward siedzieli w hotelowej kawiarni. Francie opowiadała o kłopotach ze zdobyciem towarów na statek.

- Nie chcemy konkurować z wielkimi hongami - tłumaczyła. - Wystarczą nam towary, których oni już nie potrzebują, albo są kłopotliwe w załadunku. Tylko połowę statku możemy zapelnąć własnymi, ale wtedy nie wypłyniemy, gdyż stracilibyśmy pieniądze.

- Pomogę pani - odparł z uśmiechem. - Ale tylko pod jednym warunkiem: że pójdzie pani wieczorem ze mną na - kolację do gubernatora.

Roześmiała się. Choć nie powinna się zgodzić, skinieniem głowy oznajmiła, że przyjmuje zaproszenie.

Rezydencja z białego granitu stała w pięknym ogrodzie. Na drzewach paliły się latarnie, kwartet skrzypcowy grał wiązaną melodię operetkowych, a gubernator brytyjski, sir Henry May, powiedział Francie ze śmiechem, że Edward Stratton to porządny człowiek i powinna położyć kres jego cierpieniom.

- Cała elita Hongkongu jest tutaj - Edward wprawnym okiem zlustrował gości. - Taipanowie, którzy poprzednio odmówili ci współpracy, zmieniają dzisiaj zdanie.

Musisz ich tylko oczarować.

Miał rację. Wszyscy mężczyźni, którzy na rozmowę z nią wysyłali zastępców z sherry i herbatnikami, teraz byli bardzo szarmanccy. Piękne kobiety rzadko spotykało się w Hongkongu - a zwłaszcza piękne damy. Kiedy Stratton wspomniał, że Francie ma mały kłopot z rodzinnym przedsiębiorstwem, natychmiast zaofiarowali swą pomoc. Na pewno znajdują się w mieście chińscy kupcy, którzy chętnie skorzystają z miejsca na statku handlowym, płynącym do San Francisco.

Po tygodniu, gdy Lai Tsin wrócił z podróży, Francie zabrała go do hurtowni. Na drzwiach założyła nowe zamki i potężny łańcuch. Zaintrygowany patrzył, jak otwierają się ciężkie drzwi. Zobaczył półki załadowane belami materiału.

Opowiedziała mu, w jaki sposób zdobyła te wszystkie wspaniałości, a Lai Tsin pogratulował jej pierwszego dużego sukcesu.

Przed powrotem do San Francisco Lai Tsin musiał jeszcze załatwić dwie sprawy.

Rano zabrał Francie na przejażdżkę rykszą wzdłuż Des Voeux Road. Mijali rzędy wysokich, okazałych budynków, aż dotarli do pustego, porośniętego chwastami pasa ziemi, na którym tłoczyły się nędzne szałas i stragany z żywnością. Mięso i ryby podgrzewano na szerniałych od dymu drewnianych żerdziach, opartych o kosze z płonącym koksem. W powietrzu unosił się ostry zapach imbiru i przypraw.

Wysokie głosy Chińczyków mieszały się z ulicznym ruchem, stukaniem młotków i zgrzytem pił na licznych budowach po drugiej stronie ulicy. Wszędzie plątały się dzieci, zaczepiały przechodniów, mamiły ich przymilnymi uśmiechami, aby wyłudzić parę groszy. Ciekawe twarze śledziły każdy krok pięknej pani i mandaryna w strojnym

błękitnym kaftanie.

Spacerowali po parceli, którą przed laty Lai Tsin wygrał w karty od Chung Wu.

Tuż obok leżała najbardziej reprezentacyjna dzielnica Hongkongu. Parę przecznic dalej, na wzgórzu Victoria, widniała rezydencja gubernatora, tonąca w zieleni botanicznych ogrodów. Trochę niżej bieliły się wille bogatych taipanów. Przy samej ulicy Chatter Road stały okazałe biura.

Francie i Lai Tsin spojrzeli na siebie. To oczywiste, że kawałek ziemi, który dziadek Chun Wu kupił kiedyś za osiemdziesiąt dolarów, stanowił teraz prawdziwy majątek.

- Mógłbyś sprzedać ją jutro i do końca życia byłbyś bogaczem - szepnęła Francie.

W milczeniu potrząsnął głową. Oczywiście wyobraźni widział już wysoki, przeszklony budynek i napis nad drzwiami: SPÓŁKA LAI TSIN. Wejścia strzegą dwa potężne lwy z brązu, chroniąc właścicieli przed nieszczęściami.

- Nie sprzedamy tej ziemi, Francie - odezwał się wreszcie. - Zbudujemy na niej naszą fortunę.

Rykszą pojechali do doków, a stamtąd małą łodzią wypłynęli na zatokę. Właśnie kończono załadunek statku, który ruszał w rejs wraz z południowym odpływem. Lai Tsin wskazał ręką na smukły, skierowany w morze dziób statku, na którym widniało imię Francie...

- To pierwsza jednostka w naszej flocie - oznajmił z dumą, gdy spacerowali po pokładzie. - Wszystko dzięki tobie, Francie.

Po chwili wręczył jej kopertę.

- To prezent. Kupiłem go przed pięciu laty za pierwsze zarobione pieniądze i czekałem na odpowiedni moment. Otwórz, proszę.

Niecierpliwie rozdarła kopertę. Najpierw z niedowierzaniem, a potem z zachwytem czytała dokument, nadający jej prawo własności parceli ziemskiej przy Nob Hill w San Francisco, zaledwie o ulicę dalej od starego domu ojca.

- Wkrótce wrócisz tam - powiedział Lai Tsin. - Nie możesz całe życie ukrywać się przed bratem. Nie musisz liczyć na czyjąkolwiek litość. Jesteś niezależna.

Wybudujesz własny dom przy Nob Hill i pokażesz całemu światu, na co cię stać. A Harry Harrison nie przeszkodzi ci w tym.

W samo południe statek pod pełnymi żaglami odpłynął do San Francisco. Francie miała wyjechać nazajutrz rano. Ostatni dzień pobytu w Hongkongu spędziła w towarzystwie Edwarda Strattona. Zabrał ją na ptasi rynek, gdzie tysiące drozdów i kanarków trzepotało skrzydełkami o bambusowe pręty klatek. Sammy Morris skradał się za nimi krok w krok, cicho jak kot. Szedł za nimi przez hałaśliwe alejki Kowloon. Mijali uliczne sklepiki, z okienkami tak maleńkimi, że przypominały szczeliny w murze.

Sprzedawano tam całe wiadra kałamarnic, pływających w atramentowej wodzie, tace szarobłękitnych krewetek i akwaria ryb na przynętę. Francie i Stratton przystawali także przy warsztatach ulicznych rzemieślników, którzy rzeźbili w drewnie albo wykonywali tradycyjne chińskie pieczęcie. Obok nich uliczni pisarzeapełniali cienkie płachty ryżowego papieru krągłym, toczonym pismem.

Sammy nie spuszczał nienawistnego wzroku z Francie, gdy mijali szewców, handlarzy świec i kobiety haftujące na płótnie. Czekał cierpliwie, aż zjedzą obiad w skromnej herbaciarni. Powtarzał sobie, że jeśli to będzie konieczne, do końca życia poczeka na możliwość zemsty.

Po obiedzie pojechali konnym tramwajem na wzgórze, z którego rozciągała się wspaniała panorama na Hongkong i sąsiednie wyspy. Patrzyli, jak na miasto powoli nasuwa się biała mgła, przypominająca San Francisco. Potem ze śmiechem zjeżdżali w dół po stromym zboczu.

U stóp wzgórza Edward przelotnie spojrział na biednego kulisa, zaczajonego w rogu ulicy. Rzucił mu monetę i przywołał jednego z rykszarzy. Kiedy odjeżdżali w stronę hotelu, obejrzał się jeszcze raz. Coś zaniepokoiło go w twarzy tego biedaka. Mógłby przysiąc, że to nie jest Chińczyk.

To był ich ostatni wspólny wieczór. Zjedli wczesną kolację w ogromnej jadalni hotelu Hongkong. Za oknem migotały światła portu.

Francie czuła, że gra skończyła się i aktorzy muszą wrócić do rzeczywistości.

Zapadł zmrok. Tylko portowe lampy rzucały przymglony, drżący blask na ich skupione twarze. Milczeli. We wszystkich portach świata światła kryją smutek pożegnań, tęsknotę za czymś nieznanym i porywającym jednocześnie, co rozpoczyna się za daleką linią horyzontu. Czuła, że nie zniesie dłużej tego napięcia.

Powiedziała Edwardowi, że musi już iść.

Ujął jej dłoń i patrzył na złotą obrączkę na palcu.

- Dlaczego nie pozwoli mi pani zamienić tej obrączki na moją, Francie? - szepnął z goryczą i namietnością człowieka, który kocha bez nadziei. - Pojadę z panią do San Francisco...

Szybko zaprzeczyła ruchem głowy. Myśl o tym, że Edward mógłby znaleźć się w San Francisco, przeraziła ją. Musi czym prędzej odwieść go od tego zamiaru.

Wzruszyła ramionami i powiedziała chłodno:

- Nie można wyolbrzymiać takich morskich znajomości, Edwardzie. Za kilka tygodni zapomnisz o mnie. Będę tylko kobietą, którą poznałeś na pokładzie S/S Orient w drodze z San Francisco na Morze Południowochińskie...

- Dobrze pani wie, że to żaden flirt.

Przeszli wolno do holu. Edward ucałował jej rękę. Francie weszła na marmurowe schody. Na półpiętrze odwróciła się, aby spojrzeć na niego raz jeszcze. Potem pobiegła do pokoju.

Czekał, aż zniknie. Z rękami wsuniętymi głęboko do kieszeni wyszedł na Pedder Street. Jakiś cień poruszył się po drugiej stronie ulicy. Stratton podniósł głowę i ujrzał kulisa w łachmanach wpatrującego się w niego płonącym wzrokiem.

Po chwili biedak zniknął w ciemności, ale Edward mógłby przysiąc, że to ten sam człowiek, którego widział u stóp wzgórza. Wzruszył ramionami. Zbyt absorbowały go myśli, aby przejmował się jakimś nędzarzem. Ale podświadomie niepokoiła go myśl, że kulis nie należy do Azjaty. To był biały człowiek.

Następnego dnia o świcie Francie znalazła się na pokładzie S/S Aphrodite.

Popłynęła tam łodzią hotelową. Statek zakotwiczone na głębokich wodach zatoki.

Praya i Pedder Wharf roily się od kulisów i Francie na pewno nie zauważyłaby tego jednego, który śledził ją wzrokiem od chwili, gdy wsiadła na łódź, aż do momentu, kiedy zniknęła na pokładzie. Sammy myślał z rozpaczą, że musi udać się za nią, by zrealizować swój plan.

Szybko poszedł w kierunku doków, gdzie pracował przy załadunku towarów na małe galery, które później przewoziły je na cumujące w zatoce handlowce. Żaden kapitan nie zatrudni biednego kulisa. Sammy wiedział o tym. Ale bez trudu dostanie się na jakąś śmierdzącą dżonkę. Nieważne, dokąd popłynie. Będzie podążał wytrwale z portu do portu, przesiadał się ze statku na statek, przemierzy bodaj pół świata, aż wreszcie dotrze do San Francisco i Franceski Harrisom

Rozdział 29

Harry wrócił do rezydencji przy Nob Hill. Louisa nigdy tu nie przyjechała, by nie musieć rozstawać się z końmi. Czuł się zmęczony jednostajnym angielskim krajobrazem i zielonymi paddockami w strugach deszczu. Miał nadzieję, że nigdy już nie zobaczy konia - z wyjątkiem wyścigów, oczywiście - i poprzysiągł sobie, że nie spojrzy na żadną kobietę w spodniach do konnej jazdy.

Pragnął poczuć pod stopami ulice San Francisco i zakosztować znowu miejskich przyjemności.

Postanowił również, że od jutra zajmie się serio interesami, którym do tej pory poświęcał niewiele uwagi. Wstał o siódmej trzydzieści rano, wykąpał się, ubrał, zjadł solidne śniadanie i punktualnie o dziewiętej zjawił się w nowym budynku banku Harrisonów przy Market Street.

Wartownik w mundurze wyprostował się na jego widok jak struna i podskoczył do dużych, obrotowych drzwi.

- Dzień dobry, panie Harrison - przywitał się. - To wielka przyjemność znowu pana zobaczyć.

Harry chłodno skinął głową. Rzadko przekraczał próg własnego biura, ale dzisiaj miał szczerzy zamiar wywołać swoim przybyciem prawdziwe trzęsienie ziemi. Na parterze ogromnego budynku znajdował się główny oddział Banku Handlowego, mniejsze filie rozsiane były po całej Kalifornii. Sala z wysokimi witrażowymi oknami i granitową posadzką wyglądała imponująco. Za pokrytymi lśniąco politurą mahoniowymi biurkami zasiadali urzędnicy, oddzieleni połączanymi metalowymi kratami od klientów. W sali panowała napięta atmosfera, zwykle towarzysząca rozmowom o dużych pieniądzach i milionowym transakcjom.

Harry rozkoszował się każdą minutą pobytu w banku. Dziesiątki par oczu śledziły jego wędrówkę. Urzędnicy zrywali się z miejsc, a w powietrzu unosiły się podekscytowane szepty: „To młody Harrison wrócił!”

Bez pukania wkroczył do ciemnego, wyłożonego grubymi dywanami gabinetu dyrektora banku. Ten zazwyczaj nadęty, uważany przez podwładnych za półboga, człowieczek w spodniach w pepitkę i fraku stracił zupełnie głowę i bezradnie przestępował z nogi na nogę. Pojawienie się Harry'ego wywołało równie wielki popłoch wśród urzędników śledzących przy telegrafach wszystkie ruchy akcji na Wall Street oraz innych giełdach i rynkach zagranicznych. Zrywali się na nogi, pośpiesznie gasili papierosy i, nerwowo rozglądając się wokół, czekali na rozkazy. Tak było na wszystkich

piętrach.

Harry'emu bardzo podobało się, że wszyscy pracownicy banku, poczynając od zwykłych gońców, a kończąc na dyrektorach wydziałów wielkiego imperium Harrisonów, przeżyli się na jego widok i w lot rozumieli każde słowo, a nawet spojrzenie, jakim łaskawie ich obrzucał.

Na najwyższym piętrze mieściły się biura dyrektorów, siedziba rady nadzorczej banku i prywatny gabinet. Właśnie tutaj podobało się Harry'emu najbardziej:

solidne biurko, skórzany obrotowy fotel i rzędy oprawionych w skórę ksiąg za oszklonymi drzwiami biblioteki. Z okna widać było wstążkę jezdnii i maleńkie punkty pojazdów. Teraz, dosłownie i w przenośni, Harry górował nad wszystkimi.

Poczuł nagle, że posiada jeden z najwspanialszych przywilejów - władzę.

Nikt w banku nie oczekiwał tego dnia Harry'ego, ale wiadomość o jego przybyciu rozeszła się lotem błyskawicy. Trzej główni dyrektorzy dowiedzieli się o tym, zanim dotarł do drugiego piętra.

Frank Vandenplas, najbardziej zaufany współpracownik ojca, pierwszy zapukał do drzwi Harry'ego. Właśnie rozpoczął naradę z dwoma innymi administratorami, ale nagłe przybycie młodego Harrisona pokrzyżowało im plany na przedpołudnie. Frank zdecydował, że należy natychmiast dowiedzieć się, co sprowadza Harry'ego do banku. Nie wierzył w jego nagły zapał do pracy. Do gabinetu wszedł z promiennym uśmiechem na rumianej twarzy.

- Harry, mój chłopcze. Jakże miło cię widzieć. - W jego oczach pojawiło się dobrze udawane współczucie. - Przykro mi było słyszeć o twoim rozwodzie. Ale w twoim wieku - pobłażliwie wzruszył ramionami - taki błąd z łatwością naprawisz.

A zatem postanowiłeś na poważnie zająć się firmą. To świetnie, mój chłopcze, świetnie - powtarzał, zacierając dłonie i jednocześnie błagał opatrzność, aby Harry mu zaprzeczył. Wiedział, że przysporzy firmie samych kłopotów, więc lepiej, by ograniczył się jedynie do wydawania pieniędzy. Jeżeli jednak wyrazi chęć codziennego bywania w biurze, to on, Frank, skutecznie mu to obrzydzi.

- Tak, wreszcie powinienem spełnić wolę ojca i pokierować firmą - oświadczył pompatycznie Harry.

Frank rozpromienił się natychmiast.

- Wspaniale, mój chłopcze. Nie mogłeś sprawić mi większej przyjemności.

Harry zmarszczył brwi.

- Skoro mam być szefem, byłoby chyba stosowniej, gdybyś nie mówił do mnie „mój chłopcze”. To podrywa autorytet wśród podwładnych. - Miał ochotę powiedzieć temu staremu bufonowi, aby zwracał się do niego per pan Harrison, ale na razie nie mógł sobie na to pozwolić. Jeszcze długo będzie go potrzebował, gdyż znał firmę od podszewki. Ale dopilnuje tego, aby ci wszyscy starszacy skakali, jak im zagra. - Proszę o dokładne informacje o sytuacji finansowej każdej ze spółek - oznajmił. - Roczny obrót, zyski i prognozy, no i tak dalej. To chyba dobry początek, prawda, Frank?

- Znakomity, Harry - Frank kłamał gładko jak z nut. - Za pół godziny księgowi złożą ci szczegółowe sprawozdanie. A tymczasem przyślę moją sekretarkę, zanim znajdziesz sobie kogoś odpowiedniego. Wszyscy członkowie dyrekcji również się pojawiają, aby złożyć uszanowanie szefowi. Będą zachwyceni, że znowu Harrison staje u steru.

Harry jęknął w duchu. Znał obu dyrektorów. Pracowali tu od czterdziestu pięciu lat, więc wiedział, że są staroświeckimi, ostrożnymi skąpiradłami. Natomiast Frank to przebiegły lis, który będzie sabotował wszystkie jego pomysły i próby innowacji. Ci panowie muszą odejść. Harry zatrudni całkowicie mu oddanych ludzi, wypełniających polecenia co do joty, lecz na razie zorientuje się, na czym stoi.

Dokładnie po półgodzinie do drzwi zapukał dyrektor banku w towarzystwie dziesięciu księgowych i pół tuzina pomocników, dźwigających opasłe księgi, rejestry, kartoteki i wykazy. Frank dobrze ich przedtem poinstruował: - „Przedstawcie mi wszystkie szczegółowe wyliczenia, aż głowa zacznie mu pękać i nie będzie wiedział, gdzie jest”.

Po pięciu godzinach Harry podniósł dłoń do góry.

- Wystarczy - burknął. Setki liczb kłębiły się mu pod czaszką. - Chcę znać ogólne wyniki spółek, dochodowych i przynoszących straty.

- Miło mi zakomunikować, sir, że interesy Harrisonów stoją dobrze - skłonił się jeden z dyrektorów. - Zwłaszcza koleje i stal, chociaż mamy także uzasadnione nadzieje na zyski z wierceń naftowych na północy.

- Chcę wiedzieć, jaki jest dochód netto wszystkich naszych firm - warknął niecierpliwie Harry.

- Trzysta milionów dolarów, sir.

- A mój osobisty kapitał? - bębnił nerwowo palcami po biurku.

- Prawie sto pięćdziesiąt milionów dolarów, sir. Skinął głową.

- W porządku. Możecie odejść. - Poczekał, aż urzędnicy zabiorą księgi, wykazy i stosy papierów zapelnionych drobnymi kolumnkami cyfr. Opadł wycieńczony na krzesło. Jedyne, co go interesowało, to rzeczywisty kapitał Harrisonów, a nie jakieś detale dotyczące poszczególnych transakcji. Najważniejsze, że jest bogaty! Bardzo

bogaty. Bogatszy, niż przypuszczał.

Teraz uważał, że powinien nie tylko przejąć firmę, którą założył kiedyś dziadek, a rozwinął ojciec. Musi sam dokonać czegoś. On, Harry Harrison, pozostawi po sobie ślad w San Francisco.

Nachmurzony patrzył przez okno na gazeciarzy, roznoszących południowy dodatek do gazet. Hearsta rywalizował z Chronicie i popołudniowymi wydaniem Daily News, Cali i Bulletin.

Harry podziwiał zarówno imperium prasowe Hearsta, jak i sieć gazet oraz magazynów Scrippsa i Howarda. W głębi duszy marzył, aby zostać magnatem prasowym - dałoby mu to nowy rodzaj władzy nad ludźmi, manipulowałby ich lękami i wyobraźnią przez określony zestaw wiadomości.

Zastanawiał się, jak to uczynić. Miał najpotężniejszy środek wiodący do celu - pieniądze. Mógł przekupić najlepszych dziennikarzy wysokimi pensjami. Mógł pozwolić sobie na najnowszy sprzęt fotograficzny, wynająć najszybszych drukarzy i wyprzedzić innych wydawców. Pierwszy sprzedawałby swój dziennik. Harry'emu wydawało się, że zna gusta czytelników. Zapewne chętnie kupią tanią ilustrowaną gazetę, w której zamiast zbyt wielu poważnych informacji, znajdą się wzmianki o każdym skandalu, wypadku, romansie najmodniejszej gwiazdki rewiowej, o każdym morderstwie. Taką samą gazetę wyda w Los Angeles, a zatytułuje ją Harrison Herald. Zdobędzie sławę oferując gazetę za centa. Potem otworzy redakcje w innych miastach. Za dziesięć lat pobije Hearsta na głowę. Będą o nim mówili „Harrison, król prasowy”. Jego nazwisko stanie się symbolem.

Ponownie przywołał dyrektora banku i księgowych. Ale Franka nie miał zamiaru wtajemniczać w te plany. Uznał je za swoją wyłączną własność, którą nie podzielił się z nikim.

Wydał rozporządzenia: w ciągu tygodnia znaleźć lokal dla nowego dziennika, zorientować się w kosztach zakupu najnowocześniejszego sprzętu, poznać nazwiska najlepszych dziennikarzy i reporterów nie tylko na Zachodnim Wybrzeżu, ale również w Nowym Jorku, Filadelfii, Chicago i Waszyngtonie. Wszelkimi możliwymi sposobami, nie wyłączając podstępów, zorientować się w sytuacji finansowej największych gazet w mieście. Może udałoby się przejąć jedną z nich.

Z promiennym uśmiechem na twarzy Harry zapiął marynarkę i wygładził dłońmi jasne włosy. Widok zdumionych twarzy urzędników sprawiał mu wyraźną przyjemność.

- Żegnam panów - powiedział, idąc w kierunku drzwi. Długo nie mogli otrząsnąć się z wrażenia.

Tego samego dnia zatelefonował do Bucka Wingate i pełen entuzjazmu zwierzył mu się ze swoich planów. Buck jednak był nastawiony sceptycznie.

- Przynajmniej powinniśmy się cieszyć, że znalazł sobie inne zajęcie oprócz uganiania się za kobietami i szastania pieniędzmi - oświadczył wieczorem ojcu.

Obaj jednak w czarnych barwach widzieli wydawniczą przyszłość Harry'ego. Nie przewidzieli przy tym, że sumy, które Harry tak lekką ręką wydawał do tej pory, to pestka w porównaniu z fortuną, jaką pochłonie nowy plan.

Kupił małą drukarnię i rozbudował ją w kilku przyległych pomieszczeniach. Nabył także pięć nowiusieńkich pras, wyposażył ciemnie i pomieszczenia do składu w najlepszy dostępny sprzęt. Trzy środkowe piętra banku Harrisonów przeznaczył na redakcję i kazał zaskoczonym Frankowi przenieść wszystkich urzędników gdzie indziej. Zatrudnił redaktora naczelnego z Nowego Jorku, redaktora nocnego z Filadelfii, podkupił reporterów, redaktorów i najlepiej piszących dziennikarzy z innych gazet w San Francisco. Znak graficzny sam zaprojektował: był to Feniks na tle wschodzącego słońca. Będzie widniał na stronie tytułowej każdego wydania.

Otworzył też filie dziennika we wszystkich mniejszych miastach w stanie Kalifornia. Za miliony otrzymał to, co najlepsze.

Przygotowano do druku pierwsze wydanie. Harry siedział w biurze, w koszuli z podwiniętymi rękawami, z nogami na biurku i cygarem w ustach. Na bieżąco czytał artykuły, które miały się ukazać, oglądał każdą fotografię, a redaktor naczelny pienił się ze złości, by zebrać wszystkie materiały na czas. Harry postanowił zorganizować wielkie przyjęcie z okazji wydania pierwszego numeru. Zaprosił gości nie mających nic wspólnego z dziennikarstwem - jakieś gwiazdki filmowe, kilku złotych młodzieńców, jacy zazwyczaj kręcili się wokół niego. Osobiście nacisnął guzik uruchamiający maszyny. Strzeliły korki od szampana, kiedy spod prasy wysunął się pierwszy, ciepły i pachnący farbą numer HARRISON HERALD.

Buck Wingate z powątpiewaniem pokiwał głową. Wydawanie gazety to nie zabawa.

Dziennikarze z dobrych pism nie mogli pozwolić sobie nawet na chwilę odprężenia, bo należało wyprzedzić konkurencję. Miał nadzieję, że przyjaciel wie, co robi. W każdym razie on nie udzieli mu już więcej rad. Harry i tak by ich nie przyjął.

Ale wydawało się, że tym razem Buck omylił się. Harry porządnie wziął się do pracy. Odwiedził wszystkie biura Heralda, wygłaszał przemówienia na ulicach w małych miasteczkach wychwalając nowy dziennik. Jego promiennie uśmiechnięta twarz ukazywała się codziennie na pierwszej kolumnie. Wydawało się, że te chwytły odniosły pożądany skutek i sprzedaż dziennika wzrosła. **STO TYSIĘCY STAŁYCH PRENUMERATORÓW W CIĄGU MIESIĄCA**, głosiły dumnie nagłówki. Sto dwadzieścia pięć tysięcy w ciągu dwóch miesięcy, sto pięćdziesiąt tysięcy... Nawet jeżeli nie była to prawda, Harry uważał, że dobrze służy reklamie, a poza tym ludzie zawsze

wierzą w to, co przeczytają w gazecie. Entuzjazm pierwszych paru miesięcy szybko jednak opadł. Reportaże w Heraldzie były równie dobre, lecz wcale nie lepsze niż te w innych dziennikach, toteż ludzie lojalnie kupowali od dawna czytane gazety. Sprzedaż Heraldza zaczęła spadać.

Harry chętnie wpadał nocą do drukarni i przeglądał materiały nie przewidziane do druku w najbliższym numerze. Często kazał dziennikarzowi pisać reportaże na jakiś temat, czym doprowadzał do wściekłości redaktora nocnego. Ten miotał pod nosem przekleństwa, ale wola właściciela była rozkazem. Dziennikarze wyśmiewali Harry'ego za plecami, nazywając go „młodym Harrisonem Hears-tem”. Po całym San Francisco krążyły opowieści, że nie przejdzie obojętnie obok żadnej ładnej kobiety, pracującej w redakcji, i że nie znosi najmniejszego sprzeciwu ze strony podwładnych. „Ślini się na widok każdej pary zgrabnych nóg - mówiono - i wyrzuca ludzi z roboty jak ogryzki do śmieci”.

W mieście wybuchła wojna prasowa. Gazeciarze Harry'ego zostali pobici przez wynajętych rzeźmieszków, a setki egzemplarzy gazety porwano i rozrzucono na ulicach. Harry poprzysiągł, że odnajdzie sprawców, ale nawet szef policji jakimś dziwnym trafem nie wpadł na ich ślad.

Ponownie rozpoczął kampanię reklamową. Drukował anonsy, obwieszczające, że wkrótce w całym kraju pojawią się nowe dzienniki sygnowane nazwiskiem Harrisona.

Pewnego dnia drobna informacja w rubryce finansowej przykuła uwagę Harry'ego.

Przeczytał, że dotychczas nie znana w mieście firma L. T. Francis szybko toruje sobie drogę do grona najbogatszych spółek. Dzięki dobremu i przewidującemu zarządzaniu ma szansę zwielokrotnić zyski i stworzyć flotę statków handlowych, kontrolujących handel z Dalekim Wschodem.

Harry nigdy przedtem nie słyszał o tej spółce. Zapytał Franka, ale ten odparł, że nazwa mu nic nie mówi i z całą pewnością właściciele L. T. Francis nie należą do establishmentu San Francisco. Wobec tego zawołał autora dziennikarskiej notki.

- To jest chińska firma - wyjaśnił dziennikarz. - Biura i magazyny mieszczą się na nabrzeżu. Cała sprawa jest trochę tajemnicza - z wyjątkiem sukcesów finansowych, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Krążą plotki, że prowadzi ją jakiś Chińczyk z białą kobietą, Amerykanką. Podobno mają równe udziały w zyskach, ona zaś reprezentuje go we wszystkich transakcjach, gdy businessmeni nie chcą rozmawiać z Chińczykiem. Nikt tak naprawdę nie wie, ile w tym prawdy, ale widać, że są dosyć sprytni i radzą sobie z przesadami.

- Biała kobieta jako partner w interesach? - zdziwił się Harry. Dziennikarz uśmiechnął się szeroko.

- Każdy ma swoje zdanie na ten temat. Ja sędzę, że to jego konkubina.

Harry wybuchnął śmiechem.

- Taka właśnie historia przydałaby się na łamach Heralda. Niech pan powęszy wokół tej sprawy, zdobędzie trochę wiadomości na temat tej konkubiny, tajemniczego Chińczyka i oczywiście zdjęcia. Damy naszym czytelnikom soczysty kąsek - zaśmiał się złośliwie. - A przy okazji załatwimy L. T. Francis. Zobaczysz pan, jak spadną im zyski po ujawnieniu takiego skandalu.

Przez następne tygodnie nie myślał o tajemniczej spółce, aż do dnia, gdy dziennikarz przyniósł mu więcej informacji i fotografie. Wydawało mu się, że reporter patrzy na niego jakoś dziwnie, z ironicznym uśmieszkiem, ale zdjęcia zainteresowały go tak bardzo, że nie zajmował się na razie ich autorem.

W milczeniu wpatrywał się w fotografie. Mijały minuty i reporter zaczął już wiercić się nerwowo w fotelu. Wreszcie Harry zapytał:

- Jakie jeszcze informacje pan zdobył?

- Niewiele, sir. Na czele spółki stoi Chińczyk. Ma amerykańskie dokumenty, które prawdopodobnie zdobył po trzęsieniu ziemi. W okolicy znany jest jako mandaryn, ze względu na tradycyjny chiński strój, jaki zawsze nosi. Nie zajmuje się polityką ani nie wtrąca w rozgrywki między gangami. Ciężko pracuje i jest podobno bardzo mądry. Interesy prowadzi świetnie.

- A kobieta?

Głos Harry'ego był lodowaty. Dziennikarz nerwowo przekładał papiery z ręki do ręki.

- Jest młoda. Ma około dwudziestu pięciu lat i pięcioletniego syna. Wszyscy mieszkają w pensjonacie Aysgarth przy Union Square. Przy okazji dowiedziałem się, że ma jakiś udział w budowie pensjonatu i że chcą wybudować hotel, czy coś podobnego.

- Wie pan, jak się nazywa? Mężczyzna przełknął ślinę.

- Ta dama nosi nazwisko Harrison, sir. A chłopiec ma na imię Oliver.

Oczy Harry'ego były nieprzeniknione.

- Dziecko jest Chińczykiem?

- Nie widziałem go, sir.

- A kim jest kobieta?

- Wiem tylko, że nazywa się Harrison, sir.

Harry nie wątpił, że reporter świetnie orientuje się, o co chodzi. Wszyscy pracownicy dowiedzą się teraz, że jego szalona siostra, dawno uznana za zagubioną, została konkubiną Chińczyka.

- Może pan odejść - powiedział chłodno. - A przy okazji - dziennikarz zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na niego wyczekująco - proszę odebrać w kasie czek z miesięcznymi poborami. Zwalniam pana.

Mężczyzna zamarł. Twarz nabiegła mu krwią.

- Ty sukiny - wycodził przez zęby. - Zaslugujesz na wszystko, co cię spotka.

Harry nie zwrócił na niego uwagi i zignorował głośne trzaśnięcie drzwiami.

Starannie rozłożył fotografie na biurku i pochylił się nad nimi. Nie miał żadnych wątpliwości. Zaledwie o parę przecznic dalej jego siostra żyła w nielegalnym związku z jakimś Chińczykiem, siostrzeniec zaś był chińskim bękartem! Drżącymi rękami wkładał zdjęcia do koperty. Wściekłość odbierała mu zdolność logicznego rozumowania. Nie zniesie tego dłużej... pójdzie tam i zobaczy ich na własne oczy.

Wrzucił fotografie do szuflady, którą zamknął na klucz. Potem zadzwonił do ciemni z poleceniem, aby zniszczono wszystkie negatywy. Huknął drzwiami do gabinetu i miotał pod nosem przekleństwa na zbyt wolno zjeżdżającą windę.

Strażnik przy wejściu wyprężył się na jego widok, ale Harry nawet go nie zauważył. Szybkimi krokami przemierzał Union Square w kierunku pensjonatu Annie Aysgarth.

W ten ciemny, zimowy wieczór w pokojach paliły się lampy. W małym saloniku Francie było ciepło i przytulnie. Ogień płonął na kominku. Na dywanie leżał Ollie, obejmując ramionkami dwa psy mało przypominające szczeniaki, które Lai Tsin przywiózł na ranczo przed pięciu laty. Chłopczyk kolejny raz słuchał opowiadań mamy o Hongkongu. Już ponad rok temu wróciła, ale on nigdy nie miał dosyć tych opowieści.

- Następnym razem pojedę z tobą - oświadczył stanowczo, - Obiecałaś. Muszę to wszystko zobaczyć.

- Oczywiście, kochanie. Ale teraz pora na kąpiel. Potem niespodzianka. Annie upiekła coś specjalnie dla ciebie - dodała z uśmiechem.

W oczach Olliego pojawiły się szelmowskie ogniki. Przytulił ciepły policzek do ramienia Francie. Zawsze ją rozbrajał tym gestem. Miał już prawie sześć lat, był wysoki na swój wiek i bardzo szczupły, choć apetyt mu dopisywał i zawsze pochłaniał słodkie przysmaki Annie. Szare, wielkie, pogodne oczy do złudzenia przypominały Josha. Podbijał serca wszystkich pensjonariuszy. Ale wcale nie był wychuchanym maminsynkiem. Nieraz wracał ze szkoły z poobcieranymi kolanami i śladami bójk na twarzy. Nie znosił kąpeli i odrabiania lekcji. Wypłacane co tydzień kieszonkowe regularnie wydawał na czekoladowe batony Hersheya i ołowiane żołnierzyki. Słowem, niczym nie różnił się od rówieśników w Ameryce.

Szykując kąpiel dla Olliego Francie wspominała ostatnie spotkanie ze Strattonem w Hongkongu. Lekko dotknęła ręką kieszeni - list przeczyta w spokoju, gdy Ollie już zaśnie. Przez ostatni rok i trzy miesiące Edward zasypywał ją Ustami, telegramami, a nawet dzwonił z Londynu, prosząc o spotkanie. Francie konsekwentnie odmawiała. Ale on nie dawał za wygraną i właśnie znajdował się na pokładzie liniowca płynącego do Nowego Jorku. Za parę tygodni powinien dotrzeć do San Francisco.

„Muszę się z tobą zobaczyć, Francesco - pisał. - Nawet jeżeli się nie zgodzisz, użyję wszelkich podstępów, aby zmusić cię do spotkania.

Dlaczego jesteś taka uparta? Wiesz równie dobrze jak ja, że to nie był tylko przelotny romans. Będę cię prosił o rękę, aż uzyskam twoją zgodę”.

- On naprawdę jest gotów tak uczynić - stwierdziła Annie, której Francie pokazała list. - Pisz jak człowiek, który dobrze wie, czego chce - popatrzyła na przyjaciółkę kątem oka. - Ja na twoim miejscu, kochanie, nie pozwoliłabym mu dłużej czekać. Wreszcie mielibyście z Olliem normalny dom i życie, na jakie zasługujecie. Przecież nie musi znać całej prawdy. Powiem mu, że byłaś żoną mojego brata. A któż temu zaprzeczy? Metryka ślubu mogła zaginać podczas trzęsienia ziemi. Setki ludzi straciło wtedy dokumenty.

Annie pokręciła głową z dezaprobatą.

- Nie bądź głupia, Francie. Trzeba nie mieć za grosz rozsądku, aby zmarnować taką szansę.

Francie o niczym nie marzyła tak bardzo, jak właśnie o spotkaniu z Edwardem.

Pragnęła jeszcze raz zobaczyć tę kochaną twarz, usłyszeć jego głos, poczuć dotyk ręki. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła go poślubić, ale nie chciała kłamać.

- Spotkam się z nim - powiedziała wreszcie - i wyznam mu wszystko, niech on zadecyduje. Nie można budować małżeństwa na oszustwie.

Zdesperowana Annie westchnęła ciężko.

- Jesteś niemądra - rzekła bez ogródek. - Najpierw ślub, a potem zwierzenia.

Kiedy będziesz jego żoną, nigdy nie pozwoli ci odejść.

Ollie był już po kąpiel, gdy ciszę małego mieszkania przerwał ostry dźwięk dzwonka. Annie otworzyła drzwi. W progu stał młody mężczyzna. Nie przedstawił się i nie zdjął kapelusza.

- Przyszedłem zobaczyć się z Francescą Harrison - rzucił arogancko.

Wpatrywała się w niego chwilę, zbyt zaskoczona, aby coś powiedzieć. Znała tę twarz, ale nie skojarzyła z nazwiskiem.

- Pospiesz się, kobieto - warknął i nagle olśniło ją. Już go poznała...

- Żadna Francescą Harrison tutaj nie mieszka - odpowiedziała stanowczo, usiłując zamknąć mu drzwi przed nosem.

Ale Harry był szybszy. Postawił stopę za progiem i gwałtownie pchnął drzwi do środka. Pewnym krokiem wszedł do małego przedpokoju i spojrzał prosto w twarz Annie.

- Proszę jej powiedzieć, że brat Harry pragnie się z nią widzieć. Wyprostowała się z godnością. Dobrze przynajmniej, że nie ma na sobie fartucha i założyła dzisiaj porządną, wełnianą suknię. Inaczej mógł wziąć ją za służącą. Nie sądziła, aby miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie, ale sama czuła się pewniej, choć serce łomotało jej ze strachu.

- Zaraz sprawdzę, czy jest u siebie - starała się mówić spokojnie, chociaż nogi uginały się pod nią i najchętniej uciekłyby do siebie. - Proszę tu poczekać.

Harry obserwował, jak wchodziła po wąskich schodach. Gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, jakie go tutaj sprowadziły, spodobałaby się mu. Niewysoka, ładna, przyjemnie zaokrąglona. Lubił takie kobiety, zwłaszcza kilka lat starsze od siebie. Ale dzisiaj nie zaprzętał sobie głowy takimi sprawami. Wprost kipiał ze złości na myśl o tym, że jego zwariowana siostra wychowuje żółtego bękartą tuż pod jego nosem i żyje w konkubinacie z Chińczykiem, drwiąc ze wszystkich! Na pewno w całym San Francisco wiedziano o tym od dawna. Tylko on był głuchy i ślepy.

Annie weszła do pokoju Francie i starannie zamknęła drzwi za sobą. Kolana wciąż pod nią drżały i wyglądała na bardzo przerażoną, bo Francie zapytała z niepokojem:

- Czy coś się stało?

- To Harry. Chce z tobą rozmawiać.

Oczy jej pociemniały. Gwałtownie rozglądała się wokół, jakby szukając możliwości ucieczki.

- Nie uciekniesz - Annie czytała w myślach przyjaciółki. - Zejdź do niego.

Musisz wreszcie stawić mu czoło. - Chwyła ją za ramiona. - On ci nic nie zrobi, rozumiesz? Absolutnie nic! Pamiętaj słowa Lai Tsina? Jesteś niezależną kobietą. Brat przecież nie utrzymuje cię. Idź do niego. Wtedy wreszcie zaczniesz nowe życie.

Złożyła ręce jak do modlitwy i patrzyła na nią błagalnie.

- Nie mogę - szepnęła Francie. Zaniepokojony OUIe wyskoczył z łóżeczka, podbiegł do matki i objął ją ramionami.

- Właśnie, że możesz - nalegała Annie. - Musisz nawet. Pamiętaj o Lai Tsinie, o wszystkim, co ci mówił. I pomyśl o synu, jaka to będzie ulga, gdy wyzwolicie się z tego koszmaru.

- Jakiego koszmaru, mamusiu? - Ollie przestraszył się nagle. Francie popatrzyła na chłopca. Wiedziała, że w trosce o jego przyszłość powinna wreszcie rozliczyć się z przeszłością.

- Nic się nie stało, kochanie - powiedziała łagodnie. - To tylko sprawy dorosłych, synku. Nie obawiaj się niczego. Idź do kuchni i zjedz pączka. W szklance stoi mleko. Mamusia musi się z kimś spotkać.

Annie otworzyła drzwi i Ollie w podskokach zbiegł na dół. Francie spojrzała w lustro na swoją białą, batystową bluzkę i szarą, wełnianą spódnicę.

- Wyglądasz bardzo dobrze - stwierdziła autorytatywnie Annie. - Nie ma potrzeby stroić się dla Harry'ego.

- Poproś go do swego biura. Zaraz tam przyjdę. Wygładziła włosy, usiłując opanować drżenie rąk. Lecz zalała ją fala bolesnych, okrutnych wspomnień. Znowu widziała kraty w małym, zimnym pokoju, ojca ze skórzanym rzemieniem w dłoni i nienawiścią w oczach... Harry wiedział o wszystkim, ale nigdy nie ujął się za siostrą. Traktował ją jak przedmiot. No, ale to już minęło, tłumaczyła sobie. Annie ma rację. Jestem głupia. Harry nic mi nie zrobi. Do diabła z nim! Zacisnęła drobne dłonie i zeszła na dół. Ale lęk nie opuścił jej całkowicie.

Do biura prowadził wąski korytarz wyłożony białymi i czarnymi kaflami.

Harry stał przy biurku. Wyglądał dokładnie tak, jak przed kilku laty na wielkim balu w swojej rezydencji. Wysoki, przystojny i elegancki. Natychmiast zorientowała się, że kipiał ze złości. Spojrzał na nią z pogardą. Ona zaś dumnie uniosła głowę, postanawiając w duchu, że nie da się sprowokować.

- Co cię tutaj sprowadza, Harry? - zapytała chłodno. Annie za drzwiami nerwowo zaciskała palce.

- Myślę, że dobrze wiesz - odparował podchodząc bliżej. - W całym mieście huczy o tobie. Więc jednak nie umarłaś, siostrzyczko... Nie udało się przedstawienie.

- Sądzę, że powinniśmy zapomnieć, iż kiedykolwiek łączyły nas więzy krwi - Francie nie dała się wytrącić z równowagi. - przez te wszystkie lata szczęśliwie nie spotykaliśmy się i ja nie mam ochoty więcej cię oglądać.

- Ja również - rozwścieczony Harry chwycił ją za ramiona. - jak śmiesz dyktować mi warunki? Po tym, jak zhańbiłaś nasze nazwisko!? Francesca Harrison ucieka z kelnerem, potem zostaje konkubiną jakiegoś Chińczyka i do tego hoduje bękarta!

Jakim prawem nosisz nazwisko Harrisonów?

- Takim, że to także moje nazwisko - usiłowała wydostać się z żelaznego uścisku brata. - Poza tym pamiętaj, że prawo stoi po mojej stronie. Nawet Harrison nie może stosować przemocy. Czasy zmieniły się, od kiedy ojciec był bezkarny. Jeżeli mnie nie puścisz, każę wezwać policję.

Uwolnił siostrę i cofnął się o krok. Posiniaczone ramiona piekły boleśnie, ale nie okazała, że sprawił jej ból. Czowała, że teraz już nic nie wytrąci jej z równowagi. Przewyciężyła lęk przed Harrym.

- Nigdy nie wybaczę ci, że zabiłaś ojca - powiedział. - Spałby spokojnie we własnym łóżku, zamiast uganiać się po Pacific Avenue za taką dziwką jak ty. W dodatku sprawiłaś mu nieślubnego wnuka. Z pewnością ojciec przewraca się teraz w grobie!

- Mam taką nadzieję! Jeżeli ktokolwiek zasłużył sobie na piekło, to właśnie on.

- Rozumiem, że twój dzieciak jest zółty? - Nowa fala złości ogarnęła Harry'ego. Milczała, więc ponownie chwycił ją za ramiona. - Tak, czy nie?

- Myśl sobie, co chcesz - odpowiedziała spokojnie. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Kiedy ojciec zginął, przysiągłem sobie, że cię zabiję. Nie myśl, że między nami wszystko skończone. Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Wyszedł z domu trzaskając głośno drzwiami. Annie wpadła do biura i rzuciła się jej na szyję.

- Byłaś cudowna, kochanie! Nikt nie poznałby, że się go boisz! Jest wściekły, bo przegrał. Dlatego tak się odgrażał.

Francie poczuła, że opuszczają ją siły. Drżała. Opadła na krzesło. Łzy cisnęły się jej do oczu, choć już parę lat temu powiedziała sobie, że nie będzie więcej łez, gdyż wypłakała już wszystkie w swoim życiu.

- Najgorsze już minęło - Annie najwyraźniej pragnęła podtrzymać na duchu przyjaciółkę i siebie.

Francie podniosła zrozpaczoną twarz.

- O, nie, to dopiero początek. On nie zostawi mnie w spokoju.

Lai Tsing z powagą wysłuchał opowieści Francie o spotkaniu Harrym. Przyznał jej rację. Sprawa nie była zakończona.

- Nie pozwól, aby zmarnował ci całe życie. Nie czekaj bezczynnie na to, co Harry zdecyduje. Życie jest krótkie, Francie. Tylko młodym wydaje się, że wszystko zdążą zrobić i tracić czas. Nieraz żałujemy tych chwil, które tak bezmyślnie zmarnowaliśmy, a mogły nam przynieść tyle radości. Te chwile tworzą minuty, godziny... wreszcie lata...

Przed tobą jeszcze całe życie, Francie. Bądź silna. Nie trać ani minuty, bo żadna nie wróci. Ważne jest twoje życie, Mała Siostró, twoje szczęście.

Słowa Lai Tsina zabrzmiały jej powtórnie w uszach, gdy Edward Stratton zatelefonował z Nowego Jorku. W słuchawce rozległy się trzaski i jego głos dochodził jakby z odległości tysięcy mil.

- Zaraz mam pociąg do Chicago. Jutro przesiadam się do ekspresu, za dwa dni dotrę do San Francisco.

- Za dwa dni - powtórzyła zdławionym głosem.

- Dokładnie o ósmej we wtorek - dodał ze śmiechem. - pragnąłbym, aby już dzisiaj był wtorek. Strasznie tęsknię za tobą.

Zarumieniła się, mocniej przycisnęła do ucha słuchawkę.

- Nie możesz już dłużej narażać mnie na takie męki, Francie. Teraz nie masz wyboru. Pociąg staje w Fairmont. W pensjonacie zjawię się około ósmej. Obiecuj, że będziesz czekała.

- Będę czekała - powtórzyła jak echo.

- Wiesz, o co zapytam cię? - Skinęła głową, jakby Edward ją widział. - Tym razem spodziewam się innej odpowiedzi. Do zobaczenia, kochanie. Pociąg wkrótce odjeżdża.

Odłożyła słuchawkę. Poczowała, jak ogarniają ciepła fala szczęścia, spokoju i pewności, których nie zaznała od dawna. Harry zniknął z jej myśli w okamgnieniu.

Edward zaproponuje jej małżeństwo, a ona odpowie „tak”. Zostanie żoną Edwarda Strattona i uczyni wszystko, aby byli szczęśliwi. Nie zmarnuje ani jednej chwili, które podaruje jej los.

Edward zatrzymał się w elegancko odbudowanym Fairmont Hotel, który stanowił dumę San Francisco. Umówił się na spotkanie w klubie Pacific Union, mieszczącym się w jednym z najstarszych i ocalałych po trzęsieniu ziemi budynków w mieście. Był to klub elitarny. Zazwyczaj zbierała się tam cała śmietanka towarzyska i finansowa miasta. Dzisiaj panował tu wyjątkowy tłok.

Sprawę załatwił szybko. Spojrzał na zegarek; do spotkania z Francie zostało jeszcze półtorej godziny. Przez chwilę pomyślał, że pojawi się w pensjonacie wcześniej, ale uznał, że to nie wypada. Francie zapewne szykuje się na spotkanie z nim i wcale nie będzie zadowolona z takiej niespodzianki.

Usiadł wygodnie w miękkim skórzanym fotelu, zamówił szkocką u przechodzącego kelnera i zapalił cygaro. Dla zabicia czasu obserwował wielką salę.

Siedzący naprzeciw mężczyzna niecierpliwie przeglądał jakiś dziennik. Potem rzucił go z furią na stół. Jednym haustem wypił szklaneczkę sherry.

- Mam nadzieję, że nic złego się nie stało? - zagadnął Edward ze zdawkowym uśmiechem.

- Złego? - Harry wzruszył ramionami. - Jestem właścicielem tej gazety i od kilku miesięcy mam ciągle straty. Niech pan tylko nie pyta dlaczego. Bóg mi świadkiem, utopiłem w niej tyle pieniędzy, że wystarczyłoby na utrzymanie kilku porządnych spółek.

- Harry z uwagą spojrział na rozmówcę, ale go nie znał. - Pan chyba niedawno w naszym mieście?

- Przyjechałem z wizytą. Nazywam się Edward Stratton.

- Harry Harrison. - Uścisnęli sobie dłonie. - Napije się pan jeszcze? - Harry dłonią przywołał kelnera. Edward zaprzeczył. - Burbon z wodą - rzucił Harry.

Niespokojnie rozglądał się po ponurej, wyłożonej ciemną boazerią sali w poszukiwaniu znajomych twarzy. Chociaż tak naprawdę wcale nie był spragniony ich widoku. Czuł się znużony i wyczerpany. Znudziła mu się praca w gazecie, irytowało San Francisco i ciągle to samo towarzystwo. Wydawało mu się, że ludzie patrzą na niego podejrzliwie, czasem z kpina. Chyba wszyscy za jego plecami plotkują o najnowszym skandalu w rodzinie Harrisonów - odnalezionej siostrze i tym chińskim bękarcie. Musi stąd wyjechać na jakiś czas. Najlepiej do Nowego Jorku. Potrzebował światła, gwaru i życia, którym tętniły ulice Manhattanu. Tam odzyska równowagę.

- Pan pochodzi z Nowego Jorku? - zapytał nieznajomego. Edward roześmiał się.

- Jestem Anglikiem, a właściwie Szkotem. W Nowym Jorku załatwiałem interesy.

- Do San Francisco też sprowadzają pana interesy? - Harry zadawał pytania raczej dla zabicia czasu niż z prawdziwego zainteresowania.

- Tym razem nie. Właściwie przyjechałem tutaj, aby się ożenić. O ile moja pani mnie zechce. Odmawiała już tyle razy, że nie mogę być niczego pewnym, dopóki nie staniemy przed ołtarzem.

Harry roześmiał się.

- Ma pan szczęście. Kobieta, którą ja poprosiłem o rękę, zgodziła się i kosztowało mnie to fortunę. Nawiasem mówiąc, była Angielką. A dama, o której pan mówi - spojrział na Strattona z prawdziwym zainteresowaniem - mieszka zapewne w San Francisco?

Edward rozpromienił się.

- Pomyślałem właśnie, co za ciekawy zbieg okoliczności. Nosi to samo nazwisko, co pan. Może zna ją pan? Francesca Harrison?

Harry wpatrywał się w niego w milczeniu. Odstawił pusty kieliszek i splótł dłonie. Na jego ustach pojawił się chytry, pełen nie ukrywanej satysfakcji uśmiech.

- Nie ma w tym żadnego zbiegu okoliczności, Stratton. To moja siostra. - Edward chciał coś wtrącić, ale rozmówca powstrzymał go ruchem dłoni. - Proszę powiedzieć mi, co pan o niej wie, ja w zamian odkryję prawdę.

- Prawdę?

- Niech mi pan wierzy, Stratton, z całą pewnością Francesca nie opowiedziała panu wszystkiego o sobie.

Edward siedział jak sparaliżowany, słuchając opowieści Harry'ego. Przez moment myślał, że ma do czynienia z szaleńcem. Ale to chyba niemożliwe... Harry Harrison sprawiał wrażenie człowieka całkowicie przy zdrowych zmysłach. Taki przystojny, dobrze wychowany, najwyraźniej zamożny człowiek. Nieprawdopodobne, żeby kłamał z premedytacją... Z drugiej strony, ani jedno wypowiedziane przez niego słowo nie pasowało do obrazu Francie, jaki pielęgnował w swojej pamięci.

- To wszystko, co powiedziałem, to prawda, Stratton - zakończył triumfalnie Harry. - Proszę spytać bywalców klubu, wszystko potwierdzą. Ojciec trzymał ją pod kluczem, bo już jako dziecko zdradzała nienormalne skłonności, ale nie zdobył się na odesłanie jej do zakładu dla obłąkanych. I odpłaciła mu za dobre serce afiszując się z kochankiem. A teraz to nieślubne dziecko. - Harry pochylił się w stronę Edwarda, wbijając wzrok w jego zgębnioną twarz. - Niech pan mi wierzy, lepiej trzymać się od niej z daleka. Zniszczy pana i pańską rodzinę, Stratton, proszę zapamiętać moje słowa.

Edward zobaczył teraz ogromne, błękitne oczy Francie. Niemożliwe, aby kryło się w nich to całe zło, o którym przed chwilą słyszał. Pomyślał o dzieciach, daleko w Stratton. Nigdy nie naraziłby ich szczęścia i bezpieczeństwa dla własnych pragnień. Wstał i lekko skłonił się.

- Dziękuję za informacje, sir. - Powoli odszedł w kierunku drzwi.

Harry rozkoszował się słodkim smakiem zemsty. Chytry uśmiech nie schodził mu z ust. Widział, że z hotelu Fairmont wychodzi kompletnie załamany człowiek.

Francie wyglądała wspaniale. Nie sprawiła tego ani piękna, błękitna, aksamitna suknia, ani róża wpięta w lśniące włosy - to przepelniające ją szczęście nadało blask oczom i policzkom, rozświetliło delikatną, przypominającą kształtem serce, twarz.

Tryskała radością życia, a przyjemne podniecenie przed zbliżającą się wizytą nie pozwalało jej ani chwilę siedzieć spokojnie. Jeszcze raz spojrzała uważnie na nakryty do kolacji stół. Prezentował się bez zarzutu; adamszkowy obrus, wyczyszczone srebra, najlepsza porcelana Annie i kremowe róże w wazonie.

Tak właśnie zaplanowała; OUIe spał słodko w swoim pokoju, Annie wyszła, a Lai Tsin pracował w biurze. Za pięć???? nadejdzie Edward.

Podbiegła do okna i delikatnie odsunęła firanki Dziwne, tyle czasu go odtrącała, a teraz nie może wprost doczekać się spotkania...

Wybiła ósma. Edward był zawsze punktualny. Przebiegła w myślach menu na kolację; mrożony kawior, który tak lubił potem wspaniały łosoś i krem brzoskwiniowy na deser.

Dlaczego jeszcze go nie ma? Już kwadrans po ósmej. Zaniepokojona tkwiła przy oknie. Za chwilę ujrzy znajomą postać, przemierzającą plac. Spóźnienie nie było w jego stylu. Z pewnością zadzwoniłby, gdyby zatrzymały go interesy. Francie spacerowała po pokoju. Wskazówki zegara bezlitośnie posuwały się do przodu.

O dziewiątej jej niepokój dosięgnął zenitu. Potem jednak, kiedy dzwonek u drzwi milczał, przegnębiona usiadła w fotelu. Zamknęła oczy. Poderwała się o jedenastej na głoś kroków na schodach, ale to była tylko Annie. Wierna przyjaciółka dopiero wracała do domu, nie chcąc przeszkadzać w spotkaniu...

Francie pomyślała przez chwilę, żeby zadzwonić do hotelu, ale ambicja nie pozwoliła jej na to. Skoro Edward nie przyszedł do tej pory, powinien przesłać wiadomość.

Nie liczyła już upływających minut. Siedziała z opuszczoną głową. Cóż takiego mogło się wydarzyć? Czyż nie zapewniał przed kilku dniami, że ją kocha i pragnie się ożenić? Noc mijała i świt przebijał się powoli przez szaroperłową mgłę.

Francie zrozumiała, że drugi raz utraciła kochanego człowieka.

Annie zastała ją o siódmej, siedzącą bez ruchu w fotelu. Ogarnęła wzrokiem stół z nietkniętą kolacją.

- Nie przyszedł - stwierdziła sucho.

- To moja wina. - Francie spojrzała na nią szarymi ze zmęczenia oczami. - Nie powinnam w ogóle godzić się na jego przyjazd. To szaleństwo. Nie można budować szczęścia na kłamstwie. Nie wiem, co się stało, ale z pewnością nigdy go już nie zobaczę.

- Przecież to się musi jakoś wyjaśnić.

- Nie wiem, Annie. Nie chcę wiedzieć.

Ale tego samego ranka do Francie nadeszły dwa listy. Jeden napisany na papierze firmowym hotelu Fairmont: „Francesco. Myślałem całą noc o tym, co kiedyś mi mówiłaś. Miałas rację. Lepiej, jeśli się już nie zobaczymy. Proszę, wybacz mi.

Edward”.

Drugi list był od Harry’ego. Powiadomił ją, że uznał za stosowne poinformować pana Strattona o jej przeszłości. Uczyni wszystko, co w jego mocy, aby zapobiec temu małżeństwu...

Harry i Edward znaleźli się w tym samym pociągu, odchodzącym po południu do Nowego Jorku. Wymienili ukłony i Harry już podchodził do Strattona, ale ten zniknął w swoim przedziale. Nie widział go do końca podróży.

Rozdział 30

W Nowym Jorku Harry zazwyczaj zatrzymywał się w hotelu Astor, na rogu Czterdziestej Czwartej Ulicy, skąd było blisko do nocnych klubów i restauracji na Broadwayu. Na dachu hotelu urządzono piękny ogród - szemrały tam strumienie, fontanny tryskały tysiącami roztańczonych kropeł, a porośnięte paprociami cieniste groty i altany tonące w kolorowych kwiatach stanowiły wspaniałą scenerię romantycznego sam na sam z piękną kobietą. W Nowym Jorku zazwyczaj nie brakowało okazji do takich spotkań. Na to właśnie Uczył Harry, znudzony pracą w gazecie, nieudanymi interesami i zniechęcony do życia w wieku dwudziestu dwóch lat.

To popołudnie spędzał samotnie w ogrodzie hotelu Astor. Przy sąsiednim stoliku siedziała rudowłosa kobieta w towarzystwie mężczyzny odwróconego do niego plecami. Harry popatrzył na nią z zainteresowaniem. Rude włosy zawsze mu się podobały. Dama odwzajemniła spojrzenie, on zaś wzniosł kieliszek jak przy toaście.

Kelner wyjaśnił, że to baronowa Magda Muntzi. Harry wysłał jej liścik.

Przeczytała i obdarowała nadawcę dyskretnym uśmiechem, którego nie zauważył jej partner, ale Harry wyczytał w nim obietnicę. Dowiedział się, gdzie mieszka ta piękność, W i następnego dnia posłał jej kwiaty oraz zaproszenie na wspólny obiad.

Magda była Węgierką. Miała bujne, ponętne kształty, w jakich zawsze gustował Harry. Miedzianozłote loki wiły się wokół twarzy, a zielone oczy iskrzyły temperamentem. Piersi miała jak alabaster, długie nogi i biodra, które kołysały się w rytm kroków. Posiadała także eleganckie mieszkanie, które jak twierdziła, zostawił jej poprzedni mąż. Futra i biżuterię kupowała codziennie, podobnie jak inni ludzie niezbędne artykuły żywnościowe.

Harry zapomniał zupełnie o całej historii ze Strattonem. Spełniał wszelkie zachcianki Magdy, płacił za jej wypadki do Lucille, Mainbocher, Cartier i Tiffany'ego. Kupił trzydziestopokojowy dom na Sutton Place i zaproponował jej małżeństwo. Kiedy przyjęła propozycję, zapomniał o gazecie i wszystkich innych interesach w San Francisco. Ożenił się z nią i przez dwa lata pełnił rolę nadwornego kochanka, towarzysząc żonie na rozlicznych przyjęciach i w klubach nocnych na Manhattanie.

Któregoś ranka obudził się wcześniej i na widok jej aksamitnych piersi poczuł nagle pożądanie. Pokrywał jej ciało pocałunkami, ale ona była zimna jak lód.

Obojętnie przyjmowała pieszczoty, co jeszcze potęgowało jego namiętność.

Wreszcie, zaspokojony, położył się obok, ona zaś powiedziała chłodno:

- Znudziłeś mi się, Harry. Chcę rozwodu. - Patrzył na nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, ale w oczach Magdy malowały się jedynie zniechęcenie i obojętność. Wtedy dotarły do niego jej słowa. Uderzył ją mocno.

Nie krzyknęła. Przesunęła tylko dłonią po zakrwawionych ustach i powiedziała spokojnie:

- Drogo za to zapłacisz, Harry.

Dotrzymała obietnicy. Minęły prawie dwa lata, nim kosztem połowy majątku kupił milczenie Magdy i ocalił reputację. Uzyskała rozwód, a zaraz po wojnie wyjechała do Monte Carlo z jakimś rosyjskim księciem, który zbiegł przed rewolucją.

Wszyscy jej kolejni kochankowie jeszcze długie lata żyli za pieniądze Harry'ego.

Małżeństwo z Magdą kosztowało go majątek. Na sam dom przy Sutton Place, francuskie antyczne meble i obrazy starych mistrzów wydał prawie dziesięć milionów dolarów. Ale nawet za taką cenę rezydencja wyglądała jak przybytek ekskluzywnej węgierskiej prostytutki, co zresztą było prawdą, przyznał Harry z niesmakiem.

Do San Francisco wrócił postarzały o dziesięć lat. Nabrzmiała, napuchnięta twarz zdradzała skłonność do nadużywania trunków, a w oczach malowały się cynizm i obojętność człowieka, który w wieku dwudziestu ośmiu lat przeżył już wszystko i wszystkim zdołał się znużyć. Jednak w drodze z dworca do domu coś przykuło jego uwagę. Za ledwie jedną przecznicę od jego wspaniałej rezydencji stał nowy dom.

- Wybudowano to chyba przez jedną noc - zauważył leniwie. - Do kogo należy?

Szofer już chciał przypomnieć, że nie było go w San Francisco pięć lat, ale ugryzł się w język.

- Nie wiem - skłamał gładko. Nie miał ochoty pierwszy go poinformować, że dom przy Nob Hill należy do Francisci Harrison, która mieszkała tam z dziesięcioletnim synkiem i przyjacielem - jak powszechnie sądzono - chińskim milionerem znanym jako mandaryn. Żyli samotnie, stroniąc od towarzystwa. Służba składała się wyłącznie z Chińczyków, wobec tego w dzielnicy białych nie rozchodziły się na ich temat żadne plotki. Ale kobietę, zawsze uśmiechniętą i elegancko ubraną, często widywano na ulicy.

Szofer uśmiechnął się szeroko, otwierając przed Harrym drzwi samochodu. Po stopniach rezydencji schodził kamerdyner. W całym mieście aż huczało o nowej rezydencji, mandarynie i jego konkubinie. Panicz Harry wścieknie się, gdy dowie się o tym, pomyślał szofer.

Okna salonu Francie wychodziły na Kalifornia Street. Wygodna sofa i fotele pokryte jasnobursztynowym obiciem nadawały wnętrzu ciepły, przytulny wygląd.

Cały dom był skromny, Francie celowo wyrzekła się wszelkiego afiszowania pieniędzmi. Zbudowany został z jasnego, wapiennego kamienia z fasadą bez żadnych ozdób. Nad czarnym prostokątem drewnianych drzwi migotało ciepłe światło w półkolistym, jakby wyciętym ze szklanej koronki, oknie. Marmurowe były jedynie schody frontowe i blat na stole kuchennym przeznaczonym do zagniatania ciast. Parkiet z szerokich, z wiązowego drewna klepek, wywoskowany i wyfroterowany do połysku, podkreślał porządek i czystość w pomieszczeniach. Wewnętrzne schody wily się zgrabnym „ślimakiem” do półkolistej galerii na piętrze, jakby nic ich nie podtrzymywało. W całym domu założono wysokie okna, przez które wpadało do środka dużo słońca. Angielski architekt powiedział Francie, że skopiował jeden z budynków w londyńskiej dzielnicy Mayfair. Zdecydowanie różnił się elegancką prostotą od nowobogackiej rezydencji, którą w swoim czasie wznosił Harmon Harrison, a później wierną replikę odtworzył Harry.

Francie nie załamała się, gdy Edward Stratton tak nagle zniknął z jej życia. Nie pozwoliła sobie na łzy i żal. Przyjęła do wiadomości, że miał prawo zmienić decyzję. Sama pragnęła opowiedzieć mu prawdę, ale Harry ją uprzedził i zdecydował o jej losie. Zamiast smutku czuła nienawiść, z delikatnej istoty przemieniła się w kobietę o stalowej woli.

Wraz z murami nowego domu rosła też jej pewność siebie. Spółka L. T. Francis przekształciła się w potężną korporację. Flota o siedemnastu statkach przewoziła towary po morzach i oceanach całego świata, od Liverpoolu po Los Angeles, do Bombaju i Singapuru, Istambułu i Hamburga. Informacje o trasach okrętów handlowych Lai Tsina zamieszczano teraz we wszystkich gazetach na świecie w rubrykach finansowych.

Lai Tsin posiadał niezwykły dar: zawsze przebywał w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. I choć nie miał przyjaciół wśród businessmenów w San Francisco ani w gronie taipanów z Hongkongu, jednak traktowali go z szacunkiem należnym nowej pozycji. Nigdy nie naśladował niewolniczo zachodniego stylu życia. W tradycyjnym, błękitnym, haftowanym kaftanie uchodził za symbol godności i uczciwości w interesach. Żaden z partnerów nie mógł zarzucić mu choćby najdrobniejszego oszustwa.

Przez rozsuniętą zasłonę w oknie Francie zauważyła jadący wolno samochód, z którego Harry bacznie obserwował jej dom. Ale nie uśmiechnęła się z satysfakcją.

Minęło już pięć lat od nocy, gdy bezskutecznie czekała na Edwarda Strattona.

Wiedziała, że to brat zniszczył jej plany życiowe, ale ku swemu zdziwieniu czuła jedynie obojętność. Patrzyła teraz, jak szofer otwiera przed nim drzwi samochodu, a lokaj zbiega ze schodów rezydencji, aby zabrać bagaże. Harry nie ruszył się nigdzie bez tuzina służących. Ciekawe, czy potrafi sam ogolić się i wycisnąć pastę na szczoteczkę do

zębów... Przytył, stwierdziła nie bez złośliwości, a nalana twarz i worki pod oczami sprawiły, że wyglądał na starszego o dziesięć lat niż w rzeczywistości...

Wzruszyła ramionami i odwróciła się od okna. Ciekawe, jak zareagowałby na wiadomość, że jest jego nową sąsiadką. Właściwie nic ją to nie obchodziło. Nie obawiała się już brata. Byli równymi sobie partnerami. Co prawda jej majątek nie dorównywał jeszcze fortunie Harrisonów, ale krążyły plotki o kłopotach finansowych Harry'ego, który jedyne talenty wykazywał w szastaniu pieniędzmi. W każdym razie interesy Francie stały dobrze, a konta bankowe ciągle rosły. O bracie natomiast mówiono, że musiał sprzedać udziały w liniach kolejowych, by spłacić drugą żonę, wydawany zaś przez niego dziennik przynosił straty szybciej, niż go drukowano. Szykowały się jeszcze poważniejsze kłopoty, ponieważ Harry zwolnił z rady nadzorczej banku dawnych kolegów ojca. Nowi dyrektorzy nie potrafili dobrze kierować interesami wszystkich firm.

Z holu dobiegło radosne pokrzykiwanie Olliego, jak zawsze, gdy wracał ze szkoły.

Francie zapomniała w jednej chwili o Harrym i jego problemach finansowych.

- Mamusiu, czy mogę pójść z Filipem do hurtowni? - Uśmiechnięty, stawał się wiernym odbiciem Josha. Ten sam pogodny, nieco filuterny błysk rozjaśniał ciemne oczy, patrzące życzliwie na świat.

- A co z lekcjami? - westchnęła.

- Oj, mamusiu, potem odrobuję. Obiecuję. - Ostatnim słowem towarzyszył siarczysty pocałunek w policzek. Trzynastoletni Ollie, podobnie jak wszyscy chłopcy w tym wieku, nie był tak skłonny do okazywania matce czułości, toteż serce w niej stopniało.

- Czy coś się stało, synku? Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatni raz mnie pocałowałeś.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Tak smutnie wyglądasz, jakbyś czuła się samotna. Nie wiem zresztą. To ja już pójdę, mamusiu. Do widzenia.

Filip Chen czekał na niego w przedpokoju. Stał jak zwykle uroczyście wyprostowany.

- Przyrowadzę go przed szóstą, Starsza Siostró - pochylił głowę w oficjalnym ukłonie. Chociaż znali się już tyle lat, nigdy nie pozwalał sobie na poufałość.

Lai Tsin wychował go w szacunku dla niej i przeświadczeniu, że jej właśnie zawdzięczają powodzenie.

Patrzyła przez okno, jak odchodzą. Ollie był wysoki na swój wiek, chudy i ruchliwy jak żrebak. Z każdego gestu i spojrzenia emanowała radość życia. Kiedy szedł ulicą, wydawało się, że chce skrócić w każdy zaułek, zajrzeć w każde okno, chwycić przelatującego ptaka. Filip Chen szedł obok spokojnym, równym krokiem.

Osiemnastoletni Filip Chen był już Amerykaninem chińskiego pochodzenia. Ubierał się w stylu zachodnim, nosił krótko ostrzyżone włosy. Nawet w czasie uroczystości w Dzielnicy Chińskiej nie zakładał tradycyjnego kaftana. Mandaryn wiedział, że to jedyna droga do sukcesu w amerykańskim społeczeństwie. Pragnął jednak, aby Chen poznał swe korzenie i dlatego do tej pory chłopiec wychowywał się w chińskiej rodzinie i chodził do chińskiej szkoły. Jednak raz w tygodniu, zgodnie z wolą Lai Tsina, pobierał lekcje u amerykańskiego nauczyciela, który nauczał go historii Ameryki i Europy oraz zapoznawał z kulturą zachodnią. W wieku szesnastu lat Filip opuścił szkołę i rozpoczął pracę u boku Lai Tsina, którego kochał i szanował jak ojca. Lai Tsin wprowadzał go w świat interesów.

Często podróżowali razem na Wschód. Rozumieli się doskonale.

Ollie zerknął na poważną twarz Filipa, gdy szli do przystanku tramwajowego. Był jego ideałem. Niewysoki, poważny, bledy, z gęstymi czarnymi włosami i skośnymi orzechowymi oczami o nieprzeniknionym, tajemniczym wyrazie. Ollie nigdy nie wiedział, o czym naprawdę myśli Filip, chociaż był pewien, że są to sprawy poważne. On nie zaprzętał sobie głowy meczami baseballowymi, zbieraniem pudełek po papierosach ani tym, czy pojawią się tego lata żrebaki na ranczo. Frapowały go kursy akcji na giełdzie, nowe statki i relacje między walutą Hongkongu a dolarem. Ollie pragnął towarzyszyć mu w wyprawach do magazynów portowych, by nauczyć się prowadzenia interesów. Chciał wyjeżdżać z mandarynem i Filipem do Hongkongu, obserwować załadunek towarów, popłynąć na Morze Południowochińskie i odwiedzić wszystkie porty świata.

Poza tym chłopiec po prostu łaknął towarzystwa. Chodził do jednej z najlepszych szkół w San Francisco, ale nie czuł się tam najlepiej. Och, koledzy byli w porządku, grał z nimi w piłkę, nieraz płątali wspólnie figle nauczycielowi, ale nigdy nie zapraszali go do swoich domów. Oczywiście, to trochę bolało, ale wiedział, że jego rodzina jest trochę inna, choć właściwie nie bardzo rozumiał dlaczego. Był dumny z bliskich i kochał ich, ale samotność doskwierała mu czasami. Próbował tłumaczyć sobie, że w przyszłym roku mama wyśle go do szkoły przygotowawczej na Wschód i tam wszystko się zmieni, ale na razie garnął się do rówieśników. Toteż nie posiadał się wprost z radości, od kiedy Filip Chen zamieszkał z nimi. Nareszcie miał przyjaciela.

Od strony oceanu napływała mgła. Ollie energicznie wciągał do płuc morskie, słone powietrze.

- Wiesz co, Filipie, gdy dorosnę, kupię sobie statek - powiedział nagle. - Będzie pływał w naszej flocie i nazwiemy go Mandaryn.

- Jeżeli takie jest twoje życzenie, Mały Bracie - Filip Chen lekko skłonił głowę. - Ja zamieszkać w Hongkongu i będę przygotowywał ładunki na twoje okręty.

- Jeszcze jako mały chłopczyk marzyłem, aby zostać piratem - dodał Ollie z szerokim uśmiechem. - Ale mandaryn powiedział, że to nieuczciwy zawód. Z pewnością miał rację, lecz pomyśl tylko, jakie wspaniałe życie wiodą piraci.

Filip Chen uśmiechnął się tylko. Zbliżali się do magazynów. Tam gdzie przed laty stał tylko jeden barak, teraz wzdłuż kilku kilometrów nabrzeża wyrósł cały szereg budynków mieszczących biura i składy towarów. Ale nikt obcy nie domyśliłby się, że to siedziba jednej z multimilionowych spółek morskich, której flota skutecznie opanowała szlaki handlowe na morzach i oceanach świata. Były to skromne, drewniane budynki z blaszanymi dachami.

Lai Tsin, jak zwykle, pracował w swoim biurze, gdzie aż lśniło czystością.

Siedział za biurkiem z tekowego drewna, na którym królowały stare, drewniane liczydła. Obok stał potężny kałamarz, leżały pióra i stalówki oraz pędzelki do pisania po chińsku. Chłopcy zapukali. Lai Tsin uśmiechnął się na ich widok.

Ollie zawsze czuł się trochę onieśmielony w towarzystwie mandaryna, niezwykle powściągliwego w słowach i gestach. Żywiłowy Ollie nie przypominał sobie, aby Lai Tsin objął albo ucałował kogoś. Nawet Filipa Chena, którego traktował i kochał przecież jak syna.

- Witaj - przywitał się po chińsku. - Mam nadzieję, że twoja obecność u mnie, chociaż bardzo mnie cieszy, nie oznacza, iż zaniedbujesz naukę?

- Nie, sir. Obiecałem mamie, że wrócę przed szóstą. - Uśmiechnął się szeroko i odgarnął z czoła niesforne jasne włosy.

- W takim razie oto małe zadanie dla ciebie. - Wskazał dłonią liczydła i

poleciał mu sprawdzić długie kolumny rachunków. Wiedział, czemu otrzymał takie zadanie i uśmiechnął się dyskretnie. Lai Tsin pragnął, aby chłopiec opanował jego język ojczysty i Ollie władał już chińskim prawie tak płynnie jak angielskim. Ale wciąż miał kłopoty z pisaniem. Posłusznie zabrał księgę rachunkową z biurka i poszedł do małego pokoju na zapleczu, gdzie Filip rozpoczął samodzielne urzędowanie.

Pół godziny później zawyła syrena statku w pokrytej gęstą mgłą zatoce. Ollie spojrział w okno i omal nie krzyknął. Jakaś twarz, przyklejona do szyby, wpatrywała się w niego płonącym wzrokiem. Strącając ołówek na podłogę podbiegł do okna i wyjrzał na podwórze, ale nikogo już nie było.

- Co to? - zapytał Filip.

- Właściwie nic - odparł chłopiec niepewnie. - Wydawało mi się, że widziałem kogoś w oknie.

Ollie odniósł mandarynowi wielką, czerwoną księgę. Ten wprawnym okiem przebiegł długą kolumnę cyfr i notatek. Znalazł tylko jeden błąd.

- Muszę przyznać, że radzisz sobie coraz lepiej - pochwalił go. - Ale mama czeka na ciebie. Musisz dotrzymać obietnicy.

Z biura wychodziło się na zewnątrz przez magazyny. Ollie ogromnie lubił to miejsce. Z półek, worków i skrzyń unosiły się najróżniejsze aromaty, przywodzące na myśl odległe, egzotyczne miejsca. Przemierzając wąskie, mroczne pomieszczenia wyobrażał sobie, że jest kapitanem statku, największego w całej flocie handlowej Lai Tsina, i przemierza Ocean Indyjski. Na horyzoncie majaczą kontury wyspy, pokrytej kwitnącym lotusem i tamarynem, gdzie oczekuje na niego przygoda.

Chłodne, wilgotne powietrze wyrwało go z marzeń. Przyspieszył kroku, aby czym prędzej znaleźć się w ciepłym tramwaju. Dobrze znał drogę z magazynów na przystanek, ale dzisiaj mgła była tak gęsta, że kilka razy zastanawiał się, jak dalej iść. Staął. Wydało mu się, że słyszy z tyłu czyjeś kroki. Nieznajomy również zatrzymał się. Serce Olliego mocniej zabiło. Przypomnił sobie twarz przyklejoną do szyby. Z lękiem obejrzał się, ale ulica była pusta. Od morza oddzielała go tylko gęsta ściana białej mgły. Puścił się biegiem w stronę przystanku.

Rozdział 31

Pewnego dnia w siedzibie rady nadzorczej połączonych spółek Harrisona zgromadzili się członkowie dyrekcji. Na stole piętrzyły się stosy dokumentów.

Poważne miny zebranych nie wróżyły nic dobrego. Harry obrzucił ich pogardliwym, krótkim spojrzeniem i bębniąc niecierpliwie palcami po mahoniowym stole, zażądał, aby sekretarka przyniosła mu kawę.

- Myślę, panowie, że im prędzej z tym skończymy, tym lepiej. - Najwyraźniej dał zebranych do zrozumienia, iż w ogóle zaszczycił ich swoją obecnością.

- Jest wiele spraw do omówienia, sir - odparł z przyganą w głosie główny księgowy. - Musimy wykorzystać pański pobyt w San Francisco i podyskutować o interesach. Jak pan zapewne już słyszał, niektóre spółki, w tym gazeta, są w poważnych kłopotach.

- To znaczy? - Harry rozparł się w wielkim, obrotowym krześle.

- Dziennik przynosi straty prawie od samego początku, sir. Teraz wynoszą one trzydzieści milionów dolarów.

Strzał był celny. Zaskoczył Harry'ego.

- Trzydzieści milionów? Jak to możliwe?

- Wyjechał pan na pięć lat, sir, polecając wydawanie gazety bez zmniejszania nakładu i obsady dziennikarskiej, niezależnie od sytuacji. Również zgodnie z pańskimi instrukcjami sprzedano udziały w Spółce Kolejowej Pacific, pieniądze zaś przekazano baronowej Muntzi na poczet roszczeń rozwodowych.

Harry rzucił pod nosem kilka niewybrednych epitetów pod adresem byłej żony.

Sącząc kawę słuchał całej listy nieszczęść i finansowych niepowodzeń, jakie spadły na jego przedsiębiorstwa: nowe pola naftowe, w które mnóstwo zainwestował, okazały się suche, zyski fabryki stali pochłonęły strajki, plantacje cukru na Hawajach spalili robotnicy, którym płacono zbyt mało, aby mogli przeżyć. Lista ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie zniecierpliwiony uniósł dłoń do góry.

- Dosyć! Chcę wiedzieć, dlaczego nie zaniechano wierceń i nie zrobiono nic w sprawie strajków.

- Informowaliśmy pana o wszystkim, sir - odparował księgowy. - Ale po odejściu Willisa i Franka nie było właściwie odpowiedniego kierownictwa. Pozwolę sobie zauważyć, sir, że instytucja o tak szerokim zasięgu działania wymaga sprawnego zarządzania. W przeciwnym wypadku... - księgowy wykonał płynny ruch ręką w kierunku stosu sprawozdań z długimi kolumnkami czerwonych cyfr.

Harry milczał. Odwrócił głowę od dokumentów ilustrujących jego finansową porażkę.

- A co z bankiem? - zapytał.

Na twarzy księgowego pojawił się wreszcie uśmiech.

- Bank trzyma się świetnie, sir. Klienci mają jeszcze zaufanie do solidności Harrisonów.

Harry puścił aluzję mimo uszu, zadowolony, że nie jest aż tak źle.

- W porządku - skinął głową. - Jak konkretnie wygląda sytuacja?

- Ogólnie rzecz biorąc, sir - księgowy popatrzył na niego znad cienkich, złożonych oprawek okularów - pańskie firmy straciły sto osiemdziesiąt milionów dolarów w ciągu czterech lat. Wartość netto wynosi dzisiaj sto dwadzieścia milionów.

- Ha! Do diabła, całkiem nieźle! Z tego, co pan mi tutaj opowiadał, wywnioskowałem, że z Harrisonami już zupełny koniec.

Odetchnął z ulgą i zamierzał wyjść. Miał dosyć tego posiedzenia.

- Jak już wspominałem, sir - księgowy nie dawał za wygraną - kilka spółek jest w poważnych kłopotach. Chociaż osiągamy pewne zyski, jednak wartość netto firmy wynosi teraz połowę tego, co w dniu śmierci pańskiego ojca.

Harry, znów zaniepokojony, zatrzymał się przy drzwiach.

- A co z moim kapitałem osobistym?

- Zasadniczo pańskie inwestycje okazały się rozsądne. Chociaż, biorąc pod uwagę dwie sprawy rozwodowe, utrzymanie jachtu, licznych samochodów, dwóch domów i inne ogromne wydatki, obawiam się, że także są duże straty... - opuścił wzrok pod przenikliwym spojrzeniem szefa.

- Ile? - rzucił Harry ostro.

Księgowy podskoczył na krześle i odpowiedział szybko.

- Sześćdziesiąt milionów, sir. Na początku dysponował pan dwukrotnie większą sumą.

Czy to możliwe, że stracił aż tyle? Co prawda rozwody kosztowały dużo... Nie wspominając o domach i jachcie. Po raz pierwszy poczuł, że coś zagraża jego luksusowemu stylowi życia. Uznał, że sam obejmie ster i wyprowadzi firmę na czyste wody.

- W porządku, panowie - usiadł ponownie i przysunął do siebie stos dokumentów.

- Zabieramy się do pracy. Najpierw zamkniemy redakcję. Już jutro.

- Może w piątek, sir? - wtrącił szybko księgowy. - Nie sprawi to dobrego wrażenia, jeżeli zlikwidujemy gazetę z dnia na dzień. Rozumie pan, plotki. - Chciał coś jeszcze dodać, ale Harry przerwał mu gestem dłoni. Rozumiał, o co chodzi.

- Sprzedamy plantację cukru - postanowił szybko, sięgając po następne sprawozdanie. - Z tymi Chińczykami więcej kłopotu niż pożytku.

- To nie jest dobry moment na sprzedaż, sir - zaznaczył księgowy. - Może porozumiemy się z robotnikami, wówczas...

- Sprzedać - przerwał Harry.

Przeglądał dokument za dokumentem i decydował, czego należy pozbyć się natychmiast. Oświadczył zgromadzonym, że pieniądze ze sprzedaży zainwestuje w handel metalami, kawą, kakao i gumą.

- Nie widzę przyszłości w fabrykach - oznajmił. - Otworzę biuro przy Wall Street i stamtąd będą przeprowadzane wszystkie operacje. Sprzedaż terminowa towarów przynosi teraz największe zyski.

Uważając sprawę za zakończoną, opuścił biuro. Znieruchomiali ze zdumienia zebrani nie śmieli protestować. Szef miał dziewięćdziesiąt pięć procent udziałów we wszystkich firmach i jego słowo było decydujące.

W najbliższy piątek ukazał się ostatni numer dziennika. Harry'emu przyniesiono do domu egzemplarz. Przy śniadaniu natychmiast stracił swój wspaniały apetyt, gdy ujrzał stronę tytułową.

Nad ogromnym zdjęciem Francie z synem na pokładzie najnowszego jachtu widniał ogromny nagłówek:

SPÓŁKA LAI TSIN DOKONUJE NAJLEPSZEJ TRANSAKCJI W SWOJEJ HISTORII. NAJSZYBSZY STATEK HANDLOWY ŚWIATA ZNALAZŁ SIĘ WCZORAJ W ICH POSIADANIU.

W artykule opisywano najrozmaitsze sukcesy tej spółki, a zakończono następującym akapitem:

Partnerami firmy są Ke Lai Tsin, znany w San Francisco jako mandaryn, i panna Francesco Harrison, siostra Harry'ego Harrisona, właściciela Heralda, i córka znanego w naszym mieście przemysłowca Harmona Harrisona. Jak się dowiadujemy, panna Harrison i mandaryn są bardzo szczęśliwi z przeprowadzki do nowej rezydencji przy Nob Hill, znajdującej się zaledwie o kilka przecznic od domu brata. Niestety, rodzeństwo nie kontaktuje się od lat. Pan Harrison nie skomentował sukcesów siostry w interesach, co wydaje się oczywiste, jako że sam przeżywa obecnie znaczne kłopoty finansowe. Dowodem tego jest między innymi zamknięcie niniejszego dziennika.

Harry rzucił gazetą o ziemię. Wielkimi krokami podszedł do telefonu. Wykręcił numer do redakcji.

- Zwolnić natychmiast tego sukinsyna! - ryknął w słuchawkę. Po drugiej stronie rozległ się chichot.

- Chyba pan zapomniał - odezwał się wreszcie jakiś głos - że już wszystkich zwolniono.

Rzucił słuchawkę miotając przekleństwa pod nosem. Ta kropla przepelniła czarę.

Znajdzie wreszcie sposób, żeby dostać w swoje ręce siostrę i jej kochanka. I wyśle ich do diabła.

Sammy czytał artykuł w Heraldzie w pubie przy Barbary Coast. Miał na sobie znoszone, wełniane ubranie, które zimą dostał w Liverpoolu od charytatywnej instytucji kościelnej. Niestety, zabrakło już dla niego płaszcza, więc czekał na jakiś statek, którym uda mu się dostać do San Francisco i Francie. Bał się, że umrze z zimna, ale jakoś przeżył.

Widocznie śmierć nie była mu jeszcze sądzona.

Podczas tej długiej zimy w Anglii wiele razy myślał o tym, by odwiedzić matkę w Yorkshire. Nawet nie wiedział, czy żyje i poszukiwała go przecież policja.

Głównie jednak powstrzymywał go wstyd. Nie chciał, by zobaczyła, jak nisko upadł. Nie był już nawet mężczyzną.

Przeliczył monety w nadziei, że starczy jeszcze na jedną kolejkę. Co powinien teraz uczynić? Zebranie informacji o Francie Harrison okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Należała chyba do najbardziej znanych kobiet w San Francisco, choć nie była to dobra sława. Mówiono o jej związku z Chińczykiem, z czym wcale się nie kryła. Miała też syna, Sammy widział go kiedyś, co prawda z daleka, ale dobrze zapamiętał tę twarz. Wtedy właśnie przyszedł mu do głowy ten plan. Od paru tygodni obserwował Francie, znał rozkład jej zajęć i wiedział, że w czwartki po południu wychodziła z domu na kilka godzin. W ten dzień postanowił uderzyć.

Barman przyjrzał się Sammy'emu uważnie, podając mu szklaneczkę. Nawet w tej dzielnicy, nie cieszącej się najlepszą opinią, ów człowiek wyglądał podejrzanie.

Otaksował jego żółtą, pomarszczoną twarz i wygłodniałe oczy. Miał wrażenie, że za parę groszy facet gotów jest każdemu wsadzić nóż w plecy. Dyskretnie wycofał się na zaplecze i zatelefonował na lokalny posterunek policji z wiadomością, że w barze kręci się jakiś mocno podejrzany typ. Potem unikał jego spojrzenia nucąc fałszywie jakąś melodię. Ale Sammy miał doświadczenie człowieka tropionego od lat. Jednym haustem wychylił whisky, rzucił barmanowi groźne spojrzenie i wyszedł z baru.

Policjanci przyjechali szybko, zaintrygowani niecodziennym telefonem. Ale Sammy Morris już znikł gdzieś w mrocznych zaułkach, szukając schronienia na następną zimną noc.

Rozdział 32

Tsin poświęcił się bez reszty pracy. Często podróżował do Hongkongu i za każdym razem odwiedzał rodzinną wioskę nad rzeką Jangcy, gdzie, według ścisłych instrukcji, powstawała świątynia ku czci przodków.

Starszy Brat zaokrąglił się jak pączek dzięki otrzymywanym regularnie pieniądzom, ale Lai Tsin zauważył z satysfakcją, że również jego rodzina skorzystała nieco. Twarz żony już nie wydawała się tak wychudzona, a dziecko miało nowe ubranie.

Świątynię budowano na środkowym spośród trzech sąsiadujących wzgórz. W dole płynęła leniwie rzeka, tworząc w tym miejscu łagodne zakole. Wewnątrz było schludnie i czysto, choć Lai Tsin podejrzewał, że brat niewiele miał z tym wspólnego. Toteż zawsze do drobnej dłoni jego żony trafiało kilka monet, czym zaskarbił sobie jej dozgonną wdzięczność.

Świątynia była niewielka, gzymsy i okapy misternie wyrzeźbiono w drewnie, a całość pokryto ciemnocynobrową barwą, która lśniła jak płomień na tle zielonych wzgórz. W świetle zachodzącego słońca pozłacane wieżyczki błyszcząły, jakby wykonano je z najszlachetniejszego kruszcu. Przechodzący drogą wieśniacy i podróżni płynący statkiem po rzece zachwycali się piękną budowlą i modlili za dusze zmarłych. Lai Tsin osiągnął cel.

po powrocie z Hongkongu wezwał Filipa Chena, który niedawno skończył dziewiętnaście lat.

.- Nauczyłem cię wszystkiego, co umiem - powiedział. - Nadszedł czas, abyś pojechał do Hongkongu. Teraz możemy pokazać wielkim przedsiębiorcom, że już nie potrzebujemy okruchów z ich stołów.

Na biurku położył dokument, stwierdzający prawa Filipa do parceli w najbogatszej dzielnicy Hongkongu. Choć Lai Tsin był zawsze skromny, tym razem w jego głosie wyczuwało się triumf i radość ze zwycięstwa.

- Wybudujemy tam biura z białego granitu, aby w niczym nie ustępowały rezydencjom hongów - ciągnął. - A szyldy ze złotymi literami udowodnią całemu miastu, że oto Lai Tsin jest równy innym, zasługuje na szacunek i uznanie.

Popłyniesz w przyszłym tygodniu, Filipie. Obejmiesz stanowisko mojego pośrednika. - Z uśmiechem patrzył na przybranego syna. - Inni spróbują wykorzystać twoją młodość i brak doświadczenia, ale wiem, że nie zawiodę się na tobie.

Głos Filipa drżał z podniecenia. Zdawał sobie sprawę, że obejmie samodzielnie kierownictwo dużej firmy. Taki zaszczyt spotyka niewielu młodzieńców.

- Dziękuję ci, Czcigodny Ojciec - pochylił głowę w ukłonie. - Przrzekam, że z całych sił będę strzegł naszej firmy przed intrygami i zawiścią konkurencji.

Zrobię wszystko, aby sprzyjało nam szczęście, by sprostać temu zadaniu.

Lai Tsin z zadowoleniem skinął głową.

- Odwiedzimy teraz przybraną matkę i opowiemy jej o twoim sukcesie - powiedział. Nazywał tak dobrą kobietę, która przygarnęła Filipa po trzęsieniu ziemi. Chłopiec wychował się w jej rodzinie.

Kiedy światła czarnej limuzyny zniknęły w szarej mgłę nabrzeżnych uliczek, przyczajony za jednym z baraków Sammy Morris pognał w stronę miasta. Uprzednio zadzwonił do rezydencji.

Telefon odebrał chiński służący i zaraz przekazał wiadomość Olliemu, że mandaryn wzywa go pilnie do biura na nabrzeżu.

Uradowany Ollie jak sprężyna wyskoczył zza biurka, na którym leżały szkolne książki i zeszyty. Mama była u Annie, ale nie wróci jeszcze przez parę godzin.

Nie może czekać, skoro sprawa jest taka pilna. Narzucił płaszcz i wybiegł z domu.

Był mroźny wieczór lutowy. Dochodziła dopiero szósta, ale na ulicy panował mrok, rozświetlony tylko złotym rogalikiem księżycy i rozsypanymi po niebie gwiazdami. Zbiegł ze wzgórza na przystanek tramwajowy. Wysiadł zaledwie kilka przecznic od biur. Chwilę podziwiał smukłe sylwetki statków cumujących w porcie handlowym. Potem skręcił w wąską uliczkę, prowadzącą do magazynów.

Zdumiony zatrzymał się przed budynkiem. Wszędzie panowała ciemność. Nawet w kantorku Lai Tsina nie paliło się światło. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Czyżby się spóźnił?

Sammy stąpał cicho jak kot. Gwałtownym ruchem zacisnął wokół twarzy chłopca chustkę przesiąkniętą eterem. Po paru sekundach Ollie stracił przytomność.

Nowy hotel Annie był bardzo elegancki. Goście mieli do wyboru jeden z siedemdziesięciu pokoi lub dwunastu apartamentów. Panowała tam przytulna, nieomal wiejska atmosfera, jak w domach w rodzinnym Yorkshire Annie, tyle że tu zadbano o nowoczesne wyposażenie w prysznice, centralne ogrzewanie i szybkie windy. Kuchnia również była znakomita; wszystkie tradycyjne potrawy przyrządzano z najlepszych składników i dostosowywano do gustów gości z całego świata.

Annie doskonale sobie radziła. Przecież zawsze prowadziła dom, a teraz robiła to po prostu na większą skalę. Całe dni pracowała. Najprzyjemniejsze chwile spędzała wieczorem. Ubrana w najlepszą suknię schodziła do gości na szklaneczkę szampana i obserwowała, jak zasiadają do kolacji.

W hotelu zajętych było zazwyczaj dziewięćdziesiąt procent miejsc, a restauracja należała do najpopularniejszych w mieście. Pieniądze wpływały równym strumieniem na konta bankowe, toteż Annie miała wszelkie powody do zadowolenia. Planowała już otwarcie następnych hoteli w Nowym Jorku i Hongkongu.

W czwartki po południu zwykle przychodziła Francie. Teraz też siedziały przy herbacie. Annie z niekłamanym zadowoleniem patrzyła na przyjaciółkę; nie wyglądała na kobietę trzydziestoparoletnią, matkę jedenastoletniego syna, której życie nie poskąpiło trosk i dramatów. Gładkiej buzi nie przecinała ani jedna zmarszczka. Jasne włosy wciąż spinała w węzeł na karku. Była jedną z najelegantszych dam w San Francisco, zawsze wspaniale ubrana w jakąś paryską kreację. Biżuterii miała niewiele, ale za to w doskonałym gatunku.

Choćby ten sznur grubych, kremowych pereł, które miała dzisiaj na szyi. Świetnie pasowały do miękkiej, wełnianej sukienki.

To kobieta z klasą, zawsze mówiła Annie o przyjaciółce, a myślała nie tylko o strojach i biżuterii, Francie zmuszała do szacunku i uprzejmości nawet najbardziej gruboskórnych taipanów, z którymi prowadziła interesy w imieniu Lai Tsina.

Resztę czasu prawie w całości poświęcała Olliemu. Jako matka i przyjaciółka dawała z siebie wszystko, niewiele żądając w zamian. Od czasów Edwarda Strattona minęło już pięć lat i Annie uważała, że Francie jest zbyt młoda, aby samotnie żyć.

- Masz na myśli mężczyzn? - Uniosła brwi. - Chyba żartujesz, kochanie. Sądziś, że choć jeden mężczyzna w San Francisco pokazałby się w towarzystwie Franceski Harrison?

- To chyba nie był najlepszy pomysł, że zamieszkaliście z Lai Tsinem.

- Przynajmniej ludzie plotkują o czymś konkretnym. - Najwidoczniej ten temat ją znudził. - Powiedz, za co bardziej nienawidzą Lai Tsina? Za to, że jest Chińczykiem, czy raczej za to, iż jest mężczyzną?

Annie pochyliła się nad imbryczkiem z herbatą.

- Dałaś im dwa powody. Francie wzruszyła ramionami.

- Już czas na mnie. Powinam sprawdzić, czy Ollie odrobił lekcje. - Zawsze wymawiała imię syna z ciepłym, łagodnym uśmiechem na twarzy. - Znasz go przecież. Pod byle pretekstem miga się od nauki. - Całując przyjaciółkę na pożegnanie, dodała: - Pojedziesz z nami na rancho na weekend? Nie chcę słyszeć, że jesteś zajęta, proszę cię. Hotel zabiera ci całe życie.

- Dlatego go lubię - odparła Annie. - Dziękuję za zaproszenie, ale podczas weekendu będzie komplet gości z kongresu partii republikańskiej. Wiesz, jacy wymagający są politycy.

- Nie dziwi mnie, że wybierają twój hotel. To najcudowniejsze miejsce na świecie.
Annie uśmiechnęła się skromnie.

- Wiesz, co ostatnio powiedział mi jeden z gości? „Nawet w Paryżu nie ma lepszej kuchni”. A wiele podróżował, więc chyba można mu wierzyć.

Francie wracała do domu na piechotę. Kwadrans po siódmej weszła do holu i służący powitał ją wiadomością, że Lai Tsin wezwał panicza telefonicznie do biura. Zaskoczona, zadzwoniła do magazynu, ale nikt nie odpowiadał. Pomyślała więc, że są w drodze do domu i poszła do pokoju, aby przebrać się na wieczór.

Z kuchni dobiegały smakowite zapachy imbiru i chili, ulubionych przypraw Olliego. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że synek jest oczkiem w głowie chińskiego kucharza, który zawsze stara się przygotować to, co chłopiec najbardziej lubi.

Po kilku minutach zadzwieczał telefon. Chwyciła słuchawkę:

- Ollie?

Mężczyzna po drugiej stronie roześmiał się chrapliwie.

- Ollie jest ze mną w magazynie, Francie.

- Kto mówi? - serce jej zamarło z przerażenia.

- Nie wiesz? Już mnie nie pamiętasz? Pewnie myślałaś, że dawno gryzę ziemię, w końcu minęło tyle lat. Ale wróciłem z za grobu i będę cię teraz prześladował tak samo, jak mnie prześladował duch Josha.

Zbladła niczym kreda. Ścisnęła mocno słuchawkę, aż kciuki jej pobieleły.

- Sammy Morris - szepnęła.

- Ollie czeka na ciebie. Musisz po niego przyjechać. Tylko nie przywoź żadnego Chińczyka z toporkiem ani policji. Dobrze ci radzę.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę jak sparaliżowana wpatrywała się w aparat. Potem rzuciła się do drzwi, w biegu narzucając płaszcz. Synowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, był sam z Morrisem w nabrzeżnym magazynie. Zawróciła do sypialni i z sekretarzyka przy łóżku wyciągnęła pistolet. Przed laty Lai Tsin ofiarował jej broń na wszelki wypadek. Wówczas czuli się zagrożeni. Teraz myślała, że niebezpieczeństwo już minęło...

Wąska uliczka przed magazynem pogrążona była w ciemności. Sammy zostawił nieprzytomnego Olliego na ziemi, szybko wybił szybę i wszedł do biura przez małe okno. Zdarł story. Odnalazł na biurku telefon i wykręcił numer Francie.

Usłyszawszy jej głos, zaniemówił. W gardle czuł rosnącą kulę, na czoło wystąpiły mu krople potu. Na ten moment czekał tyle lat. Ale naprawdę zatriumfował dopiero w chwili, gdy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest przerażona. Wówczas roześmiał się głośno, z satysfakcją. Czyż nie słyszał wiele razy, że droga do serca kobiety wiedzie przez

dzieci? Tak, tym razem zranił ją dotkliwie. Cierpi przez niego. To dobrze, inaczej nie zrozumiałaby nigdy, co o n czuł, gdy odebrała mu Josha...

Wyważył zamki w drzwiach i wciągnął do środka nieprzytomnego chłopca. Rzucił go na krzesło i cofnął się o krok, aby przyjrzeć się jego twarzy.

Zaaplikował mu sporą dawkę eteru. Bezwładna głowa opadła na oparcie krzesła.

Szare oczy były na wpół otwarte. Sammy pobladł gwałtownie. Miał przed sobą młodego Josha. Ścisnął skronie. Rozsądek podpowiadał mu, że to syn przyjaciela, ale pojawiła się też szalona myśl... iż Josh wrócił do niego z tamtego świata.

Czas cofnął się nagle i znowu stali na tarasie hotelu Montgomery, gotowi poświęcić za siebie życie. Wspomnienia raniły szaloną duszę Sammy'ego jak noże.

Krew pulsowała mocno, czuł, że za chwilę rozsadzi mu czaszkę. Stracił przytomność.

Oucił go zapach nafty. Dławiąc się i kaszląc, usiadł na podłodze. W pokoju było zupełnie ciemno. Wyciągnął rękę, aby dotknąć Josha. To jednak nie sen ani złudzenie. Najlepszy przyjaciel nie opuścił go w t a k i ej chwili.

Nagle podniósł głowę, wciągając w nozdrza przesączone naftą powietrze. Za późno wyczuł niebezpieczeństwo. Tuż za plecami błysnęło białe światło i magazyn stanął w płomieniach. Sammy dźwignął się na nogi. Wszystko wokół płonęło, języki ognia tańczyły rzucając pokraczne, wykrzywione cienie na chłopca. Josh. Musi ratować Josha. Tym razem na pewno się uda.

Wziął bezwładne ciało na ramiona i zataczając się poszedł w kierunku drzwi.

Przed nim stała ściana rozgrzanego powietrza, z tyłu napływał wąż czarnego, gryzącego dymu. Dusił się, zatykał usta. Jeszcze tylko parę metrów dzieliło go od wyjścia. Chłopiec coraz bardziej mu ciążył. Sammy czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ale musi, musi go uratować. Szalone myśli kołatały się po nieprzytomnej głowie. Podpłynęła kolejna fala czarnego dymu. Ostatnim wysiłkiem woli parł w kierunku drzwi. Potem zagarnęła go ciemność.

Harry był gotowy do odjazdu. Służący spakował walizy, a szofer czekał w samochodzie przed rezydencją. Wkrótce ekspres zawiezie go do Nowego Jorku.

Zarezerwował już miejsce na liniowcu odpływającym wkrótce do Europy.

Pociąg odjeżdżał za godzinę, a Harry wciąż nerwowo krążył po holu. Co chwila zerkał na nowy złoty szwajcarski zegarek z dewizką, który kupił przed paru dniami dla poprawienia humoru. Na stoliku w głębi przedpokoju stał telefon.

Milczał jak zaklęty, a od tego jednego sygnału tak wiele zależało. Wciąż kipiał ze złości na myśl o artykule i całą nienawiść skierował na Francie. Czekał teraz na wiadomość, czy powiódł się pierwszy akt zemsty.

Plan był bardzo sprytny. Zniszczyć tego Chińczyka rękami jego rodaków. Wynajął rzezimieszków z chińskiego gangu. Powinni już uporać się z robotą i dać mu znać.

Chyba że coś się nie powiodło. Z pewnością nie ważyliby się uciec z jego pieniędzmi! Sama myśl przeszła go niepokojem.

Minęło kolejne dziesięć minut. Służący przypomniał mu, że pociąg odjeżdża za pół godziny.

- Wiem, do diabła! - warknął. W tym właśnie momencie rozległ się tak długo oczekiwany dźwięk. Harry jednym susem znalazł się przy telefonie. Mężczyzna po drugiej stronie chrypiał niewyraźną angielszczyzną. Ale Harry go zrozumiał. Na twarzy pojawił się grymas uśmiechu.

Bez słowa odłożył słuchawkę i podszedł do drzwi. Zemsta smakowała bardzo słodko.

Z taksówki Francie widziała nad portem czerwoną łunę. Ze wszystkich stron dobiegały sygnały wozów straży pożarnej i policji. Na jezdni utworzył się zator.

- Chyba nie przebijemy się, proszę pani - obojętnie zauważył taksówkarz.

- Błagam, proszę spróbować.

Powoli jechali naprzód. Policjant zatrzymał taksówkę dwie przecznice przed biurami Lai Tsina. Francie wyskoczyła z samochodu i chciała biec w stronę płomieni. Dwóch funkcjonariuszy chwyciło ją za ramiona.

- Puśćcie mnie! - krzyczała nienaturalnym, wysokim głosem. - Mój syn jest tam.

Muszę go zabrać. Puśćcie mnie...

Jakimś cudem wyrwała się i pobiegła wąską uliczką prowadzącą do biur. Ale po chwili cofnęła się pod naporem potężnych fal gorąca. Przed nią było piekło.

Wszystkie budynki płonęły. Blaszane dachy topiły się, okiennice pękały z trzaskiem.

Policja szybko odnalazła Lai Tsina. Po paru minutach stał już obok Francie.

Trzymając ją mocno wyprowadził na bezpieczne miejsce. Drżącym głosem opowiedziała mu o telefonie Sammy'ego. Ollie jest w magazynie. Lai Tsin z niedowierzaniem pokręcił głową.

Nie chciała wsiąść do taksówki, tłumacząc, że musi zostać z synem. W szoku powtarzała te same zdania wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. Dała się jednak posadzić w samochodzie. Lai Tsin przypomniał sobie noc po trzęsieniu ziemi, gdy pierwszy raz spotkał Francie. Wówczas zachowywała się podobnie. Teraz odwoził ją do własnego domu. Ale jeżeli mówiła prawdę, bezwzględny los uderzył znowu.

Mocniej niż poprzednio.

Pomógł jej wejść do sypialni. Wezwano lekarza. Dostała silny środek uspokajający.

- Co zrobimy? - pytała przerażona. Mandaryn siedział przy łóżku, trzymał ją za rękę i czekał, aż lekarstwo zacznie działać. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Z twarzy szarej jak popiół patrzyły na niego ogromne, wystraszone oczy.

- Zostaw to mnie - odezwał się łagodnie. - Odnajdę twojego syna.

Powoli zasnęła. Lai Tsin wstał z ciężkim sercem. Po raz pierwszy od wielu lat czuł dławiący lęk.

Ogień strawił wszystkie magazyny. Strażacy uchronili jedynie sąsiednie budynki innych firm. Akcję ratunkową zakończono po północy. Nic nie zostało z półek pełnych towarów. Później, gdy popioły ostygły, stwierdzono z całą pewnością, że pożar nie był dziełem przypadku: ktoś wylał tyle nafty na podłogi w pomieszczeniach, że wystarczył mocniejszy podmuch wiatru, aby wzniecić ogień.

Akcja ratunkowa nie miała żadnych szans.

Wczesnym rankiem policja odnalazła na pogorzeliśku szczątki dwóch osób: mężczyzny i chłopca.

Lai Tsin nie pozwalał sobie na luksus okazywania uczuć. Cokolwiek działo się w jego sercu, pozostawało zagadką dla innych. Ale tego ranka nie potrafił przybrać żadnej maski. Niema rozpacz malowała się w jego oczach. Francie nie potrzebowała już słów. Wyciągnął do niej rękę, ale odepchnęła go i rzuciła się na łóżko.

- To Harry go zabił! - krzyknęła zduszonym głosem. - To był jego podstęp.

Lai Tsin w milczeniu patrzył na jej zalaną łzami twarz. Pocieszenie nie zda się na nic. Jedynie płacz i upływający czas kiedyś może zagoją rany.

Po raz pierwszy przytulił Francie. Była taka bezradna i krucha. Nie potrafił jej pomóc. Na policzkach poczuł gorące łzy. Czuł się winien. Gdyby przed laty kazał zabić Sammy'ego, Ollie żyłby dzisiaj. Popęłnił niewybaczalny błąd.

W pociągu jadącym do Chicago Harry Harrison czytał nagłówki porannych gazet.

Zadowolenie gdzieś zniknęło, a na twarzy pojawiły się zmieszanie i strach.

Przecież nie zamierzał zabić dzieciaka, powtarzał sobie nerwowo, ocierając pot z czoła. Skąd, u diabła, mógł wiedzieć, że chłopak tam będzie? Powiedziano mu, że mandaryn wyjechał i magazyny zamknięto na noc.

Rozluźniwszy krawat poszedł na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Ale wspaniały zazwyczaj apetyt nie dopisywał mu dzisiaj. Wrócił więc do przedziału i zamówił butelkę burbona. Po paru godzinach kazał służącemu odwołać tygodniową rezerwację w jednym z nowojorskich hoteli. Wsiądzie na pierwszy statek odpływający do Europy, gdziekolwiek, byle dalej od San Francisco i tej nieprzyjemnej historii. Zostanie za granicą tak długo, aż cała sprawa przycichnie.

Rozdział 33

Buck Wingate czekał na Harry'ego w swoim biurze przy Wall Street. Dziewięć lat temu widzieli się ostatni raz. Odmówił mu wtedy występowania jako adwokat w sprawie o zniesławienie. Wówczas całe San Francisco szumiało od plotek na temat przyczyn pożaru, w którym zginął syn Franceski Harrison. W dziennikach pełno było domysłów i spekulacji wokół tajemniczego telefonu, którym zwabiono chłopca do biura. Policja potwierdziła, że podłożono ogień w magazynie. Nikt nie wysuwał konkretnych zarzutów przeciwko Harry'emu, ale wszyscy mówili o nienawiści między nim a jego siostrą. Krążyła też plotka, jakoby Francesca Harrison oskarżyła brata o zamordowanie syna. Harry z nowej willi w Monte Carlo przysyłał wyrazy ubolewania z powodu tragicznych wydarzeń. Dodał jednocześnie, że w czasie tej tragedii znajdował się w pociągu do Nowego Jorku i o wszystkim dowiedział się z gazet.

Dziennikarze zajmowali się sprawą pożaru przez wiele tygodni. Zamieszczono fotografie z uroczystości pogrzebowych, w których uczestniczyli panna Harrison i mandaryn, „jej bliski przyjaciel oraz partner w interesach”. Francie, z twarzą ukrytą pod gęstą woalką, wsparta o ramię Lai Tsina i przyjaciółki, Annie Aysgarth, z trudem trzymała się na nogach.

Buck znał Harry'ego od lat i wcale nie miał pewności, czy młody Harrison nie maczał palców w tej tragedii. Kiedy więc poprosił go o radę w sprawie ewentualnego procesu, powiedział nie owijając w bawełnę:

- Wygrzebią każdy szczegół z waszego życia. A ponieważ twoja przeszłość nie jest nieskazitelna, więc radzę ci, trzymaj się z daleka od sądu.

- O czym ty mówisz - oburzył się. - Nie mam nic na sumieniu... To znaczy - pod twardym, nieustępliwym spojrzeniem Bucka tracił pewność siebie - nie miałem nic wspólnego z tym pożarem, absolutnie nic...

- Przestań - przerwał krótko Buck.

- Myślałem, u diabła, że jesteśmy przyjaciółmi! - Harry hałaśliwie odunął krzesło i wstał. - W takiej sytuacji chyba powinienem poszukać innego adwokata.

- Słusznie - odparł zimno Buck - bo ja na pewno nie tknę tej sprawy.

Od tamtej rozmowy minęło dziewięć lat. I dopiero tego ranka Harry zatelefonował z prośbą o spotkanie w interesach. Dodał, że ma pytanie dotyczące majątku ojca.

Spółka adwokacka Wingate i Syn cieszyła się dobrą opinią i zajmowała pewną pozycję w świecie prawniczym. Dziadek Bucka, Irlandczyk, w wieku dwudziestu lat dorobił się na handlu futrami na Alasce. Kiedy znudziła mu się zimna północ, zajął się budową kolei, potem zaś sprzedażą zboża. Wreszcie zapragnął kształcić się. Ufundował mały college na środkowym zachodzie, a w zamian otrzymał zgodę na podjęcie studiów w wieku trzydziestu dwóch lat. Wiedzę zdobywał równie zachłannie jak przedtem pieniądze. Już po dwóch latach ukończył college z najwyższym wyróżnieniem i zdał egzaminy na wydział prawa uniwersytetu w Harvardzie.

Uzyskawszy tytuł doktora praw, rzucił handel i całkowicie poświęcił się nowej profesji. Ożenił się z córką bogatego człowieka, który, podobnie jak on, zrobił majątek na handlu i spekulacjach. Miał nadzieję, że wychowa wielu synów, którzy rozbudują spółkę adwokacką. Dopiero jednak po trzech córkach przyszedł na świat Jason. Udało się mu rozszerzyć praktykę od Sacramento po San Francisco i Nowy Jork. Teraz jedyny syn Jasona, Buckland Aldrich Wingate, odziedziczył firmę.

Ale Buck zawsze bardziej pasjonował się polityką niż prawem.

Większość spraw związanych z prowadzeniem kancelarii przekazał partnerom, a sam od kilku lat reprezentował w senacie interesy Kalifornii. W kilku ważnych komisjach senackich zajmował się głównie problemami handlu. Uchodził za eksperta w tej dziedzinie.

Jason Wingate nie żył już od paru lat. Na ścianie w kancelarii wisiał naturalnej wielkości jego portret. Patrząc na surową, okoloną siwymi bokobrodami twarz, Buck przypomniał sobie, jak bardzo ojciec pogardzał Harrym. Znał się na ludziach - wszystkie jego przepowiednie dotyczące Harry'ego sprawdziły się co do joty. Ale nie zmieniało to faktu, że Wingate'owie od dawna prowadzili interesy Harrisonów i nic nie zwalniało Bucka od obowiązku rozmowy z Harrym.

Ten spóźnił się jak zwykle. Swobodnym krokiem i z pogodnym uśmiechem na twarzy wkroczył do kancelarii. Zmienił się przez te lata. Utył, starał się ukryć łysinę, lecz wciąż był przystojny i tryskał zdrowiem. Nosił garnitur uszyty przez najlepszego paryskiego krawca. Wszystko na nim lśniło, błyszczało i pachniało dobrą wodą kolońską.

- Witaj, Buck - wyciągnął rękę i obdarzył go promiennym uśmiechem. Postronny obserwator mógłby sądzić, iż rozstali się w najlepszej zgodzie przed tygodniem.

- Przykro mi, że nie przyjechałem na twój ślub. Ale z Monte Carlo było trochę za daleko. Jak miewa się żona?

- Dziękuję, Marianna czuje się znakomicie. - Harry zerknął na oprawioną w srebrne ramki fotografię na biurku. Uśmiechnął się z uznaniem.

- Do diabła, słyszałem, że to piękna kobieta, ale widzę, że prawdziwy szczęściarz z ciebie. Pieniądze, uroda i do tego jeszcze stary ród. Powiodło ci się, chłopie.

- Dziękuję - sucho odparł Buck. - A co u ciebie? Może przyszła pora na jakieś trwałe małżeństwo? - Wszyscy słyszeli o niezliczonych przygodach Harry'ego i romansach z gwiazdkami filmowymi, które zmieniały się jak w kalejdoskopie. Miał tylko nadzieję, że przyjaciel nie właduje się w kolejny kosztowny związek, bo nadszarpnięta fortuna mogłaby tego nie wytrzymać.

Harry jakby nie dosłyszał kpiny.

- Niech piekło pochłonie wszystkie kobiety! - rzucił z niechęcią. - Zwracam się do ciebie o pomoc. Znalazłem się w przejściowych kłopotach finansowych i potrzebuję gotówki. Tylko na krótki okres - dodał szybko. - Wiesz zapewne, co dzieje się teraz na rynku artykułów spożywczych. Straciłem trochę na sprzedaży terminowej kakao. Pomyślałem, że może ruszę drugą połowę kapitału - uśmiechnął się przymilnie. - Pilna pożyczka, Buck.

Wiesz, jak to wygląda.

- O ile pamiętam, nie wolno ci wydawać tych pieniędzy przed czterdziestym rokiem życia. To jeszcze kilka lat...

Harry westchnął dramatycznie. Usiadł wygodnie w fotelu i teatralnie wznosił oczy do nieba.

- To chyba przeszkoda do pokonania. Mój ojciec na pewno poratowałby mnie w potrzebie.

- Kapitał jest zamrożony do dnia, w którym ukończysz czterdzieści lat. Tego właśnie życzył sobie twój ojciec. Obawiam się, że nic w tej sprawie nie zmienię.

Harry westchnął powtórnie.

- Przewidywałem, że tak właśnie powiesz. Ale zawsze mogę pożyczyć pod zastaw, prawda?

- Przy ogromnej stopie procentowej.

Zaciągnął się papierosem i wypuścił w powietrze obłoczek seledynowego dymu.

- Bank Handlowy Harrisonów na pewno udzieli mi paro-milionowego kredytu na bardzo korzystnych warunkach.

Buck pochylił się nad biurkiem.

- Zastanów się dobrze, co chcesz zrobić, Harry. W bankach też obowiązują przepisy. Jesteś właścicielem banku, więc przypuszczam, że to nie będzie posunięcie legalne. Uważaj, abyś nie przeciągnął struny.

Na twarzy Harry'ego pojawił się wymuszony uśmiech. Podniósł się ciężko zza biurka.

- No cóż, dziękuję ci. Te same rady słyszę już od lat od swoich prawników. Ale takie sprawy nie mogą zaważyć na naszej przyjaźni. Przecież znamy się od dziecka. Pamiętasz naszą wyprawę do Paryża? To były czasy, co? Francuzki mają prawdziwą klasę, nawet w burdelu.

- Pamiętam twoje eskapady, Harry. Już przy drzwiach odwrócił się jeszcze.

- Podobno zamierzasz kandydować na prezydenta z ramienia republikanów? Doskonały pomysł. Z Marianną Brattle u boku musi ci się powieść.

Choate, Princeton, Harvard - wspaniała żona i rodzina. Pierwszy ci pogratuluje.

- Uśmiechnął się znowu. - Szkoda, że nic nie załatwiłem dzisiaj. Może innym razem? A może zaprosicie mnie na weekend? Chętnie poznam Mariannę i dzieci. - Na pożegnanie uniósł dłoń do góry i wyszedł, nie zamykając drzwi.

Buck westchnął. Harry Harrison nigdy się nie zmieni.

Marianna Wingate przebywała w Waszyngtonie tylko tak długo, jak wymagały tego towarzyskie obowiązki Bucka. Prawdziwy dom był w Nowym Jorku. Tutaj mieszkali przyjaciele, dzieci chodziły do szkoły, ona zaś uciekała do domu, ilekroć dokuczył jej waszyngtoński prowincjonalizm, co zdarzało się przeciętnie cztery razy w tygodniu.

Ich apartamenty przy Park Avenue zajmowały trzy piętra. Na jednym Marianna urządziła wielki hol ze spiralą dębowych schodów pośrodku. Na ścianach, między srebrnymi świecznikami, wisiały portrety przodków. W wielkim kamiennym kominku jesienią i zimą palił się ogień. Zazwyczaj leżały przed nim trzy wspaniałe wychowane spaniele. Całość do złudzenia przypominała przestronny korytarz w wiejskiej rezydencji. Marianna śmiała się, że jeżeli już dla kariery męża poświęciła się porzucając wieś, to niech przynajmniej ten hol przypomina jej ukochany dom dzieciństwa. Szkoda tylko, że nie może tu trzymać swoich koni.

Na widok Bucka psy leniwie uniosły swe arystokratyczne pyski i zaszczyciły go machnięciem ogona. Nie witały się z nim tak entuzjastycznie, jak z żoną.

Wiedziały, komu należą się największe względy.

Marianna zrezygnowała z lokaja twierdząc, że zatrudniają ich tylko ludzie staroświeccy albo nuworysze. Pokojówka w fartuszku zabrała płaszcz Bucka i powiedziała, że pani wkrótce wróci.

Za holem znajdowały się biblioteka i kuchnia. Na pierwszym piętrze były sypialnie małżonków, osobne garderoby i łazienki oraz mały salonik.

Buck wbiegał szybko na górę. Z łatwością przeskakiwał po dwa stopnie i po chwili znalazł się w pokoju gościnnym. Sześćioletnia Grace Juliet Margaret Brattle Wingate, nazywana w domu Miffy obdarzyła ojca zdawkowym uśmiechem.

- Dzień dobry, tatusiu.

W jej głosie wyczuł dobrze mu znany ton niezadowolenia, którym po mistrzowsku posługiwała się Marianna. Uśmiechnął się szeroko.

- Witaj, Miffy. Czy tak się wita starego spracowanego ojca? Wyciągnął ramiona do córeczki. Łaskawie dała się przytulić i ucałować.

- Naprawdę, tatusiu, jesteś czasami taki wylewny - powiedziała z dezaprobatą.

Wybuchnął śmiechem. Mała nawet powtarzała słowa Marianny.

- A ty odzywasz się jak całkiem dorosła dama. No więc, co się stało? Jakie kłopoty ma moja dziewczynka?

Miffy przyjrzała mu się uważnie, niezdecydowana, czy można go dzisiaj potraktować serio. Jak ładna i podobna do matki jest moja córka, pomyślał. Miała jasne, proste włosy, pełne usta i duże, zielone, ocienione bujnymi rzęsami oczy.

Była wysoka na swój wiek, długie szczupłe nóżki przypominały sarenkę. W jednej chwili stawała się słodka jak miód, jeżeli czegoś potrzebowała. Ale teraz nadętym głosem żaliła się ojcu, że mama kazała jej przebrać się i zejść wieczorem do gości.

- Nie mam ochoty. Wszyscy są tacy cholernie nudni.

- Słyszę, że w szkole panny Bale uczą pięknie mówić po angielsku - odparł z przekąsem.

- Nie chcę do gości - powtarzała uparcie.

Zmarszczył brwi. Wiedział, że Marianna pragnie pochwalić się śliczną, ładnie ubraną córeczką. Chętnie przedstawiłby gościom również Jammiego, ale pięcioletni Jamieson Alexander Buckland Wingate zachorował na świnkę i pod eskortą niani odesłano go do wiejskiego domu w New Jersey.

Na dzisiejszą kolację zaprosili kilku wpływowych polityków i businessmenów, którzy deklarowali poparcie dla partii republikańskiej w nadchodzących wyborach.

Buck miał nadzieję zdobyć ich poparcie również dla własnej kandydatury. Takie rozmowy zazwyczaj odbywały się po dobrym obiedzie w zaciszu biblioteki.

Ciężko pracował na rzecz republikanów w ostatniej kampanii wyborczej, uczestniczył w setkach wieców i spotkań z wyborcami. Marianna bardzo pomagała mu, niestrudzenie podejmując gości, kreując obraz doskonałej żony polityka i matki jego dzieci.

Pani Brattle, zawsze doskonała, nie ulegająca pokusom ani namiętnościom, miała jeden cel - ujrzeć Bucka w Białym Domu. Członkowie jej rodziny zasiadali w senacie od pokoleń, ale jeszcze żaden nie dostał najwyższego zaszczytu. Teraz wszyscy pokładali nadzieje w mężu Marianny. W wieku lat czterdziestu miał poważne szanse, by stać się jednym z kandydatów do prezydenckiego fotela.

Buck uznał, że małej, rozpieszczonej córeczce przyda się trochę dyscypliny.

Zapowiedział więc, że nie będzie bronił jej przed mamą. Wręcz przeciwnie, on też oczekuje, że Miffy w nowej sukience zejdzie do gości i grzecznie z nimi porozmawia.

- A co dostanę za to? - wciąż nie dawała za wygraną.

- Na początek księżyc, potem parę najładniejszych gwiazd...

- Tatusiu! - W głosie dziewczynki zabrzmiało oburzenie. - Wolałabym nową żaglówkę.

Westchnął z rezygnacją- Nie masz w sobie ani krztyny romantyzmu, Miffy. Zupełnie jak matka.

Schodząc na dół zajął do pokoju Marianny. Po urodzeniu córki przeniosła się do osobnej sypialni. „Możemy się przecież odwiedzać, prawda?” - szepnęła z ujmującym uśmiechem, dzięki któremu zawsze osiągała swój cel. Tak samo uśmiechała się Miffy, gdy chciała, aby ojciec kupił jej coś nowego.

W pokoju paliły się lampy, pokojówka zbierała ubrania, które pani rozrzuciła na podłodze. Z łazienki wyłożonej różowym włoskim marmurem wypływały obłoczki pachnącej pary.

- Mogę wejść? - Buck zastukał do drzwi.

- Musisz? Przebierz się już. Goście będą za czterdzieści minut. Wszedł.

Marianna leżała w wannie. Nigdy nie używała czegoś tak pospolitego, jak piana do kąpieli. Specjalnie dla niej sprowadzano z Grasse olejek o subtelnej kompozycji zapachów bzu i dzikiej róży.

- O co chodzi? - spytała niezadowolona, że mąż wtargnął na jej terytorium. - Już jestem spóźniona. Czy możesz podać mi ręcznik?

Przyznał w duchu, że widok Marianny okrytej tylko ręcznikiem niezwykle go rozczarował. W sukniach wyglądała wspaniale, gdyż świetnie tuszowały małe piersi i chudą, wręcz kościstą sylwetkę.

W towarzystwie Marianna była zawsze czarująca, dobrze ubrana i Buck nie pamiętał, aby kiedykolwiek mówiła podniesionym głosem. Była dobrą matką, choć dzieci trzymała raczej krótko. Nadal sypiali czasem ze sobą, ale nie kochał już jej ani trochę - co do tego nie miał żadnych wątpliwości. O, na początku znajomości sądził, że zakochał się bez pamięci. Imponowała mu pewnością siebie i elegancją, tym, iż z gracją jeździ konno i równie swobodnie zachowuje się w każdym towarzystwie. Za Marianną stały całe pokolenia pieniędzy i dobrych szkół, i było to widać.

Może nigdy nie darzył jej miłością, myślał, a jedynie adorował. Przez siedem lat małżeństwa nie mieli przelotnych romansów, jak większość znajomych par. Wydawało się, że całą energię skierowali na karierę polityczną. Mariannie nie zależało na seksie z innymi mężczyznami, ani nawet z własnym mężem, pragnęła jedynie, by pisał się po szczeblach kariery i kiedyś zasiadł w Białym Domu.

- Przebierz się - Marianna wyrwała go z rozmyślań. Płynnym ruchem zakładała biały, jedwabny szlafrok. - Zdecydowałam się dzisiaj na proste dania. Politycy nie lubią wyszukanych potraw. Zawsze niezawodny jest tradycyjny, dobry stek.

Chyba niejedna rzeźnia w Chicago utrzymałaby się, dostarczając mięso tylko dla polityków. Chateau Leyoville Las Cases, to najlepsze czerwone wino do steków.

Boże, spójrz na zegarek, Buck. Idź już do siebie.

- Odwiedził mnie dzisiaj Harry Harrison. Szybko podniosła głowę.

- Jakież kłopoty?

- Z nim zawsze są kłopoty, od kiedy zginął jego ojciec. Chciał podjąć swój kapitał, ale nie zgodziłem się. Na szczęście przepisy są jednoznaczne.

- Bardzo dobrze - rzuciła Marianna. - Słyszałam, że wydaje pieniądze na nieciekawe kobiety.

Stała przed lustrem i jej uwagę niepodzielnie pochłonęła kwestia naszyjnika na wieczór. Nie zdecydowała jeszcze, czy włożyć perły, czy też rodowe diamenty Brattle'ów. Mąż i Harry przestali dla niej istnieć. Buck westchnął i poszedł do siebie. Tego popołudnia nie miał szczęścia do swoich pań. Żadna nie okazała mu zainteresowania.

Punktualnie o pół do ósmej byli gotowi na przyjęcie gości. Ogień w kominku palił się jasnym światłem, psy pochrapywały, Marianna wyglądała po królewsku w jedwabnej czerwonej sukni z dekoltem w kształcie serca, eksponującym wspaniałe diamenty.

- Pomyślałam, że warto im przypomnieć, z kim mają do czynienia - szepnęła, poprawiając mężowi czarny krawat. Zerknęła szybko w wysokie lustro. - Wyglądamy wspaniale, Buck. Nie znajdą przystojniejszego kandydata.

Ostatni przybył przewodniczący Izby Reprezentantów z małżonką.

- Przekazuję pozdrowienia od prezydenta - ucałował miękki policzek Marianny. - Twierdzi, że wasze rodziny znają się od dawna.

- To prawda - roześmiała się. - Zdaje się, że dziadkowie chodzili razem do szkoły.

Mężczyznom podano whisky, choć zazwyczaj nie popierała picia przed obiadem.

Panie sącyły szampana. Potem pojawiła się mała Miffy. Ukłoniła się grzecznie, po czym bezbłędnie wybrała jednego z najważniejszych gości, wdrapała mu się na kolana i kokietowała przymilnym uśmiechem. Ten dzieciak ma niesamowitą intuicję, pomyślał Buck. Przez chwilę podejrzewał, że może Marianna poinstruowała dziewczynkę, ale szybko uznał, iż to nie było w jej stylu. Ona jednak miała klasę.

Obiad, wedle zapewnień żony, był tradycyjny: po zupie podano rybę, sery, wołowinę, czekoladowy deser, wszystko doskonale przyrządzone. Na stole pojawiły się też najlepsze francuskie wina. Zaraz po obiedzie Marianna zabrała wszystkie panie do salonu, gdzie mogły spokojnie rozmawiać o dzieciach, wiejskich domach, służbie i najnowszych żaglówkach mężów. Panowie natomiast w towarzystwie Bucka udali się do biblioteki, gdzie usiedli w głębokich skórzanych sofach przy kieliszkach porto.

Około jedenastej już omówiono zasadnicze sprawy. Businessmeni zgodzili się hojnie wspierać fundusz partii republikańskiej, nie zapominając o poparciu dla senatora Wingate'a. Buck w zamian zapewnił, że będzie miał wzgląd na ich interesy. W stosownym czasie nie odmówią mu poparcia w kampanii o najwyższy urząd w państwie. Ale to jeszcze odległa przyszłość. Na razie Marianna miała powody do zadowolenia.

Rozdział 34

Mały spacerowy packard Annie Aysgarth zmierzał po zalesionych drogach doliny Sonoma do rancza de Soto. W minionych latach Francie wciąż dokupywała ziemię i czterdziestoakrową posiadłość zamieniła w stutrzydziestoakrowy majątek, gęsto usiany koloniami srebrzystych brzoź i cienistych dębów. Liczne stada czerwonych krów na pastwiskach strzegli meksykańscy chłopcy. Stary drewniany dom otaczały teraz równiutkie rzędy winorośli, wśród których widniały niesforne krzewy róż.

Teraz, późnym latem, kwitły po raz drugi. Francie zasadziła je, bo strzegły winogrona przed atakiem szkodników, ale z czasem róże stały się jej równie drogie. Wybudowała też domy dla Zocco i Esmeraldy, zarządcy i robotników pracujących w winnicy.

Wszystkie lata po śmierci Olliego spędziła na ranczo. Dreszcz przeszywał Annie na wspomnienie pierwszych miesięcy po tragedii. Francie uciekła z San Francisco i zaszła się na wsi, w całkowitym odosobnieniu, jak ranne zwierzę szukające miejsca, aby umrzeć. We śnie i na jawie przeżywała wciąż wydarzenia tej straszliwej nocy, a przyjaciele obawiali się, że postrada rozum.

Przez dwa lata nie opuszczała rancza. Zocco i Esmeralda opiekowali się nią, ale z nikim nie chciała rozmawiać. Annie dłużej nie wytrzymała. Również ciężko przeżyła śmierć Olliego, lecz M praktyczna i aktywna z natury, nie potrafiła już znieść beczynności, pewnego dnia, zupełnie zdesperowana, pojechała na ranczo i wpadła jak burza do kuchni.

Francie siedziała w bujanym fotelu przy piecyku. U jej stóp leżały psy Olliego.

Obojętnie uniosła głowę na dźwięk otwieranych drzwi.

- Proszę! - krzyknęła Annie. Chwyciła z półki strzelbę i rzuciła ją na stół. - Lepiej zastrzel się od razu zamiast umierać całymi miesiącami. Nie ścierpię tego dłużej, Francie Harrison! Nie mogę patrzeć na twoją twarz. Kochałam Olliego chyba nie mniej niż ty. Ale jego nie ma, słyszysz? Nie ma i już nigdy nie będzie! Jesteś młoda, zdrowa i bogata. W San Francisco są setki, może nawet tysiące biednych, chorych dzieci, których nikt nie chce. Mogłabyś im pomóc. Ale jeżeli wolisz umrzeć, zrób to od razu i uwolnij nas od tej męki...

Głos Annie załamał się i załapała się łzami.

- Boże, co ja powiedziałam... jak mogłam być taka okrutna. Przepraszam. Uwierz mi, nie chcę, żebyś umierała, tylko proszę, wróć do nas.

Francie podeszła do stołu. Podniosła strzelbę, której Zocco używał do polowania na kosa. Otworzyła magazynek, sprawdziła coś, a potem powoli wycelowała w przyjaciółkę. Annie zamarła. Z przerażenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Kuchenny zegar głośno odmierzał sekundy. Wreszcie Francie rzuciła strzelbę i powiedziała spokojnie.

- Zupełnie nie znasz się na wiejskim życiu. Broń jest nie naładowana.

Annie objęła ją ramionami.

- O Boże, Boże - szepnęła zdławionym głosem. - Nie chciałam tak powiedzieć, naprawdę. Tylko czuję się zupełnie bezradna.

Francie spojrzała przez okno na dach stajni, od którego odbijały się ukośne promienie słońca.

- Przejdźmy się. Chcę zobaczyć konia Olliego. Biedak, nikt nie troszczy się o niego.

Annie patrzyła ze wzruszeniem, jak przyjaciółka pieszczotliwie gładzi pysk i chrapy posiwiąłego konia. Jej gwałtowny wybuch zrobił pierwszy wyłom w murze rozpaczy i zobojętnienia, którym Francie odgradziła się od świata. Rozpoczął się długi i powolny powrót do życia.

Tego samego roku Francie i mandaryn założyli Fundację im, Oliviera Harrisona, pomagającą chorym i biednym dzieciom. Właściwie wszystkim zajmowała się Francie.

Co tydzień odwiedzała nowy oddział szpitala dziecięcego, zbudowany przez fundację. Przynosiła zabawki, czytała małym pacjentom książki, całymi godzinami siedziała przy łóżeczkach najciężej chorych dzieci i pocieszała strapionych rodziców. Pomagała także najuboższym chińskim rodzinom, zwłaszcza tym, które z braku mieszkań gnieździły się w strasznych warunkach. Uchroniła niejedno chińskie dziecko przed niewolniczą pracą w fabryce. Kupowała podręczniki dla szkół i fundowała stypendia dla biednych dzieci z rodzin emigrantów, aby mogły zdobyć wykształcenie. Ciężko pracowała przez wiele miesięcy. Nie zabiegała o popularność. Wręcz przeciwnie, jej nazwisko rzadko pojawiała się w gazetach, choć o działalności fundacji pisano wiele. Wreszcie, ogromnie zmęczona, uciekała na swoje ukochane ranczo.

Nową pasją Francie stały się winnice. Annie patrzyła z uśmiechem na całe akry równiutko posadzonych krzewów. Każdy Ustek wypielęgnowała troskliwa ręka właścicielki. Produkowali zaledwie trzy tysiące butelek wina z jednych zbiorów, ale łagodne czerwone wino smakowało wyśmienicie.

- Może być jeszcze lepsze - orzekła Francie niezadowolona, oprowadzając przyjaciółkę po winnicy. Podniosła grudkę czarnej, tłustej, urodzajnej ziemi. - Popatrz tylko. Czy we Francji jest lepsza gleba? Tutaj świeci to samo słońce, spada tyle samo deszczu. Więc dlaczego nie udaje mi się zrobić równie dobrego wina?

W błękitnych oczach tańczyły ogniki, jakich Annie nie widziała już od lat.

- Lepiej spytaj Francuzów. Ja nie znam się na tym - zażartowała ze śmiechem, gdyż wiedziała, że Francie teraz nie podróżuje. - Ale zanim wybierzesz się do Europy, może przyjedziesz w przyszłym tygodniu na przyjęcie? - Ale przyjaciółka stała jakby nieobecna, ze wzrokiem utkwionym w płynących na horyzoncie pierzastych obłokach. - Najwyższy czas, abyś zrobiła coś dla siebie, Francie.

Dobre uczynki są bardzo chwalebne, lecz Pan Bóg na pewno nie wymaga, abyśmy ciągle zajmowali się innymi.

Annie miała wielu przyjaciół i znajomych, królowała w hotelowym światku San Francisco. Wszyscy chcieli ją poznać i zaprzyjaźnić się. Nagły żal i zazdrość szarpnęły sercem Francie. Odpowiedziała szybko:

- Dobrze. Przyjadę.

Z trudem powstrzymała się od śmiechu na widok zaskoczonej miny Annie. Ale później, pakując bagaże na podróż, poczuła lęk. Od długiego czasu prowadziła życie zakonnicy. San Francisco rozrosło się i stało pulsującą życiem metropolią.

Wracając do domu po obiedzie u Annie, patrzyła z zazdrością na tłumy przechodniów. Czuła się znowu jak mała dziewczynka, która z noskiem przyciśniętym do okna kawiarni obserwowała „prawdziwe życie”.

W nadchodzącym tygodniu prezydent wydawał wielkie przyjęcie, pragnąc podziękować mieszkańcom stanu Kalifornia za poparcie jego partii w kampanii wyborczej.

Miasto wypełniło się przyjezdnymi i każdy pokój w hotelu Annie był na wagę złota. Przez lata gościła u siebie wielu waszyngtońskich polityków. Przed balem zaprosiła stałych bywalców na lampkę szampana w prywatnym saloniku.

- To moje przyjęcie inauguracyjne - szeptała podnieconym głosem do ucha przyjaciółki. Drobnymi ruchami wygładzała brązową koronkową suknię. - Czy wyglądam jak Pierwsza Dama hotelowego/imperium?

- Prezentujesz się wspaniale - szczerze odparła Francie. Lśniące brązowe włosy Annie łagodnymi falami otaczały okrągłą twarz o wspaniałej cerze. Oczy lśniły pełnym oczekiwania blaskiem, jak u małej dziewczynki, której obiecano pierwszą w życiu wycieczkę do kina. Głęboki dekolt odsłaniał pełną szyję, ozdobioną podwójnym sznurem szmaragdów.

- Nie mogę konkurować z diamentami gości - zwierzała się żartobliwie. - Jestem przecież tylko biedną hotelarką - mrużyła oczy rozbawiona na myśl o rachunkach, jakie musieli płacić goście w jej hotelu.

Ale uczciwie zarabiała swoje pieniądze. Goście otrzymywali wszystko w najlepszym gatunku; podawano szampana Roederer, którego pijał podobno rosyjski car, niezrównany perski kawior, wędzonego łososia ze Szkocji i homara z wybrzeży Maine.

- Panno Aysgarth, proszę przyjąć wyrazy najwyższego uznania - rozpromieniony prezydent ścisnął jej dłoń. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek jadł lepszy obiad w Białym Domu.

W sali pełno było pięknych i świetnie ubranych kobiet, ale wszyscy zwrócili oczy na Annie. Nawet ze szmaragdami i przy wtórze strzelających korków od szampana pozostała nadal tą samą serdeczną, prostą, czasem może zbyt hałaśliwą dziewczyną z Yorkshire. Ale właśnie taką Annie Aysgarth wszyscy kochali.

Francie była skrupowana. Odwyła już od spotkań w licznych towarzystwie, zdawkowych uprzejmości i rozmów z nieznanymi ludźmi. Przyjaciółka przedstawiła jej kilku gości, ale większość czasu Francie stała samotnie w pobliżu drzwi z kieliszkiem szampana w dłoni.

Marianna Wingate zauważyła ją, ale szybko zdecydowała, że nie jest to ważna osoba godna zainteresowania.

Buck natomiast nie mógł oderwać od niej oczu. Zaintrygowała go ta piękna kobieta, która najwyraźniej czuła się obco na przyjęciu. Wyglądała tajemniczo i nieprzystępnie w spowijającej ją niczym obłok szarej, szyfonowej sukni. Ale Buck, choćby najbardziej romantycznie usposobiony, zawsze wyczuł pieniądze, więc dostrzegł od razu, że perły pięknej nieznanym wartę były majątek. Przeszedł przez salę i uklonił się z uśmiechem.

- Wygląda na to, że chce pani jak najszybciej uciec. Czy jest aż tak nudno?

Francie rzuciła mu przerażone spojrzenie. Opanowała się jednak szybko.

- O nie, to wspaniałe przyjęcie. Prawdziwy triumf Annie Aysgarth.

- Buck Wingate - wyciągnął rękę. Zaczerwieniona, lekko musnęła jego dłoń palcami.

- Francesca Harrison.

Tym razem on był zaskoczony.

- Ależ ja znam pani brata - powiedział głośno. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że popełnił gafę. Francie zacisnęła usta, oczy pociemniały jej z gniewu. Nic nie odpowiedziała. Buck jednak, chcąc usprawiedliwić się, brnął dalej: - Mój ojciec był prawnikiem Harmonda Harrisona. Teraz moja kancelaria prowadzi interesy jego syna.

Francie skinęła głową bez słowa.

Sam nie rozumiał, dlaczego właściwie tłumaczy się przed tą kobietą. Przecież ona i jej brat nic go nie obchodzą.

- Nie wybierałem Harry'ego jako swego klienta. Można powiedzieć, że go odziedziczyłem. Takie grzechy naszych ojców...

Zawiesił głos patrząc na nią w napięciu. Odetchnął z ulgą, gdy powiedziała z uśmiechem:

- Nie musi mnie pan przepraszać za znajomość z bratem. To pana zmartwienie, nie moje.

Chciał szybko zmienić temat rozmowy. Pamięć podsuwała mu wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Francesce Harrison: czy to nie ona była konkubina jakiegoś bogatego Chińczyka i współwłaścicielką multimilionowej spółki handlowej?

I ta tragiczna śmierć syna w pożarze przed paru laty... Te tragiczne wydarzenia nie zostawiły śladu na młodej, pięknej, nieskalanej ani jedną zmarszczką twarzy.

Jakaż ona piękna, pomyślał...

- Przepraszam za niedyskrecję, ale cóż pani robi w towarzystwie tych wszystkich polityków? - wykonał zamaszysty ruch ręką w kierunku zgromadzonych na sali ludzi.

- Annie Aysgarth to moja stara przyjaciółka. Chciała pokazać mi swoich gości.

- To pasuje do niej - roześmiał się. - Lubi pochwały. Zwłaszcza za puddingi Yorkshire.

Francie odpowiedziała uśmiechem.

- Są najlepsze i chyba najdroższe po tej stronie oceanu. Ale Annie jest warta o wiele więcej niż jej wspaniała kuchnia.

- Zgadzam się. Znamy się ponad dziesięć lat. Jak to się stało, że nigdy nie spotkałem pani?

Z niedowierzaniem uniosła brwi. W jej głosie brzmiało rozgoryczenie.

- Przecież jestem marnotrawną córką Harrisona, żyjącą w grzechu z chińskim kochankiem przy Nob Hill, dokładnie naprzeciw wspaniałego brata. Mnie nic nie mówi się prosto w oczy, panie Wingate. Za to bardzo dużo plotkuje się za moimi plecami.

- Buck? - usłyszał tuż za sobą głos żony.

- Pozwól, Marianno, to panna Harrison.

- Doprawdy? - skinęła głową, mierząc Francie lodowatym wzrokiem. - Dobry wieczór. - Nie podała jej ręki i całkowicie ignorując zwróciła się do męża. - Obawiam się, że musimy już iść. Spóźnimy się na bal. - Przepłynęła przez drzwi nie obdarzając Francie ani jednym spojrzeniem.

Buck był zmieszany.

- Proszę wybaczyć, panno Harrison. Czasami moja żona ma gorsze maniery niż nasza sześciolatnia córka.

Wzruszyła ramionami.

- O mnie proszę się nie martwić, panie Wingate. - Odwróciła się i odeszła.

Buck śledził jej płynne, lekkie kroki. Suknia jak obłok falowała wokół smukłego ciała, w świetle lampy włosy lśniły złotym, delikatnym blaskiem, a perły mieniły się odcieniami bieli. Pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej i równie samotnej kobiety.

Francie nie chciała dłużej tu zostać. Zaraz po przyjęciu powiedziała Annie, że boli ją głowa i musi jechać do domu.

Przyjaciółka popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- No, ale przynajmniej zrobiliśmy pierwszy krok. Teraz będzie już łatwiej.

Annie zdziwiła się, gdy rano zatelefonował Buck Wingate, a jeszcze bardziej zdumiała się pytaniem o Francie.

Znała Bucka już od wielu lat. Na stałe mieszkał w Sacramento, ale ilekroć przebywał w San Francisco - a zdarzało się to kilkanaście razy w roku - zatrzymywał się w jej hotelu. Początkowo nie darzyła go zaufaniem. Sądziła, że tak czarujący i przystojny mężczyzna musi być zepsuty do szpiku kości. Lecz nie uganiał się za kobietami, choć miał ku temu wiele okazji, a wszyscy mówili, że jego żona jest zimna jak ryba. Od lat zaangażował się w działalność polityczną, był jednym z najmłodszych senatorów i wróżono mu szybką karierę. Skąd nagle to zainteresowanie Francie?

- Marianna wyjechała do domu - wyjaśnił. - Zostaję do jutra w San Francisco, więc pomyślałem, że może uda mi się zaprosić panią na kolację. Samotność źle na mnie działa - westchnął obłudnie. - Gdyby panna Harrison również przyjęła zaproszenie, czułbym się podwójnie zaszczycony.

- Nie wiem, czy będę miała czas dziś wieczorem - odpowiedziała. Nie miała zwyczaju owijać niczego w bawełnę. - Ale zadzwonię później.

Zarzuciła płaszcz i zajrzała do pokoju przyjaciółki.

- Co takiego powiedziałaś Buckowi Wingate, Francesco Harrison? Wygląda na to, że zadurzył się w tobie! - Z rękami złożonymi na piersiach oparła się o ścianę i usiłowała zrobić groźną minę.

- Zadurzył? - Francie zaczerwieniła się. Zdarzyło się to po raz pierwszy od czasu historii z Edwardem Strattonem. - Chyba się pomyliłaś. Powiedział, że zna Harry'ego, więc zachowałam się bardzo niegrzecznie. Potem przedstawił mi żonę, która była jeszcze bardziej niegrzeczna dla mnie.

- Marianna Wingate jest niemiła wobec wszystkich, chyba że ktoś może jej się przydać - odparowała Annie. - A Buck nie czuł się chyba urażony, bo proponuje nam wspólną kolację i to bez towarzystwa żony. Wydaje mi się, że mnie zaprosił tylko z grzeczności, a tak naprawdę chodzi mu o twoją obecność.

- W takim razie podziękuj mu uprzejmie, ale nie skorzystam z zaproszenia - odparła szybko Francie. - Czyż nie mam dość kłopotów bez męża Marianny Wingate?

- To prawda - zgodziła się Annie. - Chciałam tylko, żebyś wiedziała, iż świat nadal interesuje się tobą. Jeżeli Buck Wingate jest oczarowany, może się to przydarzyć innym mężczyznom. Tylko nie stroń od ludzi jak pustelnica.

Francie potrząsnęła głową. Wiedziała już, że jej życie zawsze układa się inaczej niż innym. Szczęście, małżeństwo najwidoczniej nie były jej przeznaczone. Ale mimo to całą drogę powrotną na ranczo myślała o Bucku.

Obraz samotnej, pięknej kobiety w szarej sukni towarzyszył Buckowi przez wiele dni. Nie był jednak człowiekiem poddającym się sentymentom. Ponadto nie robił niczego połowicznie. Bez reszty poświęcił się karierze politycznej. Z czasem okoliczności i wrodzony anglosaski pragmatyzm przytemperowały nieco młodzieńczy idealizm, ale nigdy nie przestał traktować pracy senatora jako służby dla społeczeństwa. Dlatego często złościło go celebrowane przez Mariannę życie towarzyskie, nieustanne rauty, obiady i kolacje, które jak twierdziła, „są konieczne dla twojej kariery, kochanie”.

Ich dom w parkowej dzielnicy Georgetown był zawsze pełen ludzi. Zazwyczaj w porze lunchu odwiedzały Mariannę panie z przeróżnych komitetów dobroczynnych.

Popołudniowe herbatki urządzano dla gości, którzy mogli okazać się przydatni dla dalszej kariery Bucka. Natomiast na słynne kolacje przy świecach zapraszano wpływowych polityków i businessmenów. Marianna ze śmiechem opowiadała mężowi historie zasłyszane od przyjaciółek, jak to niektórzy dalsi znajomi uciekali się do przekupstwa, aby tylko zdobyć zaproszenie do państwa Wingate.

Buck spoglądał na żonę królującą za wspaniałym stołem, nakrytym srebrną osiemnastowieczną zastawą i oświetlonym blaskiem smukłych świec w kryształowych świecznikach. Na tym tle doskonale wyglądały bukiety kremowych róż. Marianna, upewniwszy się, że wszystko doprowadzono do perfekcji, przystępowała do głównego zadania, a mianowicie „urabiania” gości. Była w swoim żywiole.

Ogarnął wzrokiem gości. Nikogo nie mógł nazwać przyjacielem. Nagle poczuł się bardzo samotny i zmęczony, jak ta kobieta w szarej sukni...

- Zaprośmy przyjaciół do Broadlands na święta Bożego Narodzenia - zaproponował nieoczekiwanie. Przyjęcie skończyło się już przed godziną i teraz rozmawiali w sypialni Marianny. Widział twarz żony w lustrze. W różowym jedwabnym peniuarze siedziała przy toalecie. Uśmiechnęła się i tym razem prawdziwa radość zajaśniała w jej oczach. Wiedział, że dom rodzinny w Broadlands Marianna kocha prawdziwą, bezinteresowną miłością. Tę posiadłość odziedziczyła po dziadku.

- To cudowny pomysł, kochanie. Boże Narodzenie na wsi, z przyjaciółmi i dziećmi, wspaniale... Jutro przygotuję listę gości i zawiadomię panią Morton, że przyjeżdżamy.

- Powinniśmy więcej czasu poświęcać dzieciom - powiedział poważnie. - W ogóle ich ostatnio nie widuję.

Westchnęła.

- To prawda, ale w tym małym domu nie ma miejsca dla nas wszystkich. Dzieciom jest znacznie lepiej z nianią i guwernantką. Nie opuszczają szkoły. Tutaj i tak jesteśmy zajęci. - Rozciągnęła się na łóżku. - Pod koniec dnia marzę tylko o spaniu. Pomyśleć, że jutro czekają mnie co najmniej trzy spotkania...

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Pomyślał, że piękne zielone oczy Marianny są puste i zimne jak lód. Pragnęła jedynie zaspokoić swoje ambicje jako żona wpływowego polityka. Najchętniej poprosiłby ją o rozwód. Ale przecież mieli dzieci i dla kariery taka decyzja mogła okazać się fatalna. Powiedział więc tylko:

- Dobranoc, Marianno - i cicho zamknął za sobą drzwi.

Buck uwielbiał Nowy Jork przed Bożym Narodzeniem. Mikołaje spacerowali przed dużymi sklepami i srebrzystymi dzwoneczkami zapraszali klientów do środka. W mroźnym powietrzu unosił się wspaniały zapach pieczonych kasztanów, które oferowali uliczni sprzedawcy. Mocniej owinał szyję szalikiem. Przed oczami stanęły mu sceny z wczesnego dzieciństwa: dom w Nowej Anglii, gdzie zawsze spędzali święta, zamrznięty staw, starą blaszaną tacę, na której dzieci zjeżdżały z oblodzonego stromego wzgórza. Na rogu Piątej i Pięćdziesiątej Dziewiątej w witrynie sklepu z zabawkami pędziły nakręcane kolejki, unosząc w wagonikach puchate, pluszowe misie. Przypomniał sobie ten nastrój podniecenia i pełnego emocji oczekiwania, które przeżywał zawsze w świąteczny poranek. Na kominku płonął wielki ogień, za oknem wirowały białe płatki śniegu, a każdy z prezentów krył tajemnicę. Z kuchni ulatywał zapach pieczonego indyka. Wszyscy śmiali się, dzieci wbiegały po drewnianych schodach na pachnący jabłkami strych.

Gdyby tak cofnąć czas i zacząć wszystko od początku...

Buck Wingate był chyba ostatnią osobą, którą Francie spodziewała się ujrzeć w Nowym Jorku. Obserwowała go przez chwilę, zapatrzonego w wystawę. Zastanawiała się, czy podejść, ale w tym momencie odwrócił się. Nie miała już odwrotu.

- Czy pan mnie pamięta? - zapytała nieśmiało. - Francesca Harrison, poznaliśmy się na przyjęciu u Annie Aysgarth w San Francisco - wyciągnęła rękę. - Nie chciałam przeszkadzać. Przypominał pan małego chłopca z nosem przyklejonym do szyby, który marzy o nakręcanej kolejce.

Jego również zaskoczyło to spotkanie. Francie pięknie wyglądała w kremowym długim płaszczu i ogromnym kołnierzu z lisa. Z lekko zaróżowionej od mrozu twarzyczki patrzyły na Bucka te same ogromne, błękitne oczy. Uśmiechnął się.

- Ma pani rację. Wspominałem święta sprzed lat, które nigdy już nie wrócą. - Ujął jej rękę, czując miękkie ciepło skóry pod zamszową rękawiczką. - Oczywiście, że panią pamiętam. - Nie powiedział „Jakże mógłbym zapomnieć”, ale wyczytała to w jego oczach i zmieszana odwróciła wzrok.

- Czy pani również przyjechała do Nowego Jorku po zakupy świąteczne? - zapytał, uwalniając jej dłoń. Skinęła głową.

- Mam również inne sprawy. Spółka Lai Tsin poszukuje tu terenów pod budowę i muszę zebrać wstępne informacje.

Zerknął na kolorowe paczuszki i powiedział ze smutkiem.

- Wygląda na to, że ma pani więcej szczęścia niż ja. Nadal nie udało mi się kupić prezentu dla Marianny.

Francie pomyślała o chłodnej, eleganckiej, pewnej siebie żonie Bucka.

- Może biżuteria? - podsunęła. Uśmiechnął się szeroko.

- Wykluczone. Jeszcze jedna para kolczyków i mogłaby zastąpić choinkę, zawieszoną ozdobami.

Roześmiała się.

- Wiem, co chciałabym dostać na miejscu pańskiej żony. Przed chwilą zobaczyłam coś absolutnie cudownego.

- Proszę mi pokazać - szybko zaproponował. Nie myślał wcale o prezencie dla Marianny. Liczyło się jedynie to, że dłużej będzie w towarzystwie tej fascynującej kobiety.

Po przeciwnej stronie Piątej Alei znajdowała się malutka galeria. W oknie wystawiono portret dziewczynki, pędzla Morisota. Miała jasne włosy, poważną buzię i ciemne oczy, w których zachwyt łączył się z oczekiwaniem i lękiem, że rzecz, na którą patrzy, zniknie. Francie westchnęła.

- Prawda, że malarz uchwycił całą istotę dzieciństwa? - W milczeniu skinął głową. Znowu pomyślał o świętach w swoim domu rodzinnym i o fascynacji, która go wtedy ogarniała.

- Obawiam się jednak, że nie jest to prezent w stylu Marianny - westchnął. - Raczej zdecyduję się na biżuterię.

Była dopiero czwarta, ale zapadał już wczesny, grudniowy zmrok. W powietrzu kołysały się płatki wilgotnego śniegu. Buck spojrzał w niebo.

- Chyba rozpada się na dobre. Zapraszam panią na herbatę. Chciałbym podziękować za pomoc...

- Nie mogę, mam jeszcze tyle spraw do załatwienia - gorączkowo szukała wymówki, choć z ogromną ochotą wypiłaby z nim herbatę.

Wiedział, że Francie nie ma żadnych planów na przedświąteczne czwartkowe popołudnie.

- Nie przyjmuję odmowy do wiadomości - stwierdził stanowczo. Ujął ją pod ramię i poszli wzdłuż Piątej Alei do ulubionej herbaciarni Bucka.

Z trudem znaleźli wolny stolik. Zewsząd dobiegał gwar ożywionych rozmów, ludzie w przyjemnym, przedświątecznym nastroju odpoczywali po zakupach. W głębi sali grał kwartet skrzypcowy i dźwięki muzyki mieszały się ze śmiechem dzieci, podekscytowanych wizytą w lokalu, czekoladowym ciastem i lodami.

Francie poczuła nagły dreszcz. Przez sekundę ujrzała twarz Olliego i słyszała jego beztroski śmiech. Od czasu śmierci syna z trudem zносиła święta Bożego Narodzenia. Wyjeżdżała z San Francisco, by uciec od wspomnień. Choć nie zawsze jej się udawało. OUIe byłby już dorosłym młodym człowiekiem i może właśnie z nim piłaby teraz herbatę.

Popatrzyła na Bucka pociemniałymi ze smutku oczami. Wydawało się, że wiedział, o czym myślała. Najchętniej przytuliłby ją jak małą dziewczynkę i pocieszył, że wszystko będzie dobrze. Wyglądała tak bezbrinnie.

- Dzieci świetnie się bawią - powiedziała z miłym uśmiechem. - Raz w roku mogą jeść tyle słodczy, ile dusza zapagnie.

- A co my zamówimy? - podjął. - Lody? A może słynne czekoladowe ciasto? Chyba że woli pani coś konkretniejszego. Podają tu wspaniałe kanapki z ogórkiem.

Roześmiała się, widząc jego poważną minę. Smutny nastrój rozwiął się nagle.

- Uwielbiam grzanki. Sądzi pan, że mogłabym je tutaj dostać?

- Znakomicie. - Przywołał kelnera. - Nie do wiary, ile dowiedziałem się przez godzinę! Wiem już, że kupuje pani parcelę na Manhattanie, co chciałaby pani dostać na gwiazdkę, a nawet, co pani jada na podwieczorek. Proszę uważać, bo niedługo poznam wszystkie sekrety.

- Nie mam sekretów - rozłożyła dłonie. - Ludzie chyba wiedzą o mnie wszystko.

Potrząsała głową.

- Pozwoli pani, że nie uwierzę. Na pewno bardzo niewiele osób zna prawdziwą Francie Harrison.

Spojrzała na niego, lekko zaniepokojona. Był stanowczo zbyt spostrzegawczy. Ani się spostrzegła i już rozmawiali o najbardziej osobistych sprawach, o których od dawna z nikim nie mówiła. Jednak przyznała, że jest wyjątkowo przystojny. Annie powiedziała nawet kiedyś, że za przystojny, i chyba miała rację. Lekko posiwiałe skronie dodawały mu tylko uroku. Wokół ust czaiły się drobne zmarszczki, najwyraźniej od śmiechu, a ciepłe, brązowe oczy zdradzały wrażliwy charakter.

Kelner przyniósł herbatę i gorące grzanki ze świeżutkim masłem. Buck zmienił temat i zaczął mówić o swojej pracy. Opowiadał, że polityka fascynowała go od wczesnej młodości, a teraz niepodzielnie zawładnęła jego życiem. Nie miał nawet czasu dla własnych dzieci. Lękał się, że w czasie świąt potraktują go jak kogoś obcego.

- A gdzie pani spędzi Boże Narodzenie?

- Jak zwykle - na ranczo, z Annie i Lai Tsinem. - Spojrzał na nią badawczo.

Nikomiu jeszcze nie tłumaczyła, co łączy ją z Lai Tsinem, choć ludzie snuli najróżniejsze domysły. Ale teraz powiedziała: - To mój przyjaciel.

Buck skinął głową.

- Zazdroszczę mu tej przyjaźni.

Nie pozwoliła, by odprowadził ją do hotelu. Długo patrzył na drobną sylwetkę, niknącą w tłumie przechodniów. Nadal pozostawała zagadką. Może mylił się. Może to nie Francie, ale o n sam jest tak bardzo samotny...

Kilka dni przed świętami na Nob Hill dostarczono pięknie opakowaną przesyłkę, do pani Harrison. Niecierpliwie rozwiązywała szkarłatną wstążeczkę. Wewnątrz znalazła portret dziewczynki z nowojorskiej galerii i karteczkę zapisaną ręką Bucka: „Ten obraz powinien należeć do pani. Będę myślał o pani w Boże Narodzenie”.

Delikatnie pogłaskała palcami rzeźbioną ramkę. Portret wydawał się jeszcze piękniejszy, niż gdy ujrzała go pierwszy raz. Pomyślała o Bucku, który kupił jej taki prezent i napisał „będę myślał o pani...”

Szybko wstała i położyła obraz na biurku. Nie, to stanowczo zbyt drogi podarunek. Nie dopuści, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Buck na pewno zapomni o niej w święta, które spędzi z rodziną i przyjaciółmi w wiejskim domu, oddalony o trzy tysiące mil.

Usiadła przy biurku. Pisanie listu szło jej opornie. Podziękowała za piękny i kosztowny prezent. A w dowód swej wdzięczności, w imieniu Bucka ofiarowała zabawki i słodczyce wychowankom z kilkunastu sierocińców w całym stanie. Na pewno ucieszy go myśl, że tylu dzieciom sprawił radość.

Portret dziewczynki już zawsze stał na biurku Francie. Patrzyła nań przed zaśnięciem.

Święta w Broadlands były tradycyjne i eleganckie, jak wszystkie uroczystości organizowane przez Mariannę Wingate. Wysoki świerk, przystrojony aż po wierzchołek połączanymi szyszkami, jarzył się światłem maleńkich czerwonych świeczek. Stosy ładnie opakowanych prezentów piętrzyły się pod choinką. We wszystkich pokojach w kominkach płonęły grube polana wysuszonego drewna.

Marianna zaprosiła brata z żoną i dziećmi oraz kilkunastu republikańskich polityków z małżonkami.

- Nie wyobrażasz sobie, jak wszyscy ucieszyli się z zaproszenia - relacjonowała uszczęśliwiona Buckowi. - To był wspaniały pomysł, kochanie.

Tak naprawdę wcale nie czuł się szczęśliwy spędzając Boże Narodzenie w gronie waszyngtońskich polityków. W świąteczny poranek Marianna rozdawała kosztowne błyskotki, a dzieci piszczały z zachwyty na widok nowych zabawek. Namacał dłońią ukryty w kieszeni list od Francie. Czytał go już wielokrotnie i prawie znał na pamięć. Pomyślał o sierocińcach, do których wysłała prezenty, i o ranczo, gdzie spędzała święta z dwójką przyjaciół. Uśmiechnął się do swoich myśli.

Rozdział 35

Siedziba korporacji Lai Tsina w Hongkongu mieściła się w imponującym piętnastopiętrowym wieżowcu z białego granitu, otoczonym kolumnami. Gmach wybudowano przy głównej ulicy, ale nie równolegle, ale pod pewnym kątem. Również drzwi umieszczono nie pośrodku, lecz z prawej strony, co miało zatrzymać dobrego ducha eh 'i. Po ośmiu szerokich marmurowych schodach - Chińczycy ósemkę uważali za szczęśliwą - wchodziło się do środka przez wielkie, polakierowane na czerwono drzwi, których strzegły potężne lwy z brązu.

Biuro znajdowało się na parterze i Lai Tsin prawie cały dzień przyjmował każdego, kto pragnął się z nim widzieć: potężnych taipanów i zwykłych robotników. Wnętrze urządzone skromnie, jak kiedyś w hurtowni w San Francisco.

Co prawda nie było tu ścian ze starych desek, tylko piękna lamperia w śliwkowym kolorze, a tekowe biurko zastąpiono mahoniowym, ale w całym pomieszczeniu panowała ta sama prostota. Na biurku stały zgodnie kałamarz z atramentem i pióra oraz pędzelki i atramentowa poduszka, której używał pisząc po chińsku. Obok, równiutko ułożone, leżały wszystkie potrzebne dokumenty.

Od ostatniej wizyty Francie w Hongkongu minęło dziesięć lat.

Tym razem zatrzymała się w nowej, białej willi Lai Tsina nad zatoką Repulse. To było jego prawdziwe królestwo, zaprojektowane w każdym calu zgodnie z chińskim obyczajem i gustem, pełne starych czarnych mebli, starannie wybranych rycin i obrazów. Ona stworzyła dom przy Nob Hill, ale to miejsce należało wyłącznie do Lai Tsina. Pewnego wieczora, przy kolacji uważnie przyglądał się Francie. W Hongkongu spędziła już ponad tydzień. Pokazał jej nową, wspaniałą siedzibę firmy, swoją rezydencję i wszystkie zgromadzone tu skarby. Obejrzeni też w porcie nową flotę. Nie stare, obskurne parowce, które kupowali niegdyś za bezcen, lecz nowoczesne, szybkie statki budowane w japońskich stocznicach.

Francie najwidoczniej była pod wrażeniem tych wszystkich wspaniałości, ale Lai Tsin skromnie opuścił głowę i powiedział:

- To wszystko jest twoje. Bez ciebie byłbym nikim. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chyba dokładnie odwrotnie. Ty stworzyłeś wszystko, co mamy. Milczał. Służący sprzątnęli ze stołu po kolacji i postawili filiżanki aromatycznej herbaty.

- Jutro pojedziemy do Szanghaju - powiedział Lai Tsin. - A stamtąd popłyniemy w górę rzeki do mojej rodzinnej wioski.

Francie była zaskoczona. Przez te wszystkie lata nigdy nie zaproponował jej podróży w rodzinne strony, choć wiedziała, że często tam bywał, i nieraz pragnęła, by ją zaprosił.

- Chcę pokazać ci wieś, w której urodziłem się, i świątynię wzniesioną ku czci mojej matki, Lilin. Wtedy lepiej zrozumiesz to, co teraz ci wyznam. Jeżdżę tam dwa razy w roku, aby nigdy nie zapomnieć, w jakiej nędzy wyrastałem i nie popaść w pychę. Powtarzam sobie, że cały luksus, który mnie otacza, przeminie wraz z moim życiem, ja zaś wrócę do przodków. - Zamyślił się chwilę. - To bardzo ważne dla mnie, abys pojechała.

Francie jeszcze nie widziała Lai Tsina tak zdenerwowanego i zmieszanego.

- Oczywiście - zapewniła szybko. - To prawdziwy zaszczyt, że odwiedzę te wszystkie miejsca, o których tyle słyszałam.

Rankiem wyruszyli do Szanghaju. Potem na pokładzie luksusowego parowca M/V Mandaryn udali się w górę rzeki. Francie, oparta o burtę, co chwila wydawała okrzyki zachwytu na widok pięknego krajobrazu. Jej towarzysz milczał.

W Nanking wysiedli na brzeg. Lai Tsin poprowadził ją tymi samymi ulicami, którymi niegdyś uciekał z Mayling przed handlarzem żywym towarem. Jeszcze dziś w jego głosie brzmiały gorycz i ból, gdy wspominał siostrę. Francie wydawało się, że przyjaciel nadal łudził się, iż w jednym z zaułków odnajdzie czarnowłosą, roześmianą Mayling.

Za miastem rzeka rozlewała się szerokim korytem. Miejscami brzeg był tak wysoki, że parowiec znikał niczym łupina orzecha rzucona w głąb wąwozu. Potem wypływali na rozległe równiny, gdzie woda i łąd zlewały się w jedno, szarozielone pasmo.

Kiedy zbliżali się do rodzinnej wioski, Lai Tsin przebrał się. Założył najpiękniejszy błękitny, haftowany kaftan i kapelusz z białym dzadeitowym guzikiem. Statek przybił do pomostu. Opuszczono schodki i zeszli na brzeg.

Zebrał się już spory tłumek gapiów. Zdziwieni patrzyli na białą kobietę o jasnych włosach i szafirowych, płonących oczach. Wielu pierwszy raz widziało cudzoziemkę i z lękiem odwracali wzrok - to była przecież gwailo, niewierna...

Inni bili pokłony w podziwie dla tak bogatych osób, które odwiedziły ich wioskę.

Lai Tsin rozdawał monety. Potem udali się w długą drogę.

Lai Tsin pokazywał Francie to wszystko, o czym opowiadał długą nocą przed narodzeniem Olliego. Pod szarym niebem lśniła stalowa tafla stawu, w którym taplały się kaczki; na ciągnących się aż po horyzont szarozielonych polach ryżowych pracowały dzieci. Minęli też wyschnięty zagajnik, w którym zostawiono ciało małego braciszka Chena, o buzi okrągłej jak naleśnik. Położono je w drucianym koszyku pod drzewem na pożarcie ptakom i psom. Wreszcie w oddali na wzgórzu, niczym ikona, lśniła świątynia

Lilin.

Otoczające niegdyś wioskę mury z żółtej cegły rozpadły się już prawie, wiele domostw stało opustoszałych, a te zamieszkane przerażały nędzą. Jedyne w chacie Starszego Brata w oknach były szyby z grubego ryżowego papieru, a w małym piecyku palił się ogień. W zimnym powietrzu snuła się cienka smużka siniego dymu.

Młoda żona Starszego Brata szybko zamiotła podwórze. Teraz przyglądała się ciekawie gościom zza pleców męża. Chciała z bliska obejrzeć nieznajomą, a wiedziała, że Lai Tsin nigdy nie przestąpi progę.

Starszy Brat miedlił pod nosem przekleństwa. „Ten syn konkubiny ciągle przynosi nam wstyd. Teraz przyprowadził do domu diabolicę” - myślał w duchu. Lękał się jednak mówić głośno, aby nie stracić hojnej pensji od Lai Tsina, dzięki której nie martwił się o ryż na kolację i flaszkę ryżowego wina.

Natomiast żona wybiegła na podwórze, uklękła i czołem dotykała ziemi w ukłonach.

- Witaj, witaj, czcigodny bracie. Oby bogowie sprzyjali tobie i twej czcigodnej towarzysze!

Lai Tsin uśmiechnął się łagodnie i pomógł jej wstać. Starszy Brat ukłonił się sztywno. Starał się nie patrzeć na kobietę, ale wzrok uparcie wędrował w jej stronę. Nigdy nie widział białej kobiety i wydała mu się brzydka jak sam diabeł.

Miała przerażająco błękitne oczy i włosy białe jak len.

- Witaj, Młodszy Bracie - odezwał się wreszcie. - Oczekiwaliśmy cię. Sam sprawdzisz, że świątynia Lilin jest zamieciona i czysta. Zimą wielkie wiatry starły złocenie z dachu, musiałem więc zapłacić za nowe. Moja pierwsza żona chodzi tam co tydzień, aby pokłonić się twoim przodkom. Wszystko jest tak, jak sobie życzyłeś.

- Dziękuję, Starszy Bracie - odparł krótko Lai Tsin. Potem wyjaśnił Francie po angielsku. - To mój przyrodni brat, drugi syn Ke Chungfena. Inni wyjechali do miasta szukać pracy i lepszego życia, ale on jest zbyt leniwy i za dużo pije.

Jego żona ma dobre serce. Lepiej by jej było bez niego, ale to prawdziwa Chinka, więc nigdy nie opuści męża, chociaż ją bije i traktuje jak niewolnicę. W tym kraju jeszcze długo nic się nie zmieni.

Francie uśmiechnęła się do młodej kobiety, nieśmiało zerkającej zza pleców męża.

Lai Tsin wręczył Starszemu Bratu skórzaną sakiewkę. Ten chwycił ją szybko i ukłonił się z przymilnym wyrazem twarzy.

Wieśniacy zgromadzili się w pobliżu i obserwowali przybyłych. Ale cofnęli się w popłochu, gdy goście odwrócili się. Niektórzy nawet zamknęli oczy, najwyraźniej obawiając się, że biała kobieta to diabeł w ludzkiej skórze.

Wracali dróżką przez pola ryżowe. Towarzyszyły im zabiedzone dzieci o wesołych oczach. Nie lękały się Francie. Szła z mandarynem, on zaś zawsze dawał im drobne monety i słodycze, które wydobywał z kieszeni kaftana.

U stóp wzgórza weszli na ścieżkę wyżłobioną w stromej skale. Dotarli do świątyni. Francie oniemiała z zachwytu. Ściany świątyni pokryte cynobrową farbą i lakierem, były gładkie jak jedwab. Dach, niczym wyrzeźbiony dłutem artysty, połyskiwał zielenią ręcznie wykonanych kafli. Wewnątrz znajdowały się zdobienia z macicy perłowej i trzy marmurowe płyty. Złotymi literami wypisano na nich imiona Lilin i jej dwojga zmarłych dzieci.

Lai Tsin zapalił dwie pałeczki kadzidła, ukląkł i bił czołem o podłogę.

- Przyprowadziłem cię tutaj, bo nie mogę dłużej żyć z grzechami, które ciążą mi na sumieniu. Proszę, abyś cierpliwie wysłuchała mojej historii. Wyjawię całą prawdę, a ty ocenisz mnie, jak zechcesz. Lżej mi to wyznać w świątyni matki.

Francie spojrzała na marmurową tablicę z imieniem Lilin, a potem na łagodne i dziwnie smutne oczy Lai Tsina.

- Już tyle lat przyjaźnimy się i tak dużo dla mnie zrobiłeś. Nie mam prawa osądzać ani ciebie, ani nikogo innego. Cokolwiek mi powiesz, zawsze będę cię kochała.

- Posłuchaj - rzekł cicho.

Opowieść była długa. Kiedy skończył, Francie miała oczy pełne łez. Żal i wzruszenie nie pozwalały jej mówić. Objęła ramionami drobną, kruchą sylwetkę przyjaciela.

W milczeniu opuścili świątynię i zeszli w dół skalistą ścieżką. Ludzie przyglądali się tej niezwyklej parze: szczupły śniady mandaryn w strojnym kaftanie i wysoka, jasnowłosa kobieta w prostej plisowanej spódnicy. Skierowali się ku rzece, gdzie czekał na nich biały parowiec. Udali się w tę samą podróż, którą Lai Tsin odbył przed laty z siostrą Mayling. Tym razem odjeżdżał już na zawsze.

Rozdział 36

Tydzień później Francie wsiadła na pokład i statku płynącego z Hongkongu do Europy by spotkać się z Annie w Paryżu.

Razem wybierały się na południe Francji w poszukiwaniu szczepów winorośli.

Okręt należał do floty brytyjskiej i mnóstwo rodzin angielskich wracało do domu po wakacjach. Wśród pasażerów byli także bladzi, lubiący mocne trunki plantatorzy gumy w dżunglach Malaii. W Colombo na pokład wsiedli spaleni słońcem właściciele plantacji herbaty. Oprócz nich płynęli, jak zwykle, dyplomaci i businessmeni.

Francie wyróżniono jako właścicielkę jednego z najbogatszych przedsiębiorstw w Hongkongu zaproszeniem do stolika kapitańskiego. Co wieczór prezentowała się w jednej z paryskich sukien, wpinała dzadeitowe ozdoby w wysoko upięte włosy, a na szyję zakładała wspaniałe sznur pereł.

W jadalni unosiła się wokół niej smuga delikatnego, jaśminowego zapachu. Była czarująca dla współpasażerów, uśmiechała się do wszystkich i uprzejmie odpowiadała na nieśmiałe komplementy mężczyzn, ale nie zachęcała do dłuższych rozmów i znikwała zaraz po kolacji. Po jej wyjściu panowie wymieniali półgłosem uwagi na temat pięknej damy, nikt jednak nie ośmielił się otwarcie jej adorować. Wszyscy wiedzieli, że jest konkubiną potężnego taipana mandaryna Lai Tsin.

Francie już nie zwracała uwagi na plotki. Pragnęła jedynie, aby zostawiono ją w spokoju. Statek szybko płynął przez Ocean Indyjski, zatrzymując się na krótko w Bombaju i Port Said. Kiedy znaleźli się na Morzu Śródziemnym, Francie z zachwytem patrzyła na wybrzeża południowej Francji i strzelające w niebo wierzchołki smukłych sosen. Chciałaby dłużej zostać w Nicei, gdzie wysiedli na ląd, ale czekał na nią zarezerwowany apartament w hotelu Ritz w Paryżu.

To było miasto jej marzeń. Zapragnęła je odwiedzić już wtedy, gdy jako mała dziewczynka uczyła się francuskiego. I oto teraz spełniło się marzenie lat dziecińczych.

Dyrektor hotelu osobiście zaprowadził Francie do apartamentu, z widokiem na ulicę Cambon. Wiedział, że to bogata dama. W pokoju czekały więc na nią piękne, wysokie róże, patery z owocami i butelka szampana. Obejrzała dokładnie apartament z myślą o Annie, która zamierzała otworzyć tu nowy hotel. Sprawdziła sprężyste, miękkie materace, jedwabne prześcieradła i nieskazitelnie czyste łazienki. Wszystko było wspaniałe, mimo to wierzyła, że przyjaciółka poradzi sobie z każdą konkurencją.

Na razie jednak Francie miała przez cztery dni poznać Paryż. Nie zamierzała zmarnować ani minuty. Przebrała się i z przewodnikiem w dłoni udała na zwiedzanie najpiękniejszego miasta świata.

Buck przyjechał do Paryża na czele ważnej delegacji handlowej. Wracał właśnie do ambasady amerykańskiej z Pałacu Elizejskiego, gdzie prowadzono długie i męczące rozmowy. Czuł się zniechęcony. Trzy dni w Paryżu i ani chwili dla siebie. On również zawsze fascynował się tym miastem. Ostatni raz był tu z Marianną przed kilku laty, ale ją interesowali wyłącznie wpływowi politycy.

Zaprzagnął nagle spacerować po paryskich mostach, podziwiać przepiękną panoramę, wypić kieliszek wina w kawiarence na ocienionym kasztanami bulwarze, w skupieniu zwiedzić muzea.

Chciał podziwiać piękne kobiety i rozkoszować się finezyjną francuską kuchnią. I do diaska, będzie to miał!

W ambasadzie szybko przełożył wyjazd, pożegnał się z ambasadorem, polecił przesłać bagaże do hotelu Crillon i powoli przeszedł przez plac Concorde. Zamówił Pernod w małej kawiarence. Był bardzo zadowolony ze swojej decyzji. Czekwały na niego wszystkie wspaniałości Paryża.

Spojrzał przelotnie na kobietę przy sąsiednim stoliku - coś znajomego uderzyło go w sylwetce pochylonej nad książką. Serce zabiło mu gwałtownie. Nie, to niemożliwe. Nie widzieli się prawie rok, a on wciąż nosił w portfelu liścik od niej. Wielokrotnie jeździł do San Francisco, o wiele częściej niż wymagały tego interesy, zawsze w nadziei, że kiedyś ją spotka. Lecz Annie Aysgarth była tajemnicza jak Sfinks, zawsze mówiła, że Francie wyjechała na ranczo albo podróżuje w interesach. A teraz, sześć tysięcy mil od Nowego Jorku, los zetknął ich ze sobą. Tak, to na pewno Francie Harrison.

Wyglądała jak zwykle pięknie, w wełnianym sportowym żakiecie i krótkiej spódnicy odsłaniającej smukłe, zgrabne nogi w ciemnych pończochach. Jasne włosy związane czarną, jedwabną wstążką, opadały na ramiona.

Francie poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się. Przewodnik wypadł jej z ręki.

- Och, Buck Wingate! Co za niespodzianka! - Zarumieniła się jak mała dziewczynka i przygryzła wargi, aby ukryć zmieszanie.

- To najprzyjemniejsza niespodzianka w moim życiu - szarmancko podniósł do ust dłoń Francie. - Wygląda pani cudowniej niż kiedykolwiek.

Roześmiała się.

- Myślę, że w Paryżu każda kobieta czuje się jak dziesiętnastolatka. To wspaniałe miejsce - powiodła wokół rozmarzonym wzrokiem. - A co pana sprowadza do Paryża, interesy?

- Niestety - skinał głową. - Ale prawdę mówiąc, uciekłem na małe wagary.

Powinienem teraz płynąć na pokładzie Normandie do Nowego Jorku, ale w ostatniej chwili zmieniłem plany. Przez cały pobyt nie miałem czasu, aby zajrzeć do ulubionych miejsc. I oto spotykamy się. Musi pani przyznać, że to przeznaczenie.

Nieustannie rumieniła się pod spojrzeniem Bucka. Wydał się jej jeszcze przystojniejszy, choć chyba schudł, a skronie nieco posiwiwały.

- Zawsze spotykamy się na rogach ulic - powiedziała ostrożnie. - Widocznie to jest nam przeznaczone.

- Tylko dlatego, że nie można umówić się z panią! Próbowałem, ale Annie Aysgarth pilnuje, aby nikt nie zbliżył się do pani.

Serce zabiło jej mocniej. Między nimi przepływał jakiś niewidoczny prąd, iskrzyły się niewypowiedziane, siłą powstrzymywane uczucia. Powinna teraz pożegnać się i wrócić do hotelu, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Zabraknie jej siły. Była sama w najpiękniejszym i najbardziej romantycznym mieście świata, a obok siedział mężczyzna, którego chętnie widziałyby przy swoim boku.

Wreszcie szepnęła konspiracyjnym szeptem:

- Annie przyjeżdża dopiero za cztery dni. - Oboje roześmieli się głośno.

- Pozwoli pani, że posłużę za przewodnika? - podał jej ramię. Rzeczywiście czuła się jak dziewczynka, którą nareszcie ktoś się opiekuje, a nie jak dojrzała kobieta. Taksówką pojechali do Luwru, w katedrze Notre Dame wysłuchali chóru, zapatrzeni w witraże odbijające łagodne światło zachodzącego słońca, włączyli się nad Sekwaną, zatrzymując się przy niezliczonych stoiskach bukinistów, i pokrzepiali się wspaniałą aromatyczną kawą, podawaną w białych grubych filiżankach. Wreszcie Buck zapytał, gdzie chciałaby pójść na obiad, a Francie powiedziała bez wahania:

- Do diabła. Niech ten dzień będzie doskonały aż do końca. Po raz pierwszy od długiego czasu przeżywała prawdziwe katusze, stojąc przed lustrem w pokoju. Nie wiedziała, którą suknię włożyć, wyjmowała je kolejno z szafy, mierzyła i rzucała na łóżko. Wreszcie wybrała długą suknię z krepdeszynu w kolorze morskim, z dużym kwadratowym dekoltem, ozdobionym diamentowymi broszkami. Zamierzała upiąć włosy dzadeitowymi grzebieniami, ale ostatecznie zdecydowała się na uczesanie, które tak spodobało się Buckowi: opadające na ramiona włosy luźno związane czarną jedwabną wstążką.

Kazała mu czekać przepisowe dziesięć minut i pojawiła się u szczytu schodów wiodących do foyer. Buck, przechadzający się po pustawym holu, wydał się jej najprzystojniejszym mężczyzną w Paryżu. A kiedy spojrzał na nią, w jego oczach dostrzegła podziw, jakim mężczyzna obdarza tylko bohaterkę swoich snów.

Wingate wprawnym okiem dostrzegł parę zakochanych i posadził ich w zacisznej wnęce, proponując szampana. Francie rozglądała się po najsławniejszej na świecie sali restauracyjnej, goszczącej najbogatszych turystów. Gdyby nie Buck, pewnie siedziałyby teraz samotnie w hotelowej restauracji.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że tu jestem! To mój szczęśliwy dzień!

- Dla mnie chyba najszczęśliwszy - tym razem jego oczy były poważne. Znow poczuła, że powietrze wokół jest jakby naelektryzowane, wystarczył jeden gest, aby posypały się iskry.

Pierwszy toast wzniesli za spotkanie, a drugi za Paryż. Potem rozpoczęła się uczta - maleńkie ostrygi na lodowych półmiskach, homary i inne wspaniałości smakowały tutaj jak nigdzie na świecie. Francie przechyliła się przez stół i - jak mała dziewczynka - spróbowała łyżeczkę musu z białej czekolady. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa i beztroska. Czyżby nigdy? Szampan lekko szumiał w głowie, Paryż był cudowny i wszystko wydawało się możliwe.

Zauważyła wielu wytwornych gości, ale żadna twarz nie wydała jej się znajoma.

Przekornie zmrużyła oczy.

- Ciekawe, co powiedzieliby pana wyborcy, gdyby zobaczyli swego senatora siedzącego w z panną Harrison, o której plotkuje całe San Francisco?

Buck ujął jej rękę.

- Że szczęściarz z tego senatora.

- Ale chyba Marianna byłaby innego zdania? Zamyślił się. Potem popatrzył jej prosto w oczy.

- Marianna i ja nie kochamy się - powiedział. - Wątpię, czy tak naprawdę kiedykolwiek łączyło nas głębokie uczucie. Już niejednokrotnie chciałem prosić ją o rozwód, ostatnio w Boże Narodzenie. Pamięta pani? Mówiłem, że będę o pani myślał?

Skinęła głową.

- To były dla mnie bardzo smutne święta. Pozornie wszystko toczyło się jak zawsze - choinka, prezenty, goście, których zaprosiła Marianna, dzieci cieszyły się z zabawek. Ale to tylko fasada, za którą nic się nie kryje. Chciałem stamtąd uciec, gdziekolwiek. - Przerwał na chwilę - Pragnąłem być z panią - dokończył miękko.

Wyjął z kieszeni list od Francie, lekko pognieciony, widać, że czytany wielokrotnie.

- Wszędzie go ze sobą wożę. Chyba z tysiąc razy pytałem sam siebie dlaczego.

Ale dopiero teraz znam wreszcie odpowiedź.

Położył list na stoliku.

- Francie Harrison, może uzna pani, że oszalałem. Ale muszę to powiedzieć. Kocham panią.

Poczuła dziwny, cudowny spokój. Podczas spotkania w Nowym Jorku odpychała od siebie myśl, że te prądy przepływające między nimi mogły oznaczać coś tak wspaniałego i niebezpiecznego jak miłość. A teraz...

- To niemożliwe, znamy się przecież tak krótko...

- Czas nie odgrywa żadnej roli.

- Może to tylko magia Paryża...

- To samo wyznałbym pani w Detroit - ucałował jej rękę.

- Więc skąd pan wie, że to prawda? Delikatnie musnął wargami jej palce.

- Nie trzeba pytać losu, dlaczego nam coś daje, tylko szybko wziąć, żeby nie umknęło.

Kelner przyniósł rachunek. Wychodzili z restauracji tak zatopieni w myślach, że nie zauważyli spojrzeń siedzących przy stolikach gości. Stanowili piękną parę i wiele osób zastanawiało się, kim są ci ludzie o szczęśliwych oczach.

Francie milczała, gdy jechali taksówką do hotelu. Bała się tego uczucia, ogarniającego ją z przemożną siłą. Buck mówił, że nie należy pytać o nic losu.

Ale ona wiedziała, że bogowie nie lubią szczęśliwych ludzi. Ilekroć kogoś pokochała, los zawsze stawał na przeszkodzie. Tym razem jednak nie pozwoli Buckowi odejść. Chociaż przez parę chwil.

Kiedy zatrzymali się przed połączoną klatką windy w hotelu Ritza, zapytała:

- Czy mogę zaprosić senatora na kawę do swego apartamentu? Co na to powiedzieliby wyborcy?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł. Ujął ją za rękę.

W naczyniu z lodem chłodziła się butelka szampana. Salonik oświetlały nocne lampki przysłonięte jedwabnymi abażurami. Buck napelnił kieliszki.

- Proponuję następny toast, Francie. Za miłość. Trzymając się za ręce przeszli do sypialni. W wysokich oknach wisiały ciężkie, brokatowe zasłony. Łagodne światło lampy oświetlało twarz

Francie. Buck wziął ją w ramiona.

Myślał, że jest jak delikatny kwiat, a suknia i jedwabna bielizna to pastelowe, rozchylające się płatki. Z drzeniem dotykał gładkiej, aksamitnej skóry. Francie przywarła do niego całym ciałem, chciała czuć jego usta na powiekach, włosach, szyi. Nigdy jeszcze nie doświadczyli podobnych uczuć.

Dopelniali się jak dwie niegdyś rozdzielone połowy.

Potem leżeli przytuleni, przyjemnie, obezwładniająco zmęczeni.

- Teraz nie pozwolę ci już odejść - szeptał. - Chyba całe życie czekałem na ciebie - delikatnie ujął jej twarz i odwrócił do siebie. - Przrzeknij, że nigdy mnie nie zostawisz.

- Szs - położyła palec na jego ustach. - Nie wolno tak mówić. - Wyprostowała się i odsunęła splątane włosy. Okryły ją jak płaszcz. - Nie wolno tak mówić - powtórzyła. - Wykorzystajmy darowane nam chwile. Nie wiem, co będzie później.

Buck patrzył z zachwytem na smukłą linię pleców, strumienie złotych włosów opadające na piękne piersi i poważne, głębokie, wpatrzone w niego oczy. Jakże różniła się od Marianny, zawsze pełnej fałszywych uśmiechów, za którymi kryła się natura zimna jak lód. Nie może zrezygnować z Francie. Nigdy.

- Nic mnie nie obchodzi - szepnęła. - Chcę tylko ciebie. Przytulił ją. Czowała się bezpieczna i kochana jak nigdy przedtem.

Wiedziała, że to nie potrwa długo, ale chciałyby na zawsze pozostać w jego ramionach, w tym pokoju, w Paryżu. Odrzucała rozsądne argumenty, że ich związek nie miał żadnych szans.

- Bądźmy razem choć kilka dni - szepnęła.

- Zawsze - pokrywał jej twarz pocałunkami. - Nigdy nie pozwolę ci odejść. - Miała cichutką nadzieję, że te słowa spełnią się.

Przez następne dni wcale się nie rozstawali. Buck wprowadził się do sąsiedniego apartamentu, a sypialnia Francie stała się centrum ich małego wszechświata.

Włóczyli się po wąskich uliczkach Saint - Louisenlle, odpoczywali przy kieliszku Pernod w jakiejś kawiarence na lewym brzegu Sekwany, sprzeczali się na temat obrazów wystawionych w oknach licznych galerii. Obiady jedli w małych, oświetlonych świecami bistrach, gdzie właściciel przygotowywał posiłki, a madame, jego żona, obsługiwała gości. Poza nimi na ogół nie było nikogo, więc siedzieli bez końca wpatrzeni w siebie, popijali czerwone wino i starali się nie myśleć o przyszłości.

Francie opowiedziała mu o wszystkim: całą historię swego smutnego dzieciństwa i miłości do Josha. Buck uśmiechnął się tylko łagodnie:

- Mam nadzieję, że życie już nigdy nie będzie dla ciebie takie okrutne, moja maleńka.

Lubił patrzeć, jak rozczesuje przed lustrem włosy. Delikatnie przesuwiał w palcach złote pasma.

- Obiecuj, że nigdy ich nie zetniesz - poprosił. Przrzekła. Ale już tego wieczora w jej oczach malował się smutek. Wszystko, co piękne, kończyło się szybko.

Nie spali w tę ostatnią wspólnie spędzoną noc. O szóstej rano odchodził pociąg Bucka. Wówczas powróci rzeczywistość, z którą nie chcieli się pogodzić. Francie bała się, że rozstaną się już na zawsze.

- Nie chcę cię stracić - szeptał. - Czy rozumiesz, Francie? Moje życie z Marianną to tylko gra pozorów, nic dla siebie nie znaczymy. Nie wiedziałem, że mogę być tak szczęśliwy. Proszę, zostań ze mną. Rozwód dostanę bez kłopotu, pobierzemy się i zamieszkamy w Waszyngtonie. Tylko powiedz: tak.

Francie czuła, że jakaś przemożna siła ciągnie ją do Bucka. Cudownie byłoby spędzić z nim całe życie, razem budzić się, zasypiać, pić poranną kawę. Może mówił prawdę o swoim nieudanym małżeństwie. Ale to nie zmieniało faktu, że był postacią publiczną i nie mógł sobie pozwolić na skandalizujący romans z panią Harrison. Mimo romantycznego usposobienia, zdawała sobie z tego sprawę.

Zamykała więc mu usta pocałunkami i prosiła, aby nic nie mówił. Chciała nasycić się choć tą odrobiną szczęścia. Kiedy pakował walizki, skuliła się na wielkim łóżku, tłumiąc łzy. Wreszcie, gotowy do wyjścia, stanął w drzwiach. Wyglądał tak, jak w dniu pierwszego spotkania: przystojny, świetnie ubrany, silny mężczyzna, który ujarzmił świat.

Podszedł do niej i wokół dłoni owinał pasma złotych włosów.

- To dopiero początek, Francie - szepnął. Przez chwilę wydawało się, że oczy lśnią mu od łez. Odwrócił się i odszedł szybko.

Annie podejrzliwie przyglądała się przyjaciółce. Siedziały właśnie w salonie madame Vionnet, podziwiając najnowsze modele sukien. Madame Vionnet szyla długie, przylegające do ciała i podkreślające figurę kreacje z krepdeszynu i satyny. Niestety, nie nadawały się dla Annie, gdyż z biegiem lat jej kształty zbyt zaokrągliły się. Za to smukła i wysoka Francie wyglądała wspaniale. Zamówiła tuzin sukien w różnych kolorach. Nie był to zresztą pierwszy salon, w którym robiły zakupy. Wcześniej odwiedziły Patou, Lelonga i Chanel, a Francie wszędzie zostawiała чеки na wysokie sumy.

- Gdzie zamierzasz tak się stroić? - pytała coraz bardziej zdziwiona Annie. - Zaledwie parę tygodni w roku spędzasz w Hongkongu, a w San Francisco pracujesz w sierocińcu albo przesiadujesz w szpitalach. Nie powiesz mi chyba, że założysz tę piękną śliwkową suknię na ranczo?

Francie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się beztrąsko.

- Och, nie wiem, są takie śliczne. - Ale wiedziała doskonale: Buck byłby zachwycony, gdyby mógł ją zobaczyć w tych sukniach. Nie przestała myśleć o nim ani przez chwilę i wbrew wszelkim rozsądnym postanowieniom widziała się u jego boku ubrana w nową paryską kreację.

Od dnia wyjazdu codziennie przysyłał telegramy z jednym tylko zdaniem: - Kocham cię.

Annie spozrzała na nią uważnie.

- To mężczyzna, prawda? - Przyjaciółka zaczerwieniła się. - Ale dlaczego nic mi o nim nie powiedziałaś? - roześmiała się.

Francie przygryzła wargi.

- A zatem jest żonaty - rzeczowo stwierdziła Annie i westchnęła. - Ty masz jednak talent do pakowania się w tarapaty.

- To Buck Wingate - przerwała jej Francie. - Chyba zdarzył się cud, rozumiesz?

Kiedyś myślałam, że zakochałam się w Edwardzie Strattonie. Może, ale teraz to zupełnie co innego, to miłość, Annie - taka prawdziwa, o której zawsze tylko marzyłam. - Twarz jej pojaśniała wewnętrznym blaskiem i wyglądała tak pięknie, że nawet modelki madame Vionnet zwróciły na nią uwagę i uśmiechnęły się. Słowo miłość wymawia się chyba tak samo w każdym języku. Francie zniżyła głos i opowiedziała jej wszystko o Bucku.

- Odprawiłaś go? - zapytała zaskoczona Annie.

- Tak - odparła, niecierpliwie szukając we wzroku przyjaciółki oznak aprobaty.

- Więc po co te wszystkie nowe suknie? Chyba spodziewasz się, że przyjedzie do San Francisco.

- Tak... nie, Annie, nie wiem, co myśleć i czego oczekiwać. Jeżeli wróci... co powinnam wtedy zrobić?

Nadeszła sprzedawczyni z rachunkiem dla pani Harrison. Opuściły salon i wolno szły aleją.

- Spodobałaś się mu od pierwszej chwili - powiedziała spokojnie Annie. - Widziałam to w jego oczach, kiedy patrzył na ciebie. Ale wszystko sprzysięgło się przeciwko wam, Francie. Nie chodzi tylko o Mariannę, ale głównie o to, że Buck jest senatorem. Zdajesz sobie chyba sprawę, że małżeństwo z tobą to koniec jego kariery politycznej?

Spuściła głowę. Wbrew rozsądkowi łudziła się, że praktyczna, pełna energii przyjaciółka znajdzie jakieś rozwiązanie. Ale dla mężczyzny praca jest życiem.

- Wiem - odparła ze smutkiem. - Dlatego go odesłałam. Nie mogę pozwolić, aby zmarnował taką wspaniałą przyszłość. Ale nie wiem, czy będę miała siłę go odrzucić, jeżeli wróci!

Annie spojrzała na nią ze współczuciem.

- Kochanie, przed nami jeszcze dwa piękne tygodnie we Francji. Zobaczmy, co przyszłość przyniesie.

Następne kilka dni oglądały w Paryżu przeróżne hotele. Annie doszła jednak do wniosku, że Francuzi mają własny, niepowtarzalny styl i konkurowanie z nimi nie ma sensu. Bez żalu porzuciła swój pomysł i udały się do Bordeaux. Zwiedzały piękne zamki, próbowały win ze sławnych piwnic i kupowały dziesiątki nowych pnączy do winnicy na

ranczo.

Ale Francie była niespokojna. Ciągłe myślała o Bucku. Bez ustanku przynaglała Annie i wreszcie znalazły się na pokładzie liniowca płynącego do Nowego Jorku o tydzień wcześniej niż zaplanowały.

W domu powiesiła piękne nowe suknie w szafach i czekała na wiadomość od Bucka.

Minął tydzień, dwa. Powiedziała sobie, że za żadną cenę nie zadzwoni do niego pierwsza. Po trzech tygodniach uznała, że nie ma na co czekać, pospiesznie zapakowała rzeczy i wyjechała na ranczo.

Dni były już chłodne i wietrzne, ale słońce stało wysoko na błękitnym, bezchmurnym niebie. Francie założyła spodnie do konnej jazdy, flanelową kraciastą koszulę i stary wełniany sweter. Osiodłała swoją ukochaną klacz, Appaloosę, i pognęła ją galopem ku widocznym na horyzoncie wzgórzom. Zimny wiatr rozwiewał włosy i szczypał policzki, ale Francie pędziła na koniu coraz szybciej. Była dalej od samotności, bliskich i bolesnych wspomnień.

Po kilku godzinach zmęczona Appaloosa wolnym kłusem wracała na ranczo. Francie żałowała, że kiedykolwiek spotkała Bucka Wingate'a. Kiedy wjechała na podwórko, zobaczyła go opartego o balustradę ganku...

Po chwili stali objęci, wsłuchani w bicie swoich serc.

- Nie powinieneś przyjeżdżać na ranczo - szepnęła, z twarzą wtuloną w szorstką marynarkę.

Poczuła, jak przecząco kreci głową.

- Mylisz się, właśnie tutaj jest moje miejsce.

- Ale przecież masz rodzinę i pracę. Nie chcę cię im zabierać. Nie mogę. Będę szczęśliwa, jeżeli odwiedzisz mnie czasami.

Pomyślała, że Lai Tsin nauczył ją więcej niż ktokolwiek inny. Dzięki niemu stała się silniejsza i bardziej odporna na ciosy, jakie niesie życie. Ale nadal była zupełnie bezbronna wobec miłości.

Rozdział 37

Marianna Wingate należała do bogatych, rozpieszczonych przez życie kobiet, przyzwyczajonych do tego, że zawsze otrzymują to, czego zapragną. Ale nie była głupia. Przypuszczała, że Buck ma romans, i początkowo nie przywiązywała do tego większego znaczenia. Na pewno sprawa zakończy się po kilku miesiącach, jak to zazwyczaj bywa w podobnych przypadkach. Znała je zresztą tylko z opowiadań, ponieważ mąż do tej pory nie interesował się innymi kobietami. Zresztą, jej zdaniem, mężczyźni romansowali ze szczególnymi paniami, którym kupowali biżuterię, czasem też dawali pieniądze. Ona na pewno nie należała do tej kategorii „dam”, a Buck nigdy nie ożeniłby się z taką kobietą. Jej pozycja jako żony wydawała się niezachwiana.

Jednak z czasem, kiedy minęły już miesiące, a on nadal spędzał wszystkie weekendy poza domem i drzwi do jej sypialni nigdy się nie otwierały, Mariannę ogarnął niepokój. Co innego drobny, przelotny romans, ale poważny związek to katastrofa dla jego politycznej przyszłości.

Pomyślała ze złością o wielu latach i bezmiarze energii, które poświęciła dla kariery Bucka. Miałyby teraz pozwolić, aby wszystko rozleciało się jak domek z kart? O nie, nie byłaby Marianną Wingate. Postanowiła działać natychmiast.

Zatrudniła prywatnego detektywa, by śledził męża. Informacje otrzymywała niezwykle szybko. Wyglądało na to, że Buck nawet nie próbuje niczego ukrywać.

Jednak najbardziej zaskoczyło ją nazwisko rywalki.

Kilka dni, tłumiąc wściekłość, w milczeniu spacerowała po pokoju, niczym pantera zamknięta w klatce. Nie mogła postępować pochopnie. Buck pojechał znowu na ranczo. To właśnie tam zniknął co tydzień od ponad roku. Dobrze przynajmniej, że trzymali się z dala od San Francisco i nie dawali prasie tematów do plotek.

Przyznała z niechęcią, że Francie jest piękna, a poza tym kobieta z taką opinią musi pociągać mężczyzn.

Ale kobiety pokroju Marianny Wingate nie ustępują bez walki.

Życie Francie płynęło teraz szybko, odmierzone wspólnymi weekendami z Buckiem na ranczo. Jego ubrania wisiały teraz w jej szafach, jego koń stał obok Appaloosy w stajni, jego książki i papiery wypełniały wspólne biurko, a przybory do golenia leżały w łazience obok jej perfum. Od dwóch lat żyła dla niego; kochała go chyba nawet bardziej niż na początku, gdy spotkali się w Paryżu.

Wówczas przyrzekła sobie, że nigdy nie poprosi go o więcej, że zadowoli się tymi ukradzionymi godzinami i dotrzymała słowa. Ale sytuacja uległa zmianie.

Potrzebowała go.

W piątkowy wieczór spacerowała po ocienionym ganku, spoglądając na drogę, gdzie w każdej chwili mógł pojawić się samochód Bucka. Szybko policzyła w myślach dobrodziejstwa, które przypadły jej w udziale. Ma piękne ranczo i ukochane winnice, wspaniały dom w San Francisco i użyteczną pracę dla innych, pieniądze i dwoje dobrych przyjaciół: Annie oraz Lai Tsina. Ma miłość człowieka, którego bardzo kocha, a teraz spodziewa się jego dziecka.

Wspomniała pięknego, nieżyjącego od lat synka. Oddałaby wszystko, aby był z nią tutaj. Czas przytłumił rozpacz, ale nie zmniejszył bólu. Właśnie na ranczo Ollie przyszedł na świat. A teraz urodzi następne dziecko, które może nigdy nie pozna prawdziwego ojca.

Za nic nie poprosiłaby Bucka o rozwód z Marianną, lecz chyba powinna walczyć o dziecko. Przez chwilę znowu poczuła się bezradna. Takie już było jej życie, że ważne decyzje musiała podejmować samotnie.

Mały ford wyłonił się z zza zakrętu. Radosny dźwięk klaksonu wystraszył ptaki, spokojnie rezydujące na wierzchołku drzewa. Psy zaczęły ujadać gwałtownie. Buck wjechał na podwórze, zatrzymał samochód z piskiem opon i wbiegł na ganek.

Na widok Francie serce nadal biło mu mocniej. Objął ją, a ona jak zawsze wtuliła twarz w jego marynarkę.

- Za długie rozstanie - mruzczał cicho, zadowolony jak kot - cały miesiąc cię nie widziałem.

Trzymając się za ręce weszli do domu. Rozejrzał się wokół z prawdziwą przyjemnością. Ranczo to jedyne znane mu miejsce, które wcale się nie zmieniło.

Oczywiście, dobudowano dwa nowe pokoje, na ścianach pojawiał się czasem nowy obraz, w oknie zaś inne zasłony, ale atmosfera była zawsze ta sama. Ciemne posadzki z wiązowej klepki lśniły, przez kryształowo czyste szyby wpadało ciepłe światło słoneczne, a z licznych wazonów unosiła się woń polnych kwiatów. W całym domu pachniało lawendą, kapryfolium i wiśniowymi plackami Hattie.

- Boże, uwielbiam to miejsce - westchnął. - Najchętniej w ogóle bym stąd nie wyjeżdżał.

Przez uchylone drzwi wsunął głowę do kuchni.

- Witaj, Hattie. Co dziś na obiad?

- Dzień dobry, panie Buck. Nic specjalnego, tylko kurczak i smażone banany, które pan najbardziej lubi.

Uśmiechnął się szeroko.

- Dlatego cię uwielbiam. Wiesz, jak trafić do serca mężczyzny.

- Tylko do niektórych, panie Buck - sarknęła, odwracając się do kuchni, ale uśmiech nie opuszczał jej twarzy.

Już od lat prowadziła ten dom i nic nie ukryło się przed nią. Bucka jednak bardzo lubiła i zupełnie poważnie przekonywała Francie, by wzięli ślub.

- Przecież on jest już żonaty - protestowała Francie. Hattie jednak wzruszała ramionami.

- Mężczyzna może się chyba rozwieść, prawda? I tak żyjecie jak małżeństwo. I Bóg to widzi.

- Masz rację, Hattie, jesteśmy jak mąż i żona. - Ta myśl głęboko zapadła jej w pamięć i stanowiła prawdziwe pocieszenie podczas długich, zimowych miesięcy, kiedy Buck był w Waszyngtonie - z Marianną.

Zrzucił ubranie i wszedł pod prysznic. Nucił jakąś melodię, fałszując okropnie, co zawsze wprawiało Francie w dobry humor.

- Zgadnij, co ci przywiozłem!

- Prezent?

- Coś zupełnie wyjątkowego. Zajrzyj do torby - pojawił się w pokoju jeszcze mokry, z ręcznikiem okręconym wokół bioder. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Zobaczyła ślicznie opakowane pudełeczko. Podniosła wieko. Wewnątrz był miniaturowy, doskonały portrecik OUIego. Patrzyły na nią szare, ogromne oczy syna. Wybuchnęła płaczem.

- Przepraszam cię, kochanie. - Buck, najwyraźniej zmieszany, usiadł na łóżku. - Kazałem skopiować fotografię, która zawsze stoi przy twoim łóżku. Annie pożyczyła mi taką samą. Wydaje się, że malarz znakomicie uchwycił podobieństwo... O Boże, Francie, nie chciałem zrobić ci przykrości. Pewnie jestem głupi, ale myślałem, że ci się spodoba.

Potrząsnęła głową. Policzki miała mokre od łez.

- To najwspanialszy prezent, jaki mogłeś mi podarować. Tego wieczora nie zdobyła się na rozmowę o dziecku, a rano Buck musiał wracać do San Francisco. Wiedziała, że zawsze zatrzymuje się w hotelu Aysgarth. Zazdrościła Annie, że spotka się z nim, zjedzą wspólnie obiad i nie wywoła to żadnego skandalu. Poczuli się nagle bardzo samotna i po raz pierwszy od dawna zapragnęła opuścić ranczo. Tego samego dnia wyjechała do San Francisco.

Z okna domu przy Nob Hill Harry Harrison widział siostrę parkującą samochód przed rezydencją Lai Tsina. Ubrana skromnie, ale elegancko wyglądała na kobietę, której dobrze się wiedzie.

Tak też było, co przyznał z niechęcią. Dzięki rozsądnej i zapobiegliwej polityce, Lai Tsin uchronił firmę przed skutkami wielkiego kryzysu giełdowego.

On zaś omal nie stracił wszystkiego w parę dni. Prawdopodobnie większość ludzi nadal uważała go za bogacza, ale przyzwyczajony do szastania pieniędzmi boleśnie odczuwał brak gotówki. Dzięki mądrym zarządowi bank Harrisonów przetrwał ale Harry nie przewodniczył już radzie nadzorczej i nie miał wpływu na politykę finansową, nie mówiąc o tym, że nie mógł ruszyć kapitału bankowego. A jego samodzielne inwestycje, zwłaszcza w handlu artykułami spożywczymi, okazały się zupełnym niewypałem. Stracił wszystkie pieniądze, które zainwestował.

Został mu jeszcze kapitał własny i część akcji, lecz kopalnie fosforytów w Ameryce Południowej, w których pokładał największe nadzieje, nie przynosiły spodziewanych zysków. Jednak nadal był pewien, że któregoś dnia szczęście znowu uśmiechnie się do niego, o ile do tego czasu nie zbankrutuje. Wtedy nie tylko odzyska, ale pomnoży dawną fortunę Harrisonów. Wszystkie zarobione pieniądze zamieni na sztabki złota i odłoży do bankowego sejf, jak to uczynił jego dziadek.

Na razie ojciec chyba przewraca się w grobie, widząc zza świątów rosnący majątek Francie, która nie kryje przed nikim, że jest utrzymanką najbogatszego Chińczyka w San Francisco!

Klub był zatłoczony, ale Harry od razu zauważył Bucka Wingate, pogrążonego w rozmowie z kilkoma czołowymi businessmenami. Podeszedł i przyjacielskim gestem klepnął go w plecy.

- Witaj - jowialny uśmiech pojawił się na szerokiej, pełnej twarzy Harry'ego.

Lekko skinął głową w stronę pozostałych. - Widzę, że jesteś zajęty, ale może poświęciłbyś mi trochę czasu? Chciałbym zamienić kilka słów.

Harry był ostatnią osobą na świecie, z którą Buck miałby ochotę rozmawiać, ale jego kancelaria nadal prowadziła interesy Harrisonów, nie miał więc wyboru.

- Spotkajmy się w hotelu Aysgarth koło piątej - powiedział lodowatym tonem.

Harry skinął głową. Wyczuł chłód w jego głosie i nagły gniew ścisnął mu gardło.

Odszedł jednak bez słowa. Jakim prawem Buck traktował go z góry?! Do diabła, Wingate'owie zrobili przecież fortunę na interesach Harrisonów. Dobrze byłoby, aby Buck pamiętał o tym. Za kogo, do licha, on się uważa, Buck i ta jego przekłeta siostrunia, obydwójce tak zadzierają nosa! Najwyższy czas sprowadzić ich na ziemię.

Buck zjawił się sam w San Francisco, toteż Annie ze zdziwieniem przywitała Mariannę, która właśnie weszła do hotelu. Ilekroć przyjeżdżał z żoną, zamawiali zawsze największy apartament.

Marianna nawet w podróży wyglądała jak wyjęta z żurnala, ani jedna fałdka nie widniała na gładkiej sukni. W srebrnym kołnierzu z lisów i futrzanym kapeluszu wyglądała pięknie i nieprzystępnie.

- Co za miła wizyta, pani Wingate - zwróciła się do niej. - Nie oczekiwaliśmy pani tym razem.

Marianna obrzuciła ją zimnym spojrzeniem. Wiedziała, że Annie Aysgarth jest serdeczną przyjaciółką Francie i na pewno wie o romansie.

- Postanowiłam zrobić niespodziankę mężowi - uśmiechnęła się niewinnie. - Biedak tak wiele podróżuje. Wiem, że brakuje mu mego towarzystwa. Mężczyzna, który tak intensywnie pracuje, potrzebuje trochę duchowego wsparcia, nieprawdaż?

Annie ze zrozumieniem skinęła głową, ale w jej głosie wyczuła jakieś nowe, nieznane nuty, które kazały jej mieć się na baczności.

- Z pewnością - zgodziła się. - Żałuję tylko, że nie wiedziałam o pani przyjeździe. Obawiam się, że apartament jest zajęty. A może zatrzymają się państwo w Knaresborough? To mniejszy pokój, ale również z widokiem na plac i ogrody.

- Och, gdziekolwiek - Marianna skwapliwie przytaknęła, co było kolejnym znakiem ostrzegawczym. Zazwyczaj trudno jej dogodzić.

Odprawiając Mariannę do windy, upewniła się, że coś się dzieje - nigdy jeszcze żona Bucka nie była tak słodka. Zazwyczaj zimna, wyniosła i zaledwie tolerująca obecność hotelowego personelu, dzisiaj sama przyjacielsko gawędziła o pogodzie.

- Chciałabym odpocząć. Może zechciałaby pani dopilnować, aby nikt mi nie przeszkadzał? Pokojówka może później rozpakować bagaż. Poproszę tylko o herbatę.

Kiedy została sama w pokoju, błyskawicznie zrzuciła czerwony płaszcz, futrzany kołnierz i kapelusz. Z torebki wyjęła kluczyki do wielkiej skórzanej walizy. Na wierzchu leżał zwykły, czarny płaszcz, który wygładziła i nałożyła na ramiona. Z pudła wyjęła czarny kapelusz z szerokim rondem.

W łazience przypudrowała nos i pomalowała usta. Krótkie jasne włosy zaczesła do tyłu i wcisnęła pod kapelusz. Rozległ się dzwonek do drzwi. Przerazona odwróciła się, zaraz jednak przypomniała sobie, że to tylko pokojówka z herbatą. Kazała jej postawić tacę na stoliku. Poczekała, aż drzwi zamkną się, i przejrzała się w lustrze. Chwyliła torebkę i szybko wyszła z pokoju.

Zerknęła na korytarz. Nikogo nie było. Przedostała się na schody przeciwpożarowe i zaczęła zbiegać w dół. Liczyła kolejne kondygnacje, aż poczuła zawrót głowy.

Wreszcie znalazła się na dole i niepostrzeżenie wymknęła na dwór wyjściem dla służby.

Pierwszy raz w życiu Marianna Wingate musiała wychodzić skądkolwiek tylnymi drzwiami. Drżała z obawy, aby ktoś jej nie zobaczył. Bardziej przysłoniła twarz rondem kapelusza i pośpieszyła w kierunku Nob Hill.

Ulica pięła się stromo pod górę i Marianna czuła mocne, szybkie uderzenia serca.

Wreszcie znalazła się przed domem Francie. Zatrzymała się na chwilę, przełknęła ślinę i dumnie prostując plecy pomaszerowała do drzwi.

Harry właśnie wracał z klubu i zaskoczony dostrzegł nieznaną kobietę przed rezydencją siostry. Zdziwił się, bo goście bardzo rzadko bywali w tym domu.

Jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zna tę damę w czarnym kapeluszu.

Zaciekawiony, skrył się w podcieniach sąsiedniego budynku i czekał.

Drzwi otworzył chiński służący. Kobieta coś mu tłumaczyła. Przed wejściem do środka szybko rozejrzała się wokół. Ten moment wystarczył Harry'emu. Gwizdnął przeciągle. Cóż, u diabła, szukała pani Wingate u jego siostry? Cokolwiek by to było, z pewnością kryła się za tym jakaś ciemna sprawa. Marianna nie zwykła wystawać spłoszona przed czyimikolwiek drzwiami. Poza tym ten strój... Wyglądała jak przebrana w płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem i kapeluszem opuszczonym na oczy.

Zaintrygowany Harry szybko wrócił do domu. Z okna salonu miał doskonały widok na rezydencję. Prawie pewien, że przy drzwiach rozegra się jakaś dramatyczna scena, postanowił nie uronić z niej ani chwili.

Służący wszedł do pokoju Francie z wiadomością, że na dole czeka pani Wingate.

Spojrzała na niego szerokimi z przerażenia oczami, żołądek skurczył się boleśnie.

- Pani Wingate? - powtórzyła, w nadziei, że przesłyszała się. Chłopak jednak uroczyście pokiwał głową.

- Tak, panno Francie.

Wstała powoli. Marianna tylko z jednego powodu mogła złożyć jej wizytę.

Popatrzyła na swoją plisowaną błękitną spódnicę i białą bluzkę, niepewna, czy powinna przebrać się w coś bardziej efektownego na spotkanie z żoną Bucka.

Zrezygnowała jednak, uczesała jedynie i przewiązała aksamitną wstążką długie, złote włosy. Skropiła się jaśminowymi perfumami, głęboko odetchnęła i położyła dłonie na brzuchu. Nosila maleńkie, bezbronne dziecko Bucka. Cięża nie była jeszcze widoczna. Powoli udała się na dół.

Ah Fong otworzył drzwi do salonu. Marianna stała przy oknie, patrząc na domy przy California Street. Odwróciła się szybko. Kobiety zmierzyły się wzrokiem.

- Pani Wingate? - zapytała Francie. Podeszła bliżej, ale nie wyciągnęła do niej ręki.

- Najlepiej, jeśli od razu przystąpimy do sprawy - powiedziała Marianna. - Domyślam się, że wie pani doskonale, dlaczego tu jestem. - Spacerowała między oknem a marmurowym kominkiem, taksując wzrokiem eleganckie, drogie meble.

Francie milczała.

- To piękny dom, panno Harrison. Jest pani bardzo bogatą kobietą, więc nie zadam obraźliwego pytania, czy to mój mąż płacił za wszystko.

Cień gniewu przemknął przez twarz Francie, ale nic nie odpowiedziała.

- Wiadomo, że mężczyźni w wieku mego męża przechodzą często... - przerwała, szukając odpowiedniego wyrażenia - kryzys uczuciowy. Ich życie jest tak intensywne - praca, rodzina, obowiązki - iż potrzebują odmiany. Romans niezwykle przyjemnie łechce męską próżność, panno Harrison. Czasami wydaje mi się, że mężczyźni są bardziej próżni niż my. Ale potem - zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu i spojrzała na Francie z triumfem - najczęściej zachowują się jak skruszeni chłopcy, którzy nabroili.

Francie nadal milczała. Marianna z gniewem patrzyła na skromnie ubraną, zgrabną postać i twarz bez cienia makijażu.

- Przyszłam, że spodziewałam się, iż Buck romansuje z jakąś ekstrawagancką kobietą bez skrupułów, która uwielbia uwodzić cudzych mężów.

Francie również przyglądała się Mariannie. Była piękna i bez wątpienia zimna jak lód. Nawet w pogniecionym płaszczu wyglądała jak dama.

- Co właściwie chce mi pani powiedzieć? - zapytała wreszcie, zaskoczona, że jej głos brzmi spokojnie i nie zdradza wewnętrznego wzburzenia.

- Pragnę zaapelować do pani rozsądku i inteligencji - podeszła bliżej. - Nie interesują mnie szczegóły związku z moim mężem, ale o pewnych sprawach powinna pani wiedzieć. Dla jego dobra. Czy kiedykolwiek pomyślała pani o naszych dzieciach?

Francie zadrżała. Czyżby Marianna wiedziała o ciąży? Nawet Buckowi jeszcze nie mówiła.

- Są jeszcze małe, panno Harrison. Potrzebują opieki i ojcowskiej troski nie tylko do czasu, gdy dorosną - przeszła ją wzrokiem - nie wspominając już o stronie materialnej. Czy myśli pani, że ujawnienie takiego skandalu dobrze wpłynie na ich przyszłość? Pomijam, jak bolesne byłoby dla mnie. Ale jeszcze ważniejsze są sprawy naszego kraju. - Znacząco zawiesiła głos. Usiadła na brzeżku krzesła i uniosła brwi do góry. - Czy Buck rozmawia z panią o pracy? - Nie czekając na odpowiedź wzruszyła ramionami. - Pewnie zajmują was inne tematy.

Proszę mi wierzyć, praca jest wszystkim dla męża. On żyje polityką. Pani zna go krótko, ale ja wiem o tym bardzo dobrze. Już jako chłopiec przychodził do nas z ojcem. Rzadko bawił się z dziećmi. Zazwyczaj przesiadywał w bibliotece i przysłuchiwał się rozmowom starszych. Zapewne wie pani, że pochodzę z rodziny polityków, Buck więc przejął te zainteresowania jakby przez osmozę. Ma przed sobą wielką przyszłość. Niweczając jego karierę wbija mu pani nóż w plecy. - Przerwała, ciekawa, jakie wrażenie wywarły jej słowa. Francie siedziała niczym zahipnotyzowana. - Taki skandal - Marianna aż uniosła ręce - to dla niego koniec.

Francie nadal milczała. Wpatrywała się w wielobarwny dywan na podłodze.

- Rozumiem - odezwała się wreszcie cicho. Marianna westchnęła.

- Mam nadzieję - ze względu na męża, nie na mnie. Żadna z nas nie ma prawa szkodzić jego karierze. To sprawa nadrzędna.

Francie czuła, że serce w niej zamiera. Pomyślała o dziecku, które nosi w łonie.

Pierwszy raz tak naprawdę uzmysłowiła sobie, jak wielka przepaść dzieli ją i Bucka. Czas, spędzony wspólnie na ranczo, dla niej był całym życiem, dla niego zaledwie oderwaniem od rzeczywistości: od polityki, żony, która mogła mu pomóc, dzieci, które miały pełne prawo nosić jego nazwisko. Spojrzała na Mariannę Wingate tak pewną siebie i swoich racji, praw do męża i decydowania o jego życiu. Nie, nigdy nie narazi Bucka na kłopoty. Nie zabierze mu tego, na co tak ciężko pracował całe życie.

- Dziękuję, że przyszła pani do mnie - powiedziała spokojnie. - Zdaję sobie sprawę, jak trudna to była decyzja. Powiem Buckowi, że nie chcę go więcej widywać.

Marianna z trudem ukrywała triumf.

- Mam nadzieję, że mogę również polegać na pani dyskrecji. To bardzo ważne.

- Oczywiście. - Przeszły do holu. Marianna założyła płaszcz i kapelusz. - Ah Fong odprowadzi panią do wyjścia - powiedziała Francie i udała się do sypialni.

W milczeniu rzuciła się na łóżko.

Słyszała trzask drzwi na dole. Oczywiście wyobraźni widziała panią Wingate stąpającą po schodach frontowych, a potem na ulicy, spieszącą do męża i ich wspólniejszej przyszłości. Poczula słone łzy na wargach. Dlaczego los zawsze zabiera jej to, co najbardziej kocha? Znowu była bezradną dziewczynką, nad którą stoi okrutny ojciec ze skórzanym rzemieniem w dłoni. Już wtedy powinna zrozumieć, że świat należy do mężczyzn. A ona jest tylko kobietą.

Rozdział 38

Zaskoczona Annie ujrzała drugi raz tego popołudnia panią Wingate. Czekwała na winę, niecierpliwie tupiąc nogą. Wsiadła szybko, rozglądając się wokół niespokojnie. Marianna często zatrzymywała się w tym hotelu, ale Annie jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie! W czarnym płaszczu i ogromnym kapeluszu przemykała się przez elegancki hol, niczym niewierna żona powracająca ze schadzki.

Annie wyraźnie zaniepokoiła się i czuła przez skórę, że prawdziwe kłopoty dopiero się zaczną.

Po kwadransie do hotelu wszedł Harry Harrison. Oświadczył recepcjonistce, że jest umówiony z panią Wingate i zapytał o numer jej apartamentu. Annie przyglądała mu się podejrzliwie. Nagłe pojawienie się tego człowieka nie wróżyło nic dobrego. Zapytała w recepcji, dokąd poszedł. Pełna złych przeczuć usiadła w saloniku, skąd widziała wszystkich wchodzących i wychodzących gości. Zamówiła herbatę i czekała na dalsze wydarzenia.

Marianna kąpała się, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Pewna, że to pokojówka z kawą, zawołała z łazienki: - Proszę wejść i postawić tacę na stole!

Z Kawa była jedynym jej nałogiem. Dzisiaj z pewnością zasłużyła sobie na jeszcze jedną filiżankę. Powoli wycierała się miękkim, puszystym ręcznikiem w kolorze dojrzałej brzoskwini. Trzeba przyznać, że Annie Aysgarth potrafi zapewnić gościom wszystko w najlepszym gatunku.

Marianna miała powody do zadowolenia. Doskonale załatwiła sprawę. Nućąc pod nosem jakiś szlagier zakładała błękitny aksamitny szlafroczek i pantofle. W świetnym nastroju weszła do pokoju i stanęła twarz w twarz z Harrym Harrisonem.

- Mój Boże! Jak dostałeś się tutaj?

- Zadzwoiłem i powiedziałaś, żeby wejść. Przepraszam za niespodziankę, ale umówiłem się z Buckiem około piątej. Chyba jestem trochę za wcześnie.

Westchnęła. Nie miała zamiaru udawać, że cieszy się z jego wizyty. Zazwyczaj przysparzał samych kłopotów i nie mogła zrozumieć, dlaczego Buck wciąż zawraca sobie nim głowę.

Znowu zadzwoniono do drzwi. Tym razem kelner przyniósł kawę. Postawił tacę na stole i zniknął.

Marianna chciała w samotności przygotować się do roli kochającej, namiętnej żony, którą zamierzała odegrać. Czuła wyjątkową satysfakcję, gdyż odzyskała własnego męża i pozbawiła go kochanki. Teraz, kiedy odniosła już zwycięstwo, była nawet zadowolona, że to wszystko się wydarzyło.

- Napijesz się kawy? - podała Harry'emu filiżankę.

- Dziękuję - rozparł się wygodnie na sofie i nie spuszczał z niej oczu.

Zmieszała się.

- Czego chcesz od Bucka? - zapytała bez ogródek. Z Harrym nie należało bawić się w subtelności.

Drobnymi łyżkami pił gorącą kawę.

- Powiem ci, jeżeli ty mi wyjaśnisz, co robiłaś dziś po południu u Francie.

Udało się. Kompletnie zaskoczona straciła zwykłą pewność siebie. Zbladła i drżącą ręką odstawiła filiżankę na stół.

- Mylisz się - usiłowała mówić spokojnie. - Nie znam twojej siostry. O, chwileczkę - uniosła dłoń i ściągnęła brwi, udając, że intensywnie myśli. - Tak, spotkałam ją kiedyś na przyjęciu u Annie Aysgarth. Chyba nawet ktoś nas sobie przedstawił - wzruszyła ramionami, jakby ten fakt niewart był zapamiętania.

Harry świetnie bawił się.

- Widział cię mój kamerdyner i służący - skłamał bez zająknięcia. - Nawet w tym kapeluszu - wskazał na krzesło, gdzie leżały czarny płaszcz i ogromny kapelusz - rozpoznali cię. Ciekawe - ciągnął z promiennym uśmiechem - czy szlachetny, wierny i wspaniały Buck uciął sobie romans z moją siostrzyczką.

Roześmiał się głośno na widok nagle pobladłej Marianny.

- Zdaje się, że trafiłem w dziesiątkę.

- Gadasz bzdury, jak zwykle - opanowała się już trochę i usiłowała przybrać wyniosły wyraz twarzy. Harry jednak nie dał się zwieść.

- Nie sądzę - zarechotał nieprzyjemnie. - Zupełnie co innego pisze detektyw w raporcie.

- W raporcie? - ponownie zbladła jak kreda. Delikatnie poklepał się po kieszeni marynarki.

- Musisz pamiętać o zamykaniu drzwi, Marianno. I nie zapraszaj nikogo obcego.

Nigdy nie wiadomo, może to złodziej. A twoja torebka leżała otwarta na stole...

To zbyt wielka pokusa.

- Ty łajdaku...

- No, nie miałem nic złego na myśli. Potrzebuję tylko od was drobnej pomocy. Wystarczy szepnąć słowo w odpowiednim momencie - twemu ojcu albo jakiemuś prezesowi banku - wiesz, jaka jest sytuacja. Mam kopalnie fosforytów w Ameryce Południowej i potrzebuję drobnego finansowego wsparcia, żeby kontynuować wiercenia. Potraktuj to jako inwestycję - już niedługo kopalnia zacznie przynosić zyski i zarobisz na tym sporo.

- Już mam dużo pieniędzy - odparła zimno. Wzruszył ramionami i wstał leniwie.

- Zostawiam sprawę w twoich rękach. Na pewno łatwiej przekonasz męża, że należy mi pomóc - podszedł do drzwi. - Wierzę w ciebie, Marianno.

Jeszcze z korytarza słyszała jego śmiech. Śmiał się jak ze świętego kawału.

Zacisnęła pięści. Nie lubiła, kiedy ktoś próbował z niej żartować.

Panowie wpadli na siebie przy windzie. Buck zdziwił się.

- Przepraszam, ale trochę się spieszę - Harry w przelocie poklepał go po ramieniu. - Marianna ci wszystko powtórzy.

- Marianna?

Annie nadbiegła z saloniku.

- Obawiam się, że pan Harrison popsuł ci niespodziankę. Pani Wingate przyjechała po południu. Kazałam przenieść twoje rzeczy do apartamentu Knaresborough na tym samym piętrze.

Często spotykała Bucka na rancho. Wiedziała o wszystkim i chociaż tego nie aprobowała, darzyła go sympatią. Nigdy jednak nie rozmawiali na ten temat.

Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Dziękuję - powiedział tylko. Po ciężkim dniu nie miał ochoty zastanawiać się, dlaczego Marianna odwiedziła go w San Francisco albo co takiego chciał Harry.

Annie domyślała się wszystkiego. Toteż nie zdziwiła się wcale, kiedy kwadrans później pojawił się chiński służący Francie, Ah Fong, z prywatnym listem do pana Wingate. Poleciała mu, aby list dostarczono, kiedy senator będzie sam.

Annie poprosiła go telefonicznie, by zszedł na dół. W milczeniu wręczyła mu kopertę.

Marianna domyślała się wszystkiego. Buck wrócił dopiero późną nocą i zachowywał się jak szaleniec.

Z błyszczącymi nieprzytomnie oczami krążył po apartamencie. Świetnie, zadziałała w samą porę, gdyby tylko ta świnia Harrison nie zauważył jej, wszystko ułożyłoby się idealnie.

Ale on chciał tylko pieniędzy. To mogła załatwić z ojcem, bez wiedzy męża.

Wstrząsnął nią dreszcz. Wciąż widziała obmierzłą, nalaną twarz Harry'ego i ten triumfalny uśmiech. A teraz Buck jest w takim stanie, że nie wiadomo, co uczyni.

Musi wykazać się całą swoją umiejętnością dyplomacji, aby go uspokoić. Inaczej gotów popełnić jakieś szaleństwo, powrócić do Franceski Harrison.

Stał w oknie. Całe San Francisco spowijała gęsta, biała mgła. Nadeszła niespodziewanie, jak zwykle. Nawet jej nie zauważył. Przeczytawszy list powiedział po prostu „Nie, to nieprawda”, ale napotkał poważny, smutny wzrok Annie. Uświadomił sobie, że Francie rzeczywiście nie chce go już więcej widzieć.

Jednak nie mógł w to uwierzyć. Czytał list wielokrotnie, aż każde słowo zapadło mu w pamięć i teraz huczało w uszach. W apartamencie panowała martwa cisza.

„Nie mogę tak dłużej żyć, jakbym miała zaledwie połowę życia, a ostatnio nawet mniej - pisała Francie. - Zdałam sobie sprawę, że odciągam cię od pracy, dzieci, przeszkadzam w karierze. Moja decyzja jest ostateczna, Buck. Nie próbuj mnie szukać. Chcę zostać sama i budować życie na nowo. Kochałam cię i byłam bardzo szczęśliwa, ale już nie będziemy się spotykać”.

Na pół przytomny wybiegł z hotelu i poszedł na Nob Hill. Dzwonił uparcie do drzwi, aż w końcu pojawił się przestraszony chiński służący. Buck był tu pierwszy raz. Wszedł, niecierpliwie odsunawszy chłopca.

- Gdzie ona jest? - zapytał. Chłopiec tłumaczył, że panny Harrison nie ma w domu, ale nie zwracał na niego uwagi, wchodził do wszystkich pokojów, wołając ją.

- Panna Francie wyjechała - powtarzał wystraszony służący. - Gdzieś daleko, nie na ranczo. - Szeroko wywijał ramionami w powietrzu, chcąc pokazać, że pani udała się w długą podróż w nieokreślonym kierunku. Buck przyglądał się mu chwilę.

Straszna prawda docierała do niego powoli. Francie naprawdę wyjechała. Na zawsze.

Spojrzał podejrzliwie na Mariannę.

- Dlaczego tu dzisiaj przyjechałaś?

- Chciałam tylko zrobić ci niespodziankę, kochanie. - Zbliżył się do niej, z oczami pociemniałymi z gniewu i rozpaczy. - Czy coś się stało?

Stał roztrzęsiony obok, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Z najwyższym trudem panował nad sobą.

- Zrobiłaś to, prawda? Byłaś u niej? Odwróciła głowę, by uciec przed jego wzrokiem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Świetnie wiesz, o czym mówię!

- Pomyśl o dzieciach - przystąpiła do ataku. - I o wszystkim, na co pracowałeś, twoja przyszłość...

- Czy rzeczywiście troszczysz się o moją przyszłość? Czy raczej o swoją?

Ujął w dłonie jej twarz. Teraz musiała patrzeć mu w oczy.

- Nie zapomnę tego - powiedział spokojnie.

Widziała jego rozpacz i wiedziała, że poniósł klęskę. Zwyciężyła.

- To wszystko dla twojego dobra, Buck. Myślałam tylko o tobie. Jestem przecież twoją żoną. - Próbowała mówić zwykłym, rzeczowym tonem, jakby nic się nie stało.

Nie słuchał jej. Ich małżeństwo nie istniało już od dawna. Teraz odeszła Francie. Przed nim rysowała się świetlana przyszłość, ale nic go to w tej chwili nie obchodziło.

Spojrzał na Mariannę w eleganckim aksamitnym peniuarze. Broniła swoich praw, jako żona i matka jego dzieci. W poprawne do tej pory stosunki między nimi wkradła się nienawiść. Nic nie mogło tego naprawić.

- Buck! - zawołała. Bez słowa poszedł do swego pokoju.

Marianna opadła na sofę z westchnieniem ulgi. Już po wszystkim. Dzisiaj jest bardzo nieszczęśliwy, ale jutro, pojutrze ból przygaśnie. Tak jak dziecko, które stłukło sobie kolano, płacze wieczorem, ale rano zapomina. Z czasem zaczną życie od nowa, jakby nic się nigdy nie zdarzyło.

Lysandra przyszła na świat w piękny wiosenny poranek na ranczo de Soto. Annie oraz mandaryn towarzyszyli Francie i pierwsi zobaczyli maleństwo.

Lai Tsin uniósł w dłoniach białe zawiniątko. Jego czarne oczy lśniły szczęściem, bo oto Francie urodziła dziecko, któremu mogła ofiarować swą miłość.

- Jaka śliczna dziewczynka - zachwyciła się Annie. - Och, to stare ranczo znowu będzie najwspanialszym miejscem na ziemi!

- Jest cudowna - zapewniała Hattie, zerkając na kształtną buzię maleństwa. - Wygląda jak pączek róży przed wschodem słońca.

Francie uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że nigdy nie doczekam się całego bukietu. - Spojrzała tęsknie. - Tak bym chciała, aby Buck ją zobaczył. Szkoda, że nie będzie nosić jego nazwiska.

Mandaryn położył córeczkę przy matce, uklonił się i rzekł:

- Jestem już starym człowiekiem. Nie mogę zastąpić ojca, ale zaopiekuję się nią jak własną wnuczką, nauczę ją wszystkiego, co umiem, i z radością będę patrzył, jak rośnie.

Francie spojrzała na najdroższego przyjaciela. To prawda, zestarzał się - sam nie wiedział dokładnie, ile ma lat, skurczył się, ale oczy pozostały te same - pełne godności, mądre, promieniujące energią. Tyle uczynił dla niej, wszystko jemu zawdzięczała, a teraz stanie się opoką dla małej. Nic wspanialszego nie spotkało jej w życiu.

- Lai Tsin, czy Lysandra może przybrać twoje nazwisko? Bardzo będę dumna z tego. Oczy zwilgotniały mu ze wzruszenia. Ucałował zwiniętą w piąstkę rączkę dziecka.

- Najdroższa Francie - powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. - To wielki zaszczyt dla mnie. Byłem biednym wieśniakiem, pozbawionym rodziny, miłości, bez pieniędzy. A teraz mam wszystko. Nazwisko, które noszę z dumą, i wnuczkę, której mogę je nadać. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Przez siedem cudownych lat był ukochanym dziadkiem Lysandry. Francie dotrzymywała słowa i nigdy nie próbowała spotkać się z Buckiem, ale myślała o nim codziennie i śledziła jego karierę. Nie widziała go aż do 1937 roku, kiedy umarł mandaryn i zginął Harry.

Rozdział 39

Środa, 4 listopada Lysandra wyskoczyła z łóżka o pół do siódmej rano. Poprzedniego wieczora prochy Lai T sina rozrzucono, zgodnie z jego wolą, na wodach zatoki.

Lysandra bardzo przeżyła śmierć dziadka. Ale z natury żywa i pogodna, nie potrafiła ani minuty usiedzieć na miejscu. Zwykle budziła się radosna, że dzień przyniesie coś przyjemnego. Najczęściej przeczucia sprawdzały się, dostała piątkę z matematyki, ulubione ciasto czekoladowe po kolacji albo zaprosiła ją serdeczna przyjaciółka Dorota, aby spędziły wspólnie popołudnie. Lysandra kochała życie i nigdy nawet nie pomyślała, że mogłoby ją spotkać coś złego.

Dlatego śmierć dziadka była takim ciosem. Uwielbiała go i nie spodziewała się, że ktoś tak bliski odejdzie na zawsze.

Ale nastał nowy dzień. Słońce świeciło wesoło, więc radosna pobiegła do

łazienki, umyła buzię, rozczesała niesforne, jasne włosy, po czym zaplotła je w warkocz i przewiązała szkarłatną wstążką, w chińskim stylu. Krytycznie oceniła swoje odbicie w lustrze. Patrzyła na nią jednak ta sama co wczoraj okrągła buzia i wielkie niebieskie oczy. Niestety, nie przemieniła się nocą w dojrzałą piękność. Z traskiem zamknęła drzwi i pobiegła do pokoju Francie.

Zapukała do drzwi. Zazwyczaj dobiegał ze środka wesoły głos:

- Wejdz, kochanie! - Od kiedy zaczęła chodzić, zawsze wrywała się rano z troskliwych objęć niani i pędziła do mamy. Wdrapywała się na łóżko i razem jadły śniadanie. Francie chrupała grzanki z masłem do porannej herbaty, Lysandra zaś smarowała je wspaniałą brzoskwiniową konfiturą, którą Hattie smażyła każdego lata na ranczo.

Potem szły do hotelu Fairmont na basen. Lubiły pływać. Francie twierdziła, że basen stanowi jedyną przewagę Fairmont nad hotelem Annie. Ale Lysandra broniła zawsze cici, mówiąc, że woli piękny, lśniący, srebrnozielony cocktail-bar w Aysgarth Arms niż kryty basen w Fairmont.

Dzisiaj w pokoju panowała cisza. Zajrzała do środka: łóżko zasłane i z pewnością nikt w nim nie spał, story w oknach zaciągnięte, nocne lampki nadal paliły się, a portrecik dziewczynki, pędzla Morisota, na stoliku przy łóżku jaśniał łagodnym światłem jak ikona.

Lysandra przestraszyła się. Wpadła do garderoby i łazienki, ale nikogo nie było.

Nie dość, że straciła ukochanego dziadka, a teraz mama gdzieś przepadła?

Przebiegła długi korytarz i zatrzymała się przed apartamentem mandaryna. Po chwili wahania otworzyła drzwi.

W całej rezydencji jedynie pokoje Lai Tsina urządzone w stylu chińskim. W pomalowanym na czerwono gabinecie przy dwóch ścianach stały regały z książkami w ciężkich, skórzanych oprawach, przy trzeciej zaś prosty, rzeźbiony, drewniany ołtarzyk. Jediną dekorację stanowiła filigranowa latarenka z kutego żelaza, ozdobiona szkarłatnymi frędzlami, wisząca nad niskim stołem, wokół którego ustawiono drewniane krzesła, zdaniem Lysandry, okropnie niewygodne.

Nie znalazła tu mamy. Weszła do sypialni dziadka. Na białych surowych ścianach nie było żadnych ozdób. W rogu zobaczyła niskie łóżko, przykryte matami, zamiast kominka koksowy piecyk, a w wysokich oknach żaluzje z ryżowego papieru.

Najbardziej przypominały o dziadku jego ulubione, białe azalie w doniczkach pod oknami.

Lysandra zbiegła po schodach i ślizgając się na wyfroterowanych posadzkach wpadła jak burza do saloniku. Kamień spadł jej z serca. Mama, skulona, spała na sofie.

- O, nareszcie! - krzyknęła z ulgą.

Francie otworzyła oczy i rozejrzała się wokół nieprzytomnie. Czuła się jak po powrocie z dalekiej podróży. Obudziła się zmęczona nieprzyjemnymi snami.

- Już po szóstej - rzuciła niecierpliwie Lysandra. - W ogóle nie przebrałaś się od wczoraj?

Francie przeciągnęła się z uśmiechem. Córeczka wyglądała tak śmiesznie z krzywo zaplecionym warkoczem i w bluzce założonej na lewą stronę. Zawsze robiła wszystko w pośpiechu.

- Umyłaś zęby?

- Zapomniałam. Umyję po śniadaniu - podbiegła do matki i zarzuciła jej ramionka na szyję. - Nie mogłam cię znaleźć. Bałam się, że ty też gdzieś sobie poszłaś.

Ucałowała małą.

- Nigdzie nie ruszę się bez ciebie. Mam wspaniały pomysł. Po śniadaniu pojedziemy na ranczo. Tej nocy śniło mi się, że zbierałyśmy winogrona, a potem pognałyśmy konno daleko za wzgórze. I smażyłyśmy naleśniki. Chyba należy nam się trochę wypoczynku. Hattie bardzo ucieszy się, Mousie pewnie znowu urosła. No jak, skarbie?

Lysandra podskoczyła z radości, klasnęła w dłonie i odtńczyła dziki taniec, o mała nie przewracając mebli.

- Wiedziałam, że dzisiaj zdarzy się coś miłego!

Tak łatwo sprawić jej radość. Ciekawe, jaka będzie, gdy dorośnie i pewnego dnia dowie się, że dziadek uczynił ją spadkobierczynią milionowej fortuny! Co więcej, oczekiwał, że pokieruje ogromną firmą. Francie nie wyobrażała sobie swojej małej córeczki w tej roli. Żywa jak srebro Lysandra na czele rady nadzorczej! Ale Lai Tsin wybrał ją właśnie, a nigdy się nie mylił.

Ranczo i winiarnia de Soto zmieniły się bardzo od czasu, gdy Francie jako dziewczynka pojechała tam z matką pierwszy raz. Wtedy na paru akrach ziemi stało kilka skromnych, zaniedbanych budynków. Teraz posiadłość liczyła czterysta akrów. Do starego domu dobudowano dwa skrzydła i całość otoczono długą, oszkloną altaną. Wzniesiono też nowe pomieszczenia gospodarcze, ozdobioną stiukami winiarnię i trzy stajnie, za którymi znajdowały się domy dla pracowników i domek Zocco, meksykańskiego zarządcy.

Zocco miał już ponad siedemdziesiąt lat, był śniady i pokrzywiony jak stary dąb.

Jego dzieci i wnuki już dorosły, ale on pracował jeszcze całymi dniami.

Nadzorował pracę stajennych, którzy nieźle obrywali, gdy przyłapał ich na niedbalstwie. Objeżdżał konno ranczo, naprawiał parkany i nieraz spał pod gołym niebem. Zniekształcone artretyzmem ręce lekko muskały lejce i nie zdarzało się, aby jakiś koń był mu nieposłuszny. Esmeralda, jego żona, nadal gotowała dla pracowników zatrudnionych na stałe w winnicach i dla meksykańskich robotników sezonowych, którzy pojawiali się w październiku na winobranie.

Gospodyni Hattie Jeremiah miała potężny, falujący biust i najgładszą w świecie skórę w kolorze czarnych dojrzałych winogron. Z niespożytą energią rządziła całym domem, rzucając gromkie spojrzenia służbie, jeśli coś jej nie odpowiadało.

Ci jednak, którzy lepiej ją znali, wiedzieli, że za groźną miną kryją się dobroduszna natura i wielkie serce.

Hattie stała na ganku, gdy ford Francie wyłonił się zza zakrętu, skrytego wśród złotych topoli.

- Nareszcie - powiedziała. - Myślałam, że już nigdy nie przyjedziecie.

Lysandra wyskoczyła z samochodu, zanim dobrze stanął, i wpadła jej prosto w ramiona.

- Trzy tygodnie nie będę chodzić do szkoły! - podzieliła się radosną nowiną.

Ucałowała ją w policzki i wywineła się jak piskorz z objęć, żeby czym prędzej pobiec do stajni.

- Naprawdę? - gospodyni ujęła się pod boki. - W takim razie, panienko, przyjechałaś w samą porę na winobranie. Zarobisz trochę na swoje utrzymanie.

Ale Lysandra już nic nie słyszała. Hattie podeszła do Francie.

- Tak mi przykro - na okrągłych policzkach załśniły duże łzy. - To musiało nastąpić, ale co innego wiedzieć, że ktoś odejdzie, niż przeżyć stratę kogoś bliskiego. Nigdy przedtem nie znałam żadnego Chińczyka, ale mandaryna podziwiałam i darzyłam szacunkiem. - Przytuliła ją do potężnej piersi. - To wcale nie znaczy, że znałam wielu porządnych mężczyzn. Bynajmniej, panno Francie. Większość z nich to skończone łobuzy, jeśli chce pani znać moje zdanie.

Francie roześmiała się.

- Czasami zdaje mi się, że masz rację.

Przypomniała sobie, że Hattie po kilku latach pobytu na ranczo zniknęła gdzieś bez śladu. Wróciła po roku z niemowlęciem na rękę i rozczarowaniem w oczach.

- Źle postąpiłam, panno Francie - wyznała wtedy. - Teraz mam dziecko na głowie i żaden mężczyzna nie zaopiekuje się nami. Chętnie przyjmę dawną pracę i obiecuję, że małeństwo nie sprawi kłopotu, będzie cichutkie jak myszka.

Lai Tsin przysłuchiwał się tej opowieści. Powiedział, że dzieci to błogosławieństwo, a nie kłopot. Wybudował dla Hattie mały domek na ranczo, gdzie spokojnie wychowywała synka. Chodził do miejscowej szkoły, potem ukończył szkołę średnią, a teraz Jefferson - otrzymał imię po słynnym prezydencie Stanów Zjednoczonych Tomaszu Jeffersonie - był studentem drugiego roku uniwersytetu w Kalifornii, a wybierał się do Akademii Medycznej. Hattie powtarzała z dumą, że pierwszy w rodzinie zdobędzie wykształcenie. Większość z nich nie potrafiła nawet poprawnie pisać i czytać, a oto jej syn zostanie doktorem!

Oddałyby życie za Francie i mandaryna.

- Panna Annie telefonowała jakieś pół godziny temu. Domyśliła się, że pani tu przyjedzie, i prosiła, żeby zaraz do niej zadzwonić - powiedziała, gdy wchodziły do domu. Za nimi Fong Joe dźwigał bagaż, a opiekunka Lysandry Ah Sing, w czarnym jedwabnym kaftanie i spodniach, niosła matę, kołdrę, imbryk do herbaty i pałeczki kadzidła. Kadzidło było przeznaczone dla bogini opiekującej się kuchnią, której Ah Sing stawiała mały ołtarzyk obok pieca. Hattie gderała, ale ołtarzyk stał zawsze podczas pobytu Francie na ranczo.

W holu wygrzewała się na słońcu piękna kotka koloru imbirowego piwa. Na widok Francie leniwie pomachała ogonem. Z kuchni dolatywały aromatyczne zapachy.

- Specjalnie dla Lysandry - wyjaśniła Hattie - fasolka pieczona w miodzie, smażony kurczak i ciasto karmelowe z czekoladą.

Francie z rozkoszą wdychała woń ciasta, lawendy, wosku do podłóg, ten cały niepowtarzalny zapach domu. Drzwi do jej pokoju były szeroko otwarte. Przez okna wpadało rześkie jesienne powietrze. W starej szafie wisiały bryczesy do konnej jazdy, batystowe bluzki, kilka ciepłych swetrów, zamszowa kowbojska kamizelka i jedwabne kwieciste kimono, które lubiła zakładać wieczorem.

W pokoju stała także sosnowa toaleta, wygodne krzesło, a podłogę przykrywał wypłowiały, pleciony dywanik. Na drewnianym rzeźbionym łóżku, należącym kiedyś do jej matki, leżała zszywana z kolorowych kawałków kołdra. W tym pokoju urodziły się jej dzieci i za każdym razem, kiedy tu wchodziła, wspomnienia opadały ją jak ptaki. Niektóre wspaniałe, inne straszne. Ale takie było jej życie.

Następnego dnia po przyjęciu u Harry'ego, Buck wstał dopiero o wpół do jedenastej. Niespokojnie spał tej nocy, budził się ciągle i przewracał z boku na bok. Usnął dopiero koło piątej nad ranem. Myślał o Francie. Nie widzieli się od siedmiu lat, ale wieczorem zauważył światło w jej rezydencji. Czytał w gazetach o śmierci Lai Tsina. Wiedział, jak bardzo była do niego przywiązana, i prześladowała go myśl, że siedzi teraz w wielkim domu, samotna i zrozpaczona.

Wspominał minione lata, które ona spędziła w prywatnym zaciszu, on zaś w wirze publicznych obowiązków. Tak naprawdę jego małżeństwo nie istniało. Zachowali pewne pozory, „dla dzieci”, jak twierdziła Marianna, ale one były Brattle'ami z krwi i kości, zimnymi jak ich matka. Chodziły do odpowiednich szkół, miały odpowiednich przyjaciół i szanowały ojca, trzymając się od niego na dystans.

Nie rozumiał, czemu upierała się, aby poszli na ten obiad do Harry'ego.

- On ciągle się jeszcze liczy w San Francisco - tłumaczyła z niewzruszonym spokojem. - Może okazać się pomocny, Buck.

- Nie pojmuję, po co mi jego wsparcie - odparł sucho. Musnęła dłonią swą nieskazitelną fryzurę.

- Zaufaj mi. Czyż nie mam zwykle racji?

Uśmiechnęła się przy tym z wyższością, co doprowadzało go do pasji.

Zamówił kawę, poranne gazety i wszedł pod prysznic. Strumienie lodowatej wody rozpędziły resztki snu.

Kiedy w aksamitnej bonzurce wrócił z łazienki, na stole stała już kawa, obok leżały dzienniki. Zerknął na pierwszą stronę. Nad fotografią dziewczynki w kolorowej, letniej sukience widniał nagłówek: NAJBOGATSZE DZIECKO ŚWIATA Siedmioletnia Lysandra Lai Tsina odziedziczyła milionowe imperium, które należało do mandaryna Lai Tsina, jej przybranego dziadka. Dziewczynka jest córką Franceski Harrison, jak widać na zdjęciu, bardzo podobną do matki.

W artykule było dużo innych wiadomości o Francie i mandarynie, ale Buck nie interesował się nimi. Wpatrywał się w Lysandrę. Myślał o siedmiu latach, które minęły od rozstania z Francie. Coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że patrzy na swoją córkę.

Kawa stygła w filiżance. Ukrył twarz w dłoniach. Dlaczego nic mu nie powiedziała? Dlaczego? Wszystko przeżyła samotnie - skandal, wychowanie nieślubnego dziecka... Marianna w tym czasie miała wszystko. Buck spojrzął na zegarek. Siódma. Wcześniej, ale nie mógł dzisiaj czekać. Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z Annie Aysgarth.

Odebrała natychmiast.

- Buck? - zdziwiła się. - Czy coś się stało? Nie dostałeś porannej kawy?

- Czytałem poranne gazety - odparł krótko.

- W takim razie jesteś szybszy ode mnie. Znalazłeś coś szczególnie ważnego?

- Zdjęcie Lysandry Lai Tsin.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie Annie powiedziała cicho:

- Rozumiem. - I zaraz dodała: - Przyjdź do mnie za pięć minut. Zjemy razem śniadanie.

Annie była na nogach od szóstej, już wykapała się, ubrała, przejrzała pocztę, wysłuchała kilku skarg personelu i zarządziła jadłospis na dzisiaj. Teraz pudrowała nos, przeglądając się w oprawionym w srebro lusterku, należącym niegdyś do żony osiemnastowiecznego księcia. Po raz pierwszy, od kiedy je kupiła, nie dziwiła się, że jest właścicielką tak pięknego, drogiego cacka.

Zastanawiała się wyłącznie nad tym, co powiedzieć Buckowi Wingate.

Po paTM minutach stanął w drzwiach jej mieszkania. Mój Boże, pomyślała, jest chyba jeszcze przystojniejszy niż kiedyś. Ale zauważyła też, że schudł, bujna czupryna mocno posiwiała, a wokół oczu pojawiły się głębokie zmarszczki.

Ucałował ją w policzek.

- Ale ty wyglądasz, jakbyś nie jadł porządnego śniadania - wypaliła bez ogródek. - Czy twoja żona karmi cię jeszcze czasami?

Wzruszył ramionami i opadł na krzesło. Siedzieli przy okrągłym stole, nakrytyTM szklanym blatem. Annie naląła sok pomarańczowy z dużego kryształowego dzbanka.

- Lysandra Lai Tsin to moja córka, prawda? - zapytał.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Stawiasz mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji, Buck.

- W porządku, nie musisz odpowiadać. Wiem, że to prawda. Wyjaśnij mi tylko, dlaczego Francie milczała. Przecież zatroszczyłbym się o nie... Francie była i jest dla mnie wszystkim.

Annie pomyślała, że ma przed sobą nieszczęśliwego człowieka; gdyby na szali położyć z jednej strony jego przywiązanie i lojalność wobec dzieci i żony, a z drugiej miłość do przyjaciółki... Uznała, że nie można dłużej okłamywać.

Opowiedziała o wizycie Marianny. Francie?? chciała zniszczyć mu kariery ani szantażować go dzieckiem. Ona jest uczciwą kobietą - niemal krzyknęła. Nie dodała „w przeciwieństwie do Marianny”, ale Buck odgadł te słowa. - Zostawiła ci całkowitą wolność - zaznaczyła. - Żadnych zobowiązań.

Parzyła na niego ze współczuciem. Pochylił się nad filiżanką kawy, był zupełnie nieobecny duchem. Annie wydawało się, że czyta w jego myślach. Toteż wcale nie zdziwiła się, gdy powiedział:

- Muszę ją zobaczyć.

Skinęła głową.

- Pojechali na ranczo. - Skończyła kawę i wstała od stołu. - Telefon jest na biurku. Muszę już iść, Buck. - W drzwiach rzuciła jeszcze: - Kiedy mi oznajmiła, że zerwaliście, byłam wściekła. Powiedziałam jej, że chyba zupełnie zwariowała.

Znal na pamięć numer na ranczo. Usłyszawszy sygnał, przypomniał sobie Francie biegnącą do aparatu. Zawsze spieszyła się, żeby odebrać telefon.

- Halo - rozległ się dźwięczny, melodyjny, lecz obcy głos.

- Czy zastałem pannę Harrison? - zapytał ostrożnie.

- Tak, zaraz zawołam... Mamo! - dziecinny głos odbił się echem w drewnianych ścianach domu na ranczo. - MAMO, jakiś pan do ciebie!

Uśmiechnął się ze smutkiem. Pierwszy raz usłyszał córkę, nazwała go „jakimś panem”.

- Słucham?

Poczuł znajome, szybsze bicie serca. Daremnie próbował opanować drżenie głosu.

- To ja, Francie, Buck.

Oparła się o ścianę. Wydało się jej, że przez wszystkie lata czekała tylko na ten jeden telefon. Dźwięk jego głosu przeszył ją tym samym rozkosznym dreszczem.

- Nie musisz się przedstawiać - powiedziała jakoś bezradnie, zupełnie bez sensu. - Poznałabym cię.

- To już tak dawno - mówił cicho, spokojnie. Opadła na małe, wyplatane krzeselko.

- Dlaczego dzwonicz? To sprzeczne z naszą umową.

- Ja nic nie obiecywałem. Ty postawiłaś warunki. - Milczała. - Rozmawiałem dzisiaj z Annie, zasugerowała, żebym do ciebie zadzwonił. Widziałem w gazecie fotografię Lysandry - zrobił znaczącą przerwę - mojej córki.

Westchnęła.

- Annie ci powiedziała?

- Nie musiała. Domyśliłem się.

- To śliczna dziewczynka. - Francie położyła dłoń na sercu, jakby starała się je uciszyć. - Nic nie wie i nie chcę, żeby dowiedziała się o tobie.

Usłyszał lęk w jej głosie.

- Musimy porozmawiać, Francie. Proszę cię, błagam. Pomyślała o latach, które minęły od czasu ich rozstania. Bardzo kocha Lysandrę i Bucka. Z trudem stłumiła w sobie uczucia, chcąc stworzyć córeczce normalny, ciepły dom. Nie może ustąpić, gdyż budowana latami barykada rozpadłaby się jak domek z kart. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko wyszło na jaw.

- Jutro rano muszę wyjechać. Odwołam więc spotkania i zaraz ruszam do was.

- Nie. - Nie chciała, aby zobaczył Lysandrę. - Ja przyjadę do San Francisco wieczorem. Gdzie cię szukać?

- Czekam u Annie o ósmej wieczorem... Dziękuję. Drżącymi rękami odłożyła słuchawkę. Córka przyglądała się jej ciekawie.

- Kto to był, mamusiu? Jakiś paskudny typ? Tak posmutniałaś. Próbowала uśmiechnąć się.

- Wcale nie jest wstrętny, kochanie. To... dawny przyjaciel.

- To dlaczego go nie znam?

Identycznym jak matka gestem, przekrzywiła głowę na bok.

- Bo masz dopiero siedem lat, a moi przyjaciele są dużo starsi. - Nagły dreszcz podniecenia i lęku przeszył Francie. Mocno przytuliła córeczkę. Potem starała się wrócić do zwykłych zajęć. Układała w wazonach polne kwiaty, które pachniały mocno. Przywodziły na myśl spokojne, szczęśliwe lata na ranczo i napełniały optymizmem. Ale Francie czuła wewnętrzny niepokój. Myślała tylko o Bucku.

Harry obudził się rano po przyjęciu, nadal zły na Mariannę. Do diabła, za kogo ona siebie uważa, że traktuje go z taką wyższością? Buck musiałby pewnie podać się do dymisji, gdyby on nie milczał, i wszelkie jej nadzieje rozwiałyby się jak dym. Poprosił ją wczoraj o drobne dofinansowanie wierceń w Nowym Meksyku, lecz nie potraktowała go życzliwie. Wzdychała, wywracała oczami i dopytywała się, kiedy wreszcie tryśnie to źródło czarnego złota i zwrócą się zainwestowane pieniądze.

Harry znowu przeżywał upokorzenia, wbijając widelec w przysmażone cielece nerki i sadzone jajka. Marianna zachowuje się jak bogini z klanu Brattle'ów, której on powinien zmiatać kurz sprzed kół lektyki. Najwyższy czas, aby otrzymała porządną nauzkę.

Zadzwoił do niej zaraz po śniadaniu, o wpół do dwunastej. Najwyraźniej jeszcze spała.

- Czego sobie życzysz? - prychnęła w słuchawkę. - Widzieliśmy się przed paru godzinami na tym twoim strasznym przyjęciu. Kim byli ci wszyscy ludzie? Z trudem wytłumaczyłam mężowi, po co właściwie przyszliśmy do ciebie.

Nie zamierzał jej wyjaśniać, że zaprosił go, aby uwiarygodnić swoją pozycję finansową wobec pozostałych gości. Teraz śmieiej proponuje Zevovi Abramsowi i innym, żeby zainwestowali w wiercenia. - Oczywiście, Buck już to zrobił - powiedziała by w zaufaniu. Nie mieliby powodu, aby mu nie wierzyć.

Przecież jedli kolację w towarzystwie Bucka.

- Musimy porozmawiać, Marianno - powiedział gładko. Wsparła się o poduszki.

- Boże, czego ty chcesz? - jęknęła. - Nie mam czasu na pogaduszki.

- Dla mnie?

Stanowczo jest zbyt natrętny, pomyślała z irytacją. Cóż, przynajmniej na razie musi go traktować w białych rękawiczkach.

- Może powiesz przez telefon? - zapytała przymilnie.

- Nie. Spotkamy się u mnie o ósmej.

- Nie mogę o tej porze. Jak wytłumaczę się przed Buckiem?

- Powiedz, że idziesz na kolację z dawną przyjaciółką szkolną. Wiem z doświadczenia, że to najlepsza wymówka.

- Doprawdy? - jej głos stał się znów lodowaty.

- O ósmej - powtórzył i odłożył słuchawkę.

Marianna była w rozterce. Niewątpliwie Harry stawał się uciążliwy, lecz na razie miał ją w rękę i doskonale wiedział o tym.

Rozdział 40

Odetchnęła z ulgą, kiedy Buck oświadczył jej, że wieczorem wychodzi.

Przynajmniej bez kłopotu wymknie się na pół godziny. - Nie martw się o mnie, kochanie - powiedziała spokojnie, choć od rana wszystko się w niej burzyło na myśl o bezczelności Harry'ego. On nie prosił, lecz kazał jej przyjść! - Zamówię kolację do apartamentu. Poza tym chyba położę się wcześniej spać. Taka jestem zmęczona... - ziewnęła dyskretnie.

Spojrzał na nią zdziwiony, że nie pyta, dokąd on idzie. Ostatnio jednak stosunki między nimi stały się zupełnie oficjalne, mimo że Marianna pragnęła stworzyć przed światem pozory zgodnego, szczęśliwego małżeństwa. Teraz pudrowała swój ładny nos zerkając do lusterka w ślicznej, oprawionej w złoto i platynę pudernicze od Cartiera, z rubinowymi inicjałami na wieczku, którą Buck podarował jej przed laty na Boże Narodzenie. Ożenił się z zimną, ambitną, wyrachowaną kobietą, która bez skrupułów sprzedałaby rodzinę za przywilej zostania Pierwszą Damą Ameryki. Wzruszył ramionami. Nic go to już nie obchodziło. Jedynie na myśl o Francie fala ciepła zalewała mu serce. Pragnął zobaczyć swoją córeczkę.

Marianna leżała na kwiecistej sofie, obserwując męża spod przymkniętych oczu.

Założył płaszcz i podszedł do drzwi.

- Do widzenia, kochanie! - przesłała mu ręką pocałunek. Nie odwzajemnił gestu.

Rzucił przez ramię chłodne „do widzenia” i zamknął za sobą drzwi.

Zerknęła na zegarek. Nie było czasu do stracenia. Musi załatwić sprawę przed powrotem Bucka. Co prawda nie wiedziała, czy wyszedł na długo, ale nie zastanawiała się nad tym. Szybko ubrała się w czarne zamszowe spodnie, wełniany sweter i kaszmirową pelerynę, podbitą skórkami z norek. Uznała, że w czasie kampanii wyborczej męża pod hasłem solidarności z klasą pracującą, nie powinna nosić drogich futer. Wrzuciła do torebki klucze, puderniczkę od Cartiera, szminkę, książeczkę adresową oprawną w jaszczurzą skórę i lnianą chusteczkę do nosa. Pobiegła do windy.

Hol był zatłoczony. Rozejrzała się wokół i, nie zauważona przez nikogo, wymknęła się przez obrotowe drzwi.

Tego wieczora Annie jak zwykle witała w holu gości przed kolacją, ale myślami towarzyszyła Buckowi i Francie, którzy za chwilę spotkają się w jej prywatnym mieszkaniu. Buck już czekał. Teraz szukała wzrokiem przyjaciółki.

Jest! Pojawiła się pięć po ósmej. Wsiadła do małej, prywatnej windy. Annie westchnęła ciężko. Oby tylko okazało się, że postąpiła słusznie!

Winda gładko płynęła w górę. Francie mocno zacisnęła powieki, aż do chwili, kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyła Bucka.

- Francie. - W jego oczach ten sam, dawny zachwyty mieszał się z bólem i troską.

- Buck - uprzejmie wyciągnęła dłoń na powitanie. - Wyglądasz wspaniale, może tylko troszeczkę starzej.

- O siedem lat - przypomniał. Nie umiałby dokładnie określić, co miała na sobie, jakiś błękitny strój, wspaniale podkreślający kolor jej oczu. W czasach, kiedy wszystkie kobiety nosiły włosy krótko obcięte na pazia, ona nadal spinała swoje ciężkie, złociste włosy w węzeł.

- Nie ścięłaś włosów. - Przypomniał jej obietnicę, złożoną w paryskim hotelu. - To dobrze - dodał cicho. - Zapamiętałem cię w takim uczesaniu.

Wszelkie wątpliwości, czy go kocha, teraz zniknęły bez śladu. Przy nim czuła ten sam słodki dreszcz.

Ale on należał do innej kobiety, był także „nadzieją swego kraju”, jak szumnie określano w prasie. Nie mogła tego zniszczyć.

- Nie powinnam tu przychodzić - rzuciła nerwowo. - Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Nieprawda! - szybko chwycił jej dłoń i przytulił do policzka, delikatnie ucałował palce. - Wydaje mi się, że czas stanął w miejscu, gdy patrzę na ciebie.

Cofnęła rękę.

- To tylko złudzenie. Życie toczy się dalej. Mam teraz pracę i córkę. Nie chcę już żadnych sekretów ani kłamstw, pragnę spokoju.

Usiadła na sofie przy oknie. Serce waliło jej mocno. Najchętniej ukryłaby się w jego ramionach. Ale musi myśleć o Lysandrze. Musi być silna. Splotła dłonie wokół kolan, lekko pochylając się do przodu.

- Marianna odwiedziła cię wtedy - raczej stwierdził niż zapytał.

- I co z tego? - wzruszyła ramionami. - Miała do tego prawo.

- Dlaczego nawet nie porozmawiałaś ze mną, uciekłaś... - mówił zdesperowany.

Marzyła, by wziąć go za rękę i zapewnić, że wszystko jest w porządku, nic się nie zmieniło...

- Byłam w ciąży. Ty musiałeś myśleć o swoich dzieciach. I o karierze, więc podjęłam tę decyzję za nas oboje.

- Nie dałaś mi nawet szansy, abym przynajmniej wypowiedział własne zdanie.

W jego oczach było tyle bólu, że Francie odwróciła wzrok. Słowa przychodziły jej z trudem.

- Nie przyszedłam tu, aby rozmawiać o nas, lecz o Lysandrze. Nie chcę, żeby poznała prawdę. Wie, że jej ojciec opuścił nas, zanim się urodziła. Pogodziła się z tym. Ma dopiero siedem lat, ale zadaje mnóstwo pytań. Opowiadam czasem, że ojciec bardzo ją kochał. Z pewnością jeszcze nie wszystko rozumie, ale kiedy dorośnie...

Buck pomyślał o swoich dzieciach, które były tak zaabsorbowane własnym życiem, że rzadko je widywał. A tej córki nie wolno mu było nawet poznać.

Rozłożył szeroko ręce w bezradnym geście.

- Co ja właściwie złego zrobiłem, Francie? Nie mam nic, moje życie rozpadło się w pył...

- Nie mów tak, proszę cię. - Była zaskoczona. Nie przypuszczała nawet, że Buck aż tak się rozklei.

- To prawda - powtórzył z goryczą. - W Paryżu powiedziałem ci, że moje małżeństwo jest fikcją. Nic nie zmieniło się od tego czasu.

- A praca? Wspaniała przyszłość?

Wzruszył ramionami. Podeszła do niego. Przytulił ją mocno. Czowała bicie jego serca, jego oddech na swoich włosach, jego mocne ramiona. Wydawało się, że bramy rajów otworzyły się przed nią znowu, choćby na krótką chwilę.

- Wróć do mnie - szeptał. - Zaczniemy wszystko od początku. Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Duszą i ciałem Ignęła do niego. Najwyższym wysiłkiem woli opanowała się, aby nie powiedzieć „tak”. Uwolniła się z objęć.

- Wyjaśnij mi tylko jedno. Czy siedem lat temu zrezygnowałbyś z rodziny, kariery, ze wszystkiego i ożenił się ze mną, gdybym wówczas tego zażądała?

Zawahał się.

- Nie potrafię cię okłamywać. Po prostu nie wiem. Odetchnęła z ulgą.

Spodziewała się takiej odpowiedzi. Narzuciła płaszcz na ramiona.

- Proszę, nie próbuj spotykać się z Lysandrą - odezwała się spokojnie. - Nie byłbyś w porządku wobec niej, mnie ani... wobec siebie - dodała po chwili z nikłym uśmiechem na ustach.

Zanim zdołał powiedzieć cokolwiek, zniknęła w maleńkiej windzie. Ich spojrzenia spotkały się jeszcze na chwilę, zanim Francie zjechała w dół, zabierając najpiękniejsze wspomnienia.

Harry dał służbie wolny wieczór. Chciał spotkać się z Marianną bez świadków.

Na kominku w bibliotece płonął ogień. Na stoliku stała karafka koniaku i dwa kieliszki z cienkiego kryształu.

Marianna zdumiała się, gdy Harry otworzył drzwi.

- Gdzież twój kamerdyner? - spytała, przestępując próg.

- Biedak musiał odwiedzić kolegę w szpitalu - gładko skłamał. Pomógł jej zdjąć futrzaną pelerynę, którą przewiesił niedbale przez poręcz dębowego krzesła.

- A wspaniali lokaje? Ich również zwolniłeś? I pokojówki?

- Wziąłem sobie do serca twoje słowa. „Zbyt dobrze pamiętamy kryzys, aby pozwolić sobie na luksusy”. Nie trzymam więc żadnego lokaja na stałe, wynajmuję ich jedynie z okazji większych przyjęć. A pokojówki przychodzą rano. Miały mnóstwo pracy po wczorajszym przyjęciu, zwolniłem wszystkie wcześniej. Mogę chyba sam przyjąć gościa, prawda?

Marianna uniosła brwi.

- Od kiedy to stałeś się tak wspaniałomyślny? - Stał przed nią w modnym aksamitnym smokingu, z niezmiennym, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem na twarzy. Nie wierzyła w żadne jego słowo.

Weszli do biblioteki, w której panował dyskretny półmrok. Na kominku płonęły grube szczapy drewna, wyrzucając w górę pomarańczowe iskry. Było ciepło i przytulnie. Najwyraźniej Harry przyszykował się na romantyczne spotkanie we dwoje.

- Kieliszek koniaku? - uniósł w górę kryształową karafkę. Marianna zawahała się. Na ogół nie piła alkoholu, ale tym razem potrzebowała czegoś, by opanować niepokój. Harry coś knuł, a ona nie zdołała go jeszcze rozszyfrować.

- Poproszę - powiedziała z kamiennym spokojem.

Z kieliszkiem w dłoni oparł się o kominek i nie spuszczał z niej wzroku.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Tak rzadko mam okazję przebywać z tobą.

Coś w jego głosie przeszło ją dreszczem.

- Nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek spotykali się sami. I przyznam, że nie bardzo wiem, po co mnie dzisiaj zaprosiłeś. - Zerknęła na mały, oprawiony diamencikami zegarek. - Powiedz szybko, o co chodzi. Buck nie wie, dokąd poszłam.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Daj spokój, Marianno. - Przymknął oczy, delektując się wybornym koniakiem. - Obydwoje dobrze wiemy, że mąż nie będzie tęsknił za tobą, czyż nie?

- O co ci chodzi? - odstawiła kieliszek.

- Sądziłem, że między dobrymi przyjaciółmi nie ma sekretów. Muszę przyznać, że nigdy nie rozumiałem Bucka. Zaniedbuje tak piękną żonę... No cóż, zawsze przedkładał politykę nad kobiety, pomijając ten drobny incydent z moją drogą siostrą. Pamiętamy o tym, prawda, Marianno? Byłem ci wtedy niezmiernie wdzięczny za pomoc.

- Chcesz więcej pieniędzy - stwierdziła sucho.

- O tym pomówimy później. - Stał tuż przed fotelem. - Wiesz, że zawsze cię podziwiałem - ujął jej dłoń. - Jesteś piękna, szkoda cię dla takiego faceta jak Buck. Potrzebujesz mężczyzny, który stopi lód wokół twego serca, pobudzi zmysły...

- Nie wygłupiaj się, Harry - odparowała z niesmakiem. Wstała i próbowała go wyminąć, ale chwycił ją mocno za ramię i przyciągnął do siebie. Poczła jego rozchylone wargi na ustach. Dłoń Harry'ego powędrowała w dół jej pleców, obejmując pośladek. Przeraziła się. Chyba po raz pierwszy w życiu sytuacja wymykała się jej spod kontroli. - Puść mnie, łajdaku - syczała. - Każę cię aresztować, pójdziesz do więzienia.

- Nic takiego nie zrobisz - odpowiedział spokojnie, z beczelnym uśmiechem. - Pomyśl tylko, jaki skandal byś wywołała. Wyobrażam sobie te nagłówki. - Zaniósł ją na sofę. Kopała go i szczypała.

- Nie odważysz się mnie tknąć - ostrzegła drżącym głosem. - Będę krzyczała.

Ukląkł obok sofy.

- I tak nikt nie usłyszy. Jesteś bardziej podniecająca, gdy krzyczysz. Może tego właśnie ci potrzeba? - Nagle uderzył ją w twarz. W milczeniu obserwowała go wystraszona. Przesuwał rękę po jej piersiach i brzuchu. Czła się tak, jakby jakiś obrzydliwy gad pełznął wzdłuż jej ciała.

Zaczął odpinać guziczki przy dekolcie sukni.

- Nie dotykaj mnie - powtórzyła. - Dam ci tyle pieniędzy, ile zechcesz.

- Na pewno, kochanie - pochylił się nad jej drobnym biustem. Pomyślała, że zwariował, że jest bardziej szalony niż jego siostra. Rozglądała się gorączkowo wokół, szukając czegoś, co posłużyłoby jej za broń. Tuż nad sobą zauważyła ciężką, kryształową karafkę z koniakiem.

Chwyciła misterni rzeźbioną szyjkę.

Harry uniósł twarz i wtedy z całej siły uderzyła. Kryształ okazał się twardszy niż jego głowa. Karafka nie pękła. On zaś jęknął przeraźliwie i zataczając się, z trudem stanął na nogi.

Objął głowę rękami. Z rany płynęła krew. Z nienawiścią patrzył na skamieniałą z przerażenia Mariannę. Wsparł się o kominek, zaciskając palce na gzymsie. Nie ustał jednak długo, kolana zachwiały się pod nim i runął ciężko na kamienne palenisko.

Marianna nie spuszczała z niego wzroku. Zegar tykał miarowo, polana w kominku trzaskała, a Harry leżał nieruchomo, nie dając znaku życia. Podeszła bliżej.

Cały tył głowy został zmiażdżony, wśród krwawej masy widziała kości czaszki.

Poczła mdłości. Przemogła się jednak i nachyliła. Ujęła go za przegub dłoni.

Puls był bardzo słaby. A zatem żył.

Szybko zapinała suknię.

- Boże, muszę czym prędzej wezwać karetkę...

W tym momencie pomyślała o karierze Bucka. Oczyma wyobraźni dostrzegła tytuły w gazetach, pełnych doniesień o skandalu. Nie można do tego dopuścić.

Zegar wybił dziewiątą. Harry twierdził, że żaden ze służących nie wróci na noc, ale czy można mu wierzyć? Gorączkowo rozglądała się wokół.

Jedno z polan przechyliło się niebezpiecznie za krawędź kraty. Wśród strumienia iskier pojawiały się złowrogie języki ognia. Mimo przerażenia Marianna chłodno kalkulowała. W całym pokoju intensywnie pachniał koniak, Harry pił, upadł i uderzył się w tył głowy.

Leżał w pobliżu kominka. Wystarczyło delikatnie pchnąć tłące się drewno czubkiem zamszowego pantofla w kierunku dywanu. Czerwonożółty język ognia lizał podłogę, łakomie sięgnął dywanu.

Z krzykiem przerażenia uciekła z pokoju. Już z holu wróciła po pelerynę.

Zarzuciła ją na ramiona, wywracając futrzane podbicie na wierzch. Teraz nikt jej nie zauważy w mroku ulicy. Otworzyła ciężkie drzwi frontowe i szybko wymknęła się na dwór.

Ulica była pusta. Zbiegła po schodach i pognąła do najbliższego zakrętu.

Pragnęła jak najdalej uciec od tego przeklętego domu i właściciela. Na Union Square zwolniła. Przygładziła dłońmi wzburzone włosy.

Powinna przypudrować policzki i pomalować usta. Wtedy przypomniała sobie, że puderniczkę zostawiła u Harry'ego.

Zamarła na chwilę. Puderniczka leżała na fotelu, tuż obok kominka. Ogień na pewno strawił już dywan i szybko pochłonie wszystkie meble. Nie warto zaprzętać sobie tym głowy.

Mocniej owinęła się peleryną. Od hotelu Aysgarth dzieliło ją tylko parę metrów.

Światła i gwar uliczny sprawiły, że poczuła się bezpiecznie. Pewnym krokiem weszła do holu, kierując się do windy. Oby tylko czekała pusta na parterze!

Miała szczęście. Wślizgnęła się szybko do kabiny. Nogi jednak nadal jej drżały.

Z przymkniętymi oczami oparła się plecami o ścianę. Windziarz uśmiechnął się zyczliwie i nacisnął guzik. Nie zwróciła na niego uwagi. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w pokoju, poza zasięgiem ludzkich spojrzeń.

Dopiero przy drzwiach zorientowała się, że klucze zostały w torebce u Harry'ego.

Serce znów podeszło jej do gardła. Teraz musi tłumaczyć recepcjoniście, że zgubiła klucze!

Z głębi korytarza dobiegł cichy dźwięk zatrzymującej się windy, z której wysiadł kelner pchając barek na kółkach. On musi mieć zapasowy komplet!

Podbiegła do niego z wymuszonym uśmiechem. Uprzejmie wyjął z kieszeni pęk kluczy. Po chwili Marianna znalazła się w zaciszu apartamentu.

Przyszykowała gorącą kąpiel, nie żałując olejków. Szybko zdjęła poszarpaną suknię, bieliznę, zwinęła wszystko w kłębek i wyrzuciła do śmieci. Czuła jeszcze obmierzły, lepki dotyk Harry'ego.

Z rozkoszą zanurzyła się w gorącej, pachnącej wodzie. Stres, brud, obrzydzenie - wszystko odpływało pod muśnięciem delikatnej, błękitnej piany.

Leżała jeszcze w wannie, gdy pół godziny później nadszedł Buck.

- Czy to ty, kochanie? - spytała już spokojnym i opanowanym głosem.

- Tak - stanął w drzwiach. Marianna spojrzała na niego z zadowoleniem. Był taki przystojny, silny, zupełnie jak na fotografiach w gazetach. Teraz już nic nie zagrozi ich małżeństwu. Dopilnuje tego.

Z ulicy dobiegło wycie syren strażackich.

- Która godzina, skarbie?

- Piętnaście po dziewiątej.

- Gdzieś jest pożar - uśmiechnęła się leniwie. Ciepła woda ukoiliła nerwy. Minęło sporo czasu. Z pewnością dom Harry'ego już spłonął, a strażacy będą mieli kłopoty z rozpoznaniem szczątków zwęglonego ciała.

Rozdział 41

Francie nie mogła zasnąć. Słyszała syreny wozów strażackich, wjeżdżających na wzgórze. Ciągle myślała o Bucku. Widziała jego twarz ściętą bólem i błagalny wzrok. Nadal go kochała. Pragnęła, aby powrócił do niej, zobaczył swoją śliczną córkę, dzielił z nimi resztę życia. Ale nie wolno jej ulec miłości.

Zaraz zadzwoniła do Annie z prośbą, aby już nigdy, przenigdy nie wspominała o Bucku.

Wozy strażackie zatrzymały się w pobliżu. Zaniepokojona Francie podeszła do okna.

Dom Harry'ego płonął. Przymknęła oczy, myśląc, że śni. Ale swąd palącego się drewna nie był złudzeniem. Świątynia rodu Harrisonów ponownie gineła w ogniu.

Drugi raz tej nocy wspominała przeszłość. Minęło już trzydzieści lat od trzęsienia ziemi. Wtedy rezydencja Harmona Harrisona płonęła z całą ulicą.

Ciekawe, jak brat zareaguje na wieść o pożarze.

Kolejne wspomnienie przeszło ją nagłym bólem. Ollie też zginął w płomieniach.

Zawsze wiedziała, że Harry miał z tym coś wspólnego. Może teraz przyszedł czas na wyrównanie rachunków. Ale Francie nie pragnęła zemsty. Oby tylko Harry raz na zawsze zniknął z jej życia.

Wtuliła twarz w poduszkę, by nie słyszeć gorączkowej krzątaniny na zewnątrz. Ale sen nie nadchodził. Wstała i zeszła do kuchni.

W holu, w otwartych drzwiach, stał Ah Fong.

- Dom panicza płonie! - wymachiwał rękami.

Ulicę zatarasowały wozy straży pożarnej. Strażacy gasili płomienie strumieniami wody z potężnych gumowych węży. Inni wspinali się na dach.

- Czy wydostano wszystkich ludzi?

Służący wzruszył ramionami.

- Podobno nie było nikogo.

Francie wróciła na górę z filiżanką herbaty. Położyła się znowu, choć wiedziała, że już nie zaśnie. Myślała o trzęsieniu ziemi i wielkim pożarze, o Joshu, i o jednym z sekretów, które mandaryn wyjawiał jej w świątyni Lilin. Najwyższy czas, aby Annie dowiedziała się, co naprawdę wydarzyło się z Joshem.

O świcie wstała i podniosła zasłony. Z rezydencji Harrisonów zostały tylko dymiące, szerniałe kikuty. Francie nie czuła triumfu ani satysfakcji. Tylko obojętność. Po prostu nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

Annie zadzwoniła wcześniej.

- Podobno spalił się dom Harry'ego?

- Tak. Wygląda zupełnie jak po trzęsieniu ziemi.

- Dopiero po trzydziestu latach los zemścił się na tym łajdaku - powiedziała Annie z goryczą. - Nikt bardziej nie zasługuje, aby wszystko stracić.

- Jesteś dziś bardzo zajęta?

Annie pomyślała o milionie spraw, które załatwiała każdego dnia.

- Niekoniecznie. Czy coś się stało?

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Przyjadę za godzinę.

Francie czekała w holu.

- Nie zdejmuj płaszcza, wychodzimy. - powiedziała szybko.

- Czy chodzi o Bucka? - zapytała Annie, gdy wsiadały do małego, czarnego forda.

- Prosiłam, żebyś o nim nie wspominała. Tego już nie uda się skleić, Annie. Zresztą nie chodzi wcale o niego. Patrząc na pożar, myślałam o Joshu. Pamiętasz tę noc, kiedy zmarł mandaryn? Powiedziałam ci wtedy, że nie znasz całej prawdy? Dopiero teraz mogę wszystko wyjaśnić, gdyż to była jego tajemnica. Ale musisz uwierzyć, że kierował się miłością do nas.

Pojechały na mały cmentarz położony wśród nadmorskich skał. Annie zobaczyła pierwszy raz starannie utrzymany, tonący w zieleni grób Josha. Francie opowiedziała jej, jak Lai Tsin wydostał go z rąk Sammy'ego i próbował mu pomóc, ale było już za późno. I dlaczego ukrył Josha przed nimi.

Annie posmutniała, ale nie uroniła ani jednej łzy.

- To dobrze - stwierdziła po prostu. - Nie chciałabym oglądać go w takim stanie. Lai Tsin miał rację. My już go oplakaliśmy i trzeba było żyć od nowa.

Usiadły obok siebie, w promieniach zachodzącego słońca. Patrzyły na spokojne, gładkie morze.

- To wspaniałe miejsce, Francie. Josh pokochałby je od razu - powiedziała Annie, zanim odeszły.

Kiedy jechały przez miasto, gazeciarze roznosili nadzwyczajny dodatek do popularnej popołudniówki, głośno wykrzykując tytuły.

- Co? - Annie, zaskoczona, otworzyła okienko.

- Harry Harrison zginął w pożarzee! - Drobny, chudy chłopak przemknął jak wiatr.

Dała mu monetę, więc wrzucił do samochodu jeszcze ciepłą od druku gazetę.

Francie zahamowała gwałtownie przy krawężniku.

- Czy to prawda?

- Zdaje się, że tak. - Annie rozpostarła białą płachtę na kolanach. Reporter barwnie opisywał przebieg zdarzenia. Harry poniósł śmierć w płomieniach, które doszczętnie strawiły dom.

Francie potrzęsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tak samo zginął Ollie. Oto najlepszy dowód, że istnieje sprawiedliwość boska.

- Jeżeli rzeczywiście odpowiadał za śmierć chłopca, to masz rację - zgodziła się Annie. Spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę. - Dobrze się czujesz, kochanie?

Francie westchnęła i delikatnie pogładziła jej dłoń.

- Przez te wszystkie lata pragnęłam, aby Harry umarł. Teraz nie żyje. To stało się tak nagle. Wreszcie odszedł ostatni cień mojego ojca. Ale nie umiem się tym cieszyć.

Zawiozła przyjaciółkę do hotelu i powoli wracała do domu, patrząc na ruiny rezydencji brata. Stały się jego grobem, jak kiedyś pogrzebały ojca.

Pogorzelnisko otoczył kordon policjantów, broniących wstępu gapiom i kilkunastu fotoreporterom z miejskich gazet. Zgromadzeni obserwowali teraz samochód Francie. Zdecydowała, że dla bezpieczeństwa wejdzie do swojego domu drzwiami dla służby.

W kuchni zastała podekscytowanego Ah Fonga i kucharza. Powiedzieli, że fotoreporterzy kręcą się tu od rana, czekając na jej powrót. Poszła do salonu, skąd doskonale widziała pozostałości rezydencji Harrisonów.

A więc Harry nie żyje... Nie czuła nic poza ogromnym zmęczeniem.

Usiadła w fotelu, zrzuciła pantofle i ponownie wzięła do ręki popołudniówkę.

Dochodzenie trwa, ale lekarz nie ma wątpliwości, że w salonie odnaleziono zwłoki pana Harrisona.

Odłożyła gazetę i przymknęła oczy. Brat zginął. Buck powrócił do własnego życia, a ona wróci do swego. Jutro z Lysandrą objadą konno ranczo, potem obejrzy winnicę i poplotkuje z Hattie. Od tej chwili życie będzie płynęło ustalonym trybem.

Całą noc przewracała się bezsenne na łóżku, wydarzenia minionego dnia nakładały się na wspomnienia z przeszłości, Josh, Buck i Harry stawali przed nią, ilekroć zamknęła oczy. O siódmej była już na nogach. Zeszła na dół. Stół nakryto do śniadania dla jednej osoby. Nalała filiżankę kawy i sięgnęła po poranną gazetę.

Na pierwszej stronie czernił się ogromny nagłówek:

„ZABÓJSTWO HARRY’EGO HARRISONA”.

Zaskoczona, pochyliła się nad dziennikiem. W wyniku śledztwa ustalono, że pan Harrison zmarł przed pożarem wskutek urazu czaszki. Odnaleziono go leżącego twarzą do podłogi, a śledczy orzekł, że pęknięcie czaszki nie mogło nastąpić wskutek upadku. Pan Harrison otrzymał potężny cios w tył głowy. Nie wymieniono żadnych osób

podejrzanych o morderstwo.

Francie rzuciła się do telefonu.

- Annie, Harry'ego zabito! - krzyknęła do słuchawki. - Jak myślisz, kto to zrobił?

- Przypuszczam, że naraził się bardzo wielu ludziom - odparła spokojnie. - Sama nieraz miałam ochotę go zatłuc. Pewnie doprowadził kogoś do ostateczności i wreszcie spadła na niego zasłużona kara.

- Jesteś wspaniała - Francie odprężyła się i roześmiała. - Zawsze patrzysz na wszystko rozsądnie.

- Dziękuję ci za wczorajszy dzień. Czuję się o wiele lepiej wiedząc, co stało się z Joshem i gdzie jest jego grób. Tyle zawdzięczam mandarynowi...

- Przepraszam, Annie, ktoś dzwoni. Mam nadzieję, że to nie jeden z tych natrętnych dziennikarzy.

Ah Fong wpadł jak burza do pokoju.

- To policja, panno Francie - oznajmił drżącym głosem. - Przyszli aż we trzech i mówią, że muszą z panią od razu rozmawiać.

- W porządku, Ah Fong - ukryła zaskoczenie - wprowadź ich do salonu. - Przypuszczała, że będzie przesłuchiwana jako jedyna żyjąca krewna Harry'ego.

Przyglądziła włosy i weszła do salonu.

Dwaj cywile przedstawili się jako inspektorzy Walter Sinclair i Charley Mulloy, a umundurowany sierżant nazywał się Stieglitz. Pracowali w wydziale kryminalnym policji w San Francisco.

Sinclair i Mulloy usiedli w fotelach naprzeciw niej, ale Stieglitz nadal tkwił nieruchomo przy drzwiach.

- Przypuszczam, że chodzi o mego brata - zaczęła. - W czym mogę panom pomóc?

Inspektor Sinclair wyjął z kieszeni mały notes.

- Pani Francesca Harrison, prawda? Siostra zmarłego Harmona Lloyda Harrisona juniora, znanego jako Harry Harrison?

- Oczywiście - odparła zdziwiona. - To chyba panowie już wiedzą.

- To tylko formalność, proszę pani - wtrącił inspektor Mulloy.

- Proszę określić stosunki łączące panią z bratem. Francie rzuciła mu krótkie, niecierpliwe spojrzenie.

- Wszyscy wiedzą, że nienawidziłyśmy się. Informacje na ten temat znajdzie pan w każdej gazecie, ukazującej się w tym mieście.

- Mówiono - inspektor patrzył jej prosto w oczy - że obwiniała pani brata o śmierć swojego syna, Oliviera, który zginął w pożarze magazynów Lai Tsina.

- To moja prywatna sprawa - rozgniewała się. - Może wyjawia panowie łaskawie cel swojej wizyty?

Sinclair odchrząknął, spoglądając na notatki.

- Podobno mówiła pani, że chce zabić Harry'ego Harrisona z zemsty za syna. Tak zeznają świadkowie.

Nagle zdała sobie sprawę, do czego zmierza inspektor.

- Nie sugeruje pan chyba, że jestem podejrzana o zabójstwo brata! - krzyknęła.

Inspektorzy wymienili spojrzenia.

- Czy zechce pani wyjaśnić, gdzie była w środę między ósmą a dziewiątą wieczorem?

Twarz Mulloya przypominała dorodny burak. A więc pytają o alibi, jak na filmach gangsterskich... W tym czasie spotkała się z Buckiem w mieszkaniu Annie i za nic w świecie nie zdradzi im tego. Ale jeśli powie, że siedziała samotnie w domu, będzie podejrzana o zamordowanie Harry'ego.

Zdecydowała się szybko.

- Ten wieczór spędziłam z moją przyjaciółką, panną Aysgarth w jej hotelu.

Sinclair ponownie odchrząknął.

- Przesłuchaliśmy już personel, proszę pani. Wszyscy twierdzą, że panna Aysgarth przebywała z gośćmi do późnej nocy. Najpierw w bawialni, a potem w sali jadalnej.

Inspektor Mulloy wstał.

- Obawiam się, że muszę panią aresztować pod zarzutem zamordowania brata, Harmona Lloyda Harrisona.

- To nieprawda. - Zdziwiła się, że jej głos brzmi tak spokojnie. - Skłamałam.

Bałam się przyznać, że spędziłam ten wieczór samotnie w domu. To jakaś straszna pomyłka.

- Proszę założyć płaszcz, na komisariacie wyjaśnimy wszystko. - Skinął głową w stronę sierżanta. - Idź z panią na górę, Stieglitz.

Podążała do sypialni zbyt otępiała, by protestować. W głowie czuła zamęt.

Zarzuciła na ramiona płaszcz, a twarz ukryła pod ciemną woalką. Stieglitz towarzyszył jej cały czas. Minęli przerażonego kucharza i pochlipujące pokojówki. Ah Fong też miał łzy w oczach, jednak opanował się.

- Pójdę do panny Aysgarth. Ona zawsze wie, co trzeba zrobić - oznajmił.

Inspektor Mulloy otworzył drzwi i Francie zacisnęła powieki. Ze wszystkich stron błyskały oślepiające flesze aparatów fotograficznych. Inspektorzy ujęli ją pod ręce i poprowadzili do radiowozu. Po chwili samochód zniknął za zakrętem.

Rozdział 42

Buck opuścił Sacramento wczesnym rankiem w czwartek. Już po wygłoszeniu wykładu na uniwersytecie Stanford dowiedział się o pożarze, a o śmierci Harry'ego w Sacramento. Później nadeszła wiadomość, że Harry został zamordowany...

W hotelu Aysgarth zjawił się w piątek późnym wieczorem, a w sobotę rano zamierzał wyjechać do Waszyngtonu. Miał za sobą ciężki dzień. Odbył kilkanaście spotkań w dużych i mniejszych miastach w ramach kampanii wyborczej. Przemawiał, ścisnął dłonie miejscowym notablom i zwykłym urzędnikom. Nawet nie zjadł porządnego obiadu. Teraz marzył już tylko o tym, aby wykapać się i pójść spać.

- To ty, kochanie? - Marianna wyłoniła się z pokoju słodko uśmiechając się.

Włosy, starannie ułożone w fale, okalały drobną twarz z dyskretnym makijażem. O każdej porze dnia prezentowała nienaganną elegancję.

- Na pewno jesteś zmęczony. Przygotuję ci drinka. - Naląła whisky z kostką lodu. Buck zapadł ciężko w fotel, ona zaś przysiadła na sofie naprzeciwko i przyglądała się mężowi.

- Pomyślałam, że zjemy kolację w pokoju - powiedziała. - Coś lekkiego. Sądzę, iż nie masz ochoty schodzić na dół.

- Jak wolisz - odparł obojętnie. Patrzył na jej smukłe nogi.

- Twoje buty wyglądają, jakbyś kopała piłkę. Krew nabiegła jej do twarzy. Po powrocie od Harry'ego wrzuciła je do szafy, a dziś wieczorem odruchowo wsunęła na nogi. Co za lekkomyślność!

- O, do licha! - pobiegła do sypialni i szybko zdjęła przykurzone popiołem z kominka pantofle. - Nawet nie zauważyłam, że są brudne. Muszę zostawić je pokojówce do oczyszczenia.

- Co się stało z Harrym? - przerwał pytaniem ten potok słów.

- To straszne, prawda? Biedak spalił się we własnym domu, a policja podejrzewa morderstwo. - Zawahała się. Najwyraźniej nic nie wie o aresztowaniu Francie;

lepiej mu o tym nie mówić. Jutro rano wyjadą, a teraz jest zbyt zmęczony, by włączyć radio; jeżeli zniechęci go do czytania gazet, to o całej sprawie dowie się już z bezpiecznej odległości, w Waszyngtonie.

- Przypuszczam, że wielu ludzi ucieszyła jego śmierć - powiedział wolno, wpatrując się w kieliszek.

- Ale nie zostaniemy na pogrzebie? Przykro mi, lecz musimy wracać do dzieci.

Ostatnio zbyt rzadko je widzujemy.

Buck spojrział na nią zaskoczony. Po raz pierwszy od wielu lat usłyszał, że jego żona stęskniła się za dziećmi. Na ogół traktowała je jako uciążliwy obowiązek.

Skończył whisky i poszedł do łazienki. Ledwo zdążył wykąpać się, a w pokoju pojawił się uśmiechnięty kelner z kolacją. Marianna zniknęła w sypialni.

- Dobry wieczór, senatorze - sprawnie rozstawiał talerze na stoliku. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci pańskiego przyjaciela, pana Harrisona.

- Tak, to przykre - mruknął Buck, podpisując rachunek.

- Chciałem zapytać, czy pani Wingate odnalazła klucze, sir. Szukałem wszędzie, na korytarzu i w windzie, ale nie było nigdzie.

- Klucze?

- Tak, sir. Kiedy wróciła w środę wieczorem, powiedziała mi, że je zgubiła. Ale nic się nie stało. Pani Aysgarth ma dużo zapasowych kompletów. W końcu takie rzeczy całkiem często zdarzają się, prawda?

- Tak sądzę - Buck zastanawiał się, dokąd wtedy spieszyła się Marianna.

W końcu gadatliwy kelner, wzięwszy hojny napiwek, zniknął za drzwiami. Buck podszedł do wysokiego okna i rozsunął zasłony.

Myślał o Francie. Ciekawe, czy jest w domu i słyszała o śmierci znenawidzonego brata. Na pewno ucieszyła ją ta wiadomość, chociaż trudno o smutniejszy powód do radości. Chciał zadzwonić do Annie, ale w tym momencie żona pojawiła się w pokoju. Poza tym nie miał prawa mieszać się w te sprawy.

Consomme - uniosła pokrywkę wazy. W całym pokoju unosił się zapach aromatycznego bulionu. - Dla ciebie pieczona przepiórka, a dla mnie sałatka z homara. Siadaj do kolacji, kochanie. Wyglądasz strasznie.

Marianna skubała sałatkę i opowiadała bez przerwy o wszystkich przyjęciach, na które zaproszono ich w przyszłym tygodniu w Waszyngtonie. Wyglądało na to, że tą bezładną paplaniną usiłuje pokryć zdenerwowanie.

Zadzwonił telefon. Buck pierwszy podszedł do aparatu.

- Dobry wieczór, senatorze. Tu inspektor Mulloy z policji kryminalnej. Z pewnością dowiedział się pan już o śmierci Harrisona? Przykro mi, sir. Wiem, że przyjaźniliście się. Przeszukaliśmy miejsce wypadku i obawiam się, że niewiele ocalało z pożaru. Ale odnaleźliśmy pewną rzecz, należącą do pańskiej żony, sir.

Puderniczkę z inicjałami. Kamerdyner twierdzi, że z całą pewnością to własność pani Wingate. Wyjaśnił też, że we wtorek gościliście na kolacji u pana Harrisona. Zapewne wówczas małżonka zostawiła ten drobiazg.

- Dziękuję - sucho odparł Buck.

- Trochę ją oczyściliśmy, sir - ciągnął inspektor. - Wygląda na to, że nawet puder jest nietknięty w środku. Zadziwiające, jak niektóre rzeczy wychodzą cało z płomieni. Nie zgadłby pan nawet, co znajdujemy na pogorzeliisku: buty, zabawki, zegarki... To zdumiewające, sir...

- To prawda - zgodził się Buck.

- Wyślę na górę chłopca, sir. Będę wdzięczny, jeśli zechce pan podpisać kwit.

Musimy dopełnić formalności.

- Proszę się nie trudzić. Zaraz sam zejść na dół. Czuł na sobie spojrzenie Marianny.

- Muszę wyjść na chwilę.

- Ale kolacja...

Usłyszała tylko cichy trzask zamykanych drzwi.

Odebrał puderniczkę od policjanta i wsunął do kieszeni. Nie miał ochoty wracać na górę. Szybko wyslizgnął się na ulicę, minął plac i powędrował w górę Nob Hill. Wokół ruin domu Harry'ego nadal tłoczyli się gapie, ale policjanci nie wpuszczali nikogo na pogorzeliisko. Buck wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się najbogatsza rezydencja w San Francisco. Przecież jadł tutaj kolację zaledwie przed czterema dniami.

Odnalazł dłonią puderniczkę, na gładkiej powierzchni odcinały się lekko chropowate inicjały MBW. Nagle przypomniał sobie drobną postać Marianny, siedzącej na kwiecistej sofie i pudrującej policzki. Używała tej puderniczki... tego wieczoru, gdy spotkał się z Francie, tego wieczoru, gdy spłonął dom Harry'ego. Tego wieczoru, gdy Harry został zamordowany.

Mocno zacisnął dłoń na pudernicdze. Przypomniał sobie też zatroskaną twarz kelnera, dopytującego się, czy żona odnalazła klucze. Wpuścił ją do apartamentu... To było właśnie w środę już późnym wieczorem...

- Senator Wingate? - Buck odwrócił się nagle. Przed nim stał umundurowany policjant. - Czy mogę w czymś pomóc, sir?

Wzruszył ramionami.

- Nie, dziękuję. Znałem go po prostu... Taka śmierć to zawsze szok.

- Oczywiście, sir. Całkowicie zgadzam się z panem. Dobrze, że już aresztowano tę kobietę. Mówiąc między nami, jestem pewien, że to ona zrobiła.

Buck poczuł napływającą falę ulgi. Wpuścił z dłoni puderniczkę. Oczywiście, chyba zwariował, że podobne podejrzania w ogóle przyszły mu do głowy. Na pewno zabiła go jakaś kochanka, którą widocznie doprowadził do ostateczności.

- Wszyscy wiedzieli, że pan Harrison i siostra nienawidzili się - ciągnął policjant. - To trwało już ponad trzydzieści lat. Zawsze powtarzała, że to brat zabił jej syna, i wreszcie zemściła się.

Buck spojrzał na funkcjonariusza tępym wzrokiem.

- Co pan powiedział? Kogo aresztowano?

- Jego siostrę, sir. - Zaskoczony policjant stał z na wpół otwartymi ustami, gdy senator Wingate odwrócił się na pięcie i pobiegł w dół ulicy.

Z dłońmi w kieszeniach i spuszczoną głową gnał na oślep do hotelu Aysgarth.

Oczywiście wyobraźni widział przerażoną Francie, oczekującą w więzieniu na okrutny wyrok. Za zbrodnię, której - był tego zupełnie pewien - nie popełniła.

Marianna siedziała na sofie w tym samym brzoskwiniowym peniarze, co w ubiegłą środę. Spojrzała na męża znad książki.

- Martwiłam się o ciebie, kochanie. Gdzie podziewałeś się tyle czasu?

Buck podał jej ozdobioną diamentami puderniczkę.

- Chodziłem po to - starał się stłumić gniew. Popatrzyła na puderniczkę, a potem na męża.

- O mój Boże - powiedziała drżącym głosem. - Gdzież mogłam ją zgubić? Chyba wypadła mi z torebki na ulicy...

- Zostawiłaś u Harry'ego w środę wieczorem - odparł sucho.

- W środę? - oburzyła się. - Nie bądź śmieszny, przecież byliśmy u niego we wtorek.

- Ale ty odwiedziłaś go w środę. Wtedy zginęły ci klucze i kelner otwierał apartament. Pamiętasz, Marianno?

Nerwowym ruchem dłoni wzburzyła nienaganną fryzurę.

- Mylisz się, środę spędziłyśmy w hotelu tylko we dwoje.

- Co cię łączyło z Harrym? - Uniosła rękę w geście protestu, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi. - Nie próbuj kłamać. Chcę wiedzieć, po co tam poszłaś.

Marianna wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Szantażował mnie twoim romansem z jego przeklętą siostrą - powiedziała spokojnie. - Opłacałam go przez lata, nie pieniędzmi, ale ułatwiałam mu różne transakcje, jakieś idiotyczne kontrakty handlowe, które sobie wymyślił... Ojciec to załatwiał, a czasami ty, chociaż nawet o tym nie wiedziałaś. - Spojrzała na niego oczami pociemniałymi z gniewu. - To wszystko twoja wina. Harry mówił mi, że Francie odgrzała się przez wiele lat. A teraz aresztowali ją za morderstwo.

Gdyby go nie zabiła, z pewnością zginęłaby z jego rąk. W tej rodzinie jedno warte drugiego - w jej głosie zabrzmiała nie ukrywana nienawiść.

- Francie nie zabiła Harry'ego - Buck chwycił żonę mocno za ręce, aż zasyczała z bólu.

Na twarzy Marianny pojawił się ten niewinny, dziewczęcy uśmiech, którym tak łatwo rozbrajała ludzi.

- Oczywiście, że go zabiła, tylko po prostu nie chcesz w to uwierzyć. Harry sam mi powiedział, że oskarżyła go o zamordowanie syna. Czy nie uważasz, że nadarzyła się wspaniała okazja do zemsty? Zupełnie jak w Biblii: oko za oko, ogień za ogień.

- Ty dziwko - odepchnął ją od siebie.

Upadła ciężko na sofę. Po raz pierwszy w życiu bała się Bucka. Miał dzikie, nieprzytomne spojrzenie i zapewne mógłby uczynić coś niepoczytalnego.

- Wszystko już minęło - próbowała załagodzić sytuację. - Ja musiałam za to zapłacić. Harry był skończonym łajdakiem.

- Sprawa nadal jest otwarta - powiedział kamiennym głosem. - Ty usiłowałaś ją zakończyć. Poszłaś do Francie i próbowałaś ułożyć moje życie. Ja nie chciałem od niej odejść, kochałem ją.

- Kochałeś - powtórzyła - ale to przeszłość. Nie możemy pozwolić, aby zrujnowała nasze życie. Za ciężko pracowaliśmy na wszystko.

Buck znieruchomiał, patrzył na Mariannę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

Myślał o wspólnie spędzonych latach. Ożenił się z chłodną, władczą kobietą, która nigdy naprawdę go nie kochała. Podobnie dzieci, które już prawie dorosły.

Ale to koniec. Nie pozwoli, aby reszta życia przeciekła mu przez palce, zamieniła się w popiół, jak dom Harry'ego.

Odwrócił się i założył płaszcz.

- Gdzie idziesz? - Marianna nerwowo zacisnęła dłonie.

- Zobaczyć się z Francie. Wiem, że nie zabiła brata. Zresztą ma na ten wieczór wspaniałe alibi. Spędziła go ze mną. A u Harry'ego byłaś ty.

- Nieprawda!

- Zawsze zdobywałaś to, czego chciałaś. Ale nie tym razem, Marianno.

- Zrobiłam to dla ciebie - kurczowo chwyciła go za ramię. - Dla ciebie, Buck.

Dla nas.

- Zawsze myślałaś tylko o sobie - odparł z goryczą. - Ale od tej chwili będziesz robić wszystko na własny rachunek.

Marianna nie ruszyła się z miejsca. Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, usiadła na sofie i ukryła twarz w dłoniach. Szloch wstrząsnął jej ciałem. Potem opanowała się i przeszła do sypialni. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, zwichrzone włosy i bladą twarz. Tak mało brakowało, a osiągnęłyby cel. Pewnego dnia Buck znalazłby się w Białym

Domu, ona zaś zdobyłaby wreszcie upragnioną władzę i pozycję. Miałaby to wszystko, gdyby nie rozpaczliwa głupota męża.

Nie martwiła się historią z puderniczką - jedynie Buck mógł zaświadczyć, że zostawiła ją u Harry'ego w środę, a nie we wtorek. Była bezpieczna. Ale tym razem zapłaci za wszystko, co musiała przez niego przejść w ostatnich latach.

Upudrowała policzki, poprawiła fryzurę i przebrała się w aksamitną, błękitną suknię. Zamknęła oczy i oparła głowę o miękką poduszkę sofy. Poczekaj na Bucka.

Sierżant policji zerwał się na równe nogi na widok senatora Wingate'a. Buck zażądał spotkania z szefem policji w San Francisco.

- Oczywiście, sir. Przypuszczam, że jest w domu. Zaraz po niego zadzwonię.

Buck przez kwadrans czekał w obskurnym biurze. Na biurku stała lampa z zielonym tekturowym abażurem, w kącie dwa rachityczne krzesła z resztkami brązowej farby, a na półkach piętrzyły się stosy akt.

- Senator Wingate, jak mi miło. Co mogę dla pana zrobić? - Szef policji miał inteligentną twarz i barczystą sylwetkę. Najwyraźniej spieszył się na posterunek.

Buck usiadł. Chwilę patrzył na inspektora w milczeniu, wreszcie odezwał się:

- Przyszedłem w sprawie Franceski Harrison.

- Sprawa Harrisona? - w głosie komendanta zabrzmiało zdziwienie.

- Oświadczam, że panna Harrison nie popełniła tego przestępstwa, gdyż spędziła tę noc ze mną.

Rawlins wstrzymał oddech. Wiele widział w swojej pracy, skandale zdarzały się często, ale to była bardzo poważna sprawa. Pomyślał ze współczuciem, że kobiety zniszczyły już niejednego faceta, nieważne - senatora czy też dozorcę. Ale tego

wpływowego człowieka znano w całym kraju, a jego żona wywodziła się z arystokracji, jeżeli w Ameryce w ogóle istniała taka warstwa społeczna.

- Czy na pewno właśnie to chciał pan powiedzieć? - inspektor delikatnie zasugerował możliwość odwrotu.

- Panna Harrison jest niewinna i mogę podpisać oświadczenie, że tamten wieczór spędziliśmy razem. W razie konieczności wystąpię w sądzie jako jej świadek.

Rawlins szybko potrząsnął głową.

- To zupełnie zbyteczne, senatorze. Jestem gotów natychmiast zwolnić pannę Harrison za pańskim poręczeniem. Nikt nie musi o tym wiedzieć - inspektor uśmiechnął się. Tacy ludzie jak Buck Wingate zawsze spadają na cztery łapy.

- Ja chcę złożyć pisemne oświadczenie, Rawlins. Pragnę, aby wszyscy dowiedzieli się, że panna Harrison nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Jeżeli okaże się, że zwolniono ją po cichu, dziennikarze natychmiast zaczną spekulować i snuć nowe domysły. W ten sposób nigdy nie uwolni się od podejrzeń.

Inspektor nie krył zdenerwowania.

- Czy pomyślał pan, co może z tego wyniknąć? Wzruszył ramionami.

- Wziąłem to pod uwagę, Rawlins.

- Skoro tak pan zdecydował, zaraz poświadczę pańską notę. Potem wyślę sierżanta po pannę Harrison.

Buck wzdrygnął się na myśl o Francie zamkniętej w ponurej więziennej celi.

Szybko wziął pióro i napisał oświadczenie. Inspektor Rawlins przeczytał je i potwierdził własnym podpisem.

Zapukano do drzwi. Młody sierżant wprowadził Francie. Miała oczy pociemniałe ze zmęczenia i troski. Patrzyła na nich. Buck wiedział, że nawet teraz gotowa jest go bronić przed skandalem, ratować jego wspaniałą karierę, dla której poświęcił ich wspólne szczęście.

Uśmiechnął się ciepło.

- Wszystko w porządku, Francie. Inspektor Rawlins wie o wszystkim. Jesteś wolna.

Spojrzała przenikliwie, dumnie unosząc brodę.

- Wolna? - zapytała, a Buck zrozumiał, o co jej chodzi.

- Tak. - Wziął ją pod ramię. Razem wyszli z dusznego, nieprzytulnego biura. - Teraz oboje jesteśmy wolni.

Rano Marianna przeczytała w Exammerze sensacyjną historię o uwolnieniu Francie Harrison. Pod dużym zdjęciem Bucka znajdowała się krótka notatka. Dziennikarz przekazywał najnowsze pogłoski o spodziewanej rezygnacji senatora Wingate ze sprawowanej funkcji.

Zmięła gazetę i rzuciła ją na podłogę. Wezwała pokojówkę, by spakowała rzeczy.

Ubrała się starannie w szarą wełnianą suknię, podbitą futrem pelerynę i futrzany kapelusz. Popatrzyła w lustro. Trzeba jeszcze poprawić makijaż. Wiedziała, że musi trzymać fason. Przed hotelem Aysgarth czekali już dziennikarze z aparatami fotograficznymi.

- Dzień dobry, pani Wingate - rzucili się ku niej, gdy zmierzała do limuzyny. - Co sądzi pani o znajomości męża z panną Harrison? Czy to prawda, że senator zrezygnuje?

Wsparta o drzwiczki samochodu zwróciła się do zebranych.

- Panowie! - jej dźwięczny głos przebił się przez trzask fleszy. - Dziękuję wam za zainteresowanie, ale z pewnością wiecie, że to sprawa czysto prywatna.

Brattle'owie nigdy nie dyskutują publicznie o sprawach rodzinnych. - Uśmiechnęła się, pomachała dłonią dziennikarzom i zniknęła w aucie.

Chociaż miała tę satysfakcję, że z klasą zakończyła swój ostatni publiczny występ. Samochód zawiózł ją na lotnisko, skąd poleciała do Nowego Jorku, by poradzić się adwokata w kwestii rozwodu.

Annie Aysgarth z okien hotelu obserwowała ostatnie wystąpienie pani Wingate w roli żony senatora. Westchnęła z ulgą, kiedy limuzyna zniknęła za zakrętem.

Zawsze uważała, że Marianna i Harry w wyjątkowy sposób niszczyli ludzi. Oboje egoistyczni i bez skrupułów, potrafili jedynie brać, nic w zamian nie dając. Nie wahali się przed niczym, nawet przed morderstwem.

Annie wyszła na pustą ulicę. Reporterzy zniknęli, aby czym prędzej napisać sensacyjne artykuły o tym skandalu. Popatrzyła na swój hotel. Stworzyła go sama, jak wszystko, co posiadała. To był jej cały świat. Mimo że nigdy nie miała męża i dzieci, nie czuła się rozgoryczona. Całą macierzyńską miłość przelała na dzieci Francie. Życie nie oszczędziło tragedii i ciosów, ale wreszcie los się uśmiechnął i jej okręt zawitał do bezpiecznej przystani.

Francie i Buck byli na ranczo. Wydawałoby się, że powinni omówić mnóstwo ważnych spraw, ale jego słowa, że są teraz wolni, wystarczyły za wszystko.

Nie złożył rezygnacji natychmiast:

- Oznaczałoby to, że poczuwam się do winy - tłumaczył. - Trzeba przeczekać spokojnie ten pierwszy okres, a dziennikarze znajdą sobie wkrótce nowy temat do plotek. Poza tym muszę dać czas na wybranie następcy. Nie mogę z dnia na dzień zostawić ludzi, z którymi pracowałem tyle lat.

Miał rację. Lubiano go i ceniono w Waszyngtonie, więc gdy po miesiącu wręczył oficjalną rezygnację, w prasie pojawiło się mnóstwo pochwalnych hymnów na jego cześć. „Administracja państwowa traci świetnego pracownika. Ale odszedł z własnej woli, nie pod naciskiem. Mamy nadzieję, że czeka go zasłużony odpoczynek, lecz partia republikańska postąpiłaby nad wyraz nierozsądnie żegnając się na zawsze z tak doświadczonym człowiekiem. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że pan Wingate zaoferował wszechstronną pomoc jako doradca.

Biorąc pod uwagę jego ogromną wiedzę, będzie to z wielką korzyścią dla kraju”.

Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić, gdy pierwszy raz zobaczył Lysandrę. Przytulił ją mocno i ucałował. Potem usiedli i spojrzeli sobie głęboko w oczy. Dziewczynka odezwała się pierwsza:

- To pan jest moim ojcem, prawda?

Francie zamarła, lękając się następnych słów córki, ale Buck uśmiechnął się łagodnie.

- Tak, Lysandro. Mam nadzieję, że mi wybaczysz tę długą nieobecność. Ale nic o tobie nie wiedziałem.

- A teraz zostaniesz? - zapytała rezolutnie, odchylając główkę na bok.

- Jeżeli mama mi pozwoli - odparł patrząc na Francie. Lysandra wsunęła rączkę w jego dłoń.

- O, mama cię kocha. Wiem o tym.

Po chwili, jak para najlepszych przyjaciół, spacerowali po winnicy. Dziewczynka tłumaczyła mu coś, nachylając się nad równiutkimi rzędami krzewów.

Buck podniósł oczy na Francie.

- Lysandra uczy mnie, jak pielęgnować winne krzewy. Zawsze chciałem mieć winnicę, pamiętasz?

Pamiętała. Mówił już o tym przed wielu laty, gdy często gościł na ranczo.

Nigdy nie można przewidzieć, jak potoczą się nasze losy, pomyślała. Szkoda, że Lai Tsin nie może cieszyć się naszym szczęściem.

Rozdział 43

Hongkong. Lysandra Lai Tsin dokonała znacznie więcej, niż oczekiwali mandaryni. Stała na czele międzynarodowej korporacji jako jedna z niewielu kobiet w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Ale nigdy nie próbowała wykorzystać tego faktu. Zimą nosiła skromne kostiumy z ciemnego kaszmiru, a latem jedwabne, eleganckie garsonki. Buty zawsze na niskim obcasie, jakby chciała ukryć szczupłe, zgrabne nogi. Jej twarz przypominała czasami tę z portretów naśladowców Rafaela. Wspaniałe jasne włosy upinała zwykle starymi dżadeitowymi grzebieniami z kolekcji matki. Miała kremową, aksamitną cerę, szafirowe oczy Francie i pełne usta, pomalowane jasnoczerwoną pomadką.

Jedynie tym akcentem podkreślała swą kobiecość. Wszyscy jednak, nawet wrogowie, przyznawali, że z taką urodą i pieniędzmi Lysandra nie potrzebuje makijażu! Na każdym wywierały wrażenie jej chłodne, tajemnicze błękitne oczy i zapach perfum, jakich nie używała żadna inna kobieta.

Tego wieczoru była sama w biurze na najwyższym, trzydziestym piętrze nowego wieżowca. Oficjalnie firma mieściła się nadal w starym magazynie na nabrzeżu, gdzie Lai Tsina stworzył początki fortuny.

Kiedy na miejscu pierwszej siedziby, zbudowanej przez niego, stanął nowoczesny drapacz chmur, Lysandra uparła się, aby zachowano wystrój wnętrza, który z taką dumą pokazywał jej kiedyś mandaryni.

Zatem malachitowe kolumny, rzeźby i mozaiki wkomponowano w supernowoczesną rezydencję. A przed wejściem, na frontowych schodach, biura strzegły dwa ogromne lwy z brązu.

Było pół do ósmej wieczorem. Nad Zatoką Victorii zachodziło słońce, nadając niebu złotopomarańczową barwę. Na szarej wodzie kładły się świetliście różowe cienie. Przeważnie Lysandra siedziała w biurze od wczesnego ranka. Teraz panowała tu cisza, jeśli nie liczyć tykania małego zegara przytłumionego wysokością gwaru ulicznego. Rzadko opuszczała biuro w ciągu dnia, gdyż zazwyczaj interesanci przychodzili do niej. Jeżeli spotkanie wypadło w porze lunchu, zapraszała ich do prywatnej jadalni, gdzie podawano najlepsze w Hongkongu dania.

Miała opinię jednej z najtwardszych kobiet interesu.

- Stary mandaryn wiedział, co robi, wyznaczając ją na szefa firmy - mówili z nie ukrywaną zazdrością taipanowie innych wielkich spółek. - Nikt nie wywiedzie w pole Lysandry Lai Tsin. Nic nie umknie jej pięknym błękitnym oczom. Ma wrodzony talent do interesów i zawsze dopisuje jej szczęście.

Powtarzano, że rozpoczęła swoją karierę w wieku zaledwie dziesięciu lat.

W listopadzie 1941 roku odwiedziła jak zwykle wuja Filipa Chena. Później Buck przez wiele lat nie mógł sobie darować braku przezorności. Nic jednak nie wskazywało na to, aby wojna w Europie zagroziła komukolwiek na Dalekim Wschodzie. W Hongkongu interesy szły pełną parą. Do portu przyplływało mnóstwo statków handlowych, z Nowego Jorku kursowały regularnie liniowce.

Buck nadal udzielał się w polityce, choć pierwotnie zamierzał zupełnie się wycofać. Jednak ranczo i winnice to było za mało dla jego czynnej natury, więc od czasu do czasu jeździł do Waszyngtonu, gdzie chętnie korzystano z jego doświadczenia.

Poproszono go, aby udał się z trzytygodniową misją do Hongkongu jako obserwator Ministerstwa Wojny. Oficjalnie jednak występował w roli doradcy delegacji handlowej. Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Japończycy za chińską granicą nie przejawiali wrogich nastrojów. A Lysandra wpatrywała się w niego błagalnie błękitnymi oczami.

- Przecież Hongkong to także mój dom. Na pewno dziadek Lai Tsin życzyłby sobie, żebym tam pojechała. - Sprytnie wykorzystała słaby punkt matki.

Francie westchnęła.

- To prawda, mandaryn pragnął, abyś co roku odwiedzała Hongkong.

Lysandra objęła ją szczupłymi ramionami za szyję.

- Proszę, pozwól mi pojechać - szeptała. - Przecież z ojcem będę zupełnie bezpieczna.

- Ten argument jest nie do odparcia - uśmiechnął się szeroko. Tak więc wyjechali razem. Jednak już po trzech dniach Buck zachorował na tyfus i odtransportowano go do domu. Postanowiono, że Lysandra pozostanie jeszcze w Hongkongu w towarzystwie Filipa Chena, a po kilku tygodniach jego żona, Irena, odwiezie ją na ranczo. Buck nie miał siły protestować, zresztą pomysł wydał mu się rozsądny.

Potem wypadki potoczyły się lotem błyskawicy. Siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i jednocześnie przekroczyli granicę w Shenzen. Lotnisko Kai Tak zostało zbombardowane. Po trzech tygodniach w Boże Narodzenie zajęto Hongkong. Filip Chen zdążył zabrać z biura firmy wszystkie tajne dokumenty i ukrył je pod podłogą kuchni we własnym mieszkaniu. Nie była to najpewniejsza kryjówka, ale nie znalazł nic lepszego.

Francie szalała z niepokoju. Buck, osłabiony po chorobie, ledwie trzymał się na nogach. Przeklinał swoją lekkomyślność.

- To moja wina - powtarzał. - Zabrałem ją tam i muszę wy dostać. - Rankiem wyjechał do Waszyngtonu.

Pierwszy raz w życiu Francie nie chciała zostać sama na ranczo. Wszystko przypominało córkę. Na biurkach stały jej fotografie, w szafach mieniły się kolorami jej sukienki, a jej dwa wielkie, markotne psy nie odstępowały nóg Francie. Tutaj przecież rozpoczęło się życie Lysandry... Francie przeszły dreszcz na myśl, że gdzieś daleko, na obczyźnie, może się już zakończyło.

Przerażona uciekła do Waszyngtonu, do Bucka... Nadal liczone się z nim w stolicy, znał wpływowych ludzi. Dotrze do każdego, kto może pomóc ich córce zachowano wystrój wnętrza, który z taką dumą pokazywał jej kiedyś mandaryn.

Zatem malachitowe kolumny, rzeźby i mozaiki wkomponowano w supernowoczesną rezydencję. A przed wejściem, na frontowych schodach, biura strzegły dwa ogromne lwy z brązu.

Było pół do ósmej wieczorem. Nad Zatoką Victorii zachodziło słońce, nadając niebu złotopomarańczową barwę. Na szarej wodzie kładły się świetliście różowe cienie. Przeważnie Lysandra siedziała w biurze od wczesnego ranka. Teraz panowała tu cisza, jeśli nie liczyć tykania małego zegara przytłumionego wysokością gwaru ulicznego. Rzadko opuszczała biuro w ciągu dnia, gdyż zazwyczaj interesanci przychodzili do niej. Jeżeli spotkanie wypadało w porze lunchu, zapraszała ich do prywatnej jadalni, gdzie podawano najlepsze w Hongkongu dania.

Buck nadal udzielał się w polityce, choć pierwotnie zamierzał zupełnie się wycofać. Jednak ranczo i winnice to było za mało dla jego czynnej natury, więc od czasu do czasu jeździł do Waszyngtonu, gdzie chętnie korzystano z jego doświadczenia.

Poproszono go, aby udał się z trzytygodniową misją do Hongkongu jako obserwator Ministerstwa Wojny. Oficjalnie jednak występował w roli doradcy delegacji handlowej. Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Japończycy za chińską granicą nie przejawiali wrogich nastrojów. A Lysandra wpatrywała się w niego błagalnie błękitnymi oczami.

- Przecież Hongkong to także mój dom. Na pewno dziadek Lai Tsin życzyłby sobie, żebym tam pojechała. - Sprytnie wykorzystała słaby punkt matki.

Francie westchnęła.

- To prawda, mandaryn pragnął, abyś co roku odwiedzała Hongkong.

Lysandra objęła ją szczupłymi ramionami za szyję.

- Proszę, pozwól mi pojechać - szeptała. - Przecież z ojcem będę zupełnie bezpieczna.

- Ten argument jest nie do odparcia - uśmiechnął się szeroko. Tak więc wyjechali razem. Jednak już po trzech dniach Buck zachorował na tyfus i odtransportowano go do domu. Postanowiono, że Lysandra pozostanie jeszcze w Hongkongu w towarzystwie Filipa Chena, a po kilku tygodniach jego żona, Irena, odwiezie ją na ranczo. Buck nie miał siły protestować, zresztą pomysł wydał mu się rozsądny.

Potem wypadki potoczyły się lotem błyskawicy. Siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i jednocześnie przekroczyli granicę w Shenzen. Lotnisko Kai Tak zostało zbombardowane. Po trzech tygodniach w Boże Narodzenie zajęto Hongkong. Filip Chen zdążył zabrać z biura firmy wszystkie tajne dokumenty i ukrył je pod podłogą kuchni we własnym mieszkaniu. Nie była to najpewniejsza kryjówka, ale nie znalazł nic lepszego.

Francie szalała z niepokoju. Buck, osłabiony po chorobie, ledwie trzymał się na nogach. Przeklinał swoją lekkomyślność.

- To moja wina - powtarzał. - Zabrałem ją tam i muszę wydostać. - Rankiem wyjechał do Waszyngtonu.

Pierwszy raz w życiu Francie nie chciała zostać sama na ranczo. Wszystko przypominało córkę. Na biurkach stały jej fotografie, w szafach mieniły się kolorami jej sukienki, a jej dwa wielkie, markotne psy nie odstępowały nóg Francie. Tutaj przecież rozpoczęło się życie Lysandry... Francie przeszył dreszcz na myśl, że gdzieś daleko, na obczyźnie, może się już zakończyło.

Przerażona uciekła do Waszyngtonu, do Bucka... Nadal liczono się z nim w stolicy, znał wpływowych ludzi. Dotrze do każdego, kto może pomóc ich córce.

Filip Chen obserwował umęczonych żołnierzy brytyjskich, maszerujących do obozu jenieckiego w Kowloon. Jak wielu innych Chińczyków próbował podać im coś do jedzenia, bułkę z wodą albo trochę pieniędzy.

Jednak japoński strażnik odepchnął go krzyżąc coś niskim, gardłowym głosem, a młodego jeńca uderzył w kark kolbą karabinu. Kolumna maszerowała dalej, ale pobity żołnierz upadł ciężko na ziemię. Nie poruszał się. Dla niego wojna już się skończyła.

Na mieście rozwieszono ogłoszenia wzywające wszystkich cudzoziemców, by stawili się przed władzami japońskimi. Planowano ich internowanie do miejscowości Stanley nad morzem. Tylko Chińczykom pozwolono zostać w mieście.

Filip, pełen niepokoju, pobiegł do domu. Oboje z Ireną kochali Lysandrę jak własne dziecko i czuli się za nią odpowiedzialni. Nie zważając na ryzyko postanowili ją ukryć do końca wojny.

Tego popołudnia wezwał go japoński komisarz miasta. Wiedział, z kim rozmawia:

Filip był przecież przedstawicielem jednej z najbogatszych spółek handlowych w Ameryce. Z tym większą przyjemnością potraktował go arogancko. Popatrzył triumfalnie, nie prosząc Filipa, aby usiadł.

- Jutro o jedenastej armia Najjaśniejszego Cesarza przejmie biura waszej spółki i cały kapitał - oświadczył. - Pan odpowiada za to, żeby taipan osobiście podpisał dokument, w którym zrzeknie się praw do firmy na rzecz rządu japońskiego.

W oczach Filipa pojawiły się gniewne błyski, opanował się jednak. Najwyraźniej japońscy szpiedzy niewiele dowiedzieli się na temat spółki poza tym, że była bogata i posiadała jedną z największych flot na Wschodzie. Jednak dużo statków zatonoło podczas japońskich bombardowań portu w Hongkongu. Na szczęście nie wiedzieli też nic o Lysandrze.

- Nasz taipan był w San Francisco, gdy rozpoczęła się wojna - obrzucił komisarza pogardliwym spojrzeniem. - Nie ma go tutaj, więc nie może nic podpisać.

Poczuł na sobie zimny, przeszywający wzrok komisarza.

- Z pewnego źródła mamy zupełnie inne informacje, panie Chen. Wiemy, że jest w Hongkongu, i żądamy, aby stawił się w biurze jutro o jedenastej. W przeciwnym razie czekają pana i pańską rodzinę poważne nieprzyjemności.

Filip wracał do domu zgnębiony. Japończycy okupowali Hongkong zaledwie od paru tygodni, lecz ich policja wojskowa, Kem-peitei, już zasłynęła z okrucieństwa.

Wiedział, co mu grozi. Stanowił przecież doskonały cel ataku jako jeden z najzamożniejszych i najbardziej znanych ludzi w Hongkongu.

- Ukryjemy Lysandrę w jakiejś małej wiosce w Chinach - powiedział żonie.

- Nie z jej wyglądem, Filipie - zaprzeczyła. - Nikt nie uwierzy, że jest Chinką. Nawet z Robertem nie będzie bezpieczna. - Spojrzała z troską na córkę Francie i swego czternastoletniego syna.

- Nigdzie sam nie pojedę - oświadczył stanowczo Robert. Był to wysoki, poważny chłopiec w okularach, wiecznie pogrążony w książkach. Lysandra podejrzewała nawet, że wcale jej nie lubi, toteż zdziwiła się, gdy dodał: - Zostanę, żeby się nią opiekować.

- Wykluczone, synu. Musimy jak najszybciej wydostać stąd Lysandrę, zanim Japończycy zaczną jej szukać.

Spojrzała na twarze opiekunów. Zrozumiała, że z jej powodu grozi im poważne niebezpieczeństwo.

- Czego chcą ode mnie Japończycy? - zapytała zdumiona.

- Żądają, aby taipan spółki Lai Tsin podpisał jutro akt zrzeczenia się majątku na rzecz rządu japońskiego.

- A jeżeli nie stawi się na spotkanie?

- Spotkają nas nieprzyjemności. Japończycy są bardzo okrutni. Lysandra słyszała już o ich bestialstwie. Zastanowiła się, co w takiej sytuacji zrobiłaby jej matka.

- Wobec tego pójdę jutro do biura i podpiszę te dokumenty. A potem, gdy już wygramy wojnę, wszystko im odbierzemy.

Mimo smutku Filip uśmiechnął się do małej, rezolutnej buzi.

- Tylko twoja matka może decydować w sprawie spółki, póki jesteś niepełnoletnia. Twój podpis i tak byłby nieważny.

- To nawet lepiej, prawda? Japończycy pomyślą, że wszystko załatwili i zostawią nas w spokoju.

- Nigdy nie zgodzę się, żebyś tam poszła. To zbyt niebezpieczne. Ci ludzie nie mają sumienia ani żadnych skrupułów.

Nie rozumiała dokładnie, o co chodzi Japończykom, czuła jednak, że wujek Chen i ciotka Irena znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli ją ukryją. Dumnie podniosła bródkę do góry.

- Jako taipan spółki rozkazuję ci, wujku, abyś jutro o jedenastej zaprowadził mnie do biura.

- Ależ oni oczekują mężczyzny - protestował. - Nie uwierzą, że jesteś taipanem.

Lysandra aż poczerwieniała ze złości.

- Dziadek Lai Tsin mnie powierzył firmę, więc ja muszę podpisywać dokumenty! - Nagle opuściła ją odwaga. Podbiegła do Filipa i zarzuciła mu ręce na szyję. Na buzi pojawiły się wielkie łzy. - Przecież to jedyne wyjście. Kocham was i nie chcę, żeby stało się wam coś złego.

- Może ma rację - wtrąciła Irena. - Chyba nie skrzywdzą dziecka.

Filip z powątpiewaniem pokręcił głową, ale wiedział, że Japończycy nie zaprzestaną jej szukać. Niech więc poznają osobiście taipana spółki Lai Tsin...

Niania Ah Sing całą noc paliła kadzidło i modliła się za białą panienkę.

Lysandra obudziła się wcześniej i pobiegła do pokoju Roberta. Chłopiec podniósł głowę znad poduszki, przecierając zaspane oczy.

- Co się stało? Czy to Japończycy nas aresztują?

- Nie bój się. - Energicznie potrząsnęła głową i burza jasnych włosów owinęła jej buzię. - Po prostu pomyślałam, że kiedy obejmę firmę, twój ojciec przejdzie już na emeryturę. Czy będziesz moim przedstawicielem w Hongkongu?

Robert odnalazł dłonią okulary, włożył je i spojrzał na nią z powagą.

- Planowałem, że zostanę neurochirurgiem - odparł. - Zupełnie nie nadaję się na pośrednika.

Westchnęła.

- Obiecaj mi przynajmniej, że zastanowisz się nad tym - poprosiła. - Dziadek zawsze powtarzał, że na niewielu ludzi można liczyć...

Filip wołał nie ryzykować i zaraz po śniadaniu wysłał żonę z synem do przyjaciół w Kowloon. Stamtąd, w przebraniu wieśniaków, przedostaną się do Chin. Lysandra z oczami pełnymi łez patrzyła przez okno na podwórko. Filip rozglądał się wokoło, a kiedy uznał, że jest bezpiecznie, dał znak Irenie i Robertowi.

Wymknęli się kuchennymi drzwiami i w towarzystwie wiernego służącego poszli w głąb ulicy.

Z pomocą niani Ah Sing dziewczynka ubrała się w najlepszą bawełnianą sukienkę, białe skarpetki i czarne lakierki: Pomimo upału założyła też tradycyjny chiński jedwabny kaftan, wyszywany złotą i purpurową nicią. Japończycy zaanektowali już wszystkie samochody w mieście, więc na spotkanie z generałem jechali rykszą - Lysandra, Filip Chen i wierna niania. Drżała ze strachu, nie odstępowała jednak panienki.

Personel uprzedzono o spotkaniu. Wszyscy przechadzali się nerwowo po marmurowej sali przyjęć. Ze zdumieniem patrzyli na Chena, który wkroczył w towarzystwie małej Lysandry, ubranej w strojny kaftan mandaryna. Z szacunkiem kłaniali się im, a Lysandra obdarzała urzędników królewskim uśmiechem i skinieniem głowy.

Biuro wyglądało tak samo, jak za życia Lai Tsina. Wchodzili tam jedynie najbardziej zaufani pracownicy, którzy utrzymywali pokój w nieskazitelnym porządku, odkurzając i polerując nieliczne meble. Na hebanowym biurku leżały starannie ułożone obok siebie chińska poduszka z atramentem, pędzelki, drewniane liczydła i srebrny kałamarz, jakby mandaryn miał za chwilę tu wrócić.

Lysandra popatrzyła na portret dziadka wiszący na ścianie. Spoglądały na nią mądre, łagodnie uśmiechnięte oczy. Czowała, że nogi uginają się pod nią ze strachu, a dłonie wilgotnieją. Żeby choć Buck i Francie mogli jej towarzyszyć!

Przypomniała sobie dzień, kiedy Lai Tsin przyprowadził ją tutaj po raz pierwszy.

Zawsze powtarzał, że powinna być silna, więc teraz nie zawiedzie jego zaufania.

Usiadła na starym, przypominającym tron, krześle dziadka. Obok stanęli Filip Chen i najważniejsi urzędnicy, a w kącie skuliła się Ah Sing. Pod czarnym kaftanem ukryła ostry kuchenny nóż, gotowa zabić każdego, kto chciałby skrzywdzić dziewczynkę.

Punktualnie o jedenastej przed budynkiem rozległ się gardłowy, ostry głos japońskiego oficera, wydającego rozkazy i stukot podbitych butów. Drzwi otworzyły się i pojawił się generał.

Był bardzo niski, chudy i miał cieniutkie, jakby narysowane ołówkiem wąsy. Żołnierze japońscy nosili zwykle niezgrabne, workowate mundury, ale strój generała skrojono doskonale. Do gabinetu wszedł z sześcioma uzbrojonymi wartownikami i młodym porucznikiem, który pełnił funkcję tłumacza.

Chłodnym wzrokiem zmierzył Filipa Chena, urzędników, popatrzył na portret Lai Tsina i wtedy dopiero zauważył jasnowłose dziecko siedzące na wysokim krześle taipana. Drwiący uśmiech zniknął z jego twarzy, a w wąskich oczach pojawiła się wściekłość. Lysandra zacisnęła dłonie w pięści.

Generał wrzasnął coś do tłumacza. Porucznik mówił bezbłędną angielszczyzną (studiował w Kalifornii), ale język płatał mu się ze strachu przed zwierzchnikiem.

- Generał pyta, kto ośmiela się żartować z emisariusza Najjaśniejszego Cesarza.

Wobec winnych wyciągnie surowe konsekwencje. Żąda, aby natychmiast przyprowadzono taipana spółki Lai Tsin.

Dziewczynka zsunęła się z krzesła, stanęła na palcach i dumnie uniosła brodę do góry, zupełnie jak matka, gdy ogarniała ją złość.

- Proszę powiedzieć generałowi, że ja jestem taipanem - odezwała się drżącym głosem. - Po przeczytaniu dokumentów zadecyduję, czy mogę je podpisać.

Wytrzymała jego gniewne spojrzenie. Twarz nabiegła mu krwią, ale milczał, najwyraźniej nie wiedząc, czy ci przekłeci Chińczycy sobie kpią. Warknął coś do tłumacza.

- Generał pyta, kim jest to dziecko i jakim cudem przewodniczy spółce.

- Nazywam się Lysandra Lai Tsin - powiedziała z powagą. - Mój dziadek, mandaryn Lai Tsin, zapisał mi firmę. Pan Filip Chen jest moim przedstawicielem w Hongkongu, a ci panowie kierują biurem - wskazała rączką urzędników. - Lecz tylko ja mogę podpisywać dokumenty i odpowiadam za spółkę oraz pracowników.

Generał zdumiony słuchał tłumacza. Nie mieściło mu się w głowie, że mała dziewczynka może wyrażać się w ten sposób. Jeżeli jednak żartują z niego, a on da się nabrać, to na zawsze straci twarz i stanie się pośmiewiskiem całej armii.

Wtedy jedynie śmierć uchroni go przed hańbą.

- Zapytaj, gdzie jest pieczęć! - rzucił.

Lysandra wyjęła z biurka czerwone pudełko z drzewa sandałowego i podniosła rzeźbione wieczko.

- Tutaj - położyła pudełko przed sobą. - A teraz proszę powiedzieć generałowi, że chcę zobaczyć dokumenty.

Krzesło było wysokie, więc obawiała się, że generał zauważy jej zwisające nogi w białych skarpetkach. Dopiero najadłaby się wstydu! On jednak nie spuszczał gniewnego wzroku z jej twarzy. Zapytał o matkę. Usłyszawszy odpowiedź zrozumiał, że ta mała; na skutek niezwykłego kaprysu starego mandaryna, rzeczywiście stoi na czele jednej z największych na świecie firm handlowych!

Zagryzając wargi z upokorzenia stuknęła obcasami, skłonił się i wręczył jej dokument. Tłumacz wyjaśnił szybko, że jest to przekazanie firmy pod zarząd przedstawicieli Jego Cesarskiej Mości, Cesarza Hiroshito. Musi więc ostemplować go okrągłą pieczęcią i podpisać wraz z Chenem oraz innymi dyrektorami spółki.

Cały majątek, włącznie z biurami, magazynami i zakotwiczonymi w porcie statkami, zaanektują władze japońskie.

Lysandra spojrzała jeszcze raz na portret dziadka, potem na smutną twarz wuja i spuszczone głowy urzędników. Zrozumiała, że nie ma wyboru.

Starym pędzelkiem mandaryna starannie wykaligrafowała po chińsku swoje imię i nazwisko. Przyłożono pieczęć i budowana przez lata fortuna Lai Tsina stała się własnością japońskiego cesarza.

Lysandra włożyła pieczęć do pudełka i wstała zza biurka. Pogardliwie spojrzała na Japończyków, skinęła głową Chenowi na znak, że należy już iść, i z dumnie podniesioną główką opuściła pokój na czele swego orszaku, pozostawiając osłupiałych ze zdumienia „zwycięzców”.

Po raz pierwszy w swojej karierze generał nie wiedział, co powiedzieć. Tłumacz odwrócił się w obawie, że zwierzchnik wyładuje się na nim.

- To im nie ujdzie płazem - pochylił się nad biurkiem i zbierał dokumenty drżącymi z gniewu rękami.

Po paru dniach Filip Chen i wyżsi urzędnicy spółki zostali aresztowani. W budynku sądu poddano ich brutalnym przesłuchaniom i torturom, a po kilku tygodniach wywieziono do obozu w Kai Tak, gdzie pracowali przy budowie dróg.

Lysandrę przetrzymywano w areszcie domowym, potem zaś internowano do Mandżurii wraz z innymi osobistościami. Uwolnili ją chińscy partyzanci.

Po długiej, niebezpiecznej podróży przez Rosję dotarła do Finlandii. Na lotnisku w Helsinkach czekał na nią Buck. Wsiadła z małego, rozklekotanego samolotu i pobiegnęła do ojca. Wtuliła się w jego płaszcz, a długo wstrzymywane łzy zalały wymizerowaną buzię.

- Och, Buck - wykrztusiła tylko między kolejnymi paroksyzmami płaczu. - Och, Buck...

- Już wszystko dobrze, malutka - mówił miękkim, łagodnym głosem. - Teraz jesteś bezpieczna. Jutro wrócimy do mamy.

Dziękował Bogu, że udało mu się dotrzymać danego Francie słowa.

Tego samego dnia odlecieli do Londynu, a stamtąd do Nowego Jorku, gdzie spotkali się z uszczęśliwioną Francie. Ale o przygodach Lysandry nie opowiadali nikomu, by nie szkodzić Filipowi. Dopiero po wojnie, gdy wrócił do domu i połączył się z rodziną, przyjaciele dowiedzieli się o wojennych losach dziewczynki.

Lysandra na pozór wiodła życie przeciętnej, amerykańskiej uczennicy. Ale koszmarnie doświadczenia zostawiły trwałe ślady w jej duszy i w jakiś nieuchwytny sposób różniła się od rówieśniczek. Nie była tak beztroska jak one. Francie miała wrażenie, że na samo wspomnienie wojny dziewczynka zamyka się w sobie.

Wreszcie Annie przełamała tę barierę milczenia. Kiedyś po szkole Lysandra wpadła do niej. Bardzo lubiła podczas odwiedzin obserwować z okien falujące w dole miasto i zajadać wspaniałe ciastka, które wypiekał hotelowy cukiernik. Niestety, Annie wydzielala jej te smakołyki.

- Dwa ciastka w zupełności wystarczą dla młodej dziewczyny, która nie chce utyc - stwierdziła autorytatywnie. Nalała herbatę do porcelanowych filiżanek i podsunęła jedną Lysandrze. - Mama bardzo martwi się o ciebie, wiesz o tym?

- Ale czym? Co ja takiego zrobiłam?

- Raczej, czego nie zrobiłaś. Nie opowiedziałaś nic o wojnie i o tym strasznym obozie. Mama boi się, że przeżyłaś tam coś koszmarnego.

- Nawet nie chcę o tym myśleć! - krzyknęła gwałtownie. Nie spuszczała oczu z czekoladowego ciastka na talerzyku. Nie było już tak apetyczne jak przed minutą.

Annie uśmiechnęła się ciepło.

- Kochanie, z czasem pozbędziesz się złych wspomnień wyrzucając je z siebie.

Musisz zdystansować się i wtedy dopiero stwierdzisz: „Do diabła, nic już dla mnie nie znaczą”.

Lysandra kochała Annie, która nie tylko była jej chrzestną matką, ale również najlepszą przyjaciółką. Zawsze mówiła to, co myśli, i nigdy niczego nie udawała.

Wygarniała Lysandrze wszystko bez ogródek, ale też nie szczędziła pochwał.

Zazwyczaj potrafiła przekonać ją do swych racji.

Tym razem sprawa była bardzo delikatna. Lysandra lękała się wspomnień. Ale Annie wzbudzała zaufanie. Miała w sobie tyle ciepła i wyrozumiałości...

- Nie chciałam jeszcze bardziej martwić mamy i Bucka - wykrztusiła wreszcie, nerwowo wykręcając dłonie. - Obwiniają się, że pozwolili mi wyjechać, ale to ja ich zmusiłam. Tak tęskniłam za wujem Filipem... Wszystkich naraziłam na niebezpieczeństwo: Chena, Bucka...

- I siebie - wtrąciła miękko Annie, przytulając dziewczynkę. Wtedy pękła bariera milczenia. Lysandra opowiedziała jej, jak okropnie bała się japońskiego generała, który kazał jej podpisywać dokumenty, z jakim strachem i obrzydzeniem rozpoczynała każdy dzień w japońskim więzieniu, jak rozpaczała, że nigdy już nie zobaczy matki i Bucka.

- Wszyscy myślą, że jestem taka odważna - szlochała - a ja tak strasznie się bałam...

- Oczywiście, kochanie - ciepło powiedziała Annie. - Tylko ktoś pozbawiony wyobraźni zachowywałby spokój w takiej sytuacji.

- Najgorsze były noce - ciągnęła. - Szczury cały czas chrobotowały po kątach, trzęsłam się z przerażenia, że mnie zjedzą. Kiedy wreszcie zasnęłam, śniłam, że jestem na ranczo, wiatr kołysze gałęziami w sadzie, a w stajni parskają źrebaki.

Tylko to trzymało mnie przy życiu.

- Koszmar już minął, Lysandro - stwierdziła stanowczo Annie. - Masz przed sobą szczęśliwe, normalne życie, a okrutne wspomnienia z czasem odpłyną w cień. I pamiętaj - dodała jeszcze z naciskiem - byłaś bardzo, bardzo odważna! Każdy żołnierz, który idzie na front, lęka się śmiertelnie. A ty byłaś takim żołnierzem.

- Naprawdę, Annie?

- Chyba wierzysz swojej ciotce? No, teraz napijemy się herbaty. Tę rozmowę na zawsze zachowały w tajemnicy. Tymczasem w Hongkongu rosła sława Lysandry Lai Tsin.

Każdy przybysz słyszał historię o tym, jak dziesięcioletnia dziewczynka zapędziła w kozi róg japońskiego generała.

- Ta mała ma charakter! - podziwiali ją bogaci taipanowie. Flota mandaryna ponownie przemierzała wodne szlaki całego świata. Lysandra spędziła cztery lata w szkole w Vassar. Tęskniła do Hongkongu i rodziny Chen. Bawiła się z koleżankami, jak one ubierała się w pastelowe sukienki, ale była inna. Wszystkie chciały szybko znaleźć odpowiedniego kandydata na męża, ona zaś wprost doczekać się nie mogła, kiedy obejmie firmę.

Wreszcie wyruszyła z rodzicami do Hongkongu. Na lotnisku czekała rodzina Chen.

- Nie zmieniłeś się, Filipie - Francie ze śmiechem objęła starego przyjaciela.

- Pozostałeś tym poważnym chłopcem w okularach, który pomagał Olliemu odrabiać lekcje.

- Szkoda, że bogowie nie pozwolili mu doczekać tej chwili - odparł łagodnie. - Ale ty jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej.

- Nawet ja nie wygram z czasem - westchnęła.

- Upływający czas przynosi nam mądrość. A wtedy piękno zyskuje nowy kształt.

- Przestańcie już! - roześmiał się Buck. - Nie sprostam tym chińskim komplementom.

- To prawda - Lysandra podziwiała smukłą, elegancką Francie o cerze równie gładkiej jak przed dwudziestu laty. - Mama wygląda coraz ładniej. I ciocia Irena też - dodała, patrząc na drobną, roześmianą żonę Filipa w szykownej, czerwonej sukni.

Ich syn czekał z boku, aż przywitają się starsi.

- Robercie! - podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami. Nie był już chłopcem. Zza okularów spoglądały jednak te same poważne oczy.

- Wyglądasz, jak sławny neurochirurg. Roześmiał się.

- A ty tylko trochę schudłaś.

- Nieprawda! - udała oburzenie. - Smukła figura jest teraz w modzie. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Zostaniemy nadal przyjaciółmi?

- Zawsze możesz na mnie liczyć.

Lysandra oficjalnie przejęła obowiązki taipana spółki Lai Tsin i z tej okazji, w kilka dni po jej przybyciu, wydano uroczysty obiad w siedzibie biura. W trakcie przyjęcia wygłosiła długi toast w języku mandaryńskim, którym władała równie dobrze jak angielskim. Francie z dumą patrzyła na drobną dziewczynę w tradycyjnym, uroczystym stroju chińskim, przemawiającą do tyłu skupionych mężczyzn. Lysandra powiedziała, że ma nadzieję dorównać kiedyś dziadkowi mądrością, ale na razie chciałaby jak najwięcej korzystać z pomocy i doświadczenia pracowników spółki. Pragnie, aby firma nadal służyła w świecie z uczciwości i rzetelności w interesach.

- Słyszysz? - Francie kurczowo ścisnęła dłoń Bucka. - Mandaryn chyba wiedział, co robi. Ona jest jeszcze taka młoda... Czy nie powinna cieszyć się życiem, jak inne dziewczęta w jej wieku?

- Lysandra różni się od nich - odparł stanowczo. - Nie zapominaj, że Lai Tsin miał na nią wielki wpływ. A poza tym, po tobie odziedziczyła silną wolę i upór.

Jeżeli kiedyś zechce opuścić spółkę, nikt nie odwiedzie jej od tego zamiaru.

- Może masz rację - szepnęła Francie.

Po tygodniu wrócili do Kalifornii. Na lotnisku w Hongkongu wszyscy zegnali się ze łzami w oczach. Lysandra czuła, że będzie bardzo samotna bez matki. Na schodkach do samolotu odwrócili się jeszcze na chwilę, Lysandra pomyślała z zachwytem, jaką wspaniałą stanowią parę... Znakomicie do siebie pasują. Mama została stworzona na żonę Bucka. Ale ona nigdy nie wyjdzie za mąż. Wypełni wolę mandaryna i bez reszty odda się

interesom.

Rok uczyła się zarządzania firmą pod okiem Filipa. Po pracy studiowała wieczorami, ubolewając, że traci czas w soboty na basenie albo na tańcach w klubie Peninsula. Wszyscy adoratorzy wydawali się jej zbyt młodzi i pochłonięci nieważnymi, dziecinnymi wprost sprawami. Żaden nie był godny zainteresowania, aż spotkała?????? d'Arancourt.

Miał czterdzieści lat i wygląd rasowego arystokraty. Czarna czupryna delikatnie posiwiiała, a pod wydatnym nosem malowały się zmysłowe usta. Był szczupły, wysoki i zupełnie niepodobny do wszystkich chłopców, których znała.

Pierwszy raz zobaczyła go na wyścigach w Happy Valley. Jego koń należał do zdecydowanych faworytów.

- Kto to? - zapytała znajomego z klubu, stałego bywalca wyścigów.

- Księżę Pierre. Od czasu do czasu pojawia się w Hongkongu, gdy znudzi mu się Paryż albo Nowy Jork. Jest Francuzem, ale wychował się w Argentynie i pewnie dlatego tak świetnie jeździ konno.

- Na to wygląda - bacznie obserwowała nieznajomego jeźdźca przez lornetkę.

Wieczorem spotkała go ponownie na balu u gubernatora. Pochwyciła jego spojrzenie. Odwróciła się. Nigdy nie miała swojego chłopca, choć widywała się z młodymi ludźmi. Francie już martwiła się tym, ale Annie wytłumaczyła jej, że na wszystko przyjdzie czas. Na razie Lysandrę całkowicie pochłonięła praca.

Pierre poprosił ją do tańca. Wydał się nawet przystojniejszy od Bucka. Słuchała jak zaczarowana opowieści o ranczo w Argentynie, wspaniałym mieszkaniu w alei Focha w Paryżu i zamku nad Loarą, który od wieków posiadała jego rodzina.

Prowadził barwne, ciekawe życie, oddalone o lata świetlne od jej szarej, pracowitej i nieciekawej egzystencji.

- A co pani robi całymi dniami w tym mieście? - W głosie brzmiało żartobliwe lekceważenie, co ją dotknęło. Wyjaśniła, że przejęła właśnie firmę po dziadku i pilnie zgłębia tajniki prowadzenia interesów. Roześmiał się.

- Chyba musimy to zmienić. Pani jest zbyt piękna, aby marnować się w biurze choćby największej spółki.

Nikt przedtem nie powiedział jej tego i komplement zupełnie rozbroił Lysandrę.

Wpatrywała się w jak urzeczona. Resztę wieczoru spędzili co prawda osobno, ale wielokrotnie spoglądała na uroczego księcia.

Rano przy śniadaniu znalazła obok nakrycia bukiet małych, żółtych różyczek i liścik, w którym Pierre wyrażał nadzieję, na rychłe spotkanie. Serce zabiło jej mocniej. Przez cały dzień nie potrafiła skupić się na niczym, ciągle widziała jego ciepłe spojrzenie i słyszała niski, aksamitny głos. Do pół do siódmej nie zadzwonił telefon, rozczarowana pojechała do domu.

W drzwiach małego mieszkania powitała ją podekscytowana Ah Sing. Wszędzie unosił się mocny zapach kwiatów. Róże, orchidee, jaśmin, peonie, kremowe gardenie stały w wazonach na stole i podłodze. Zrozumiała: Pierre nie chciał znać Lysandry Lai Tsin, szefowej wielkiej spółki, interesowała go piękna, subtelna blondynka.

Wieczorem poszli na kolację do hotelu Peninsula, gdzie zwróciła uwagę wszystkich tradycyjnym chińskim strojem i wspaniałymi, wysoko upiętymi włosami. Dekolt ozdobiła gardenią. „Te kwiaty są stworzone dla ciebie” - szeptał jej do ucha.

Lysandrze kręciło się w głowie. Czuła na sobie jego palący wzrok i wydawał się jej najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Tego wieczoru nie była wcale pewna, czy chce zostać trzeźwą kobietą interesu. W nocy śnił się jej Pierre.

Nazajutrz, po powrocie z biura, znalazła w domu małą paczuszkę w szkarłatnym papierze, przewiązaną lśniącą wstążeczką, a w środku dzadeitowy wachlarz wyrzeźbiony w koronkowe wzory i karteczkę: „Ten drobiazg pasuje do obrazu pani, który ciągle mi towarzyszy. Pamiętaj o Pierre”.

- Rozpuszcza mnie pan prezentami - powiedziała po chwili przez telefon. - Wachlarz jest naprawdę piękny. Ja też powinnam panu coś ofiarować.

- Nigdy nie przyjmuję prezentów od kobiet - głos zabrzmiał chłodno.

- Nie chciałam pana urazić - zmieszła się. - Ale sprawił mi pan tyle radości...

- Jedynie takiej nagrody oczekuję - zapewnił ją szarmancko. - I jeszcze coś.

Proszę zjeść ze mną kolację.

Bez większych wyrzutów sumienia odłożyła planowane na wieczór spotkanie w interesach. Poszli do chińskiej restauracji w Kowloon i Pierre cały wieczór opowiadał jej o swych arystokratycznych antenatach, których drzewo genealogiczne sięgało czasów przed Ludwikiem XIV, Królem Słońce.

Przez następne tygodnie Pierre adorował Lysandrę, codziennie zapraszał ją na kolację i zasypywał prezentami. Otrzymała dzadeitowe grzebienie, haftowane złotą nicią jedwabne pantofle, które ponoć należały do chińskiej cesarzowej Dixie, i wreszcie wyrzeźbione w złocie jajko, ozdobione klejnotami, które kupił od zubożałego rosyjskiego arystokraty.

Filip i Irena wkrótce dowiedzieli się o adoratorze Lysandry i o niezbyt pochlebnych plotkach na jego temat.

- Ona jest jeszcze taka młoda i niedoświadczona. Oby tylko nie zrobiła jakiegoś głupstwa - martwiła się Irena i żałowała bardzo, że nie ma w Hongkongu Roberta.

Ale syn Chenów odbywał teraz praktykę w szpitalu w Georgetown.

Któregoś wieczoru oglądali w porcie statki należące do floty Lai Tsina. Pierre wziął ją w ramiona i poprosił, aby za niego wyszła. Lysandra, zakochana po uszy, zgodziła się od razu.

- Chciałbym wziąć cichy ślub - powiedział. - Później, w Paryżu, urządzimy przyjęcie dla przyjaciół.

Przystąpiła i na to, choć żałowała, że nie będzie nikogo z bliskich. Ale Pierre zawładnął nią bez reszty, wszyscy zeszli na dalszy plan. Następnego dnia wycarterowanym jachtem popłynęli do Makau, gdzie w starym portugalskim kościółku Lysandra Lai Tsin została księżną d'Arancourt. Na uroczystość założyła - zgodnie z chińskim obyczajem - suknię z czerwonej koronki, przystrojoną pękiem szkarłatnych róż. Zapomniała zupełnie, że jest taipanem wielkiej spółki; chciała jedynie być żoną.

Francie i Bucka zawiadomiła o ślubie telegramem, który podpisała księżna d'Arancourt". Odpowiedź przyszła natychmiast. Rodzice szaleli z niepokoju i prosili, aby czym prędzej zawitała z mężem w San Francisco.

Ale on nie spieszył się do Ameryki, postanowili więc płynąć do Kalifornii przez Europę. Wsiedli na pokład liniowca kursującego między Hongkongiem i Marsylią.

Pierre nie był zbyt czułym i uważającym kochankiem, lecz Lysandra nie miała żadnego porównania, więc doszła do wniosku, że tak właśnie powinny wyglądać sprawy intymne między kobietą a mężczyzną. Nawet przez chwilę nie podejrzewała, że szybko znudził się jej młodzieńczym zauroczeniem, a brak doświadczenia drażnił go. Widziała jednak, jak inne kobiety kokietowały męża i cierpiała męki zazdrości.

Nie zdradzał jej przed przyjazdem do Paryża. Wynajęli apartament w hotelu Jerzego, ponieważ mieszkanie w alei Focha - jak twierdził, właśnie remontowano.

Pierre zamykał się w pokoju i długo rozmawiał przez telefon, a Lysandrę wysyłał po zakupy do paryskich butików, aby - jak wyjaśnił - wreszcie ubierała się elegancko i zostawiła te okropne chińskie szmatki. Zaboląły ją te uwagi.

Pamiętała, jak niedawno zachwycił się jej chińskimi strojami, ale była jeszcze zbyt zakochana, aby się buntować.

Popołudnia spędzali zazwyczaj oddzielnie, a obiady jadali wcześniej w hotelowej restauracji. Wiezorami Pierre wychodził, mówiąc żonie, że musi odwiedzić chorą krewną, załatwić ważne interesy z przyjaciółmi albo jechać do Deauville w sprawie koni hodowanych na argentyńskim ranczo.

W hotelu Jerzego mieszkali już ponad dwa miesiące, gdy Lysandra znalazła w kieszeni szlafroka list od kochanki. Niezłe знаła francuski, więc zorientowała się, że łączyła ich bynajmniej nie przelotna znajomość. Zresztą fragment listu dotyczył bezpośrednio jej... „twoja chińska konkubina, dzięki której wreszcie nie liczysz się z pieniędzmi”.

Poczuła, że ktoś nagle zerwał jej zasłonę z oczu. Przypomniała sobie pełne bólu i goryczy opowiadania Francie o tym, jak ją nazywano konkubina... Błękitne oczy Lysandry przybrały barwę stali, a gniew i upokorzenie tętniły w skroniach.

Ktoś zastukał do drzwi i w pokoju pojawił się wyraźnie zmieszany dyrektor hotelu.

- Przepraszam, że zakłócam spokój, księżno - ukłonił się - ale mąż zapewne nie miał czasu załatwić tej sprawy. Już kilka razy przedstawialiśmy księciu rachunek za apartament, obiecuje, że wkrótce zapłaci, ale jak do tej pory... - bezradnie rozłożył ręce. - Ośmieliłem się przynieść ten rachunek w nadziei, że może pani ureguluje...

Lysandra znowu poczuła, że z obłoków nagle spada na ziemię. Wszystko było jasne.

Pierre czarował ją słodkimi słówkami i obsypywał kwiatami, a ona nawet nie pomyślała, co kryje się za tym. Wspomniała słowa mandaryna, kiedy przyjechali razem do Hongkongu, a wszyscy jego znajomi zarzucali ją wprost podarunkami.

„Pamiętaj, ci ludzie nie obdarowują cię z przyjaźni, ale dlatego, że stoi za tobą fortuna Lai Tsina”.

Pierre nie ożenił się z nią z miłości, nie poślubił Lysandry, lecz jej majątek.

Bez słowa podpisała czek. Dyrektor wycofał się w ukłonach, a po chwili kelner przyniósł butelkę najlepszego szampana. Szef przeprosza panią d'Arancourt za zakłócenie spokoju.

Lysandra nie traciła czasu. Natychmiast wezwała pokojówkę i kazała jej pakować rzeczy. Potem otworzyła szafę i nożyczkami pocięła wszystkie eleganckie garnitury szyte u najlepszych paryskich krawców.

Wkrótce na podłodze leżał stos wełnianych i kaszmirowych ścinków.

Przebrała się do podróży i już w płaszczu wzniosła toast za pamięć Lai Tsina, którego rady i mądrość od tej chwili uznała za życiowy drogowskaz. Resztę szampana wylała na jedwabne krawaty. Potem zamówiła taksówkę i odjechała na lotnisko. Najbliższym samolotem do Nowego Jorku odleciała do stęsknionych rodziców...

Szybciej niż Lysandra do Hongkongu dotarły plotki o tym, jak książe Pierre wpadł w furję na widok zniszczonych garniturów... Wszyscy wiedzieli, że nie udało mu się wykorzystać naiwności żony i nie uszczknął ani centa z milionowej fortuny Lai Tsina. Sława Lysandry natomiast przez następne trzynaście lat urosła do rozmiarów legendy... Wówczas na swojej drodze spotkała Matta Jarrada.

Słońce ukryło się już za szarą linią morskiego horyzontu i Lysandra z westchnieniem odwróciła się od okna. Małżeństwo z należało już do przeszłości. Bez trudu uzyskała rozwód, adwokaci zaś uporali się z roszczeniami księcia do finansowego odszkodowania. Przez parę dni ta historia stanowiła sensację dla światowej prasy i szybko odeszła w zapomnienie.

Robert Chen powrócił do Hongkongu i został ordynatorem oddziału neurologicznego w tutejszym szpitalu. Byli najlepszymi przyjaciółmi, oboje poświęcili się bez reszty pracy i rozumieli bez słów. Od czasu do czasu Lysandra umawiała się z mężczyznami z kręgu znajomych, ale nigdy nie pozwoliła sobie na to, aby zakochać się w którymś z nich. Dopóki nie poznała Matta.

Tego dnia późno wychodziła z biura. Skinęła głową sekretarce. Był to sygnał, aby zawiadomić oczekującego na dole szofera, że pani wraca do domu.

Wprowadziła się do białej, dużej willi w ekskluzywnej dzielnicy, oddzielonej od ulicy żywopłotem z oleandrów. Od blisko roku mieszkała z Mattem, nie zważając na krążące po całym mieście plotki.

Od momentu poznania wiedziała, że Matt nie pasuje do żadnego establishmentu. To typ awanturnika, artysty - Cygana, który włóczy się po świecie z jedną zniszczoną walizką. Miał w niej parę koszul, zapasowe dżinsy i największy skarb - pędzle oraz farby.

Spotkali się na wystawie jego prac w nowoczesnej galerii przy Nathan Road. Wśród eleganckich gości w szyfonach i frakach artysta w wypłowiałych dżinsach i białej koszuli bez - kołnierzyka zwracał powszechną uwagę. Był wysoki, chudy, a ciemnorude włosy nie wyschły jeszcze po kąpieli. Podszedł do Lysandry, a w jego szarozielonych oczach pojawiły się wesołe, prawie łobuzerskie błyski.

- Przepraszam za ten strój, ale kiedy przeczytałem w zaproszeniu, że będą szampan i kanapki, pognąłem do krawca, by czym prędzej uszył coś stosownego. - W jego spojrzeniu malował się tak wyraźny zachwyt, że zmieszana odwróciła oczy. - Ubiegły rok spędziłem w małej chatce na plaży w Bali i odwykłem zupełnie od eleganckiego towarzystwa. Obawiam się, że wszystkie reguły dobrego zachowania wyleciały mi z głowy.

- Nie wygląda pan na człowieka, który przywiązuje wagę do zasad - roześmiała się.

Popatrzyli na siebie dłuższą chwilę i Matt powiedział powoli:

- Chyba ma pani rację.

Lysandra została na wystawie znacznie dłużej, niż planowała. Tłumek zwiedzających przerzedził się.

- Proszę, niech pani jeszcze nie wychodzi. Może zjedlibyśmy razem kolację? - zaproponował Matt.

Zgodziła się, gdyż spodobał się jej ten obieżyświat z artystyczną duszą, który ma odwagę żyć inaczej niż otoczenie.

Pojechali do jej wspaniałego domu przy Po Shan Road i Lysandra usmażyła jajecznicę, którą Matt pochłaniał ze zdrowym apetytem zgłodniałego malarza.

Potem pili szampana i tak się jakoś złożyło, że opowiedziała mu wszystko o sobie, o swym dzieciństwie, młodości, a nawet małżeństwie.

- Ilekroć spotykam jakiegoś mężczyznę, zaraz zaczyna liczyć moje pieniądze. - Wyzywająco spojrzała na Matta.

- No, tym razem pomyliłaś się, panno milionerko - powiedział chłodno. - Mnie interesuje wyłącznie twój portret, który mógłbym namalować. Masz takie oczy i włosy, które uwielbiali prerafaelici. Ale włosy powinnaś rozpuścić, ze spiętymi wyglądasz zbyt surowo.

Dotknął dłonią jej twarzy, a Lysandra poczuła drzenie. Jego palce były delikatne, choć szorstkie.

- Jakie aksamitne policzki - szepną. Musnął jej usta. Przygarnęła go do siebie.

Prawie rok mieszkali razem. Kochali się do szaleństwa i kłócili do upadłego.

Lysandra bowiem pozostała wierna firmie i całe życie podporządkowała interesom.

Wychodziła z domu o pół do ósmej rano, a wracała dopiero wieczorem. Matt czekał na nią zwykle na werandzie, ze szklaneczką whisky w ręku, milczący. Postanowiła, że nie zrezygnuje ze swojej pozycji i ambicji dla żadnego mężczyzny. Po pewnym czasie między nimi zaczął wyrastać niewidzialny mur.

- Rzuć to wszystko - powiedział któregoś wieczora. - Nie musisz codziennie bywać w firmie. Masz doskonałych dyrektorów, którzy świetnie sobie poradzą. - Chciałbym cię mieć tylko dla siebie. - Szarozielone oczy Matta spoważniały. - Wyjdź za mnie, Lysandro.

Gniewnie wruszyła ramionami. Stwierdzenie, że w spółce bez niej sobie poradzą, dotknęło ją do żywego. Przecież została wyznaczona przez Lai Tsina na taipana! Matt daremnie czekał na odpowiedź. Z posmutniałymi oczyma odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Zniknął z jej życia równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

- Gdzie się wybierasz? - spytała zaskoczona, gdy wrzucał do walizki swoje nieliczne rzeczy.

- Przed siebie - odparł spokojnie.

- Tak po prostu zostawiasz mnie? - rozszerzyła oczy ze zdumienia.

- To ty podjęłaś decyzję. - Na jego twarzy pojawił się ten sam szeroki uśmiech, z którym podszedł do niej na wystawie.

Zarzucił torbę na ramię, ostatni raz spojrzął na Lysandrę, sypialnię, którą dzielili przez rok, i szybkim krokiem odszedł z pięknego białego domu, cudownego ogrodu i ich wspólnego życia.

Rolls-royce zatrzymał się przed garażem. Lysandra weszła do domu. Jak zawsze zajrzała najpierw na werandę, jakby spodziewając się, że zobaczy Matta. Ale nie było nikogo. Przeszła do sypialni. Bez pędzli Matta na kominku, bez jego zegarka kupionego za parę dolarów od ulicznego sprzedawcy na Cathay Road i swetra rzuconego niedbale na krzesło, sypialnia wydała się jej ponura jak grobowiec.

Chciała właśnie położyć się na chwilę, lecz do pokoju wpadła zaaferowana Ah Sing. Była już zbyt stara, aby pracować w domu, ale nadzorowała służbę i strzegła jak oka w głowie przybraną ukochaną córkę.

- Nadszedł, panienko - uśmiech rozjaśnił jej pomarszczoną niczym orzech twarz.

- Czy nie mówiłam, że nadejdzie wkrótce?

- O czym ty mówisz, Ah Sing? - Lysandra spojrzała na nią niecierpliwie. Nie zamierzała załatwiać już dzisiaj żadnych spraw.

- List, na który czekałaś tyle miesięcy. - Wyjęła z kieszeni kaftana pocztówkę i uroczyście podała ją Lysandrze. - Widzisz? To na pewno od niego.

Kartkę wysłano z Australii. Przedstawiała chatkę na plaży, krytą listowiem, pas złotego piachu i białą grzywę na lazurowej fali. Na odwrocie Matt skreślił jedno zdanie: „Brakuje tu tylko ciebie”.

Poczuła znajome, szybkie uderzenia krwi w skroniach.

- To niemożliwe, Ah Sing. Chyba nie spodziewa się, że rzucę wszystko i pojedę na bezludną wyspę. Zresztą po miesiącu wyląduję pewnie w Katmandu, Nowej Gwinei albo Wenezueli.

Ah Sing położyła jej na plecach brązową, spracowaną dłoń.

- Nie jestem na tyle mądra, aby udzielić ci dobrej rady. Wiem tylko, że moja przybrana córka cierpi. A jeżeli wszystkie pieniądze świata nie mogą cię uszczęśliwić, to znaczy że coś jest źle.

Lysandra zamyśliła się. Obracała w dłoniach pocztówkę, przyciskała do policzków i ust. Wyszła na werandę i zapatrzyła się w migające światła Hongkongu.

Pomyślała o rodzicach, i o tym, jacy są szczęśliwi. Przed pół rokiem poznali Matta.

- On jest inny - powiedziała Francie z uśmiechem.

- Chyba aż za bardzo - odparła wtedy Lysandra.

Matt i Francie od razu przypadli sobie do gustu i nawet Buck, który od czasów

podejrzliwym okiem spoglądał na wszystkich adoratorów córki, przyznał po paru dniach, że to uczciwy człowiek, rzadkość w dzisiejszych czasach.

Może zbyt uczciwy - pomyślała teraz z goryczą. Przyznała sama przed sobą, że znalazła się na rozdrożu i nie wiedziała, w którą stronę podążyć.

Wspomniała słowa Lai Tsina, które wypowiedział przed laty podczas ich ostatniej wspólnej podróży do Hongkongu.

„Nie dostąpię zaszczytu towarzyszenia ci na długiej drodze życia, umiłowana wnuczko. Ofiaruję ci pieniądze i władzę w nadziei, że będziesz szczęśliwa.

Wyznałem już wszystko, Lysandro, z wyjątkiem jednej tajemnicy, którą spisałem i zamknąłem w prywatnym sejfie w biurze. Możesz to przeczytać tylko wtedy, gdy ogarnie cię rozpacz i poczujesz się zupełnie zagubiona. Jeżeli nadejdzie taki dzień, ukochana wnuczko, wtedy, mam nadzieję, wybaczysz mi wszystko i zrozumiesz, co uczynić powinnaś”.

Lysandra pobiegła do sypialni. Założyła dzinsy, białą bawełnianą koszulę, wysokie buty, chwyciła kluczyki i wyprowadziła z garażu małego, błękitnego mercedesa. Po chwili już zmierzała do centrum miasta.

Nocny strażnik rozpoznał ją od razu i wpuścił do firmy. Wjechała windą na trzydzieste piętro, weszła do gabinetu i zdjęła ze ściany pergamin w drewnianej ramce, pod którym mieściły się drzwiczki do sejfu.

Od chwili przeniesienia biura do nowego budynku leżała tam szara koperta z grubego pakowego papieru. Lysandra otworzyła ją drżącymi rękami. Usiadła za biurkiem Lai Tsina. Oto nareszcie miała przed sobą list, którego treść wolno jej było poznać w sytuacji wyjątkowo dramatycznej. Po przeczytaniu paru słów przeniosła się w zupełnie inny świat.

„Do wnuczki Lysandry, prawników i praprawnuków, których nigdy nie zobaczę, bo mój czas na tej ziemi dobiega końca. Pierwotnie zamierzałem na zawsze dochować tajemnicy, lecz zmieniłem zdanie. Jeżeli moje słowa mogą wam pomóc, skorzystajcie z nich.

Opowiem wam prawdziwe dzieje Mayling. Ale najpierw muszę wyjaśnić kilka faktów, które zataiłem. Posłuchajcie.

Mayling miała trzynaście lat, a Lai Tsin dziewięć, gdy zostali sprzedani handlarzowi żywym towarem. Wówczas w Chinach powszechnie handlowano kobietami.

Handlarze zbijali wielkie fortuny, porywając młode dziewczęta, a potem sprzedając je i kupując po kilkanaście razy.

Mimo ciężkiego życia i okrucieństwa ojca Mayling była radosną, szczęśliwą dziewczynką o wesołych, czarnych oczach. Czasami wyobrażała sobie, że kiedyś poślubi dobrego, bogatego człowieka, urodzi śliczne dzieci i zatrudni służbę do pomocy w domu. Na razie długie, lśniące piękne włosy czesała w zgrabny koczek, a zamiast dzadeitowych grzebieni wpinała żdźbła słomy. Niestety jej marzenia nigdy się nie spełniły.

W Szanghaju handlarz siłą zabrał przytuloną do brata Mayling, jej życie zmieniło się całkowicie. Zamknął ją w kajucie i dotykał intymnych miejsc. Szarpała się, płakała, więc uderzył ją mocno w twarz. Broniła się nadal i handlarz gniewnie zacisnął ręce na jej szyi. Ale potem opanował się. Tyle innych dziewcząt nie sprawia takiego kłopotu, a za dziewczęć uzyska znacznie wyższą cenę. Uderzył ją jeszcze kilka razy, zarzucił na głowę płócienny worek i przeniósł z dżonki do lektyki.

Mayling czuła potworny ból i pulsowanie krwi w uszach, gdy jechali przez miasto pod osłoną nocy. Modliła się o możliwość ucieczki, ale była zupełnie obezwładniona. Wreszcie lektyka zatrzymała się, handlarz brutalnie wypchnął bezwładną dziewczynę na ulicę i wciągnął ją za włosy do ciemnego cuchnącego budynku. W małym pokoju siedział mężczyzna o ptasiej twarzy i oczach tak wąskich, że sprawiał wrażenie ślepcy. Ale wkrótce Mayling poczuła na sobie jego przeszywające, taksujące spojrzenie.

Prześladowca zmusił ją do podniesienia głowy, brutalnie obmacywał piersi i plecy, zachwalając przede wszystkim jej dziewictwo. Fala wstydu załała Mayling.

Stary człowiek za biurkiem wymienił cenę. Handlarz wymyślał mu od złodziei, załamywał ręce i zawodził żałośnie, ale po kilku minutach dobili targu i Mayling została sam na sam z nowym właścicielem.

Skuliła się przy ścianie, ale mężczyzna skinął tylko ręką, aby poszła za nim.

Zamknął ją w ciemnej piwnicy, kucnęła na schodkach i szloch wstrząsnął jej drobnym ciałem. Płakała z żalu nad sobą i bratem, z głodu i ze strachu. Szczur zachrobotał gdzieś w kącie, a potem ocierał się o jej bose stopy.

Drzwi piwnicy wreszcie otworzyły się i Mayling, zbyt zmęczona, by płakać czy protestować, posłusznie poszła za nowym właścicielem. Wsadził ją na wóz zaprzężony w muła. Ze związanymi nogami i dłońmi leżała przykryta słomą. Powoli wytoczyli się z miasta i wjechali na nierówną wiejską drogę.

Mayling straciła rachubę czasu. W końcu zatrzymali się i wyrzucono ją na ziemię.

Szybko rozejrzała się wokół. Byli na skraju dużej wsi. Woźnica poprowadził ją do drewnianej chatki, wepchnął do ciemnego wnętrza i zamknął drzwi na skobel.

Usłyszała jakiś szmer. Wydawało się, że patrzą na nią dziesiątki oczu. Krzyknęła ze strachu.

- Nie bój się - usłyszała łagodny, dziewczęcy głos, - Nas też tutaj uwięziono.

- Poczula dotyk chropowatej, stwardnialej od pracy ręki. - Ależ ty jesteś jeszcze dzieckiem! - zawołała tamta dziewczyna. - Masz włosy związane w kucyk!

- Skończyłam trzynaście lat - szepnęła Mayling, przywierając kurczowo do ciepłej dłoni.

- A ja piętnaście - westchnęła tamta. - Porwano mnie z mojej wioski, podobnie jak większość dziewcząt. Tylko niektóre handlarze zwabili do miasta obietnicą pracy, a inne ojcowie sprzedali, by nie płacić posagu. Nikt nie wie, co teraz z nami będzie.

Poczęstowała Mayling ryżem, a w ślad za nią poszły inne towarzyszkii niedoli.

Brała z każdej miseczki po małej garstce, a potem kłaniała się z podziękowaniem.

Ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Skuliła się na podłodze i zasnęła kamiennym snem.

Rano obudziły je ostre, męskie głosy. Musiały wyjść na dwór. Dopiero świtało i rąbek księżycy zanurzał się w czarnej, gładkiej jak lustro rzece. Mężczyźni kazali im rozebrać się, ponaglając uderzeniami trzciniowych batów. Potem ustawili je rzędem, śmiejąc się z ich wstydu i zakłopotania. Związali im z tyłu ręce tak, że najmniejszy ruch wywoływał palący ból. Ohydny starzec zawiesił każdej na szyi tabliczkę z ceną i, nie żałując razów, popędzono je do wioski.

Mayling szła ostatnia, ze spuszczoną głową. Płakała z upokorzenia i wstydu. Ale najgorsze było dopiero przed nimi. Przy końcu jasno oświetlonej drogi stał stragan, w którym sprzedawano ryżowe wino. Podpici mężczyźni rechotali na widok nagich dziewcząt. Podeszli bliżej. Dziewczęta, które próbowały odwracać się, boleśnie smagano batem.

Mayling pragnęła zapaść się pod ziemię, ale skamieniała ze strachu. Mężczyźni szczykali ją w pośladki i obmacywali brudnymi łapskami, sprawdzali, czy jest dziewicą. Wreszcie jakiś ordynarny wieśniak zdecydował się ją kupić i wrzaskliwie targował się o cenę.

Zanim odciągnął ją na bok, uchwyciła spojrzenie dziewczyny, która podzieliła się z nią ryżem. W jej oczach malowały się współczucie i ból. Lekko skinęła Mayling głową. Należała do wielu brutalnie traktowanych i poniżanych kobiet, które musiały służyć mężczyznom.

Hakka zawiózł Mayling do swojej chaty na polach ryżowych. Był okrutny, brudny i cuchnący. Rzucił się na nią jak zwierzę, zostawił ją w szoku zakrwawioną, drżącą z zimna i wstydu.

Następnego dnia sprzedał ją innemu wieśniakowi, nieco młodszemu, ale równie bezwzględnemu i odrażającemu. Także zamierzał pozbyć się Mayling po jednej nocy, ale spodobała mu się jej aksamitna skóra, dziewczęce piersi i żaloszny jęk, z którym mu ulegała. Planował właśnie wyjazd do Szanghaju, a potem do Ameryki i postanowił ją

wziąć ze sobą. W Ameryce było niewiele chińskich kobiet, więc na pewno zarobi na niej, kiedy mu się już znudzi. Zgolił Mayling przód głowy, a resztę włosów związał w warkocz. Kazał jej założyć kaftan, spodnie kulisa i zagroził, że jeżeli odezwie się do kogokolwiek choć słowem, zginie.

Podróż trwała cztery długie miesiące. Mayling siedziała posłusznie przy swoim właścicielu i milczała. Była jedyną dziewczyną na pokładzie i dygotała ze strachu na samą myśl, że ktoś mógłby to odkryć.

Podczas tajfunu modliła się, aby statek zatonął. Ocaleli jednak i dopiero wielki sztorm u wybrzeża Ameryki zmusił kulisów do skoku za burtę. Sądziła, że tylko śmierć uwolni ją od męki, ale instynkt życia okazał się silniejszy. Z całych sił walczyła z kipiela i widocznie dane jej było przeżyć, bo zauważyła przepływającą obok deskę, którą uchwyciła kurczowo. Ale jeden z mężczyzn, znacznie od niej silniejszy, odepchnął Mayling i sam trzymał się deski. Usłyszała potężny ryk nadchodzącej fali i zniknęła w lodowatej otchłani. Dusila się, była pewna, że umiera. Nagle poczuła wielki przeszywający ból i fala wyrzuciła ją na brzeg.

Zaczepiła dłońmi o kamień u podnóża stromej skały. Przewyciężając straszliwy ból, odwróciła się. Jak okiem sięgnąć, widniała szara masa oceanu. Ani jedna ludzka głowa nie unosiła się na powierzchni. Pozostali zginęli.

Wspinała się po skale, dłonie jej krwawiły, stopy ślizgały się na kamieniach. W płucach czuła wciąż ostry ból. Kiedy wreszcie dotarła na szczyt skały, w oczach jej pociemniało i upadła na ziemię.

Ocknęła się nad ranem. Ocean był już spokojny jak letnie jezioro. Ani jedna fala nie mąciła kryształowej wody. Ruszyła przed siebie. Żywiła się leśnymi jagodami albo tym, co ukradła w zagrodach. W nocy marzła, więc kiedyś uszczęśliwiona wślizgnęła się do drewnianej kaplicy i przespała na ławce. Znalazł ją tam pastor o czerwonej twarzy i chytrych oczach. Zabrał do swojej chaty i mówił o Bogu, któremu należy przywrócić błądzącą duszę. Mayling nic nie rozumiała, ale gdy dotknął jej ramienia, poczuła wstręt. Mieszkańcy wioski zbiegli się, żeby ją oglądać, ona zaś kulila się pod nieprzyjawnymi spojrzeniami. Tej nocy pastor kazał jej klęczeć obok siebie, a sam popijał whisky i monotonicznie powtarzał słowa długiej modlitwy. Potem zrobił z nią to, co inni mężczyźni, i zamknął ją w pokoju. Mayling przecisnęła się przez wąskie okienko i uciekła. Biegła bez tchu przez ciemny las. Wędrowała długo, nim napotkała grupę Chińczyków pracujących w polu. Lękała się podejść. Ostatni właściciel przechwalał się przecież, ile pieniędzy dostanie za chińską dziewczynę w Ameryce. Ale słała się na nogach z głodu i zmęczenia. Wiedziała, że dłużej nie wytrzyma. Mogła tylko znaleźć wygodne, miękkie miejsce w lesie i czekać na śmierć. Ale wtedy nigdy nie zobaczy braciszka, za którym tak

bardzo tęskniła. Miała jedno wyjście...

Już od dawna nosiła chłopięce ubranie. Była drobna, a pod szeroką bluzą łatwo ukryła małe piersi. Wieśniak ogolił jej głowę z przodu i z włosami splecionymi w warkocz wyglądała jak chłopiec.

Westchnęła głęboko. Musi zostać Lai Tsinem, żeby przeżyć w tym okrutnym świecie.

Przez dwa lata ciężko pracowała z mężczyznami z Toishan. Każdego ranka budziła się z lękiem, że ktoś odkryje jej tajemnicę. Ale nie skarżyła się, tylko obserwowała mężczyzn. Nauczyła się mówić, postępować, nawet myśleć jak oni.

Nigdy nie zapomniała, do jakiego okrucieństwa są zdolni, i nienawidziła ich całym sercem.

Po winobranii wyruszyła wraz z innymi na poszukiwanie pracy. Przemierzali żyzne doliny Kalifornii, zbierali wiśnie, migdały, cytryny i pomarańcze. Zimą schronili się do miasta. Tam czasami zarobiła parę groszy, ale głównie żyła z tego, co wygrała w karty. Już na statku podpatrzyła pokerzystów i potrafiła wykorzystać chińską namiętność do hazardu.

San Francisco początkowo ją przerażało, ale w Dzielnicy Chińskiej poczuła się bezpiecznie. Wszystko było tu znane, napisy na szybach wystawowych, smoki strzegące świątyń, zapach kadzidła i przypraw, herbaciarnie, a nade wszystko język.

Z zazdrością patrzyła na dziewczęta w sukniach, zakiecikach, z kwiatami wpiętymi we włosy. Ona miała szorstkie, spracowane dłonie i ciężkie buciory. Nawet mówiła inaczej, monosylabami, aby jej głos brzmiał grubo. Och, jak pragnęła znowu stać się młodą, radosną dziewczyną, wpinać grzebienie w rozpuszczone włosy, śmiać się i chodzić drobnymi krokami w pantofelkach!

Bez zastanowienia weszła do sklepu i wydała wszystkie pieniądze na jedwabny kaftan, damskie spodnie, buciki i grzebienie do włosów tłumacząc sprzedawcy, że kupuje je dla siostry. Szybko zaniósła te skarby do swojej dusznej, rojącej się od karaluchów klitki na zapleczu dużego sklepu spożywczego. Zdarła męskie ubranie i popatrzyła na swoje odbicie w brudnym oknie. Miała szesnaście lat, szczupłą, chłopięcą sylwetkę, drobne piersi i smukłe uda. Nalała zimnej wody do cynowego kubła, umyła się starannie i założyła nowy strój oraz pantofelki na drewnianych, rzeźbionych podszwach. Włosy związała w mały, jedwabisty węzeł.

Znowu spojrzała w szybę. Tym razem nie zobaczyła już wyrostka w łachmanach, ale śliczną dziewczynę. Przeszła parę kroków po pokoju. Stopy w ciasnych pantofelkach bolały ją bardzo, ale czuła się lekka jak ptak.

Po chwili wahania wybiegła na ulicę. Za rogiem w małym sklepiku pracował fotograf, który robił zdjęcia wszystkim Chińczykom w okolicy. Wysyłali je potem do rodziny. Wręczył jej papierowy wachlarz i kazał siedzieć bez ruchu. Zabłysnął flesz i tak Mayling została uwieczniona na jedynej w życiu fotografii.

Potem wróciła do pokoiku i starannie zapakowała nowe ubranie. Musi pozostać mężczyzną, żeby przeżyć.

Właśnie jako Lai Tsina zatrudniono ją w lokalu dla hazardzistów. Podawała drinki, myła stoły, wykonywała wszystkie fizyczne prace. Co tydzień w dniu wypłaty siadała do stolika i wraz z innymi próbowała szczęścia. Czasami wygrywała, ale częściej traciła. Gracze w San Francisco byli sprytniejsi niż kulisi, od których nauczyła się wielu sztuczek.

We wszystkie niedziele uczęszczała na bezpłatne lekcje angielskiego, organizowane przez kościół Baptistów. Miała co jeść, dach nad głową i nie marzyła o niczym więcej.

Chińczyk Wu Feng wynajmował lokal u białego bogacza, który przychodził po pieniądze raz w tygodniu. Ten wysoki, przystojny młody człowiek o bladoniebieskim ostrym spojrzeniu i bujnych jasnych włosach zapytał kiedyś Mayling, ile ma lat i skąd przyjechała. Też na nią popatrzył, tak jakoś dziwnie, zupełnie jak tamci mężczyźni w Chinach... Ale była przecież bezpieczna, nie wiedział, że ona jest dziewczyną. Podała mu więc dzbanek ryżowego wina i uśmiechnęła się.

Pewnego tygodnia jednak nie przyszedł. Zażądał, żeby przyniesiono mu pieniądze do domu. »Proszę wysłać Lai Tsina«, przekazał przez posłańca.

Mayling bała się opuszczać Dzielnicę Chińską, więc szybko biegła przez ulice z opuszczoną głową, nie chcąc patrzeć na pogańskie twarze. Rezydencja bogatego pana była bardzo duża. Do drzwi prowadziło pięć marmurowych schodów. Mayling zadzwoniła i otworzył jej chiński służący w białych rękawiczkach. Przywitał ją szerokim uśmiechem.

- Pan czeka na górze - powiedział i lekko popchnął Mayling w kierunku wyłożonych czerwonym dywanem schodów.

Przejęta dziwnym lękiem weszła na górę. Bogactwo tego domu onieśmiało ją, jeszcze nigdy nie widziała tak wspaniałych mebli, obrazów i kryształowych żyrandoli.

- Wejść - z głębi korytarza dobiegł gruby głos. Znalazła się w pokoju, który wydał jej się ogromny jak świątynia. Pan domu siedział za wielkim biurkiem. Na widok Mayling wstał, podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Ukłoniła się, drżąc z lęku. Dlaczego zamykał drzwi? Pomyślała jednak, że nie chce, aby ktokolwiek widział przyniesione pieniądze.

Wyjęła paczuszkę z kieszeni i położyła ją na biurku.

- To należność od Wu Funga, Czcigodny Panie. Mężczyzna usiadł na biurku z założonymi na piersiach rękami.

Nagle roześmiał się.

- Dziękuję ci, Lai Tsin. A czy nie chciałbyś dostać tych pieniędzy z powrotem? Włożyć do własnej kieszeni i mieć je tylko dla siebie?

Mayling zwróciła na niego ogromne ze zdziwienia oczy.

- W jaki sposób mógłbym tyle zarobić?

- Naprawdę nie wiesz? - w głosie mężczyzny zabrzmiało tłumione podniecenie.

Chwycił ją za ramię. Mayling zamarła z przerażenia. Znała ten głos i spojrzenie.

Czuła zaciskający się na ramieniu stalowy uścisk. Mężczyzna myślał, że ona jest chłopcem.

- Nie, sir, pan nie rozumie - wyjąkała przerażonym głosem. Roześmiał się nie wypuszczając jej z uścisku.

- Czego nie rozumiem, mały? Twoich spojrzeń i uśmiechów, które rzucałeś mi co piątek u Wu Funga? Masz piękne, gibkie ciało, chłopcze, takie okrągłe pośladki i szkliste spojrzenie... Ja to lubię, mój mały. My dwaj wspaniale się rozumiemy, Lai Tsin. Pragnę tego, co możesz mi dać, a ty nie pożałujesz. - Rzucił w kierunku Mayling garść banknotów. - Weź. Są twoje. Nie żałuję niczego ludziom, którzy sprawiają mi przyjemność.

Wywinęła się z uścisku i podbiegła do drzwi. Mężczyzna roześmiał się. W zamku nie było klucza.

Odwróciła się do niego i zebrawszy całą odwagę powiedziała wolno.

- Pan się myli, sir. Nazywam się Mayling. Jestem dziewczyną. Poczerwieniał z rozbawienia.

- A to dobre! Wilk w przebraniu jagnięcia! - gwałtownie przyciągnął ją do siebie i włożył rękę pomiędzy jej nogi. Przez chwilę zaskoczenie walczyło na jego twarzy z wściekłością. Potem kazał jej się rozbierać. Krzyknął, kiedy stała bez ruchu. Miał przekrwione, straszne oczy. Fakt, że była na pół chłopcem, a na pół dziewczyną, jeszcze bardziej go podniecił. Zdarł z niej ubranie, przewrócił ją na podłogę i wziął tak brutalnie jak obaj poprzedni mężczyźni. Zaspokoiwszy żądze, zostawił ją trzęsącą się ze strachu i upokorzenia na podłodze. Wstał, zapiął spodnie i wygładził zwichrzone włosy. Kiedy siadał za biurkiem, był już spokojny.

- Wynoś się teraz - powiedział. - I nie chcę nigdy więcej widzieć cię u Wu Funga. Rozumiesz?

Podniosła się i z trudem podeszła do drzwi. Czuła mdłości, ciało jej było mokre od potu i nasienia tego wstrętnego człowieka. Rzucił jej klucz.

- Nie wiem, po co udajesz chłopca, ale to niebezpieczna gra. Nie wszyscy mężczyźni będą tak wspańiałomyślni jak jak. Niejeden zabiłby cię za to.

Zapamiętaj sobie.

Mayling szybko zbiegła po schodach. Już w holu zauważyła czającego się w kącie chińskiego służącego, który wpuścił ją do środka. Chłopak podbiegł do niej i chwycił za ramię.

- Pan Harrison jest hojny. Jeśli mi dasz połowę pieniędzy, nikomu o tobie nie powiem.

- Pan Harrison? - spojrzała tępo na wykrzywioną grymasem twarz.

- Mój pan - powtórzył niecierpliwie - jest najbogatszym człowiekiem w San Francisco. Ma wielkie banki. Nie słyszałeś o Harmonie Harrisonie?

- Nie wziąłem żadnych pieniędzy. - Odepchnęła służącego i wybiegła na ulicę.

»Harmon Harrison« - dwa słowa brzęczały jej w uszach. Teraz to nazwisko nic jej nie mówiło. Dopiero wiele lat później przypomniała je sobie.

Półprzymna wróciła do Dzielnicy Chińskiej. W swojej małej klitce zdjęła ubranie i tak długo szorowała ciało szorstkim mydłem oraz lodowatą wodą, aż zaczęło palić żywym ogniem. Potem położyła się na macie. Myślała, co począć ze sobą. Serce pękało jej z tęsknoty za matką, małym braciszkiem i płonęło

nienawiścią do wszystkich mężczyzn. Ale kiedy wypłakała chyba wszystkie łzy, zrozumiała, że nie ma innego wyjścia. Musi dalej udawać. Przysięgła sobie tylko, że żaden mężczyzna już nigdy jej nie dotknie, a jeżeli któryś spróbuje, zabije go.

Następnego dnia Mayling znalazła pracę tragarza. W dwóch słomianych koszach, zawieszonych na przełożonym przez plecy bambusowym kiju nosiła na targ warzywa i żywe kurczaki. Wieczorami pracowała w innym domu gry, mniejszym, bardziej ponurym, należącym do jednego z gangów trzęsących Dzielnicą Chińską. Palono tam opium, a mężczyźni mieli krótkie toporki za paskami spodni. Ale Mayling nie bała się niczego. Nie zwracała uwagi na mężczyzn. Pragnęła tylko pieniędzy. Dopiero po kilku miesiącach zorientowała się, że jest w ciąży.

Nic nie wiedziała o tych sprawach, więc było już za późno, aby cokolwiek zrobić. Nosiła w sobie dziecko tego strasznego mężczyzny.

Pracowała tak długo, jak to było możliwe, a potem wynajęła inny pokój. Stała się znowu Mayling, w jedwabnym kaftanie, z koczkiem lśniących włosów.

Stara akuszerka, którą wezwała, kiedy rozpoczęły się bóle, mruklawie wyrażała swoją dezaprobatę dla samotnej dziewczyny z dzieckiem, bez męża i krewnych do pomocy. Mimo to jednak policzyła drożej za swoje usługi niż innym kobietom.

Mayling była szczupła i myślała, że ból rozerwie ją na pół jak rozpalone kleszcze, ale po paru godzinach maleństwo przyszło na świat: błydy chłopczyk o smutnych oczach. Ani trochę nie przypominał znieawidzonego ojca. Był podobny do niej, a przy tym tak kruchy i bezradny, że serce ścisnęło jej się z żalu.

Przygarnęła do siebie zawiniątko.

Po dwóch miesiącach musiała wrócić do pracy. Długo zastanawiała się, co zrobić z dzieckiem. Miała tylko jedno wyjście. W Chinach od dawna istniał zwyczaj, że ubogie rodziny, które nie mogły wyżywić wszystkich dzieci, oddawały jedno albo nawet dwoje bezdzietnym małżeństwom na wychowanie. Mayling znalazła dla swojego synka parę w średnim wieku, która dawno straciła nadzieję na własnego potomka.

Byli uszczęśliwieni, kiedy przyniosła im chłopca. Obiecała, że co miesiąc będzie przysyłać pieniądze na jego wychowanie, po czym szybko wyszła, połykając łzy gorzkości i żalu.

Ponownie stała się Lai Tsinem. Pracowała w polu i grała w karty. Była samotna, nie miała ani jednej przyjaznej duszy obok siebie. Przez wszystkie te lata posyłała pieniądze na utrzymanie dziecka, choć nie widziała go ani razu.

Pewnego dnia otrzymała wiadomość, że jej syn ukończył osiemnaście lat i wkrótce odbędzie się jego ślub. Mayling wysłała wszystkie oszczędności na wesele, ale nie została zaproszona. Po roku dowiedziała się, że młodej parze urodziło się dziecko. Była szczęśliwa, choć nie próbowała zobaczyć swego wnuka. Miała dopiero trzydzieści cztery lata!

W dniu wielkiego trzęsienia ziemi wracała do swego małego pokoju na Kearny Street. Całą noc spędziła w domu gry, gdy więc ujrzała falującą ulicę i przewróciła się na ziemię, pomyślała, że to bogowie chcą ukarać ją za grzechy.

Wczołgała się do pobliskiej bramy. Świat wokół walił się w gruzy. Kiedy wreszcie drżenie ustało, ośmieliła się otworzyć oczy. Druga strona ulicy nie istniała. Mayling pomyślała z trwogą o synu i jego rodzinie. Szybko pobiegła zatłoczoną, zawaaloną gruzem ulicą w stronę domu, w którym mieszkali. Już go nie było. Wokół kręcili się sąsiedzi, próbując podnieść ciężkie drewniane bale i kawałki ceglanego muru. Obok, na kupce gruzu siedział mały chłopczyk. Nie płakał, nie odzywał się, tylko patrzył na Mayling smutnymi, poważnymi oczami. Poznała go od razu i chwyciła na ręce. Ludzie kopali nadal i wreszcie ktoś krzyknął, że widać zasypanych. Nie żyli. Dwa wielkie drewniane słupy spadły na nich podczas snu. Chłopczyk, który spał w pokoju obok, ocalał.

Mayling spojrzała na martwą twarz syna. Zobaczyła go pierwszy raz od chwili, gdy jako dwumiesięczne niemowlę oddała nowej rodzinie. Był młody, przystojny, miał przed sobą życie... Cichy szloch wstrząsnął jej ciałem. Powiedziała sąsiadom, że zaopiekuje się dzieckiem. Szybko znaleźli dla niego jakieś ubranka i Mayling, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na syna, odeszła.

- Tak więc, ukochani - kończył swą spowiedź Lai Tsin - dzieje Mayling i Lai Tsina są takie same. Kiedy Lai Tsin spotkał po raz pierwszy Francie, powiedział jej, że chłopiec jest sierotą, a więc tylko część prawdy. Chłopiec był także jego wnukiem i Harmona Harrisona. Zawsze żałowałem, że Filip nie wie, iż płynie w nim moja krew, ale minęło zbyt wiele czasu, by wszystko wyjaśnić. Stałem się kimś zupełnie innym, lecz Filip Chen był dla mnie zawsze niczym ukochany syn, którego nigdy nie poznałem.

Mówię ci całą prawdę, Lysandro, bo jako kobieta może cierpić nie tylko przez innych, ale także sama zadajesz sobie ból. Warunki zmusiły mnie, abym ukryła przed światem fakt, że jestem kobietą. Wszystkie moje sukcesy, pieniądze i władza nigdy mi tego nie wynagrodziły.

Będziesz czytała te słowa, kiedy staniesz na rozdrożu swego życia. Pamiętaj więc, ukochana wnuczko, że przede wszystkim jesteś kobietą. Nie unikniesz swego przeznaczenia... Dzięki temu możesz kochać i być kochaną. Nie wolno ci z tego rezygnować. Nie odmawiaj sobie prawa do szczęścia. Bądź silna i nie lękaj się wyzwiań, jakie niesie życie. Czerp z niego, co potrafisz”.

Gorzkie łzy płynęły po policzkach. Ileż cierpień i upokorzeń musiała znieść ta biedna dziewczyna! Ileż uczuć, pasji i namiętności tłumiła w sobie w obawie przed wrogim światem. Gdyby można było cofnąć czas i ofiarować Mayling całą radość i szczęście życia.

Ale przesłanie tego listu było jasne. Lysandra, jak kiedyś Francie, zrozumiała je od razu: bądź silna, weź los w swoje ręce.

Zabrała szarą kopertę i wróciła do domu. W sypialni stanęła przed lustrem.

Ujrzała wciąż młodą i piękną kobietę, ale w jej oczach czaiły się smutek i pustka. Ma przed sobą jeszcze wiele pustych lat, w ciągu których pomnoży sukcesy i majątek, ale życie bezpowrotnie przecieknie jej przez palce. Matt miał raqę.

Spółka Lai Tsin może istnieć bez niej, ona jednak nie może żyć bez Matta.

Pomodliła się cicho za duszę mandaryna. Potem spakowała do podręcznej torby kilka rzeczy niezbędnych w małej chatce na australijskiej plaży. Na samym wierzchu położyła spory flakonik swoich ulubionych perfum z gardenii.

List mandaryna spłonął jeszcze tego wieczora w ogniu kominka. Sekret Mayling rozpląnął się w błękitnym dymie. Ale pozostali ludzie, którzy ją kochali.

Przed wyjazdem musiała załatwić kilka spraw. Po pierwsze, telefon do Filipa.

Lysandra poprosiła go o sprawowanie całkowitego nadzoru nad firmą w czasie jej nieobecności. Filip o nic nie pytał.

- Wiesz, że na mnie możesz zawsze liczyć - powiedział tylko. Fala ciepła zalała jej serce. Pod wpływem impulsu zapytała:

- Czy wiesz, jak bardzo kochał cię Lai Tsin?

- Kochał mnie jak syna. Wiedziałem o tym zawsze.

W jego spokojnym głosie nic nie zdradzało, że może znać tajemnicę Lai Tsina.

- Ja też cię kocham, Filipie. Dziękuję ci bardzo - za wszystko...

- Życzę szczęścia, maleńka - powiedział spokojnie. - Nasze myśli będą zawsze z tobą. Nie martw się.

Potem zadzwoniła do Roberta. Roześmiał się głośno na wieść, że Lysandra wyjeżdża do Australii.

- Powinnaś od razu z nim pojechać. Mówiłem ci.

- Nie sądzisz, że jest za późno? Może Matt już mnie nie kocha?

- Bądź spokojna. Każdy facet, który zakocha się w tobie, otrzymuje wyrok dożywotni. Trzymaj się, mała. Muszę pędzić do szpitala. Za dziesięć minut zaczynam dyżur.

- Będę pisać - szepnęła, ale czuła się jak podróżny, który podnosi za sobą zwodzony most.

Pozostała jeszcze najtrudniejsza rozmowa. Lysandra poprosiła telefonistkę o połączenie z ranczo w Kalifornii. Kiedy usłyszała znajomy głos Bucka, poczuła w gardle rosnącą kulę.

- Jak się miewasz, kochanie? Wszystko w porządku?

- Zakochałam się - zaszlochała w słuchawkę.

- I płaczesz z tego powodu? Pociągnęła nosem.

- Nie, po prostu... jestem szczęśliwa.

- Mam nadzieję, że to Matt?

- Tak.

- To wspomniały facet, kochanie. Znam się na ludziach, możesz mi wierzyć.

Przynajmniej nigdy nie będzie ci z nim nudno.

- To znaczy, że się zgadzasz?

- Jeżeli muszę, ale pod warunkiem, że tym razem zaprosisz nas na ślub...

Lysandra poczuła, że się czerwieni.

- Za pierwszym razem mu odmówiłam, więc teraz pierwsza powinnam go poprosić...

Przerwał jej głośny śmiech Bucka.

- Zawsze wiedziałaś, jak dopiąć swego. Ręczę, że ci się uda. Powodzenia, kochanie.

Potem do telefonu podeszła Francie. Przez ocean i tysiące mil trzeszczącego kabla Lysandra wyczuła niepokój matki.

- Zatęskniłam do tego, co was łączy, mamó - tłumaczyła. - Ale dopiero teraz to rozumiałam.

Francie stała w drzwiach wychodzących na werandę. Na paddocku biegały dwa konie, aż po horyzont ciągnęły się krzewy winorośli. Wszystkie tragiczne wydarzenia jej życia wydawały się oddalone o tysiące lat świetlnych od tego spokojnego krajobrazu.

Przesunęła dłonią po włosach, starając się nie myśleć o historii.

Matt był inny. Nigdzie nie zagrzebał długo miejsca, ale cechowała go solidność, którą nie zachwieje nawet wichur. Miał dosyć siły, aby odejść od Lysandry, bo chciał ją mieć wyłącznie dla siebie. Powinno im się udać.

- Czy jesteś pewna, córeczko? - zapytała jeszcze.

- Och, mamó - jak możesz mnie o to pytać? A skąd wy wiedzieliście? Pierre był złudzeniem, ale Matt to najprawdziwsza rzeczywistość. Poza tym przeczytałam list mandaryna. - Przerwała na chwilę. - Czy znasz treść, mamó?

- Tak, kochanie. Lai Tsin zabrał mnie kiedyś do swojej wioski i pokazał świątynię Lilin. Ale dałam słowo, że nikomu nie zdradzę sekretu i nawet tobie nie mogłam powiedzieć.

- Mamó, jaki on był dzielny. Zostawił nam o wiele więcej niż pieniądze.

Poświęcił nawet największą tajemnicę, żeby pomóc. Skorzystałam z jego rady.

Muszę już kończyć, mamó. Samolot jest jutro rano. Życz mi powodzenia, dobrze?

- Życzę ci szczęścia, kochanie.

Francie z uśmiechem podeszła do siedzącego na werandzie Bucka. Usiadła obok i wzięła go za rękę.

- Lysandra pragnie tylko tego, co nas łączy - powiedziała cicho. - Myślisz, że ma rację?

Buck spojrzał na wciąż piękną żonę i uśmiechnął się również.

- Oczywiście.

Rano Lysandra Lai Tsin leciała samolotem do Australii - i do Matta.

Wiele lat później, kiedy Chiny ponownie otworzyły granice przed gośćmi z dalekiego świata, Lysandra i jej mąż wynajęli małą, obskurną dżonkę z czarnym żaglem i popłynęli w górę szerokiej, brązowożółtej rzeki Jangcy. Minęli Nanking i Wuhu, wysokie wąwozy i niskie, porośnięte trzcina brzegi. Po raz ostatni odbyli podróż szlakiem ukochanego dziadka Lysandry, mandaryna Lai Tsin.

Opowiedziała Mattowi historię Mayling, jej brata Lai Tsina, małego braciszka Chena i ich matki, pięknej mui-tsai Lilin. Ale nawet Mattowi nie zdradziła największego sekretu.

Wydawało się, że drewniany pomost, do którego przybili, za chwilę rozpadnie się ze starości. Przybiegli kulisi w niebieskich, zapiętych pod szyję marynarkach i rzucili się do mocowania lin. Matt i Lysandra zeszli na brzeg. Przed nimi, aż po horyzont, ciągnęła się szarożółta, wysuszona ziemia przygnieciona ciężkim niebem. Droga do wioski Lai Tsina była teraz wąska jak polna ścieżka.

Trzymając się za ręce szli gliniastą dróżką. Lysandra rozglądała się wokół, szukając miejsc znanych z poprzedniej wyprawy. Ale wszystko się zmieniło. Staw wysechł i zarósł trzcinami, więc nie było w nim ani jednej z setek białych, hałaśliwych kaczek. Pola W ryżowe zamieniły się w bagniska, a w zagajniku, gdzie przed wielu laty pochowano Małego Chena, rosło tylko parę bezlistnych, smutnych drzew. Stary mur, który niegdyś półkołem otaczał wieś, rozpadł się już całkowicie, a z chałup zostały jedynie bezładne stosy żółtawych, glinianych kamieni. Zniknęły nawet psy, które zazwyczaj kręciły się wszędzie, ujadając i szukając pożywienia. Lysandrę ogarnęło przygnębienie. Nic już nie przypominało czasów, które znała z opowiadań mandaryna. Nędzne ślady ludzkiego życia nasuwały myśl o przemijaniu.

Nie powinni w ogóle tutaj przyjeżdżać.

Wracali zarośniętą ścieżką przez dawne pola ryżowe. Nagle, jak płomień na tle stalowego nieba, wyrosła przed nimi strzelista wieżyczka świątyni Lilin. Szybko, z zapartym tchem, wspinali się stromą ścieżką na szczyt skały. Stanęli przed wejściem. Lakier wyblakł już dawno, złotą powłokę dachu zmyły deszcze i wypaliło słońce, ale świątynia była nadal piękna.

Weszli do środka. Na macie z trawy siedział staruszek, najwidoczniej pielgrzym odwiedzający święte miejsca. Był drobny i bardzo kruchy, a z pomarszczonej twarzy spojrzęły na Lysandrę ciemne, brązowe oczy. Była w nich mądrość i smutek pokoleń.

Lysandra usiadła obok.

- Przepraszam, Czcigodny, że zakłócam twój spokój. Ale przybyłam tu, aby pokłonić się duchom moich przodków - powiedziała po chińsku.

Staruszek utkwiał w niej smutne, brązowe spojrzenie.

- Ucieszą się, że przybyłaś - odrzekł cichym, drżącym głosem.

- Powiedz mi, dlaczego tu jesteś, Czcigodny? - spytała Lysandra. - Nikt z żywych już w okolicy nie pozostał.

Staruszek zamyślił się.

- Wiele lat minęło od dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzałem tę świątynię, Czcigodna Córko. Ilekroć przechodzę tędy, zawsze tu wstępuję i spędzam kilka godzin albo dni na modlitwie. Jestem już za stary, aby liczyć upływający czas.

To miejsce ma w sobie spokój i kojącą ciszę.

- A więc pamiętasz, jak wyglądało dawniej, ojcze? - żywo zapytała Lysandra. - Pamiętasz wioskę? Co się z nią stało?

- Była biedna, a pan okrutny. Każdego lata nastawała wielka susza, więc pola ryżowe przestały rodzić. Staw wysechł, ludzie cierpieli nędzę. Młodzi uciekali do miasta, w poszukiwaniu lepszego życia.

Wielkie zmiany nastąpiły w Chinach i wieś zupełnie opustoszała. Domy rozpadały się, a wiatr rozwiewał pył z glinianych cegieł na wszystkie strony świata. Potem rzeka Ta Chiang zalała całą wieś. Dopiero latem powróciła do koryta. Od tej pory każdego roku rzeka zabiera kawał ziemi. Niedługo pozostanie tu tylko to wzgórze ze świątynią wzniesioną ku czci Lilin i jej dzieci.

Lysandra podziękowała staruszkowi i zapaliła pałeczki kadzidła. Chińskim zwyczajem wielokrotnie skłoniła się duchom swych ukochanych.

Na macie staruszka położyła jałmużnę, ale on nie patrzył na pieniądze, tylko uśmiechnął się do niej miękko. Lysandra i Matt wyszli. Wiatr rozwiewał jej bladozłote włosy, gładził policzki, żegnał przyjaznym muśnięciem. Ostatni raz spojrzała na świątynię lśniąca jak latarnia morska pośród szarej, falistej ziemi.

- Ona wie - szepnęła do Matta - wie, że przyjechałam jej podziękować.

Kiedy odpływali w dół rzeki, wiatr gwałtownie wyprostował żagle czarnej dżonki.

Potem owiał szerokim łukiem opuszczoną, smutną ziemię, na której wkrótce pozostanie już tylko szkarłatna świątynia na wzgórzu.